

Emil
MARAT

Michał
WÓJCIK



**PTAKI
DRAPIEŻNE**

HISTORIA LUCJANA „SĘPA” WIŚNIEWSKIEGO
LIKWIDATORA Z KONTRWYWIADU AK

EMIL MARAT MICHAŁ WÓJCIK

PTAKI DRAPIEŻNE

HISTORIA

LUCJANA „SĘPA” WIŚNIEWSKIEGO,
LIKWIDATORA Z KONTRWYWIADU AK

znak *litera*
nova
Kraków 2016

Rafałowi Domańskiemu

Prolog

Sprawdzać tych, co strzelać potrafią

31 stycznia 1965 roku.

W sali konferencyjnej przy gabinecie komendanta głównego Milicji Obywatelskiej sino od dymu. Trzynastu funkcjonariuszy wysokiej szarży zapełnia petami kryształowe popielnice, bezlitośnie wędząc stojące na parapecie paprotki. Napięcie. Komendant – generał Ryszard Dobieszak – stuka palcami w stół przykryty zielonym sukniem. Niby słucha sprawozdania pułkownika Kozłowskiego, ale tak naprawdę liczy. Liczy tygodnie, dni i godziny.

Od 22 grudnia zeszłego roku minęło tych dni czterdzieści. To dziewięćset sześćdziesiąt godzin. Co najmniej dwie trzecie tego wypełniła ciężka, wytężona praca nie tylko Komendy Stołecznej, ale również Komendy Głównej. Dziesiątki spotkań, setki sprawozdań, tysiące meldunków, dziesiątki tysięcy czynności funkcjonariuszy tajnych i jawnych. I zero efektów.

Tuż przed świętami nieustaleni sprawcy napadli na konwój z utargiem z CDT-u, czyli obecnego „Smyka”, i przed wejściem do banku Pod Orłami przy Jasnej zrabowali prawdziwy majątek: milion trzysta trzydzieści sześć tysięcy pięćset złotych. To przecież – cyfry śmigają teraz znużonemu komendantowi pod na wpół przymkniętymi powiekami – jakieś siedemset pensji. Albo – choć to już nie dotyczy wszystkich – równowartość jedenastu domków jednorodzinnych... Podczas napadu z zimną krwią zastrzelono konwojenta. Sprawcy działali jak zawodowcy: bez wahania, na zimno, spokojnie. Ostrzeliwali się jak chicagowscy gangsterzy albo jak...

Komendant Dobieszak zaczyna liczyć co innego. Ten dawny członek PPR, potem zasłużony działacz PZPR i twórca ZOMO, zaczyna liczyć, ile dni zostało mu do dymisji.

Bo tego, że jego kariera na stanowisku szefa MO dobiega właśnie końca, jest pewien. To jasne jak słońce. Może w ogóle z resortu go wyleją, myśli. Pechowo, na trzy dni przed napadem, ministrem spraw wewnętrznych został Mieczysław Moczar. Głośny partyzant, pierwszy bojowiec Polski Ludowej, człowiek, który za wszelką cenę chce udowodnić Gomułce, że jego nominacja była strzałem w dziesiątkę – musi przecież wykazać się sukcesem. Tymczasem nic, dosłownie nic nie wskazuje na to, że podlegli mu funkcjonariusze zbliżają się choćby do jednego z czterech nieznanymi sprawców głośnego już rabunku. Złodzieje jakby się pod ziemię zapadli. Nikt nie ma pojęcia, kto mógł być tak bezczelny i stanowczy, by w środku Warszawy, wczesnym wieczorem, nie zważając na przechodniów robiących przedświąteczne zakupy, urządzić sobie strzelaninę i wyrwać z rąk rannego konwojenta worek z pieniędzmi ważący osiem kilogramów. Poszukiwanie sprawców największego napadu w historii PRL idzie jak po grudzie: im więcej wiadomo, im więcej przybywa informacji, danych, raportów i meldunków, tym mniej klarowny obraz rysuje się przed kierownictwem resortu.

Generał Dobieszak po raz kolejny strzepuje popiół. Przenosi wzrok na sąsiada. To pułkownik Filipiak. Równie zasłużony towarzysz dwa dni temu dogonił go w hierarchii politycznej: został wiceministrem. Siedzi teraz jakby kij połknął. Pali nysy. Tak jak sprawcy. Przynajmniej tyle ustalili śledczy. Może ślady linii papilarnych odkryte na porzuconym w miejscu napadu niedopałku pasują do palców Filipiaka?

Generał uświadamia sobie, że to zmęczenie podsuwa mu równie absurdalne myśli. Narada, w której uczestniczy, to już kolejna niasiadówka. Są pułkownicy: Józwiak, Marczewski, Bryniarski, Galczewski, Górnicki, Łamacz, Skuteli, Zelwiański oraz podpułkownicy Piskorski i Gwoździk. Porządek obrad: plan działania stołecznej milicji na najbliższą przyszłość. Dyskusja, która trwa już trzecią godzinę, jest niemrawa.

O tym, jak wyglądała odprawa, wiemy ze sprawozdania majora Skórkowskiego. Protokolant zanotował jedenaście punktów, które były zarazem wnioskami i zadaniami na najbliższy czas poszukiwań¹. O tym, jak źle szły te poszukiwania, jak bezsilna była w tym czasie milicja, świadczy punkt siódmy – najwyżsi rangą milicjanci w kraju ustalili, że należy poszukiwać nabywców kurtek ortalionowych w ostatnich dwóch latach. Chyba żaden z nich nie wierzył w powodzenie tego pomysłu. Bardziej realne było sprawdzenie właścicieli wszystkich samochodów marki Warszawa, bo takim

autem złodzieje przyjechali pod bank, a potem jeden z nich uciekł ze zrabowanymi pieniędzmi.

Nie wiemy, któremu ze śledczych zabłysły oczy, gdy okazało się, że pewien posiadacz warszawy – według milicyjnych akt – potrafi posługiwać się bronią. I to dobrze: wielokrotnie strzelał do ludzi. To mógł być klucz do sprawy.

Przyszli, pamiętam. Zawsze we dwóch przychodzili. Wtedy też. Bo to nie był pierwszy raz. Przez długi czas po każdym głośnym włamaniu czy napadzie w Polsce Ludowej odwiedzali mnie ubecy. Pytali, co robiłem w konkretnym dniu. Zaglądali do zakładu, nachodzili żonę, węszyli. No i wtedy też...

Dziwi im się pan?

Tak. Dziwię się.

„Sprawcy napadu na Jasnej – jak stwierdzali milicyjni analitycy z lat sześćdziesiątych – w działaniu są bezwzględni, strzelają bez ostrzeżenia i z zaskoczenia, dążąc do zabicia bezpośrednich świadków, ewentualnie chcąc w ten sposób pozbyć się osoby, z którą nawiązali kontakt dla zdobycia potrzebnych informacji przekazanych im niekoniecznie w sposób świadomy. Przynajmniej jeden z bandytów jest dobrym strzelcem i doskonale zna się na broni”². Po waszych akcjach podczas okupacji pewnie tak charakteryzowali was również gestapowcy.

Może...

No i ten samochód...

Warszawa. Jako pierwszy z kolegów po wojnie miałem samochód. Kupiłem ją pod koniec 1956. Po napadzie na Jasnej ten samochód szczególnie zainteresował milicję. Podobno ci mordercy po napadzie wsiedli do warszawy.

Konkretnie do warszawy M-20. Jej numer rejestracyjny zaczynał się literami TC lub TB, z czwartą cyfrą 1 względnie T. I nie wsiedli, tylko wrzucili na

siedzenie worek ze zrabowanymi pieniędzmi. Jeden odjechał, pozostali uciekli pieszo. Rozdzielili się.

Numer nie mój.

Ta warszawa, ewentualnie pobieda, była starszego typu. Takich już w 1964 roku nie produkowano.

Co oni mogli widzieć? Napad był o zmroku.

Miał pan warszawę starego typu, wysoki też pan specjalnie nie jest, czyli pasował pan do rysopisu jednego z rabusiów. Na którymś z powstańczych zdjęć jest pan w berecie przekrzywionym zawadiacko na bakier. Jeden ze sprawców napadu też miał na głowie beret. Szeregowi milicjanci dostali dokładne wytyczne: „szczegółowo sprawdzić członków kontrrewolucyjnych band i organizacji znanych z dokonania napadów dla zdobycia funduszków na cele organizacyjne. Podobnie zająć się członkami okupacyjnych organizacji obozu londyńskiego specjalizujących się w akcjach mających na celu zdobycie pieniędzy oraz wykonujących wyroki śmierci, ferowane przez sądy podziemne”³.

Postanowili sprawdzać wszystkich, co strzelać potrafią. No i samochód. Pamiętam, kazali mi przyjechać do milicyjnego garażu na Grzybowskiej, niedaleko dzisiejszego Muzeum Powstania. Pamiętam, bo bardzo się wtedy zdenerwowałem – patrzę, a tu milicjant podchodzi do auta ze skrobaczką, taką zrobioną z trójkątnego pilnika. Podchodzi do błotnika i zabiera się z tym pilnikiem do karoserii, chce piłować lakier. Doskoczyłem: „Co robisz, człowieku, po co to? – krzyczę. – Bo my musimy sprawdzić, czy auto nie jest przemalowane”... Auto bandytów było szare.

Świadkowie zapamiętali, że karoseria była szaroniebieskopopielata.

No, a ja miałem inną.

W sumie milicja odnalazła wszystkie dziesięć tysięcy szaroniebieskich warszaw. Tylko jednej się nie udało. Zniknęła.

To nie była moja. Swoją jeździłem jeszcze długie lata.

A jaki miała kolor?

No, a jaki kolor mógł mieć samochód Lucjana Wiśniewskiego?

¹ IPN BU 2386/18621, k. 29; trzystronicowa *Notatka z narady w Grupie Koordynacyjnej w dn. 31 stycznia 1965 roku.*

² IPN BU 1885/1042, k. 8.

³ IPN BU 2386/18622, materiały dot. SOP „P-64”, k. 58.

Rozdział 1

Widziałem, jak upadali

6 stycznia 1940.

Na wydmowe pagórki nazywane Szwedzkimi Górami, na północnych krańcach dzisiejszego Bemowa, podjeżdżają samochody ciężarowe. Góry stanowią pozostałość fortyfikacji z czasów potopu, stąd ich nazwa. Dzisiaj prawie nie ma po nich śladu. Wtedy z rzadka porastały je rachityczne sosny, przecinały piaszczyste jary i doły. W święto Trzech Króli 1940 roku do jednego z takich dołów żołnierze w mundurach feldgrau prowadzą dziewięćdziesięciu ludzi przywiezionych ciężarówkami. Potem rozlegają się strzały. Pojedyncze strzały. Wszystko trwa dość długo.

Kilku skazańców wyrywa się i nieporadnie wbiega na wzniesienia. Potykając się, próbują uciekać w stronę odległych zabudowań. Dosiągają ich kule.

Widzieliśmy to z okien. Widziałem tych ludzi, jak upadali. Mieszkaliśmy w Chomiczówce, widzieliśmy te pagórki. Kilkaset metrów od nas. Małe uciekające postacie. Patrzyłem skamieniały. Byłem wstrząśnięty. Rodzice też. Groza. Miałem piętnaście lat. Niecałe, bo urodziłem się 30 czerwca 1925 roku. I pamiętam tych uciekających ludzi. Pamiętam, jak upadali.

Szczegóły zbrodni na Szwedzkich Górach nie są znane do dziś. Komisja Czerwonego Krzyża w 1947 roku wydobyła z dołów zwłoki dziewięćdziesięciu sześciu osób, ustalono tożsamość zaledwie kilku. Wiadomo, że wśród rozstrzelanych była kobieta. Egzekucja na Szwedzkich Górach była jedną z pierwszych niemieckich zbrodni masowych w Warszawie. Dokonano jej dziesięć dni po rozstrzelaniach w Wawrze.

Płaskie łąki i pola ciągną się po widoczne w oddali kępy drzew. Raciążnica, wyraźna

błękitna kreska na mapie, to w rzeczywistości niewielki rów obrośnięty z obu stron chaszczami. Tylko w porze roztopów lub po ulewnych deszczach zamienia się w strugę zasługującą na określenie „dopływ Wkry” – rzeki malowniczo przecinającej pola północnego Mazowsza. Tutaj, gdzieś pomiędzy Smardzewem a Sochocinem, chłopaki z okolicznych wsi przychodzili łapać kijanki i traszki, latem starsi i najodważniejsi skakali z metalowego prostego mostu nad Wkrą. Lucjan Wiśniewski nie pamięta tego dobrze, nie chodził nad „dużą rzekę”, był za mały, w najwcześniejszych wspomnieniach pozostały tylko pola i ta rzeczulka, Raciążnica, wychodząca z leniwego ukrycia jedynie w chwilach przebudzenia.

Odwagi nigdy mu nie brakowało, więc pewnie za rok, dwa i on skakałby z mostu nad Wkrą. Ale rodzice podjęli decyzję o przeprowadzce.

Bieda. Kilka mórg. Akurat tyle, by ojcu po sprzedaży gospodarstwa pod Płońskiem starczyło na bezpieczny żelazny zapasik i kupno posady dozorczy na warszawskim Nowym Mieście.

Na wsi żyło się bardzo biednie. Rodzice pomyśleli, że przeprowadzka do miasta będzie dla nas szansą. Było wówczas tak, że ludzie ze wsi kupowali sobie dozorcostwo w jakimś domu. Bo to było opłacalne zajęcie. Ojciec spotkał chyba kogoś takiego i postanowił zrobić tak samo. Miałem kilka lat, jak się przeprowadziliśmy do kamienicy przy Freta 16. To ten dom, gdzie w powstaniu zginęło całe dowództwo AL. Ale w czasie wojny my już mieszkaliśmy gdzie indziej.

Był pan małym warszawiakiem z awansu...

Matka nie myślała, że to awans, nie ciągnęło jej, nie chciała zostać panią z miasta, „dziedziczką”, tyle że miastową. Była bardzo religijna, dzisiaj pewnie słuchałaby Radia Maryja, nie wykluczam, choć ja bym jej nie pozwalał. Była patriotycznie wychowana. Prosta, ze wsi, ale dumna. Bardzo dumna.

I szybko pani Wiśniewskiej przestaje się podobać przy Freta. Bo lokatorzy niemili, traktują ludzi ze wsi źle, mają pretensje o wszystko, że grudki śniegu przed bramą, że niedopałek na schodach, że brama zamknięta w nocy. Mały Lucek myśli, że mama tęskni

za wsią, bo życie tutaj zupełnie inne, i dlatego całymi dniami chodzi smutna. Ojciec widzi więcej, czuje, że żona jest u kresu sił, że z każdym tygodniem gorzej się czuje. Sprzedaje więc dozorcostwo i przenosi rodzinę do Milanówka, bo tam mniej miejska atmosfera i można tanio wynająć dom. Lucjan zaczyna chodzić w Milanówku do szkoły, jego starszy brat też.

Ojciec chwycił się jakichś dorywczych prac, raz tu, raz tam, ale miał świadomość, że trzeba się uczyć. Poszedł na kursy obsługi dużych kotłowni, mówił nam – mnie i mojemu bratu – że takich z kominami do nieba. Praktyki miał w Warszawie i został palaczem kotłowym. Po jakimś czasie dostał pracę w Forcie Bema. To były lata trzydzieste. Wtedy przyszło na świat jeszcze dwoje mojego rodzeństwa. A ojciec został kierownikiem tej dużej kotłowni. Przeprowadziliśmy się więc z Milanówka do Chomiczówki, wówczas miejscowości podwarszawskiej. Ojciec za pieniądze, które pozostały mu jeszcze ze sprzedaży ziemi, kupił plac i wybudował skromny drewniany dom, podobny do innych, które najczęściej były własnością pracowników pobliskiej wytwórni amunicji. To byli skromni, ubodzy ludzie, ale z fachem w rękę, i oszczędzając, zbudowali dla siebie te domki przed wojną. Zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej przy ulicy Elbląskiej, niedaleko Powązek. A później... wybuchła wojna. Gdy patrzyliśmy na te egzekucje na Szwedzkich Górach, ojciec był przerażony. Pomyślał, że Niemcy będą tak rozstrzeliwać wszystkich Polaków. Postanowił wywieźć nas na wieś, pojechaliśmy pod Płońsk, tam właśnie, gdzie się urodziłem. „Przeczekaliśmy” parę miesięcy i wiosną czterdziestego roku wróciliśmy do Chomiczówki.

Kiedy zaczęła się konspiracja? Kto i jak pana do niej wciągnął?

Zdecydował przypadek, parę przypadków. Zagmatwana historia. Było nas kilku, pięciu, sześciu chłopaków z Chomiczówki. Obok było Boernerowo – zamożniejsza miejscowość, mieszkali tam pracownicy Poczty Polskiej, z ministrem, generałem Boernerem na czele. Ładne, niewielkie domki, kanalizacja, nowoczesność, tramwaj „dwudziestka”... W porównaniu z Chomiczówką to był lepszy świat, imponujący. Urzędnicy więcej zarabiali, wszystko tam lepiej wyglądało. I kiedyś w domu rodziny generała Boenera

zepsuł się piec. Jeden z moich kolegów, Stach Salach¹, miał ojca zduna. Razem z ojcem jeździł ten piec naprawiać, bo uczył się fachu. A pokój u Boernerów wynajmował pod przybranym nazwiskiem Tadeusz Towarnicki, „Naprawa”², nasz przyszły dowódca! „Naprawa” myślał o partyzantce, już był w podziemiu, od słowa do słowa, powiedział Stachowi, że jeśli ma młodych, odważnych kolegów, to mogą do niego zajrzeć i porozmawiać...

To nie były konspiracyjne metody werbunku...

Czterdziesty pierwszy rok. Jeden ręczył za drugiego, znaliśmy się dobrze, mieliśmy po siedemnaście, osiemnaście lat.

Pan miał szesnaście.

Zawsze musiałem sobie dodawać. A ta partyzantka to miała być próba, szkolenie. Tak się zwiąaliśmy z Towarnickim, który potem współtworzył oddział specjalny. Wtedy jeszcze nosił pseudonim „De Vran”, „Naprawą” został już w 993/W.

Imponował chłopakom z Chomiczówki, prawdziwy oficer...

No pewnie. To był charyzmatyczny człowiek, potrafił zrobić wrażenie.

I tak od zepsutego pieca się zaczęło...

No tak, od pieca.

Czy od tych zamordowanych przez Niemców na Szwedzkich Górach?

Pamiętałem o tym. Chciałem strzelać do Niemców.

Strzelał pan też do Polaków.

To później.

„De Vran” zaprzysięga dwunastu chłopaków, w tym szóstkę z Chomiczówki.

Mniejszymi grupkami – względy konspiracji – stają w szeregu w największym pokoju w domku w Boernerowie. Podniosła atmosfera. Dowódca sięga po spisany na kartce tekst przysięgi, odczytuje tubalnym głosem, trochę się zacina. Patrzy po kolei w twarze chłopców. Mają po dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Lucjan Wiśniewski jest najmłodszy – „naciągane” siedemnaście. „Żaden z nas nie wiedział wtedy co to takiego ta konspiracja” – wspomina.

Tak powstaje „boernerowski” pluton jednostki „Madagaskar”, później znanej jako „Garłuch”.

To pierwsi dowódcy – Tadeusz Towarnicki i Leszek Kowalewski – połączą drogi „Garłucha” i oddziału 993/W. Obydwaj oficerowie, kiedy później dostaną nowe zadanie i „przydział” – „Wapiennik”, 993/W – sięgną po żołnierzy już sprawdzonych właśnie w „Garłuchu”. Niektórzy z nich, w tym Lucjan Wiśniewski, długo będą aktywni w obu jednostkach jednocześnie. Nasz bohater w „Garłuchu” nosił pseudonim „Wierny”, w 993/W – „Sęp”.

Tymczasem jest wiosna 1942 roku. Oddziałek „De Vrana” jedzie pociągiem na południe, w Lasy Zamojskie. Uzbrojenie: jeden długi karabin, kilka pistoletów. Większa ilość broni ma być dostarczona później albo wydobyta ze skrytek, w planach jest oczywiście również dozbrajanie „zdobyczne”. „De Vran” ma już doświadczenie – kilka miesięcy wcześniej przeżył w partyzantce dramatyczne zdarzenie.

Lucjan Wiśniewski jedzie zatem pociągiem do Nałęczowa, później wąskotorówką na południowy wschód – do stacji Rozwadów. Dalej na własnych nogach w lasy, kilkadziesiąt kilometrów, dwa, trzy dni marszu do miejsca, gdzie uczestnicy „pierwszej partyzantki” „De Vrana” zakopali broń.

Co rodzice na to, że pan wyjeżdża?

Matka powiedziała tylko: „Niech cię Bóg prowadzi i przyprowadzi”. Nic więcej. Nie pytała o nic.

Kupiliście bilety, wsiedliście do pociągu i pojechaliście do partyzantki?

Tak to wyglądało. Jak na to patrzę z dzisiejszej perspektywy, to rzeczywiście nie było to rozważne. Oczywiście siedzieliśmy w różnych wagonach. „De Vran” miał

fantazję, bywał brawurowy. Kiedyś jechał chyba tą wąskotorówką z częścią oddziału, nie pamiętam już po co, jechał z kilkoma chłopakami, może po zaopatrzenie albo na rozeznanie... Byli z nim w przedziale bracia Kubryniowie – moi koledzy z Chomiczówki, rok albo dwa lata starsi, Michał i Roman – „Czarny” i „Rudy”. „De Vran” miał swoją elegancką walizeczkę, taką przyzwoitą. Schował w niej pistolet i położył ją na półkę. A tu w pociągu kontrola: trzech żandarmów. Dwaj zaczynają chodzić po przedziałach. Jeden z nich widzi na półce, wśród jakichś bambetli miejscowej ludności, tę walizkę Towarnickiego, taką pierwszorzędną. Żąda: „otworzyć!”. No i znajduje pistolet. Zaczyna krzyczeć: „Czyje to?”. Ktoś wskazał „De Vrana”. No i wtedy Michał Kubryń wyjął pistolet z kieszeni i zastrzelił tego żandarma. Drugiego, który stał na peronie, zastrzelił przez okno. Trzeci przybiegł do przedziału i też dostał kulę. „De Vran” i Kubryniowie uciekli z pociągu. Potem, jak wrócili do lasu, do zaimprovizowanego obozowiska, opowiadali o tej „przygodzie”. To było w stylu całej trójki. Odwaga. I ułańska brawura. W sumie ta nasza partyzantka trwała krótko, kilka tygodni.

I co w partyzantce robiliście?

Przemieszczaliśmy się nocami. To wciąż był mały oddział, widziałem, że dowódcy są zawiedzeni, że nie ma tłumu ochotników z okolicznych wiosek. Chyba tylko jeden chłopak do nas dołączył. Poruszaliśmy się w okolicach Rozwadowa. Ważne były dla nas duże majątki ziemskie – ci ludzie z majątków, ziemianie, właściciele folwarków, „przekazywali nas sobie z rąk do rąk”, zawiadamiali kolejnych, że przyjdzie szesnastu ludzi na obiad... Zapamiętałem ich jako prawych ludzi. Dobrze wspominał ten czas, choć prawie wcale nie strzelaliśmy. Ale wszędzie spotykaliśmy się z życzliwym przyjęciem, w każdej wsi. A w dzień w lesie pełno zwierząt – sarny podchodziły do obozu prawie na wyciągnięcie ręki, w nocy miejscowi uderzali w takie kotły żelazne, żeby płoszyć dziki ryjące po zagonach, rozchodził się ten dźwięk, nigdy później tego nie słyszałem. Wtedy tak na poważnie zaprzyjaźniłem się z „Gilem”, „Puchaczem”, „Kobuzem”, czyli z chłopakami z późniejszego oddziału 993/W, z naszego

patrolu „Ptaków”. Wszyscy mieliśmy jakieś romantyczne marzenia o walce. Tylko broni nie mieliśmy jeszcze. Niszczyliśmy więc słupy telegraficzne, odbieraliśmy sołtysom listy osób przeznaczonych do wywózki. Myślę, że dla ludzi ze wsi robiliśmy dobre rzeczy. Odbieraliśmy jeszcze III Rzeszy kradzione krowy.

Krowy?

Niemcy rekwirowali żywność chłopom, zabierali krowy. Chodził taki zespół: Niemiec i trzech, czterech własowców. Wchodzili do wsi i mówili, najczęściej sołtysowi, że tyle i tyle krów mają zaraz przyprowadzić miejscowi. Oceniali to po wielkości wsi i zamożności gospodarstw. Zatrzymywaliśmy te grupki z krowami, rozbieraliśmy, krowy pędziliśmy z powrotem do wsi.

Strzelaliście do tych konwojentów?

Skąd! „De Vran” nie chciał, żeby Niemcy przeprowadzali represje odwetowe wobec ludności. Więc po prostu ich przepędzaliśmy. Najczęściej taki niemiecki żołnierz od razu się poddawał, uciekał, zależało mu na życiu, a ci Rosjanie często w ogóle broni nie mieli. Nie, nie strzelaliśmy do nich. Kopniak i tyle. W ciągu paru tygodni trafił się tylko jeden taki własowiec, co powiedział, że zginie, ale broni po dobroci nie odda. I się spełniło. Pewnego razu było z osiemdziesiąt sztuk bydła. Oddaliśmy. Potem jeszcze raz, i kolejny. Z czasem chłopci traktowali nas jak swoich: karmili, ochraniali, przekazywali sobie od wsi do wsi. Jak się wycofywaliśmy, to ze łzami w oczach nas żegnali. „Kiedy wrócicie?” – pytali. No i mieliśmy już karabiny. Prawdziwą broń! Dla nas, chłopców, to było wielkie przeżycie. No, taka to była partyzantka. Z krowami.

Rozczarowanie?

Tak. Myśleliśmy, że zostaniemy nie wiadomo jakimi bohaterami w walce... Ale największy zawód był wtedy, jak nas odwołali do Warszawy. Przyjechał łącznik i kazał „De Vranowi” z nami wracać. Za wcześnie było jeszcze na taką prawdziwą leśną partyzantkę.

Podchorąży Tadeusz Towarnicki po powrocie do Warszawy usłyszał, że cała wyprawa w lubelskie lasy była jego samowolką, a „partyzantka” z punktu widzenia władz konspiracyjnych miała charakter nielegalny. Szczegóły pozostają niejasne. To fakt, że „De Vran” musiał się tłumaczyć z działań prowadzonych bez akceptacji dowództwa, a wśród jego podwładnych, we wspomnieniach i powojennych sprawozdaniach do leśnego epizodu przyłgnęło określenie „prywatna partyzantka »Naprawy«”. Sprawa trafiła nawet do Wojskowego Sądu Specjalnego. Działania oddziału zakwalifikowano jako „bandytyzm”.

Jak pisze Juliusz Kulesza, „wzięto [jednak] pod uwagę uczciwe i patriotyczne intencje oskarżonego, co wsparte poręczeniem poważnej osoby z kręgu sądownictwa, znającej Towarnickiego, spowodowało zdjęcie sprawy z wokandy”³. Po tym sądowym epizodzie Tadeusz Towarnicki zmienił pseudonim „De Vran” na znaczący – „Naprawa”. Ale walka z uzależnieniem od adrenaliny i bezwzględną niechęcią do choćby chwilowego siedzenia z założonymi rękami nie przychodzi mu łatwo⁴.

Afryka, Azja, Ameryka Południowa, największe porty, wielotygodniowe rejsy... **Tadeusz Józef Towarnicki**, absolwent Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni (wcześniej w Tczewie), opłynął dużą część świata. Z maturą z 1929 roku w kieszeni wstąpił na Wydział Mechaniczny tej samej szkoły, odbył kursy i pracował na statkach floty handlowej. Później studiował we Lwowie – w 1932 roku wstąpił do Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego, w której po kilku latach uzyskał dyplom.

Pochodził ze zubożałej arystokracji, jego ojciec – Józef herbu Sas – z właściciela ziemskiego przekwalifikował się na szefa firmy produkującej syfony do wody gazowanej. Firma jednak zbankrutowała i syn wierzącego w nowinki techniczne inwestora musiał łączyć studia z pracą: Tadeusz Towarnicki był księgowym, potem nauczycielem w Męskiej Szkole Rzemiosł w Zawichoście. W 1939 roku zatrudnił się jako urzędnik w fabryce wyrobów gumowych w Sanoku. Tam zastała go letnia mobilizacja – był kapralem podchorążym, absolwentem Szkoły Podchorążych w Rawie Ruskiej, w 1931 roku zwolnionym ze służby wojskowej ze względu na wadę serca, dzięki czemu mógł pójść na studia. We wrześniu

walczył nad Bzurą, potem w obronie Warszawy.

Kontakty z przedwojennymi kolegami oficerami oznaczały przystąpienie do konspiracji już jesienią 1939 (Organizacja „Orzeł Biały” w 1940 roku podporządkowana ZWZ). Pod przybranymi nazwiskami (Gałęzowski, Mączyński) pracuje jako księgowy w niewielkiej firmie budowlanej. Mieszka najpierw w Śródmieściu i na Żoliborzu, potem przeprowadza się do wynajmowanego pokoju w Boernerowie, w niewielkim domu, w którym zepsuł się piec i trzeba było wezwać zduna – ojca Staszka, późniejszego „Kobuza” z patrolu „Ptaków”.

Czym się pan zajmował po powrocie z partyzantki?

Żyłem. W domu, z rodzicami. Miałem dokąd wrócić. Matka miała jeszcze sińce od pobicia przez żandarma, który ją napadł przy przekraczaniu rzeki Narew, kiedy szmuglowała żywność z Sarbiewa. Opowiedziała mi całe zdarzenie. Byłem wściekły. Źle się wtedy rodzicom żyło. Ojciec był bezrobotny, bo zwolnili ludzi z Fortu Bema. Zaopatrzenie w żywność gwarantował szmugiel, po prostu chłopci na furmankach przywozili żywność ze wsi do miejscowości pod Warszawą i tu można było się zaopatrzyć w to, co kto chciał. Oczywiście za opłatą. Matka prowadziła gospodarstwo, umawiała się z dostawcami, miała kobiety, które z okolicy: z Łomianek, z Dziekanowa, z okolic Kampinosu, przywoziły żywność. Ale i z tym bywał problem, nawet jak się miało trochę pieniędzy. I moja pierwsza akcja była związana właśnie z tym – z dostawami jedzenia! Gdy wróciłem, matka wzięła mnie na poważną rozmowę i powiedziała, że ma duży kłopot, bo to zaopatrzenie zostało sparaliżowane. Chłopi przestali przyjeżdżać – Niemcy poustawiali wachy na drodze i wszystko rekwirują, a wśród nich są jeszcze polscy policjanci, którzy nadgorliwie zabierają ludziom żywność. Pomyślałem, że skoro ratowaliśmy chłopskie bydło, to tu, w Chomiczówce, zrobimy podobnie – możemy pomóc. W Boernerowie znałem policjanta, porządny człowiek – Łubiński. Powiedziałem mu: „Zabierają żywność. No to jak tu żyć?”. I Łubiński zajął się tym, poznał mnie z Okuniem z komisariatu we Włochach. Komendantem tam był Andrzej Łukasik. I oni się zdziwili! „Jak to? My nic nie wiemy, że

granatowa policja na tym terenie zabiera żywność”... Łubiński i Okuń poszli na tę wachę. Okazało się, że policjant, który rekwirował, jest z Dziekanowa. Ale zdaniem Łubińskiego zachowywał się dziwnie – mówił mało, wyglądał na cywila, nie używał policyjnego żargonu... Wyczuli, że działa na własną rękę. Ten policjant okazał się przebierańcem. Między Łomiankami a Modlinem były dwie miejscowości o nazwie Dziekanów. Przed wojną żyli tam Polacy i Niemcy. Jak się zaczęła okupacja, to w niemieckiej osadzie ujawnili się volksdeutsche. Rabowali ludność, żyli na cudzy koszt... Okuń ustalił, że główny organizator „prywatnej” akcji rekwirowania żywności nazywa się Mońko albo Mańko. Człowiek z Dziekanowa. To on tych przebranych policjantów wystawiał na wachy. Wylegitymowali go, dali mi ten adres. Pojechałem, zobaczyłem, gdzie mieszka, zrobiłem takie rozeznanie i zwróciłem się do dowódcy II kompanii z Boernerowa Henryka Malca, „Bogumiła”. On, z tego co wiem, porozmawiał z dowódcą batalionu „Zawiszą”, a dopiero ten uzgodnił sprawę z dowódcą pułku „Garłuch” – Stanisławem Babiarem, „Wysockim”. Nie wiem, jakie były dalsze procedury, ale przyszło polecenie: zastrzelić Mańkę czy Mońkę. I mnie to zlecili! „Wiernemu”! A ja byłem zielony. Rok 1942, pod jesień. W obstawie wykorzystałem Szadokierskiego, „Puchacza”, Salacha, „Kobuza” i Władysława Kłodzińskiego. To był młody chłopak, piętnaście albo szesnaście lat. Rwał się do strzelania. Miałem potem przez to kłopot. No i dostał tę robotę. Zleciłem mu ją.

Piętnastolatkowi?!

Był wyrośnięty, wyglądał na starszego ode mnie, siedemnastolatka. Rwał się. Wzięliśmy rowery, pojechaliśmy do Dziekanowa. Władzio to zrobił, zastrzelił człowieka. Więcej już nikt nie zabierał u nas żywności, gdzie indziej rekwirowali, u nas nie. To była moja pierwsza akcja, wydawałem polecenia. Strzelał Władzio.

A późniejsze kłopoty z nim? O co chodziło?

Był narwany. Dowiedział się, że jestem w kontrwywiadzie, i strasznie naciskał. Domagał się, żeby go wprowadzić. Porozmawiałem z „Naprawą”, ale odradzał. Chłopak był za młody. Nie dawałem mu już poleceń. Władzio walczył potem

w powstaniu. Ale zachował do mnie zadrę, że go nie wspierałem. Chociaż święstwa nie zrobił. To był syn oficera, który siedział w obozie jenieckim. Obrął sobie ładny pseudonim.

Jaki?

„Rymwid”.

Litewski rycerz z romantycznej opowieści. To, co robiliście, takiego charakteru raczej nie miało.

Raczej nie.

Już w połowie 1941 roku dowództwo kontrwywiadu AK, kierowanego przez „Oskara”, Bernarda Zakrzewskiego⁵, postanowiło utworzyć oddział dyspozycyjny mający za zadanie likwidację konfidentów i zdrajców zagrażających osobom zaangażowanym w działalność konspiracyjną oraz organizowanie uderzeń prewencyjnych przeciwko Niemcom⁶. Na dowódcę należało znaleźć kogoś o wyjątkowych cechach. To, że miał być odważny, pomysłowy, bezwzględny i inteligentny, to oczywiste. Musiał zorganizować oddział, więc powinien mieć również cechy przywódcze, co w takiej „branży” jak „likwidacja” wymagało twardego charakteru. I wybór padł na porucznika „Twardego”. Leszek Kowalewski znany był już z przeprowadzenia precyzyjnie obmyślanej i wykonanej akcji na Igo Syma. Aktor zginął 7 marca 1941 roku. Podczas wykonywania wyroku interweniował jego brat, który przypadkowo znalazł się tamtego poranka w mieszkaniu. „Twardy” i Roman Rozmiłowski, „Srebrny”, mimo dramatyzmu sytuacji oszczędzili brata Syma. Bez wątpienia wymagało to opanowania i umiejętności zachowania zimnej krwi⁷.

Leszek Kowalewski, „Twardy”, „Tomasz”, urodził się w 1910 roku we Włocławku; ojciec był urzędnikiem, matka nauczycielką. Absolwent szkoły kolejowej ze specjalnością technik drogowo-budowlany, w latach trzydziestych pracował w Gdyni przy budowie linii kolejowej. Później był urzędnikiem we Włocławku i w Warszawie – w Gazowni Miejskiej. Przed wojną otrzymał

nominację na oficera służby czynnej (na początku lat trzydziestych skończył roczny kurs podchorążych). We wrześniu 1939 służył w kompanii artylerii ciężkiej. Dostał się do niewoli pod Kutnem. Gdy tylko znalazł się w transporcie do obozu jenieckiego, wymyślił plan ucieczki i namówił do niej całą grupę oficerów. W czasie postoju pociągu na stacji Żychlin obezwładnił konwojenta i w jego mundurze wyprowadził jeńców w dwuszeregu na peron. Następnie, gdy transport ruszył, kazał im maszerować przed siebie. W pobliskim lesie oficerowie prosili go, by ich nie zostawiał, tylko pomógł przedostać się do Warszawy. Z ZWZ nawiązał kontakt dość szybko – na początku 1940 roku. Wprowadzającym był znany mu oficer – Edward Kowalewski, używający pseudonimu „Edmund Koneczny”. To właśnie „Koneczny” zlecił mu zorganizowanie grupy partyzanckiej w sile około trzydziestu osób. Oddział był gotowy w maju i czekał na dalsze rozkazy w jednej z lubelskich wsi. I wtedy nastąpiły wydarzenia, które z pewnością wiele znaczyły w życiu przyszłych likwidatorów: „Koneczny” okazał się agentem Gestapo. Po dojechaniu na miejsce i kilkugodzinnym oczekiwaniu na broń oddział został otoczony i po krótkiej brutalnej akcji zlikwidowany. „Twardemu” i „De Vranowi” udało się ukryć pod słomą w kopcu z ziemniakami.

Gdy „Twardy” otrzymał zadanie stworzenia oddziału likwidacyjnego, na swego zastępcę wybrał przyjaciela – Tadeusza Towarnickiego. Ten właśnie wrócił z drugiej, „prywatnej” partyzantki, miał opinię nieobliczalnego zagończyka i w kręgach dowódczych podziemia był na cenzurowanym. Przydział lub – jak byśmy powiedzieli dzisiaj – angaż spadł mu z nieba.

Przez kilka miesięcy oddział składał się właściwie tylko z dowódcy i zastępcy. O ich akcjach krążyły trudne do zweryfikowania legendy zarówno wśród żołnierzy podziemia, jak i po wojnie, bo ani Kowalewski, ani Towarnicki nie przeżyli okupacji. Jednym z pierwszych wyroków wykonanych przez ten duet było zastrzelenie Edwarda Metzgera, którego podejrzewano o współpracę z NKWD we Lwowie, a który mógł przyczynić się do aresztowania generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Metzger po ataku Niemiec na ZSRR przybył wraz ze swoim współpracownikiem Edwardem Gołą do

Warszawy i według wywiadu podziemia pod pseudonimem „Hassling-Ketling” podjął współpracę z Gestapo. Ciężył już na nim wyrok. Juliusz Kulesza tak pisze o jego wykonaniu:

„Gdy [»Naprawa«, »Twardy« i Metzger – zwabiony na spotkanie »w interesach«] szli ul. Wspólną, przed skrzyżowaniem z Kruczą »Naprawa« strzela z bliska do Metzgera, ten jednak nie pada, chwając się jedynie na nogach.

Strzały zwabiły nadbiegający patrol Schupo, więc »Twardy« i »Naprawa«, udając pijanych, wzięli ciasno pomiędzy siebie słabnącego Metzgera i mocno trzymając pod rękę słaniającą się postać rzekomego pijaka, ruszyli ku Niemcom. Ci bezskutecznie usiłowali dowiedzieć się od »zamroczonych« – skąd dochodziły strzały?, gdyż Polakom bezbłędnie udało się odegrać rolę nietrzeźwych, co ułatwiał zapach alkoholu, po kilku wypitych w »Marsie« [gdzie doszło do spotkania z Metzgerem] kieliszkach.

Po odejściu patrolu zawlekli zwłoki do najbliższej sieni i zostawili pod opieką dozorczyń, sami oddalwszy się pod pretekstem szukania dorożki”⁸.

Duet balansujących na granicy nonszalancji i brawury trzydziestolatków „zwerbuję” do akcji likwidacyjnych w nowym oddziale sprawdzonych w lasach Lubelszczyzny młodych żołnierzy: Lucjana Wiśniewskiego i jego kolegów z Chomiczówki.

To było przy Elektoralnej, „Naprawa” zrobił nam tam skrzynkę kontaktową, pod oknem w komórce dozorca trzymał broń. Tam nas uczył, jak się obchodzić z pistoletami, rewolwerami. I tam też „Twardy” powiedział nam, że będziemy musieli strzelać z bliska do ludzi. Żebyśmy się zastanowili.

I długo się pan zastanawiał?

Długo. Kilka tygodni. Rodzicom nic nie mówiłem, żeby ich nie denerwować. Matka by to przeżywała – powiedzmy – na gruncie wiary katolickiej. Mogła mieć problemy z tym, że odbieram życie. Chociaż przypuszczam, że między sobą rozmawiali; ojciec wpływał na matkę i pewnie ją uspokajał, ucinając dyskusje.

Inni z oddziału też mieli rozterki na początku?

Myślę, że każdy miał. I nikt tego po sobie nie pokazywał.

Oddział 993/W (W – „Wykonanie”, na początku kryptonim „Wapiennik”) był komórką wykonawczą. Jak piszą Władysław Bułhak i Andrzej Krzysztof Kunert w pracy o kontrwywiadzie Komendy Głównej Armii Krajowej, „doborowym, dyspozycyjnym oddziałem bojowym, przeznaczonym do wykonywania wszelkich akcji zbrojnych związanych z ochroną kontrwywiadowczą Komendy Głównej, w tym przede wszystkim akcji wyrokowych [...] na agentach Gestapo”⁹. Zwierzchnikiem 993/W był zastępca szefa kontrwywiadu KG – Stefan Ryś, „Fischer”. Organizatorem i pierwszym dowódcą został por. Leszek Kowalewski, „Twardy”, a jego zastępcą ppor. Tadeusz Towarnicki, „De Vran”/ „Naprawa”. Oddział powstał późną jesienią 1941 roku i do lipca 1944 wykonał kilkadziesiąt akcji. Jesienią 1942 Towarnicki wprowadził do oddziału pięciu pierwszych żołnierzy: Ryszarda Duplickiego, ps. „Gil”, Lucjana Wiśniewskiego, ps. „Sęp”, Zygmunta Szadokierskiego, ps. „Puchacz”, Stanisława Salacha, ps. „Kobuz”, i Jerzego Pajdzińskiego, ps. „Jur I”.

Ta piątka, zwana od pseudonimów „Ptakami”, utworzyła pierwszy patrol II plutonu. W listopadzie 1942 roku do oddziału dołączyli czterej bracia Bąkowie: Bolesław, ps. „Szlak”, Hipolit, ps. „Sosna”, Leon, ps. „Doktur”, i Stanisław, ps. „Burza”.

Po aresztowaniu i straceniu pierwszego dowódcy – Leszka Kowalewskiego, dowódcą został Stefan Matuszczyk, ps. „Porawa” (dotychczasowy szef 214. plutonu z Obwodu Żoliborz Okręgu Warszawa AK).

W 1944 roku oddział liczył już prawie 120 żołnierzy, a przez jego szeregi przewinęło się ogółem około 250 ludzi. W powstaniu warszawskim kompania 993/W – po pierwszym dniu przemianowana na „Zemstę” – walczyła w składzie batalionu „Pięść”, dowodzonego przez mjr. Alfonsa Kotowskiego, „Okonia”, na terenie cmentarzy przy ul. Okopowej na Woli, na Muranowie, a potem na Starówce. Żołnierze „Zemsty” byli też na Czerniakowie i w Kampinosie.

¹ Stanisław Salach, „Zdunek”, „Kobuz”, 1922–1944(1945?), starszy strzelec, w 1944 roku walczył na Woli i Starym Mieście. Po powstaniu trafił do obozu w Buchenwaldzie, gdzie zginął.

² Tadeusz Towarnicki, „De Vran”, „Naprawa” – por. ramka na s. 21.

³ Robert Bielecki, Juliusz Kulesza, *Przeciw konfidentom i czołgom*, Warszawa 1996, s. 25.

⁴ „Naprawa” był „sądzony” po tym, jak w celu poprawy warunków bytowych swoich ludzi przeprowadził z nimi samodzielną akcję – „napad” na jeden ze sklepów Meinla (sklepy „Tylko dla Niemców”). Sprawa została odłożona do rozpatrzenia „po wojnie” ze względu na zasługi Towarnickiego. Wspominają o tym Leszek Gondek w książce *Polska karząca 1939–1945*, Warszawa 1988, s. 87 oraz Jacek Wilamowski (*Honor, zdrada, kaźń. Afery Polski Podziemnej 1939–45*, Warszawa 2009), który właśnie w napadzie rabunkowym na sklep, a nie w „prywatnej partyzantce” upatruje głównej przyczyny kłopotów Towarnickiego z podziemnym wymiarem sprawiedliwości.

⁵ Bernard Zakrzewski, „Hipolit”, „Oskar”, 1907–1983, prawnik, od listopada 1939 w ZWZ, od 1941 roku szef Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG ZWZ-AK, walczył w powstaniu. Po wojnie aresztowany, dwukrotnie w więzieniu – w 1946 i w latach 1949–1956.

⁶ Oddział Specjalny (likwidacyjno-ochronny) Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II (informacyjno-wywiadowczego) Komendy Głównej ZWZ-AK – kryptonim „Wapiennik”, później 993/W.

⁷ Tomasz Strzembosz (*Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983, s. 120) podaje inny skład grupy likwidacyjnej. Jego zdaniem Syma zastrzelił zespół bojowy kontrwywiadu Okręgu Warszawa-Miasto ZWZ-Zakład Oczyszczania Miasta dowodzony przez ppor. „Szarego”, Bogdana Rogolińskiego, w składzie: Rogoliński, Rozmiłowski i ubezpieczający Wiktor Klimaszewski („Mały”).

⁸ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 28–29; zasadność wyroku na E. Metzgera i E. Gołę bywa kwestionowana. Za tragiczną pomyłkę uznaje go m.in. Paweł M. Lisiewicz w publikacji *W imieniu Polski Podziemnej*, Warszawa 1988.

⁹ Władysław Bułhak, Andrzej Krzysztof Kunert, *Kontrwywiad podziemnej Warszawy, zadania i obsada personalna kontrwywiadu Komendy Głównej, Obszaru Warszawa i Okręgu Warszawa ZWZ-AK w latach 1939–1944*, w: W. Bułhak [red.], *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, IPN, Warszawa 2008, s. 274.

Rozdział 2

I wtedy to zrobiłem

Pistolet zawiódł po jednym strzale. Pokraczny był, kaliber 7,65, niklowany, psuł się często. Webley Scott. Potem dopiero dostaliśmy pistolety oksydowane, takie wojskowe, prawdziwe, nawet visy.

Pierwszy raz z bliska strzelał pan do człowieka i pamięta pan przede wszystkim to, że przy drugim strzale zaciął się panu pistolet...

Żadnej euforii, żadnej przyjemności i żadnych rozterek. Rozkaz, spełnienie obowiązku. Nerwy i napięcie. Żadnego lubowania się w tym nie było. Chciałem mieć to jak najszybciej za sobą, pewnie dlatego zapamiętałem przede wszystkim ten pistolet.

Krótką lufą, niemal śmieszna, garbata muszka, daleko wystająca cienka osłona spustu, długa rękojeść, z firmowym rombem pośrodku – to sprawiało, że pistolet miał dziwne „pionowe” proporcje, przez co łatwo wypadał zza paska i trudno chowało się go w zaciśniętej dłoni do kieszeni płaszczka.

Nie lubili żołnierze tych pistoletów.

Ale to, że webleye się zacinały, nie musiało być związane z ich wadami konstrukcyjnymi – to nie musiała być wina inżynierów z Birmingham, choć pierwsze modele, skonstruowane na przełomie XIX i XX wieku, rzeczywiście nie wyglądały solidnie. Winne były zużyte sprężynki. Kawalki drutu po latach traciły właściwości i – zastępowane przez rusznikarzy podziemia słabszymi zamiennikami – za słabo pchały naboje do komory. W części pistoletów wymieniano nie tylko sprężyny, ale całe magazynki, dorabiane w warsztacie ojca jednego z żołnierzy 993/W – „Klawisza”¹, na

rusznikarstwo przerzucił się również zdun, ojciec „Kobuza”.

„Sęp” nie pamięta, czy pistolet, jaki trzymał za paskiem tamtego dnia, miał oryginalny magazynek, czy taki sztukowany. Pamięta za to duży ruch przed Dworcem Głównym i to, że pociąg przyjechał spóźniony. Kilkanaście minut.

Wiosna 1943 roku. Pochmurny dzień. Przedpołudnie.

„Naprawa”, który kieruje akcją, stoi z „” naprzeciw głównego wejścia na dworzec. Obaj wpatrują się w drzwi, szerokie, wieloskrzydłowe, znajdujące się pod napisem „Warschau Hauptbahnhof Warszawa Główna”, wlepionym w kratkowaną elewację olbrzymiego budynku. Z półmroku wnęki wejściowej mają za chwilę wybiec „Gil” i „Sęp”, za chwilę, czyli wtedy, gdy tylko zobaczą „kobietę w wieku lat około trzydziestu, brunetkę o lekko wschodnich rysach”. Godzinę wcześniej długo przyglądali się jej niewyraźnemu zdjęciu: elegancki kostium, finezyjny kapelusz, lekko skośne oczy. „Naprawa” powiedział, że kobieta przyjedzie pociągiem z Bydgoszczy. I że w Warszawie nie może dotrzeć tam, dokąd zamierza – do mieszkania przy Tamce.

Ubezpiecza „Kobuz”: gdyby kobieta wyszła z hali niezauważona przez stojącą wewnątrz dwójkę, ma ściągnąć „Gila” i „Sępa”; potem cała piątka ma za nią ruszyć.

W hali tłum i ruch jeszcze większy niż przed dworcem.

Pełno ludzi, żołnierze, cywile, aż dziwne, taki ruchliwy dzień. Pierwszy wypatrzył kobietę „Naprawa”. Przypadek zdecydował, że wyszła akurat na niego, czyli na tego, który miał przy sobie jej zdjęcie i najlepiej wiedział, jak wygląda. Była z jakimś mężczyzną. Szli pod rękę w stronę przystanku tramwajowego. „Naprawa”, „Puchacz” i „Kobuz” ruszyli za nią. Dopiero na przystanku na Marszałkowskiej przypomnieli sobie, że przecież ja z „Gilem” czekamy w środku hali!

„Naprawa” ze złością przypomina „Kobuzowi”, że miał zawiadomić pozostałą dwójkę. „Kobuz” biegiem wraca, po czym z „Gilem” i „Sępem” gnają z dworca do odjeżdżającego już tramwaju. W czasie biegu „Gilowi” wypada pistolet. W środku miasta, niemal na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej z brzękiem upada na torowisko. Cała trójka rozgląda się nerwowo. „Sęp” podnosi broń „Gila”.

Wiele osób musiało widzieć tę scenę. Szczęśliwy przypadek, że nikt nie wszczął alarmu. Dopadliśmy tramwaju i wskoczyliśmy.

Jeden, dwa przystanki w stronę Pragi. W tramwaju robi się luźniej. Dyskretnie znowu podają sobie z rąk do rąk zdjęcie. Patrzą na kobietę siedzącą kilka metrów przed nimi. Inne ubranie, ale to ona. Jeżeli wysiądzie na moście Poniatowskiego i pójdzie w stronę Tamki – będą pewni. Czeka ją.

Wysiadła. Wraz z towarzyszącym jej mężczyzną schodzi z mostu na Solec.

Nie, nie wiedzieliśmy, kto to jest. Nie liczone się wówczas z nami na tyle, by tłumaczyć, kto, co i dlaczego. Nie. Był cel, był dowódca i koniec. Cała machina była tak skonstruowana, że mieliśmy po prostu ufać szefom i nie wnikać. Do dzisiaj nie wiem, kim ona była. Niczego na jej temat nie znalazłem.

Szukał pan?

Nie.

Pierwsza dwójka – „Naprawa” i „Puchacz” – idzie paręnaście metrów za śledzonymi. Dalej „Gil” i „Sęp”, po drugiej stronie ulicy „Kobuz”. Co najmniej kilka razy nadarza się dobra okazja, bez przechodniów, przy rogu przecznicy. Ale idą dalej. Potem mały skwer, pod drzewami też byłoby dobrze, myśli „Sęp”. Ale nikt nie kwapi się do strzelania do kobiety trzymającej pod rękę mężczyznę; wydają się sobie bliscy, może to zbija z tropu, niepokoi – przecież na mężczyznę wyroku nie ma – tak to dzisiaj pamięta nasz rozmówca. Ten obraz kłóci się z wcześniejszymi sprawozdaniami: Juliusz Kulesza przytacza relacje, według których mieszkający na Ochocie mężczyzna znany podziemiu również miał być zlikwidowany².

No i do kobiety strzelać? Nie podobało mi się.

Róg Solca i Dobrej, rozwidlenie, wszystko wygląda tak jak dzisiaj. Para wchodzi w Dobrą i pokonawszy kilkanaście metrów, zagląda do położonej w piwnicy pralni...

Idealne miejsce. „Naprawa” uznał, że z „Puchaczem” będą strzelać w kantorze

pralni. Ale przegapili czas – dwójka wyszła z sutereny, wróciła do rozwidlenia i Solcem ruszyła w stronę Tamki. W tym czasie zdążyłem dojść do „Naprawy”. Popatrzył na mnie i mówi: „Zrób to”. Znowu szliśmy za nimi.

Nie zorientowali się?

Nie.

Na rogu Tamki i Solca stał wózek ze słodyczami – stragan. Przy nim kilka osób, a na Tamce spory ruch. Gdyby kobieta poszła dalej, wykonanie wyroku stawałoby się coraz bardziej ryzykowne. „Naprawa” zdaje sobie z tego sprawę. Wymownie patrzy na „Sępa”.

Podszedłem do nich szybkim krokiem i wtedy to zrobiłem. Drugi raz już nie mogłem, webley się zaciął. Jeden strzał. W głowę. Mężczyzna rzucił się na mnie, chwycił mnie za ramię, za rękę, w której trzymałem pistolet. Był silniejszy, kawał chłopa. Pociągnął mnie w dół, unieruchomił. Ale wtedy „Kobuz” oprzytomniał. I strzelił do niego. Mężczyzna upadł.

W maszynopisie pańskich wspomnień, tych przechowywanych w BUW-ie, znaleźliśmy zdanie: „Pozostali też sobie ulżyli, tak że huk było dość dużo. »Naprawa« zrewidował gościa, ale broni jednak nie znalazł”. Jak to „ulżyli sobie...”?

Chodziło mi o to, że rozładowali to wielkie napięcie, z jakim szliśmy za nimi aż na Powiśle. Potem dowiedzieliśmy się, że mimo dziesięciu kul mężczyzna przeżył i dopiero w szpitalu zmarł. Dzisiaj wydaje mi się, że mógł być jedynie osobiście związany z tą kobietą. Chyba. Ale bronił jej. Nie było wyjścia.

Pierwszy wykonany przez pana wyrok. Podszedł pan do tej kobiety i patrząc jej w oczy, strzelił?

Byłem „wyrwany do tablicy”, nie ja miałem strzelać. „Naprawa” zdecydował w ostatniej chwili. Wcześniej nie myślałem o tym, bo to pierwsza dwójka miała strzelać. Nie patrzyłem jej w oczy.

Nie chciał pan spojrzeć jej w twarz.

Nie mogłem. Strzeliłem z tyłu.

W tył głowy?

Tak. Myślę, że dobrze, że podczas całej tej drogi nie myślałem, że to ja będę strzelał.

Jeden strzał. Śmiertelny?

Tak. Potem pistolet się zaciął.

¹ O pracy podziemnych warsztatów rusznikarskich, w tym tego, który należał do ojca „Klawisza”, wspomina Stefan Matuszczyk, „Porawa”, zob. rozdz. *Daj nam, Boże, broń*.

Włodzimierz Biezan, „Klawisz”, 1918–1998, sierżant podchorąży. W konspiracji najpierw w Szarych Szeregach, potem w 993/W. Wirtuoz akordeonu, stąd pseudonim, po wojnie ikona dla wszystkich uczących się gry na tym instrumencie, nagrywał płyty, miał własny zespół. Skomponował m.in. walc *Dziewczęta z 993/W*. W czasie okupacji akordeon bywał mu bardzo przydatny. „Klawisz” nie dość, że mówił po ukraińsku, ale grając, potrafił się wkupić w łaski uwielbiających ten instrument Ukraińców, co pomogło przy próbie likwidacji Mychajły Pohotowki, szefa Komitetu Ukraińskiego w Warszawie.

² R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 79.

Rozdział 3

Wszystko było źle w tej sprawie

28 listopada w powojennym kalendarzu liturgicznym komunistów był dniem szczególnym, świątecznym. Ale było to raczej smutne święto: tego dnia w 1942 roku wczesnym wieczorem na jednej z ulic robotniczej Woli ktoś zastrzelił Marcelego Nowotkę, pierwszego sekretarza KC PPR.

Mimo że sześćdziesiąt lat później gruchnęła wieść o tym, jakoby zrobili to AK-owcy z Kierownictwa Dywersji, sprawa jest raczej jasna: Nowotko padł ofiarą wewnętrznych porachunków, a mordercą był zapewne Bolesław Mołojec, szef komunistycznej organizacji partyzanckiej Gwardia Ludowa. Nie mieli co do tego wątpliwości nawet radzieccy towarzysze. W łonie polskiej filii międzynarodówki wrzało wtedy jak w ulu. Polscy komuniści zazarcie walczyli o władzę. Między sobą. Do tego stopnia, że szef Kominternu Georgi Dymitrow był przekonany, że wymordują się nawzajem i Niemcy nie będą tu do niczego potrzebni. Dla Nowotki bój to był zatem ostatni. Mołojec zastrzelił go o godzinie 16.20.

Zarówno Kedyw, jak i warszawski oddział wykonawczy AK zajmowały się tego dnia czym innym...

Plac Trzech Krzyży. Niemal samo południe, niedawno minęła dwunasta. W cukierni „Kolorowa” ruch umiarkowany. Przy jednym ze stolików siedzi czterdziestoletni mężczyzna. Rozgląda się czujnie na boki, ale nie dostrzega, że ktoś go obserwuje. Nie wie, że jest „delikwentem”. Jak bracia Bąkowie to robią, że niezauważenie obserwują każdy ruch mężczyzny, trudno dociec. Ta umiejętność to elementarz wszystkich służb specjalnych. W języku likwidatorów z AK „delikwent” lub „klient” to cel. Pod koniec 1942 roku czterech braci Bąków stanowi podporę formującego się właśnie oddziału 993/W.

Wysokim, przystojnym czterdziestolatkiem, który rozgląda się nerwowo, jest „Lesz”. We wszystkich opracowaniach dotyczących wywiadu i kontrwywiadu AK występuje jako NN. Ma zostać zlikwidowany jako „niebezpieczny konfident”; jego wiedza o podziemiu jest rozległa, zna wiele adresów, skrzynek kontaktowych, zna dowódców i zwykłych żołnierzy. Niedawno odgrażał się, że będzie sypał.

Bracia Bąkowie mogliby strzelać, ale czekają na informatora o rozczulającym pseudonimie „Dziadzio”, który ma potwierdzić tożsamość i wskazać „delikwenta”, bo go zna. „Dziadzio” się spóźnia. Po trzydziestu minutach „Lesz”, który również na kogoś czeka (i nie może się doczekać), wstaje i płaci. W cukierni i na zewnątrz robi się mały ruch. Ktoś również wstaje, na zewnątrz od ściany odrywa się inna postać... Wprawne oko potrafi zauważyć takie rzeczy – znaki, że coś może się wydarzyć. I „Lesz” czegoś zaczyna się domyślać.

Raporty z akcji są stosunkowo dokładne. Mówią, że gdy „Lesz” wyszedł z kawiarni, powodowany zapewne przecuciem niebezpieczeństwa, rusza za nim Bolesław Bąk, „Szlak”. Dalej, w pewnym oddaleniu, idzie reszta obstawy. Dopiero teraz pojawia się spóźnialski „wystawiający”. Wyprzedza „Lesza” i w umówiony sposób wita się z nim – ot, zwykły odruch sympatii, element codziennej kindersztuby. „Dziadzio” zrobił swoje, „Szlak” ma już pewność, że śledzi właściwego człowieka.

„Lesz” zrozumiał, że jest gorąco: że jest śledzony, że te kilka postaci za nim to uczestnicy polowania. Przyspiesza kroku. Idzie ulicą Bracką. Potem zaczyna biec. Dobiega do Alei Jerozolimskich. Cały czas ciągnie za sobą „Szlaka”. Wpada w Marszałkowską i wskakuje do tramwaju numer 5. Przepycha się do środka wagonu. Pewnie myśli, że w tłumie jest bezpieczniej. Ale Bąk jest uparty: uważając, by w biegu nie wypadły mu pistolety, dogania tramwaj i wskakuje na obniżony próg. Pozostali członkowie obstawy próbują zrobić to samo, ale spotyka ich niespodzianka, interweniują granatowi policjanci; wojna, nie wojna – zasady ruchu drogowego są po to, by ich przestrzegać. „Szlak” zostaje sam. Sam na sam z „Leszem” w tłumie pasażerów.

O co chodziło? Przecież ściganym mężczyzną był zaprzysiężony żołnierz AK.

„Szlak” ścigał swojego kolegę.

Nie, nie znali się.

Kolegę w sensie organizacyjnym...

„Lesz” miał czterdzieści lat. Może nawet więcej. Był dwa razy starszy od nas, główniarzy. W 1920 brał udział w wojnie z bolszewikami. Mógł być wachmistrzem. A może podoficerem piechoty, tego nie wiem. W każdym razie był inny. To znaczy, każdy czterdziestolatek jest inny od dwudziestolatka, to jasne, ale on był... nie wiem... złamany. Sfrustrowany. Potem dowiedzieliśmy się, że popijał, może miał problemy z alkoholem... Gdy Tadeusz Towarnicki, „De Vran”, sformował pierwszą grupę, z której potem powstały zręby „likwidacji”, było nas... trzynastu? Nie... chyba nie, wydaje mi się, że czternastu. Jak w filmie *Parszywa czternastka...*

...film Roberta Aldricha nazywał się *Parszywa dwunastka*.

Nas było czternastu i jak pojechaliśmy w lasy rozwadowskie bawić się w tę partyzantkę, to on, „Lesz”, był w tej czternastce. Widać było, że odstaje. Myśmy dosłownie fruwali wtedy ze szczęścia, że oto jesteśmy partyzantami, to uskrzydlało. Nawet odbieranie krów Niemcom jakiś czas nam się podobało. Byliśmy wreszcie ludźmi, a nie podludźmi. A on człapał noga za nogą. Z tyłu. Pamiętam, patrzyłem z boku. Taki pochylony. Sapał. Ale szedł na tę przygodę.

Jak się nazywał?

Nie wiem.

Znaleźliśmy informację, że nazywał się Szymankiewicz.

Jakie to ma teraz znaczenie? Ja tylko pamiętam, że był inny. Nie miał w sobie takiego entuzjazmu jak my.

To chyba normalne. Był dojrzałszy, miał większą wyobraźnię, może się bał? A wyście nie zdawali sobie sprawy, że igracie ze śmiercią.

Możliwe. Słyszałem, że gdy wybuchła wojna, to on się załamał. Ludzie tracili wtedy majątki, zawałało im się dotychczasowe życie, pozycja społeczna,

rodziny... przyszłość. Wszystko. I on poczuł, że traci grunt pod nogami. I nagle dostaje zaproszenie do partyzantki. To dziś może dziwnie brzmieć, ale tak: to było zaproszenie. Jak na wycieczkę. Oprócz nas – chłopaków z Chomiczówki i Boernerowa – „Naprawa” dobrał „Lesza”. Nie wiem, skąd go znał, może z wojska. Ale partyzantka szybko się skończyła, wydano rozkaz odwołania nas do Warszawy... „Lesz” to bardzo przeżył. My byliśmy młodzi, on „stary”. Załamał się. Że również to mu nie wyszło...

Co nie wyszło?

Walka z okupantem. Że się nie udało. Walki to akurat tam nie mieliśmy za wiele, ale zdobyliśmy kilka karabinów... Bawiliśmy się jak szczeniaki.

On, przedwojenny podoficer – nie.

...i wtedy coś w nim pękło. Powiedział „De Vranowi”, że odwołując partyzantkę, złamał mu życie. On bardzo liczył, że praca w podziemiu go jakoś życiowo ustawi. I jeszcze chyba żona „Lesza” na to liczyła, że partyzantka i podziemie jakoś pomogą im wiązać koniec z końcem. My, gówniarze przecież wtedy, słyszeliśmy, że ta żona strasznie nim pomiatała, zresztą przy innych również. Była wściekła, że mąż nawet do partyzantki się nie nadaje. I „Lesz” – pod wpływem żony albo i nie – uznał, że „De Vran” złamał mu życie. Tak powiedział. Rozsypał się zupełnie. Zaczął tego pić. I zaczął straszyć, że on to wszystko opowie Niemcom. Zaczął grozić, że wyda „De Vrana”. Podobno, ja to znam z drugiej ręki. W każdym razie żarty się skończyły. „De Vran” rozmawiał z dowódcą pułku. Ustalili, że sytuacja stała się groźna, bo „Lesz” zna nie tylko nas, dzieciaki, ale był oficerem, znał też dowódców... Nigdy wcześniej nikomu tego nie opowiadałem.

To dziwnie, wręcz nieprawdopodobnie brzmi. Człowiek, który dostaje rozkaz powrotu z lasu, zaczyna się za to mścić? Grozi, że was wyda Niemcom...

Ale tak chyba było. I wszystko było źle w tej sprawie, źle wszystko poszło. „Lesz” wiedział, gdzie mieszkam, bo mu się kiedyś wygadałem. Pewnego dnia

przyszedł do mojego domu i zaczął mi grozić, że i mnie wyda Niemcom, jeśli mu nie powiem, gdzie mieszka „De Vran”! Kluczyłem. Przyszedł drugi raz. Zastał mnie przy matce. Wyciągnął broń. Moja mama była przerażona. On ją tą bronią straszył. No, a potem zdarzył się wypadek.

Jaki wypadek?

„Lesz” miał żonę i dwóch synów. Chłopców – piętnaście i siedemnaście lat. „De Vran” zorganizował ekipę. Oczywiście beze mnie, bo mnie „Lesz” za dobrze znał. W tej ekipie, która przysłała do „Lesza”, był chłopak o pseudonimie „Wilk”. To był ostry chłopak, w czasie tej partyzantki zauważyłem, że on bardzo chciał być zastępcą „De Vrana”, obaj musieli znać się od dawna i chyba raz już w tych lasach byli. „Wilk” wiedział co i jak. My nie, bo my byliśmy pierwszy raz. I „Wilk” starał się wyróżnić, zdobyć zaufanie szefa. Ten z kolei trzymał go na dystans. W każdym razie wysłał „Wilka”. Ten dobrał sobie drugiego, chyba „Czarnego”, Michała Kubrynia, i poszli. Chyba za bardzo chcieli się wykazać. Nie zastali „Lesza”. W mieszkaniu była tylko jego żona i jeden z synów. No i wydarzyła się tragedia.

To znaczy?

Nie znam szczegółów. Najpierw zastrzelili ją, a potem, jak ten chłopiec rzucił się w obronie matki, zastrzelili i chłopaka. Źle to wszystko „De Vran” zorganizował.

Przychodzą wieczorem uzbrojeni smarkacze i strzelają do niewinnej kobiety i jej nastoletniego syna. A mieli zastrzelić czterdziestoletniego mężczyznę.

Chyba mieli tylko wyjaśnić sprawę, pogodzić „Lesza” i „De Vrana”, tłumaczyć, a nie kogokolwiek zastrzelić. A może postraszyć? Choć czasy były takie, że łatwo było strzelać. A mnie jest trudno o tym mówić. „Wilka” już nigdy nie zobaczyłem. Zniknął. Nie wiem, co się z nim stało, odsunięto go w ogóle.

Co tam naprawdę się wydarzyło?

Moim zdaniem nadgorliwość wywołała ten wypadek.

W takim razie ten „wypadek” wyjaśnia determinację „Lesza”.

Odtąd pewnie myślał już tylko o jednym – chciał dopaść „De Vrana”. Za wszelką cenę. Przestałem spać w domu. Tymczasem zaczęło się polowanie na „Lesza”, żeby go zlikwidować prewencyjnie. Ale widzicie, że to wszystko nie było czarno-białe. Mówię, żeby wam uświadomić, że każda sprawa to był inny problem. I żebyście wiedzieli, że zabić człowieka, to nie jest hop-siup!

Czyli „Lesz” chciał wyrównać rachunki. Chciał dopaść mordercę swojej żony i dziecka. To dziwna historia. Ale przede wszystkim tragiczna.

Może i dziwna. Tragiczna na pewno. Wiem, że facet groził denuncjacją oddziału. Potem, po tej tragedii, już wprost chciał zastrzelić „De Vrana”. Chciał się zemścić. A skądinąd „De Vran” miał przez tę nieszczęśliwą akcję zrobioną przez „Wilka” sprawę w sądzie. Groziły mu poważne konsekwencje. Tych przewin uzbierało się więcej. Razem z „Gilem” byliśmy świadkami w procesie, zeznawaliśmy, że „Lesz” rzeczywiście groził. I to była sprawa, która dołożyła się do tego, że „De Vran”, gdy ostatecznie wybaczone mu te grzechy, zmienił się w „Naprawę”. Zmienił pseudonim na znak, że przeszedł przemianę. Więcej nic nie wiem.

Ślad finału tragicznej sprawy „Lesza” znajdujemy w Archiwum Akt Nowych, w teczce szefa kontrwywiadu AK Bernarda Zakrzewskiego, „Oskara”. Na liście akcji wykonanych przez 993/W likwidacja „Lesza” to pozycja numer 9. Jak przebiegała akcja, wiemy z raportu późniejszego szefa oddziału – „Porawy”, czyli Stefana Matuszczyka. Opis akcji przytaczają również w swojej książce Juliusz Kulesza i Robert Bielecki¹.

Tramwaj z „Leszem” skręcił w Marszałkowską i jechał w kierunku Ogrodu Saskiego. Upewniwszy się, że „Lesz” jest w środku, Bąk wymyślił na poczekaniu nowy plan. Źródła nie są tu dokładne, ale nie była to żadna subtelna gra operacyjna. W relacji „Porawy” Bąk usiadł okrakiem na obudowie motoru – czyli z przodu tramwaju – wyciągnął pistolet i strzelał. Według innej relacji, poruszając się trochę jak cyrkowiec,

wszedł na coś w rodzaju zderzaka przy tylnej oszklonej galeryjce, trzymając się lewą ręką dachu, wyciągnął z kieszeni broń i mierzył ponad głowami pasażerów. Strzelił trzy razy. Wszystkie trzy strzały były celne. Ścisk był taki, że „Lesz” nie upadł od razu. Wybuchła panika. Ludzie wezbraną falą ruszyli do wyjść. Dopiero gdy zrobiło się luźniej, bezwładne ciało osunęło się na podłogę. Tramwaj jechał dalej. Pasażerowie już w biegu wyskakowali na jezdnię, niektórzy koziołkując, jak w kreskówce. Panika ogarnęła także pierwszy wagon „nur für Deutsche”. W ślad za Polakami uciekali esesmani i niemieccy cywile. „Szlak”, upewniwszy się, że strzelał skutecznie, poczekał, aż tramwaj zwolni. A potem niespiesznie wyszedł na przystanku w pobliżu skrzyżowania Marszałkowskiej z Sienną. Tu napotkał dwóch niemieckich lotników, którzy zaalarmowani krzykami pasażerów wyciągnęli broń i próbowali zatrzymać podejrzanego mężczyznę. „Szlak” posłał w ich kierunku kilka kul. Potem znikł. Dopiero teraz do tramwaju dobiegła jego obstawa i otworzyła ogień do niemieckich żołnierzy. Akcja i brawura „Szlaka”, Bolesława Bąka, przeszła do akowskiej legendy.

Zna pan opis akcji likwidacji „Lesza” pozostawiony przez „Porawę”...

Tak. Pewnie tak to wyglądało. Choć nie wiem, mnie przy tym nie było.

Wszędzie pojawia się informacja, że „Lesz” był konfidentem Gestapo. Zdążył kogoś wydać?

Nie, nie był konfidentem.

„Porawa” wyraźnie pisze²...

Nie, nieprawda. Nie był żadnym konfidentem. On tylko groził, blefował, że wyda „De Vrana”. A potem ten wypadek.

Na oficjalnej liście ofiar kontrwywiadu jednak figuruje...

Bąkowie lubili opowiadać o swoich akcjach, łatwo strzelali, dużo gadali i pewnie to oni w tych opowieściach stworzyli legendę konfidenta „Lesza”, że „taaaaakiego groźnego zlikwidowali”, i tak się przyjęło. Ale to nieprawda. To był

biedny człowiek, któremu wszystko się zawaliło.

To zabiliście niewinnego...

Nie był też niewinny. Był groźny! Mógł narobić dużo złego. Był niebezpieczny, bo sfrustrowany i zdeterminowany. To na pewno. I jeszcze mierzył do mojej matki z pistoletu, nieobliczalny. Groził „De Vranowi”! A jak już się zdarzyło to nieszczęście z jego żoną i synem, to w ogóle chyba oszalał. Pamiętam. O sprawie więcej nie wiem, nie mogę wam nic więcej powiedzieć, bo nie wiem.

To jakaś tragiczna, koszmarna historia...

Właśnie tak zapamiętałem „Lesza”. Jako tragiczną postać. No i pamiętam tę naszą wspólną partyzantkę. Te niezapomniane chwile wolności, radość i wygłupy. On akurat się nie wygłupiał tak jak my... Ale pamiętam te śmiechy, sztubackie popisy. Taki obrazek... Widzieliście kiedyś świetliki?

Chrząszcze?

Robaczki świętojańskie. Po dwóch, trzech tygodniach spania na mchu, chodzenia tylko nocą, wtapialiśmy się w zieleń, w przyrodę. Tak blisko natury nigdy wcześniej ani potem nie byłem. W nocy dosłownie wtapialiśmy się w absolutną leśną ciemność. Wchodziliśmy w szuwary, krzewy i nagle... fruuum! – setki iskierek wylatywało. Robiło się jak przy ognisku. Takich świetlików już nie ma. Pamiętam, że staliśmy zapatrzeni. A potem biegaliśmy, bo niektórym te świetliki wpadały za kołnierz. A może sami wrzucaliśmy je sobie nawzajem? Łapałem je w garść. I gdy się je przez chwilę trzymało w zamkniętych dłoniach, to przez szpary między palcami przebijały takim czerwonym światłem. Chyba od krwi.

¹ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 44.

² Stefan Matuszczyk, „Porawa”, *Oddział bojowy kontrwywiadu Komendy Głównej AK*, niepublikowany rękopis książki złożony w Dziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

W *Aneksie* przytaczamy obszerne fragmenty tego maszynopisu. Za zgodę na publikację dziękujemy p. Barbarze Michałowskiej, córce autora.

Rozdział 4

Dziewczyna i śmierć

Granatowi policjanci nie mieli dobrej prasy zarówno w czasie okupacji, jak i po niej. Odgrywają role czarnych charakterów: kolaborujących z Niemcami zdrajców, szmalcowników, cwaniaków wykorzystujących swoje mundury do robienia brudnych, nierzadko opłacanych czyimś życiem interesów.

Granatowy policjant chwytą za gwizdek i wzywa patrol żandarmerii, gdy widzi broń pod odchylonym płaszczem młodego człowieka rozglądającego się nerwowo na rogu ulicy. Granatowy policjant odwiedza wieczorem mieszkanie na Żoliborzu i wraz z towarzyszącym mu cwaniakiem w pepitkowej marynarce i cyklistówce składa rodzinie ukrywającej żydowskich przyjaciół propozycję nie do odrzucenia albo po prostu szuka podejrzanego sublokatora¹. Granatowy policjant odwraca wzrok, gdy pijani żołnierze Wehrmachtu maltretują na ulicy chłopca posądzonego o kradzież, chwytą za kołnierz przeciskającego się przez dziurę w murze małego szmuglera. Takie obrazy stają przed oczami.

Lucjan Wiśniewski wspomina, że pierwszą poważną akcją patrolu „Ptaków” było zastrzelenie w grudniu 1942 roku wysokiego oficera granatowej policji. (Siedemnastolatek zapamiętał, że w mrocznej, zimowej scenerii alei Wojska Polskiego na Żoliborzu strzelał „Puchacz”, krótkowidz, który tamtego dnia zapomniał okularów. Ubezpieczający akcję „Kobuz”, „Gil” i „Sęp” widzieli, że „wystawiający” policjanta człowiek drży z lęku, by niedowidzący „Puchacz” nie pomylił celu; dowodzący „Naprawa” opowiadał później, że „Puchacz” najpierw, dla pewności, dotknął ofiary palcem lewej ręki, a potem nacisnął spust).

Ale jest jeszcze rewers fatalnego wizerunku granatowej policji: dziesiątki, jeżeli nie setki przedwojennych policjantów – „pogrobowców klęski” jak nazywa ich Adam

Hempel² – współpracowało z konspiracją lub było jej aktywnymi członkami. Wykorzystując swoje funkcje, stanowili nieocenioną pomoc dla AK. I takich zaprzyjaźnionych, oddanych sprawie policjantów miał w zasięgu swego działania zarówno „Garłuch”, jak i oddział 993/W³.

Wrzuca się wszystkich do jednego worka, a to przecież nie były same sukinsyny...
Ja spotykałem właściwie tylko dobrych policjantów.

Chyba oprócz tego pierwszego z alei Wojska.

No tak, choć o tamtym pułkowniku nic nie wiedziałem i nic nie wiem. Ale nie mówi się tego często: przecież ich Niemcy po prostu wezwali do pracy na tych samych posterunkach co przed wojną, żeby utrzymywali porządek. No to pracowali. W Boernerowie, kiedy zostałem dowódcą Oddziału Dywersji Bojowej, postanowiłem stworzyć jakiś wywiad. I dzielnicowy z Boernerowa, Łubiński, jak wam mówiłem, skontaktował mnie z policjantami z posterunku we Włochach. Ten posterunek to był, prawdę mówiąc, komisariat podziemia, a nie policji... Dwunastu ludzi, komendant, jego zastępca Zygmunt Okuń, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, „obrabiali” kawał powiatu warszawskiego. Robili ważną robotę – powstała specjalna komórka w „Garłuchu” po to, żeby we współpracy z nimi kontrolować pocztę wysyłaną do Gestapo. Wszystkie listy adresowane do Niemców były sprawdzane przez „naszych” policjantów, którzy z kolei mieli wejścia na pocztę. Wszystkie skrzynki pocztowe były pod kontrolą. Czasem policjanci szli i ostrzegali ludzi, że ktoś na nich donosi, żeby zmienili kryjówkę i tak dalej. Prawie cała poczta do niemieckich władz z rejonu Włoch była kontrolowana. Tak! Otwierana nad parą, czytana, analizowana. To była dobra robota, nie do przecenienia. Ale wiąże się z tym jedna straszna historia – śmierć Andrzeja Łukasika, szefa komisariatu we Włochach, granatowego policjanta, dzielnego człowieka. Poznałem go po powrocie z partyzantki. Jeśli Kowalewski czy Towarnicki uczyli mnie posługiwania się bronią, to takim mentorem – można powiedzieć – politycznym, był Łukasik. Piękna postać, absolutne zaprzeczenie tezy, że granatowi to byli łobuzy i kolaboranci. Bohater! Kiedy w pewnym momencie w okolicach Boernerowa, Chomiczówki czy Wawrzyszewa było coraz

więcej włamań i napadów, to Łukasik wymyślił, jak temu zaradzić. Zrobił to z głową i skutecznie: zlecił nam stworzenie patroli trzy-, czteroosobowych i mieliśmy odwiedzić każdą osadę z komunikatem, że odtąd napady i rozboje nie będą tolerowane. Wiedział, że często te napady organizują chłopcy z AK. Z biedy, z głodu po prostu. Bo jak ktoś wchodził do podziemia, to często już nie miał czasu zajmować się normalnym zarabianiem. Stworzyliśmy grupę trzydziestoosobową i – pamiętam – zorganizowaliśmy czternaście wypadów z tym ogłoszeniem o „braku tolerancji”. Za każdym razem tłumaczyliśmy, że koniec z bandyterką. Grzecznie, ale stanowczo, że jeśli jeszcze raz, to będziemy zmuszeni użyć siły. I ta propaganda działała, bez użycia siły! „Plan Łukasika” był skuteczny. Ale ten policjant zginął w zupełnie tragicznych, nieszczęśliwych okolicznościach, aż trudno uwierzyć...

Historia jak z klasycznej tragedii. Nemezis porucznika Łukasika przybrała postać dwudziestokilkuletniej pięknej dziewczyny.

A zaczęło się tak: w kontrolowanej przez podziemie korespondencji do Gestapo regularnie, co najmniej raz w tygodniu, pojawiał się list od donosiciela podpisującego się numerem. Wrzucał swoje donosy – najczęściej dotyczące „podejrzanych gości” przebywających na terenie Włoch oraz domniemanych Żydów – zawsze do tej samej skrzynki w przejściu podziemnym przy dworcu kolejowym Warszawa-Włochy. Listy pisane po polsku, sprawną ręką, czytelne. Jak ustalić, kto je wrzuca do skrzynki? Nie można przecież postawić całodziennych posterunków przy skrzynce pocztowej! Granatowi policjanci byli pomysłowi: zatrudnili do pomocy dzieci – własne i zaprzyjaźnionych rodzin. Na schodach dworca od rana wystawała para zmieniających się uczniów z pobliskiej szkoły, najczęściej dziewczyna i chłopak; nie wzbudzali podejrzeń, przekomarzając się, żartując, nudząc się i oglądając zeszyty, zerkali na skrzynkę. A w skrzynce zamontowano prosty mechanizm, który zapewniał, że listy nie mieszały się, lecz układały dokładnie w kolejności wrzucania. Dzieciaki były podekscytowane tą konspiracyjną pracą: notowały kto, jak wygląda, o której godzinie wrzuca kolejny list do skrzynki.

Gdy „Sęp” któregoś dnia przyszedł na inspekcję, by przekonać się, czy rzeczywiście akcja trwa i nie jest fikcją, dwójka dwunastolatków zachowywała się, jakby odwiedził ich

generał.

Jak oni to przeżywali, z jaką radością na mnie patrzyli, że oto ktoś przyszedł ich kontrolować...

Pierwszy tydzień – nic. Wyjątkowo nie było listu do Gestapo. Ale w kolejnym tygodniu już był. Według zapisków dzieci wrzucił go mężczyzna w średnim wieku, w marynarce, w kapeluszu...

Pierwszy ślad, trop, sygnał.

Tydzień później opis jest bardziej precyzyjny. Za trzecim razem można już śledzić mężczyznę, bo prawdopodobieństwo, że to on pisze do Niemców, jest wysokie. Mężczyzna z dworca udaje się do... fryzjera. W kolejnym tygodniu – również. Jakby po spełnieniu „obywatelskiego” obowiązku za każdym razem szedł się ogolić lub ostrzyc. Golenie trwa jednak dziwnie długo. Cały dzień. Wniosek: to fryzjer. Jeden z policjantów chce mężczyznę po prostu wylegitymować, ale zastępca komendanta Zygmunt Okuń wpada na bardziej subtelny pomysł: rozrzuca przed wejściem do zakładu fryzjerskiego śmieci i wchodzi do środka, by dać właścicielowi ostrą reprimendę za brak dbałości o porządek na ulicy. Padają grube słowa i groźby przekazania sprawy Niemcom.

Zakochany w niemieckim ordnungu fryzjer bardzo się przejął...

Policjant każe fryzjerowi napisać oświadczenie, że od tego dnia będzie dbał o czystość przed witryną swojego zakładu i że śmieci wczoraj jeszcze na ulicy nie było. Fryzjer skwapliwie zapełnia równym pismem podetkniętą mu kartkę.

Ma taki sam charakter pisma, jakim były pisane donosy.

Potwierdziliśmy to u grafologów AK. Mieliśmy fotokopie donosów i oświadczenie fryzjera. Po trzech dniach werdykt – sto procent pewności. Czyli wyrok. Chciałem, żeby decyzja o wykonaniu przyszła do „Garłucha”, niekoniecznie, żebyśmy strzelali jako 993/W. Rozumiecie, chciałem też zadbać o moją pozycję w „Garłuchu”... No i przyszedł wyrok do „Garłucha” z rozkazem wykonania. Major „Wysocki” za głowę się złapał, jeszcze nigdy nie miał rozkazu z tak wysoka, to była duża rzecz. Ale teraz sprawy się gmatwają, bo ten wyrok nie

został wykonany za pierwszym razem...

Okolice Kielc – matecznik oddziałów partyzanckich zgrupowania „Ponurego”⁴. Wśród dowódców oddziałów „Szary”, Antoni Heda⁵. Jeden z kilkudziesięciu żołnierzy „Szarego” zostaje ciężko ranny w rękę. Heda dba o swoich chłopców. Zapada decyzja, by wysłać rannego „do sanatorium”, jak partyzanci nazywają konspiracyjne lokale AK, w których – zwłaszcza zimą, gdy część oddziałów rozchodzi się do rodzinnych wiosek – prowadzona jest rekonwalescencja i reha-bilitacja.

Chłopak, wcześniej był w „Garłuchu”, wraca więc w swoje okolice, jako „kuzyn z Kieleckiego”, z ręką na temblaku przyjeżdża pociągiem na stację Warszawa-Włochy. Czeka na niego cud dziewczyna – sanitariuszka, pielęgniarzka, starsza o kilka lat, wyniosła, poważna. Żołnierz milczy onieśmielony, ale najwidoczniej jest z tych bardziej rzutkich, brawurowych, odważnych, bo gdy dochodzą do nieotynkowanej ceglanej kamienicy, w której mieści się konspiracyjny lokal, wydaje się, że są starymi znajomymi.

On młody, zrywny taki, ona też młoda, i co mieli robić na tym zimowisku? Doszło do tego, do czego musiało dojść, wydarzyło się to, co musiało się wydarzyć. Zakochali się. Opowiadał mi to wszystko potem policjant Okuń, bo odtwarzał sobie tę historię punkt po punkcie, dokładnie. Chciał wiedzieć, jak to się stało...

Chłopak mieszka u dziewczyny, ale dni coraz bardziej się dłużą, ręka się goi, rozkazów nie ma, kontaktu z konspiracją też, bo przecież on nie zna ludzi z Warszawy, zaczyna się dusić, tęsknić, markotnieć. Ale jest przywiązany do sanitariuszki, tyle tygodni razem żyją.

Nie wytrzymał. List: kocha, wróci, ale teraz musi iść w góry, walczyć, wśród chłopaków, wśród swoich, musi, ale wróci przecież z wojenki, wróci i wszystko będzie dobrze. Ale teraz do partyzantki wraca, walczyć u „Ponurego”, u „Szarego”, dowódca pewnie czeka na żołnierzy, bo jest wojna i jest się żołnierzem.

Tak jej napisał. I z pół roku ani jego nie było, ani żadnej wiadomości od niego. A dziewczyna, wyobrażacie sobie, ładna, tłum wielbicieli wokół, młoda, piękna. Myślała może, że Zbyszek zginął? Na pewno tak. A pół roku w czasie wojny to

dużo. Tak nam potem mówiła. I ona się z kimś związała, bo była samotna.

Było to wieczorem, tego dnia, kiedy wykonywano wyrok na fryzjerze konfidencie. Datę wyznaczyli razem „Gil” i „Sęp”...

I tamtej nocy ze względu na godzinę policyjną ten nowy chłopak u niej miał zostać, bo daleko mieszkał. I został. Właśnie tamtego wieczoru! Jakby ta dziewczyna śmierć przyciągnęła! *Dziewczyna i śmierć* – film taki był.

Śmierć i dziewczyna.

Policjanci Łukasik i Okuń załatwiają lokal wypadowy dla mających strzelać żołnierzy – domek jednego z policjantów, trzysta, czterysta metrów od zakładu fryzjerskiego, przy bocznej uliczce, która prowadziła od stacji do ulicy Wolskiej. A naprzeciwko tego domku stała kamienica z czerwonej cegły, na jej pierwszym lub drugim piętrze było mieszkanie – a w tym mieszkaniu sanitariuszka i jej nowy chłopak.

Fryzjer pracował do późna, kończył tuż przed godziną policyjną.

Mieliśmy go zastrzelić w zakładzie, po cichu, jak najpóźniej, kiedy nie będzie już żadnych klientów. Czekaliśmy. Trzech ludzi. Wszystko ustaliliśmy z Łukasikiem i jego ludźmi, byli w to zaangażowani. Łukasik został na komisariacie, bo wiedział, że jak będzie strzelanina, to ktoś zadzwoni na policję. Chciał być po naszej akcji pierwszy na miejscu, przed Niemcami. Czekaliśmy.

Na stacji Warszawa-Włochy pojawia się partyzant Zbyszek. Idzie do swojej dziewczyny.

Tak, właśnie tego wieczoru, gdy zastrzelony ma być fryzjer.

Idzie, bo postanowił ją odwiedzić, wreszcie, po kilkunastu tygodniach wyrwał się pociągiem przez Radomsko, ryzykując, bo z bronią – nie lubił chodzić „boso”, oj, nie lubił – cały dzień szedł i jechał i teraz już skręcał w uliczkę, przy której stała kamienica. Miał klucze w kieszeni, bo dziewczyna mu je dała, bo przecież byli sobie bliscy i mieli do siebie zaufanie, jak mąż i żona.

Zastał ich razem. Wyciągnął pistolet, chciał zastrzelić tamtego! Ona chyba

doskoczyła do niego, zaczęli się szamotać, tamten chłopak schował się w innym pokoju, zatrzaskał drzwi, może uciekł stamtąd przez okno, nie wiem, a Zbyszek dostał szału, łomotał do drzwi, chciał strzelać. Dziewczyna nie wiedziała, co ma robić, bo zaraz się pozabijają, zadzwoniła na policję, bo w mieszkaniu był telefon...

Odebrał komendant Łukasik. Dziewczyna w spazmach, w hysterii, podała adres, krzyczała coś o pistolecie, o tym, że zaraz ktoś zginie, że potrzebna pomoc. Komendant Łukasik znał adres, był przekonany, że telefon ma związek z likwidacją fryzjera. Wybiegł z komisariatu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wbiegł po schodach z innym policjantem, zwykłym posterunkowym, zasapany zaczął łomotać w drzwi. „Policja!” – krzyczy.

Partyzant Zbyszek widzi przez judasza twarz Łukasika, widzi czapkę policyjną. Strzela przez drzwi. Trafia w głowę. Drugiego policjanta ciężko rani.

Słyszymy strzały w domu naprzeciwko, coś się dzieje, żandarmeria może zaraz przyjechać. Odwołujemy akcję, już nie poszliśmy robić fryzjera tamtego wieczoru. Zastrzeliliśmy go kilka dni później, w dniu pogrzebu Łukasika. Rykszą potem popędziliśmy na cmentarz Bródnowski. Z bronią, z pistoletami pod płaszczami. A tam stoją nasi policjanci i obok Niemcy. I Niemcy oddają salwę honorową, bo przecież komendanta Łukasika zabili „polscy bandyci”. Juliusz Kulesza, kiedy pisał książkę o „Garłuchu”⁶, to mi nie wierzył, że to był ten sam dzień. Ale sprawdził daty. I okazało się, że tak.

Taki był pogrzeb policjanta granatowego z komisariatu we Włochach, porucznika Andrzeja Łukasika.

A Zbyszek, co z partyzantem Zbyszkiem?

Wrócił do oddziału Hedy w Górach Świętokrzyskich.

Co z dziewczyną?

Musieliśmy ją przesłuchiwać. Kiedy nasz dowódca z „Garłucha” „Wysocki” usłyszał od policjanta Okunia, jak to wszystko wyglądało, zdecydował, że trzeba

ją rozstrzelać, podejrzewał jakąś prowokację, nie wierzył, że to przypadek, to wszystko zbyt dziwnie wyglądało. Wysłał nas. Kiedy przyszedliśmy, dziewczyna płakała, załamana, prawie strzęp człowieka. Pamiętam, że siedziałem z „Gilem” w innym pokoju i myśleliśmy, co robić. Zaczynaliśmy rozumieć, widzieliśmy ślady po kulach w drzwiach, ona wszystko nam opowiedziała... Miała na imię Halina. Była naprawdę piękna. Przeżyła wojnę.

¹ Scena wspomiana przez Stanisława Likiernika w przeprowadzonej przez nas rozmowie, *Made in Poland. Opowiada jeden z ostatnich żołnierzy Kedywu Stanisław Likiernik*, Warszawa 2014, s. 124.

² Adam Hempel, *Pogrobowcy kłęski. Rzecz o policji „granatowej” w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945*, Warszawa 1990.

³ W kontrwywiadzie AK istniał również specjalny referat „policyjny” – 993/P skupiający zaprzysiężonych żołnierzy AK pracujących w policji granatowej i Kripo w Warszawie. Praca tej komórki polegała przede wszystkim na działaniach informacyjnych: przechwytywaniu korespondencji, rozkazów, tajnych zarządzeń. Struktury podziemia niepodległościowego w policji w Generalnym Gubernatorstwie już z końcem 1939 roku współtworzył m.in. Marian Kozielski, przedwojenny komendant warszawskiej policji, brat Jana Kozielskiego (Jana Karskiego). W powstaniu w skład batalionu „Pięść” wchodził kilkudziesięcioosobowy pluton granatowych policjantów podporucznika „Pionka”, Mariana Kamińskiego.

⁴ Jan Piwnik, „Ponury”, „Donat” (1912–1944), legendarny dowódca partyzancki AK w Górach Świętokrzyskich i na Nowogródczyźnie (1944); przed wojną policjant. Po wrześniu 1939 roku uciekł z obozu internowania na Węgrzech i przedostał się do Francji, potem do Anglii. Cichociemny, zrzucony do Polski w listopadzie 1941 roku.

⁵ Antoni Heda, „Szary” (1916–2008), w 1939 roku podporucznik WP, w czasie okupacji dowódca oddziałów partyzanckich w Świętokrzyskiem. Najgłośniejszą akcję przeprowadził jednak już po wojnie, w sierpniu 1945 roku: oddział Hedy uwolnił z kieleckiego więzienia UB 350 więźniów – wielu żołnierzy AK. Aresztowany w 1948 roku został skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Zwolniony w 1956 roku. Zaliczany był do grona współpracowników prymasa Stefana Wyszyńskiego, działał w opozycji, internowany w stanie wojennym.

⁶ Juliusz Kulesza, *Garłuch. Opowieść o 7. pułku piechoty AK w konspiracji i Powstaniu Warszawskim*, Warszawa–Kraków 2014, s. 102.

Rozdział 5

Trzeba było za coś żyć

W drugiej połowie 1943 roku szefowie wywiadu i kontrwywiadu Komendy Głównej AK doszli do wniosku, że specjalny oddział podlegający wyłącznie im należy rozbudować. Zadań było dużo, co może być miarą zarówno rosnącej demoralizacji społeczeństwa w warunkach okupacji, jak i coraz szybszej pracy podziemnego wymiaru sprawiedliwości. Rozbudowa odbyła się w tajemnicy przed innymi komórkami KG. Skąd taka dyskrecja? Może analitycy wojskowi zrozumieli, że Komenda jest coraz skuteczniej penetrowana przez Gestapo i należy temu dać odpór, również na drodze bezpośredniej konfrontacji. Przecież dopiero co Gestapo skutecznie uderzyło w podziemie, w łatwy sposób aresztując samego szefa AK, generała „Grota”-Roweckiego.

Wśród żołnierzy podziemia szybko rozchodziły się wieści o akcjach i dokonaniach 993/W. Bez kryptonimów, bez szczegółowych danych, ale wciąż krążyły, pisała o nich również podziemna prasa. W podchorążówkach, podczas zbiórek oddziałów, w cichych prywatnych rozmowach zazdroszczono żołnierzom Kedywu oraz właśnie tajemniczemu „wykonawcom”: mogli się wykazywać, mogli strzelać, działać. Tymczasem większość młodzieży z podziemia słuchała wykładów oficerów i szykowała się do bliżej nieokreślonych akcji mających nastąpić w równie mglistej przyszłości. (Zdarzało się, że przedwojenni nauczyciele przysposobienia wojskowego kilka kolejnych zajęć poświęcali kodeksowi honorowemu i regułom pojedynków: „stanowczy zakaz podnoszenia kołnierzyka podczas pojedynku! To podnoszenie to okropny uzus!” – grzmiał wykładowca w podchorążówce, której słuchaczem był Stanisław Likiernik, choć akurat on – aktywny żołnierz Kedywu – miał się jak i gdzie „wyżywać”). Nic więc dziwnego, że gdy pojawiły się powtarzane szeptem informacje o możliwości zaciągnięcia się do oddziału rzeczywiście walczącego i wykonującego wyroki – była to sensacja.

Oprócz wojskowych ambicji, oczywiście również patriotycznego nastawienia, chęci poczucia adrenaliny i uczestniczenia w – jak to określa Lucjan Wiśniewski – „prawdziwym strzelaniu”, był jeszcze jeden powód tego zainteresowania: pieniądze. I walka o przetrwanie w sensie materialnym.

Większość członków podziemia oprócz pracy w konspiracji musiała dbać o utrzymanie, kombinować, zajmować się handlem, „kręcić się”, by pomóc bliskim. Mówią o tym setki relacji ludzi zaangażowanych w pracę podziemną. Pierwsza z brzegu: Waław Zagórski w dokładnie pokazującej dzień powszedni okupacji książce pisze o tym, o czym dziś często się nie pamięta – o głodzie. Nie śmiertelnym, tak jak w getcie, ale jednak silnym, męczącym, niedającym o sobie zapomnieć. We fragmencie dotyczącym maja 1941 roku Zagórski relacjonuje: „Warszawa głoduje. Ilość żywności na kartki jest coraz mniejsza. Wydają po kilogramie czarnego chleba na tydzień, raz na miesiąc trochę cukru i marmolady buraczanej, czasem po pół kilo mąki, coraz rzadziej po kawałeczku margaryny. Od dwóch miesięcy nie mieliśmy przydziału kartofli. Ceny produktów żywnościowych na czarnym rynku rosną z dnia na dzień. Trzeba mieć dobre chody, aby kupić choćby kilogram kaszy. Przemytnczy coraz częściej wracają z wypraw na wieś z pustymi rękami, nie tylko dlatego, że wzmogły się rewizje w pociągach i na dworcach, ale także dlatego, że na wsi wszystko wyżerają żołnierze niemieccy. No i przednówek.

Basia coraz staranniejsz odmierza kromki chleba. Jemy go raz na dzień. Dwa razy dziennie jemy trochę gotowanych w łupinach kartofli. Odsmażamy je, nacierając patelnię po kilka dni tym samym kawałkiem skórki od słoniny. Cukier Basia musi przede mną chować, bo w jeden dzień zjadłbym całomiesięczny przydział.

Polując na żywność, za czyjąś poradą wychodzę bardzo wczesnym rankiem pod Dworzec Główny. Takich sprytnych jak ja czeka tam już paruset. Przyszedł jakiś pociąg. Z dworca wychodzą ludzie. Do tych, którzy niosą worki, tłoczą się oczekujący.

- Co pan ma?
- Po czemu?
- Ile pan chce?
- Biorę wszystko!

Szybko przechodzą na drugą stronę Alei Jerozolimskich i chowają się w bramach. Już

wiem, jak się tu załatwia transakcje. Nie ma wag, nie ma detalu. Bierze się wszystko albo nic. Towary i pieniądze szybko przechodzą z rąk do rąk. Trzeba jednak mieć więcej pieniędzy, najmniej tysiąc złotych, aby coś kupić. Pieniądze się zwrócą tego samego dnia – znajomi natychmiast rozchwytną każdą ilość żywności.

Rozpaczynam nową karierę – czarnorynkowego handlarza”¹.

W połowie 1943 roku wiele osób słyszało już o 993/W. I chętnych do oddziału nie brakuje. Wywołuje to również kłopoty, głośno zrobiło się o problemach towarzyszących tworzeniu III plutonu w 993/W. Żołnierze, którzy do tego plutonu przeszli z innych jednostek, wywołali protesty... swoich poprzednich dowódców podstawowego i średniego szczebla. Oficerowie awanturowali się, bo nagle okazało się, że długie miesiące sprawdzania przyjętych żołnierzy, pracy szkoleniowej – jakakolwiek by była – wyrabiania konspiracyjnych systemów kontaktowych itp. idą na marne. Może nie na marne, bo przecież wróg dla wszystkich był ten sam, ale „wyciąganie” co lepszych podwładnych nigdy nie podoba się żadnemu dowódcy. Doszło do tego, że Stefan Ryś, dowódca 993/W, zmuszony został do wstrzymania rekrutacji aż do oczyszczenia atmosfery: posypały się mocne słowa i zarzuty o „kupowanie” żołnierzy.

W ramach reorganizacji Obwodu VI (Praga) oddział „Db-22”² został przekształcony w kompanię dywersyjną złożoną z trzech samodzielnie działających plutonów. Zostały one rozbudowane w drugiej połowie roku do trzydziestu, czterdziestu ludzi każdy. Plutony te oznaczono numerami 612, 613, 614. I właśnie z plutonem 614 (Kamionka), kierowanym przez Stanisława Gęsickiego, „Józefa”, związana jest głośna sprawa „przechodzenia” do 993/W.

Ślady bogatej dokumentacji na ten temat kryją teczki w Archiwum Akt Nowych i Dziale Rękopisów BUW-u³.

Oto notatka zdenerwowanego „Nurta”, płk. Antoniego Chruściela, komendanta Okręgu Warszawa-Miasto z 3 lutego 1944 roku, adresowana do „Kortuma”, płk. Antoniego Sanojcy, szefa Oddziału I – Organizacyjnego – KG AK, który albo nie wie, albo udaje, że nie wie, co się dzieje w podległym mu okręgu, a o sprawie werbowania do 993/W dowiedział się od Zygmunta Ryłskiego, „Hańczy”:

„Uprzejmie proszę o poinformowanie mnie, co to za komórka KG ma nazwę (kryptonim) 993/W. Sprawa poruszana tu przez Hańczy [werbunku żołnierzy] ma miejsce

od dawna i na terenie innych obwodów. Prosiłem już niejednokrotnie p. Nila o zaprzestanie takiego dzikiego werbunku, ale bez skutku”. („Nil” to gen. August Fieldorf, współorganizator i dowódca Kedywu AK).

Znaleźliśmy również skargę komendanta Kedywu Obwodu Praga, ps. „Łożysko”⁴, z 7 lutego 1944 roku. W piśmie tym „Łożysko” melduje, że w październiku objął dowodzenie grupą „Z.S”, tak zwaną grupą wykonawczą, w skład której wchodziło dwudziestu dwóch ludzi, w tym kpr. „Nieśmiały” (Ludwik Buczyński). W grudniu „Nieśmiały” został zastępcą dowódcy plutonu 614, „Józefa”, po czym wszyscy żołnierze przeszli – pisze rozżalony „Łożysko” – „bez mojej zgody” do grupy swojego byłego dowódcy, „Prawego”. Potem uszczegóławia, że chodzi o jedną czwartą „stanu ludzi”. Jeden z „przewerbowanych” żołnierzy zameldował, że działo się to „za wiedzą i zgodą góry” i jest to wykonanie rozkazu z 10 stycznia. Odtąd – tłumaczył się żołnierz, który wymówił posłuszeństwo w swoim macierzystym oddziale – są już w 993/W. Na pytanie, jakie tam mają warunki, żołnierz odpowiedział, że każdy dostaje gażę 1000 zł, dowódca patrolu 1700 zł, że przed i po każdej „robocie” otrzymują dobry obiad. Dodał również, że uzbrojenie mają bardzo dobre – to znaczy pistolety 9 mm z potrójnymi magazynkami i pistolety maszynowe, że „na każdą robotę mają samochód i doktora”.

Można powiedzieć, że to rzeczywiście wyborne warunki socjalne.

„Łożysko” melduje także, że już się na to skarżył i że dalej ma stałe wypadki przechodzenia ludzi do grupy „Prawego” celem poprawienia sobie „bytu”. „Wobec takiego stanu rzeczy mój prestiż został nadszarpnięty” – pisze. I w takich warunkach on pracować nie może, bo przecież nie jest w stanie oferować swoim ludziom tak dobrych warunków służby, jakie oferuje KG.

I tu włącza się dowódca 993/W „Fischer”, czyli Stefan Ryś. Oto notatka datowana na 24 lutego 1944 roku:

„Jak wynika z załączników, III pluton nie grzeszy powściągliwością w mówieniu, i do tego nieprawdy.

Jednym z podstawowych obowiązków żołnierza jest zachowanie tajemnicy, a już żołnierza w konspiracji obowiązek ten jest najgłówniejszym kanonem. To jedna strona medalu, a druga, nie wolno pod żadnym warunkiem kaperować żołnierzy z innych oddziałów AK. Absolutnie nie chcę mieć u siebie żołnierzy – którzy wykazali

nielojalność w stosunku do swoich przełożonych. Nie chcę mieć też w Oddziale żołnierzy, którzy do niego się zgłaszają po ekwiwalent w gotówce. Chcę, by 993/W było oddziałem wyborowym, by w skład 993/W wchodziłi żołnierze w całym tego słowa znaczeniu bez skazy i zmazy.

993/W ma już swoją chlubną tradycję i nie ma tam miejsca dla kłamców, blagierów i plotkarzy. Nie chcę mieć też zatargów z innymi D-cami.

Wobec tego zarządzi Pan dochodzenie i ustali:

- 1) winnego czy winnych zdradzenia tajemnic Oddziału,
- 2) wszystkich, którzy w niewłaściwy sposób – to znaczy nie w drodze służbowej – przeszli z Oddziału 614 do 993/W.

Meldunek o wykonaniu przedstawi Pan na piśmie do dnia 6 III 44. Zakazuję werbowania członków do Oddziału”⁵.

Wywołany poczuł się podporucznik „Prawy”. 29 lutego odpowiedział na pismo. Z odpowiedzi przebija żal i chęć sprostowania, jego zdaniem, niezgodnych z prawdą uwag i przytyków. Szczególnie urażony był „Prawy” słowami o „kłamcach, blagierach i plotkarzach”, które wziął do siebie. Przypomniał, że w wojsku służy już dwadzieścia lat, a jego praca dla Ojczyzny jest bezinteresowna. Zaznaczył, że teza o przechodzeniu do 993/W ze względów materialnych jest nieprawdziwa, a samo podejrzenie, że takie motywacje występują, uważa za obraźliwe: „z całą stanowczością stwierdzam, że w szeregach III plutonu nie ma ludzi, którzy służbę traktowaliby jako źródło dochodu. Do zgłoszenia się ich do oddziału 993/W kierowała ambicja dobrych żołnierzy, pragnęli bić się i ginąć za Polskę, a nie za sprawy prywatne w tak zaszczytnych szeregach, jakimi są oddziały KG [...]”. I dalej: „Ja tych ludzi nie kaperowałem. Oni sami się do mnie zgłosili, prosząc o przeniesienie”⁶.

„Prawy” „przerzuca piłkę” na pole „przeciwnika” – pisze wprost, że to w innych oddziałach żołnierze mogli pracować dla zysku osiąganego nie tylko w legalny (oferta honorariów) sposób: „W pierwszym meldunku, który wycofałem, meldowałem o tem, że moim ludziom jak i mnie grożono tem, że »niejeden łepiek polecie«. Wątpię więc, aby ludzie dla kilkuset złotych miesięcznie ryzykowali swoje życie [...] Sądzę, że odpada moment posądzenia ich o przejście z chęci zysku. Zyski mogli raczej osiągnąć na Pradze, gdyż poza udziałami w »impresach dochodowych«, co miało miejsce ostatnio, do ludzi,

którzy byli już w ewidencji Oddz. 993/W, por. Jurek zwracał się z namowami powrotu, obiecując za każdą robotę 1000 zł. Jak wynika z tego, oświadczenia pana Łożyisko raczej należy zastosować do por. Jurka i jego obecnych podkomendnych”.

„Imprezy dochodowe” to wykorzystywanie pozycji i służbowej broni w celach zarobkowych – tzw. prywatki. Temat nieczęsto obecny w badaniach dnia codziennego żołnierzy państwa podziemnego.

Spotkał pan w oddziale ludzi, którzy dołączyli do was ze względu na pensje?

Nie. Do nas chcieli przechodzić żołnierze najodważniejsi, tacy, co chcieli działać, aktywni. No to nic dziwnego, że ich z rodzimych oddziałów nie chciano puszcząć. Przecież ze mną i z „Gilem” było podobnie, prawda? W sprawę naszego przejścia do 993/W wmieszał się dowódca pułku „Garłuch” – major „Wysocki”. Nie chciał nas wypuścić, chciał mieć kozaków u siebie. I dopiero po akcji na Maryniuka, dał zielone światło, ta akcja była naszą przepustką. Puścił nas, ale tak naprawdę aż do powstania działaliśmy w dwóch oddziałach. A ludzie się pchali do 993/W, bo zaczęli pisać o nas w „Biuletynie Informacyjnym”. A skoro piszą o kontrwywiadzie, to znaczy, że to ważniejsze od oddziałów liniowych...

Dla pana miało znaczenie to, że dostawaliście duży jak na warunki okupacyjne żołd?

Miało. Trzeba było za coś żyć. Ale przecież to nie było najważniejsze. A werbowanie szło samoistnie: każdy coś tam powiedział koledze, ten drugiemu i fama szła. Oddolnie. Młodszy przychodzili, potem się rozruszali, to było świetne wojsko już w powstaniu. Ale na początku w 1943... to było różnie.

Jak wtedy, gdy na cmentarzu czterech ludzi przyszło zlikwidować kobietę – denuncjatorkę stojącą przy grobie męża (wcześniej zabitego również na mocy wyroku podziemnego sądu). I tak ją otoczyli, że sami się postrzelili, dwóch z czterech żołnierzy było rannych. Elita, nie ma co.

Wiedzieliśmy o tym, to było głośne. Dwóch rannych, jeden w brzuch. To na pewno był błąd w sztuce. W oddziale 993/W należałem do najdłużej pełniących służbę. W oczach tych nowych byliśmy starszyzną i nie byliśmy lubiani. Mówię, jak jest. Nie lubili nas, bo byliśmy pierwsi. A nowi byli niedoszkoleni. Ci z cmentarza to dzieciarnia. Ale to nie ma związku z tym, jaką mieli motywację, gdy przyszli do oddziału. Pewnie różną.

Opowiadał nam pan o napadach braci Bąków na sklepy.

Tak. To też było znane. Grupką wchodzili do sklepu Meinla i wybierali – tego kilogram, tego dwa i tak dalej. I jak mieli już wychodzić, to wyjmowali pistolety i mówili: „Nie mamy pieniędzy, jesteśmy z podziemia i nie zapłacimy, prosimy dopiero za pół godziny zawiadomić dyrekcję i policję, bo inaczej będą wyciągnięte konsekwencje”. I to działało. Taka oficjalna kradzież. Jak nasi szefowie się dowiedzieli, to oprócz tego, że byli źli, bo to jednak napady były, i „Naprawa” miał grube nieprzyjemności⁷, to pomyśleli, że to po prostu nie jest bezpieczne. I wtedy dzięki tym numerom zaczęli nam płacić żołd, żeby nikt do sklepów, nawet niemieckich, bez pieniędzy nie chodził⁸.

To była duża pensja.

Duża. Znacząca. Półtora tysiąca⁹. Wystarczało na jedzenie dla mnie i rodziców. Nie oszczędzałem.

¹ Waclaw Zagórski, *Wolność w niewoli*, Gdańsk 2014, s. 166–167.

² Dowódcą oddziału Db-22 na Pradze był por. Jerzy Tęsiowski, „Zawada”.

³ Dział Rękopisów BUW-u, Archiwum Bieleckiego,teczka 2974.

⁴ Kim był „Łożysko”, tytułujący się w piśmie komendantem Kedywu Obwodu Praga, nie udało się nam ustalić.

⁵ Archiwum Akt Nowych, Archiwum Zakrzewskiego, AAN 203-III-107, s. 3.

⁶ Dział Rękopisów BUW, Archiwum Bieleckiego,teczka 2974, s. 49–51.

⁷ Więcej niż „nieprzyjemności”. Jak wskazywaliśmy, według Jacka Wilamowskiego „De Vran” za napad na sklep i kradzież pieniędzy (które w dużej części rozdał podkomendnym) miał być skazany przez podziemny sąd na śmierć. Sprawę jednak odłożono do wyjaśnienia. Por. przypis 4, rozdz. 1.

⁸ „Pensje” były skrupulatnie rozliczane. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, pisze, o jaki ból głowy przyprawiał Komendę Główną skarbnik 993/W „Gozdawa”, sierżant podchorąży Janusz Radke, drobiazgowo rozliczający każdy grosz. „Ze względów konspiracyjnych prosili [KG], by pewne wydatki podawać globalnie, np. zasiłki tyle i tyle, zakup broni... przejazdy itp., ale »Gozdawa« nie chciał się na to zgodzić i przysyłał im na przykład całą listę płacy z pokwitowaniami chłopców oraz pozycje z datami i okolicznościami, które spowodowały te wydatki. Załączał do tego moje lub »Józefa« zezwolenia na wypłaty. Doprowadzało to skarbnika z Komendy do białej gorączki [...]”. S. Matuszczyk, „Porawa”, *Oddział bojowy kontrwywiadu...*, dz. cyt., s. 108.

⁹ Tomasz Szarota, w rozdziale *Czarny rynek swojej pracy Okupowanej Warszawy dzień powszedni* (Warszawa 2010) pisze (s. 193), że miesięczny zarobek szmuglera i nielegalnego handlarza „czarnym towarem” w 1941 roku wynosił około 1200–1680 zł. Ceny w 1943 roku: kg mięsa wołowego – 83 zł, kg mięsa wieprzowego – 130 zł, kg masła – 196 zł, kg cukru – 87 zł, kg ziemniaków – 4,19 zł, litr wódki – 170 zł. Legalnie mieszkańcy Warszawy w 1943 roku przysługiwało tygodniowo 900 g chleba, 400 g mąki, 200 g cukru, 125 g kawy zbożowej i pudełko zapalek (s. 201).

Rozdział 6

„Puchacz” miał mankament, że był do Żyda podobny

Pobraliśmy broń. Wychodzimy z lokalu Elektoralna 7. Jakaś podrzędna robota. Idziemy piątką. „Naprawa” prowadzi. Mamy przejść z placu Bankowego w okolice Żelaznej Bramy, gdzieś tam, już dziś dokładnie nie pamiętam gdzie. Dzielimy się na dwójki. Idę z Zygmuntem Szadokierskim, „Puchaczem”. Zygmusz był krótkowidzem. Na jego grube szkła mówiliśmy teleskopy. One mu trochę przeszkadzały. Nie zdarzyło się jednak, żeby przez to nawalił, ale żartowaliśmy, że nigdy nie wiadomo, kogo zobaczy za tymi swoimi szklami i czy nie zacznie strzelać. Dogryzał mu chyba „Kobuz”, że „Puchacz”, zanim kogoś zastrzeli, musi wymacać, czy strzela do właściwego delikwenta.

Idziecie z „Puchaczem” we dwójkę. Broń za pasem.

Idziemy. On miał taki mały mankament w czasie okupacji, że był do Żyda podobny. To nawet widać na zdjęciach – trochę semickie rysy. Ale tylko trochę. Idziemy na tę akcję i co się okazuje. Na ulicy Przechodniej – od placu Bankowego do Żelaznej Bramy – w pewnym momencie odkleja się od ściany jakiś człowiek, starszy od nas, ale jeszcze młody, może trzydziestoletni – i podchodzi. Staje nam na drodze. Patrzy tak na Zygmusia i tylko tak go palcem wskazuje: chodź no, chodź no, chodź, chodź! Jakby urwisa przywoływał. A my przecież z bronią.

Był sam czy miał obstawę?

Sam. I ciągnie Zygmuś do bramy. Pomyślałem: co on, cholera, zwariował? Zygmuś do mnie szepcze: „On myśli, że ja jestem Żydem”. Tyle. Zastawił nam przejście wśród ludzi na chodniku, nie było szansy, żeby go ominąć bez jakiejś awantury. Ten człowiek chciał to załatwić po cichu...

Dyskretnie.

No tak. Zależało mu, jak im wszystkim, żeby to odbywało się dyskretnie. Najczęściej im się udawało. Ludzie byli przerażeni. I tym razem też się udało. „Puchacz” posłusznie, żeby nie robić zamieszania, wszedł z nim do tej bramy. Potem na klatkę schodową. Bo szmalcownicy lubili wciągnąć w bramę i głębiej, żeby interesy ubijać bez świadków. Po cichu, w cieniu. Wszedłem i ja.

Na pana nie zwrócił w ogóle uwagi... Ten pana „błogosławiony” wygląd dzieciaka...

Zupełnie, tak był zajęty „Puchaczem”. Pewnie już liczył zysk. Postawił Zygmuś pod ścianą i chyba chciał mu spodnie zdejmować. Podszedłem wtedy od tyłu i wbiłem mu lufę pistoletu pod żebro, tak z boku. Ukłuło go, bo jęknął. Mówię: „Skurwysynu, chcesz żyć?”. Kompletnie go to zaskoczyło. Bardzo się przestraszył. Bardzo. Zbaraniał. Chyba nigdy nie spotkał Żyda z bronią. Bo „Puchacz” też miał swój pistolet i też go wyciągnął. Rzuciliśmy kilka uwag na temat, jakiej to matki jest synem, i poszliśmy.

Puściliście go?

Mieliśmy przecież swoją robotę. Czekali na nas.

AK strzelała do szmalcowników, brał pan udział w takich akcjach. Ale to nie była jakaś masowa skala. Ci, którzy zarabiali, szantażując Żydów, nie bali się jakoś szczególnie podziemia. Z wielu relacji z tego okresu wynika, że szmalcownicy byli w zasadzie bezkarni, uprawiali swój proceder w biały dzień... Była w to również włączona Polska Policja Kryminalna, takie polskie Kripo, zorganizowane przez Niemców.

Tak, i to straszne. Było wielu podłych ludzi. Nie na wszystkich były wyroki. Nie dało się. Ale nasza robota polegała również na tym, aby tak „czyścić”, by Polacy mogli sobie ufać nawzajem.

A Żydzi? Żydzi nie mieli prawa, żeby komuś ufać?

Kiedyś, to był 1943 rok, znaleziono w naszej okolicy dziewczynkę. Nie mogła mieć więcej niż trzy lata. Pięknie ubrane dziecko, odświętnie, w najlepsze rzeczy chyba, jakie mieli rodzice. Pracownik obsługi stacji pomp znalazł ją pod drzewem, płaczącą, jak szedł do pracy o szóstej rano. To było w czasie powstania w getcie.

Rodzina ją przerzuciła przez mur i zostawiła w lesie?

Nie, rodzina ją uratowała o wiele wcześniej. Pewnie kupiła jej pobyt po tej stronie, aryjskiej. I to żydowskie dziecko, śliczne dziecko, ktoś teraz wyrzucił, wypchnął na ulicę, bo się przestraszył, gdy powstanie wybuchło. Nie wiem, może pieniądze się skończyły? Dziewczynka ledwie mówiła, malutka, nie powiedziała nawet, jak ma na imię. Ten człowiek ze stacji pomp (swoją drogą tam w tych pompach była skrytka na broń całego „Garłucha”) wziął dziewczynkę ze sobą, a potem, nie wiedząc, co robić, zaprowadził do najbliższego sklepu, bo tam przecież ludzie bywają, tam się toczy życie. Siostra właściciela sklepu, człowieka, który nam pomagał, miała za męża wysoko postawionego przed wojną urzędnika poczty. Dobrze im się powodziło, jakoś sobie radzili nawet w czasie okupacji, ale nie mieli dzieci. Ten sklepikarz właśnie u szwagra trzymał cały towar, którym nielegalnie handlował: jakiś boczek, szynkę, bimber. Wszyscy wiedzieliśmy. Ale o tym chcę powiedzieć, że ten urzędnik z żoną przygarnęli dziewczynkę. A mieszkali w domu obok innego dawnego urzędnika poczty, który swój domek przebudował, zrobił taras i zamienił na kawiarnię, żeby jakoś utrzymywać rodzinę w okupację. Przychodzili do niego lotnicy niemieccy, bo w okolicy blisko były koszary, pełno tam było żołnierzy w stalowych mundurach: randki z dziewczynami, śpiewy, hałasy. Właściciel kawiarni był skłócony z sąsiadami, którzy mieli pretensje, bo był hałas i niebezpieczeństwo dla biznesu, dla

przechowywania towarów nielegalnie sprzedawanych w sklepie. I dodatkowo jeszcze pojawiło się to żydowskie dziecko, a zaraz za płotem tarasik i pełno niemieckich żołnierzy. No i tak, ci ludzie od kawiarni, skonfliktowani z rodziną sąsiadów, napisali donos do żandarmerii. Niestety. Napisali, że w tym domu jest jakieś podejrzanе dziecko. Chcieli się zemścić za to, że sąsiedzi czepiają się ich, że jest głośno i niebezpiecznie. No i przyjechało trzech żandarmów na motorze z przyczepą i chcieli zobaczyć żydowskie dziecko. Ten człowiek, co przygarnął dziewczynkę, na stół wystawił parę butelek bimbru, jakieś jedzenie, boczek, słoninę, wszystko, co miał w spizarce, a miał tego dużo. Żandarmi pojedli, popili, dogadali się jakoś. Opowiadał mi potem, że nie mógł uwierzyć, że oni, pijaniuteńcy, na ten motocykl w ogóle dali radę wsiąść i pojechać. Ale ważne, że pojechali ułagodzeni, o dziecko nie pytali, zostawili nawet ten anonim! Potem ten list był dowodem. Sprawa trafiła do nas, do „Garłucha”. To nie jest w porządku, jak sąsiad chce wydać sąsiada i to przygarnięte dziecko... – to była kwestia życia! Pierwsza decyzja: zastrzelić. Ale przecież będzie śledztwo, to może się źle skończyć. Poszliśmy więc w kilku do tej kawiarni i tego człowieka tak złomotaliśmy, że po trzech miesiącach kawiarni już nie było. Dziewczynka została przekazana gdzieś na przechowanie, przeżyła i po wojnie ci państwo, nowi rodzice, ją oficjalnie adoptowali.

Poznała swoją historię?

Opowiedziałem jej o tym. Kilkanaście lat temu. Wcześniej nic nie wiedziała. I chyba nie chciała wiedzieć, swoim dzieciom chyba nic nie powiedziała. Jest ochrzczona, o swoich opiekunach mówiła przy mnie, jako już sześćdziesięcioletnia kobieta, nie inaczej niż „moja mamusia”, „mój tatuś”. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że była tym dzieckiem. Dlatego nie używam nazwisk, jak wam o tym mówię. A akcje na szmalcowników robiliśmy. Były takie roboty. Przecież duża akcja na Maryniuka była z tym związana. To był szmalcownik nad szmalcownikami.

Nie mówiliśmy, że w ogóle nie tępiłście szmalcowników. Ale nie było to powszechne, liczba akcji wobec bandytów nie wygląda imponująco. A były

ich całe grupy. Był nawet „król szmalcowników”. Na niego rzeczywiście był wyrok.

Nazywał się Karcz. Chyba Tadeusz. Zapamiętałem, bo przypadkowo był u nas jakiś chłopak o takim samym nazwisku i mi się ono zawsze kojarzyło. I tego szmalcownika Karcza śledziła „Teresa”.

Nie udało się go wam dostać. To był cywilny funkcjonariusz Kripo, wielce zasłużony w swoim zbrodniczym fachu. „Gigant szmalcownictwa” – tak go nazywa Adam Hempel w książce o granatowych policjantach¹. Karcza namierzali „Teresa” z „Cugiem”, ale spalili akcję, popełnili błąd, zauważył ich i „Twardy” odwołał likwidację. Karcz zginął dopiero 8 listopada 1943 w kawiarni „Swann”. Zlikwidował go Kedyw ze Śródmieścia. Zresztą w trakcie koncertu Mieczysława Fogga.

To ładnie mu zaśpiewał.

Ładnie. Ale chodzi nam o to, że zwykłych szmalcowników można było zwalczać bez skomplikowanych przygotowań, a mimo to pierwsze likwidacje miały miejsce dopiero wiosną 1943. Późno, prawda? Nie byli trudnym celem. I jak coś im się przydarzało, to przecież nie było niemieckiego odwetu.

Maryniuk był trudnym celem.

Bo to był ważny człowiek z Kripo – komendant powiatowy w Pruszkowie. Ukrainiec.

To była akcja „Garłucha”, choć nasze, czyli moje i „Gila”, doświadczenia z 993/W już się przydały. Otarliśmy się wtedy o śmierć, to mogło się tragicznie skończyć. A zaczęło się od kolejarzy, dwóch naszych ludzi, jeden mieszkał w Pruszkowie, drugi chyba w Żyrardowie. Byli przetokowymi – pracowali na stacjach przeładunkowych, gdzie jakieś rzeczy z pociągów przeładowywano, odłączano wagony towarowe, potem łączono w składy, które jechały dalej, taka robota – przetaczanie wagonów za pomocą małych lokomotyw. Ci dwaj nasi

ludzie znali się, lubili, zaczęli dla podziemia podkradać z tych transportów przede wszystkim środki medyczne – opatrunki, bandaże. Po jakimś czasie chyba trochę się rozzuchwalili, rozpruwali te skrzynki, patrzyli, co w nich jest, długo to robili, miesiące. W końcu Niemcy ich namierzyli i złapali na gorącym uczynku w Pruszkowie. Odstawili ich do policji kryminalnej. A tam komendant... Maryniuk. Przesłuchuje. Wziął ich nie za żadnych żołnierzy, ale za zwykłych złodziei z miasta. I zakładał, że ci chłopcy dużo wiedzą o sąsiadach, o ludziach z okolicy. I zaczął ich wypytywać, czy wiedzą, kto i gdzie ukrywa Żydów. Bo on na tym zarabiał, na szantażowaniu i wydawaniu Żydów. To go interesowało. Mówi tym kolejarzom, każdemu osobno: „chcesz żyć, musisz mi powiedzieć, gdzie się ukrywają Żydzi”. Jeden chłopak odmówił, skończył w obozie, potem dowiedzieliśmy się od rodziny, że zginął. Drugi rzeczywiście wskazał jakieś adresy i go z posterunku po dwóch dniach puścili, jak złapali tych przechowywanych i przechowujących. Tego chłopaka, co wsypał, ruszyło sumienie, przyszedł od razu do przełożonych i opowiedział, że Maryniuk zmusił go do wydania Żydów. To jego zeznanie było potem w sądzie specjalnym rozpatrywane. Zapadł wyrok na Maryniuka i przekazano sprawę do „Garłucha”, za wykonanie byłem odpowiedzialny ja, choć formalnie należałem już do 993/W. Zlecił mi to dowódca pułku „Garłuch” [Madagaskar], „Wysocki”. Powiedział: puszczę was z „Garłucha” do 993, jak jeszcze zrobicie mi tę ostatnią akcję, jak zrobicie Maryniuka. I to była trudna akcja.

Ewald Maryniuk mieszkał w pobliżu koszar i posterunku żandarmerii (Juliusz Kulesza podaje nawet dokładny adres – Pruszków, ul. Szopena 8A²). Rzadko nie miał towarzystwa, trudno było go spotkać w okolicznościach sprzyjających wykonaniu wyroku.

Tak! Jeździliśmy do Pruszkowa kilka razy, pieszo też parę razy szliśmy. Ale najważniejsze, że wciąż nie wiedzieliśmy, jak ten Ukrainiec wygląda, przecież go nie widzieliśmy wcześniej. Nie podejźmiemy i nie zapytamy: „Przepraszam, czy pan komendant Maryniuk?”. I wtedy przyszedł z pomocą niezastąpiony granatowy policjant Okuń. Dowiedział się, że policja kryminalna w Pruszkowie

szuka tłumaczki. A jego żona mówiła doskonale po niemiecku! I zatrudniła się tam przede wszystkim po to, żeby wskazać nam Maryniuka, żeby poznać jego zwyczaje, kiedy przychodzi do pracy, kiedy wychodzi, sam czy z kimś i tak dalej. Jak mi to Zygmunt [Okuń] powiedział, że jest taka możliwość, to aż wierzyć mi się nie chciało, że będziemy mieli wtyczkę w Kripo! I ta pani zorganizowała mi wizytę jako interesantowi...

Z jakim interesem mógł pan do niego iść?

No właśnie takim... że chcę mu wskazać ukrywających się Żydów. Poszedłem. I na korytarzu żona Okunia pokazała mi Maryniuka. Żebym go sobie obejrzał i wiedział potem, do kogo strzelać. Pamiętam, stałem z nią, a ona po niemiecku krzyknęła: „Komendancie Maryniuk!”, obejrzał się wielki, niechlujnie ubrany, zwalisty chłop. Bałem się, bo to nie była naturalna scena, jak ona go zawołała. Ale się udało. To był wywiad, co? Lepszy niż potem w 993. Ci policjanci granatowi z Włoch to była pierwsza klasa.

I żony wciągali do działania...

Ona była odważna. I Okuń to był wielki człowiek, bardzo nam pomagał.

Kiedy wykonaliście wyrok?

To było całe polowanie. Mieszkał w kamienicy, gdzie zakwaterowano urzędników niemieckich i kierowców – na dole był duży parking. Pełno Niemców, nie można było go tam dostać, to samo w budynku, gdzie pracował, bo całe trzy piętra były obsadzone. Więc stało się jasne, że musimy go złapać gdzieś po drodze. Duży kłopot. Trzy, cztery razy wzięliśmy kilku ostrzelanych chłopaków i czekaliśmy na tej trasie. Maryniuk czasem używał niewielkiego łazika, czasem jeździł czarnym normalnym samochodem osobowym, miał też motocykl do dyspozycji, rzadziej jeździł rowerem. Pracował w różnych godzinach. Nic nie wychodziło, nie wiedzieliśmy, jak go ustrzelić, przecież nie mogliśmy godzinami stać pod tym domem niemieckim. Prawie miesiąc się czailiśmy. Któregoś dnia z „Gilem” coś nam nie wyszło w Warszawie, więc żeby

trochę odreagować, mówię: „Chodź podjedziemy WKD do Pruszkowa, zobaczymy, może pokręcimy się pod domem Maryniuka”. Wysiedliśmy z kolejki i idziemy do miasta taką drogą, parę budynków tam stało, trochę dalej siedziba Kripo, obok w domu „Pod Bocianem” dowództwo całej kompanii policyjnej. Teraz to jest normalna ulica, byłem tam niedawno, wszystko się zmieniło, ale wiecie, jak się dziś nazywa? Powstańców!

Wasza ulica.

No jakby. Idziemy z „Gilem”. I patrzę – cud! Z naprzeciwka jedzie na rowerze sam Maryniuk! Naprawdę! Zamurowało mnie. Ale były tak fatalne warunki... Tu widzę dwóch Niemców mundurowych przed nami, z przeciwka, jakby za plecami Maryniuka, widzę kolejnych dwóch idzie... Wahałem się, nie wiedziałem, co robić, przecież jak wyjmemy pistolety i zastrzelimy tego kolarza, to chwilę potem sami zginiemy! Ale moim problemem był Rysiek. Wiedziałem, jaki jest wrywny, odważny... On nigdy Maryniuka nie widział, ale chyba zobaczył, że pobladłem, że wielkie oczy zrobiłem, dołożył sobie do tego te opisy wszystkie, które od miesiąca słyszał, gdy się na faceta czailiśmy, no i domyślił się, że ten człowiek jadący z naprzeciwka to Maryniuk! Nie zdążyłem za rękę go złapać: wyjął pistolet i zaczął strzelać. Jak już zaczął, to ja dołożyłem swoje. Maryniuk leży na drodze, a Rysiek pyta mnie: „Dokąd uciekamy?”. Tak! Wtedy mnie zapytał, dokąd uciekamy! Posłałem mu przekleństwo. Byłem pewien, że nie wyjdziemy z tego żywi. Na szczęście ci niemieccy żołnierze, co szli ulicą, podwracali się na piętach i zaczęli uciekać. A my biegiem w stronę kościoła, stoi i dzisiaj ten kościół z czerwonej cegły, przeskoczyliśmy parkan, nigdy w życiu tak szybko nie przeskoczyłem żadnego płotu. Przebiegliśmy plac kościelny, jakieś kolejne płoty i dobiegliśmy do drogi strasznie dziurawej, wyboistej, prowadzącej do Komorowa. Idziemy normalnie już, spokojnie. Z obu stron pola, żadnych zagajników, mało drzew, tylko żyto niskie. Nagle z tyłu słyszemy motocykl. Obława! Jadą w naszą stronę. Stanęliśmy na poboczu i czekamy, bo nie ma gdzie uciekać. Stoimy. Boję się, bo „Gil”, wariat, zaraz pewnie zacznie strzelać do tego patrolu na motocyklu, wtedy zaraz kompania niemiecka przyleci, bo to kilkaset

metrów od miasta, strzały słycać, i nie przeżyjemy. Widzę, że usta mu aż zsiniały, że zaraz wyciągnie pistolet, mieliśmy wtedy visy, z daleka można visem trafić, no, ale teraz to bez sensu... Mówię do niego: „Widzisz, idioto, strzelałeś, teraz nas doszli żandarmi, co na to twoja matka by powiedziała!?” Bo wiedziałem, że jedyną osobą, której „Gil” się boi, jest jego matka. I jakoś go to przystopowało. Motocykl był już blisko nas, taki motocykl bez kosza, ten żandarm z tyłu musiał się trzymać na wybojach, nie bardzo mógłby strzelać i chyba zdał sobie z tego sprawę... A my stoimy i patrzymy na nich, pięćdziesiąt metrów, trzydzieści, visem to już spokojnie można trafić muchę w locie... Stoimy odwróceniem do nich, ręce w kieszeniach, czekamy. Wyboje, jadą wolno, zrównali się z nami, patrzą nam w oczy, a my im... Wydawało mi się, że trwa to strasznie długo... Przyspieszyli, szurnęli tym motocyklem w stronę Komorowa. Też wiedzieli, że jak spróbują nas zatrzymać, to nie przeżyją. A chcieli przeżyć. Tak jak my! Pojechali. Skręciliśmy w prawo w pole i w tym młodym zbożu szliśmy do kolei szerokotorowej, tej pruszkowskiej. Dwie godziny później byliśmy w Warszawie. Maryniuk zastrzelony.

Szmalcownik nad szmalcownikami.

Zapłacił za swoje.

Opis akcji likwidacyjnej Maryniuka przytacza również Stefan Matuszczyk, „Porawa”, dowódca 993/W. Swoje wspomnienia pisał po wojnie. Cytujemy je poniżej. Szczegóły akcji na Maryniuka w wersji „Porawy” są prawie takie same jak w opowieści naszego bohatera – dowódca „Sępa” i „Gila” pisał swój tekst, wyraźnie korzystając z powojennych rozmów z tym pierwszym. Sprawozdanie różni się od opowieści Lucjana Wiśniewskiego jedynie w kilku miejscach, ale pisane bliżej czasów, których dotyczy, obrazowe, jest naszym zdaniem warte przytoczenia.

„»Gil« [...] decyduje się jechać jeszcze raz do Pruszkowa, ale tylko z »Sępem«, gdyż obawia się, że cały patrol miałby trudności w wycofaniu się, a tym razem bez względu na przeszkody chce zakończyć całą sprawę.

W piękny, letni poranek wysiedli obaj z kolejki EKD i udali się w stronę posterunku

żandarmerii. Znudzony wartownik oparty o drzwi wejściowe patrzył obojętnie na nielicznych przechodniów. »Gil«, nie wyjawiając koledze swojego planu, podchodzi zdecydowanym krokiem do niego i pyta o komendanta. Ten odpowiada, że go nie ma i nie umie powiedzieć, kiedy będzie. W czasie tej krótkiej rozmowy »Sęp« zorientował się, że jego dowódca chciał przeprowadzić likwidację na posterunku żandarmerii, bez żadnego rozpoznania, ot tak, »na wariata«, jak to się wtedy mówiło, toteż odetchnął swobodniej, usłyszawszy odpowiedź żandarma, i nie szczędził wyrzutów koledze za jego lekkomyślność. Ten jednak zły, że go nie zastał, machnął ręką i skierował się w stronę kościoła.

Pięćdziesiąt metrów od posterunku żandarmerii »Sęp« zauważył, że naprzeciw nich jedzie ktoś na rowerze, i po chwili rozpoznał w nim tak bardzo poszukiwanego komendanta. Sytuacja do przeprowadzenia likwidacji była zła, gdyż przed nim szedł Niemiec o jakieś pięć kroków, a za komendantem drugi. »Gil« nie znał delikwenta, toteż »Sęp« postanowił nie mówić mu o tym. Nie potrafił jednak nerwów utrzymać na wodzy i »Gil« po jego zachowaniu się odgadł prawdę. Niewiele namyślając się, wyciągnął pistolet i strzelił do przejeżdżającego. »Sęp«, chcąc go w ostatniej chwili powstrzymać, krzyknął:

– Wariacie, co robisz?

Było już za późno.

Wobec tego również wyciągnął pistolet i najpierw strzelił do leżącego, ale dającego znaki życia komendanta, a następnie do uciekających w stronę posterunku żandarmerii dwóch Niemców. »Gilowi« zaciął się colt i kłął w żywe kamienie, starając się usunąć defekt.

– Którędy wiejemy? – pyta.

– A żeby cię jasna cholera! – odpowiada »Sęp«.

I pierwszy przeskakuje parkan okalający kościół. W ten sam sposób sforsowali jeszcze pięć płotów i wydostali się na puste pole. Przechodzący ludzie patrzyli na nich jak na opryszków, ale nie przeszkadzali w ucieczce, widząc w ich rękach pistolety. Obydwaj biegną jak najszybciej drogą w kierunku na Komorów. Na sto pięćdziesiąt metrów przed jakimiś zabudowaniami zwalniają i udając spokojnych spacerowiczów, idą wolno, nic do siebie nie mówiąc. »Sęp« ze złości, a »Gil« – bo takie miał usposobienie.

W momencie gdy już poczuli się bezpiecznie, usłyszeli nagle za sobą warkot motocykla. Zobaczyli jadących w ich stronę dwóch żandarmów w hełmach.

»Gil« przybladł trochę i mocno zaciął usta, wyjmując błyskawicznie dwa pistolety i uskoczywszy w bok, szykuje się do walki. Droga jest wyboista i żandarmi jadą wolno. »Sęp«, którego zawsze cechowała »zimna krew«, nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach orientuje się, że w wypadku zastrzelenia Niemców nie ujdą pogoni, gdyż na odgłos strzałów zaraz nadjedzie większa ilość szkopów w samochodach. Uciec na motorze też nie mogą, gdyż nie umieją go prowadzić. Pozostaje więc jedyna szansa ocalenia – nie strzelać do Niemców.

– Schowaj maszyny – warknął.

»Gil« chwilę wahał się, a następnie włożył je do kieszeni płaszcza, nie wypuszczając jednak z rąk. »Sęp« za wszelką cenę chce powstrzymać go od przedwczesnego strzelania. Ale jak tego dokonać? Prosi go więc, aby tym razem on miał pierwszeństwo w oddaniu strzału, chyba że Niemcy zaczną strzelać z daleka. Mówi to, bacznie obserwując »Gila«, i z przerażeniem widzi jego skupioną, zaciętą twarz, która nie wróży nic dobrego.

Chwyta się podstępnie, zaczyna pytać o jego matkę i prosi, by mu o niej opowiedział – »Gil« reaguje z pewnym ożywieniem i daje się wciągnąć w rozmowę. Tymczasem żandarmi są już blisko i zwalniają, chcąc się zatrzymać, widząc jak »Gil« cierpi, zwalczając chęć natychmiastowego otwarcia ognia.

Chłopcy jak zgłodniałe wilki patrzą na wroga, który widocznie w ich oczach dostrzegł tyle nienawiści, że stchórzył. Prowadzący motocykl dodał gazu i podskakując na wybojach, szybko odjechał w stronę Komorowa. Dalsze wycofywanie odbyło się bez przeszkód.

»Sęp« wiedział, czym może uspokoić »Gila«, i dlatego specjalnie zaczął rozmowę o matce.

Ten chłopak, który imponował wszystkim odwagą, był najbardziej kochającym i oddanym synem. Matka wiedziała o jego pracy w konspiracji, nie była jednak wtajemniczona, jak bardzo syn naraża się na niebezpieczeństwo, bo »Gil« nie chciał jej martwić”.

W 1944 roku, przed wybuchem powstania warszawskiego, w Komendzie

Głównej AK i w „jej okolicach” stała się rzecz okropna: miało miejsce swoiste „polowanie na Żydów”. Fakt, że w samym AK doszło do czegoś w rodzaju wojny domowej, a jej ofiarą padli wysocy funkcjonariusze BiP-u, których „narodowe” skrzydło oskarżyło o komunistyczne sympatie i żydowskie korzenie (co dla wielu narodowców znaczyło to samo). Na liście proskrypcyjnej działaczy podziemia, których „należy bezwzględnie zlikwidować”, znalazł się wasz zwierzchnik, bezpośredni przełożony Stefana Rysia, Bernard Zakrzewski, ps. „Oskar”. Ktoś wypomnił mu żydowskie pochodzenie. Groziła mu śmierć. Albo miała go zlikwidować grupa Andrzeja Sudeczki, albo miał zostać zadenuncjowany na Gestapo. Nie doszło do tego. Chcieliśmy zapytać, czy odpryski tej kontrowersyjnej sprawy dochodziły jakoś do was „na dole”?

Nic o tym nie wiem. Nigdy nic takiego do mnie nie dotarło. Może już nie pamiętam. Nie wiedziałem też, że „Oskar” miał żydowskie korzenie.

W tym wypadku Żydem był ten, kogo narodowcy za takiego uznali.

Brałem udział w likwidowaniu sąsiada Rysia, z za ściany, ale to z zupełnie innego powodu, prewencyjnie. O „Oskarze” i jego kłopotach nic nie wiedziałem³.

Wspomnił nam pan trochę „przy okazji” o jednym ze swoich kolegów, jednym z najważniejszych żołnierzy 993/W, tym, który miał dziewczyny Żydówki i je sobie wymieniał na nowe. Co to znaczy „wymieniał”?

Nie powiedziałem, że wymieniał. Ja spotkałem się z tym tylko raz. Nie wiem, jak było, myśmy nie pytali. Jego rodzina żyje, nie chcę wymieniać nazwisk.

Bez nazwiska.

To był kozak. Odważny, z fantazją.

Bywał pan u tego kolegi. Był starszy od pana.

Tak. On kiedyś miał taką dziewczynę, najśliczniejszą, czarną, oczywiście, my

oficjalnie nie domyślaliśmy się, że to Żydówka, ale z jej zachowania, ze wszystkiego wnioskowaliśmy... To się wyczuwało. I ona gdzieś się podziała, zniknęła. Nie było jej. Jak koledzy przychodzili i pytali: nie ma jej? No nie ma. Mogła odejść. A po dwóch tygodniach była już inna, nowa. Też piękna. On nam nie tłumaczył, dlaczego tamtej pierwszej nie ma, co się stało. Nie ma. Wiedzieliśmy, jakie stosunki ich łączą, tak więc to powinno być mu nieobojętne, ale nic nam nie tłumaczył, a myśmy o nic nie pytali, bo to nie był czas na pytania. Podejrzenia mieliśmy różne.

Jakie?

Może za samodzielna była albo coś... Że ją wygonił. Myśmy się z prywatnego życia sobie nawzajem nie spowiadali. W stosunku do tych kobiet to myśmy widzieli, że to nie są tylko przyjacielskie relacje, tylko trochę bliższe. No, Żydówki wtedy łatwo było się pozbyć. Myśmy nie pytali... Teraz już nie chcę o tym opowiadać, bo nie wiem nic.

To musiało być nie wcześniej niż w drugiej połowie 1942 roku, jesienią, bo dopiero wtedy pan go poznał. Czyli po wielkiej akcji, getto było już wyludnione.

No tak.

I on mieszkał przy Ogrodowej.

Tak. Tuż obok. Nawet mój ojciec jakoś pośredniczył w tym, że on wynajął ten lokal przy Ogrodowej.

Przy Ogrodowej, czyli przy Sądach na Lesznie.

Tak.

¹ A. Hempel, *Pogrobowcy klęski*, dz. cyt.

² J. Kulesza, *Garłuch*, dz. cyt., s. 98.

³ Por. *Aneks*.

Rozdział 7

Bęben zagłuszył strzały

W nocy z 1 na 2 października 1942 roku koło Dęblińska została zrzucona kolejna, czternasta ekipa cichociemnych¹. Wśród skoczków był podporucznik Jan Poznański, „Pływak”.

Przystojny lwowiak został skierowany do pechowej sekcji AK Komendy Okręgu Śląskiego. Pechowej, bo kierowani tam z centrali ludzie albo wpadali w ręce Gestapo, albo nie potrafili się w podziemiu odnaleźć. „Pływak” od razu po wylądowaniu trafił pod opiekę „ciotek”, czyli kobiet, które uczyły skoczków życia w nowych warunkach. Ten okres aklimatyzacji był szczególnie ważny. Niektórym zajmował mało czasu, innym więcej. Cichociemni musieli dostosować się do życia w okupacyjnych warunkach, inaczej od razu rzucaliby się w oczy. Nawet nie Niemcom. Raczej agentom Polakom z nimi współpracującym. „Pływak” przeszedł kurs i wydawało się, że umie już naśladować typowego cywila żyjącego w okupowanym kraju. Wysłano go do Krakowa, gdzie znajdowała się komenda Okręgu. Tam dostał dach nad głową w mieszkaniu należącym do spółdzielni Sadyba Oficerska, w dzielnicy Olsza. I od razu popełnił błąd: zaprzyjaźnił się z sąsiadem o nieustalonym przez kontrwywiad nazwisku. „Pan Mieczysław” oczywiście wiedział, co robi – rozmawiał, troszczył się, dopytywał i gawędził z Poznańskim nie dlatego, że był ciekawski. To była jego praca. A „Pływak” popłynął... wbrew wszelkim instrukcjom, wbrew wyraźnym zakazom i nauce okupacyjnej mimikry opowiedział sąsiedzkiej bratniej duszy, kim jest. Sąsiad umawiał go z kolejnymi „zaufanymi” na zakup broni. Później, gdy katowało go już krakowskie Gestapo, ze zdumieniem zauważył, że przesłuchujący go Niemcy cytują jego własne słowa powiedziane w przyпыływie szczerości „panu Mieczysławowi”².

Gestapo dowiedziało się o nim wszystkiego. Po brutalnych torturach, z wybitymi

barkami, ze złamanym obojczykiem, „Pływak” zgodził się znaleźć dojdzie do Komendy Głównej AK w Warszawie. Na wykonanie tego zadania otrzymał dwa tygodnie.

Przyjechał do Warszawy i – jak potem twierdził – zgubił ogon. Następnie pojawił się w drzwiach lokalu przy ulicy Elsterskiej 6. Mieszkali tu jego opiekunowie z okresu aklimatyzacji. Opowiedział, co zaszło. Ludzie z kontrwywiadu byli wściekli: nie dość, że okazał się tak nieostrożny w Krakowie, to jeszcze, być może, ściągnął duże kłopoty na warszawską konspirację. I wtedy zapadła decyzja o kontrataku. Krakowskie Gestapo nie mogło się tego spodziewać...

Po upływie dwóch tygodni, 30 marca, wysłannicy z Krakowa zamierzali odebrać od „Pływaka” raport z jego misji. Umówili się z nim o trzeciej po południu w eleganckiej cukierni „Europejska” u zbiegu Wilczej i Marszałkowskiej...

W akcji na gestapowców w „Europejskiej” mieliśmy z „Gilem” fatalny przydział. Marszałkowska to było złe miejsce na akcję. Fatalne. Pełno konfidentów w cywilu. Jak ich rozpoznać? To deptak, dużo Niemców, każdy ma broń. No, a my mieliśmy stać przed kawiarnią i obserwować, ostrzegać, gdyby coś się działo, i w razie czego strzelać. Zrobiło się ciężko. Staliśmy koło godziny. Ja byłem tym, który miał przekazać ostatni sygnał.

Ruchy ręką?

Rozłożone ręce – to znaczy, że sytuacja niestabilna. Ponieważ co chwila była niestabilna, co chwila coś niepokojącego się działo, rozkładałem ręce, jakbym z daleka kogoś widział.

Jak ksiądz przy wezwaniu do wiernych: „módlcie się!”.

Jak semafor! W górę i w dół. W górę, w dół. Koszmar.

Gdyby was obserwował ktoś z niemieckiej obstawy, to raczej nie miałby problemów... Stoi mężczyzna godzinę na ulicy i macha rękami.

Niemcy nie wystawili czujki. Te nasze sygnały z drugiej strony witryny odbierał chyba „Tomasz”.

Według sprawozdania „Porawy” – Czesław Teofilak, „Zadra”. Miał stać przy barze i przekazywać sygnały „Tomaszowi”-„Twardemu” i „Naprawie”.

Nie widzieliśmy, co się dzieje w środku. Moim zdaniem Kowalewski był twarzą do szyby. Światło tak padało... że ja nic nie widziałem. Poza tym po drugiej stronie lokalu cała ściana wyłożona była lustrami, to potęgowało wrażenie przestronności, ale też załamywało światło i efekt był taki, że nie widzieliśmy, co się dzieje w środku. Ale mieliśmy przygotowane przed akcją rysunki i wiedzieliśmy, kto gdzie siedzi. I mieliśmy pewność, że „Tomasz” i „Naprawa” widzą nas doskonale. I te nasze ruchy rąk też widzą.

Czterdzieści minut czekania, okropne napięcie!

Byliśmy już zaprawieni w trudnych sytuacjach, z paniką tego nie odbieraliśmy. Poza tym tam nas było sporo, jeden drugiego ubezpieczał. Tak jak powiedziałem: teren był generalnie zły, mieliśmy tego świadomość, ale bądź co bądź zrobiliśmy już kilka trudnych akcji. Najgorsze było to, że nie wiedzieliśmy, jak oni mogą wyglądać, ilu tych gestapowców będzie, jak dotrą na to spotkanie z „Pływakiem” – pieszo, samochodem... Ja akurat „Pływaka” nie poznałem, ale on musiał powiedzieć naszym dowódcom, że Niemcy przyjdą po cywilnemu. Że będzie to jakaś dobrze przygotowana grupa, będą sprawni. Inna sprawa, że Niemca po cywilnemu rozpoznać można było na kilometr...

Po zapachu wody kolońskiej?

Po sprężystym kroku. Polacy chodzili jakby ukradkiem, nikt nie maszerował takim „krokiem pana”. Poza tym Niemcy byli inaczej ubrani. Kto wtedy z Polaków chodził w jasnym płaszczu dobrej jakości? No i fryzury. Niemieccy oficerowie boki mieli podgolone, to było charakterystyczne. Ci, którzy się pojawili, mieli chyba jeszcze tyrolskie kapelusiki. A może tylko jeden z nich? Nie pamiętam. Aha, ostatnia sprawa: gdy się pojawili na Marszałkowskiej i stanęli przed kawiarnią, rozglądając się na boki, starszy chciał zapalić. Młodszy podał mu ogień w usługny sposób, jakby podwładny obsługiwał przełożonego. Jak się

zaciągali papierosami, to już byłem pewien, z kim mamy do czynienia. „Pływak” zostawił nam dokładne opisy gestapowców, którzy go torturowali, jeden był szczególnie brutalny, mieliśmy jego rysopis, ale ten z papierosem to nie był on. Szkoda. Gdy weszli do środka, usiedli przy stoliku, dyskretnie położyli pistolety na blacie stołu, przykryli je gazetami. „Tomasz” miał oko na takie sprawy i to zauważył. To byli oni, wiedział. No bo kto nie musi, nie wyciąga broni.

Co mieliście robić, gdy Niemcy weszli do „Europejskiej”?

Mieliśmy uniemożliwić wejście do kawiarni kolejnym Niemcom. Nie wiedzieliśmy, ilu ich może być. Po wejściu gestapowców mieliśmy stanąć przy drzwiach i blokować wejście i wyjście. Teraz akcja miała potrwać już tylko kilka minut. A tymczasem przeciągało się to niemiłosiernie. Z kwadrans...

Z relacji „Porawy” wiemy dlaczego: „Naprawa” chciał sobie poflirtować z kelnerką... A na Marszałkowskiej pojawiła się orkiestra marszowa.

Muzykę słyszeliśmy z daleka. Orkiestra szła środkiem ulicy, z tamburmajorem na przedzie, więc ja uznałem, że trzeba ich ostrzec w środku, aby się wstrzymali. Mieliśmy umówione trzy znaki ostrzegawcze. Mówiłem wam o rozłożonych rękach. Ręce założone do tyłu oznaczały sytuację beznadziejną – absolutnie nie strzelać. Trzeci wariant – ręce w kieszeniach – oznaczał już sytuację nie beznadziejną, ale niebezpieczną. I gdy orkiestra była blisko, stanąłem tyłem do szyby, wsadziłem ręce do kieszeni i tak stałem, aby mnie wyraźnie widzieli.

I widzieli, doskonale. Nawet ich to w środku ubawiło.

Dla nas to nie była zabawna sytuacja. Oni pewnie tej muzyki nie słyszeli, nie mieli pojęcia, że zbliża się orkiestra i po prostu robi się trochę za gęsto na ulicy. W momencie, gdy przed cukiernią pojawiła się orkiestra, wewnątrz rozległa się kanonada.

Bęben pewnie zagłuszył strzały.

No właśnie! Bęben zagłuszył strzały, to się doskonale zgrało! Zwały się te dźwięki. Strzelanina w rytmie marsza. Nikt na ulicy nie zauważył jatki w środku. A tam wszystkie lustra poszły w drebiezgi. Ludzie w panice zaczęli odsuwać się od stolików, krzesła się wywracały... Zresztą „Tomasz” i „Naprawa” nie mieli tłumików, walili z dziewiątek. „Naprawa” nosił parabelkę. Co miał Kowalewski, nie wiem. Wiem, że mógł strzelać z przepięknego niemieckiego colta. Chyba też dziewiątki. Bo były jeszcze jedenastki – kula... o... taka duża jak mój palec. Po takim postrzale nie było co zbierać z człowieka. Ale to była niepraktyczna broń, za ciężka dla nas do pracy. Musiał mieć dziewiątkę. No i po strzelaninie oni wyszli drzwiami od strony Marszałkowskiej. A my czekaliśmy na nich i blokowaliśmy drzwi od Wilczej, tu było główne wejście do cukierni. Oni poszli, a my nadal czekamy. Obstawa dalsza również się rozeszła. A my stoimy. Niedogranie. „Kobuz” miał nas zdjąć, ale tego nie zrobił. Wesołek. I gdy to zaczęło się dłużyć, w końcu wszedłem do środka. Byłem pewien, że są ranni, że coś poszło nie tak. Wpadamy do środka, a tu wszystko porozbijane w drobny mak, lustra, szyby, talerze. Krzesła powywracane, dwóch leży na ziemi. Natknąłem się na kelnera. Zakrwawionego, „Zadra” wybił mu zęby kolbą, bo ten rwał się, żeby ich zatrzymać. Mówi: „Dwaj zabici, a ja ranny”. Uznał mnie chyba za Niemca.

Dogoniliście „Tomasza” i „Naprawę”?

Nie.

Podobno odjechali spokojnie tramwajem.

Nie wiem. Nie pamiętam już, w jakim lokalu wyznaczono spotkanie po akcji. W tej akurat okolicy mieszkania nie mieliśmy. W każdym razie gdzieś się spotkaliśmy i pamiętam, że dowiedzieliśmy się, że „Oskar” był bardzo zadowolony. Doszło do nas, że gestapowcy warszawscy byli również zadowoleni.

Dlaczego?

Zadowoleni, że wpadkę, no, śmiertelną, zaliczyli ich koledzy z Krakowa. Bo

widocznie między warszawskim i krakowskim Gestapo była jakaś rywalizacja albo niechęć. I ci warszawscy mieli potem powiedzieć kolegom z Krakowa, żeby zwrócili uwagę, w jak ciężkich warunkach w Warszawie się pracuje.

Skąd o tym wiedzieliście? O takich rozmowach na Szucha?

„Oskar” podobno miał wtykę na Gestapo i się dowiedział. „Biuletyn Informacyjny” o tej akcji napisał, więc byliśmy trochę dumni. A tego długiego czekania nie zapomnę nigdy. Czterdzieści minut czekania na delikwentów, a potem z piętnaście na strzały!

I machanie rękami, naśladowanie semafora.

No właśnie!

Po akcji w „Europejskiej” cichociemny Poznański w stolicy był spalony. Zmienił pseudonim na „Ewa”. Z drużyn AK powiatów lubelskiego i puławskiego stworzył pierwszy na tym terenie oddział dywersyjny z prawdziwego zdarzenia. Na koncie miał wiele efektownych akcji, między innymi rozbił posterunek w Wojciechowie, w Opolu Lubelskim napadł na areszt i uwolnił trzydziestu pięciu więźniów. Zginął 22 października 1943 roku: nie sprawdził na czas, czy w domu zlikwidowanej konfidentki Gestapo ktoś jeszcze przebywa. Gdy już ją zastrzelił i w progu domu z ulgą zapalił papierosa, postrzelił go ukrywający się tam Niemiec. „Ewa” wykrwawił się na miejscu.

¹ Jędrzej Tucholski, *Cichociemni. Historia legendarnych spadochroniarzy*, Wrocław 2010, s. 172.

² Cezary Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, Warszawa 1983, s. 171–173.

Rozdział 8

Proszę nie wnosić pistoletów teren szpitala

Może „Żaba” kochała się w „Dyziu”? Czy w innym przypadku dałaby radę ciągnąć ciężko rannego człowieka bez ręki, ze strzaskanym biodrem, przez morderczą breję kanałów ze Starówki do Śródmieścia? Kto holowałby półprzytomnego ponad półtora kilometra? Kto wcześniej przekonałby nie lubianego kapitana żandarmerii „Barry’ego”, że „Dyzia” do kanałów wpuścić trzeba? („Barry”: „A co będzie, jak jego trup zatarasuje przejście?”)

„Żaba” to Janina Wojciechowska, sanitariuszka plutonu 11/12 osłony KG AK. 1 września 1944 roku przeciągnęła „Dyzia” kanałami na kocu. Dokładniej – przeciągnęła „Piotrusia”, bo pod takim pseudonimem Dionizy Mazur występował w tym oddziale¹.

Po wyciągnięciu z kanałów „Dyzio”-„Piotruś” trafił do szpitala w pałacu Staszica. Był tam bezpieczny. Przez jedną noc. Następnego dnia, czyli 2 września, do szpitala zbliżyli się Niemcy. Obok Mazura leżał Henryk Świątkiewicz, „Kamil”, również z plutonu 11/12. Miał duży odłamek w potylicy, czekał na chirurga, ale nagle zrobiło się cicho. I wtedy ranni powstańcy zrozumieli, że zostali sami.

„Słyszę, jak ktoś woła: »Piotrek! Piotrek!«. Poznaje głos »Żaby«. Ona się bujała w plutonowym pchor. »Piotrku« – wspomina »Kamil«. – On w konspiracji stracił rękę. Teraz znowu był ranny, prawdopodobnie w pałacu Krasieńskich dostał w nogi. Ona go ewakuowała przez kanały i ulokowała w tym szpitalu. Jak zaczęła go wołać, nie odzywał się.

Teraz ja słyszę ciche: »Żaba...«, patrzę, a cztery pozycje dalej leży »Piotrek«. Odzywa się. On nie miał siły, więc ja krzyknąłem głośniej: »‘Żaba’, tutaj!«.

Przyszła po niego. Mówi nam szeptem, żeby nie wywołać paniki: »Za chwilę szpital mają na trwałe przejść Niemcy, najpierw ‘Piotrka’ zabiorę, potem przyjdę po ciebie«.

Tak się stało. Wzięła go, na jednej nodze kuśtykała i na pół go niosła, na pół szedł, zabrała go stamtąd. Potem faktycznie przysłała po mnie. Wyprowadziła mnie i zaprowadziła na kwaterę, do kina »Palladium« na Złotej”².

Dionizy Mazur w czasie powstania był legendą. Gdziekolwiek się pojawił, poprzedzała go sława twardziela.

Po wojnie stał się bohaterem pierwszej znanej książki o powstaniu – w 1949 roku jeszcze można było pisać o bohaterach z AK, mimo że na plakatach już od dawna funkcjonowali jako zaplute karły reakcji. Stanisław Podlewski wystawił mu prawdziwą laurkę. Na długie lata, w zasadzie aż do 1957 roku, to jego tekst ukształtował pamięć o powstaniu.

„W czasie nalotu wśród wielu rannych jest także podchorąży Piotruś (Mazur), z plutonu osłonowego Komendy Głównej, odznaczony już dwukrotnie »Krzyżem Walecznych«. Widywano jego smukłą, chłopięcą sylwetkę bez ramienia w nawach Królewskiej Katedry, na barykadach i w ciasnych ulicach staromiejskich, strzelającego w największym ogniu z jednej ręki i rzucającego granaty” – pisał³.

Zresztą popisy „Piotrusia” obserwował swego czasu sam „Bór”-Komorowski: komendant AK był świadkiem, jak jednoręki Mazur uczy innych, pełnosprawnych żołnierzy, rzucania granatami, które odbezpiecza, używając zębów. Dziś to banalne, wszyscy to widzieli na filmach, ale wtedy był to szyk i szpan... Tak zębami... I wypluć zawleczkę...

...,„Adrian”. Dla nas w „Madagaskarze”, „Garłuchu” „Piotruś” to był „Adrian”. Jeden z lepszych żołnierzy, we wszystkich moich trudniejszych akcjach brał udział. Był porywczy. Chojrak.

Dlaczego miał dwa pseudonimy?

U nas był „Adrianem”, a w oddziale, który potem stał się kompanią osłonową KG w powstaniu, czyli w plutonie 11/12, był „Piotrusiem”. Ale chciał mieć i trzeci pseudonim...

Ciągnęło go do jeszcze jednego oddziału? To tak można było służyć w trzech na raz?

Nie, tego już nam dowódcy zabraniali. Kategorycznie! Ale był w dwóch, chciał do trzeciego, widocznie brakowało mu adrenaliny.

Jak trafił do pana, do „Madagaskaru”-„Garłucha”?

Polubiliśmy się, bo po prostu spełniał warunki. Ja byłem zżyty z Boernerowem. Tam był matecznik „Garłucha”. I w tym oddziale były moje „Ptaki”, a potem to się rozrastało. Na początku patrol był kilkusobowy. Potem zmienił swój charakter. Porucznik „Bogumił” zdecydował, że poza mną i „Płowym”, Ryśkiem Duplickim, czyli późniejszym „Gilem”, grupa nie będzie miała stałych członków, że do poszczególnych akcji będą powoływani ludzie z całej kompanii. I to było dobre rozwiązanie, bo do powstania wielu ludzi zdążyło się ostrzelać. Ze trzydziestu chłopaków. Wśród nich wyróżniał się „Adrian”. Pamiętam, że strzelał z zimną krwią...

„Z zimną krwią”...

W Boernerowie wszyscy konspirowali, wszyscy o wszystkich też sporo wiedzieli. Mówiłem wam już, że w sklepie u Banasia koncentrowało się nasze życie. Tu często przebywali dowódca pułku i batalionu. Obok, dwa lub trzy domy dalej, mieszkała samotna kobieta, prostytutka. Spotykała się z Niemcami zarobkowo. Banaś trochę się tego bał. Ona przecież przychodziła do sklepu, robiła zakupy, za dnia nie miała dużo zajęć, i widziała wszystkich. Banaś bał się, że ona może przychodzić jako szpieg, może sypnąć. Dowódca pułku zdecydował, że trzeba ją zastrzelić... tak... prewencyjnie. No i myśmy to zrobili. Strzelał „Adrian”.

„Prewencyjnie”...

Trwa okupacja. Jeśli się pomylisz, to zrobisz to ostatni raz. Zastrzelił ją, akcja była moja.

Tylko dlatego, że była prostytutką i przyjmowała gości?

Dlatego, że to było trzy domy od naszej centrali.

A nie można jej było zwerbować, zamiast strzelać?

Ale ona nam do niczego nie była potrzebna. Jakie informacje mogła wyciągnąć od niemieckich szeregowców? Nie było na nią żadnych doniesień, ale mogła stanowić zagrożenie. Za duże ryzyko. Do niej przychodziło po trzech Niemców. Miała pecha, bo za blisko mieszkała. To był pierwszy występ „Adriana”.

Kolejne?

Nie zawsze on strzelał. Często stał z tyłu, ubezpieczał. Ale brałem go na akcje, bo był pod ręką i był pewny. Pamiętam akcję na pewną kobietę na Woli. Strzelałem ja i „Puchacz”. Był „Adrian”, „Płowy”, „Kobuz” i „Miles”. Problemem było to, że pięćdziesiąt metrów dalej znajdował się posterunek żandarmerii. Ale poszło bez zakłóceń. W czasie powstania w getcie zdarzył się następujący wypadek: do bramy fabryki Parysów koło Powązek, gdzie było zatrudnionych wielu Polaków, chociaż zakład pracował dla Niemców, zaczęli się w nocy dobijać uciekinierzy. Para młodych Żydów. Szukali pomocy. Głównym wartownikiem był niejaki Pross. On ich wpuścił, po czym zastrzelił. I zrobił to w dodatku tak, że rano, gdy do pracy przyszli pracownicy fabryki, to te dwa trupy leżały koło bramy. Tak dla postrachu. „Bogumił” wydał polecenie, aby łobuza zastrzelić. Zygmunt Okuń z wywiadu ustalił, gdzie mieszka. I wykonaliśmy to. Ten volksdeutsch, ta świnią, został zastrzelony w progu swojego domu przy ulicy Sybilli na Powązkach. Strzelał „Adrian”.

Miał pan do niego absolutne zaufanie? Co to znaczy?

Zupełne. To było najważniejsze w tej pracy – mieć za plecami kogoś, komu się ufa jak sobie samemu. Tyle razy przecież działo się coś nieoczekiwanego. Swój za plecami – to po prostu życie. Pod koniec 1942 roku dowódca 993/W Leszek Kowalewski, „Twardy”, powiedział nam, że oddział jest w rozbudowie i potrzeba nowych. Powiedział to na jakiejś odprawie. Spojrzeliśmy z Ryśkiem Duplickim, „Gilem”, po sobie i od razu pomyśleliśmy o „Adrianie”. Wiedzieliśmy, na co go stać. Spotkałem się z nim i od razu się zgodził. W krótkim czasie „Twardy”

wyznaczył nam spotkanie. To było 20 czerwca 1943 roku. Pamiętam, że czekaliśmy na Żurawiej, przy placu Trzech Krzyży. „Twardy” się spieszył, był zniecierpliwiony, a „Adriana” nie ma i nie ma... Czekaliśmy pół godziny. Wtedy trzydzieści minut to wieczność. Poza tym takich spotkań się nie lekceważy. Zapewniłem „Twardego”, że coś musiało się stać, bo znam chłopaka i to wykluczone, żeby ot tak, po prostu, nie przyszedł na spotkanie. „No to zobaczymy” – powiedział „Twardy” i się ulotnił. Wróciłem do Boernerowa i dowiedziałem się, że w rejonie Brackiej i Alei Jerozolimskich, gdzieś koło Braci Jabłkowskich, doszło do strzelaniny. Ale nie jakiejś normalnej, tylko była to kanonada z broni maszynowej, wybuchy granatów, karetki odwożą rannych. Miałem złe przeczucie. Znajac „Adriana”... Postanowiłem sprawdzić. Znałem jego adres na Wroniej – poszedłem tam. Wiedziałem, że trzeba ostrożnie, bo przecież nie wiadomo, czy to nie wsypa... może jakiś kocioł. Szczęśliwie znałem jego system ostrzegania. Jeśli było zagrożenie, to mama wystawiała mu w oknie doniczkę. Przychodzę rano – znaku ostrzegawczego nie ma.

Wronia 66, mieszkania 27.

Tak. Wchodzę do niego, a tu zdenerwowana matka od razu do mnie i pyta, co jest z Dionizym. Nie wrócił na noc. Następnego dnia również. Przyznała się, że przyszedł również jakiś jego znajomy, z innego oddziału. Też go szukał. Ale za nic nie chciała podać mi jego pseudonimu. Wybłagałem w końcu, aby nas umówiła. Zrobiła to. To był starszy od nas chłopak: Juliusz Klepacz, „Ran”⁴. Powiedział kilka rzeczy, które powoli zaczęły mi się układać w całość. Po pierwsze, że jest dowódcą plutonu w kompanii „Jeleń” na Mokotowie. Po drugie, że on również wie, że „Piotruś” – bo u nich właśnie jako „Piotrek” występował – chodzi na akcje z kimś innym. Czyli z nami. Ale najważniejsze, co powiedział, to to, że feralnego dnia umówił się jeszcze z dwoma chłopakami ze swojego plutonu na rozbijanie Niemców!

Miał jakieś konspiracyjne ADHD. Rozbrajanie?

To była najłatwiejsza droga pozyskiwania broni. Do lasku boernerowskiego

często zachodzili niemieccy lotnicy. Brali jakieś panny i szli tam szukać uniesień. Zresztą słyszałem, że niektóre współpracowały w ten sposób z podziemiem. Przeprowadzały Niemców. I ich broń.

Czyli jednak były nie tylko „złe” prostytutki.

Tak.

Zaciągaly Niemców do lasu, a tam już czekali żołnierze AK.

Nawet przypominam sobie, że nasi zrobili w lesie gotowe posłanie, żeby tym Niemcom było wygodnie.

Ale tę dziewczynę po sąsiedzku zastrzeliliście.

Ta to co innego.

Chodzi nam o to, że niektóre dziewczyny były dobre, a inne niebezpieczne, złe, bo tak postanowiliście, tak uznaliście.

Nie ja. W 1942 roku miałem siedemnaście lat.

Niemcy chodzili do lasu na spacer...

...a my chodziliśmy tam po broń. W lesie nasi prosili takiego Niemca o oddanie kabury. To było popularne. Zresztą, gdy wybuchło powstanie, to pluton był dobrze uzbrojony, bo tą właśnie drogą zaopatrzył się w kilkanaście pistoletów. „Adrian” uchodził za mistrza takiego pozyskiwania parabelek. Wtedy po udanej akcji pojechał do Śródmieścia ze wszystkimi pistoletami. Kilkoma. Pewnie je chciał zamelinować. Miał jeszcze dwa granaty zaczepne z 1939 roku.

To była niedziela. Sierpień '43. Wiemy to z relacji Bogdana Ołtuszewskiego z plutonu „Sokół II”, batalionu „Zaremba-Piorun”. „Adrian” zaraz po akcji spieszył się nie żeby zdać broń, ale na randkę. Ołtuszewski w relacji dla Archiwum Historii Mówionej MPW wspomina, że się z nim spotkał na

Wspólnej, bo to było niedaleko: „Był umówiony z dziewczyną w niedzielę rano na mszy świętej, nie pamiętam, w którym kościele. Miał przy sobie pistolet, nie pamiętam jaki, nie parabellum, mały pistolet, i mówi: »Słuchaj, weź go do siebie, jedziesz do domu«. Granat miał ze sobą, granat był zaczepny, na szczęście, na jego szczęście. Z pistoletem dojechałem do domu na Wspólną. On miał na Nowogrodzkiej dziewczynę. Puk, puk, zapukał, była godzina dziewiąta czy dziesiąta rano. Na ogół ludzie pobożnie szli wtedy do kościoła. Dziewczyny nie było, była w kościele”⁵. I on ruszył z tym arsenałem do kościoła.

No, poszedł ulicą Bracką. Minął dom towarowy Jabłkowskich i doszedł do samego rogu z Alejami Jerozolimskimi. To potem ustalił nasz granatowy policjant sierżant Zygmunt Okuń. „Adrian” doszedł do rogu, a tu pechowo... trzyosobowy patrol żandarmerii. Zdaje się, że zbyt teatralnie zapatrzył się w witrynę i oni chcieli go zatrzymać do kontroli. Zrobił zwrot i zaczął uciekać. Ale dobiegł tylko do skrzyżowania z Widok. Tu Niemcy zaczęli do niego strzelać. Zdenerwował się. Wyciągnął granat. Rzucił w nich, żeby ostudzić ich jakoś w tym zapale pogoni. Eksplozja. Niemców to nie powstrzymało. Wtedy skręcił w Widok. Zdecydował się wbiec do pierwszej bramy. Widok 3 lub 5.

Historycy ustalili, że to była kamienica przy Widok 7. Nie ma już tego budynku.

Nie ma całej tej strony ulicy. Wszystko zburzone w powstaniu. „Adrian” miał pecha, bo kamienica okazała się zamkniętym czworobokiem. Gdyby było jakieś połączenie z sąsiednią... Gdy usłyszał podkute buty żandarmów, wskoczył na klatkę schodową. Pomyślał, że ucieknie na strych i potem dachami w stronę Marszałkowskiej. Ale nie było wyjścia na dach i znalazł się w potrzasku.

Na klatce schodowej.

Nikt mu nie otwierał, gdy walił do drzwi. Ale nie ma się co dziwić. To by był wyrok śmierci dla wszystkich lokatorów takiego mieszkania. Dobiegł na górę

i stąd zaczął się ostrzeliwać. Żandarmów przybyło. Walka trwała trzy godziny, wystrzelał całą amunicję. On, pamiętajcie, był ostrzelany. W takich warunkach bronić się trzy godziny to trzeba potrafić. Potem, gdy go pytali, co wtedy myślał, on zawsze odpowiadał, że do głowy mu nie przyszło, aby się poddać, myślał tylko, aby drogo sprzedać życie.

To charakterystyczne, że wy raczej o poddaniu się w takich sytuacjach nie myśleliście...

Nigdy. Nie ma mowy. Z bronią w ręku?!

Ołtuszewski powiedział, że „Adriana” Niemcy trafili w pachwinę. Upadł i bronił się w pozycji pólężącej.

Tego nie wiedziałem. Ale mówiłem, że kozak.

Popełnił jednak błąd.

W ferworze walki nie liczył pocisków. I gdy wystrzelał cztery magazynki, okazało się, że nie zostawił ostatniego pocisku dla siebie. Niemcy szybko się zorientowali, że on nie ma już czym strzelać. No i znalazł się odważny. Podszedł do niego. Bo im bardzo zależało, żeby go wziąć żywcem. Nie strzelali już i podchodzili powoli. I gdy ten pierwszy podszedł na odległość kroku, „Adrian” złapał go, odwrócił i przystawił pod brodę granat. Tego nie wiedzieli, że ma jeszcze granat. Granat był odbezpieczony. Ekspłodował. Niemcowi urwało głowę, a „Adrianowi” rękę aż do barku. Poraniło mu twarz straszliwie.

„Straszliwa detonacja wstrząsa domem. Z jękiem lecą szyby. »Piotruś« leży w kałuży krwi, coraz powiększającej się, ma złamane nogi, poszarpany bok, wybuch oderwał mu nieomal całe ramię, ledwie trzyma się na ścięgnach. Z krzykiem dopadają do niego gestapowcy.

Z tryumfem układają go na nosze i zabierają ze sobą.

Naraz jedna z mieszkańek tego domu woła:

– Panowie, zapomnieliście ręki. – Przynosi i kładzie ją obok rannego.

– Dziękuję pani – zdążył jeszcze tylko wyszeptać »Piotruś«, uśmiechnął się do niej i stracił przytomność”. To relacja z książki Podlewskiego⁶.

Fantastyka. Nie sądzę, żeby po strzelaninie znalazła się choć jedna tak bardzo usłużna starsza pani.

Ale prawdą jest, że Niemcy półprzytomnego „Piotrusia” jeszcze dodatkowo skatowali.

Zabił im czterech żandarmów. A potem mieli z nim dalsze kłopoty. Bo z wyliczeń granatowej policji, która skrupulatnie badała z zegarkiem w ręku, co się z nim potem działo, wynika, że oni wozili go gdzieś po mieście, pewnie szukali odpowiedniego szpitala, i w końcu przywieźli ciężko rannego do Dzieciątka Jezus. My oczywiście tego wszystkiego nie wiedzieliśmy, to dopiero potem...

Tu pojawia się tajemnicza pani Maria...

...Komorowska. Ale to na pewno fałszywa tożsamość. Kilka dni później, gdy szukaliśmy „Adriana” po szpitalach, weszliśmy na Gestapo, dowódca kompanii boernerowskiej „Bogumił” Henryk Malec przekazał mi wiadomość, że na terenie Boernerowa pojawiła się kobieta z Poznania. Tam była spalona, tu znalazła przystań i pracowała w centralnej izbie przyjęć Szpitala Dzieciątka Jezus. Oferowała pomoc. I to ona nam powiedziała, że do szpitala Niemcy przywieźli nieprzytomnego człowieka, wykrwawionego, wycieńczonego, bez dokumentów. Ponieważ ten akurat szpital miał specjalną salę, gdzie można było położyć rannego, a przy nim postawić straż – ranny został tu oddany pod opiekę. To była dwuosobowa sala, jednego rannego już policjant granatowy pilnował. Gdy trafił tu kolejny, Niemcy zastąpili policjanta żandarmem. Ten pilnował dwóch pacjentów przez pięć dni, potem widocznie mu się znudziło, bo znowu zastąpiono go polskim policjantem. Tajemniczy pacjent pani Komorowskiej był cały czas nieprzytomny⁷.

I to był on, „Adrian”?

Szukaliśmy wszędzie. Ten człowiek w Szpitalu Dzieciątka Jezus był nieprzytomny, bez dokumentów i z zabandażowaną głową. Żadnych znaków szczególnych. To mógł być on, ale nie musiał. Tymczasem czas leciał. Postanowiłem pójść do szpitala i samemu sprawdzić, czy to może być „Adrian”. Pani Maria sugerowała, aby się pospieszyć, bo pacjent jest nieprzytomny, ale jeśli tylko odzyska świadomość, Niemcy na pewno go zabiorą. Wydaje mi się, że ranny wtedy zaczął odzyskiwać przytomność. A może mógł odzyskać w każdej chwili? Nie pamiętam. W każdym razie pani Maria zaczęła naciskać: skoro mamy go zabrać, odbić, to prędko...

„Ilekcroć zjawia się w szpitalu gestapo, siostra Hanka czyni Piotrusiowi dożyłne zastrzyki, które w ciągu kilkunastu minut podnoszą temperaturę ciała do 40 stopni – gestapowcy powracają z niczym. Lecz ta niebezpieczna gra może udawać się tylko do czasu. Lecz niebiosa ulitowały się nad tym bohaterskim chłopcem. W tym czasie udaje się wyrwać z murów Pawiaka jego przyjacielowi »Ranowi« (Julek Klepacz), jednemu z najdzielniejszych żołnierzy Polski Podziemnej. W czasie pobytu swojego na Pawiaku, w tej bastylji warszawskiej i krwawej kaźni, redaguje on i wydaje pismo konspiracyjne »Pawiak«. Jest ono odbijane przez kalkę na bibule i podawane z celi do celi. Wyszło tych numerów kilka. Ogrom trudności szaleńczego ryzyka i doniosłość tego przedsięwzięcia może tylko zrozumieć, odczuć i ocenić ten, który kiedyś przebywał w murach Pawiaka. Po swoim uwolnieniu ani chwili nie myśli o swoim wypoczynku i bezpieczeństwie. Z miejsca przystępuje z nadzwyczajną energią i pomysłowością do odbicia swego przyjaciela. Zbiera kilku swoich towarzyszy, najważniejszą rolę bierze na siebie”. To znowu wersja Podlewskiego⁸. Chyba dla lepszego efektu dramaturgicznego dopiero tu pojawia się „Ran”.

Faktem jest, że mogli nam tego rannego sprzątnąć sprzed nosa, gdyby odzyskał przytomność. Ustaliłem z panią Marią, że wybiorę się do szpitala „z legendą”. Czyli że będę udawał kogoś z personelu, który sprawdza stan chorego, aby go wprowadzić do ewidencji. Miałem jakieś blankiety, udawałem takiego

szpitalnego urzędnika w kitlu. Miała mnie zaprowadzić pielęgniarka. Przyszedłem i już ruszam do sali chorego, gdy pani Maria, która miała akurat tego dnia dyżur i mnie tu wprowadziła, zapytała z głupia frant, czy mam broń. Jasne, że mam. A ona na to, że absolutnie muszę ją tu zostawić. Do sali, gdzie leżał „Adrian”, było około czterystu metrów, to był osobny budynek. Czyli mam zostawić broń poza szpitalem. Ona nawet się uniosła. Zachnęła się, że reprezentuje tu polską służbę zdrowia, a zgodnie z konwencją genewską na teren szpitala broni wносить nie można.

Zakaz. Jak zakaz palenia! „Prosimy nie wnosić broni na teren szpitala”...

Tak! „Nie wnosić pistoletów na teren...” Poza tym, pamiętam, zapytała, czy to, że wejdę z pistoletem, coś zmieni? Twarda baba.

Powiedziała: „Czy broń coś zmieni?”.

No bo tak jakby sugerowała, że teraz go sam przecież nie odbiję. A nawet jeśli zastrzelę policjanta, który pilnuje rannego, stan pacjenta się od tego nie poprawi. Zbaraniałem. Czy ona poważnie myślała, że tak z ulicy wejdę i zabiorę rannego?! Coś rzuciłem jeszcze, że przecież jest wojna, ja tu mam zadanie do wykonania, że nie idę na spacer, ale... uległem. Niby miała rację, ale tak iść bez broni?! Zaczęła mnie popędzać pielęgniarka, oddałem pistolet. Błąd! Idziemy. Zapytałem tę dziewczynę, jak teraz „Adrian” wygląda. A ona, że zmienił się, bo ma duży zarost, plastry, bandaże, zmierzwione włosy, nie mówi, więc po głosie go nie poznam. Pokój do pilnowania mieścił się na pierwszym piętrze, pierwszy po prawej stronie. Naprzeciwko wejścia był długi korytarz – kilkudziesięciometrowy...

Wchodzicie...

W środku, przy drzwiach, siedział granatowy policjant. Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, ale uspokoił go widok znanej mu pielęgniarki. Nie zareagował. Niestety, nie był to nasz człowiek, nie wiedziałem, jak się zachowa. Patrząc na rannego, widzę tylko nos, oczy zamknięte, jak tu go rozpoznać? Żeby zagadał, ale on nie

gada. I wtedy zdarzył się cud. On miał te oczy jakby uchylone, szparki. Stałem nad łóżkiem i medytuję: on, nie on, może on, nie, jednak to nie on. I w pewnym momencie słyszę głos: „Zabierz mnie stąd! Nie zostawiaj mnie tu!”. Powiedział. Rozpoznałem go.

Wcześniej udawał nieprzytomnego?

Odzyskał świadomość! Może mnie rozpoznał po głosie, mógł mnie słyszeć i na ten głos się obudzić. Nie wiem. W każdym razie słyszę ten głos: „Zabierz mnie stąd. Nie zostawiaj!”. On to powiedział dość głośno. I w tym momencie czuję za plecami, że policjant wstaje i wychodzi na zewnątrz. I to mnie zmroziło. Nie mam broni! Pomyślałem: jaki ja głupi jestem, że ten pistolet zostawiłem. Nie tylko zgarną „Adriana”, ale na deser dostaną jeszcze i mnie. Razem trafimy na Szucha. Do kompletu. Jeszcze powiedziałem: „Dyziek – matka tak do niego mówiła – nie zostawimy cię. Udawaj nieprzytomnego jak najdłużej. Trzymaj się dzielnie”. Spieszyłem się. Wyszedłem na zewnątrz. Gdzie ten granatowy policjant? – myślę. Pewnie mnie zaraz zgarnie. Czy to jest uczciwy Polak, czy kolaborant? Staję za drzwiami i patrzę w ten długi korytarz wzdłuż ulicy Chałubińskiego, jakieś pięćdziesiąt metrów. Słońce świeci w okno, oślepia mnie, nie widzę tego policjanta. Ale był. Tyle że daleko. Odszedł ze dwadzieścia metrów. Miałem szczęście. Pewnie myślał, że „na pusto” nie jestem.

Albo się pana przestraszył, albo był przyzwoity.

Nie wiem. Odetchnąłem. Odbijamy, czekać nie ma na co.

Kiedy?

Trzy dni później. Czyli 31 lipca, rano. Poleciałem do swoich, bo przecież trzeba to było przygotować. Po pierwsze, sprawdzić tego granatowego policjanta. Najlepiej oczywiście wsadzić tam swojego, znajomego. To ułatwiłoby robotę. Po drugie, takiego odbicia nie robi się hop-siup, bo przecież on jest ranny, trzeba go umieścić w innym szpitalu, pod opieką zaufanych lekarzy. Spotkałem się z „Ranem”. Podzieliliśmy się pracą. On miał załatwić dla „Adriana” dokumenty,

a ja miałem stworzyć legendę jego zranienia i zalegalizować ją. I wymyśliliśmy, że „Adrian” to jakiś anonimowy ranny: jakiś pan X, który kilka dni wcześniej jechał z Warszawy na zachód. Przed jedną ze stacji pociąg zwolnił, wybuchła strzelanina. Część pasażerów zaczęła wychodzić, część wybiegać, po prostu panika. Gdy pan X wychodził z pociągu, ten ruszył i człowiek wpadł pod koła. Takie zdarzenie sierżant Okuń wpisał w odpowiednią rubrykę dziennika w komendzie pruszkowskiej, żeby się wszystko zgadzało. Czyli zalegalizował rannego. Przecież nie mogliśmy „Adriana” wynieść ze szpitala i umieścić w drugim jako ofiarę strzelaniny. Odtąd musiał być ofiarą nieszczęśliwego wypadku kolejowego. Samo odbicie miał zorganizować „Ran”. Bo nasz dowódca z 993/W, „Porawa”, nie wyraził zgody. „Ale – powiedział – broni dostaniesz, ile chcesz. Ile chcesz, tyle weź”. Zgodził się, żeby w akcji wzięli udział nasi, ale bez firmowania odbicia przez 993/W.

Dlaczego „Porawa” nie chciał tego prowadzić?

Po pierwsze, dopiero co został szefem. Po aresztowaniu i śmierci Kowalewskiego musiał się zorientować w sprawach naszego oddziału. Po drugie, formalnie „Adrian” nie był jeszcze naszym żołnierzem, nie podlegał kontrwywiadowi. Poza tym chłopcy od „Rana” już takie odbicia robili.

– Bardzo przystojny – tak scharakteryzował go znajomy z czasów okupacji, Olgierd Budrewicz. – Ale nigdy z tego powodu nie zadzierał nosa, nie był narcyzem, tym bardziej mentorem – dodaje jego córka, Barbara Michałowska. **Stefana Matuszczyka, „Porawę”**, dowódcę oddziału 993/W, łatwo rozpoznać na zdjęciach z czasów okupacji. Był postawnym, wysportowanym mężczyzną, o bardzo łagodnym spojrzeniu.

Urodził się w Wiązownej, w ubogiej rodzinie. Jego rodzicami byli Jan i Scholastyka Matuszczykowie. Do gimnazjum i liceum uczęszczał we Włocławku, na Uniwersytecie Warszawskim zaczął studiować w 1935 roku. Pracę magisterską napisał o prozie Władysława Orkana. Chciał być dziennikarzem, od 1936 pracował w wydziale prasy i propagandy Dyrekcji Pocz

i Telegrafów w Warszawie.

Uczestnik kampanii wrześniowej, rok później był już dowódcą kompanii w Organizacji Wojskowej „Wilki”. Po aresztowaniu i śmierci porucznika Leszka Kowalewskiego w sierpniu 1943 roku objął dowództwo nad 993/W, oddziałem kontrwywiadu KG AK do zadań specjalnych. „Nigdy nie podnosił głosu, był miłym, pogodnym człowiekiem – twierdzi córka. – Nie miał nic z tyrana, nigdy nie widziałam go wyprowadzonego z równowagi”. Cechy te potwierdzali jego podkomendni. Emanował spokojem nawet w sytuacjach skrajnie niebezpiecznych.

„Porawa” brał udział w kilkunastu akcjach bojowych swojego oddziału. W czasie powstania warszawskiego jako dowódca kompanii w batalionie „Pięść” walczył na Starówce, Żoliborzu i w Kampinosie. Został ranny 14 sierpnia na Muranowskiej.

Po wojnie zajął się drobnym biznesem, potem próbował sił w wymarzonym zawodzie. W 1949 roku został redaktorem działu sportowego i lektorem w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, a następnie pracował w redakcji „Żyjmy dłużej”. Aresztowany w 1952 roku, uniewinniony po procesie. – Zawsze był elegancki, można powiedzieć, że w sposobie bycia i zachowania. – uważa córka.

Przepadał za sportami wodnymi. Został prezesem Towarzystwa Wioślarskiego. Przed emeryturą zaczął budować jacht pełnomorski. Miał nim wypłynąć w wymarzony rejs. Nie zdążył, zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat w Warszawie. – W domu miał dwie lewe ręce, jego obowiązki polegały w zasadzie na jednym: raz do roku musiał kupić choinkę. Nie zawsze mu się to udawało.

Nie miał pan żalu do „Porawy”, że nie rzucił się w wir przygotowań?

Nie. Zachował się logicznie. Nie chciał mieć niepowodzenia już na początku swojej misji. Ale dał nam zielone światło. „Ran” wymyślił, że po akcji porwanego już „Adriana” odwiezie ze Szpitala Dzieciątka Jezus do Szpitala Maltańskiego karetka pogotowia. Kłopot w tym, że karetki nie mieliśmy. Trzeba było wymyślić kolejną legendę. Postanowił, że zadzwoni po pogotowie, mówiąc,

że ma poważnie chorego. Poda nazwisko i adres. I rzeczywiście karetka przyjechała do mieszkania na Pańskiej czy Zielnej, pielęgniarze i lekarz weszli na górę. W mieszkaniu zastali matkę, starszą panią z chorą córką. Ta córka to była łączniczka w oddziale „Rana”. W tym mieszkaniu czekali też chłopcy. Przebrali się w służbowe ubrania i już byli gotowi, żeby jechać po „Adriana”. No i ta karetka pojechała, na miejscu już byli nasi... w sumie, to też był chyba błąd, naszych było sześciu, uzbrojonych w dwa steny, pistolety. No i od nich też jeszcze kilku chłopaków. Obie grupy się nie znały. A mając ze sobą taki arsenał, mogli pomyłkowo w stresie wypalić do siebie... Ale poszło jak z płatka... Wszyscy mieliśmy gazety w tylnych kieszeniach, znak, że działamy wspólnie.

Zabiliście tego policjanta.

Nie, skąd!

Zacytujemy panu Ołtuszewskiego: „Do policjanta granatowego: »Ręce do góry!«. On ręce podniósł do góry, dał się rozbroić z polskiego pistoletu Vis. Pobiegli na górę do Dyzia, tam też do policjanta: »Ręce do góry!«. On sięgnął po visa, strzelili do niego. On tam upadł. Dyziowi przecięli sznurek, noga mu opadała, na nosze go, po schodach do karetki, karetką zawieźli do Szpitala Maltańskiego na ulicy Senatorskiej”⁹.

Nieprawda. Byłem tam.

„»Ręce do góry!« rozległ się okrzyk na korytarzu. Jeden z policjantów próbował sięgnąć po pistolet, jednak uniemożliwił mu to »Maria« [Włodzimierz Jabłoński], strzelając w brzuch. Policjant przewrócił się na posadzkę, drugi posłusznie podniósł ręce do góry”. To z kolei wersja Andrzeja Dławichowskiego¹⁰. Tu też jest mowa o tym, że jeden z policjantów został postrzelony.

Nie. Było inaczej. Postraszyliśmy ich trochę i tyle. Policjant zachował się przyzwoicie. Potem Okuń go zresztą odnalazł i mu podziękował w imieniu Państwa Podziemnego.

To pewnie podziękował temu trzeciemu, bo Dławichowski wyraźnie pisze, że trzeci policjant schował się do toalety i tam przesiedział całą akcję.

To jakiś głuchy telefon. Nie wiem, kto komu co potem opowiadał. Było dwóch policjantów, jeden z nich trochę kozaczył. Ale na pewno go nie zlikwidowaliśmy, nie było powodu. Pamiętajcie, że wiele razy współpracowałem z granatowymi i pochopnie nie strzelałbym do polskiego policjanta. Wielu z nich było w AK. To jedno. A po drugie, „Adrian” nie miał nogi na wyciągu. Nie musieliśmy przecinać żadnej linki. Komuś coś się pomyliło. Bo „Adrianowi” tę nogę – już zagipsowaną – podwieszono dopiero w Szpitalu Maltańskim właśnie po to, by nie przypominał „polskiego bandyty”, a był zwykłą ofiarą „wypadku”.

Dławichowski utrzymuje, że po udanej akcji, gdy „Piotruś” był już bezpieczny, „Krak” [Dariusz Gołębiowski] chciał wszystkim podziękować. Jeszcze w szpitalu zerwał czapkę z głowy i krzyknął: „Niech żyje Polska!”. Wszyscy ludzie zgromadzeni na korytarzu odpowiedzieli: „Niech żyje!”. Była aż taka radość?

To jakieś bzdury kompletne. Nie było żadnych okrzyków! No, skąd! Kogoś poniosła fantazja. Ulotniliśmy się w ciszy, aby nikogo nie narażać, nie ryzykować...

Tylko cytujemy. Dławichowski pisze dalej, że za to odbicie, a potem jeszcze ewakuację Mazura z jednego szpitala do drugiego „Ran” wystąpił do dowódcy batalionu z wnioskiem o nadanie Krzyży Walecznych „Hance”, „Lenie”, „Dzirytowi”, „Kani”, „Krakowi”, „Marii” i „Wąsikowi”¹¹...

Pierwsze słyszę...

Spotkaliście się potem z „Adrianem”?

Czwartego dnia po odbiciu widziałem go w Szpitalu Maltańskim. Dopiero tu miał nogę na wyciągu. Był umyty, uczesany, szczęśliwy. Śmiał się, że siostry zwróciły

mu twarz, bo rzeczywiście powyciągały mu odłamki, takie ciemne drobiny, i jakoś wróciła mu cera. A potem on wrócił do swojego plutonu, wszystko żeśmy sobie wyjaśnili.

Zawdzięczał panu życie...

Tam wszyscy wszystkim zawdzięczali życie.

Podporucznik Dionizy Mazur po akcji odbicia przeszedł operację nogi. Z prawego uda wyciągnięto mu pocisk, ale do końca noga była już zdeformowana. Po rekonwalescencji „Piotruś” pracował przy produkcji granatów, aż do powstania. Wcześniej, 4 lipca 1944 roku, zrobił maturę. Walczył w plutonie 11/12 na Woli, Starym Mieście, w Śródmieściu. 1 września został ponownie ranny w ruinach Sądu Apelacyjnego. Szczęśliwie nie było stąd daleko do wjazdu do kanałów – drogi do Śródmieścia. Trzykrotnie dekorowany był Krzyżem Walecznych (11 listopada 1943, 15 sierpnia 1944 i 5 września 1944). Po wojnie nie wrócił do Polski. Zaczął fascynujący etap życia na emigracji. Mimo kalectwa ciężko pracował; na przykład studiując na uniwersytecie Stetson w DeLand na Florydzie, dorabiał, myjąc wielkie okna oszklonego budynku akademickiego, zawieszony w małej gondoli. W 1960 roku uzyskał stopień doktora w dziedzinie socjologii i demografii. Pracował na uniwersytetach w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Berkeley. Badał grupy etniczne w ZSRR. Często przyjeżdżał do Polski, również w celach zawodowych. Tu badał migracje ze wsi do miast. O dziwo, zaproszono go również na stypendium do Moskwy, tam z kolei poświęcił się badaniom nad demografią XIX wieku. Do końca życia jeździł na nartach¹².

Sprawa odbicia „Adriana” miała swój epilog. Okazało się, że gdy „Adrian” trafił do szpitala przy Chałubińskiego, rannym mocno zainteresował się szpitalny fryzjer. Już na drugi dzień po przywiezieniu „Adriana” pojawił się przy jego łóżku i zadawał mnóstwo pytań. Był tak natarczywy, że siostry dostały wyraźny sygnał, aby go wręcz odganiać od pacjenta. Pani Maria Komorowska była pewna, że nikt z polskiego personelu tego fryzjera nie sprowadził. „Sęp” złożył w tej sprawie meldunek dowódcy 7. pułku „Garłuch”, majorowi „Wysockiemu”. Rozkaz likwidacji przyszedł do 993/W. Okazało się, że szpitalny fryzjer to agent Gestapo. Rozpracował go znowu sierżant Zygmunt

Okuń. Akcją dowodził „Sęp”.

Tak jak chciała pani Maria, nikt nie wniósł broni na teren szpitala. Dorwaliśmy go w bramie wjazdowej. Ja strzelałem.

¹ http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Janina_Wojciechowska_2/?q=Janina+Wojciechowska+Żaba .

² Wspomnienia Henryka Świątkiewicza, „Kamila”, w Archiwum Historii Mówionej MPW: http://ahm.1944.pl/Henryk_Swiatkiewicz/7.

³ Stanisław Podlewski, *Przemarsz przez piekło. Dni zagłady staromiejskiej dzielnicy w Warszawie*, Warszawa 1949, t. 2, s. 237–240.

⁴ Historia podchorążego Juliusza Klepacza, ps. „Ran”, nadaje się na scenariusz wojennego filmu sensacyjnego. W konspiracji najpierw współorganizował oddział złożony z byłych kadetów szkół we Lwowie i Rawiczu. Na jego czele brał udział w akcjach bojowych. Wpadł 11 listopada 1942 roku, został osadzony na Pawiaku, gdzie zorganizował coś w rodzaju konspiracji. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, redagował tam tajną gazetkę „Pawiak”. Cztery numery, każdy w liczbie kilkudziesięciu egzemplarzy, podtrzymywały na duchu uwięzionych. W końcu kwietnia 1943 roku, w drodze do Oświęcimia, zorganizował ucieczkę z transportu. Po powrocie do Warszawy włączył się do akcji odbicia ze szpitala ранego Dionizego Mazura. Niestety, niedługo potem, w sierpniu 1943 roku, wpadł. Gdy Niemcy zatrzymali pociąg, którym wracał z akcji do Warszawy, jeden z podległych mu żołnierzy wyrzucił przez okno broń. „Ran” wziął winę na siebie i aby nikt inny nie poniósł kary, się zastrzelił. Jego ostatnie słowa przed popełnieniem samobójstwa brzmiały: „Boże, tak chciałbym żyć, a muszę umrzeć”. Po wojnie rodzina ekshumowała jego ciało z cmentarza w Radzyminie i pochowała na Powązkach.

⁵ Relacja Bogdana Ołuszewskiego z AHM MPW; http://ahm.1944.pl/Bogdan_Oltuszewski.

⁶ S. Podlewski, *Przemarsz przez piekło*, dz. cyt., s. 238.

⁷ Inną wersję wydarzeń ustalił Andrzej Dławichowski w pracy *135 pluton AK VII Zgrupowania Ruczaj i jego kadeckie korzenie*, Wydawnictwo Doroty Karaszewskiej, Warszawa 1994, s. 71. W tej wersji dobrym duchem porwania „Piotrusia” ze szpitala nie była pani Komorowska, a dwie sanitariuszki Oddziału Specjalnego 11/12 „Lena” i „Hanka”, które pracowały w szpitalu jako pielęgniarki.

⁸ S. Podlewski, *Przemarsz przez piekło*, dz. cyt., s. 237.

⁹ http://ahm.1944.pl/Bogdan_Oltuszewski/6/?q=Bogdan+Oltuszewski.

¹⁰ A. Dławichowski, *135 pluton AK...*, dz. cyt., s. 72.

¹¹ Tamże, s. 73.

¹² Za: [http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Dionizy_Mazur/?q=Dionizy +Mazur](http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Dionizy_Mazur/?q=Dionizy+Mazur).

Rozdział 9

Było współzawodnictwo, było

25 czerwca 1943.

Polakożerca – tak „Sęp” nazywa dziś kolejny cel oddziału 993/W. I dodaje: swołocz. Chodzi o Ernsta Dürrfelda, komisarza warszawskich przedsiębiorstw miejskich: autobusów, tramwajów, elektrowni, gazowni, wodociągów i kanalizacji. Fatalną reputację urzędnika potwierdza Tomasz Strzembosz¹. Jego zdaniem Dürrfeld należał do szczególnie niebezpiecznych i szkodliwych funkcjonariuszy niemieckich w Warszawie. Polaków nie cierpiał, wolał zastępować ich volksdeutschami i zaufanymi Gestapo. To w warunkach wojennych jest nawet zrozumiałe. Ale stosunek Dürrfelda do Polaków wykraczał poza zwykłą niechęć. Leona Niepokójczyckiego i Edwarda Synka – kierowników przedsiębiorstwa Tramwaje i Autobusy oraz kilku ich najbliższych współpracowników kazał aresztować. Trafili do obozu koncentracyjnego. „Był uosobieniem najgorszych cech prusactwa, spotęgowanych jeszcze przez wieloletnią przynależność do SA i NSDAP” – uzupełniał charakterystykę Cezary Chlebowski², a Krzysztof Dunin-Wąsowicz podsumowywał krótko: „nieuk i sadysta”³. Dürrfeldowi od miesięcy towarzyszył niejaki Śliwiński, Polak, ale od pierwszych miesięcy okupacji Vp, czyli *Vertrauensperson* – mąż zaufania, wyższy stopień konfidenta Gestapo. Ponieważ Śliwiński był nieodłącznym towarzyszem Dürrfelda, kontrwywiad uznał, że jest jego ochroniarzem, prawą ręką, a także przyjacielem. Śliwiński miał na koncie „pokaźny bagaż przestępstw”, wydawał wszystkich zagrożonych, o których się dowiedział, wcześniej często ich szantażował. O jego okrucieństwie i bezwzględności przekonali się przede wszystkim ukrywający się Żydzi. Był szmalcownikiem i kanalią, mówi Lucjan Wiśniewski.

O ile decyzja zastrzelenia Dürrfelda nie stanowiła dla podziemnego wymiaru

sprawiedliwości problemu, o tyle w sprawie Śliwińskiego musiał się zebrać Wojskowy Sąd Specjalny. Towarzysz Niemca był bowiem Polakiem, a w takim przypadku, nawet jeśli chodziło o najgorszych bandytów, obowiązywała inna procedura. W końcu wyrok zapadł.

Do akcji wyznaczono dwie grupy: „Ptaków” i „Zadry”, czyli braci Bąków. Niestety, to my mieliśmy przygotować akcję, czyli całe to wystawanie godzinami, by zebrać informacje, trafiło się nam. Rozpracowanie zajęło bardzo dużo czasu. Dürrfeld mieszkał wtedy na terenie stacji pomp na Powiślu przy Czerniakowskiej. Tam jest pałacyk, stoi na zamkniętym terenie. Mogliśmy zastrzelić go właśnie tam, w momencie gdy opuszczał teren samochodem albo jak z niego wysiadał po pracy. Zawsze rano jechał do siedziby swojej firmy, która wtedy mieściła się w pięknym, nowoczesnym budynku oddanym do użytku tuż przed wojną – to była siedziba PKO, na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Pojechałem tam niedawno metrem, żeby obejrzeć. Ten gmach zupełnie dziś inaczej wygląda. Stał na samym rogu, półokrągły, podobny trochę do „domu bez kantów” na Krakowskim Przedmieściu. Miał charakterystyczne filary.

Tego domu już nie ma, tam jest teraz placyk. Pustka. Coś się buduje. Cała ta pierzeja Marszałkowskiej runęła w powstaniu.

Ja stałem za trzecim filarem od Marszałkowskiej.

Ale wcześniej mieliście plan, aby „zdjąć” Dürrfelda na Powiślu.

Nie dało się, tam było zbyt dużo strażników. Zresztą to fatalne miejsce do prowadzenia obserwacji, bo teren całkowicie kontrolowali Niemcy. „Naprawa”, „Puchacz” i ja kręciliśmy się tam cały ranek. Chcieliśmy ustalić, jaką drogą jedzie do pracy i o której wyjeżdża. Nie miał stałej pory. Wiedzieliśmy, że ma do dyspozycji dwa czarne chevrolety...

Stanisław Likiernik, który ze swoimi kolegami z Kedywu przeprowadził w lutym 1944 drugi zamach, powiedział nam, że Dürrfeld używał lśniącego, srebrnego...

Nie. Były czarne. Może później zmienił. Pamiętam do dziś numery: 1800 i 1801. Dürrfelda nie udało nam się zabić.

Im też nie. Miał szczęście. Wasz zamach miał być wykonany dwa dni po jego głośnym przemówieniu do polskich pracowników, kiedy zagroził, że jeżeli komukolwiek z podległych mu Niemców włos spadnie z głowy, to on zastosuje zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Wybraliście się po niego 25 czerwca 1943 roku, rano...

To przemówienie przed akcją to był chyba przypadek. Ale dobrze się złożyło.

Ostatecznie zdecydowaliście się zastrzelić go w Śródmieściu. W godzinach szczytu, na środku chodnika, w tłumie przechodniów...

Był dobrze rozpracowany. Błąd nie wchodził w grę. Ryzyko, że będą ofiary wśród przechodniów, było zerowe.

Zawsze coś się mogło wydarzyć. W zamachu na Wandę Kronenberg w kwietniu 1944 roku „Burza” zastrzelił dwie niewinne kobiety, jej służące. Tylko dlatego, że podniosły alarm...

Wiem. Ale w tym wypadku cel był jasno określony i znany.

Wiedział pan, jak dokładnie wygląda? Rozpoznałby go pan?

Pewnie po aucie, z którego by wysiadł. Osobiście – aż do akcji – nie widziałem go na oczy. Ale ja nie byłem od rozpoznawania. Decyzję o tym, że strzelamy do niego w Śródmieściu, a nie na Powiślu, podjął „Naprawa”, zatwierdził „Twardy”, czyli Kowalewski. To była zresztą jego ostatnia akcja. 19 lipca został aresztowany. Wspaniały dowódca. Często towarzyszył nam w akcjach jako obserwator, przyglądał się z daleka. Jeśli o tym wiedzieliśmy, byliśmy absolutnie spokojni o nasze życie. Że wszystko się uda.

Podczas tej akcji też wam życie uratował.

„Gilowi”. Ale to było w zasadzie po akcji. Zanim odbyła się akcja, wywiadowczą robotę wykonały „Teresa” i „Mira”⁴. Cała logistyka, opracowanie zamachu, dostarczenie informacji, ewentualnie zdjęć, potem broni – to nie była nasza praca, tylko wywiadowczyń. Dlatego ja wolałem akcje „Garłucha”. Tam przynajmniej sam decydowałem, jak robota będzie wyglądać, jak to zrobimy. Tu, w kontrwywiadzie, byłem tylko trybikiem. Delikwentów rozpoznawały wywiadowczynie, one nam ich wskazywały, my kończyliśmy. Nie narzekam, ale w tym akurat wypadku wszystko się posypało. „Teresa” i „Mira” ustaliły, że Dürrfeld ma słabość do alkoholu. Pił już rano. Skoro musi się napić – musi wejść do knajpy. I rzeczywiście okazało się, że zanim Dürrfeld ze Śliwińskim zaczęli pracować, rano jechali z Powiśla do „Maxima” w Prudentialu. Tam jedli śniadanie i pili. A potem na piechotę szli te sto, sto pięćdziesiąt metrów do gmachu PKO. I „Naprawa” zdecydował, że „zrobimy” go na chodniku między Prudentialem a PKO, po śniadaniu, niech sobie jeszcze podje przed śmiercią.

Stanisławowi Likiernikowi zadaliśmy to samo pytanie: Co poszło nie tak?

Mówiłem wam o rywalizacji? Była rywalizacja między nami, czyli między patrolem „Ptaków” a patrolem Bąków. W zasadzie to między „Gilem” i mną a braćmi Bąkami. Oczywiście, dużo akcji robiliśmy razem, świetnie się ubezpieczaliśmy, mogłem im ufać we wszystkim ale... rywalizacja była. No i dodatkowo była trochę też rywalizacja między mną a „Gilem”. Mała, ale była. Chodziło o Krzyże Walecznych.

Rywalizowaliście o odznaczenia?

Głupie, wiem. Ale tak było. Młodzi byliśmy. Wiedzieliśmy, że Dürrfeld to figura, że jest to ważny zamach, bo to dygnitarz, wysokiej rangi urzędnik. Wiedzieliśmy, że za to mogą pójść jakieś odznaczenia. Jeszcze wtedy nikt z nas w 993/W nie miał Krzyża Walecznych. Oczywiście wśród „Ptaszków” otwartej konkurencji, współzawodnictwa nie było. Ale już między patrolami – jak najbardziej. Oczywiście, to była rywalizacja podskórna. Zresztą te dwa oddziały były jakoś podobne. Oni mieli Bolka Bąka, „Szlaka” – zrywnego, szalonego, piekielnie

odważnego, a u nas taką rolę narwańca pełnił „Gil”. Ja byłem ten spokojniejszy, rozważny.

To możemy zrozumieć, ale rywalizować z przyjacielem?!

Śmieszne. Ale to chyba normalne, jak się ma osiemnaście lat? Pytanie: Czy ja zostanę pierwszym strzelającym, czy „Gil”? Wiadomo, odznaczenie dają temu pierwszemu. Tu żeśmy kalkulowali... „Naprawa” to w porę dostrzegł i zarządził wobec tego losowanie. No i w losowaniu wygrał... „Gil”.

Jak się losuje udział w egzekucji?

Normalnie, chyba rzut monetą. A może wybieranie losów? Nie pamiętam. Przegrałem z „Gilem”. Strzelać mieli „Gil” i „Burza”. Ja zapewniałem ubezpieczenie chłopakom. Plan był taki, że główni wykonawcy mieli stać w pierwszej bramie na Świętokrzyskiej, po przeciwnej stronie Marszałkowskiej, od strony Pasty. Ja z „Puchaczem” na przystanku tramwajowym na Marszałkowskiej, na wysokości gmachu PKO, a inni rozrzućeni byli nieopodal. Z kolei Dürrfeld ze Śliwińskim powinni nadjechać Marszałkowską od strony Alei Jerozolimskich, skręcić w Świętokrzyską i pojechać do „Maxima”. A potem pójść spacerem do pracy. I tu, przed gmachem banku, „Gil” i „Burza” mieli strzelać. Ostatecznie stanąłem z „Puchaczem” pod filarem PKO. Jak zwykle przed akcją trochę się denerwowałem. No bo był kłopot. To było ruchliwe miejsce, łatwo wtopić się w tłum, ale z drugiej strony takie stanie „bez sensu” mogło wzbudzać podejrzenie tajniaków. Powiem wam, stanie jest najgorsze.

Z bronią gotową do strzału...

Tak. Bardzo męczące. Nic tak nie denerwuje jak czekanie. Lepiej się ruszać, udawać, że się wykonuje jakąś czynność. No, ale ile czynności można wymyślić? Poprawianie sznurowadeł, wypatrywanie narzeczonej, palenie papierosa...

...rozmawianie przez telefon komórkowy...

Dobry macie nastrój dzisiaj. Ileśmy wtedy nerwów stracili! Nagle widzę, jak po drugiej stronie ulicy „Mira” daje znaki, że jedzie samochód. Drugi w kolejności „Doktur” zdjął czapkę i pogładził włosy. To był znak dla „Naprawy”, „Gila” i „Burzy”. Po chwili pojawił się chevrolet 1801, który zwolnił koło przystanku, bo akurat przyjechał tramwaj, i zaczął skręcać w Świętokrzyską. Ponieważ stałem pod filarem, samochód natychmiast zniknął mi z pola widzenia. I w momencie, jak zniknął, odzyskałem absolutny spokój. Zawsze tak było: najpierw zdenerwowanie, a potem przychodził taki „klik” i momentalnie byłem spokojny i trzeźwo myślący. I opanowany. Chyba najbardziej ze wszystkich „Ptaków”.

Która to była godzina?

Wpół do ósmej. I widzę, że dzieje się coś dziwnego. I jeszcze dodatkowy pech, bo akurat z przystanku ruszył tramwaj Marszałkowską. „Burza” wyskoczył przed tramwajem, pędzi. Widzę go, biegnie. Patrzę dalej, a on ma w wyprostowanej ręce pistolet. Wystartowałem również ze swojego miejsca... Zrozumiałem, że Dürrfeld pojechał jakoś inaczej. „Mira” od tygodnia dokładnie notowała jego poranny rozkład jazdy. Zawsze jechał na śniadanie, a potem szedł na piechotę. A tego dnia, jak na złość, zrobił inaczej.

Zobaczył go pan w końcu?

Nie, tylko plecy mi mignęły. Średnio wysoki człowiek, nierzucający się w oczy. Przeciętny. Średniak. „Burza” pobiegł za nim i wpadł do budynku.

Co z autem?

Jak ten samochód skręcił, to chwilę poczekałem i podszedłem te kilka metrów, żeby przynajmniej zobaczyć, jak ta akcja będzie wyglądała, z daleka. Powoli. Wyszedłem zza rogu, a tu samochód pięć metrów ode mnie stoi! I wysiada ktoś. Wtedy – instynkt – łapię za pistolet. Ale to „Burza” miał strzelać, myślę. I wtedy się zawahałem, bo przecież role były podzielone. Więc tylko tak stałem... Tymczasem „Burza” z daleka zaczął strzelać w kierunku idącego do PKO Dürrfelda. Miał go na celowniku.

Dürrfeld był już w drzwiach budynku?

Szedł w kierunku kręconych drzwi wejściowych, usłyszałem dwa strzały. To się, oczywiście, wszystko toczyło błyskawicznie. Dürrfeld runął w te drzwi. Potem ktoś nam powiedział, że miał na sobie kamizelkę kuloodporną. „Bąk” go na ulicy nie trafił, kula dosięgła go dopiero w drzwiach. Ja, cholera, nie pamiętam, czy to były kręcone drzwi, czy takie metalowo-szklane, normalne.

Pan w końcu nie strzelił?

„Burza” wpadł za nim do środka. Strzelił jeszcze dwa razy, słyszałem te strzały wewnątrz budynku, w sumie oddał cztery strzały i – jak twierdził – był przekonany, że go trafił. Ja się znalazłem na wprost samochodu, patrzę, a tu z tylnych lewych drzwi wychodzi Śliwiński. Skoro dwóch jechało – zatem to on! No to go zastrzeliłem. Z dwóch metrów.

Jeszcze był kierowca.

Polecenie było wyraźne: oszczędzić kierowcę. Bo to zwykły, dobry Polak.

A skąd takie informacje?

Nie wiem, może był naszym informatorem? Wyraźnie było powiedziane: oszczędzić! Nie strzelać do kierowcy. Ale wywiązała się strzelanina, samochód podziurawiony i kierowca jednak zginął. Ja wykończyłem Śliwińskiego. „Naprawa” też się zaraz znalazł i też strzelił do Śliwińskiego. Do trupa. Albo ciężko rannego.

Miał pan czas wycelować?

Dwa, trzy metry. Bez pudła. Jak człowiek wychodzi z samochodu, to jest pochylony. To ułatwia. Zacząłem od głowy, a potem w korpus. Trzy strzały. On tak zawisł w połowie drzwi, a potem padł na asfalt. „Naprawa” strzelał do niego, jak już leżał.

Procedura – przynajmniej przy zamachu na Kutscherę – była taka, że po oddaniu strzału należało denata przeszukać. Może uda się znaleźć potwierdzające tożsamość dokumenty albo jakieś ważne papiery. Zabrać broń...

„Naprawa” go podobno rewidował, ale nie pamiętam. Bo zaraz był odwrót. A broń to podobno zabrał „Burza”. Dürrfeldowi!

Podobno?

Po akcji pokazał nam czeską zbrojovkę, taki pistolet. Powiedział, że Dürrfeld, padając, wypuścił go z ręki. No to go zabrał. Pamiętam, że bardzo nas ta broń rozczarowała. Taki wysoki urzędnik powinien mieć co najmniej parabellum. Albo nawet colta 9 mm. Piękny. A tu zbrojovka? Miała niskie notowania u nas.

Co było dalej po pańskim strzelaniu do Śliwińskiego?

To są sekundy. „Burza” wyskakuje z budynku, coś krzyczy, ale w zamieszaniu tego nie słyszę, bo tu już trwa kanonada. Z drugiego tramwaju, który stoi trochę w głębi Marszałkowskiej, ktoś do nas strzela. Jacyś dwaj Niemcy. Ucisza ich „Puchacz”. Przeskakujemy do Świętokrzyskiej, wpadamy na Szkolną. „Naprawa” jeszcze sprytnie strzela w opony zaparkowanych samochodów, żeby uniemożliwić pościg. Biegniemy w kierunku placu Dąbrowskiego. I już walą do nas z okien PKO.

Pan wystrzelał trzy magazynki? Tak przeczytaliśmy.

Nie, nie, przesada. Zmienić magazynek w biegu, w nerwach, to nie takie proste. W sumie oddałem chyba sześć strzałów. W drodze, na Szpitalnej, z domów do nas walili, z okien. „Gil” wtedy dostał. Bo to było tak, że „Burza” biegł pierwszy. Rysiek za nim, był w połowie drogi do placu Dąbrowskiego. Ja uciekałem ostatni, zygzakiem. Za mną odzywa się już pistolet maszynowy. Obok nas i przed nami sypią się iskry z jezdni od padających pocisków. Rysiek był przede mną jakieś dwadzieścia metrów. I widzę, że on coraz wolniej biegnie, aż go dogoniłem.

Widzę, że jest blady i takim chrapliwym głosem mówi: „Ranny jestem”... Zacząłem krzyczeć do „Naprawy”: „Rysiek ranny!”. Na całe gardło. „Naprawa” wrócił, pod ręce go wzięliśmy i do placu Dąbrowskiego. A na placu był niemiecki Urząd Pracy. Niemcy wyszli z budynku, nie wiedzieli, co się dzieje. Popatrzyli na nas takim nic niewidzącym wzrokiem i się pochowali... Tak sobie myślę o nich, że widok rozgrzanych bojem facetów w rozwianych prochowcach – to nie jest dobry powód, żeby w sobie odnaleźć bohatera. Pochowali się. Akurat wtedy strzały ucichły i dobiegliśmy do bramy budynku, gdzie dziś jest ambasada włoska. I tu „Gil” stracił przytomność. Jeszcze go pociągnęliśmy przez podwórka do Mazowieckiej. „Naprawa” się wychylił i zobaczył, że na końcu Mazowieckiej, przy placu Napoleona, stoi oddział Niemców. Wszyscy z karabinami, patrzą w naszą stronę. Położyliśmy „Gila” w bramie, pamiętam, że na jego piersiach pojawiła się plama krwi, która zaczęła rosnąć. Zrobiła się duża. I wtedy jakby poczuliśmy, że to może być koniec...

Jego?

Jego i nasz. „Naprawa” powiedział, że w razie czego zastrzeli „Gila”, a potem my sami siebie, po kolei...

To był rozkaz?

Chyba coś w tym rodzaju.

Cezary Chlebowski swoją fabularyzowaną relację mocno udramatyzował, ale to akurat pominął: „»Sęp« tymczasem czatował przy bramie. Zaniepokojony trwającą od kilku chwil ciszą, wystawił ostrożnie przez szparę głowę i zmartwiały z przerażenia. W głębi ul. Mazowieckiej od placu Napoleona kroczyło środkiem jezdni ku ich kryjówce siedmiu Niemców w hełmach, ze szmajserami gotowymi do strzału. »Sęp« gorączkowym szeptem, aby reszta nie usłyszała, podzielił się tą wiadomością z »Naprawą«. Ten niedowierzająco zerknął przez szparę.

– To już chyba koniec – stwierdził z bladą twarzą »Naprawa«. – Bronimy się,

dokąd można...

Nie dokończył, ale »Sęp« zrozumiał go i tak. Załadowali nowe magazynki i przytuleni do ścian przejazdowej bramy, mając u stóp ciężko oddychającego »Gila«, czekali z lufami pistoletów skierowanymi w szparę uchylonych wrót. Jeśliby tylko tam się pokazali Niemcy... Ale mijały minuty, a prześwit bramy był pusty. Na co czekali Niemcy?»⁵.

Do dziś nie wiem... Nie wiem, jak to się działo... Zaraz zrobił się ruch i zobaczyłem, że pod naszą bramę podjeżdża na rykszy „Twardy”!

Dowódca 993/W Leszek Kowalewski.

Nie wiedziałem o tym, że on wszystko z oddali obserwował i miał przygotowaną rykszę. Wynajął ją wcześniej. Chyba na wszelki wypadek. Nie chciał nam powiedzieć, że będzie z nami. Wsadziliśmy Ryśka na rykszę. Płuca miał przebite, krew mu się lała, więc „Naprawa” zakrył go kurtką. Pojechali na Saską Kępę, Walecznych 12, do Izy Horodeckiej, „Teresy”. A tam już czekał nasz chirurg Wacław Jastrzębski, „Bujny”. Stwierdził, że kula przeszła przez płuca, omijając ważne narządy. Rysiek dwa tygodnie później już szedł ze mną na akcję.

Jaka?

Jakaś kolejna akcja w „Garłuchu”. Ale przez te dwa tygodnie musieliśmy się sporo namęczyć, żeby ukryć wszystko przed jego matką. Po tej akcji nie wrócił do domu, kurował się. A potem miał scysję. Bo ona już po wszystkim prała jego rzeczy i znalazła koszulę. Tę przestreloną w akcji na Dürrfelda. Z krwi już ją uprano, ale dziury nikt nie zaszył. Zauważyła tę dziurę. Potem gdy Rysiek mył się nad miednicą, miał nagi tors, to matka zaszła go od tyłu i zaczęła sprawdzać powierzchnię ciała. To już kilka miesięcy potem. Wymacała mu bliznę na plecach, a potem na klatce piersiowej. Zrozumiała. No i do Ryśka: „Co ty tu masz?!”. On się wtedy przyznał, że był ranny. I co się dalej stało? Rysiek do mnie z awanturą: „Co, znowu matce powiedziałeś!”. A ja: „Głupi jesteś!? Nic nie mówiłem absolutnie!”. No to on kontynuował śledztwo i zapytał w końcu mamę,

jak ona się domyśliła. „Dałam ci nową koszulę. A potem patrzę, dziurka. A potem z drugiej strony”. Tak! Gdy ułożyła koszulę, tak jakby na ciele syna leżała, spostrzegła, że to przestrzelenie. Zrozumiała. A przecież ona wcześniej nic nie wiedziała, czym się syn zajmuje. Wcześniej wiedziała, że jesteśmy w konspiracji, ale co dokładnie robimy, to nie miała pojęcia.

Wróćmy do Dürrfelda. Przeżył.

Przez kilka miesięcy był spokojny, a potem znowu się rozkręcił. Do tego stopnia, że Kedyw zorganizował kolejny zamach. Wtedy został tylko ranny, ale zdaje się, że potem wyjechał z Warszawy. Może aby nie kusić losu. Dziś, gdy o tym wszystkim myślę, dochodzę do wniosku, że mogłem go wtedy trafić. Byłem najbliżej. Przebiegł tuż za moimi plecami. Gdybym się w porę odwrócił.

No i nici z Krzyża Walecznych.

Przeciwnie. Przecież jednak zabiliśmy Śliwińskiego. On też był na liście do likwidacji, w jego wypadku udało się. Dostaliśmy te krzyże...

Mamy tu z archiwów rozkaz numer 112 Komendanta Głównego AK, generała „Bora” z 19 lutego 1944 roku w sprawie nadania odznaczeń. Pierwszy wymieniony to „Twardy” – Virtuti Militari pośmiertnie. Pan też jest na liście: Krzyż Walecznych po raz pierwszy...

To było po raz drugi.

Tu wyraźnie jest napisane „po raz pierwszy”.

To była zabawna historia. Do dekoracji doszło w mieszkaniu „Andrzejewskiego”, czyli Andrzeja Zawadzkiego, przy ulicy Śniadeckich. Za akcję na Dürrfelda odznaczony miał być Rysiek i ja. I „Burza”. Stoimy wyprężeni w szeregu, mieszkanie jest duże. Wszyscy się mieszczą. Krzyże wręcza...

...przypina...

Nie, podczas okupacji się nie przypinało. Wręcza Bernard Zakrzewski, „Oskar”, szef kontrwywiadu KG AK, nasz zwierzchnik. Doszedł do pierwszego – Staszka Bąka, „Burzy”. Staszek został podczas akcji lekko ranny w rękę. Pewnie dostał w momencie, gdy wpadł za Dürrfeldem do środka. I „Oskar” mówi: „Odnaczony po raz pierwszy”. Gratuluje mu i podchodzi do Rysia Duplickiego, „Gila”. Potrząsa jego prawicą i wymawia formułę: „Odnaczony... po raz drugi”. Mnie momentalnie zmroziło. Zdziwiłem się, że to wyszło na jaw. Doszedł do mnie: „Odnaczony po raz drugi”. I pamiętam to jak dziś, tę zaskoczoną minę Staszka Bąka i jego braci. Wychyla się z tego szeregu i pyta: „Po raz drugi?”.

No właśnie...

Bo wcześniej zrobiliśmy tę akcję na Maryniuka w Pruszkowie! We dwójkę z „Gilem”. To miała być nasza przepustka do kontrwywiadu. I za to wcześniej każdy z nas dostał Krzyż Walecznych. W 993/W nie chwaliliśmy się tym, a „Naprawa” rzecz przemilczał. Przecież raczej nie wolno było być w dwóch oddziałach na raz! A my w zasadzie do powstania strzelaliśmy i tu, i tu.

Po akcji „Za Kotarą” dwaj bracia Bąkowie – „Doktur” i „Szlak” – zostali odznaczeni Krzyżem Walecznych. Mamy tu kolejny rozkaz, nr 113, Komendanta Głównego Sił Zbrojnych w Kraju z 20 października 1943 roku. Dziwne, bo poprzedni ma nr 112 i jest z lutego, a ten ma nr 113 i jest datowany cztery miesiące wcześniej...

No więc się wyrównało.

Nie bardzo. Bo oni mieli po jednym Krzyżu, a wy już po dwa. Konsternacja na temat podwójnego dekorowania pana i „Gila” Krzyżami Walecznych wśród kolegów i przełożonych musiała być spora, bo na tej samej kartce z rozkazami mamy meldunek podpisany przez „Fischera”, czyli Stefana Rysia. Cytujemy: „Jak mi wiadomo – »Gil« i »Wierny« zostali odznaczeni K.W. w innym Oddziale P.Z.P. pod innymi pseudonimami. Celem zewidencjonowania tych odznaczeń i wprowadzenia poprawki do ostatniego

odznaczenia – należy podać mi odwrotnie – nr rozkazu K.S.Z. datę i pseudonim, pod jakim w. wym. uzyskali odznaczenia za okres służby w innym Oddziale”. Może się mylimy, ale tu między wersami pobrzmiwa irytacja waszego przełożonego. I zamieszanie z pseudonimami...

Konspirowaliśmy się!

Przed własnym szefem?

Bo nie wolno było służyć w dwóch oddziałach.

To po co pan to robił?

Co innego oddziały liniowe, a co innego kontrwywiad Komendy Głównej. Każdy chłopak chciał służyć w kontrwywiadzie, w „wykonawczym”. I wreszcie się tam dostaliśmy. Ale jak do tego już doszło, to trudno było zostawić chłopaków z Boernerowa. Prosimi o pomoc, to pomagaliśmy. No i wyszło, że robimy na dwa etaty.

Odnależliśmy jeszcze odręcznie napisaną notatkę z 17 kwietnia 1944 roku. Skierowana jest właśnie do „Fischera”. Notatka jest o panu i o „Gilu”. To jakby odpowiedź na zadane wyżej pytanie Stefana Rysia. Cytujemy: „Melduję, że »Gil« i »Sęp« otrzymali Krzyże Walecznych po raz pierwszy rozkazem nr 113 z dnia 11.11.1943 pod pseudonimami:

»Płowy« = »Gil«

»Wierny« = »Sęp«.

Odnaczenia te otrzymali w linii, w pułku Madagaskar (obecnie Garłuch)”⁶.

Proszę zwrócić uwagę na daty. Rozkaz nr 113 ma tu inną datę niż rozkaz 113 dotyczący Bąków.

Ktoś zrobił błąd... To nieważne.

Trochę namieszaliście tym podwójnym życiem...

Dziecinada. Mówiłem o współzawodnictwie. To było zabawne. Bąkowie nie mogli tego znieść. Jak to? Oni mają po jednym krzyżu, a „Ptaki” już po dwa? – pytali z takim zdziwieniem i niedowierzaniem. No, było współzawodnictwo. Było.

¹ T. Strzembosz, *Akcje zbrojne...*, dz. cyt., s. 323.

² C. Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, dz. cyt., s. 177.

³ Krzysztof Dunin-Wąsowicz, *Warszawa w latach 1939–1945*, Warszawa 1984, s. 47.

⁴ Władysława Nowakiewicz-Broszkowska, „Mira” (1903–1995), wywiadowczyni 993/W, w powstaniu sanitariuszka batalionu „Pięść”.

⁵ C. Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, dz. cyt., s. 180.

⁶ RPS BUW, Archiwum Bieleckiego,teczka 2975, k. 72.

Rozdział 10

Daj nam, Boże, broń

Broń, broń wszelkiego rodzaju, pistolety, nagany, czasem pistolety maszynowe, upychane po schowkach i dziurach, przechowywane w piwnicach i komórkach – marzenie i zmora oddziałów AK. Składy zakopane w pośpiechu i niedbale po Wrześniu niszczały szybko; wydobywane w 1942 i 1943 roku karabiny i pistolety często nie nadawały się do niczego. Powstał cały podziemny przemysł remontowo-rusznikarski. Od 1943 roku rozbijanie Niemców na ulicach zdarzało się coraz częściej, dochodziło przy tym do strzelanin, dowództwo w końcu oficjalnie zabroniło takich spontanicznych akcji. Nieskutecznie. Praktykowano również kupowanie broni od żołnierzy niemieckich.

Lucjan Wiśniewski opowiada krążącą w oddziale anegdotę: dwóch żołnierzy 993/W, idąc ulicą (prawdopodobnie, ale nie na pewno – Noakowskiego), widzi oficera Wehrmachtu samotnie maszerującego pewnym krokiem i obciążonego sporych rozmiarów teczką. Nie mogą oderwać oczu od parabellum u pasa Niemca. Gdy oficer wchodzi do sklepu czy jakiegoś zakładu krawieckiego, decyzja jest łatwa. Po chwili trzymają Niemca na celowniku. I wtedy żołnierze podziemia słyszą za plecami „Ręce do góry!”. Odwracają się niepewnie i widzą swoje lustrzane odbicia: młodzi cywile właśnie przyszli dokonać transakcji – w teczce niemieckiego oficera były pistolety „zamówione” przez AK.

Po kilkunastu przypadkach, gdy pistolety z dorobionymi magazynkami zacinały się po pierwszym strzale, zdarzało się, że żołnierze poszczególnych patroli zabierali na akcję po dwie, a nawet trzy sztuki broni. Nie było to wygodne i bezpieczne. Bywało też nieskuteczne. Izabella Horodecka wspomina, jak po akcji na „Lalunię” (Wilhelma Leitgebera)¹ prowadziła pod ramię krwawiącego „Dana”². Ranny mruzczał: „Krew mnie zalewa, krew mnie zalewa”. „Teresa” dopytuje, gdzie dostał i czy naprawdę jest tak źle.

„Nie, to draśnięcie tylko” – słyszy. „Krew zalewała” „Dana”, bo zacięły mu się oba (!) pistolety³.

Lucjan Wiśniewski wspomina, że w noszeniu miniarsenału celowali bracia Bąkowie – dysponowali bowiem kilkoma niezawodnymi visami. Prywatnymi.

Tuż przed powstaniem w oddziale likwidatorów pojawiają się „specjalne” pistolety z długimi lufami i tłumikami. Wcześniej miały takie jedynie oddziały likwidacyjne Kedywu (na przykład Oddział Dyspozycyjny KG AK – „Anatol” [późniejsza „Miotła”])⁴. Późno. W powstaniu na barykadach tłumiki raczej nie były potrzebne.

Uzbrojeniu oddziału 993/W rozdział swoich wspomnień poświęca „Porawa”, kapitan Stefan Matuszczyk. Przechowywane w Bibliotece UW notatki nie były jeszcze publikowane. Przytaczamy ich fragmenty:

„W początkach działalności oddziału broń krótka była rozmaitych typów i kalibrów. Niejednokrotnie wydobyta z ziemi i oczyszczona nie dawała gwarancji i bywały częste przypadki zacinania się, spowodowane przeważnie osłabieniem podającej sprężynki magazynka. Dobrze działająca broń to w czasie okupacji niezastąpiony przyjaciel i obrońca. Gdy zawodziła, mogła spowodować nie tylko niewykonanie zadania, ale i śmierć właściciela. Każdy oddział bojowy starał się zaopatrzyć w pistolety kalibru 9 mm, do których można było zdobyć amunicję na wrogu. Ten sam kaliber miały niemieckie pistolety i niezawodne angielskie steny. Granat, pistolet lub rewolwer oraz pistolet maszynowy to była nieodzowna broń w naszej walce w czasie konspiracji i powstania. Niestety, nigdy nie mieliśmy jej zbyt wiele! Broń oddziału przejmowałem komisyjnie, według spisu sporządzonego przez por. »Twardego«. Składała się ona z 16 pistoletów różnych typów, dwóch naganów, dwóch stenów i kilku granatów. Po dokładnym przejrzaniu jej w magazynie przy ul. Rymarskiej 10 trzeba było odrzucić kilka pistoletów całkowicie nienadających się do użycia. Tylko niewielka ilość miała oryginalne magazynki. [...] Por. »Twardy« rozdzielił broń na poszczególne patrole, które opiekowały się nią i konserwowały. Broń ta była jakby ich własnością, której zazdrośnie strzegli. W nowej sytuacji, spowodowanej napływem ludzi do oddziału, systemu nie można było stosować.

Zleciłem więc zmagazynować wszystką broń w naszym lokalu przy placu Bankowym i pieczę nad nią powierzyłem »Naprawie«, który wspólnie z »Gilem« miał ją

konserwować i na moje polecenie wydawać do akcji. Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo niechętnie dotychczasowi opiekunowie broni będą się z nią rozstawać, ale nie było na razie innego wyjścia”⁵.

Magazyn przy placu Bankowym budził zastrzeżenia. „Porawa” obawiał się, że częste wizyty jego żołnierzy w składającym się z jednego (!) pokoju mieszkaniu wzbudzą podejrzenia sąsiadów. Postanowiono zbudować skład z prawdziwego zdarzenia i dodatkowo „podręczny” schowek w bezpiecznym lokalu. W mieszkaniu „Hanki”⁶ specjalista zbudował zamaskowaną skrytkę pod podłogą. Miało się w niej mieścić czterdzieści pistoletów. Prawdziwy magazyn powstał przy Elektorальной 18 (według niektórych wspomnień była to Elektoralna 7), gdzie znajdowała się drukarnia i introligatornia, a piętro wyżej fabryczka gilz do papierosów. Ruch był więc duży i kręcący się z paczkami młodzi ludzie nie wzbudzali podejrzeń. Kłopot był z samą budową „ślepej” ściany w piwnicy znajdującej się pod podłogą magazynu drukarni. Żołnierze za dnia w teczkach przynosili cegły, cement, piasek i wapno, a nocą stawiali ścianę, uważając, by nie robić hałasu. Jak wspomina „Porawa”, by ściana nie różniła się od pozostałych i wyglądała na starą, do zaprawy dodawano pajęczyny, farby drukarskiej i kawy marki „Enrilo”.

„Gdyśmy się uporali z magazynami, przysła kolej na powiększenie naszych zapasów broni. Mogła ona pochodzić z przydziału, z zakupu lub też być zdobyta w walce. Nie wolno nam natomiast było rozbijać Niemców na ulicach. Do wybuchu powstania nie otrzymałem z przydziału ani jednej sztuki broni czy też amunicji. Natomiast na zakup miałem nieograniczone fundusze, z których nabyliśmy 2 Kb. [chodzi o karabiny Mauser], jednego szmajsera i dwie pepesze oraz około 10 pistoletów typu Vis, Parabellum i F.N. z odpowiednią ilością amunicji. Nie wystarczyło to jednak dla wszystkich i magazyny plutonów świeciły pustkami.

Nie znałem jednak swoich ludzi! Zaopatrzeni na czas akcji w dobrą broń, musieli ją każdorazowo po jej zakończeniu oddawać, co raniło ich serca, gdyż chcieli opiekować się nią i konserwować. Ja natomiast obawiałem się, że będą ją nosić przy sobie i w wypadku rewizji na ulicy przez patrol niemiecki, mogą zostać aresztowani”⁷.

„Raniło ich serca” – to określenie użyte przez oficera wydawało nam się nieco egzaltowane do chwili, gdy przeczytaliśmy wspomnienia Izabelli Horodeckiej, wówczas

dojrzałej już kobiety, starszej o dobrych kilka lat od większości członków oddziału. Pisała: „[...] Bezpośrednim wykonawcą był »Sokół«, pierwszy raz używając cudownej [podkreślenia EM/MW] »FN 15«, który nie znając siły tej broni, o mało nie postrzelił »Zakalca« obstawiającego drzwi frontowe. »Sokół« zdobył ślicznego »waltera« siódmkę [...] która podczas powstania była przydzielona mnie”. Wspomnienia „Teresy” w pozostałych partiach bynajmniej nie obfitują w nadmiar podobnych przymiotników⁸.

Dalej „Porawa”:

„Zapasy rosły powoli, ale stale. Chłopcy nie mogli zrozumieć zakazu rozbijania Niemców i na własną rękę zaopatrywali magazyny, gdyż widzieli, że broni mamy zbyt mało. Początkowo nic o tym nie wiedziałem, a później... było już za późno. Zdobyć ta przydała się w powstaniu. Na ślad tego sposobu zaopatrzenia wpadłem zupełnie przypadkowo.

Gdzieś w połowie maja 1944 r. przejeżdżałem na rowerze Wybrzeżem Kościuszkowskim obok elektrowni i jak zwykle, rozglądałem się, wypatrując, czy nie grozi jakaś łapanka lub patrol. W pewnym momencie spostrzegłem przed sobą w odległości około 50 m idącego w kierunku mostu Kierbedzia oficera Wehrmachtu, a za nim dwóch cywili. Uwagę moją zwróciło dziwne zachowanie oficera, który co chwilę oglądał się i bądź to zwalniał, bądź przyspieszał kroku. Zainteresowany tym zacząłem jechać powoli. Gdy znalazłem się bliżej tej grupy, poznałem w cywilach »Klawisza« i »Zakalca«⁹. Od razu wiedziałem, co nastąpi za chwilę. »Klawisz«, mający już prawdopodobnie wprawę w tego rodzaju wyczynach, wyprzedził oficera i po kilkunastu krokach raptownie odwrócił się. Nieszczęsny przedstawiciel Herrenvolku całkowicie zrezygnowany zatrzymał się i jak cielę na rzeź czekał, co dalej nastąpi. Na szczęście dla niego spostrzegł mnie »Zakalec«, gdy rozglądał się fachowo, aby zorientować się w sytuacji. Dał znak »Klawiszowi« i obaj z zainteresowaniem zaczęli obserwować przesuwające się po niebie chmurki. Całkowicie ogłupiały szkop, widząc we mnie »odsiecz«, ruszył z kopyta i prawie pędem wpadł w ulicę Lipową. Cóż miałem robić? Udałem, że nie zauważyłem całej tej sceny i mijając obojętnie chłopców, pojechałem dalej. Gdy po kilkunastu metrach obejrzałem się, zobaczyłem, jak wbiegali w ulicę Lipową. Musiałem być konsekwentny i nie pytałem ich później, czy dogonili oficera,

choć bardzo byłem tego ciekawy”¹⁰.

„Uzupełnianie” zasobów uzbrojenia miało oczywiście i mniej zabawne, po prostu tragiczne strony. Przy akcji wykopywania broni ukrytej w 1939 roku wpadł dowódca 993/W Leszek Kowalewski, „Twardy”. W nocy z 18 na 19 lipca 1943 roku dwudziestu ludzi rozkopywało jedną po drugiej piwnice na Targówku, przy ulicy Piotra Skargi. Bezskutecznie, broni nie znaleziono (po czterdziestu latach, przy okazji prac budowlanych, okazało się, że duży skład zakopany był kilkanaście metrów dalej).

Podczas porannego powrotu z tej akcji „Twardy” zostaje zatrzymany przez niemiecki patrol na ulicy Radzymińskiej. Ma doskonałe papiery: legitymację Kripo na nazwisko Zieliński, która uprawnia nawet do noszenia broni. Żandarmi salutują i życzą dobrej drogi. Jednemu z nich coś się jednak nie zgadza, myśli powoli, ale precyzyjnie: po paru sekundach, gdy „Zieliński” idzie już w swoją stronę, żandarm uświadamia sobie, że pistolet zatrzymanego był inny niż ten wymieniony w pozwoleniu. „Halt!” Niemcy jeszcze raz przyglądają się papierom agenta Kripo. „Twardy” zostaje zatrzymany. Godzinę później telefoniczna weryfikacja na posterunku żandarmerii: żaden Zieliński w Kriminalpolizei nie pracuje.

Kowalewski trafia na Pawiak, przesłuchiwany jest w alei Szucha. Tydzień po aresztowaniu, zdekonspirowany w wyniku nieszczęśliwego przypadku przy próbie wykupienia¹¹, zostaje rozstrzelany.

„Twardy” to był dobry dowódca. Jeżeli ktoś nas czegoś uczył, to on. To były chyba jedyne takie szkolenia. Ze strzelaniem. W piwnicach, w jakichś korytarzach w domu na odludziu. Huk straszny. Leszek Kowalewski nas uczył, całą naszą piątkę „Ptaków”.

Dowódcy naciskali na was, żebyście na co dzień chodzili bez broni. „Boso” – tak się mówiło.

Każdy chciał mieć swój pistolet, na początku modliliśmy się o to. Naprawdę. „Daj mi Boże pistolet...” No, ale broń się dostawało przed akcją. Przynosiły dziewczyny. Oddawaliśmy im dokumenty i braliśmy broń. Po akcji na odwrót. Chodziło o to, żeby w razie wpadki nie mieć przy sobie papierów. A dziewczyny

dźwigające ciężkie teczki na ulicach były mniej podejrzane.

To wersja oficjalna. Ale wy, bardziej doświadczeni, mieliście później „prywatną” broń i chodziliście z nią po mieście. Dla lepszego samopoczucia? Brak wyobraźni dwudziestoletnich żołnierzy? Właśnie – żołnierz to ktoś uzbrojony, prawda? Tak czuliście.

Do noszenia pistoletu zrobiłem sobie specjalne szelki.

Z kaburą?

Nie. Z płaską teczką na pistolet, którą nosiłem na plecach. Teczka była ze śliskiej skóry. Wisiała na nerkach. To jest naprawdę dobre miejsce do ukrycia. Działo. Kiedyś zimą na jakimś rogu zatrzymał mnie niemiecki patrol. I ja rozpiąłem jesionkę, rozchyliłem, żeby pokazać, że nic nie mam. W takiej sytuacji sam rwałem się do rewizji na ochotnika, bo to sprawiało wrażenie, że jestem cywil i spieszę się do pracy. Pracy dla dobra Rzeszy przecież. A pistolet miałem z tyłu. Żandarm obmacał mnie z przodu, zsunął ręce na plecy i przesunął mi rękoma dokładnie pod szelkami. Bo rozchylając płaszcz, podciągało się teczkę na szelkach do góry. No to był świetny patent! Skuteczny.

Czyli pan łamał ten oficjalny nakaz chodzenia boso.

Bez butów to niech szewc sobie chodzi.

¹ Por. s. 203.

² Walerian Tadeusz Różalski, „Dan” (1921–2010), kapral podchorąży, żołnierz 993/W. W powstaniu na Woli, Starym Mieście i w Śródmieściu (przeszedł kanałami). Po powstaniu w obozie jenieckim w Lamsdorf. Po wojnie w USA.

³ Izabella Horodecka, „Teresa”, *Rozkaz zabić*, „Więź” nr 4/1976, s. 118. Izabella Horodecka nie lubiła tego tekstu opartego na jej notatkach z 1946 roku. Publikacji w „Więzi” towarzyszyło nieporozumienie, autorka – jak się okazało po fakcie – była przeciwna wydrukowaniu artykułu w takiej

formie. Rzeczony tekst w książce przytaczamy zatem tylko w jego fragmentach dotyczących drobnych epizodycznych obrazów, nieklójących się z tymi przytaczanymi w jej pełnych wspomnieniach *Ocalone od niepamięci* (Warszawa, 1992).

⁴ Za: R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt.

⁵ Wspomnienia Stefana Matuszczyka, „Porawy”; maszynopis przechowywany w BUW-ie, s. 91.

⁶ Hanna Gołaszewska, „Hanka” (1922–1996) strzelec, łączniczka 993/W. W powstaniu na Woli, Starym Mieście, Żoliborzu, potem w Zgrupowaniu Kampinos, ranna pod Jaktorowem, trafiła do szpitala w Żyrardowie. Po wojnie została stomatologiem.

⁷ Wspomnienia Stefana Matuszczyka „Porawy”, dz. cyt., s. 93.

⁸ I. Horodecka, „Teresa”, *Rozkaz zabić*, dz. cyt., s. 117.

⁹ Erwin Tetzlaff, »Zakalec« (1919, Essen –1995), strzelec, żołnierz 993/W, w powstaniu na Woli, Starym Mieście, Żoliborzu (przeszedł kanałami), potem w Zgrupowaniu Kampinos.

¹⁰ Wspomnienia Stefana Matuszczyka, „Porawy”, dz. cyt., s. 94.

¹¹ Tę zadziwiającą historię opisuje dokładnie J. Kulesza. Matka „Twardego” szukała kontaktów z Gestapo, by wykupić syna. Znajomy Niemiec zapewne w dobrej wierze skontaktował ją z ważną figurą w kręgach Kripo – Edmundem Koniecznym – występującym pod przybranym nazwiskiem... Kowalewski, myśląc, że domniemane pokrewieństwo może być pomocne. Tymczasem „Kowalewski”-Konieczny to ten sam człowiek, który wciągnął „Twardego” w zasadzkę podczas „pierwszej” partyzantki! (por. rozdz. *Szwedzkie Góry*). Konfident wziął od matki „Twardego” pieniądze, po czym wydał Kowalewskiego Gestapo, zdradzając, kim jest aresztowany posiadacz fałszywych dokumentów. Niewykluczone, że gdyby nie ten przypadek, „Twardy” zostałby wykupiony. Por. R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 96.

Rozdział 11

Nasze dziewczyny to jak siostry raczej...

„Ktoś, kto nie był w konspiracji, mógłby wyrobić sobie fałszywy pogląd na kobiety pracujące w oddziale bojowym, utożsamiając je z jakimiś »herod-babami«, a tymczasem były to urocze dziewczęta, które mimo swych wyczynów, nie zatraciły swych powabów kobiecości i nawet w trudnych momentach walk okupacyjnych okazywały ją” – wspomina Stefan Matuszczyk, dowódca oddziału 993/W.

„Teresa”, „Mira”, „Zosia”, „Hanka”, „Nina”, „Ewa” – łączniczki, wywiadowczynie¹ – kobiety, dziewczyny, żołnierki oddziału 993/W, potem – w powstaniu – sanitariuszki.

Wywiadowczynie „namierzały cel”. Te dwa słowa w praktyce oznaczały godziny, dni i tygodnie wystawania pod domami „delikwentów”, permanentne granie jakiejś roli. Praca w 993/W wymagała opanowania w sytuacjach nieprzewidzianych, niezbędne było instynktowne lub wyuczone omijanie kłopotów, szybkie i odważne decyzje. I ciężka fizycznie praca: to dziewczyny przynosiły na miejsce zbiórki karabiny i pistolety, granaty i pełne magazynki. To one odnosiły po akcji rozgrzaną broń, a często holowały „stygnących” uczestników akcji. To one w końcu ryzykowały wpadkę czy rewizję, odwożąc dokumenty chłopaków. Czasami strzelały.

„Nasze ciche bohaterki, zziębnięte nieraz i zabłocone [...]. Gdy dzięki nim wszystkie elementy zostały zebrane i wyznaczony termin akcji, odbierały z magazynu broń i żegnane po ojcowsku przez »Feza«² zatykały za pasek spódnicy naładowany pistolet i wyruszały na miejsce zbiórki bez żadnej obstawy, a ileż niebezpieczeństw czyhało na nie po drodze. Jeden nierozważny krok mógł zaprowadzić je pod szubienicę poprzez koszmar badania na Gestapo. [...]

Za tę ich pracę, pełną poświęcenia, która odsuwała od nas niebezpieczeństwo, ich młodzieńczy humor i odwagę podziwialiśmy je i kochali jak siostry. Kiedy przyszła

godzina próby w czasie powstania, były naszymi wiernymi towarzyszkami, którym niejeden z nas zawdzięcza życie”³.

„Po co tu tyle bab?” – słyszał pan o tym powiedzeniu gen. Antoniego Chruściela „Montera” na widok kobiet obecnych w sztabie głównym na Jasnej na początku powstania?

Nie. Nigdy nie słyszałem. Tak powiedział?

Zdaniem Danuty Mancewicz, łączniczki w Kedywie, która słyszała te słowa na własne uszy, chodziło o to, że dla „Montera” wojna nie jest dla kobiet, a już zwłaszcza powstanie warszawskie.

A bo nie jest! Kobietom powinno to być oszczędzone. A nie było. Ja w powstaniu widziałem same dzielne kobiety. Widziałem też rzeczy straszne, nie chcę o tym opowiadać. Ale nie zgodzę się, że kobiety nie były potrzebne.

Zdaniem Weroniki Grzebalskiej, autorki pracy o kobietach w powstaniu, w tej wypowiedzi pobrzmiewa raczej pogarda dla kobiet. Wątpliwość co do ich wartości bojowej. Sugestia, że kobiety to druga kategoria walczących, niewygodny balast dla męskiej obsady w wojennym teatrze⁴.

U nas kobiety nie strzelały. Ale wykonywały pracę piekielnie trudną. Praca wywiadowczyń to jest cholernie trudna robota. To żmudne śledzenie delikwentów, ustalanie, gdzie mieszkają, jakie mają zwyczaje. To czasami trwało miesiącami... Potem, w czasie akcji, to dziewczyny przynosiły broń na metę i po akcji wywoziły w bezpieczne miejsce. One opiekowały się rannymi. Ryzykowały tak samo jak my. U nas dziewczyny były jak siostry, były z nami bardzo blisko...

O to też chcieliśmy zapytać – skoro były tak blisko, bardzo blisko... „Porawa” pisze, że, owszem, były jak siostry, ale dalej wspomina, jakie były ładne, wesołe... Wasza praca była specyficzna. Lepiej – z różnych powodów – z nikim za blisko nie być. Ale byliście młodzi. Bardzo młodzi.

Chodzi wam o damsko-męskie relacje u nas?

„Porawa” pisze o dziewczynach z taką czułością, że podejrzenie się samo narzuca, że musiały być pary, musiało stałe iskrzyć, musiały rodzić się uczucia.

Nie, gdzie tam... Nie między nami. Bo, owszem, chłopcy byli kochliwi, szczególnie „Kobuz”, ale dziewczyny dobierali sobie spoza oddziału. Te nasze to były jak siostry. A dla „Porawy” trochę pewnie jak córki.

To młody był z niego ojciec. Pan swoją późniejszą żonę poznał w konspiracji?

Nie, znałem ją wcześniej. W zasadzie sąsiadowaliśmy przez ścianę, wychowywaliśmy się na tym samym podwórku, znaliśmy się od małego. To chyba mało romantyczna historia...

Opowie pan?

Rozczaruję was... Ona jeszcze przed wojną mieszkała z rodzicami w naszym domu. Gdy wybuchła wojna, spędzaliśmy trochę czasu ze sobą. Chodziliśmy do kina. Gdy byłem już w konspiracji, ona o tym wiedziała, przecież poznała moich kolegów, i w którymś momencie poprosiła, aby też włączyć ją do roboty. Nie bardzo chciałem, aby pracowała z nami, w kontrwywiadzie. Poleciałem ją kolegom z innego oddziału na Żoliborzu. Tam skończyła kurs sanitariuszki. I gdy wybuchło powstanie, była na Żoliborzu. Dość szybko zorientowała się, że jestem tam, gdzie się coś dzieje, na Woli. Też chciała na taki gorący odcinek trafić. I gdy przez łączniczki „Żywiciela” z Żoliborza, które utrzymywały kontakt z Kampinosem, przekazałem mojej rodzinie informację, że jestem u „Okonia”, to oni jej to powiedzieli. I któregoś dnia widzę, że ona melduje się u mnie w Kampinosie. Odnalazła mnie.

Była z tego samego rocznika co pan, mieliście wtedy po dziewiętnaście lat...

No tak.

Jerzy Janczewski, „Glinka”, zastępca dowódcy plutonu w kompanii „Lewara”, wyznał w rozmowie z Januszem Zawodnym, że w powstaniu pod presją walki uczucia wybuchały z niezwykle intensywnością. Istniało pewne rozluźnienie norm. „Znałem osiemnastoletnią sanitariuszkę, która uważała mnie za bohatera. Alkoholu nie piliśmy, ale jak w nocy znaleźliśmy puste mieszkanie, to się kochaliśmy, oddając się sobie bez reszty”⁵. Czuł pan wtedy w powietrzu takie wibracje?

Posłuchajcie. Wtedy w Kampinosie znałem wszystkich, załatwiłem jej tego samego dnia nocleg w Łubcu, kilka kilometrów od Wiersz, gdzie stało dowództwo.

Nie mógł pan gdzieś bliżej? Koło siebie?

Nie dało się. Ale wieczorem była u mnie na kwaterze w Wierszach! Nagle słyszemy niemieckie samoloty. Lecą, są coraz bliżej. Wtedy już takie rzeczy czułem, zresztą ten budynek był tak postrzelany, że nie było na nim żadnej dachówki, trzeba było wiać. Wziąłem ją za rękę i wybiegliśmy z tej chałupy. Przebiegliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów, wpadliśmy w krzaki, ale pilot ciął z broni pokładowej we wszystko, co się rusza. Wymacał nas koło tego domu. Trafiał... Ona została ciężko ranna. Uderzył ją odłamek gruby na palec i taki długi. Może rykoszet. Utkwił koło kręgosłupa. Ale nie przeciął szczęśliwie żadnego ważnego nerwu czy tętnicy. Wywiozłem ją w bezpieczne miejsce, z powrotem do Łubca, opiekował się nią ten sam lekarz, który uczył ją służby sanitarnej.

Była operowana?

Dopiero po wojnie ten odłamek wyciągnięto. To była taka nasza domowa relikwia. Ponikłowałem go, stępiłem krawędzie, leżał schowany w pudełku. A potem przepadł, gdzieś dzieciaki zgubiły.

Wasze dzieciaki?

Nasze. Odnalazłem Krystynę po wojnie. Wzięliśmy ślub w czterdziestym

siódmym. Mamy trzech synów. Zmarła w 1995 roku. Te rany z powstania bardzo przyczyniły się do jej śmierci. Nie opisujcie tego, nie dawajcie tych pytań. Nie ma o czym mówić.

Jest.

Jak uważacie.

¹ „Teresa” – Izabella Horodecka (por. ramka w rozdziale *Trucizna*, s. 209), „Mira” („Sława”) – Władysława Nowakiewicz (zob. s. 103; 1903–1995), w powstaniu ranna przy Frascati w okolicach słynnej willi prof. Bohdana Pniewskiego, po powstaniu w obozach, po wojnie pracowała w Ministerstwie Żeglugi; „Zosia” – Zofia Rusecka (1922–2007), urodziła się w Lublinie, chciała być lekarzem – w czasie okupacji czas dzieliła między tajne studia medyczne i pracę w konspiracji (1943), w powstaniu pracowała w szpitalu przy Złotej, w 1949 roku spędziła pół roku w więzieniu mokotowskim; nie została lekarzem, pracowała m.in. w Orbisie. To ona jest na słynnym „hollywoodzkim” zdjęciu ze Stefanem Matuszczykiem „Porawą”; „Hanka” – Hanna Gołaszewska (zob. s. 116; 1922–1996), w powstaniu przeszła cały szlak „Zemsty”, aż do Kampinosu i bitwy pod Jaktorowem, została tam ranna, ze szpitala w Żyrardowie uciekła (po przesłuchaniach przez Gestapo), ukrywała się w Zakopanem, w 1950 roku ukończyła w Łodzi stomatologię i przez lata pracowała w zawodzie; „Nina” – Danuta Hibner (ur. 1923), w czasie okupacji dwa lata studiowała prawo na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, ciężko ranna w akcji „Za Kotarą”, w powstaniu przeszła szlak z „Zemstą”, we wrześniu była sanitariuszką w plutonie osłonowym Komendy Głównej AK, trafiła do niewoli, stamtąd... na uniwersytet w Brukseli. Wróciła do Polski i skończyła prawo na Uniwersytecie Łódzkim, potem psychologię w Warszawie. Pracowała jako radca prawny; „Ewa” – Ewa Idzikowska (ur. 1924), sanitariuszka, w powstaniu walczyła na Woli, Starówce, kanałami przeszła do Śródmieścia.

² Felicjan Marian Zawadzki, „Fez” (1893–1965), szef wywiadu wewnętrznego Batalionu „Pięć, ojciec Andrzeja Zawadzkiego – „Andrzejewskiego” (por. przypis 11 w rozdz. 15)

³ Wspomnienia Stefana Matuszczyka „Porawy”, s. 133.

⁴ Weronika Grzebalska, *Płec powstania warszawskiego*, Warszawa 2013, s. 87.

⁵ Janusz Kazimierz Zawodny, *Uczestnicy i świadkowie Powstania Warszawskiego. Wywiady*, Warszawa 2004, s. 311.

Rozdział 12

Jest jak w filmie

8 października 1943.

Gdyby nie wojna, prawdopodobnie byłby producentem filmowym. Pchało go w stronę X Muzy, miał do filmu smykałkę, pewnie dopiero czekał na swoją szansę. W latach trzydziestych nie nakręcił jeszcze niczego wielkiego, ale obracał się w odpowiednich kręgach: pracował dla Zarządu Głównego Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Siew” i dla tej organizacji dokumentował zlot młodzieży wiejskiej w Spale. Może bez Jadwigi Smosarskiej w roli głównej, ale za to z gościnnym udziałem prezydenta Mościckiego. Z kolei dla jednej z firm amerykańskich filmował wizytę prezydenta w porcie wojennym na Oksywiu. Być może później posypałyby się ambitniejsze zlecenia. Gdyby nie wojna...

Nie zdążył. Przez Polskę Podziemną został uznany za zdrajcę, a do historii przeszła jedynie akcja, która nawet nie nosi jego imienia. Przez samych uczestników i w ślad za nimi przez historyków określana jest jako akcja „Za Kotarą”¹.

To jedna z najkrwawszych jatek w okupowanej Warszawie. Jest znana, bo oprócz filmowca zginęło kilku jego współpracowników i agentów. W sumie piętnaście osób, w tym, niestety, niewinni ludzie. Akcja była dość skomplikowana. Kontrwywiad podejrzewał, że po likwidacji głównego bohatera Gestapo przejdzie do kontrataku, że będą się mnożyć aresztowania i wsypy, że zostaną zlikwidowane konspiracyjne mety i lokale. Trzeba zatem było działać równolegle – dokonać zamachu i zminimalizować straty własne. Udało się. To był duży sukces podziemia.

Po akcji posypały się nagrody i odznaczenia. To dla członków pierwszej ekipy. Bo była i druga. Jej pozostała satysfakcja. I to blednąca z roku na rok. Dziś – można

powiedzieć – zupełnie już wyblakła, bo co innego zastrzelić renegata i przy okazji kilku innych łotrów, zdemolować jego siedzibę i punkt kontaktowy, a co innego bez jednego wystrzału opróżnić konspiracyjny lokal, któremu po akcji zagraża dekonspiracja. Banal. O czymś takim w szkołach nie uczą.

A jednak właśnie ta druga, mniej znana część akcji „Za Kotarą” czyni z całości logistyczny majstersztyk i rozdzielać tych dwóch części nie można. Właśnie całość, czyli zastrzelenie wspomnianego filmowca oraz ewakuacja magazynu pełnego sprzętu i broni tuż pod nosem Niemców, pokazuje, jak wszechstronną działalnością zajmowali się podziemni likwidatorzy. Zbyt mało na film?

Zatem kurtyna (niech będzie – kotara) w górę.

Przedwojenny filmowiec to Józef Staszauer. Jako syn łódzkiego przemysłowca miał gest i świetne maniery. Potrafił się poruszać i jak każdy bywalec dobrze się czuł, paląc cygaro i pobrzękując szkłem. Ale było jeszcze coś, co później okazało się „problemem”: żydowskie pochodzenie. To ważne, bo pochodzenie, a zwłaszcza jego zły wygląd i wynikające stąd konsekwencje, naprowadziły w pewnej mierze kontrwywiad AK na trop jego agenturalnej działalności.

Gdy wybuchła wojna, zmienił nazwisko. Nie od razu. W 1940 roku pojawił się w Warszawie. Zamieszkał przy ulicy Boduena 4. Było to wielkie dziesięciopokojowe mieszkanie. Zajmował je z żoną Eugenią Heleną Loroach oraz z jej bratem Eugeniuszem. Kolejne pokoje zapewniły schronienie rodzicom Eugeniusza Loroacha – Walerii i Walerianowi, jego dwóm braciom Józefowi i Marcelemu (z żoną i dwiema córkami), a do tego bratankowi Eugeniusza, kuzynce Marcie Żelewskiej i kuzynowi Hipolitowi – „uczniowi podziemnej Politechniki”.

Informacje pochodzą od Krystyny Loroach, wdowy po zastrzelonym w akcji „Za Kotarą” Eugeniuszu Dionizym Loroachu – szwagrze Staszauera. Krystyna Loroach po ukazaniu się książek Cezarego Chlebowskiego oraz Juliusza Kuleszy i Roberta Bieleckiego postanowiła nadesłać swoje wyjaśnienia. To istotny głos w opisie dość tajemniczych wydarzeń.

Z rodziną mieszkał jeszcze jeden lokator. Niemiecki oficer, leutnant Ibsen, w którym Staszauer bardzo szybko znalazł partnera do interesów. To właśnie Ibsen pomagał mu w zaopatrzeniu lokalu przy Mazowieckiej 2, znanego pod nazwą „Za Kotarą”, knajpki,

którą Staszauer wziął w ajencję: pożyczał mu samochód i załatwiał przepustki na wyjazdy po towar. Nie zauważał, że Staszauer słucha audycji radiowych z Londynu. Krystyna Loroach wspomina również, że cześć rodziny Staszauera należała do AK. Czy jej mąż Eugeniusz również – tego nie była pewna. Na pewno jednak w podziemiu działał brat męża, Józef, i jego żona Jadwiga. Te powiązania rodzinne to nie wszystko, co komplikuje sprawę.

Leutnant Ibsen stopniowo z partnera w interesach stawał się... zaufanym rodziny. Do tego stopnia, że zainteresował się nim niemiecki kontrwywiad, który mógł mieć jakieś informacje o związkach tego kręgu osób z podziemiem. W 1941 roku Ibsen został zdegradowany i za utrzymywanie bliskich stosunków z wrogiem skazany na dwa lata twierdzy. To jedna wersja. Według innej niemieckim służbom nie przeszkadzały same kontakty Ibsena ze Staszauerem, a raczej ich kryminalny charakter. Po prostu Ibsen łamał niemieckie prawo. „Pojawił się jeden raz, w 1942 roku, po wcześniejszym zwolnieniu z więzienia, ostrzegając nas, że Niemcy będą wywozić Polaków na wschód” – napisała Krystyna Loroach i dodała coś, co pokazuje, w jak skomplikowanej sytuacji znajdował się sam Staszauer: „Wczesnym latem 1942 r. Staszauer razem z moim mężem wyjechał do Zaleszczyk po żywność. W tym czasie jego mieszkanie »odwiedziło« gestapo pod dowództwem oficera o przezwisku »Bel Ami« (zginął w czasie akcji w podziemnej drukarni przy ul. Długiej). Gestapowiec podarł wszystkim dokumenty, bił pejczem, a Eugenię tak skopał, że znalazła się w szpitalu. Na drugi dzień kazał wszystkim stawić się na gestapo. Byłam tam wówczas; uniknęłam pobicia dzięki Hipolitowi, który przedstawił mnie jako lokatorkę wynajmującą pokój”.

Ta informacja również wymaga komentarza. Sprawia bowiem wrażenie, jakoby rodzinie Loroachów i Staszauerów udało się „wykiwać” Gestapo. Każdemu, kto choć trochę zna ówczesne realia, powinno zapalić się czerwone światło: Czy wyjaśnienia pani Loroach są wiarygodne?

Po tym incydencie Staszauer postanowił zmienić nazwisko. Poprzez „adopcję”. Krystyna Loroach pisze, że przyjaciółka jej matki, Emilia Dalder, wdowa po przedwojennym naczelniku poczty, zresztą kobieta pochodzenia niemieckiego, gdy zjawiał się u niej zaszczyty przyjaciel męża (czyli Staszauer) podający się za działacza konspiracji, wyraziła zgodę, aby przyjął jej nazwisko. Czy wiedziała wszystko

o skomplikowanej sytuacji Staszauera, nie wiadomo; w opracowaniach historycznych mowa jest o tym, że wówczas Staszauer-Dalder współpracował z Niemcami i... komunistyczną partyzantką; ktoś widział go jako niemieckiego tłumacza na Lubelszczyźnie, ktoś inny znał jego dobre układy z Michałem Rolą-Żymierskim i jego bojowcami². Jednocześnie – jak pisze Krystyna Lorocho – „jako Żyd prawdopodobnie opłacał się Niemcom, by ratować życie”.

W jaki sposób Staszauer-Dalder utrzymywał się z agencji niewielkiej przecież restauracji na rogu Świętokrzyskiej i Mazowieckiej, również nie wiadomo. Krystyna Lorocho pisze, że nie miał innych lokali. Z kolei jej mąż Eugeniusz – szwagier Staszauera-Daldera – był właścicielem sklepu ze sztuczną biżuterią i częściami do maszyn do szycia przy ulicy Chłodnej 12. Ten lokal w literaturze przedmiotu występuje jako kwiaciarnia, zakonspirowany magazyn broni i części służących wydziałowi łączności KG AK. O ile dla AK lokal na Chłodnej uchodził za „swój”, o tyle restauracja Staszauera „Za Kotarą” była już lokalem trefnym, działy się tam rzeczy dziwne.

Tezy Krystyny Lorocho i jej opis sytuacji rodzinnej Staszauera w dużej części kwestionowali Juliusz Kulesza i Cezary Chlebowski, wskazując, że w wielu miejscach „dowodami” w sprawie są tylko i wyłącznie wygłaszane *ex cathedra* twierdzenia zainteresowanej.

Łączniczka w oddziale 993/W Danuta Hibner w relacji dla Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego wspomina, że lokal Staszauera był na indeksie u warszawiaków. Powszechnie było wiadomo, że siedzą tam Niemcy i pełno tam agentów oraz szpicli. Z drugiej jednak strony, jak pisał Wacław Zagórski, drukarz współpracujący z kontrwywiadem AK, lokal wydawał się najbezpieczniejszym miejscem w Warszawie: „pomimo coraz częstszych łapanek i rewizji we wszystkich polskich lokalach, nie zdarzyło się nigdy, aby Niemcy kogokolwiek »Za Kotarą« wylegitymowali”³. (Wspomnienia Zagórskiego wydane po raz pierwszy w Londynie to zadziwiający portret tajnego miasta). To, że lokal miał feler, potwierdziła obserwacja. Goście Staszauera, korzystający z drugiego, mniejszego pokoiku na podwyższeniu, który można było odgrodzić od głównej sali czerwoną kotarą, zajmowali się sprawami, które dawały podziemiowi powody do myślenia. Przed wszystkim handlowali bronią, którą właściciel przetrzymywał na zapleczu, w ogóle się z tym nie kryjąc. Do tego – co mówiło

jeszcze więcej o jego pewności siebie – Staszauer wyciągał od czasu do czasu radiodbiornik i na głos słuchał audycji z Londynu. W sytuacji, gdy w lokalu w zasadzie stale przebywali Niemcy, było to szokujące. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że Staszauer, który miałyby wygląd, zupełnie nic sobie z tego nie robił. Nawet więcej – wydawało się, jakby nie przyjmował do wiadomości, że miasto jest wręcz terroryzowane przez szmalcowników i że stanowią oni prawdziwą plagę. Oczywiście, szmalcownicy wielokrotnie nawiedzali jego knajpę. Próby szantażu kończyły się jednak dla nich fatalnie – szybko zjawiali się powiadamiani telefonicznie żandarmi i wyprowadzali bandytów za fram.

A teraz najciekawsze: Staszauer był zaprzysiężonym żołnierzem AK.

W V Oddziale Komendy Głównej AK pełnił funkcję zastępcy kierownika sekcji transportu w komórce produkującej sprzęt. W praktyce oznaczało to, że zajmował się łącznością. Budował i przechowywał radiostacje. Nosił pseudonim „Aston”. Przez bezpośredniego zwierzchnika i bliskich współpracowników oceniany był bardzo dobrze, nawet wtedy gdy nikt nie potrafił wyjaśnić niektórych wysp. Jak widać, konspirował się doskonale, pytanie tylko przed kim.

Gdy w końcu ruszyło przeciwko niemu śledztwo, szefostwo oddziału solidarnie wystąpiło z obroną swego podkomendnego. Szczególnie ofiarnie bronił go szef – inżynier Wojciech Lilienstern, pseudonim „Wiktor”. Ten zaś cieszył się opinią ofiarnego i zasłużonego żołnierza, zaangażowanego między innymi w pomoc przy ucieczkach z Pawiaka⁴. Lilienstern absolutnie nie dawał wiary oskarżeniom wobec „Astona”, Staszauera-Daldera; dopiero gdy ujawniono mu część ustaleń, zgodził się na podjęcie pewnej operacji.

Kolejne dowody współpracy Staszauera z Niemcami pochodziły od córki znanej pisarki Poli Gojawiczyńskiej. Pracowała ona jako kelnerka we „Fregacie” – restauracji sąsiadującej z knajpką Staszauera przy Mazowieckiej – i ujawniła kontrwywiadowi AK, że Staszauer *vel* Dalder spotyka się tu regularnie z eleganckim cywilem... szefem warszawskiej Abwehry! Warto w tym miejscu wspomnieć, że informatorką AK była również kelnerka w barze „Za Kotarą”, Maria Malanowicz-Niedzielska, przedwojenna aktorka „Reduty” Juliusza Osterwy. Ona z kolei miała o Staszauerze bardzo pozytywne zdanie. Zatem mimo że Niemcy czuli się w knajpie jak u siebie, coś tu się nie zgadzało.

Co?

Największy niepokój AK budziła wiedza Staszauera o podziemnej łączności. Znał ludzi, znał lokale, niektórymi przecież sam się opiekował. W tej sytuacji, gdy kontrwywiad postanowił wziąć go pod lupę, „Wiktor” poinformował Staszauera, że ze względu na wyspę musi na pewien czas wyjechać, zawieszając wszystkie kontakty organizacyjne, ale nie powinien się martwić, będzie to stan przejściowy i jak sprawy przycichną, współpraca zostanie wznowiona.

I ta mała gra uruchomiła lawinę: nagle zaczęły wpadać kolejne punkty i magazyny łączności. (Jednocześnie nie było wspan w bezpośrednim otoczeniu... agenta – to słowo musi wreszcie paść. Staszauer-Dalder-„Aston” funkcjonuje bowiem w literaturze jako „agent” Gestapo. Nie potwierdza tego Krystyna Lorocho: „Nie wiem, czym się zajmował Staszauer, słyszałam tylko, że działał w Podziemiu. Niedługo przed jego śmiercią dowiedziałam się, że podobno został na niego wydany wyrok za wydanie Niemcom działaczy komunistycznego podziemia. Nie był on lubiany przez szwagrów. Typ kombinatora” – pisała).

W końcu, w sierpniu 1943 roku, Staszauer zaczął rozgłaszać, że ktoś próbował go zastrzelić w mieszkaniu przy ulicy Przeskok i dlatego dowództwo przydzieliło mu ochronę. Nie była to prawda. Żadna z komórek AK nie przyznała się, by takie polecenie zostało wydane. Prawdą było jednak to, że Staszauera ochraniaли AK-owcy, szeregowi żołnierze podziemia. Jeden z nich – opowiemy o tym dalej – miał z tego powodu przedziwną przygodę.

Gdy 20 sierpnia „Wiktor” powiadomił „Aston” o chwilowym zerwaniu kontaktów, poinformowany zorientował się, że to on jest przyczyną zamieszania, i niby od niechcienia rzucił informację, że wie, gdzie przebywa poszukiwany agent Gestapo, niejaki „Lutosławski”. „Wiktor” nadstawił uszu – dał się złapać na haczyk. „Lutosławski” wydał bowiem całą siatkę polskich pracowników poczty, która próbowała kontrolować listy wysyłane na Gestapo, a które przechodziły przez warszawskie skrzynki pocztowe. Następnego dnia „Wiktor” zjawił się pod umówionym adresem, przy Poznańskiej 22, z pięcioosobowym plutonem likwidacyjnym porucznika Romana Rozmiłowskiego, „Srebrnego”, z kontrwywiadu Komendy Obszaru Warszawskiego AK.

I wydarzyła się tragedia.

Pluton rozlokował się na ulicy, „Wiktor” spacerował zaś po drugiej stronie, czekając na „Aston”, który w końcu się pojawił, ale z jadącej rykszy po prostu się uklonił spacerującemu, na co ten – skonsternowany i zaskoczony taką ostentacją – odkłonił się. Był to znak dla Gestapo. Z jadącego za rykszą samochodu wyskoczyli agenci i ujęli „Wiktora”. Z kolei z obu stron ulicy Poznańskiej nadjechały budy z żandarmami, a z bram wysypali się tajniacy. Natychmiast padły strzały do AK-owców. Czterech poległo, jeden, rzuciwszy granat, uciekł w stronę kościoła św. Barbary. Całe zajście z ukrycia obserwowała narzeczona „Wiktora”. Zauważyła, że zatrzymany „Aston” coś pokazał żandarmom i został zwolniony. I to był ostateczny dowód jego zdrady. Dowód okupiony stratą pięciu ludzi.

Polecenie opracowania planu likwidacji zdrajcy wydał „Porawie” wiceszef kontrwywiadu AK Stefan Ryś, „Fischer”. Dowódca oddziału 993/W dostał dość dużo czasu: trzeba było ustalić zwyczaje Staszauera, tryb życia, pracy, poznać okolice lokalu, wytyczyć drogi ewakuacji po wykonaniu zadania. Na wszystko to „Porawa” miał prawie miesiąc.

A jednak znowu coś było nie tak. Okazało się, że Staszauer i jego niemieccy przełożeni obmyślili ciąg dalszy działań: do szefostwa wywiadu AK zgłosił się przyjaciel „Wiktora”. Powiedział, że istnieje możliwość wydostania go z Szucha, ale Gestapo żąda za to wydania dwóch innych działaczy podziemia. Kolejna informacja mówiła, że 8 października w lokalu „Aston” rzeczywiście dojdzie do jakichś negocjacji oficera AK z Gestapo.

Spowodowało to zupełną konsternację, bo na szczytach warszawskiego podziemia nikt o niczym nie wiedział.

W tej sytuacji Stefan Ryś w trybie pilnym wezwał „Porawę” i polecił, aby akcja została przeprowadzona tego samego dnia – 8 października – o 18.30. Ze względu na to, że lokal mieścił się w dość popularnym miejscu w centrum, AK-owcy mieli po sterroryzowaniu gości wylegitymować ich i wykonać wyrok na „Astonie”.

I tu pojawia się pole do popisu dla drugiej ekipy. Kontrwywiad podejrzewał, że z chwilą likwidacji „Aston”-Staszauera Gestapo rzuci się do znanych sobie skrytek, aby je przejść. Nie można było na to pozwolić. Dotyczyło to szczególnie lokalu przy ulicy Chłodnej 12 (lub według niektórych źródeł – 20). Na parterze kamienicy mieściła się

wspomniana na początku kwiaciarnia, która była przykrywką dla składu sprzętu telekomunikacyjnego. Staszauer oraz jego szwagier Eugeniusz Lorocho trzymali tam rzutowe radiostacje, materiały potrzebne do produkcji sprzętu, a także dużo broni. Wszystko leżało popakowane w skrzyniach, których było sporo. Aby je wywieźć w bezpieczne miejsce, potrzeba było aż dwóch ciężarówek. Ważna była także synchronizacja działań. Niemcy mieli się bowiem obudzić z trupem swojego agenta i jednocześnie z opróżnionymi już lokalami, o których istnieniu wiedzieli, ale nie przejmowali ich, prowadząc grę wywiadowczą.

Zdrajcę miał zlikwidować pluton braci Bąków, a opróżnienie lokalu, który funkcjonował pod przykrywką kwiaciarni – nieco mniej efektowne zajęcie – przypadło w udziale „Ptakom” z Boernerowa.

Ktoś musiał to zrobić...

Od noszenia skrzynek są tragarze...

Ale wy byliście potrzebni, żeby to ubezpieczyć.

„Porawa” wybrał nas. Nie wiem dlaczego, może rzucał monetą. A może nas po prostu nie lubił?

Nie lubił?

My byliśmy ci od „Naprawy”, Bąkowie od „Porawy”. Po akcji na Dürrfelda pojawiła się konkurencja i rywalizacja, mówiliśmy o tym, nie ma do czego wracać.

Jest pochmurny zmierzch, 8 października 1943 roku...

„Gil” i ja byliśmy już dowódcami patroli, ale w tej akurat akcji jeszcze raz wystąpiliśmy w starym składzie. Można powiedzieć, że na Chłodną przyleciały wszystkie „Ptaki”: „Gil”, „Kobuz”, „Puchacz”, „Jur I” i „Sęp”, czyli ja. Nie było „Naprawy”, on był zajęty zadaniem aktorskim „Za Kotarą”. Tradycyjnie przed akcją spotkaliśmy się na mecie, tym razem na Rymarskiej 10. Mieliśmy stąd

zabrać broń na akcję, ale zamiast broni znaleźliśmy kartkę zostawioną przez „Naprawę”, że cały magazyn zostanie dziś użyty w akcji „Za Kotarą”, a my możemy sobie pobrać broń z magazynu, który będziemy opróżniać. Dobrze, co?

Dopiero wtedy usłyszeliście nazwę „Za Kotarą”?

Idąc na akcję, nie zawsze zna się wszystkie szczegóły. Te pojawiają się dopiero na odprawie. Tak czy owak, czuliśmy się głupio, idąc na akcję bez broni. Mieliśmy swoje „prywatne” visy schowane w Boernerowie, ale ponieważ plan był inny, tamte pistolety zostawiliśmy w ukryciu. No i teraz byliśmy z gołymi rękami, „boso”. To bardzo niekomfortowa sytuacja. Ustaliliśmy, że weźmiemy broń z magazynu, a jeśli i tam jej nie będzie, to nie przeprowadzimy akcji.

Bunt!

Oczywiście, taka sytuacja najbardziej rozbawiła „Kobuzę”. On się dosłownie nimi żywił. Wesolek.

Cezary Chlebowski w książce *Cztery z tysiąca* scharakteryzował go jako bystrego, odważnego i sypiącego kawałami jak z rękawa. Do tego był z was najstarszy i najbardziej kochliwy. Dzielił czas pomiędzy cztery rzeczy: po pierwsze, był zdunem, musiał wraz z ojcem utrzymywać liczną rodzinę, po drugie, uczył się na tajnych kompletach, po trzecie, działał jako „Ptak”, a po czwarte, dużo czasu zajmowały mu podboje miłosne⁵.

Tak, te ostatnie z kolei nam dawały pole do popisu. Ponieważ „Kobuz” był kochliwy i co chwila wprowadzał nas w szczegóły skomplikowanych układów, w które się angażował, wynikały z tego różne kłopoty, komplikacje, jak to w miłości. A ponieważ to on zazwyczaj robił sobie z nas żarty, w takich sytuacjach mogliśmy się rewanżować. Ale pamiętam, że jak zbliżaliśmy się już do Chłodnej, nikomu do śmiechu nie było, bo nie wiedzieliśmy, jaką broń zastaniemy w kwiaciarni. Większość pocieszała się, że „Naprawa” na pewno nas nie wystawi i pewnie, tak jak obiecał, będą tam pistolety i karabiny. I tu znowu dało o sobie znać poczucie humoru „Kobuzy” – szybko ostudził nas pytaniem: „A

co się stanie, jeśli w magazynie będzie broń, ale tylko przeciwlotnicza? Czy taką też sobie weźmiemy do ubezpieczenia?”.

I co było na Chłodnej?

W lokalu zastaliśmy trzech nieznanym nam gości, ale mieli wetknięte w kieszenie gazety – nasz znak rozpoznawczy. My też je mieliśmy. W lewych kieszeniach. Kwaciarnia okazała się magazynem Oddziału V Komendy Głównej AK, czyli łączności. Było tu sporo skrzyń z różnym żelastwem, no i sporo broni, odetchnęliśmy z ulgą. Czekwały na nas cztery colty kaliber 11 oraz sten, jak spod igły! Taka nowa broń miała jednak mankament, była tłusta od towotu, czyli smaru. Egzemplarz fabryczny ma poza tym inną wadę: nie jest przestrelany i nigdy nie ma się pewności, czy nie zawiedzie w potrzebie. Ja wziąłem stena, „Puchacz” miał stać przy mnie z magazynkami.

Lada chwila miały przyjechać dwie ciężarówki.

Z Zakładu Oczyszczania Miasta, z tragarzami, my przecież mieliśmy stanowić tylko osłonę. Wszystko miało potrwać pół godziny, szybki załadunek i ewakuacja. Taki był plan, ale... oczywiście poszło inaczej. To znaczy ciężarówki przyjechały, ale bez ludzi. Nie było jednak czasu na narzekanie. Ustaliliśmy, że ja z „Puchaczem” staniemy na zewnątrz w obstawie, a „Gil”, „Kobuz” i „Jur” zaczną ładować graty na samochody. Mieli im pomagać ludzie z łączności.

Ten budynek, gdzie mieściła się kwaciarnia, stoi do dziś?

Nie, chyba przetrwał wojnę, ale został zburzony. W tym miejscu stoi wysoki blok. W miejscu kwaciarni jest dziś chyba sklep „Ubranka do Chrztu”. Ale na rogu Chłodnej i Żelaznej, po drugiej stronie skrzyżowania, przetrwał półokrągły dom z filarami. Tam się mieścił posterunek żandarmerii, a na chodniku był bunkier. Dzień i noc stał przed nim wartownik. Wyszedłem z „Puchaczem” na ulicę. Zauważyliśmy tego wartownika, stał na warcie i gapił się w naszą stronę.

Pewnie się nudził.

Ulica była o tej porze pusta, nic się nie działo, więc się gapił. Dzielilo nas jakieś siedemdziesiąt metrów.

Jeszcze dwa lata wcześniej było to chyba najbardziej ruchliwe miejsce w Warszawie. Chłodna rozdzielała małe i duże getto, nad ulicą przewieszona była słynna kładka, którą przechodziły dziennie tysiące ludzi.

Kładki już nie było i nie było śladów getta. Ta część znowu była aryjska. Nieco dalej, przy szkole na rogu Chłodnej i Waliców, zauważyliśmy kolejnego wartownika Wehrmachtu. Bardzo nie chciałem się rzucać w oczy, ale nie można było inaczej. Poleciałem „Puchaczowi” schować się do bramy, a sam zająłem miejsce bliżej kościoła św. Boromeusza na rozwidleniu Elektoralskiej i Chłodnej. Chłopcy zaczęli wynosić skrzynie. Uginali się pod nimi.

...jak to pod skrzyniami z ziemią pod kwiaty.

Ten strażnik, który się nam przyglądał, musiał być bardzo gapowaty. Łatwo było wydedukować, że w skrzyniach, które wcale nie były jakieś wielkie, jest coś metalowego. To akurat była miedź w prętach i aluminium w płytach. Ale pewnie i były skrzynie z amunicją, takie małe, nawet poręczne, cholernie ciężkie. Chłopcy byli mokrzy od potu. Stoję w bramie i zerkam, czy nie ma już sygnału do odjazdu. Stena cały czas mam pod płaszczem, ale ponieważ nie zdjąłem stopki – kolby, karabin jest długi i z trudem mieści mi się pod płaszczem. Poprawiam płaszcz, ale sterczy tu, wystaje tam...

Tymczasem na rogu Świętokrzyskiej i Mazowieckiej...

Bar „Za Kotarą” to dwa małe pomieszczenia rozdzielone czerwoną płachtą, od której lokal wziął nazwę. Po lewej stronie, blisko wejścia, zwykł siedzieć za ladą właściciel. Pod ręką zawsze miał telefon. W razie kłopotów wiedział do kogo dzwonić. Właśnie z tego powodu było to fatalne miejsce do przeprowadzania akcji. Jak pisze Cezary Chlebowski, obok, na rogu Mazowieckiej i Kredytowej, mieścił się Arbeitsamt, na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Świata – niemiecki magazyn z bunkrem, kilkadziesiąt metrów dalej – komenda granatowej policji. Kolejna placówka policji była przy ulicy Szpitalnej.

W dodatku na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej miał siedzibę Zarząd Miejski – i ten budynek stale był obsadzony przez wartowników. Ale największe niebezpieczeństwo groziło od strony Poczty Głównej przy placu Napoleona. Tutaj przez całą dobę wartę pełniło kilkudziesięciu żołnierzy. Wszystkie te placówki trzeba było wziąć pod uwagę. Dlatego „Porawa” zdecydował, że do baru, udając rozbawione towarzystwo, wejdą najpierw: nieznany dziś z nazwiska „Ryś”, Tadeusz Towarnicki, „Naprawa”, Danuta Hibner, „Nina” i Zofia Rusecka, „Zosia”.

Czwórka usiadła pod ścianą naprzeciwko drzwi wejściowych. Okazało się, że Staszauer jakby na nich czekał. Siedział otoczony przyjaciółmi i współpracownikami, pilnie się rozglądał. Ponieważ grupka nowych gości od razu wzbudziła podejrzenia czujnych Niemców, sytuacja zaczynała wyglądać dziwnie, by nie powiedzieć – jak z filmu Quentina Tarantino, bo oto zdecydowana większość klientów wie, co za chwilę ma się stać. Przytoczone przez Juliusza Kuleszę i Roberta Bieleckiego wspomnienia Danuty Hibner doskonale oddają absurdalny klimat sytuacji:

„Pomyślałam, że jeśli dojdzie do strzelaniny, żadne z nas nie wyjdzie stąd cało. Lokal jest tak mały, że to będzie zupełna »jatkan«. Ale, być może, wszystko pójdzie zgodnie z planem – próbuję się uspokoić. Podeszła uśmiechnięta kelnerka. Co zamawiamy? ...oczywiście wódkę... dobry ser szwajcarski, cztery porcje szynki, do tego konserwowe ogórki... – »Ryś« jest w wisielczym humorze – trochę szarżuje, śmieje się za głośno i opowiada niewybredne dowcipy. Wtórujemy mu śmiechem z »Zosią« – co niby mamy robić? »Naprawa« jest milczący i ponury. Czyżby złe przeczucia? Najnaturalniej zachowuje się »Zosia«, kobiety mają na ogół większe zdolności aktorskie”⁶.

Okazuje się, że obie grupy obserwuje ktoś trzeci. To Waław Zagórski. W podziemiu zajmuje się drukarstwem, ale ponieważ w środowisku tym dużo ostatnio wsyp, jakby dorywczo, przy okazji, zajmuje się wywiadem. Akurat tego dnia przyszedł do knajpy Staszauera, żeby doprowadzić do końca transakcję z właścicielem. Ponieważ ten wie, że Zagórski jest w podziemiu, zamówił u niego i jego znajomych wykonanie u siebie w domu skrytki. Robota jest już skończona, trzeba odebrać wynagrodzenie. Zagórski siedzi zatem z kelnerką „Tessą” i przypatruje się otoczeniu. Jego opis feralnego wieczoru, a w zasadzie sytuacji na kilka chwil przed masakrą, nie pozostawia złudzeń – atmosfera była gęsta, ciśnienie nie do zniesienia:

„Pod lustrem siedzi młoda para. »Tessa« ich zna, nie pierwszy raz są tutaj. To małżeństwo, ziemianie Piotrowscy. Przy stoliku zaraz na lewo od wejścia, jak zwykle, siedzi pan Kowalewski, którego Staszauer przedstawia jako swego wspólnika, ale traktuje raczej jako pomagiera. Obok niego przed chwilą usiadła żona Staszauera. Gości obsługuje Myrka Malanowicz. Za barem stoi niedawno przyjęta do pracy młoda przystojna panna. Staszauer napełnia kieliszki [...] Pijąc z nami wódkę, ożywia się, jest w doskonałym humorze. Mówi, że dostał ochronę. Teraz może być spokojny. W razie powtórzenia się wizyty w jego mieszkaniu włamywacze dostaną taką odprawę, że się nie pozbierają. Po kwadransie widzę w lustrze wchodzącego do baru Kassnera. Z daleka wita się ze Staszauerem kiwnięciem ręki i przysiada się do Staszauerowej. Po dalszych paru minutach wchodzi Zbigniew Konarzewski. Widzę go »Za Kotarą« po raz pierwszy. On mnie nie zauważa, siada obok Kassnera. Widocznie się tutaj umówili.

Staszauer wstaje, wita się z przybyszami i wraca do naszego stolika. Stracił humor, pospiesznie dolewa nam wódki, jakby dawał do zrozumienia, że ma ważne sprawy, które nie pozwalają mu poświęcić nam dużo czasu.

Znowu otwierają się drzwi i wchodzi drugi Kassner, młodszy. Nie podoba mi się to zgromadzenie. Nie słyszę już, co mówi do mnie »Tessa«, nie odrywam oczu od lustra [...] Widzę, że koło Myrki zjawia się jakaś obca dziewczyna, coś do niej mówi, denerwuje się... Wyszła”⁷.

Zagórski ma wprawne oko. Gdy do Staszauera podchodzi kolejny gość z ulicy, ma już dosyć – czuje, że dzieje się tu coś złego, że jeszcze chwila... nie wytrzyma. Podrywa się i cedzi przez zęby:

– Natychmiast się stąd ulatniamy!

Wychodzi on, „Tessa” i kolega rzemieślnik, który zrobił skrytkę agentowi. Dziewczyna próbuje jeszcze protestować, przecież w kieliszkach jest wódka, a na stole zakąski. Nie zdążyli zjeść...

Tymczasem na zewnątrz knajpy trwają gorączkowe przygotowania do akcji. Tu też jest dziwna sytuacja. „Teresa”, która zrobiła obchód stanowisk, sprawdzając, czy wszyscy są na swoich miejscach, wraca wstrząśnięta. Zaskakuje dowódcę spokojnym meldunkiem: wokół pełno jest Niemców. Poukrywali się w bramach – w trzech kolejnych po nieparzystej stronie Mazowieckiej i w dwóch po drugiej – parzystej. To

kilkudziesięciu żołnierzy z karabinami maszynowymi. Ktoś musiał ostrzec konfidenta, że szykuje się akcja. W dodatku – i to dopełnia obrazu tragifarsy – do zdenerwowanego „Porawy” podchodzi jakiś cywil z teczką pod pachą. Teczka jest z ceraty, ten szczegół zapadł mu w pamięć. Człowiek konfidencjonalnym szeptem informuje: „Wsypa! Trzeba odwołać akcję!”. „Porawa” patrzy na niego jak na przedstawiciela pozaziemskiej cywilizacji. Skąd tu się wziął? Kim jest? O co chodzi, do cholery!

Jakby tego było mało, brakuje „Andrzejewskiego”. Przecież to on ma strzelać!

„Andrzejewski” (Andrzej Zawadzki) przeżywa swoją odsłoniętą tragikomedii: gdy spieszy do baru, dosłownie nadzieje się na własną matkę. Ta zatrzymuje go na Świętokrzyskiej i zaczyna rozmowę. Zwykłą pogawędkę matki z dorosłym synem. Co słyszeć? Kiedy zajrzy do domu? Co robi i dlaczego tak dziwnie wygląda? Zawadzki wije się jak w ukropie, ale mama nie odpuszcza. Ma jeszcze kilka ważnych spraw i wypowiedane przez „Andrzejewskiego” słowa, że się spieszy, że nie pora, że może później, trafiają w próżnię. Koledzy widząc, co się dzieje, zostawiają go i idą dalej. „Andrzejewski” odpowiada mamie zdawkowo i jakby szuka ratunku. W końcu, gdy koledzy są już przy Prudentialu, nie wytrzymuje. Przerzywa stanowczo monolog matki, całuje ją w rękę i zostawia. Starsza pani nie kryje rozczarowania. „Kątem oka widzę na jej twarzy zdziwienie, zgorzenie, oburzenie i wszelkie inne podobne uczucia”⁸ – napisze „Andrzejewski” w swojej relacji. W końcu dobiega do trzech braci Bąków. Są już wszyscy...

Plac Napoleona. Wprawne oko zauważy, że dość dużo tu dziwnie usztywnionych mężczyzn z rękoma w kieszeniach.

Tymczasem zdenerwowany i zdezorientowany „Porawa”, zamiast wydać rozkaz, wciąż analizuje sytuację. Bo w knajpie jak na filmie – trwa jakby oczekiwanie na „klaps”. W prawdziwej akcji wszystko powinno wyglądać inaczej. A tu aktorzy dramatu mierzą się wzrokiem, każdy ściska w kieszeni rewolwer. „Naprawie” nerwowo drga policzek.

Teraz pora na „Zosię”. Odsuwa ze zgrzytem krzesło. Wstaje i tłumaczy przyjaciołom, że „jakoś tu nudno”. Więc idzie po patefon, a potem wszyscy razem urządzą potańcówkę. Pozostała trójka przytakuje. Po wyjściu dziewczyny wstaje również jakiś typ, coś mówi po niemiecku swoim i również kieruje się do wyjścia. Trójka łapie się na tym, że patrzą

na niego jak urzeczeni.

Tymczasem „Porawa” na zewnątrz już zdecydował: za późno na odwołanie akcji. Poza tym ci „Za Kotarą” są już spaleni, niemieccy agenci ich widzieli i w razie czego rozpoznają. Trzeba działać. Daje dyskretny znak Bąkom i „Andrzejewskiemu”. Wtedy nieoczekiwanie zew krwi poczuł Zbigniew Szubański, „Clive”. (To ten chłopak, który na znanym zdjęciu podchorążych wykonanym w Rejentówce koło Radzymina w 1943 roku śmieje się na całego. Widocznie ktoś rzucił jakiś dowcip, bo migawka łapie go w kabaretowej pozie. Był najniższy w grupie. Pewnie nadrabiał śmiechem). Tu, na rogu Mazowieckiej i Świętokrzyskiej, miał stanowić zewnętrzną obstawę. A teraz nikt nie wie, co się z nim dzieje, to znaczy, co się dzieje w jego głowie: chłopak schodzi ze stanowiska i idzie za kolegami do knajpy. Za kłamkę łapie „Doktur”, za nim do środka pakują się „Szlak”, „Burza” i „Andrzejewski”. Gdy wchodzi, jak na komendę podrywają się ochotnicy na potańcówkę.

A przecież plan był inny! Wchodząca czwórka miała w ciszy wylegitymować zebranych i zastrzelić kogo trzeba...

Staszauer siedzi za barem i sięga po telefon. Czy domyśla się, że przyszli po niego? Czy życie jak w kalejdoskopie przesuwają się teraz przed oczami niespełnionego filmowca? Kolejne kadry: najpierw dzieciństwo, śmiech matki, polowanie z ojcem, pierwszy skradziony sąsiadce pocałunek... Tak pewnie byłoby w filmie. Ale to nie kino, choć chyba żaden scenograf nie wymyśliłby lepszego *theatrum* i podziału na żywych i za chwilę martwych, na bohaterów i tchórzy, na przerażonych i rozsadzanych energią. Na aktorów dramatu, który za chwilę się zacznie, patrzy zza butelek ustawionych na półce... Jan III Sobieski. Dlaczego Staszauer portret właśnie tego króla kazał zawiesić nad barem?

„Doktur”, „Szlak”, „Burza” i „Andrzejewski” są już w środku. Swoje kwestie zaczynają standardowo: „Ręce do góry”! „*Hände hoch*”!

Żandarm przy bunkrze na rogu z Żelazną zapala kolejnego papierosa. Gdzieś daleko słychać stukot drewnianych obcasów. „Jur I”, „Puchacz” i „Kobuz” oraz trzech pracowników łączności ładują ciężkie skrzynie na pakę. Pierwsza ciężarówka już załadowana. Teraz druga.

To miała być spokojna robota.

No i w pewnym momencie widzę, że Elektorálną od strony placu Bankowego jedzie na motorze z przyczepą patrol żandarmerii. Jest ich trzech, a ten w koszu ma na piersiach przewieszony em-pe. Zamarłem. Z daleka wyglądało to tak, jakby ten motor pędził wprost na nas. Ale w którymś momencie zaczął zwalniać. Cofam się do bramy, odpinam płaszcz i zwalniam rączkę stena z zaczepu. Bałem się tylko, czy ten nowiutki sten się nie zatnie. Tymczasem motor zwolnił, przejechał na wysokości bramy, w której stałem, i skręcił w stronę krawężnika. Jakby kierowca nie wiedział, że my tu rozładowujemy magazyn broni! Wychyliłem się za nim i patrzę, a on staje dosłownie dwa metry za naszym drugim autem. Ta ciężarówka była już załadowana, chłopcy ładują teraz do pierwszej. Są jednak tak zajęci, że w ogóle nie zwrócili uwagi na gości w niemieckich mundurach. Właściwie, jak tak dziś o tym myślę, to należało strzelać. Byłem gotowy, a sytuacja nadawała się, aby walić. Byłem przekonany, że zatrzymali się, żeby nas sprawdzić. Byli dziesięć kroków ode mnie – miałem ich jak na dłoni. Zresztą odwróconych tyłem. Gdyby zamiast mnie stał „Gil”, to już by strzelał.

Gdyby pan zaczął strzelaninę, byłoby po was. Z posterunku wybiegliby żandarmi, a poza tym strzelałby pan do swojej ciężarówki, Niemcy ukryli się przecież w jej cieniu. A co jeśli na pace byłyby granaty?

W zasadzie składałem się do strzału. Ale usłyszałem, że oni, ci Niemcy, się kłócą. Sprzecniają się o coś. Wyraźnie słyszałem podniesiony ton.

Pewnie kłócili się o to, który ma zacząć kontrolę.

Siedzący za kierownicą zszedł z motoru, obszedł go i podszedł do podoficera w koszu. Zaczął mu coś tłumaczyć. Gestykulował. Tak jakby nasi w ogóle nie istnieli, jakby byli powietrzem. No i broń. Niemiec zszedł z motoru i gdyby zamierzał sprawdzić, co się dzieje, pewnie by przygotował broń. A on cały czas parabelkę miał w kaburze. I wtedy mnie olśniło: oni się za naszą ciężarówką ukryli. Ukryli przed swoimi po drugiej stronie ulicy, być może przed tym wartownikiem na Żelaznej. Nie chcieli być widoczni. My tu załadowujemy broń,

a oni w cieniu tej broni ubijają jakiś interes.

Sytuacja fatalna.

Nie. Oni w ogóle nie zwracają uwagi na otoczenie. Trzeba tylko zachować spokój. Ale macie rację. Bo dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że kłopoty się zaczną, gdy któryś z chłopaków ich zauważy. I wtedy z drzwi kwiaciarni wychodzi „Kobuz”. Dźwiga kolejną skrzynię. Jest jakieś pięć kroków od żandarma. Widzę to jak dziś. On dosłownie nadziewa się na tego Niemca. Lustruje go szybkim spojrzeniem, spostrzega również motocykl, ale nie staje, tylko siłą rozpędu idzie dalej w stronę ciężarówki. Ta jego skrzynia stała się bardzo ciężka, jego chód chwiejny. Odkłada skrzynię i sięga za pasek... Odwraca się i... widzi mnie za plecami Niemca. Wtedy łapię jego wzrok i daję mu znak lewą ręką, że wszystko w porządku. Chyba przyłożyłem palec do ust. „Cicho! Spokój! Nie rób paniki! Wszystko pod kontrolą”. „Kobuz” z ręką na kolbie znika wewnątrz sklepu. Wiem teraz, że jak wróci do środka, to zrobi alarm, chłopcy wybiegną i zaczną strzelaninę. Ale to był „Kobuz”, a nie „Gil”. Wrócił, wstrzymał załadunek i czekał. I wtedy aktorski popis dał kierowca naszej ciężarówki. Usiadł na bocznej desce ciężarówki i zaczął coś spokojnie gwizdać. Po prostu sielanka. Tymczasem żandarm siedzący w koszu, wyciągnął z portfela jakieś pieniądze i wręczył je kierowcy motocykla. Ten schował je i ruszył do tyłu. Minął mnie i poszedł najwidoczniej coś kupić.

To znaczy, że Niemcy zatrzymali się za waszą ciężarówką, aby zaplanować jakąś transakcję.

Wódki się chcieli napić. Bo gdy jeden z nich poszedł po zakupy, motocykl ruszył. Powolutku. Wyminął nasze samochody i odjechał w kierunku Żelaznej. Widziałem, jak wjeżdża do bramy przy bunkrze, gdzie stał żandarm na warcie. Oni się właśnie przed nim ukryli. No, a my skończyliśmy załadunek w pięć minut. Kwiaciarnia była pusta. Towar zabezpieczony. Nic nikomu się nie stało. Konwój ruszył na Złotą, do kina „Uciecha”.

Do kina? Niezły film nam się tutaj pisze, nawet pan nie wie...

No tak, bo to jest jak w filmie! Kino „Uciecha” – tam mieliśmy nowy magazyn. Potem już było bez niespodzianek, musieliśmy też, niestety, oddać tę piękną broń. I tyle... Gdy my kończyliśmy, to – jak wiecie – „Za Kotarą” się zaczynało.

Zanim z hukiem wyleciała z ram pierwsza szyba baru, Bronisław Gwiaździński, „Sokół”, bierze za cel najbliższą latarnię i strzela do niej ze stena. Nie trafia. Przez chwilę cisza, ruchliwa o tej porze Świętokrzyska w ułamku sekundy zamiera. Potem powtórka. Druga głośna seria. Tym razem zapada ciemność, a na jezdnię spadają szklane odłamki. Na ulicy wybucha panika. Relację z tego, co się dzieje na Świętokrzyskiej, podaje Stefan Matuszczyk, „Porawa”:

„W chwili gdy chłopcy wchodzili do baru, »Sokół« na mój znak otwiera ogień z piemu. Po pierwszej serii wypuszczonej w powietrze przechodnie znikają natychmiast z ulicy. Następnie wali seria za serią po bramach domów przy Mazowieckiej. Żandarmi boją się wychylić i odpowiadają chaotyczną strzelaniną z wystawionych z bram szmajserów. Kule lecą jednak górą albo odbiwszy się rykoszetem, trzaskają po domach. Widzę jak »Ćwach« [Józef Niemyski] i »Zadra« strzelają w stronę Arbeitsamtu wspólnie z »Marno« [Stefan Rogowiec]. Uspokoiwszy zabezpieczeniem z tej strony, przeskakuję na Świętokrzyską. Goni mnie okrzyk »Sokoła«:

– Panie poruczniku, nich się pan kładzie, zapieprzają jak na weselu! – Rzeczywiście od Arbeitsamtu bardzo silny ostrzał. Przy Świętokrzyskiej »Kieł« wysyła pocisk za pociskiem w kierunku Poczty, skąd widać tylko błyski z pistoletu maszynowego. Przyczajeni za rogiem »Jastrząb« i »Pepełek« raz za razem strzelają w stronę Nowego Światu. Od strony Marszałkowskiej spokój. Akcja idzie według planu. Otoczyliśmy się ze wszystkich stron murem ognia i nie dopuszczamy do siebie przeciwnika. Jest jednak najwyższy czas na zakończenie akcji, gdyż amunicja może się wyczerpać i nie będziemy mogli odeprzeć Niemców rozzuchwalonych osłabieniem naszego ognia.

Podbiegam do drzwi baru, by sprawdzić, co się tam dzieje”⁹.

Relacji z tego, co działo się wewnątrz baru, jest kilka. Swoje wspomnienia zostawili w rękopisach sami uczestnicy. Kilku historyków, w tym Tomasz Strzembosz czy duet Kulesza–Bielecki, opisało wszystko dokładnie. My sięgamy do relacji Cezarego

Chlebowski. Początek jego opisu jest najbardziej poetycki: „Jazgot serii rozciął ciszę jak nóż”. Koledzy Staszauera nie zamierzali posłuchać AK-owców krzyczących „Ręce do góry”. Zaczęła się jatka.

„»Burza«, nie czekając, otworzył ogień w łysy czerep agenta – zaczyna swój opis Bolesław Bąk, »Szlak«. – Ja z »Burzą«, przywarci do siebie plecami, tworzyliśmy grzmiący monolit, strzelając z obu rąk uzbrojonych w visy”¹⁰ – kontynuuje.

Ponieważ lokal rzeczywiście jest mały i ciasny, trafieni padają na stoliki, z głośnym brzękiem lecą na podłogę szklanki i talerze. „Andrzejewski” strzela jak w transie. Wszystko trwa sekundy.

„Strzelanina jest taka – pisze »Porawa« – że »Kotara« dosłownie »chodzi«. [...] »Szlak«, widząc dwóch mężczyzn kierujących pistolety w stronę stolika naszej trójki, składa się błyskawicznie i strzela dwukrotnie w tamtym kierunku. Następnie przyklęknąwszy przy drzwiach, okłada strzałami całe »godne towarzystwo«. »Doktur« strzela nad nim krótkimi seriami z piem, a »Andrzej[ewski]«, »Clive« i »Burza« momentalnie włączają się do akcji”.

„Wszystko rozegrało się w zawrotnym tempie, jak na przyspieszonej taśmie filmowej – mówiła »Nina«. – W chwili wejścia chłopców Staszauer chwycił jedną ręką słuchawkę telefoniczną, a drugą wyciągnął z kieszeni pistolet. Za późno jednak... Gruchnęły strzały. Mężczyzna w szarym garniturze, schowany za wieszakiem, który służył mu za osłonę, zmierzył się z pistoletu do nas, a drugi, siedzący najbliżej naszego stolika, strzela. Nie ma się co wahać, naciskam cyngiel. Staram się celować w tego, który jest najbliżej mnie. Tego przy wieszaku »Naprawa« zaraz chyba unieszkodliwi. Jestem zupełnie ogłuszona. Huk wystrzałów jest taki, że ma się wrażenie, jakby cała »Kotara« miała za chwilę wylecieć w powietrze. Istne piekło.

Efenka zacina się. Akurat w porę” – kończy relację długim cytatem ze wspomnień Danuty Hibner „Porawa”¹¹.

Gdy zapada cisza, żołnierze AK patrzą na siebie nawzajem. „Naprawa” ma rozorany policzek, jest ranny w rękę. Z postrzępionego rękawa „Niny” coraz szybciej kapie krew, łączniczka została trafiona w łokieć. Przejdzie dwie operacje, nigdy nie odzyska pełnej sprawności. Żyją wszyscy. Po drugiej stronie kotary – masakra. Piętnaście trupów.

„Kiedy strzały umilkły – wspominała Krystyna Lorocho – Józef [brat Eugeniusza]

wszedł do lokalu i w drzwiach natknął się na ciało nieżyjącego już Eugeniusza, trafionego trzema strzałami (dwie kule przeszły przez serce, trzeci strzał został oddany z pistoletu przyłożonego do głowy). Mój mąż miał już do połowy ściągniętą obręczkę, nie miał zegarka i pieniędzy. Jego siostra także została po śmierci okradziona z pierścionków, które miała na palcach. Zabity został również jej mąż, kelnerka Maria Malanowicz (aktorka, żona aktora Jaremy Stępowskiego) i jedenaście innych osób przebywających w barze. [...] Chwilę później nadbiegł w pizamie pan Stępowski, który zabrał ciało żony. Niedługo po tym ulica została zamknięta przez granatowych policjantów”¹².

Następnego dnia cały teren został obstawiony przez mundurowych i tajniaków.

Oddajmy głos Czesiowi. Ten wspomniany już chłopak, rzemieślnik, który wykonał skrytkę w domu Staszauera i tylko przeczuciom Zagórskiego zawdzięczał życie, bo został wyciągnięty z baru tuż przed strzelaniną, opowiadał mu potem, co widział:

„Przy wejściu na Mazowiecką stali żandarmi. Bliżej Świętokrzyskiej chodniki zasypane szkłem, jak po bombardowaniu. W barze »Za Kotarą« szyby porozwalane. A tam trup na trupie. Na podłodze jeden na drugim. Tylko ta kelnerka, co nam podawała, jakby przewieszona przez bar... Czesio omal się nie wyrzygał” – kończy jego relację Zagórski¹³.

Kilka dni później – zemsta: wielka łapanka w centrum Warszawy i egzekucje.

Podziemie liczy zastrzelonych. Jest dobrze. Przede wszystkim zginął Staszauer, oprócz niego niemieccy dyrektorzy warszawskich zakładów pracy, gestapowcy, konfidenti. Niestety, również kilka przypadkowych kobiet. AK jest zadowolona z akcji. Pora na nagrody. Krzyże Walecznych dla bezpośrednich wykonawców, z kolei dla „Niny” i „Porawy” Virtuti Militari. „Clive”, który zszedł z posterunku, by strzelać, dostaje ostrą naganę i czternastodniowy areszt domowy. I na pocieszenie również... Krzyż Walecznych.

I to by było na tyle, można by puścić napisy końcowe... gdyby w 1970 roku nie pojawił się zastanawiający epilog sprawy.

1 marca do redakcji „Perspektyw”, popularnego w PRL-u pisma, w którym wcześniej ukazały się dwa teksty autorstwa Cezarego Chlebowskiego na temat akcji w barze „Za Kotarą” i przy Chłodnej¹⁴, przyszedł list, a w zasadzie gotowy tekst, zatytułowany

Czyżby apoteoza mordu?

Autorem jest dr Cezary Szemley, „Ketling”, postać, która w dalszym ciągu czeka na swojego biografę. Był założycielem lewicującej organizacji PLAN (w pewnym okresie uznającej naczelną rolę AK), która, oględnie mówiąc, szukała „trzeciej drogi” w konspiracji, czyli drogi między AK a PPR¹⁵. To poszukiwanie – dość zagmatwane i niekonsekwentne lawirowanie wśród partii i partyjek czasów okupacji – zaprowadziło go jednak przed lufy pistoletów likwidatorów z 993/W. 21 lutego 1943 roku II Wojskowy Sąd Specjalny przy KG AK skazał go na karę śmierci za wysłanie pod koniec sierpnia i na początku września poprzedniego roku dwóch anonimów na Gestapo, denuncjujących redakcję pisma „Z dnia na dzień”. Anonimy zostały przejęte przez AK i nigdy nie trafiły do hitlerowców. Akcja przeciwko Szemleyowi nie powiodła się, „Ketling” został trafiony w pośladek. W czasie akcji w barze „Za Kotarą” Szemley był już dawno poza AK, jego ludzie byli członkami Polskiej Armii Ludowej, a on sam żył w czasie okupacji z wyrokiem na karku.

List do redakcji „Perspektyw” kierował *de facto* do i przeciw swoim niedoszłym katom. „Ketling” nazywa w nim Staszauera „rzekomym” agentem Gestapo, autorowi zaś tekstów, Cezaremu Chlebowskiemu, wytyka kilka intrygujących nieścisłości. W relacji Chlebowskiego, a także w wielu opracowaniach dotyczących samej akcji rzeczywiście powtarza się informacja, jakoby tuż przed akcją wywiadowczyni „Teresa” poinformowała przełożonego o ukrywających się w bramach oddziałach niemieckich żandarmów. Mimo to, a także mimo interwencji tajemniczej postaci, która rozpoznała w „Porawie” szefa akcji i poinformowała go o „wsypie”, ten ostatni decyduje się na kontynuowanie likwidacji. Potem – o dziwo! – Niemcy, poukrywani rzekomo w bramach, nie reagują na strzelaninę i dwudziestoosobowy oddział 993/W cofa się bez strat.

Szemley tak kończy emocjonalny list do redakcji:

„Wśród kilkunastu zabitych w barze »Za Kotarą« osób, podaje p. Chlebowski, znalazła się znana przed wojną aktorka Niedzielska-Stępowska i wywiadowca KW o kryptonimie 15/6 – Pawlak. Otóż nieprawda! Barmanka Niedzielska-Stępowska żyje i czuje się względnie dobrze. Mamy wszelkie dane na to, że i inne wymienione przez p. Chlebowskiego ofiary akcji jako rzekomi agenci Gestapo były co najmniej ofiarami

zbrodniczej lekkomyślności! Bo jest rzeczą równie pewną, jak i powszechnie wiadomą, że żadnych represji ze strony Niemców po akcji na bar »Za Kotarą« nie było! A przecież zginąć tam miało, jak twierdzi p. Chlebowski, aż tylu Niemców, wśród których było dwu niezidentyfikowanych gestapowców i ich agentów. Jak więc to się dzieje, iż w okresie największego nasilenia terroru ze strony okupanta, kiedy to za jednego zabitego Niemca ginęły co najmniej dziesiątki Polaków, w tym przypadku nie spadła ani jedna polska głowa? A kiedy kilka dni potem w kaplicy przy ul. Chałubińskiego nad szesnastoma trumnami wszystkich pomordowanych ofiar tej »bohaterskiej« akcji zgromadziły się przejęte grozą i bólem najgłębszym rodziny tych ofiar, nie było wśród nich rodzin niemieckich [...] Wzywamy p. Chlebowskiego do kontynuowania publikacji tego rodzaju i opublikowania materiałów dotyczących np. rzekomych agentów Gestapo: Baczewskiego, Hela (Jastruna), Skrzypka i wielu innych”¹⁶.

Szemley zmarł w 1979 roku Do dziś uchodzi za renegata i konfabulatora. Jego list jest jednak tak szokujący, że wymaga jakiegoś komentarza. Przede wszystkim należy się zastanowić, czy rzeczywiście ofiarami 993/W padli tylko niewinni ludzie. Juliusz Kulesza i Robert Bielecki, którzy sporządzili dokładną listę zabitych, absolutnie temu przeczą. Owszem, były ofiary przypadkowe – tego nigdy AK nie negowała – ale w zamachu zginęła również cała grupa zdrajców i konfidentów. Przede wszystkim główna *dramatis persona* – Staszauer. Ponadto jego szwagier Eugeniusz Lorocho (ten był gospodarzem opróżnionego lokalu łączności AK na Chłodnej!), reichsdeutsch Henryk Müller – syn właściciela fabryki „Tudor” w Piastowie, dyrektor tej fabryki – Henryk Braun, volksdeutsch Adolf Kuratz – nadzorca komisaryczny Hotelu Europejskiego, konfident Jerzy Konarzewski i Johann Kassner z bratem. Ten ostatni to bardzo ciekawa postać. W jego biurze mieściła się bowiem redakcja podziemnej gazety „Jutro Polski Niepodległej”. Wiele wskazuje na to, że była to niemiecka prowokacja, której celem było infiltrowanie ruchu wydawniczego, a także dezinformowanie czytelników. W sumie w barze „Za Kotarą” zginęło piętnaście osób¹⁷.

Niech pointą i dodatkiem do odpowiedzi na pytanie Szemleya, czy akcja „Za Kotarą” była „mordem”, będzie fragment książki Wacława Zagórskiego. Już po strzelaninie na Mazowieckiej Zagórski umówił się ze swoją współpracowniczką „Tessą”, kelnerką w „rozstrzelanym” barze. Ta poinformowała go, że w czasie wielkiej łapanki

w Warszawie 13 października został chwytyany „Staszek”. Był to pomocnik Staszauera, żołnierz AK. Chłopaka odprowadzono na Gestapo przy ulicy Daniłowiczowskiej. Miał pecha. Żandarmi znaleźli przy nim pistolet. W korytarzu zobaczył go jednak umundurowany gestapowiec. Zatrzymał prowadzących „Staszka” żandarmów i zwrócił się do AK-owca po polsku z pytaniem, co tu robi. „Staszek” rozpoznał w nim dowódcę ochrony Staszauera. Ochrony, którą Staszauer tak głośno chwalił się przed swoją śmiercią. Gestapowiec kazał zatrzymać się całej grupie i po kogoś poszedł. Potem tłumaczył coś, chyba zwierzchnikowi, a jak wrócił, polecił chłopaka uwolnić, oddał mu kenkartę i... pistolet. Potem wyprowadził na ulicę i poklepał po ramieniu:

„ – Masz szczęście, żem cię zauważył – powiedział na pożegnanie. – A im się nie dziw. Co oni mogą wiedzieć?” – kończy Zagórski¹⁸.

Czy pańskim zdaniem te wątpliwości „Ketlinga” były uzasadnione?

Skąd! Akcja odbyła się przecież po gruntownym śledztwie. Zresztą po akcji dochodzenie było kontynuowane, zarzuty wobec szajki Staszauera się potwierdziły. To była mafijna grupa Żydów, którzy chcieli się wkupić w łaski Niemców po to, żeby ocaleć. Niestety, takie przypadki też były. Oni bardzo ofiarnie pracowali dla Niemców.

Jeśli już, to tylko Staszauer...

Gdyby Staszauer nie wysługiwał się Niemcom, trafiłby do getta. To wszystko jest straszne i smutne, ale tak było. Wiem, co mówię, to była grupa polskich Żydów. Bardzo głęboko współpracowali z Niemcami.

Do tej pory w opracowaniach historycznych dotyczących tej akcji nikt nie podnosił sprawy „aryjskości” lub „niearyjskości” jej ofiar. Akcja „Za Kotarą” nie funkcjonuje jako akcja przeciwko Żydom współpracującym z Gestapo.

Z Niemcami współpracowali i Polacy, i Żydzi, i Ukraińcy... Wysługiwali im się, korzystali z ochrony i opieki. A my reprezentowaliśmy Państwo Podziemne.

Likwidowaliśmy konfidentów i wrogów bez względu na to, kim byli. Ci akurat byli Żydami. I tyle.

To dlaczego Cezary Szemley stanął w ich obronie?

A dlaczego on w PRL-u mógł nas bezkarnie opluwać, a my nie mogliśmy się bronić?

Jak pan zareagował na list pani Krystyny Loroach, wdowy po Eugeniuszu zabitym w barze „Za Kotarą”. Ona zresztą też została uznana za ofiarę tej słynnej strzelaniny, pomyłkowo.

Napisała jeszcze, że jej zabity mąż pochodził z patriotycznej rodziny. Starszy strzelec Leon Loroach miał być rozstrzelany przez Wehrmacht w Boryszewie po kampanii wrześniowej, drugi brat August miał być rozstrzelany w „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy. Trzeci brat z żoną działali w AK, byli powstańcami. Tak samo jej ojciec. A mąż, Eugeniusz, za odmowę podpisania reichslisty został wygnany z Bydgoszczy i dlatego trafił do Warszawy. Tu dosięgły go nasze kule. Jeśli tak było, to była to przypadkowa ofiara. To bardzo przykre.

A te fragmenty, że zabici nie mieli zegarków, obrączki pościągane, portfele zabrane, jej mąż miał mieć postrzał w głowę z przyłożenia...

To już w ogóle nie wiem, o co chodzi. Jakies wygadywane głupstwa. Za czasów PRL-u wszystko robiono, żeby AK opluwać.

Kilku niewinnych ludzi zginęło wtedy „Za Kotarą”.

No, niestety. Gdyby wszyscy podnieśli ręce... A tak... kilku wyciągnęło broń i się zaczęło. Ale вина Staszauera jest bezsporna. Mnie akurat wtedy na Mazowieckiej nie było, ale rozumiem naszych. Też miałem takie sytuacje. Myślałem sobie o ofiarach: Ech, po coś tu przyszedł!? Po coś tu wlaż?! Po co?! Ta akcja „Za Kotarą” to jedna z najbardziej znanych akcji naszego oddziału. Duża strzelanina, wiele ofiar, kilku zabitych Niemców i konfidentów. Potem odznaczenia i notki

w encyklopediach. Ale prawdziwą bohaterką tego dnia była dla mnie Zocha.

Zofia Rusecka?

Zaraz po akcji chłopaki ruszyli do zakonspirowanych lokali. Część, pewnie pięciu, na Elektorálną. W dalszej obstawie był Adam Grymaszewski, „Jastrząb”, z patrolu Rysia. Uszedł jakieś pięćset metrów i strasznie mu się zachciało siusiu. Znalazł jakieś krzaki, może to było już w Ogrodzie Saskim? Nie wiem. Rzeczywiście nie wybrał sobie najlepszego momentu, ale go przycisnęło. Co zrobić. Załatwił się i pognał za swoimi. I w lokalu zorientował się, że nie ma broni. Że pewnie wypadła mu zza paska, jak rozpiął spodnie. Przyznał się Andrzejowi Zawadzkiemu. Musicie wiedzieć, że zgubić pistolet to... prawdziwa hańba. Potworny wstyd. Zresztą w takim momencie... Wycofują się, leje się krew, Danka trafiona, „Porawa” ranny w twarz, a ten gubi pistolet w krzakach. No wstyd. Głupia sprawa. I wtedy, a już było słycać jeżdżące samochody Niemców, bo się zrobił alarm, Zocha się zgłosiła tak po cichu, że pójdzie poszukać tego pistoletu. Zapytała „Jastrzębia”, gdzie sikał, i poszła. Już było ciemno, zaraz godzina policyjna, pełno Niemców zaalarmowanych strzelaniną. Niebezpieczna sytuacja. A ona poszła. Nie było jej z godzinę. Już się wszyscy martwili, że może wpadła, może musiała się gdzieś ukryć... Ale wszystko dobrze się skończyło, wróciła. Z pistoletem. Nikt tego nigdy nie powiedział, nie przyznał się, przecież o takich rzeczach się nie pisze. Ale dla mnie to było wielkie bohaterstwo podjąć takie ryzyko.

Zofia Rusecka została jednak za to doceniona. 15 października Bernard Zakrzewski, „Oskar”, „Wd-69”, przedstawił ją z innymi uczestnikami akcji do odznaczenia Krzyżem Walecznych.

I słusznie. Ale za co? To jest we wniosku.

Za „dzielne i odważne zachowanie się w czasie akcji i w czasie pilotowania oddziału na punkt zborny”.

No właśnie. A powinno być za to, że jednemu z asów siku się zachciało.

Pan się wyzłośliwia, bo jak oni strzelali w tej najgłośniejszej akcji, pan z „Gilem” skrzynki nosiliście.

Może i tak. Od noszenia skrzynek są tragarze...

¹ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 122–150; C. Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, dz. cyt., s. 186–199; T. Strzembosz, *Akcje zbrojne...*, dz. cyt. s. 380–384.

² Jarosław Wróblewski, *Zośkowiec*, Warszawa 2014, s. 127–129.

³ W. Zagórski, *Wolność w niewoli*, dz. cyt., s. 343.

⁴ Według relacji łączniczki KG Zofii Kruczkowskiej-Stańczyk; http://ahm.1944.pl/Zofia_Kruczkowska-Stańczyk.

⁵ C. Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, dz. cyt., s. 168–169.

⁶ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 131.

⁷ W. Zagórski, *Wolność w niewoli*, dz. cyt., s. 404.

⁸ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 131.

⁹ S. Matuszczyk, „Porawa”, *Oddział bojowy kontrwywiadu...*, dz. cyt.

¹⁰ Cyt. za: R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 133.

¹¹ S. Matuszczyk, „Porawa”, *Oddział bojowy kontrwywiadu...*, dz. cyt.

¹² Juliusz Kulesza zwraca uwagę na błędy w relacji Krystyny Loroch. Chodziło o żonę nie Jaremy Stępowskiego, lecz Leszka Stępowskiego, również aktora, choć mniej znanego. Sugestię zawartą w tekście K. Loroch, że to żołnierze AK mogli, po pierwsze, chcieć, a po drugie, znaleźć czas, by okraść zabitych, uznaje za absurdalną. K. Loroch w swoim opisie akcji „Za Kotarą” powołuje się na relację młodej barmanki, która miała widzieć, jak Eugeniusz Loroch (mąż Krystyny) próbuje wyrwać pistolet jednemu z akowców. W oficjalnych zeznaniach wspomniana barmanka stwierdziła jednak, że już przy pierwszych strzałach padła na podłogę za barem i niczego nie widziała.

¹³ W. Zagórski, *Wolność w niewoli*, dz. cyt., s. 405.

¹⁴ „Perspektywy” nr 17/1969, 1/1970.

¹⁵ Jan Grabowski, *Niewygodny bohater*, w: <http://www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykul/niewygodny-bohater>; Dariusz Libionka, Laurence Weinbaum, *Bohaterowie, hohsztaplerzy, opisywacze. Wokół*

Żydowskiego Związku Wojskowego, Warszawa 2011, s. 343 i in.;
http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Cezary_Szemley).

¹⁶ AAN 203/IX-11, RPS BUW, archiwum Roberta Bieleckiego,teczka nr 2974.

¹⁷ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 145.

¹⁸ W. Zagórski, *Wolność w niewoli*, dz. cyt., s. 408.

Rozdział 13

Nie jesteśmy instytucją charytatywną

„Szczuplutki, grzeczniutki, nieśmiały, z czerwoną buzią, wyglądał chłopięco, jakby mamusia kazała mu się grzecznie bawić, nie zabrudziwszy ubrania”¹.

Mógł sobie darować tę czerwoną buzię...

„To te gówniarzyki, szczeniaki, młodziaki, piętnastoletnie pętaczyny, to ci gieroje? Zbyszek, „Clive”, cudeńka opowiadał nam o dwóch kozakach z 993/W – „Sępie” i „Gilu”²...

Tak nas opisał Rysio Bielański, „Rom”, przyjaciel. Ale nie miałem wtedy piętnastu lat, a pewnie jakieś osiemnaście, gdy się poznaliśmy. Ale buzię miałem rzeczywiście dość niewinną, podobno.

To jeszcze jeden cytat: „Niewinna postura Lucka kilka razy mu pomagała w opresji, przynajmniej raz ratując życie, kiedy przy przewozie broni nadział się na łapankę”³.

Tak było. Miałem swój sposób na łapanki albo rewizje. Od razu ręce do góry, niewinna mina, trochę strachu w oczach. To działało, przepuszczali mnie...

W ilu likwidacjach wziął pan udział?

Pięćdziesięciu, sześćdziesięciu... Nie pamiętam. Nie zawsze ja strzelałem. Zresztą nasze akcje nie polegały tylko na strzelaniu. Czasami musieliśmy coś zrobić właśnie bez jednego wystrzału, po cichu, niekoniecznie likwidować. I to bywało

trudniejsze.

Pamięta pan taką właśnie akcję?

Na początku grudnia 1943, zdaje się 8 grudnia, Gestapo zatrzymało w domku przy Sokolej w Podkowie Leśnej podpułkownika Mariana Drobika, „Dzięcioła”, szefa Oddziału II, czyli wywiadu i kontrwywiadu Komendy Głównej, poprzednika na tym stanowisku Iranka-Osmeckiego. Wsypał go Eugeniusz Świerczewski, „Gens”. Świerczewski, Ludwik Kalkstein i jego żona Blanka Kaczorowska to była najgroźniejsza trójka agentów Gestapo działających w Warszawie. Kalksteina i Kaczorowskiej nie udało nam się zlikwidować... choć było blisko. A „Gensa” udało się zwabić do stolarni Bronisława Gwiazdzińskiego, „Sokoła”, dowódcy jednego z patroli 993/W, i tam zmusić do gadania...

...z genitaliami w imadle można różne rzeczy mówić. Słyszeliśmy o tej akcji⁴. Świerczewski był na tyle bezczelny, że po serii wpadek, które inicjowała ta trójka, szukał kontaktu z szefem II Oddziału. No i takie spotkanie obiecano mu 20 czerwca 1944 roku. Przyszedł, ale zamiast Iranka-Osmeckiego stanął twarzą w twarz z „Porawą”, „Naprawą” i pana kolegami. W stolarni przy ulicy Krochmalnej przesłuchali go, używając między innymi imadła. Właśnie wtedy przyznał się, że wydał „Dzięcioła”...

Nawet miał w kieszeni jego pistolet. O imadle nie słyszałem. Ale tak, rzeczywiście, torturowali go. W kieszeni miał broń, którą „Dzięcioł” dostał w prezencie od Stefana Rysia, ośmiostrzałowego colta.

Broń do broni podobna.

Nie, nie w tym przypadku. Numer fabryczny różnił się tylko ostatnią cyfrą od numeru colta Rysia. Świerczewski miał w kieszeni też inne dowody współpracy z Niemcami. Ale to wszystko dygresje, bo 9 grudnia przyjechał do mnie do Boernerowa „Naprawa” i wziął mnie na akcję, tę akcję bez strzelania. Pamiętam ten dzień, bo zanim spotkałem się z „Naprawą”, wziąłem udział w innej akcji. Akurat wtedy na Boernerowie łapaliśmy szajkę złodziei. To ciekawe było...

Dokończmy o wizycie „Naprawy”...

Tak, tak, ale tak to wtedy wyglądało: jedna akcja splątana z drugą. Jedna się kończy, zaczyna następna. Szybko wam opowiem: „mój” policjant Łubiński dowiedział się, że grasuje jakaś szajka, okrada domki, piwnice, zwykła bandyterka. Czymś takim to się Niemcy w ogóle nie interesowali. Co innego nasi granatowi. I Łubiński, bo przecież wiedział, że zajmuję się „robotą”, poprosił mnie o pomoc w ujęciu tych złodziei. Bo co on mógł sam? Zacząłem się jakoś sprawie przyglądać. Tego dnia przyjechał do Boernerowa na rowerze Okuń. Byliśmy już w trójkę: ja, on i Łubiński, który jako policjant miał karabin. I – znowu szczęśliwy traf – ktoś nam doniósł, że rozpoznał tego złodzieja, że jest gdzieś niedaleko. Poszliśmy. Rzeczywiście pokazał się jakiś dwudziestolatek. Zwiedzał okolicę, pewnie przed jakimś kolejnym włamaniem. Okuń zaczął krzyczeć: „Stój! Stój!”. Ale ten chłopak wziął nogi za pas, zaczął uciekać. Skoczył na rower. Łubiński wziął karabin, Okuń mu kazał strzelić. Strzelił, a ten chłopak jeszcze przyspieszył. Wtedy już Łubiński wziął go na celownik i trafił.

Zabił?

Nie, po co? Trafił go w dłoń, przestrzelił mu rękę. Tak, że ten spadł z roweru. Dlatego to pamiętam. A wieczorem byłem już w domu, dość zmęczony. Wracałem – pamiętam – jak zachodziło słońce. A w domu matka daje mi kartkę i mówi, że przyniosła to jakaś dziewczyna. Rozwijam kartkę i czytam, że to wiadomość od „Naprawy”: „Dziś na noc potrzebuję was do akcji. Zawiadom »Ptaki«: »Puchacza«, »Kobuza« i »Jura«. Czekajcie na mnie po siódmej wieczorem”. To było dziwne, bo nigdy wcześniej w takiej formie mnie nie powiadamiał. Zjadłem coś i pobiegłem do chłopaków. Wieczorem czekamy. Sam byłem zmęczony, bo łapaliśmy tego złodzieja, zresztą powinienem zostać z Łubińskim i Okuniem i sprawę dokończyć, bo chłopak ranny, bardzo wystraszony, lekarza mu było trzeba... Przyszedł wieczór. Przyjechał „Naprawa”. Mówi, że będzie nocna akcja, teraz już, natychmiast, jedziemy. Rzeczywiście, stoi furgonetka. Po drodze zgarnęliśmy chłopaków. I w aucie „Naprawa” wyjaśnił, że

poprzedniego wieczoru został aresztowany wysokiej rangi oficer Komendy Głównej. Chodziło właśnie o „Dzięcioła”. My, oczywiście, go nie znaleźliśmy. Żandarmeria zabrała wszystkich z domu, ale Gestapo nie przeszukało jeszcze lokalu. Nasze zadanie to opróżnić wszystkie skrytki. Dowódcy liczyli się z tym, że Gestapo zaraz wróci, żeby przeszukać dom, dlatego potrzebna była szybka „grupa szturmowa”. Mieliśmy oczyścić lokal, a potem pojechać na kolejną robotę...

Wywieźć w bezpieczne miejsce archiwum „Dzięcioła”.

„Naprawa” powiedział, że najważniejsza jest jakaś bambusowa laska, dziwna, bo dość gruba. Niepraktyczna. Zwęzła się przy rączce. Oprócz tej laski jeszcze sześć skrytek. W aucie był już szofer i jakaś pani. To ona miała nam pokazać skrytki. Furgonetka okazała się dość duża, oprócz nich w środku było jeszcze dwóch radiotów z łączności. Jeśli dodamy do tego nas, czyli „Ptaków”, to ta wyprawa robi się już sporą ekspedycją. Ale najważniejsze było to, że w aucie czekało na nas dużo broni, i to nie byle jakiej. Sześć pistoletów maszynowych! Łapię pierwszy z brzegu, a to niemieckie em-pe 42. Cudowna broń. Marzyłem, aby z takiego pistoletu wreszcie postrzelać, nie miałem okazji. Uprzedzę wypadki i wam powiem, że również wtedy sobie nie postrzelałem. Trzymając tego szmajsera w rękę, zrozumiałem, że coś się święci ważnego, bo przecież w tym czasie nie używaliśmy w każdej akcji broni maszynowej. A do tego było sporo granatów, filipinki. Pierwszy raz je widziałem. Dopiero w powstaniu się tego używało. Po drodze „Naprawa” wytłumaczył nam wszystko. Musimy być przygotowani na walkę. Nawet ta furgonetka okazała się samochodem szturmowym, miała wzmocnione blachy. Można nią było sforsować ogrodzenie. Taka forteca na kółkach. Podjechaliśmy spokojnie, Niemcy nas nie kontrolowali.

O godzinie dwudziestej zaczynała się godzina policyjna. Mieliście jakieś dobre papiery?

Nie. W razie kłopotów mieliśmy strzelać. Żadnego pokazywania papierów. To była szybko zrobiona akcja. Ale nic się nie zdarzyło. Ta kobieta, w wieku

trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, pewnie łączniczka „Dzięcioła”, wszystko nam pokazała. Skrytki były w jednej szafie i w dwóch biurkach. A ja miałem od „Naprawy” zadanie znalezienia tej laski. I znalazłem ją. Szperaliśmy może z godzinę. Wszystko spokojnie, dokładnie...

To było mieszkanie jednej z czterech sióstr „Dzięcioła”. Razem z nią mieszkała tam jej córka Halina Iwanicka-Bogacka, „Halina”, i zięć, major Konrad Bogacki, „Kobra”. Oboje pracowali w Oddziale V KG AK⁵. Po wojnie „Halina” zeznała na UB, że w skrytce był cenny aparat radiowy należący do „Kobry” oraz kolekcja prywatnych zdjęć „Dzięcioła”, na których było sporo osób z konspiracji. Pani Halina skarżyła się, że zerwaliście podłogę w domku, co było niepotrzebną dewastacją „rodzinnej własności”.

Jak Boga kocham, nie zrywaliśmy podłogi... To potem Niemcy, już po nas. Robota była spokojna, jak każda u nas. Potem musieliśmy pojechać do Kuluszek, w stronę Łodzi. Prawie godzinę jechaliśmy. Ale znowu nikt nas nie zatrzymywał. I tam znowu podjechaliśmy pod jakiś dom (wcześniej w nim również było już Gestapo), opróżniliśmy trzy skrytki. Zapakowaliśmy to w worki i do Warszawy, zawieźliśmy do „Feza” na ulicę Elektorálną. Czyli widzicie, że ja i 993/W byliśmy od zadań specjalnych, nie tylko od likwidacji. Tamtej nocy „Naprawa” stworzył z nas „grupę szturmową”. Ale poza skrytkami niczego nie szturmowaliśmy.

To jako dygresję dodamy, że ta historia miała ostatnio swój ciąg dalszy. W listopadzie 2013 roku Muzeum Powstania Warszawskiego otrzymało w darze stoliczek, który należał kiedyś do pułkownika Jana Rzepeckiego, szefa Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Po uruchomieniu pewnego mechanizmu stoliczek ujawniał swoją tajemnicę – miał skrytkę, w której historycy znaleźli raport „Dzięcioła” dotyczący współpracy AK z Sowietami⁶ – tak zwany Memoriał Drobika, w którym popierał współpracę z Sowietami. Właśnie napisanie i odczytanie tego raportu przez „Dzięcioła” na spotkaniu Komendy Głównej AK

spowodowało, że w trybie nagłym przestał być szefem Dwójki, stracił stanowisko, a potem – jeszcze tego samego dnia – załamany otruł się cyjankiem. Został odratowany, ale wyprowadził się do Podkowy Leśnej, nie miał już ochrony i wpadł w ręce Gestapo. Zresztą być może wydał go nie Świerczewski, a inny przewerbowany AK-owiec, kapitan „Radwan” – Karol Trojanowski. Może wtedy szukaliście też tego Memoriału. Był w stoliku, a nie w bambusowej lasce...

My tego oczywiście nie wiedzieliśmy.

To teraz wróćmy do chłopaka na rowerze... Złapali go pańscy granatowi policjanci.

Okazało się, że jest z AK, dorabia z kolegami na włamaniach... Przyznał się, że kradł, by zdobywać pieniądze dla siebie i swojego oddziału.

A pan stał z policjantami, którzy do niego strzelali. Znał pan kogoś, kto by nie uciekał przed granatowymi wołającymi: „Stój!”? Pan by nie uciekał?

Uciekałbym. Ale oni kradli! Polaków okradali. Potem policjanci opatrzyli go i puścili, dodając grube słowo do tego.

Ale wtedy nie wiedział pan na pewno, że to on.

No macie rację. Dziś to dwuznaczne, choć taka „prywatna” była zmorą podziemia. To było trudno powstrzymać. Nie wszyscy mieli wysokie morale. Kradli, co tu dużo kryć. Z drugiej strony można ich zrozumieć.

W 2010 roku Ośrodek „Karta” opublikował wspomnienia Stefana Dąbskiego, człowieka z tego samego rocznika co pan. Był żołnierzem oddziału dywersyjnego AK na Rzeszowszczyźnie. Publikacja zszokowała wiele osób, były protesty środowisk kombatanckich. Szczególnie zaboląły byłych AK-owców słowa: „Strzelałem do ludzi jak do tarczy na ćwiczeniach, bez żadnych emocji. Lubiłem patrzeć na przerażone twarze przed likwidacją,

lubilem patrzeć na krew tryskającą z rozwalonej głowy. Spełniły się moje marzenia: byłem człowiekiem bez skrupułów... Byłem gorszy od najpodlejszego zwierzęcia. Byłem na samym dnie bagna ludzkiego. A jednak byłem typowym żołnierzem AK. Byłem bohaterem, na którego piersi po wojnie spoczął Krzyż Walecznych, tylko jeden z czterech wydanych na cały oddział Czternastki”⁷.

Straszne... to jest straszne... Nie chcę tego czytać. Ja wiem, co to znaczy wzrok człowieka widzącego przed sobą lufę pistoletu, wiem, co to strach przed śmiercią, widziałem to, znam takie relacje. Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział.

Dąbski napisał, że aby być „dobrym w tej robocie”, trzeba było wyeliminować strach. On sam uciekł od realności, żył imaginacją, wmówił sobie, że i tak nie przeżyje wojny, a nawet jeśli mu się to uda, to nie będzie miał żadnej przyszłości. Uwierzył, że śmierć to jedyne mądre rozwiązanie...

Każdy z nas chciał żyć... strzelaliśmy, żeby żyć, żeby przeżyć. Inna sprawa, że mieliśmy świadomość, że to robota z grupy zawodów obarczonych największym ryzykiem. Baliśmy się, każdy się bał... Może nie każdy lubił o tym mówić. Naszym paliwem była nienawiść do Niemców i do zdrajców. No i wykonywaliśmy rozkazy.

Większe szanse przeżycia miałby pan na wsi pod Płońskiem, a nie z pistoletem w okupowanej Warszawie.

Dobrze, rozumiem. Chcieliśmy żyć, ale żyć jako wolni ludzie.

W wielu publikacjach podziemnego „Biuletynu Informacyjnego”, który uchodził podczas okupacji za organ prasowy Komendy Głównej AK i cieszył się chyba największym autorytetem oraz miał duże społeczne oddziaływanie, od 1940 roku wyraźnie widać nurt z dominującym motywem zemsty na Niemcach. Zemsty za coraz okrutniejsze zbrodnie. „Żaden żywy Niemiec nie wyjedzie z Polski”, „[...] morze niemieckiej krwi poleje się nad Wisłą”, „żadne względy nie mogą nas powstrzymać od odwetu za te cierpienia.

Piekąca i krwawa zemsta musi z naszych rąk spaść na każdego Niemca” – to kilka cytatów⁸. 31 lipca 1944 w tekście *Dzień zapłaty* padły nawet takie słowa: „Warszawa lada dzień przedstawi Niemcom swój rachunek do pokrycia. Długi, bardzo długi rachunek krwi, męczarni, poniewierki, upokorzeń [...]”⁹. Jak wiadomo, tego rachunku ostatecznie nie udało się od Niemców w czasie powstania wyegzekwować. Ale było kilkaset wyjątków. W wielu przypadkach Niemcy i ich polscy współpracownicy, kolaboranci i konfidenci taki rachunek zapłacili. Ma pan dziś satysfakcję, że oddział 993/W stale regulował te rachunki?

Oczywiście. To satysfakcja. Ja już jestem jednym z ostatnich żyjących żołnierzy naszego oddziału likwidacyjnego kontrwywiadu Komendy Głównej AK i chyba mogę to powiedzieć w imieniu kolegów i koleżanek, również tych nieżyjących. To była wielka satysfakcja egzekwować od Niemców zapłatę za ich zbrodnie. Wielka! Co ważne, nasza praca była skuteczna, konsekwentna i robiła na hitlerowcach wrażenie. Ja to doskonale pamiętam. Wysocy funkcjonariusze Gestapo wiedzieli, że jesteśmy, wiedzieli, że mamy odbezpieczoną broń, wiedzieli, że dyszymy żądzą zemsty. Oni czuli nasz oddech na plecach. „Teraz sami widzicie, w jakich warunkach musimy tutaj pracować i jak bardzo jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo. Warszawa to nie Kraków!” – mówili przecież gestapowcy warszawscy tym z Krakowa po akcji w „Europejskiej”. Pamiętacie, że „Porawa” to napisał. Nawet jeśli takie słowa w rzeczywistości nie padły, to tak właśnie było. Warszawa to nie był Kraków!

No i nie ma przedwojennej Warszawy. A Kraków jest.

To kwestia powstania. Tego nie oceniam i nie będę oceniał.

Trudno się z pana wyciąga informacje o pracy w „wykonawstwie”. Nie lubi pan o tym mówić. Tymczasem z opracowań historyków, zwłaszcza z pracy Juliusza Kuleszy, wynika, że w 993/W naprawdę był pan asem.

Byłem najmłodszy – to tak, czy byłem asem – nie wiem. Z moich kolegów

z Chomiczówki Leszek Kowalewski do tej roboty wybrał sześciu. Ale niech się wam nie wydaje, że nas wybrał, dał broń do ręki i dawaj: strzelajcie! Nie, to był długi proces. Dziś myślę, że ten wyjazd w lasy rozwadowskie to był właśnie taki trening. Nie tylko szkolenie z posługiwania się bronią, szkolenie fizyczne, ale przede wszystkim trening psychologiczny.

A później kto was szkolił i jak? Juliusz „Wilczur”-Garztecki w książce *Armia Krajowa i nie tylko. Za i przeciw. Opowieści oficera kontrwywiadu* napisał brutalnie, że nie byliście szkoleni w jakiś szczególny sposób. Stwierdził, że „jedyne szkolenia, jakie im było potrzebne, zamykało się w jednym zdaniu: podczas wykonywania wyroku, jak się strzeliło komuś w plecy czy w brzuch, należało oddać drugi strzał w głowę, bo z tego się już nie wyliże. Po przestrzeleniu mózgu istnieje małe prawdopodobieństwo przeżycia. To było całe szkolenie. Likwidatorami byli oczywiście ochotnicy, chłopcy, którzy chcieli działać w podziemiu niepodległościowym, a my akurat uznaliśmy, że oni się do tego nadają”¹⁰.

Nie. Szkolenie nie dotyczyło tylko spraw technicznych. Kurs prowadził Kowalewski. Uczył całą naszą piątkę „Ptaków”. Robił ciężką robotę. Trenowaliśmy na odludziu i w domach, w piwnicach, korytarzach. Ale żadne szkolenie nie jest chyba tak naprawdę w stanie przygotować do takiej roboty. Mówię o stronie psychologicznej. Pamiętam, że „Twardy” dużo z nami rozmawiał. Dużo nam opowiadał o polskiej historii, tłumaczył różne zawiłości. Pamiętam, że mówił nam, że Niemcy mordują dziennie tysiąc ośmiuset ludzi. Pamiętam, że podał tę liczbę. To był 1942 rok, trwała zagłada Żydów. Tysiąc ośmiuset ludzi dziennie! Dziś już znamy skalę tragedii całej drugiej wojny, wtedy te liczby robiły kolosalne wrażenie. I gdy on nam to mówił, popychał nas tak jakby w stronę przekonania, że na to niemieckie bestialstwo musimy odpowiedzieć równie mocno. On mądry był! Pamiętam pierwsze spotkanie, na którym zaproponował nam pracę w likwidacji. Powiedział: „Pamiętajcie, że będziecie strzelać do Polaków, do mężczyzn” – tym nas nie zaskoczył. Powiedział: „Będziecie nawet strzelać do kobiet, jeśli na to zasłużą”. Ja to

przyjąłem. Ale to było trudne. Byłem z bardzo katolickiej rodziny. Byłem ministrantem. I gdy Kowalewski powiedział, że będziemy strzelać, to ja polecałem z tym do księdza. No bo do kogo miałem pójść z tymi wątpliwościami? A na Wawrzyszewie mieliśmy bardzo mądrego księdza, Trzepałko się nazywał. Polecałem do niego, nie wiedząc, że on jest kapelanem AK. Poszedłem do niego z Zygmuntem Szadokierskim, „Puchaczem”. Może ksiądz rozmawiał z moim dowództwem już wcześniej? Powoli zbijał moje wątpliwości i pamiętam, że użył takiego argumentu, że samo kropidło nie wystarczy na ten terror, jaki Niemcy sięją. „Trzeba do nich strzelać!” – powiedział. „A do kobiet?” – zapytaliśmy. „A co, jeśli one na to zasługują?” – odpowiedział pytaniem. Pobłogosławił nas. Na pewno rozwiązał moje wątpliwości. On dał nam...

Dyspensę na zabijanie.

Tak jakby nas skierował do tej roboty. Który ksiądz by się dziś zdobył na taką decyzję?

Z amerykańskich badań nad metodami walki podczas II wojny światowej wynika, że 75 procent żołnierzy w ogóle nie strzeliło wprost do nieprzyjaciela, a tylko 2 procent nie miało z tym problemu. Pan należy do tych, co strzelali i mieli z tym problem.

Niełatwo zabić człowieka. Ja się bardzo szybko o tym przekonałem, moi koledzy również. Raz czekaliśmy długo na „delikwenta”... za długo. Nazywał się Grabowski. Wiedzieliśmy, że jest z wyższych sfer. Właściciel ziemski czy coś. Mówiliśmy na niego „pan hrabia”. Zachciało mu się współpracować z Niemcami i im donosić¹¹.

Kiedy?

Ja już miałem swoją piątkę, czyli wiosną '43 chyba. Dowodziłem tym patrolem i w tej grupie wykonywaliśmy wyroki. To była zresztą pierwsza akcja w tym składzie. Pamiętam, że był Jerzy Stefan Szaniawski, „Słoń”, był Jerzy Sikiński,

„Wiktor”. Chyba jeszcze Stanisław Salach, „Kobuz” albo Zygmunt Szadokierski „Puchacz”. I ja musiałem wskazać... Zawsze jest tak, że szef wskazywał tego, kto ostatecznie strzela. Wybrałem do tej roboty Stasia Gołowicza. Miał pseudonim „Blendas”. Później w powstaniu był ciężko ranny, dostał Virtuti, stracił bardzo młodą żonę. Ale wtedy był jeszcze nieostrzelany. On zresztą przyszedł do nas razem z grupą „Porawy”-Matuszczyka. To byli niedoświadczeni chłopcy...

Gdzie?

Róg Lwowskiej i Koszykowej. Tam jest dziś Wydział Architektury Politechniki, w czasie wojny była Szkoła Techniczna. Wcześniej nasze dziewczyny wyśledziły, że Grabowski mieszka przy Lwowskiej. Była Władka Nowakiewicz, „Mira”. Po Izabelli Horodeckiej, „Teresie”, to ona chyba była najlepsza. To był jej „delikwent”. Nie mieliśmy jego zdjęcia, ale „Mira” mogła go rozpoznać. I ona na tej Lwowskiej dyskretnie tasowała wzrokiem tłum przechodniów. A my czekaliśmy na niego w szkole, kręcąc się to tu, to tam. Czas się dłużył, to potwornie długo trwało... z półtorej godziny. W pewnym momencie postanowiłem, że kończymy na dziś. A może to Tadeusz Towarnicki, „Naprawa”, zdecydował. Nie pamiętam już dziś... Tak, to chyba on.

Trzeba było dać hasło do odwrotu.

„Mira” była na zewnątrz. Chłopcy w tym czasie porozłazili się po budynku. To znaczy stali na schodach na piętrze i jeszcze wyżej. Ja im powiedziałem, że kończymy, bo dziś nic z tego nie będzie. No to schodzimy... Pierwszy wyszedłem na zewnątrz. I w tym momencie, dosłownie zaraz, gdy otworzyłem drzwi, nadziałem się na „Mirę”. Ona krzyknęła: „Idzie tam! Idzie tam!”. Była blisko, tuż przy mnie, ale aż krzyknęła z wrażenia. Głośno! Grabowski rzeczywiście szedł Koszykową w kierunku dzisiejszego placu Konstytucji. I musiał przejść koło tych naszych drzwi. I jak „Mira” krzyknęła: „Idzie tam!” – to on akurat przeszedł koło nas, minął mnie i szedł dalej spokojnie. Ja... nie wiem... Jakoś tak impulsywnie postanowiłem, że kontynuuję... Bez oglądania się na chłopaków. Że to ja go zastrzelę. Ale straciłem kontakt wzrokowy z nim... i gdy podniosłem głowę,

pomyliłem go z kimś innym.

To znaczy?

Nie zdążyłem mu wcześniej zajrzeć w twarz. Wtedy gdy nas mijał. Widziałem tylko sylwetkę z tyłu. I nagle straciłem z nim kontakt, a jak popatrzyłem znowu, to wybrałem innego człowieka. Pobiegłem za nim, bo odszedł może z dziesięć kroków. I wtedy „Mira” zaczęła krzyczeć za mną: „Nie ten! Tamten!”. I mi pokazuje. On wtedy się oczywiście zorientował, że to o niego chodzi, zaczął uciekać. Ja młody byłem, nie te nogi co dziś. Dogoniłem go prędko. W biegu wyciągnąłem pistolet i nacisnąłem spust. Jeden strzał. Próbuję strzelić drugi raz. Nic. Zaciął się. To wyciągnąłem drugi, ten też się zaciął. Stałem na ulicy z dwoma pistoletami!

A ludzie?

Spokój, na początku nikt się nie połapał, o co chodzi. Ale po chwili... to są sekundy... dzieje się coś strasznego. Tuż za mną wyrasta jak spod ziemi granatowy policjant. To był błąd, że postanowiłem zlikwidować człowieka bez chłopaków za plecami. Stoję z tymi pistoletami jak zamurowany i nie wiem, co robić. A ten policjant powoli sięga do swojej kabury i mówi: „Tak to się robi!”.

„Tak to się robi?”. Ale co?

No, chyba strzela.

Ale do kogo?

Chyba do mnie chciał strzelić. Przecież on pilnował porządku.

I już pan nie żyje.

Chłopaki w końcu nadbiegli. Pierwszy wyleciał z drzwi szkoły „Kobuz” albo „Puchacz”. Nie pamiętam... Wyskoczył, zobaczył mnie bezbronnego i policjanta, który szykuje się, aby mnie zastrzelić, po prostu. I wiecie co?

Pociągnął za spust i władował w policjanta cały magazynek?

No właśnie nie! Pokazał mu tylko, że nie jestem sam, że jesteśmy wszędzie i niech nie szarżuje. Wystarczyło. Policjant pogłaskał się po kaburze i rzucił do ucieczki w stronę zieleniaka. Pocieszne.

A Grabowski?

Leżał na chodniku. „Puchacz” pociągnął po nim z maszynowca. Ale ja nie o tym chciałem... Mówiłem o „Blendasie”. Gdy czekaliśmy tam w szkole na Grabowskiego, na to, kiedy się wreszcie pojawi, siedzieliśmy obok siebie i nieumyślnie dotknąłem swoją nogą jego nogi. I poczułem, że jemu ta noga trzęsie się straszliwie... charakterystyczne drżenie... On na mnie spojrzał. Zrozumiał, że to zauważyłem. Zapytałem: „Stasiu, co? Boisz się?”. A on: „Słuchaj, żeby tu był pluton Niemców, to ja bym sam się na nich rzucił. Ale strzelać do człowieka?!”. Słyszę to jego pytanie do dziś: „Strzelać do człowieka?!”. Chodziło mu o to, że wyrok wykonywać...

O to chcemy zapytać. Co innego brać udział w walce, strzelać podczas wymiany ognia jak w powstaniu, a jednak co innego śledzić swoją ofiarę, tropić ją, a potem zastrzelić, często przy świadkach na ulicy. W plecy strzelić. Albo w tył głowy, jak tam na Powiślu pan pierwszy raz strzelał. Czy można się było przyzwyczaić do takich rzeczy?

Nie. I każda „robota” to był oddzielny temat. Każda była zaplanowana. Czy można się przyzwyczaić do zabijania? Myślę, że można dojść do wprawy, ale przyzwyczaić? Nie.

Która pana akcja była najtrudniejsza? Pierwsza?

Najtrudniejsza była na Maryniuka, bo nie mieliśmy prawa wyjść z tej akcji żywi. A pierwsza? Do pierwszej akcji, tej na Powiślu, nie byłem przygotowany. To nie ja miałem strzelać. Dobrze się stało, że nie musiałem się długo szykować, myśleć.

Ale napisał pan w swoich nieopublikowanych wspomnieniach, takie zdanie: „Najtrudniej jest wejść jedną nogą w »przestępstwo«, potem idzie już łatwo”. Kiedy zaczęło panu iść „łatwo”?

Nabiera się wprawy. Wprawy technicznej. Pod tym względem akcje, choć były przygotowywane, były rutynowe. Wielu już dziś nie pamiętam, skleły mi się w jeden ciąg. Często nie odróżniam jednej od drugiej. Pamiętam radość, gdy dorwaliśmy jakiegoś potwornego łobuza. Cieszyłem się, gdy zastrzeliłem Śliwińskiego. To była prawdziwa szumowina. Miałem satysfakcję, że zastrzeliliśmy tego czy innego konfidenta. Wiedzieliśmy, że rozchodzi się fama: nie warto być świnią dla rodaków...

Tak, zawsze pan podkreślał, że nie lubił pan swojej roboty, że zabijanie nie jest miłym zajęciem.

Tak uważałem i tak uważam.

Ale do powstania pracowaliście z „Gilem” „na dwa etaty”, jak sam pan mówi. Choć mieliście kategoriyczny zakaz służby w dwóch oddziałach na raz. „Adrian”, pana dobry znajomy, próbował nawet pracować w trzech oddziałach... Czyli chcieliście strzelać jak najwięcej!

Wywodziliśmy się z Boernerowa. Tu była nasza siedziba, nasz matecznik. Gdy przyszła propozycja pracy w kontrwywiadzie, nie mogliśmy zostawić naszych starych dowódców i kolegów. Stąd praca „na dwa etaty”. Nie z miłości do zabijania!

W „Garłuchu” – sam pan to przyznał – „było fajniej”, bo tam miał pan wolną rękę. Akcje przygotowywał pan sam lub z „Gilem”. Wasz dowódca w 993/W – „Naprawa” – niby o tym nie wiedział, ale kazał sobie wszystko o wykonanej akcji opowiadać. Potem to komentował, zagrzewał, gratulował itd.

Chodziło o to, że lepiej pracuje się w małej grupie aniżeli w jakiejś masie, gdzie

się nawet nie zna wszystkich żołnierzy. To są po prostu niebezpieczne akcje. Ja zawsze wolałem samemu sobie wszystko zaplanować, samemu zorganizować robotę, aniżeli ufać w stu procentach wywiadowczyniom, które zresztą były w swojej robocie świetne. 993/W to był ostatni trybik w dużej maszynie podziemnego wymiaru sprawiedliwości. „Garłuch” był bardziej „improvizowany”...

W połowie 1942 roku w Delegaturze Rządu powstał elaborat pt. **Trzy Warszawy**. To ważna praca dla badaczy postaw mieszkańców stolicy okupowanego kraju. Tekst został przygotowany dla polskich władz w Londynie i dość celnie opisywał jasne i ciemne strony życia społecznego. I tak anonimowy socjolog miasta dzieli mieszkańców na trzy grupy. Według autora 70 procent mieszkańców, czyli zdecydowana większość, to bierni „Kowalscy”, którzy po prostu chcą przeżyć, nie angażując się czynnie w walkę z okupantem. Druga grupa przeciwnie: 25 procent mieszkańców – co czwarty – tworzy Warszawę „heroiczną, podziemną, walczącą”. Jest i trzecia grupa. To „Warszawa haniebna”. Ci, którzy okupacją się nie przejmują i nie tęsknią za starymi czasami. To około 5 procent ludności. Właśnie z tej grupy wywodzą się kolaboranci, renegaci, niebezpieczni zdrajcy i konfidenci. Ilu ich mogło być? Gunnar S. Paulsson, autor pracy *Utajone miasto* na temat ukrywających się w Warszawie Żydów, liczbę samych tylko szmalcowników szacuje na około trzy, cztery tysiące. Jak na prawie milionowe miasto to niby mało, ale każdy z nich stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo dla całych grup! (Proponujemy ćwiczenie: w dzisiejszej, dwukrotnie większej Warszawie jest około 1400 przystanków autobusowych komunikacji miejskiej. Idąc przez centrum głównymi ulicami, trudno nie mieć w zasięgu wzroku choć jednego, prawda? Zamieńmy sobie teraz przystanki na szmalcowników i pomnóżmy przez dwa).

Wydawać by się zatem mogło, że **utworzenie podziemnego sądownictwa**, które bierze w obronę Polaków przed własnymi renegatami, to kwestia czasu. A jednak było nieco inaczej: sądownictwo rzeczywiście szybko powstało, ale po to, by w pierwszej kolejności bronić aparatu państwa podziemnego przed szpiegostwem

i zdradą. Dopiero w drugiej połowie 1942 roku państwo to okrzepło na tyle, by pojawiła się refleksja nad koniecznością obrony samych obywateli, cywilów.

W styczniu 1940 roku szef ZWZ, generał Stefan Rowecki, wysłał rządowi we Francji postulat dotyczący powołania sądownictwa podziemnego. 2 lutego generałowie Sikorski i Sosnkowski zaakceptowali plan. I rząd na uchodźstwie, i struktury krajowe zgadzały się co do jednego: należy karać szpiegów i prowokatorów. Już w maju 1940 roku podstawa prawna organizacji Sądów Kapturowych ZWZ była gotowa (dopiero w listopadzie 1941 roku generał Rowecki przeforsował zmianę tej nazwy, która kojarzyła się Polakom źle). „Biuletyn Informacyjny” w kwietniu 1941 (powtórzyła to za nim „Rzeczpospolita Polska”) na pierwszej stronie wydrukował tekst: „Podajemy do publicznej wiadomości, że czynne są w kraju Sądy Specjalne, których zadaniem jest rozpatrywanie i wyrokowanie w sprawach zdrady i denuncjacji”.

W ciągu kolejnych miesięcy prawnicy podziemia doprecyzowali, na czym będzie polegać to sądownictwo i jakiego rodzaju przestępstwami zajmą się Wojskowe Sądy Specjalne. Już po aresztowaniu „Grota” ostateczna dyrektywa określiła kompetencje WSS-ów jako przeciwdziałanie czynom przestępczym „godzącym w bezpieczeństwo Sił Zbrojnych w Kraju”.

W ciągu czteroletniej działalności WSS-y zbierały się ponad sto razy (w tym wiele razy w nieużywanej sali audiencyjnej przedwojennego Sądu Apelacyjnego w Warszawie), rozpatrzyły dwieście spraw, z czego w co dziesiątej zapadł wyrok uniewinniający, kolejnych 25 procent skończyło się wyrokiem śmierci, a sto spraw zostało „zawieszonych” do czasu uzyskania niepodległości. Jak podał Władysław Sieroszewski, który podczas okupacji pełnił funkcję szefa WSS Okręgu Warszawskiego, ze względu na trudności techniczne na podległym mu obszarze wykonano 60 procent zasądzonych wyroków śmierci. Tylko kilka nie zostało zatwierdzonych i sprawę rozpatrywano powtórnie.

Według ustaleń Andrzeja Krzysztofa Kunerta Wojskowy Sąd Specjalny przy Komendzie Głównej AK wydał od lata 1940 do lipca 1944 roku sto wyroków śmierci, WSS Obszaru Warszawskiego – około stu pięćdziesięciu, a WSS Okręgu Warszawskiego – około stu. Daje to około trzystu pięćdziesięciu wykonanych

w Warszawie i okolicach wyroków śmierci¹².

Ile wyroków wykonano na terenie całego kraju? Zdaniem Leszka Gondka znamy tylko szacunkową liczbę: 2500 wykonanych wyroków WSS-ów i CSS-ów łącznie. W samym okresie od stycznia 1943 do czerwca 1944 zlikwidowano 2015 agentów i konfidentów. W wyliczeniach tych nie uwzględniono okresu powstania warszawskiego (co najmniej 51 zasądzonych wyroków, z czego wykonano 35). Gondek uważa, że zasądzonych wyroków było więcej: od trzech do trzech i pół tysiąca, samych rozpatrywanych spraw zaś około pięciu tysięcy¹³.

Zgodnie z prawem Sąd Kapturowy ZWZ, który z czasem zmienił nazwę na WSS, składał się z prokuratora, sędziego śledczego, obrońcy i składu orzekającego – przewodniczącego i dwóch sędziów. Jeden z nich był profesjonalnym, przedwojennym prawnikiem, drugi – nie musiał. Wszyscy byli członkami ZWZ. Zanim zebrał się sąd, odbywało się dochodzenie „ściśle i bezwzględnie tajnie” oraz zaocznie. Jego wyniki przedkładał prokuratorowi sędzia śledczy; prokurator sporządzał akt oskarżenia albo zwracał materiały do ponownego rozpatrzenia lub opracowania. W razie komplikacji lub większych wątpliwości powoływano biegłego. Ten na sporządzenie ekspertyzy miał czterdzieści osiem godzin. Pośpiech wskazany był z przyczyn oczywistych: na wojnie sytuacja rozwija się dynamicznie i opóźnienia mogły skutkować stratami. Mimo takiego założenia nie zawsze to się udawało. W niezwykle cennych wspomnieniach Anna Rószkiewicz-Litwinowiczowa, sekretarka i główna łączniczka szefa kontrwywiadu KG AK, skarżyła się, że sąd „jak zwykle, załatwiał nasze sprawy opieszale i drobiazgowo”. Dochodziło do tego, że „zagroźeni sami na własną rękę rozprawiali się ze swoimi prześladowcami, nie mogąc doczekać się legalnego załatwienia sprawy”¹⁴.

Czy to oznacza, że wskutek dokładnej pracy WSS-ów i czasu, który potrzebny był do wypełnienia procedur, dochodziło do samosądów legalizowanych potem przez spóźnialskich sędziów? Nie wiadomo. Na pewno były wyroki „prewencyjne”: wysocy oficerowie mogli podejmować decyzje o prewencyjnej likwidacji. Potem raportowali do przełożonych – sprawdzana była zasadność decyzji i ewentualnie odbywał się proces, który legalizował wykonany już wyrok.

Sądy zbierały się w godzinach przedpołudniowych po to, aby nad prawnikami nie ciążył pośpiech wynikający ze zbliżania się godziny policyjnej. Nie znamy ani jednego przypadku wezwania na rozprawę oskarżonego. Rozprawa, wraz z wydaniem wyroku, trwała do trzech godzin. Strony zachowywały się jak w normalnym sądzie: przemawiał oskarżyciel, potem obrońca, sąd wyrabiał sobie opinię. Kolejnym etapem była tajna narada składu orzekającego. Głosowanie, jeśli się odbywało, dotyczyło jedynie winy oskarżonego. Protokołu rozprawy nie sporządzano. Wyrok zapadał większością głosów. Wyrok był prosty: uniewinnienie lub skazanie na śmierć. Nie było odwołania. Wyrok stawał się prawomocny i ostateczny. Wtedy do akcji wkraczały oddziały specjalne. Jednym z nich, powołanym w ramach kontrwywiadu Komendy Głównej, był 993/W. Gdy Leszek Kowalewski, „Twardy”, a po nim Stefan Matuszczyk, „Porawa”, otrzymali taki wyrok, skazany stawał się „delikwentem”. W archiwach zachowały się oryginały wyroków. Przy nazwisku w wielu miejscach widnieje znaczek krzyża, względnie litera V. Oznacza wykonanie wyroku. W żargonie wykonawców: „zrobienie”.

Sądy Cywilne, dbające o bezpieczeństwo obywateli, a nie przede wszystkim „Sił Zbrojnych”, powstały później. Pierwszy wyrok pierwszego, warszawskiego, CSS wykonano 12 stycznia 1943 roku. Dopiero kilka miesięcy potem (czyli rok po wielkiej akcji wysiedleńczej) CSS zaczął wydawać wyroki w sprawie szmalcowników. Pierwszy zapadł 7 lipca 1943. Z ręki wykonawców padł między innymi Jan Łakiński, który w marcu 1944 zdradził miał Niemcom miejsce funkcjonowania bunkra „Kryśia”, w którym ukrywał się z rodziną Emanuel Ringelblum, twórca słynnego żydowskiego archiwum getta. Do lutego 1944 funkcjonowało na terenie całego kraju trzynaście niezależnych CSS-ów, z czego jeden, warszawski, wydał siedemdziesiąt wyroków śmierci (30 procent to przestępstwa wobec ukrywających się Żydów). Stefan Korboński szacował, że do sądów tych wpłynęło od dwóch do kilku tysięcy spraw¹⁵. Trudno to dziś zweryfikować.

Wróćmy do kontrowersyjnej książki Garzdeckiego. Ten wysoki

funkcjonariusz kontrwywiadu wspominał taką sytuację: 1 sierpnia 1942 roku kontrwywiad zlikwidował Józefa Hammera-Baczewskiego. Ten agent Gestapo, podając się za pułkownika przedwojennego Wojska Polskiego, stworzył tajną organizację, do której werbował ludzi podziemia. Prowokacyjna organizacja nosiła nazwę „Nadwywiad”. Likwidacja miała miejsce na Tamce. Garztecki pisze, że brał udział w akcji, był w tak zwanej obstawie zewnętrznej. Stał pod gmachem Konserwatorium przy ulicy Okólnik. Po akcji razem z przyjacielem, Romanem Grodzkim, kolegą z liceum Batorego, oddalili się z miejsca strzelaniny i przyczajeni w jakiejś bramie dzielili się wrażeniami: „»Romek« (znany też pod ksywką »Filon«) z podziwem chwalił celność »Józefa« (tak wówczas nazywaliśmy Stefana Rysia), który wykończył Hammera, strzelając z przeciwległego chodnika ulicy Tamka. Dlaczego strzelał »Józef«, a nie ty czy twoi chłopcy? – zapytałem. – Bo on to bardzo lubi – brzmiała odpowiedź”¹⁶.

Nie, to zdaje się nie Ryś wtedy strzelał. Ryś miał wadę wzroku. Strzelał Leszek Kowalewski, „Twardy”. Garztecki coś konfabuluje. Czy ktoś z nas lubił tę robotę? To jest źle zadane pytanie. Młodzi chłopcy po akcjach przechwalali się, oczywiście, jak i co wykonali, mówili o tym entuzjastycznie, ale w głębi duszy każdy na pewno to przeżywał. Bo co innego, jak się jest w grupie, a co innego, jak się z własnymi myślami zostaje sam na sam.

Psycholog Dave Grossman, który od wielu lat zajmował się tematem zabijania na wojnie, napisał, że „ciężar zabijania jest tak ogromny, że większość ludzi próbuje nie przyznawać się do tego, że ma na sumieniu ludzkie życie”. Grossman wyróżnił kilka faz emocjonalnej reakcji na zabójstwo dokonane podczas wojny: sam akt zabójstwa, uniesienie, potem skrucha, racjonalizacja i akceptacja. Jednak nawet akceptacja tego, co się robiło, nie uwalnia po latach od bólu i wspomnień¹⁷. Miał pan po wojnie złe sny?

Nie.

„Dopiero po wojnie to ze mnie wylazło. Były majaki. Ciągłe mi się śniło, że siedzę na kamieniu, nadchodzi żandarm niemiecki z pistoletem, żeby mnie zastrzelić, a ja nie mogę się ruszyć. Coś mnie paraliżuje. Budziłem się z łomotaniem serca, którego nigdy w rzeczywistości nie miałem” – opowiadał kilka lat temu „Focusowi Historia” pana przyjaciel Ryszard Bielański, „Rom”¹⁸.

Nie, nie. Nie pamiętam swoich snów.

Wacław Zagórski, którego losy krzyżują się jakoś z losami pana i pana kolegów, miał regularnie powtarzający się sen. Śniło mu się, że stoi na ulicy pod murem z podniesionymi do góry rękami, a jeden z trzech żandarmów, którzy go zatrzymali, obmacuje go w poszukiwaniu broni. „W kieszeni od spodni mam rewolwer, ten od »Leona«, z nim się nie rozstaję. Budzę się zlany potem zawsze w tym samym momencie: gdy ręka żandarma wsuwa się już do tej właśnie kieszeni”¹⁹.

Nigdy nie miałem wyrzutów sumienia.

To są chyba dwie różne rzeczy. Sny to podświadomość, wyrzuty sumienia ma się na jawie.

Nie miałem ani tego, ani tego. Nie przypominam sobie. Nigdy żadna akcja mi się nie śniła. Zostaliśmy przygotowani do roboty przez Tadeusza Towarnickiego, „Naprawę”, i Leszka Kowalewskiego, „Twardego”. To byli nasi nauczyciele i przewodnicy. Jak dziś na to patrzę, to myślę, że byłem w nich zapatrzony jak w mistrzów. „Twardy” był spokojny i rzeczowy, koleżeński i brawurowy. Nawet do przesady odważny. Pamiętam, że kiedyś na jakieś spotkanie w naszym lokalu na Elektoralnej przyniósł w torbie pistolety, z piętnaście sztuk. Wszedł do mieszkania, położył torbę. Patrzę, a z torby wystaje lufa parabelki. Zwróciliśmy mu uwagę, że to przecież dość nieostrożnie. A on się roześmiał, że teraz rozumie, dlaczego w tramwaju ludzie się od niego odsuwali. Pamiętam taką akcję przy Karolkowej, róg Krochmalnej. Mieliśmy zastrzelić pewną kobietę.

Kogo?

Nie pamiętam, konfidentkę. To był piątek, wieczór. Czekaliśmy przed kościołem na Karolkowej. Strzelać miał „Jur”, tak zdecydował „Naprawa”, którego zresztą z nami nie było. On przed akcją wyznaczył „Jura”, żeby strzelał. Chodziło o to, by skuteczną akcją wyparł z pamięci tragiczny finał tego, co się zdarzyło przy Chopina. To tam, gdzie się zatrzasnął w mieszkaniu z trupem „delikwenta” i małym dzieckiem. Teraz strzelał do kobiety. Skutecznie. Po akcji ruszyliśmy w trójkę Karolkową do Wolskiej. I w bramie na wprost Karolkowej zobaczyliśmy „Naprawę” i „Twardego”. Stali tam, bo widocznie obserwowali akcję z daleka, żeby upewnić się, czy wszystko gra. Akurat wtedy zagrało. I patrzę, a oni dają nam jakieś dziwne znaki, machają rękoma. I gdy jesteśmy już dosłownie na samym rogu, natykamy się na trzech żandarmów z blachami, z karabinami gotowymi do strzału. Widocznie byli na Wolskiej, gdy usłyszeli strzelaninę, i postanowili sprawdzić, co się dzieje. Rzut oka, patrzę, „Naprawa” i „Twardy” już wyciągnęli pistolety. Żandarmi ich nie widzą, bo patrzą na nas. I, pamiętam to doskonale, poczułem się wtedy tak pewny siebie, mając świadomość obecności naszych szefów, że nawet na chwilę nie straciłem panowania nad sobą. Walę na tych Niemców i zwyczajnie mijam ich jako pierwszy. Nie oglądając się, idę dalej w kierunku Okopowej. Pozostali też spokojnie minęli zdziwionych Niemców.

Przecież oni mogli widzieć z daleka zbiegowisko i trupa.

„Naprawa” i „Twardy” opowiadali nam potem, że żandarmi odwrócili się za nami i patrzyli, ale nie zareagowali. Mogli nas wylegitymować, mogli nawet otworzyć ogień. Mogli zrobić cokolwiek. Ale pogadali tylko między sobą i ruszyli w kierunku kościoła. I to wydarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, że jeśli jest z nami „Naprawa” albo „Twardy”, to nam nigdy nic się nie stanie. Że w takim składzie – chłopcy z patrolu i nasi dwaj dowódcy – jesteśmy nie do zatrzymania. Jakby nieśmiertelni. I chyba to spowodowało, ta świadomość absolutnej pewności siebie, że na akcję chodziłem bez jakiegoś przesadnego strachu.

I dlatego nie miał pan nigdy koszmarnych snów?

Nie wiem, być może. Ja tak po prostu czułem. Ale rozumiem Bielańskiego. Bo gdy Bielański i reszta chłopaków dołączyli do 993/W w połowie 1943 roku, to my, czyli „Ptaki”, byliśmy już ostrzelani, zgrani i po prostu pewni siebie. Mieliśmy na koncie wiele akcji. Ja przecież „Andrzejewskiego”, ojca znanej aktorki Magdaleny Zawadzkiej, wybitnego żołnierza, uczyłem z visa strzelać. On był starszy od nas. My dla reszty oddziału to byliśmy twarde zakapiory...

„To te gówniarzyki, szczeniaki, młodziaki, piętnastoletnie pętaczyny, to ci gieroje?” W 1943 roku miał pan osiemnaście lat.

Ale z bronią w ręku cały czas od roku. Nawet półtora. To dużo w warunkach okupacji. Traktowaliśmy naszych kolegów z oddziału... po przyjacielsku, oczywiście, ale jeszcze jako niedoświadczonych dzieciaków. Dla nas ta robota to był chleb powszedni, dla nich nadal to było szokujące. Może stąd te ich sny.

To jeszcze jeden cytat, tym razem pochodzący od pana przyjaciółki: „Powiem uczciwie, że gdybym dzisiaj miała wybierać, z moją wiedzą, to wolałabym kolportaż. Obcowanie ze śmiercią pozostawiło ślady”²⁰ – powiedziała wywiadowczyni i łączniczka Danuta Hibner. Gdyby można było cofnąć czas, czy zdecydowałby się pan na ten rodzaj służby jeszcze raz?

Tak. Zdecydowanie. Gdybym mógł cofnąć czas, robiłbym to samo. Bo to jest tak: myśmy nie bardzo wierzyli, że możemy z tego wyjść, że możemy przeżyć wojnę, tej pewności nie było, choć chcieliśmy żyć. A ja robiłem coś, co było konieczne. Brałem udział w likwidacjach, ale z absolutną pewnością, że ta robota jest potrzebna i jest konieczna. Że trzeba to robić. Że ktoś musi! I jest jeszcze jedna sprawa. To ważne: ja zostałem ranny dopiero w Kampinosie, w bitwie pod Jaktorowem, czyli po powstaniu. Pamiętajcie, że Danką strzelała do ludzi w akcji „Za Kotarą” i została ranna. Ciężko ranna w rękę. To pozostawiło ślad w jej psychice. Moim zdaniem, żołnierze, którzy zostali ranni, nie byli już tymi samymi żołnierzami. Zmieniali się. Unikali już pewnych sytuacji, nie pchali się tak jak inni. Nie ma się co dziwić. Na przykład Staś Gołowicz, doskonały żołnierz, w czasie powstania został dwukrotnie ranny. Na Woli ranął go pocisk artyleryjski.

Walący się gruz pocharatał mu twarz. Drugi raz na Muranowskiej goliat wjechał w bramę domu, w którym on się ukrył. Goliat eksplodował właśnie w tej bramie, pod nimi. Tam, gdzie stał Gołowicz, dom się zawalił. Ale zanim runęła ściana, podmuch wyrzucił Stasia przez okno. Poleciał ze dwadzieścia pięć metrów. Przeżył, ale był poważnie ranny. Czy po takim zdarzeniu można wrócić do równowagi? Poza tym Niemcy rozstrzelali rodzinę żony Stasia. I żonę też, a przecież oni się pobrali dosłownie na chwilę przed powstaniem. Mówię to, bo ciężko ranni inaczej potem patrzą na swoje przeżycia. Mnie aż takie koszmary ominęły.

W wielu powojennych wspomnieniach mowa jest o likwidacjach, które zawsze poprzedzało przeczytanie wyroku. I na filmach też to widać. Był czas na czytanie całej sentencji: „W imieniu Rzeczypospolitej...”?

Nie, nie przypominam sobie. Ani razu. To jest tylko legenda.

Przecież Stefan Korboński nawet zatytułował swoją książkę: *W imieniu Rzeczypospolitej...*

Nigdy nie było nawet takiego polecenia, żebyśmy skazanym na śmierć czytali sentencję wyroku Sądu Wojskowego czy Cywilnego. Nie było ani czasu, ani możliwości... Żadnego czytania wyroków nie było. Była taka jedna sytuacja, rzeczywiście, ale nie czytaliśmy wyroku „delikwentowi”, tylko wytłumaczyliśmy jego żonie, że wykonujemy wyrok w imieniu Rzeczypospolitej... To było wiosną 1944 roku. To była dziwna, nietypowa akcja. Poszedłem tylko z „Naprawą”.

Tylko we dwóch? Wbrew zasadom.

Wezwał mnie „Naprawa”. Tradycyjnie, do naszego zakonspirowanego lokalu na Elektorальной 7. Mieli przyjść inni, ale jakoś tak się stało, że ich nie było. Przychodzę i „Naprawa” mówi: „Chodź, idziemy, tu masz pistolet”. Zapamiętałem, bo po raz pierwszy dostałem pistolet z tłumikiem. Naprawa też taki miał. Pojechaliśmy na Sadybę, chyba na ulicę Okrężną. „Co mamy robić?” – pytam. „Zastrzelimy jednego drania” – powiedział „Naprawa”. Dojechaliśmy

i wchodzimy do willi niby jako funkcjonariusze Kripo. W środku jest mężczyzna, jego żona i dwoje dzieci. Siedem i dwanaście lat. Pamiętam ich wystraszone twarze.

Wiedział pan, o co jest oskarżony ten człowiek?

Nie! A widzę te wystraszone dzieci. Dwóch obcych mężczyzn pakuje im się do mieszkania... Tadeusz wziął tego mężczyznę pod broń do piwnicy. Ja zostałem z jego żoną na górze, zaczęliśmy rozmawiać. Ona trochę się uspokoiła, bo rozmawialiśmy przyjaźnie, żadnych wrzasków, gestapo czy policja przecież krzyczała, biła... I ona mi powiedziała, że w jej rodzinie była jakaś wsypa, że niedawno byli tu gestapowcy... Aresztowali ciotecznego brata, kogoś ze strony ojca... „Naprawy” długo już nie ma, mijają minuty, nic się nie dzieje. Nagle słyszę strzał. Potem drugi. Strzały nie były głośne, ale słyszeliśmy je. Ona się poderwała, to nią wstrząsnęło. Po pięciu minutach „Naprawa” wrócił z piwnicy, już bez głównego lokatora. Żona się zorientowała, że przyszliśmy zabić jej męża.

Nie krzyczała, nie wzywała pomocy?

Wszystko było dziwne. Pamiętam, że rozmawiałem z nią przyjaźnie, czułem, że szukała jakby we mnie oparcia. „Naprawa” wchodzi i od razu zwracam się do niego, melduję to, czego się dowiedziałem: „Panie poruczniku, okazuje się, że w tej rodzinie była wpadka, tu byli gestapowcy”. I wtedy „Naprawa” zwrócił się bezpośrednio do niej: „Proszę pani, czy pani wie, kto wsypał waszą rodzinę?”. „Nie, skąd, co to znaczy »wsypać«”? „On, ten drań, był konfidentem, proszę pani, on wsypał” – powiedział.

Co ona na to?

Oczy jej się otwierają, widzę, że coś zaczyna kojarzyć, jakby sięgała pamięcią. Coś w końcu skojarzyła, za głowę się złapała. Pyta: „Gdzie on teraz jest?”. „Naprawa”: „Zastrzeliłem go, jest w piwnicy”. I wtedy wyjaśnił tej kobiecie, że przyszliśmy wykonać wyrok w imieniu Polski Podziemnej.

Wymówił tę formułę? I powiedział całą sentencję?

Nie pamiętam. Zapamiętałem co innego. Gdy tylko dotarło do niej, że mąż nie żyje, że przed chwilą został zastrzelony, krzyknęła: „Boże, za co ja go pochowam?!”. Mieliśmy się już wycofać, ale przypomniałem sobie, że mam przecież żołd dla chłopaków, to już był okres, gdy jako żołnierze kontrwywiadu dostawaliśmy pieniądze, Tadeusz wręczył mi pulę dla mnie i dla chłopaków z mojego patrolu. Całomiesięczny żołd. Miałem te pieniądze przy sobie i jakoś tak, nie namyślając się, wyciągnąłem i jej dałem. To była duża kwota. Ze trzy pensje. Wzięła. Na koniec okazało się, że będę za to postawiony do raportu. Bo zachowałem się nieregulaminowo.

„Sprzeniewierzył” pan pieniądze. Kupił pan sobie spokój sumienia za pieniądze kumpli?

Niczego nie kupowałem. Spotkanie z przełożonymi się odbyło. „Oskar” Zakrzewski dał mi naganę. Jakiś czas potem Stefan Ryś, „Józef”, wziął mnie na stronę i powiedział: „My nie jesteśmy instytucją charytatywną”. Użył takiego sformułowania. A finał tej sprawy był taki, że wypłacili mi ponownie żołd i mogłem chłopakom oddać pieniądze. Aha, a potem okazało się, że w tym domu, w którym wykonaliśmy wyrok na konfidencie, mieszkał właśnie Ryś. Wynajmował mieszkanie. Może stąd wiedział wcześniej, jak się sprawy mają z tym mężczyzną.

Czyli idąc na tę akcję, nie mieliście pisemnego wyroku?

Nie, nigdy, żadnych kartek. Na akcję szło się bez dokumentów i bez żadnych papierów. To było niebezpieczne. Jakieś odczytywanie wyroków na filmach to śmieszne. W razie wsypy taki dokument to przecież „wyrok śmierci” na siebie samego. To może dobrze wygląda na filmie. Tak naprawdę nigdy nie było na to czasu, zresztą nie można było z „delikwentem” wdawać się w jakieś polemiki. Pamiętajcie, że my wykonywaliśmy wyroki, wierzyliśmy w cały system sprawiedliwości, wierzyliśmy naszym zwierzchnikom, byliśmy trybami maszyny

sprawiedliwości. Sądownictwa Polski Podziemnej. I ja żadnego papieru nie potrzebowałem.

Jak pan wytłumaczy to, że mieliście pełne ręce roboty? Że było tak wielu konfidentów, zdrajców, zwykłych degeneratów, którzy – gdy pojawiły się takie warunki – zatracili się w robieniu świństw.

Nigdy takich nie brakowało. Nawet wśród AK-owców byli zdrajcy i szumowiny. Z czego to wynika? Nie wiem. Naród jest podatny. Z drugiej strony – pamiętajcie – konfidenti współpracowali z okupantem albo dla pieniędzy, albo z powodu szantażu, groźby. To ich nie tłumaczy, ale to też jest przyczyna.

W 2011 roku Władysław Bartoszewski wywołał medialną burzę po tym, jak powiedział w wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Die Welt”, że jeśli już ktoś się bał w czasie okupacji, to nie Niemców: „Gdy niemiecki oficer zobaczył mnie na ulicy i nie miał rozkazu aresztowania, nie musiałem się go obawiać. Ale gdy sąsiad Polak zauważył, że kupiłem więcej chleba niż normalnie, wtedy musiałem się bać”²¹.

Mnie takie słowa nie dziwią.

Potem profesor Bartoszewski wyjaśnił, że chciał przedstawić tylko pewien mechanizm działania. „Cywilni donosiciele stanowili dużo większe zagrożenie, bo nie można się było przed nimi obronić. Bałem się takich zdrajców” – mówił. Przeraza książka *Szanowny panie gistapo* Barbary Engelking – donosy zwykłych ludzi na zwykłych ludzi...

Każdy z nas bał się zdrajców. Oni potrafili czynić wiele zła. Demoralizowali, wojna, to czas, kiedy wylazą złe cechy z ludzi. Ale te dobre też. Co mam powiedzieć?

Na wielu zdjęciach pan i pana koledzy i koleżanki z 993/W jesteście razem: dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat po wojnie. Dziś nadal trzymacie się razem. Tworzyliście i chyba nadal tworzycie dość zamkniętą grupę.

No dzisiaj większość nie żyje. Ale to było normalne. Najpierw praca w kontrwywiadzie, potem powstanie, wielu z nas przeszło do Kampinosu. Potem partyzantka albo niewola. W 1946 i 1947 roku ludzie zaczęli wracać z Zachodu, na przykład Zawadzki wrócił z Londynu, od generała Maczka w 1947 roku. Znowu dużą grupą byliśmy razem, wielu ocalało, większość. Zaczęliśmy się spotykać. I powstał taki zwyczaj, że zawsze spędzamy razem Wigilię. Oczywiście nie 24 grudnia, bo wtedy z rodzinami, ale pierwszy dzień świąt. Co roku.

„Rom” cytuje Tadeusza Towarnickiego: „»Naprawa« mawiał, [że] po wojnie moglibyśmy założyć klub katów. Była to robota nieprzyjemna, wstrętna, chociaż – z czego zdawaliśmy sobie sprawę – konieczna”. No to założyliście ten klub...

Bez „Naprawy”, który, niestety, nie doczekał. Ale tak o sobie nie myśleliśmy. Pierwszy zjazd był w 1947 roku naprzeciwko starego dworca, w Alejach Jerozolimskich. Wtedy pojawiło się już czterdzieści kilka osób! Ten pierwszy zjazd zorganizowała Zosia Rusecka. Oficjalnie wystarała się o zgodę Urzędu Bezpieczeństwa, że organizujemy spotkanie opłatkowe, że nie będziemy knuć, tylko chcemy się spotkać i powspominać towarzyszy broni. I dostała taką zgodę na piśmie, a my dostaliśmy oficjalnego opiekuna od UB, który zresztą był w tej knajpie.

Łamał się opłatkami?

Nie. Siedział w kącie. A potem Zosia pół roku przesiedziała w więzieniu za to spotkanie! Jednak dla nich to było „knucie”. Już trwała nagonka na AK-owców. Wystarczył pretekst. Potem wsadzili „Porawę”, a potem Zakrzewskiego i Rysia. Mieli procesy. Dostali duże wyroki. Potem było odprężenie w 1956. A potem, za Gomułki, znowu przykręcili śrubę. Najgorzej było za Moczara. Został wiceministrem spraw wewnętrznych właśnie w 1956 roku. Skurczybyk. Potem był już ministrem i wtedy było jeszcze gorzej. Znowu zaczęły się problemy z UB. Ja wcześniej nie siedziałem, ale za Moczara to mi życie uprzykrzali, jak mogli.

W 1980 roku wybuchła Solidarność, a pana środowisko nadal żyło jakby w ukryciu. Nawet po 1989 jakoś niespecjalnie chwaliliście się służbą w 993/W. Swoje prace publikowali Cezary Chlebowski, potem Jacek Wilamowski, wreszcie Juliusz Kulesza i Robert Bielecki, ale tylko Izabella Horodecka i Ryszard Bielański zdecydowali się opublikować własne wspomnienia. „Porawa” się wycofał, mimo że tekst wspomnień był gotowy, cytujemy go w książce wiele razy. Czytaliśmy również gotowe wspomnienia Bernarda Zakrzewskiego – również nikt ich do dziś nie opublikował. Nie chcieliście o tym mówić ani pisać. Strach przed osądem, opinią publiczną? Nie chcieliście, żeby ktoś powiedział o was „klub katów”?

A to z zasady chyba w tej branży nie gada się za dużo. Taka specyfika. Przecież nawet w czasie powstania, gdy dołączyliśmy do innych oddziałów, gdy... wyszliśmy z podziemia, głębokiej konspiracji, to nie rozmawialiśmy za dużo o tym, co się działo w poprzednich latach. Może ktoś komuś coś na ucho... Ale żeby się chwalić? Skąd! Nawet po wojnie, w środowisku AK-owców jakoś specjalnie nie rozmawialiśmy o dokonaniach. Kiedyś w czasie jakiejś uroczystości AK-owskiej podszedł do mnie mój znajomy, cichociemny, dzielny człowiek, Stefan Bałuk, „Kubuś”, wielka postać. Podszedł i mówi: „i wyście tak mogli? Można tak podejść do kogoś i strzelić mu w głowę?”. Tłumaczyłem mu, że to nie jest łatwe. „Tym bardziej – mówię – że czułem się katolikiem. Ale można do tego jakoś przywyknąć, tylko pod warunkiem że ma się doskonałych dowódców-przyjaciół, którzy nie zostawiają cię z tą cudzą śmiercią samego”. Jak rozmawialiśmy, „Kubuś” już był generałem.

Dowódcy poszli w PRL-u siedzieć, jedno nieuważne wspomnienie „na głos” i można było do nich dołączyć?

No tak. Co innego nasze akcje w Boernerowie, które wykonywaliśmy w małej grupce, sami wszystko planowaliśmy. W kontrwywiadzie tak nie było. Nie wiedziałem do kogo strzelam, był wyrok, wierzyłem, że słuszny, i tyle. Występowałem w imieniu Państwa Polskiego. Tak jak różne służby dziś działają. My akurat, czyli „Ptaki”, mieliśmy „Naprawę”. On nam dość dokładnie mówił, za

co tropimy delikwenta. Ale inni nasi koledzy z 993/W już takiego luksusu nie mieli – nie wiedzieli, za co likwidują. To po co o tym mówić za dużo? A między sobą też jakoś nie było dużo rozmów na te tematy. A w oddziale wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli. No i jeszcze inna rzecz: „Bąki” i „Ptaki” to były pierwsze patrole w 993/W. Potem, po śmierci Kowalewskiego, szefem został „Porawa”. On przyprowadził własnych ludzi, wtedy jeszcze nieostrzelanych, zielonych zupełnie, trzeba ich było doszkalać... „Rom”, gdy nas spotkał pierwszy raz, to naprawdę traktował nas jak jakąś legendę! Jak zakapiorów!

I nie zgadzało mu się to z tą pańską dziecięcą buzią... W swojej książce *Prawie życiorys* Bielański zapisał wstrząsające wydarzenie. To było już po powstaniu, w czasie partyzantki w okolicach Opatowa: „Podchorąży »Ali« przed wyjazdem na akcję pożyczył ode mnie visa. Po powrocie opowiadał: »Dąbrowa« zastrzelił zdrajcę, jego żonę trafił w szyję, dwukrotnie strzelał do ich kilkuletniego syna, miał jednak dwa niewypały i darował mu życie. Jaki udział w zdradzie męża miała kobieta, nie umiem powiedzieć, nie badałem sprawy. Ale co miał do tego chłopak, nie rozumiem. »Ali« twierdził – należy wykorzenić gniazdo zdrajcy. Nie podzielam tego zdania. Nie potępiam też »Alego«. To nie były normalne czasy”²².

„Dąbrowa” to Zygmunt Koc, zastępca „Doliny”. Ale wam pewnie chodzi o te słowa: „gniazdo zdrajcy”. Ja się z tym nie zgadzam. Nigdy tak nie było, abyśmy zastrzelili zdrajcę i przy okazji jeszcze kogoś z jego otoczenia tylko dlatego, że to jego rodzina. Zawsze dostawaliśmy rozkaz: likwidować tego z wyrokiem. Nie ma czegoś takiego jak „gniazdo zdrajcy”. Żeby je wykorzenić. Zawsze będę to powtarzał: wyroki dotyczyły konkretnych przestępców. Jeśli stało się coś takiego, o czym napisał „Rom”, to znaczy, że doszło do degeneracji. Mówiłem wam o akcji na prezesa Komitetu Ukraińskiego Mychajłę Pohotowkę na ulicy Kopernika?

Nie, tylko pan wspomniał, „bo to nie pan strzelał”.

Pierwszy raz występowałem wtedy w mundurze niemieckim. Jan Wojda,

„Norwid”, mi przerabiał w pracowni na Tamce. Przebrałem się u niego, bo miałem stamtąd blisko do Komitetu. A ten Komitet zajmował się werbowaniem do dywizji SS „Galizien” i integrował warszawskich Ukraińców, których było w czasie okupacji sporo. Pohotowka i jego zastępca Doroszenko dostali wyrok. To było 14 lutego 1944 roku, „Bomir”, bo mówił po rosyjsku, i ja, który po rosyjsku i niemiecku ni w ząb, zapukaliśmy do mieszkania Pohotowki. Mieszkał w tym samym budynku, w którym był Komitet. Było rano, otworzyła nam żona. Starsza pani. Nie zwolniła jednak drzwi z łańcucha. Ale taki łańcuch to przecież nie jest przeszkoda. Mieliśmy wtedy granaty, mogliśmy je wrzucić do środka i tyle. Drzwi wyrzuciłoby z futryną. Pewnie ona by zginęła, a my w mieszkaniu wykończylibyśmy Pohotówkę. Nie zrobiliśmy tego. Ona zaczęła nas opieprzać, bo pomyślała, że jesteśmy podwładnymi jej męża, kazała nam iść do biura, a nie dobijać się do mieszkania. Pech chciał, że Tadeusz Szoll, „Kołoda”, za wcześniej przeciął kabel telefoniczny. A miał poczekać, aż zaczniemy. Zrozumiał jednak, że skoro żona Pohotowki otworzyła nam drzwi, to zaczęliśmy. A my nie, dopiero rozmawialiśmy. Ukraińcy zobaczyli faceta przecinającego kable, sprawdzili, że telefony nie działają, domyślili się, że coś się dzieje niepokojącego, i podnieśli alarm. „Naprawa” odwołał akcję, bo zrobiło się niebezpiecznie. Ukraińcy byli czujni. „Kołoda” to zepsuł. Ale mówię o tym, bo mogliśmy wrzucić granaty i „wykorzenić gniazdo zdrajcy”. Ale tak się nie robiło! Wyrok był na jednego człowieka! Pohotówkę wykończył potem patrol Bąków za drugim podejściem. Gdy tę akcję „Porawa” oddał Bąkom, to – pamiętam – czuliśmy się poniżeni. Jak nam coś nie wyszło, to Bąkowie się cieszyli, bo wtedy oni musieli się tym zająć.

„Rom” pisze też: „Nasze życie było warte tyle, ile wart był nabój, ale cudze życie nie więcej, a życie zdrajcy szczególnie. [...] człowiek na wojnie dziczeje. Cywilizacja ustępuje barbarzyństwu, humanitaryzm – bezwzględności i okrucieństwu”²³.

A to się zgadza. Znam ludzi, którzy żyją do dziś i nie mogą się otrząsnąć z tego, co przeżyli. Po siedemdziesięciu latach! Strzelanie to nie jest bach! bach! Strzelanie do ludzi.

To już ostatni cytat z „Roma”: „W czasie Powstania ze zgrozą usłyszałem od jednego z rówieśników, bodajże z »Parasola«: »my jesteśmy polskie SS...«”²⁴. Chłopak miał to powiedzieć z dumą lub podziwem albo o sobie, to znaczy o „Parasolu”, albo o wykonawcach, gdy się dowiedział, z jakiego oddziału jest „Rom”.

„Polskie SS”?! Jak gówniarzowi mogło to przez gardło przejść?

¹ Ryszard Bielański, *Prawie życiorys 1939–1956*, Warszawa 1986, s. 47.

² Tamże.

³ Tamże, s. 48.

⁴ Informacja pochodzi od Andrzeja Gassa, dziennikarza zajmującego się tematyką historyczną, dokumentalisty, który rozmawiał o przesłuchiowaniu agenta z Andrzejem Zawadzkiem, „Andrzejewskim”.

⁵ W. Bułhak, *Raport szefa Oddziału II KG AK ppłk. dypl. Mariana Drobika „Bieżąca polityka polska a rzeczywistość” i sprawa jego aresztowania (listopad–grudzień 1943)*, w: *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, red. W. Bułhak, Warszawa 2008, s. 46.

⁶ <http://tvnwarszawa.tvn24.pl/informacje,news,skrytka-z-ukrytym-raportem-trafila-do-muzeum-powstania-warszawskiego,104726.html>.

⁷ Stefan Dąmbski, *Egzekutor*, Warszawa 2010, s. 23.

⁸ Cyt. za: Adam Basak, *Kwestia ukarania zbrodni niemieckich na łamach „Biuletynu Informacyjnego” Armii Krajowej 1940–1945*, „Acta Universitatis Wratislaviensis”, Historia, t. XXXVI, 1981, nr 543, s. 61–62.

⁹ Tamże.

¹⁰ Juliusz „Wilczur”-Garztecki, *Armia Krajowa i nie tylko. Za i przeciw. Opowieści oficera kontrwywiadu*, Wrocław 2006. („Wilczur” był zastępcą szefa Referatu Politycznego Kontrwywiadu Komendy Głównej AK o kryptonimie „Sonda”, nr rejestracyjny 994/B).

¹¹ Leszek Gondek w książce *Polska karząca 1939–1945. Polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej*, Warszawa 1988, na s. 122 podaje: „Grabowski Henryk Ksawery Franciszek (ur. koło 1884 r.), arystokrata, agent Gestapo, werbownik, szantażysta, oszust. Utrzymywał, że jest pułkownikiem WP z Tarnowskich Gór. Dostał od Niemców m.in. koncesję na handel złotem, a oficjalnie występował jako handlowiec utrzymujący się z administrowania domem. Kara śmierci z 20

lipca 1944 r, zastrzelony przewencyjnie przed rozprawą sądową”.

¹² Andrzej Krzysztof Kunert, *Wojskowe sądownictwo specjalne ZWZ-AK 1940–1944*, „Więź” nr 2/1981, s. 106–124.

¹³ L. Gondek, *Polska karząca...*, dz. cyt., s. 114.

¹⁴ Anna Rószkiewicz-Litwinowiczowa, *Trudne decyzje. Kontrwywiad Okręgu Warszawa AK 1943–1944*, Warszawa 1991, s. 38.

¹⁵ Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej...*, Warszawa 1991, s. 108–109.

¹⁶ J. „Wilczur”-Garztecki, *Armia Krajowa...*, dz. cyt., s. 119; istnieją różne sprawozdania i opisy historyczne dotyczące wykonania wyroku na Hammerze. Podawane są różne miejsca i różne daty. Związły przegląd wersji zob. R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 30–37.

¹⁷ Dave Grossman, *O zabijaniu. Psychologiczny koszt kształtowania gotowości do zabijania w czasie wojny i pokoju*, Warszawa 2010, s. 153.

¹⁸ Adam Węglowski, *Jedenaste: zabijaj!*, „Focus Historia”, nr 1/2011, s. 30–33.

¹⁹ W. Zagórski, *Wolność w niewoli*, dz. cyt., s. 242.

²⁰ Danuta Hibner, „Nina”, relacja AHM MPW; http://ahm.1944.pl/Danuta_Hibner.

²¹ <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Prof-Bartoszewski-nie-powiedzialem-nic-niewlasciwego,wid,13181378,wiadomosc.html> .

²² R. Bielański, *Prawie życiorys...*, s. 121.

²³ Tamże, s. 121.

²⁴ Tamże, s. 121, 122. „Rom” komentował dalej wypowiedź chłopca z „Parasola”: „Dzisiaj, po przeszło czterdziestu latach od opisywanych wypadków, mamy inny osąd, inne spojrzenie. Wtedy jednak nienawiść nas zaślepiła. Szczególnie wobec zdrajców”.

Rozdział 14

Trucizna

Jak ujął to Jan Karski (a przytoczył Jan Nowak-Jeziorański), misja zrzuconego na spadochronie do Polski Józefa Retingera polegała na przekazaniu krajowi smutnej rady: „jak mamy tę wojnę przegrać”. Bo w 1944 roku wojna była już dla Polski przegrana. Oczywiście, nie chodziło o Hitlera, ten już bankrutował ze swoją szaloną ideą tysiącletniej Rzeszy. Chodziło o nadciągającą Armię Czerwoną i nową okupację. Polska już przegrała, ale w kraju nikt tego nie wiedział, a jak wiedział – nie przyjmował do wiadomości. Najstarszy wiekiem cichociemny (Retinger w chwili skoku miał pięćdziesiąt sześć lat) właśnie tę smutną prawdę zamierzał polskim elitom przedstawić i wytłumaczyć. Albo – jak chce Tadeusz Kochanowicz, pracownik polskiej rozgłośni radiowej nadającej w czasie wojny z Londynu – „pozbawić warszawskie elity szkodliwych złudzeń”¹. To była trudna misja.

Józef Hieronim Retinger jest jedną z najbardziej tajemniczych postaci polityki XX wieku. Kim był człowiek, który do gabinetu Churchilla wchodził bez pukania? Kim był człowiek, za którym ciągnęła się legenda szpiega i agenta nawet czterech wywiadów? Człowiek, do którego jak ulał pasowało określenie: „Żyd, mason i cyklista”? (W dodatku, według plotek krążących po Londynie, homoseksualista...) Kim był człowiek, o którym Jan Karski w wywiadzie-rzece Macieja Wierzyńskiego mówił tak sugestywnie, że nawet dziś robi to wrażenie? A opowieść ta dotyczyła spotkania, do którego doszło po przyjeździe Karskiego do Londynu. Emisariusz wiedział, jak wygląda Zagłada, na własne oczy widział, co dzieje się w getcie, co w obozie przeładunkowym w Izbicy, gdzie wkradł się w mundurze wroga, jak tragiczna jest sytuacja Żydów – postanowił o tym złożyć raport premierowi Wielkiej Brytanii osobiście. Na spotkaniu, które zaaranżował właśnie Retinger, kurier poprosił o widzenie z Churchilllem ministra spraw zagranicznych

Królestwa, Anthony'ego Edena. Gdy już wyszli z jego gabinetu, stała się według Karskiego rzecz dziwna: „Retinger [...] zaczyna najbrutalniejszymi słowami mi urągać. Używał brzydkich wyrazów, których ja nawet nie chcę powtarzać. [Retinger:] Z głupcami nie chce mieć do czynienia. Czy on mi nie powiedział, że do Churchilla nie należy się pchać? Churchill by mnie wezwał, a co ja zrobiłem? Przecież teraz Eden, żeby ratować twarz, nawet jeżeli Churchill zechce mnie widzieć, musi mu powiedzieć, że nie warto widzieć tego człowieka. Zmarnowałem szansę. Jutro powie generałowi, że on nie ma czasu dla głupców. Pamiętam, złapałem go za rękę:

– Panie doktorze, niech pan mnie nie opuszcza.

On machnął pogardliwie ręką i poszedł beze mnie do samochodu. Zostawił mnie na ulicy. Wracałem do domu zrozpaczony. Bez Retingera byłem bezsilny”².

Pisarz, polityk, doradca premierów Sikorskiego i Mikołajczyka. Gorący orędownik zjednoczenia Europy po II wojnie światowej. **Józef Hieronim Retinger** (1888–1960) studiował na Sorbonie. W 1917 roku w trakcie rewolucji meksykańskiej doradzał prezydentowi Plutarcowi Eliasowi Callesowi. Miał niebywały dar zjednywania sobie ludzi. Przyjaźnił się z Józefem Conradem, Maurice'em Ravelem i późniejszym pierwszym prezydentem Izraela Chaimem Weizmannem.

Po klęsce Francji w 1940 roku wymógł na premierze Churchillu ewakuację generała Sikorskiego do Anglii. Stał się prawą ręką generała. Ponieważ nie towarzyszył mu w ostatniej podróży, oskarżano go, że jako brytyjski agent wiedział o „zamachu”. Był najstarszym wiekiem cichociemnym zrzuconym do Polski.

Po wojnie zaangażował się w zacieśnianie współpracy krajów demokratycznych oraz był orędownikiem silnych więzi transatlantyckich. W 1954 roku w holenderskim Arnhem zorganizował spotkanie światowych przywódców. Spotkanie ponad setki koronowanych głów, prezydentów, magnatów przemysłowych i intelektualistów – od nazwy hotelu – określa się mianem Klubu Bilderberg. Odbywa się co roku do dziś. Retinger aż do śmierci był jego sekretarzem. W 1958 roku nominowano go do Pokojowej Nagrody Nobla. Nigdy

nie przyjął żadnego polskiego odznaczenia.

Czy Retinger był w czasie wojny naprawdę tak ważny, prawie wszechmocny? To zapewne duża przesada, ale rzeczywiście na salonach władzy poruszał się z gracją i pewnością siebie. Na pewno rozumiał, jak fatalna była sytuacja Polski w 1944 roku. Znał ustalenia konferencji w Teheranie. Zdawał sobie sprawę, że powrót Polski do granic obejmujących Lwów i Wilno jest już niemożliwy. Ale choć Polska poniosła porażkę, może da się coś jeszcze ugrać.

I właśnie w tej sprawie Retinger w kwietniu 1944 roku został zrzucony do Polski. Miał pewnie jeszcze kilka innych zleceń. Do tego zapewne własny plan. Historycy od lat spierają się właśnie o to, z czym i w jakim charakterze znalazł się w Polsce. (Na marginesie: skakał zupełnie bez przeszkolenia spadochronowego. Po prostu wyskoczył z samolotu, licząc, że jakoś to będzie. Cierpiał na kurzą ślepotę, czyli nawet nie wiedział, kiedy uderzy o ziemię. Ale mu się udało).

„Pomarszczone, wielbłądzie oblicze staruszka nie zdradzało żadnego strachu ani krzty zdenerwowania, tylko jakąś skupioną dzieciinną ciekawość, zaprawioną sporą dozą zniecierpliwienia” – pisał o sekundach przed skokiem Tadeusz Chciuk, towarzysz Retingera w misji do Polski³. To właśnie on zostawił fascynujący opis zarówno „kociaka”, jak mówili żołnierze o cywilnych cichociemnych, jak i przebiegu całej awanturniczej wyprawy Retingera. Ten towarzysz Retingera, jego opiekun i – jak się potem okazało – wybawca, długo próbował znaleźć klucz do jego osoby. I chyba jemu pierwszemu częściowo się to udało: „JHR ma w sobie chyba bardzo wiele z Zagłoby. Różnice są, owszem: szczupły, bez wąsów, szabłą nie umie robić i na koniu go sobie trudno wyobrazić. Ale podobieństwa są o wiele większe: wygadany, jak i tamten, na wszystko ma odpowiedź, lubi koloryzować i chwali się na potęgę, wódki za kołnierz nie wylewa”⁴ – pisał z dużą dozą sympatii.

Chciuk dostrzegał również wady swojego podopiecznego. Choćby to, że niezgrabny Retinger to zafascynowany swoim wyglądem narcyz i egotyk: „[...] dumny był ze swoich rąk i widoczne było, że lubił, by je podziwiano. Wskazywał na to choćby sposób trzymania papierosa czy podawania ręki. Pamiętam, jak się uśmiełem, kiedy już po wielu miesiącach naszej zażyłej znajomości zrobił mi raz na poły wesołą, na poły poważną

awanturę, że nigdy jeszcze nie zachwycałem się na głos jego rękami”⁵.

Retinger wylądował pod Warszawą w nocy z 4 na 5 kwietnia 1944 roku. Od razu został otoczony opieką AK.

I od razu zaczęły się dziać rzeczy dziwne.

Jego pobyt w kraju miał wiele zabawnych momentów, o których z pasją pisał Stefan Korboński, ale na ogół misja miała przebieg dramatyczny. Po jej wypełnieniu sparaliżowany (był taki moment, że kartki w książce mógł przewracać tylko językiem), naprawdę ciężko chory Retinger, wniesiony na pokład samolotu przez swojego towarzysza Chciuka, odleciał do Włoch na sześć dni przed wybuchem powstania warszawskiego. Okazało się, że w Polsce ktoś próbował go otruć. W sumie dokonano trzech zamachów na jego życie.

Pojawia się zatem pytanie: komu zależało na jego śmierci? A także jaka była rola „likwidatorów” kontrwywiadu KG AK w próbie wyeliminowania człowieka, któremu ufał sam Churchill? Dziś chyba możemy już odpowiedzieć na te pytania. Ustalenia historyków są dość szokujące.

Chyba najbardziej zdumiewa to, że rozkaz zabicia Retingera otrzymała, nie kto inny, jak Izabella Horodecka, najlepsza wywiadowczyni oddziału 993/W. Brzmi to dziwnie w sytuacji, gdy wiemy także, iż na wyraźny rozkaz „Bora”-Komorowskiego AK objęła skoczka dyskretną ochroną, a Kazimierz Iranek-Osmecki – szef wywiadu i kontrwywiadu KG AK – przydzielił do tego zadania... właśnie ludzi z 993/W. „Najsprawniejszych jakich miałem”⁶, jak sam wspominał po wojnie.

Co takiego wydarzyło się zatem wokół Retingera w Warszawie w owym tragicznym 1944 roku? Aby to zrozumieć, wróćmy jeszcze raz do motywów, jakie skłoniły Retingera do podjęcia się misji.

Jan Pomian, biograf Retingera, o tej misji napisał, że chodziło o wysondowanie podziemia, czy jest gotowe na ustępstwa w zamian za ograniczoną, ale jednak wolność i niepodległość. Z kolei premier Mikołajczyk miał swój własny plan: chciał ustami Retingera przekazać Warszawie, że jeśli Państwo Podziemne, czyli Delegatura i AK, będzie trwać „w dotychczasowej bezsensownej polityce nieprzytomnie antyrosyjskiej i antykomunistycznej”, to doprowadzi do tego, że to Stalin zdecyduje, jak będzie wyglądała przyszła Polska. Po powrocie z Teheranu właśnie w tej sprawie premier

Churchill spotkał się z polskim premierem. Chciuk wspominał: „»Postanowiliśmy w Teheranie, że siedziba narodu polskiego ma być między Bugiem i Odrą« i potem następował nacisk na Mikołajczyka, że jak najszybciej musi się zgodzić na linię Curzona. Mikołajczyk odpowiedział, że »naród nie ma kółek« i nie można go tak łatwo przetoczyć ze wschodu na zachód”⁷. W końcu jednak uznał, że Brytyjczycy nie żartują i los Polski wydaje się przesądzony. Kropkę nad i postawił przed odlotem Retingera 17 stycznia 1944 roku Anthony Eden. Prosto z mostu wypalił: „Powiedz pan Polakom, że my się o wschodnie granice Polski bić nie będziemy i jeżeli nie chcą stracić wszystkiego i uniemożliwić nam wszelkiej pomocy – to niech jak najszybciej dochodzą do zgody z Rosją”⁸.

Retinger miał zatem przekazać i stanowisko aliantów, i polskiego premiera: „Ratować naród! Najlepiej to zrobić wspólnymi siłami. Niech im pan to powie tam, w Warszawie. I niech pan powie, że jeśli nie można uratować wszystkiego, to trzeba ratować, ile się tylko da. Choćby państwo na tym bardzo dużo straciło. Naród jest ważniejszy od państwa. Naród nawet bez państwa albo ze słabym, okrojonym terytorium – jeszcze ma przyszłość, tym lepszą, im więcej zachował w sobie siły. Państwo bez silnego, zdrowego narodu... może nie mieć przyszłości wcale”⁹ – przekazywał jeszcze na odchodnym Mikołajczyk samemu Chciukowi.

Dziś wiemy, że Retinger takie stanowisko licznym polskim politykom w okupowanej Warszawie przekazał i nie tylko sondował możliwość porozumienia z Sowietami, ale także do niego namawiał i robił wszystko, by sprawę tę przesądzić¹⁰. Potwierdziły to późniejsze wypadki. Retinger badał w Warszawie kondycję PPR-u, a także namawiał swoich rozmówców związanych z AK do podjęcia z nimi bliższej współpracy. Dla niektórych musiało być to szokujące, musiało wzbudzać prawdziwe obrzydzenie!

Czy Retinger prowadził takie rozmowy w imieniu premiera Mikołajczyka? Zapewne tak. Na pewno nie robił tego w imieniu Naczelnego Wodza, generała Sosnkowskiego i prezydenta Władysława Raczkiewicza, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami jakichkolwiek ustępstw wobec Sowietów.

Jest jeszcze inna hipoteza na serio brana pod uwagę przez badaczy: Retinger działał z ramienia brytyjskiego wywiadu. Wiele na to wskazuje. Czy zatem Retinger był agentem brytyjskim? Nie ma na to żadnego przekonującego dowodu. Ale za

brytyjskiego agenta uchodził nawet wśród samych Brytyjczyków! Jego przerzut do Polski zorganizowało brytyjskie SOE (Special Operations Executive), z niezwykle przychylnym Polsce generałem Gubbinsem na czele. Miało to nawet swoje przełożenie na jego wygląd, podróźny kamuflaż. Całkiem dosłownie: wysłannik wchodził na pokład dakoty, która miała polecieć nad Polskę, w brezentowej masce, z wyciętymi otworami na oczy i usta. Po co? By nikt z Polaków obecnych na lotnisku w Brindisi go nie rozpoznał. Tadeusz Chciuk wspomina to jak kabaret, ale jak się potem okazało, do śmiechu – przynajmniej jemu i samemu Retingerowi – nie było. Bardzo szybko Naczelny Wódz dowiedział się o niezgodnionej z nim misji. (Inna sprawa, że „utrzymywanie” tajemnicy przybierało karykaturalne formy: żegnając się na lotnisku z Retingerem, porucznik Alfred Chłapowski krzyknął na głos: „Powodzenia, Reciu!”).

„Reciu”, a w zasadzie „Salamander”, bo pod takim kryptonimem krył się Retinger podczas tej misji, wylądował pod Mińskiem Mazowieckim. Lądując, przekroczył nie tylko granicę stref okupacyjnych i granicę stref politycznych. Przekroczył granicę między różnymi sposobami postrzegania spraw polskich, granicę mentalną wielu politycznych środowisk.

Po przedostaniu się do Warszawy Retinger odmłodził, dostał prawdziwy zastrzyk adrenaliny. Odezwała się w nim również żyłka awanturnicza. Za nic mając wymogi bezpieczeństwa, wałęsał się po mieście, sam organizował sobie spotkania. A było ich sporo. Doszło do tego, że wynajął cały lokal, a organizatorem lunchu z zaproszonymi politykami podziemia mianował... zaufanego i znanego sprzed wojny kelnera. Dość skrupulatnie przestrzegane przez władze podziemia zasady bezpieczeństwa właśnie diabli wzięli!

Nie tylko opiekujący się emisariuszem Tadeusz Chciuk był tym zachowaniem zarówno zaskoczony, jak i zażenowany. Wściekał się również „Bór”-Komorowski. W pewnym momencie nawet zabrał niesfornemu kurierowi ochronę. Potem znowu mu ją przywrócił. „Wydaje mi się, że w czasie pobytu Salamandry – pisze w tonie lekko zawołanego donosu obyczajowego Stefan Korboński – w Warszawie przeciętna spożycia alkoholu na głowę wzrosła o jakieś parę procent. Był to rzeczywiście człowiek bez strachu, ze skłonnością do bawienia się ryzykiem. Kiedyś, gdy mu opowiadałem o wspaniałych akcjach Kedywu, poprosił mnie całkiem poważnie, by mu umożliwić

obejrzenie wysadzenia w powietrze pociągu z Niemcami. Przedstawiłem jego prośbę na KWP, które się zgodziło, i Salamandra miał być zabrany na taką ekspedycję”¹¹. Dalej Korboński sugeruje, że nie dało się Retingera nie lubić i jakoś tam nie podziwiać. W zasadzie cały rozdział XIV pracy Korbońskiego to pean na cześć Retingera. Ale wokół „staruszka”, jak czule pisał o nim Chciuk, zaczęła się zaciskać pętla podejrzeń.

Bo skoro otoczenie Sosnkowskiego uważało Retingera za brytyjską wtykę, zwolennika ustępstw wobec Sowietów, czyli za *de facto* agenta Moskwy, to co powiedzieć o wywiadzie Komendy Głównej AK czy Delegaturze Rządu na Kraj, a także narodowcach czy to w łonie AK, czy w NSZ? Co myśleli o „Salamandrze”? W Warszawie Retinger był agentem, nawet jeśli nim nie był. Tak go postrzegano, taką miał opinię.

Notabene w 1941 roku Brytyjczycy w ramach współpracy wywiadów przekazali Polakom dossier Retingera, z którego jasno wynikało, że ten sympatyzuje z komunistami. Być może trzy lata później wywiad brytyjski już by takiego błędu nie zrobił, ale mleko się rozlało. W tej sytuacji, aby uniemożliwić Retingerowi wykonanie misji, o której nikt w kraju (premier przecież nikogo nie wtajemniczył!) nic oficjalnie nie wiedział, której celu tylko się domyślano, ale przede wszystkim bano się jej i widziano w niej antypolskie zagrożenie, otoczenie generała Sosnkowskiego zdecydowało się wysłać na ręce szefa wywiadu i kontrwywiadu KG AK, pułkownika Iranka-Osmeckiego, polecenie – choć nie wyraźny rozkaz – wyeliminowania Retingera. Kto je wydał?

Zbigniew S. Siemaszko, który badał tę sprawę, rozmawiając również z samymi uczestnikami wydarzeń, sugeruje, że rozkaz wyszedł od pułkownika Demela, prawej ręki Naczelnego Wodza. Demel w zaszyfrowanej depeszy do pułkownika Kazimierza Iranka-Osmeckiego napisał: „Kurierzy idą za plecami Prezydenta i NW. Nikt nie wie, kto jedzie i co wiezie [...] kręci się coś tajemniczego i bardzo niebezpiecznego dla Kraju. Uważam, iż w momencie, gdy dookoła najżywotniejszych spraw polskich zaczynają się omotywać nieczne zamiary, nie pora kierować się szlachetnymi skrupułami. Jest rzeczą konieczną, by materiały wiezione przez tajemniczych kurierów znalazły się w waszych rękach [...]. Jeśli się to da zrobić bez awantury – to lepiej. Jeżeli trzeba – musicie zorganizować nawet jakiś incydent, w czasie którego gość zostanie obrany z materiału wiezionego. Podkreślam – jest rzeczą konieczną, byśmy jak najszybciej byli w posiadaniu tej ważnej

poczty. Nawet w przypadku awantury ryzyko jest minimalne, gdyż przeważa strach przed skandalem. Jest rzeczą jasną, że tego rozkazu nie możecie otrzymać, dlatego zwracam się do Ciebie jako człowieka zaufanego”¹².

W tekście pada sformułowanie „incydent”. Co takie dość delikatne określenie mogło znaczyć w kraju, gdzie trwała zwykła wojna i rzeź, którą decydenci w Londynie znali jedynie z wewnętrznych raportów wystukiwanych na maszynach wypielęgnowanymi palcami sekretarek?

Szef kontrwywiadu AK Iranek-Osmecki oczywiście przedłożył plan wyeliminowania agenta oficerom Komendy Głównej. Doszło do kuriozalnego spotkania: przywódcy Polski Podziemnej debatowali w okupowanej Warszawie nad zabójstwem człowieka, którego wysyłali do kraju ich zwierzchnicy w Londynie i sojusznicy. Przebieg tej rozmowy opisał Siemaszce pułkownik Janusz Bokszczanin, obecny na spotkaniu: „Dokładnej treści telegramu Demela nie znałem, bo nie był on przy mnie odczytywany [...] Trudno mi powiedzieć, kto był za zgładzeniem, a kto przeciwko, bo ta dyskusja na temat zgładzenia, co wówczas nazywano likwidacją, przeciągnęła się bardzo długo – rozważano różne możliwości i konsekwencje, wysuwano argumenty za i przeciw. Odniosłem wówczas wrażenie, że Iranek nie obstawał za zgładzeniem, lecz stawiał tylko pytanie, domagając się jasnej, zdecydowanej odpowiedzi i niedwuznacznej decyzji – czy likwidować, czy nie, z tym, że każdą decyzję przyjmie bez sprzeciwu. Gen. Pełczyński szeroko rozwodził się, analizując wszystkie argumenty »za« i »przeciw«, ale nie wypowiedział się w sposób zdecydowany. Bór natomiast kategorycznie sprzeciwił się likwidacji, zabronił jej i nakazał wypuszczenie Retingera z Kraju bez przeszkód. Zdecydowana postawa Bora położyła kres dalszej dyskusji. Tym samym daję odpowiedź na pytanie, dlaczego zlecenie zgładzenia Retingera, jeżeli takie było, nie zostało wykonane. Daty tej odprawy nie pamiętam, ale wydaje mi się, że to mógł być początek kwietnia 1944 r., tuż przed świętami Wielkanocnymi”¹³.

Jak to widział sam zainteresowany? W jakiś sposób dowiedział się o próbie zamachu, jaki planowano. Wspominał Tadeusz Chciuk:

„– Mareczku! Chcą mnie zamordować.

– Co takiego?! Kto?

– Dwójka.

– Jaka Dwójka?

– Oddział II Komendy Głównej Armii Krajowej”...

Szok, jaki wywołała ta informacja, nie był udawany.

„Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. JHR-a często trzymały się sztubackie żarty. W końcu pomyślałem, iż sam z siebie nie będzie strugał wariata.

– Skąd ma pan tę informację? Może to plotka?

– To nie jest plotka. Wiadomość pochodzi z poważnego źródła.

– Z jakiego? Trzeba o tym powiadomić Delegata [Jankowskiego – EM/MW].

– Właśnie. I od niego może dowie się pan czegoś więcej. O to chcę pana prosić. Ja wiem – ciągnął JHR – że zlikwidowania mnie w Polsce domagają się różni ludzie z Londynu, którzy wciąż uważają mnie za agenta angielskiego, a może i sowieckiego, i że ja przyleciałem do Polski, aby rozładować podziemie patriotyczne i podporządkować je komunistom. Pan wie, z czym tu przyleciałem, Delegat też wie. I komendant AK. Wiedzą, że chcę ich tylko przekonać, że trzeba będzie w przyszłości z komunistami współpracować, bo tu nie przyjdą Anglicy, tylko Rosjanie. Jeśli się z nimi jakoś nie dogadamy, będzie tragedia straszliwa, bo przecież wiemy, kto to jest Stalin i co to NKWD. I chodzi o to, żeby ludzie tu starali się ten fakt zrozumieć. A oni chcą mnie zamordować! Za to, że mówię prawdę, że przestrzegam...”¹⁴.

Jakby tego było mało, na trop Retingera wpadło Gestapo. Jak oficerowie niemieckiego wywiadu dowiedzieli się o misji kuriera, nie wiadomo. Być może dzięki swoim wtyczkom, wielce prawdopodobne jest, że emisariusz został im „wystawiony” przez polskich informatorów. Jak pisał Stanisław W. Dobrowolski: „pojawiły się listy gończe gestapo za »Żydem Retingerem«”¹⁵. Potwierdza to w swoich wspomnieniach Korboński, który być może usłyszał to od Tadeusza Myślińskiego, a ten jako szef komórki bezpieczeństwa Delegatury Rządu, dowiedział się o tym z kolei od Brunona Schulza, oficera niemieckiego wywiadu (jak tu nie wierzyć w czarny, okrutny humor historii!), z którym się kontaktował za wiedzą przełożonych. Zresztą Niemiec robił to samo zapewne za zgodą swoich. Schulz miał się chełpić, że Niemcy są już na tropie Retingera i jego złapanie to kwestia czasu.

Jeszcze bardziej sensacyjnie brzmią słowa Alicji Gebethnerowej, która gościła kuriera w Warszawie w kwietniu 1944 roku w mieszkaniu przy ulicy Śniegockiej. Jej

relację również zawdzięczamy Zbigniewowi S. Siemaszce, który spotkał się z nią w kwietniu 1968 roku. Żona Tadeusza Gebethnera przekazała mu dość szokujące informacje: jej zdaniem Niemcy zatrzymali w końcu Retingera, a wszystko odbyło się w bardzo cywilizowany sposób:

„Mąż p. Alicji (Tadeusz) spotkał dr. R[etingera] na ulicy w kilka dni po jego przybyciu do Warszawy. [...] P. Alicja jest pewna, że R. był trzymany przez Gestapo, jest tego absolutnie pewna. Podobno przyczyniły się do tego polskie czynniki, AK, a może NSZ. Zdaniem p. Alicji R. wyratował się z tej sytuacji, współpracując z Niemcami, udzielił im przestarzałych informacji, a w zamian za to uzyskał informacje o wiele cenniejsze”.

Ponieważ brzmiało to dość nieprawdopodobnie, Siemaszko próbował dopytywać: „Pani Alicja była osobą wrażliwą i subtelną, ostrożnie i z wielką rozważą wypowiadała swoje myśli i uwagi, ale kiedy zacząłem kwestionować to, iż Retinger mógł być w kontakcie z Niemcami, zareagowała dość zdecydowanie:

– Ale ja wiem, że Józek był w kontakcie z Gestapo – podkreślając słowo »wiem«. I zapytywała:

– Czy Pan sądzi, że Gestapo mogło nie wiedzieć, że przybył do Warszawy człowiek, który w Londynie widywał się z Edenem i miał dostęp do Churchilla?”¹⁶.

Fragment ten brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Za taki uznaje go historyk Władysław Bułhak. Po prostu w głowie się nie mieści, aby mimo stałej ochrony kontrwywiadu AK Niemcy aresztowali Retingera i prowadzili z nim na Szucha jakieś rozmowy, po czym go wypuścili. W dodatku bez wiedzy Komendy Głównej AK. Wszak Retinger cały czas był chroniony przez 993/W. Do ochrony tej zresztą, czy może raczej inwigilacji, wrócimy.

Relacja Gebethnerowej zawiera jeszcze jeden interesujący szczegół. Dotyczy, być może, pierwszej próby zgładzenia kuriera. Alicja Gebethner mówiła bowiem dalej:

„Major Tomaszewski z oddziałów Kedywu wykonujących wyroki śmierci, który był spokrewniony z drugą linią Gebethnerów, z której pochodzi pani Jadwiga Gebethner, mieszkająca na Ealingu, zwrócił się do p. Tadeusza, uprzedzając go, że utrzymuje przyjacielskie stosunki z niemieckim kolaborantem, na którego kazano wykonać wyrok śmierci. Tadeusz odpowiedział, że zna R. od lat i nie wierzy w te oskarżenia. Może pod wpływem Tadeusza mjr Tomaszewski nie wykonał wyroku. P. Alicja przypomina sobie,

iż mówiono coś o przykrościach, jakie miał major z powodu niewykonania wyroku. Na moją sugestię, że mjr mógł być z NSZ, p. Alicja odpowiedziała, że to jest możliwe. Ale po wojnie mjr Tomaszewski przebywał w Londynie, obracał się w kołach akowskich i uchodził za akowca. Może na skutek niewykonania tego wyroku musiał opuścić NSZ i przenieść się do AK, a może należał do oddziałów NSZ, które dołączyły do AK w późniejszym okresie. Wszystko to działo się jeszcze przed nieudanym odlotem, czyli w kwietniu lub maju”¹⁷.

Co ciekawe, informacje te potwierdził po wojnie sam Retinger:

„Następnie już w Polsce jeden z moich przyjaciół, u którego bawiłem parę dni, zaskoczył mnie ostrzeżeniem, jakie otrzymał od pewnego porucznika AK, że jest rozkaz zlikwidowania mnie. [...] Ów porucznik dodał, że likwidacja »niezmiernie niebezpiecznej osoby« będzie nagrodzona odznaczeniem wojskowym. Kilka dni później, gdyby nie interwencja mojej młodej znajomej, Haliny Gebethner, zastrzelono by mnie w Warszawie”¹⁸. (Oczywiście kurierowi chodzi o Alicję Gebethner).

A zatem mamy tu pierwszą próbę zamachu na Retingera. Wszystko wskazuje na to, że decyzję o likwidacji „kociaka” podjęły czynniki polityczne związane z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Historycy mówią o tak zwanej Grupie Szańca. „Znaliśmy również zasadniczy cel jego podróży. Nastawienie podziemia polskiego na współdziałanie z armią sowiecką, uległość kierownictwa podziemia wobec utraty połowy Polski i włączenie reszty kraju w permanentną orbitę wpływów rosyjskich – to w wielkim streszczeniu było celem misji Retingera. Kierownictwo Grupy Szańca poleciło zgładzić agenta. Mimo skrupulatnych przygotowań i dokładnego obserwowania poruszeń Retingera likwidacja nie udała się, gdyż w dzielnicy, w której Retinger zamieszkiwał, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności bez przerwy kręciły się patrole piesze i samochody niemieckie” – stwierdził po wojnie pułkownik Tadeusz Boguszewski, „Bielecki”, w latach 1942–1944 szef Wydziału III Komendy Głównej Narodowych Sił Zbrojnych¹⁹. Według tej wersji zamach się nie powiódł, bo albo zamachowców nie wpuściła do mieszkania na Śniegockiej właścicielka, może nawet zasłoniła niedoszłą ofiarę własnym ciałem, albo narodowcy zrezygnowali, bo w okolicy kręciło się zbyt wielu Niemców.

Tak czy owak, jak pisze w biografii Retingera Bogdan Podgórski, Delegatura Rządu ponownie przydzieliła kurierowi ochronę (zdjętą poprzednio na rozkaz „Bora”-

Komorowskiego za niesubordynację kuriera)²⁰.

I tu ponownie pojawia się na scenie oddział 993/W. Żołnierze tej formacji kontrwywiadu kolejny raz zaczynają ochraniać Retingera, ale okazuje się również, że... właśnie z ich strony zaczyna Retingerowi grozić największe niebezpieczeństwo.

W 2005 roku w „Wysokich Obcasach”, dodatku do „Gazety Wyborczej” ukazał się wywiad z Izabellą Horodecką²¹. Na pytanie dziennikarza, czy kiedykolwiek wykonała wyrok śmierci, wasza wywiadowczyni wypaliła bez zastanowienia: „Nigdy, strzelali tylko chłopcy. Dziewczeta podczas transportu broni jeden pistolet zawsze chowały w kieszeni, ale wyłącznie dla obrony”. Wykonanie wyroku śmierci skojarzyło jej się ze strzelaniem, nie z truciem...

Z tego, co wiem, „Teresa” rzeczywiście nigdy do nikogo nie strzelała. W akcji „Za Kotarą” strzelała Danuta Hibner. Inne dziewczyny broni krótkiej nie używały. Nie musiały. Od tego byliśmy my.

Mężczyźni.

Wtedy chłopcy. Albo młodzi mężczyźni.

Mówimy o tym, bo sześć lat wcześniej, czyli w 1999 roku, „Teresa” jednak przyznała się do wykonania wyroku śmierci. Zresztą nieskutecznego.

Pamiętam. To wyznanie Izy w programie „Rewizja Nadzwyczajna” wywołało w środowisku szok. Nie dlatego że przyznała się w nim do próby otrucia Retingera, ale dlatego że powiedziała, że wykonywała rozkazy naszego przełożonego Stefana Rysia, „Fischera”, że wykonując wyrok, reprezentowała nasz oddział, czyli nas, a polecenie zgładzenia wysłannika Londynu wyszło od Komendanta Głównego AK. Po prostu odebraliśmy to, jakby opluła całe nasze środowisko i tradycję Armii Krajowej.

Zanim jednak przypomnimy, do czego „Teresa” przyznała się w programie Dariusza Baliszewskiego, przypomnijmy tekst *Misja Salamandra*, który

ukazał się w tygodniku „Wprost”²². Oto co pisze Baliszewski: „Do pierwszych prób wykonania wyroku doszło już w kwietniu, niedługo po skoku, gdy 993/W, oddział likwidacyjny KG AK [...] otrzymał rozkaz jego likwidacji jako bardzo szkodliwego emisariusza obcego wywiadu, który miał za zadanie zebranie opinii społeczeństwa polskiego w Kraju o ewentualnych układach z Rosją Sowiecką na warunkach mocno Polskę krzywdzących i sugerował konieczność ich przyjęcia”. Z relacji wynika, że z powodu trudności z wykonaniem wyroku rozkaz został odwołany. Według Jana Pomiana Retinger już w Londynie opowiadał, że pewnego dnia do Stefana Korbońskiego, jednego z przywódców politycznych Polski Podziemnej, zgłosił się młody oficer AK, który w poufnej rozmowie zameldował o wątpliwościach dotyczących rozkazu, jaki otrzymał. Zlecono mu zastrzelenie Retingera. Ów oficer prosił więc Korbońskiego o potwierdzenie rozkazu, bo sam nie był pewien, czy on, Polak, powinien strzelać do polskiego emisariusza z Londynu. Naturalnie Korboński rozkaz odwołał i w rozmowie z Komendantem Głównym AK, generałem „Borem”-Komorowskim, zaprotestował przeciwko takim metodom walki politycznej. Relacja Zygmunta Gebethnera, w którego domu na warszawskim Powiślu ukrywał się Retinger, świadczy o tym, że próbowano nadal go inwigilować, a oddział likwidacyjny próbował wtargnąć do mieszkania przy Śniegockiej.

No wyraźnie pisze, że to my dostaliśmy rozkaz zlikwidowania Retingera. A to nieprawda. Żadnego takiego rozkazu patrol Bąków ani mój nie dostał, ręczę za to. Głową ręczę.

Ale w kwietniu 1944 roku 993/W to ponad stu wyszkolonych, ostrzelanych i sprawdzonych w wielu akcjach żołnierzy-likwidatorów. Nawet jeśli rozkaz ten nie przyszedł do elity oddziału, do was, najstarszych stażem, może dostał go ktoś inny. Ręczy pan za wszystkich? Nie wszyscy wiedzieli o sobie wszystko. Choćby ze względu na reguły konspiracji.

Wiedziałbym o tym. Prędzej czy później ktoś by mi powiedział. Chciałbym to kategorycznie powiedzieć: gdyby wówczas, w 1944 roku, trafił do nas wyrok na

Retingera, to na pewno zostałyby wykonane. Gdyby Retinger miał zginąć, to by zginął. Nie było wówczas w Warszawie siły, która mogłaby temu przeszkodzić. Ale taki rozkaz nie przyszedł.

Mówi to pan z wielką pewnością siebie...

Nie z pewnością siebie... Mówię to, bo wiem, co mówię. Wtedy w 1944 roku byliśmy już doskonale funkcjonującą maszyną. Jeśli był wyrok sądów i został nam przekazany, „delikwent” ginął. Tak to działało.

A jednak nie wszystkie wyroki zostały wykonane. Fiaskiem zakończyły się co najmniej dwa zamachy w tym okresie. 9 kwietnia 1944 roku w mieszkaniu na Jaworzyńskiej 8 miał miejsce nieudany zamach na Willy’ego Leitgebera, jednego z szefów sekcji Kripo odpowiedzialnej za walkę z „polskim bandytyzmem”, pieszczotliwie zwanego przez was „Lalunią”. W akcji wzięło udział trzydziestu ludzi! Osiem dni później został przeprowadzony zamach na domniemaną agentkę Gestapo Wandę Kronenberg w mieszkaniu przy ulicy Królewskiej. Córka znanego warszawskiego rodu również przeżyła.

W obu przypadkach delikwenci przeżyli, ale nasi weszli do mieszkań i zlikwidowali obecnych tam Niemców.

Akurat w przypadku zamachu na Wandę Kronenberg zostały zabite jej dwie służące.

Albo współpracownicy... A Leitgeber zginął trochę później, w czerwcu.

Wróćmy do Izabelli Horodeckiej i jej wyznania. Przypomnijmy, co powiedziała w programie Baliszewskiego i co ustalili potem historycy, w szczególności Władysław Bułhak z IPN-u, bo sprawa miała burzliwy ciąg dalszy. Otóż zdaniem waszej wywiadowczyni w kwietniu 1944 roku złożył jej wizytę wasz przełożony major „Fischer”, czyli Stefan Ryś. Towarzyszył mu również sam szef Oddziału II Komendy Głównej pułkownik Iranek-Osmecki. Ten ostatni zapytał ją, czy podejmie się otrucia Retingera, i dodał, że to

rozkaz Naczelnego Wodza. Horodecka zgodziła się. W innej relacji z 1993 roku, potwierdzonej potem w kolejnej z 2008 roku, dodała, że sprawa była już jej znana w ogólnych zarysach, bo wcześniej nakazano 993/W rozpracowanie i likwidację Retingera jako „szkodliwego emisariusza obcego wywiadu”. Horodecka uznała, że takie polecenie z ust Iranka-Osmeckiego to rozkaz i nie pozostaje jej nic innego, jak się do niego zastosować i przystąpić do akcji. Szef Oddziału II wręczył jej następnie dwa pudełka z węglikiem, groźną trucizną stosowaną przez AK do zatruwania kopert adresowanych na Gestapo. A potem „Teresa” została oddelegowana do akcji, która miała mieć miejsce nie w Warszawie, ale na południu kraju, przed odlotem Retingera do Anglii planowanym na 29 maja. Trucizna miała zacząć działać już po wylocie kuriera.

To był dla nas wstrząs. Powiem, co wiem. Zresztą 10 kwietnia 2000 roku po emisji programu „Rewizja Nadzwyczajna” wysłaliśmy do telewizji jako Światowy Związek Żołnierzy AK – Środowisko Batalionu „Pięść” pismo, w którym wyjaśniliśmy, dlaczego wersja Izabelli Horodeckiej tak nami wstrząsnęła i dlaczego nie trzymamy się kupy. Pod pismem podpisałem się ja, ale również Danuta Hibner, Zosia Rusecka i Ryszard Bielański. Napisaaliśmy wówczas, że sprawa trucia Retingera nie miała z naszym oddziałem wiele wspólnego. Mało tego. „Teresa” nie mogła rozpracowywać Retingera dla potrzeb 993/W, bo to by świadczyło, że był na niego wydany wyrok Sądów Specjalnych Polskiego Państwa Podziemnego. A z tego, co wiem, nigdy takiej decyzji podziemnych sądów nie było.

Ale w arsenale oddziału była tak zwana „sacharyna Q”, czyli węglik?

Podobno był, mój patrol nigdy jej nie używał.

Rzeczywiście, wyroku nie było. Ale było... znacznie gorzej: według protokołu przesłuchania Stefana Rysia przez oficera śledczego MBP w ramach przygotowań do jego procesu z 11 września 1950 roku polecenie zabicia Retingera rzeczywiście pochodziło od Iranka-Osmeckiego, który miał

przyznać się Rysiowi, że „wyroku nie ma, gdyż nie będzie w tę sprawę wciągał »Bora«-Komorowskiego”. A zatem było tylko polecenie, czyli rozkaz szefa kontrwywiadu KG AK. Przesłuchiwany Ryś miał wyznać również, że otrzymał polecenie, aby nie zdradzać się z tym poleceniem nawet Bernardowi „Oskarowi” Zakrzewskiemu. Następnie odbyło się spotkanie w mieszkaniu Horodeckiej na Saskiej Kępie przy ulicy Walecznych i tam wasza wywiadowczyni miała otrzymać dwieście gramów węglika w proszku.

Tego nie wiedzieliśmy. W piśmie do władz telewizji podaliśmy w wątpliwość fakt takiego spotkania i samego zlecenia. Dlatego że po aresztowaniu przez Gestapo dwóch poprzedników szefa II Oddziału, czyli wywiadu i kontrwywiadu, Iranek-Osmecki wprowadził żelazne zasady bezpieczeństwa. Takie spotkanie z Rysiem i szeregową wywiadowczynią wydało się zaprzeczeniem logiki konspiracji. W owym czasie nikt z nas nie znał szefa II Oddziału Komendy Głównej!

Z Horodecką było inaczej. Ona była o wiele od was starsza, poza tym poprzez swoje koneksje rodzinne i towarzyskie знаła wielu funkcjonariuszy Państwa Podziemnego jakby obok powiązań służbowych, prywatnie. Poza tym Rysia łączyło z „Teresą” coś więcej aniżeli sprawy służbowe. Pan wie więcej, niż nam chce powiedzieć.

Ponieważ Ryś był dwukrotnie aresztowany po wojnie, któregoś razu – między jedną odsiadką a drugą – zorganizowaliśmy z nim spotkanie w gronie kilku kolegów. Nawet ściągałem Zawadzkiego ze Szczecina i „Puchacza” ze Stargardu, oni tam wtedy mieszkali. Zapytaliśmy szefa, czy nasz oddział wykonał wyrok na jakimś komuniście. Szef stwierdził, że takiego przypadku nie było, że wszystkie nasze akcje są czyste i na wszystkie były wyroki sądowe. Pytaliśmy, bo przecież komuniści mogli nas również aresztować i wtedy ważne jest, aby mieć podobną gadkę. Ponieważ niektórzy z nas już co nieco o sprawie Retingera słyszeli, zapytaliśmy również o ten przypadek. I Ryś wyraźnie powiedział, że na Retingera wyroku nie było, nie był wykonany i dlatego sprawy nie ma. Dwa razy powtórzył, że sprawy nie ma. A potem został aresztowany i skazany na dziesięć lat. Wyszedł

po 1956 roku. Była odwilż, rehabilitowano wielu AK-owców.

Dziś już wiemy, że jednak sprawa była. Horodecka wsypała proszek do walizki Retingera. Akcja odbyła się w czerwcu 1944 roku w jakiejś „zapchlonej”, jak zeznała, wiejskiej chałupie, a potem w dworku w miejscowości Dołęga. Tam Retinger czekał na ewakuację samolotem do bazy w Brindisi. Zresztą, co ciekawe, po fiasku ewakuacji, gdy przemoknięty Retinger wrócił do chałupy, „Teresa”, pełniąca rolę jakby asystentki, pomagała mu się przebrać w suche ubranie, rozumiemy, że jego własne, i wtedy sama musiała mu te posypane trucizną ubrania podać. Już nie używała, jak poprzednim razem, rękawiczek. Przyznała również, że podawała stopniowo truciznę otrzymaną od Rysia, „po kilka kropel do różnych potraw i do kawy”.

Raz mówiła, że wsypywała węglik, potem, że dodawała krople... Nie trzyma się to całości.

Bo jak się okazuje, dostała dwa rodzaje trucizny. Oprócz węglika dostała kapsułkę z płynem, który miała wlać mu do zupy. Ryś w zeznaniu, które złożył śledczemu w 1950 roku, przyznał, że nie wiedział, co to był dokładnie za płyn. Ale powiedział potem coś istotniejszego: otóż przyznał, że nie wytrzymał napięcia związanego z poleceniem Iranka-Osmeckiego i zwierzył się „Oskarowi” Zakrzewskiemu, swojemu szefowi. Ten powiedział mu, aby lepiej nie wplątywał się w tę sprawę. I wtedy Ryś przestraszył się, postanowił podmienić Horodeckiej ampułki – kupił 200 gramów natronu (zwykłej sody) i wlał go do pozostawionej w mieszkaniu Horodeckiej nadwyżki trucizny w słoiku. A w podmienionych ampułkach dał wywiadowczynie olej rycynowy. I trucie miało wyglądać tak, że Horodecka w przeddzień odlotu Retingera wsypała mu proszek do walizki i na szczoteczkę do zębów, a płyn wlała do zupy. Środek miał śmierdzieć i czuć go było karbolem czy kreozotem – tak wyznała Horodecka. Ta zmiana planów rzeczywiście dziwnie wygląda, a jeszcze dziwniejsze jest to, że Ryś po prostu nie odwołał akcji i nie wydał takiego polecenia Horodeckiej. Jak pisze Bułhak, po wojnie Stefan

Matuszczyk, „Porawa”, wasz dowódca, powiedział jej w tajemnicy: „Ty to pewnie nawet nie wiesz, to wiedz, że byłaś sympatią Fischera. On nie chciał, abyś ty ginęła, i wtedy on podmienił truciznę”.

My wiele razy w czasie wojny i po jej zakończeniu pojedynczo i w grupie rozmawialiśmy z „Porawą” o naszych akcjach. Nigdy nie wyszła sprawa akcji na Retingera. Przecież mamy nawet manuskrypt pracy „Porawy”, którą przygotowywał do wydania w PAX-ie w latach sześćdziesiątych, i tam słowa nie ma o Retingerze. A jest za to wiele innych ciekawych rzeczy. Jak na owe czasy bardzo kontrowersyjnych. I „Porawa” pisał o tym bardzo odważnie. Jest taki rozdział *Żydokomuna w szeregach AK*. To jest wstrząsająca historia...

Wiemy. Ale ani „Porawa” się do trucia nie przyznał, ani tym bardziej Horodecka w swoich wspomnieniach nie pisała o tym ani słowa. Tylko że sama wam kiedyś przyznała, że opisała swój udział w akcji na Retingera w 1946 roku.

Nigdy nam tego nie pokazała. Pokazała nam jakieś późniejsze notatki. Spisane długopisem, a w 1946 roku jeszcze nie było w Polsce długopisów.

To ma jakieś znaczenie?

Że po prostu plątała się w swoich wersjach...

Ale przed śmiercią wyznała, że jej udział w zamachu na Retingera był błędem. Mówiła, że została zamieszana w paskudną sprawę „mającą charakter osobistych porachunków na tle politycznym” i że wykorzystano jej bezgraniczne zaufanie do rozkazów Komendy Głównej AK. Czyli poczuła się oszukana i wykorzystana. A wasze środowisko uznało jej wersję za „mitomanię”. W piśmie rozesłanym do wielu instytucji i osób zaufania publicznego napisaliście: „trzeba dużo złej woli, ażeby na tak wątplych podstawach jak niespójna relacja »Teresy« rzucać plugawe potwarze na cenione, szanowane, historyczne postacie naszych dziejów sprzed pół wieku. My, zgrupowani w Środowisku »Pięść«, grupa byłych żołnierzy Oddziału

993/W, nie możemy pozostać obojętni wobec kłamstw szerzonych publicznie. Przez wiele lat czasów PRL przekłamywano naszą historię, to przykre, że znaleźli się tacy, którzy chcą ją obrzydzić”. Ta sprawa rozbiła wasze środowisko, zatrula je jak trucizna.

W tej wymianie listów rzeczywiście padło za dużo ostrych słów. Ale pozostanę przy swoim. Oddział 993/W nie miał nic wspólnego z zamachem, a potem truciem Retingera. To było prywatne zlecenie, którego „Teresa”, być może, się podjęła. Już wtedy, w 1944 roku, wiedzieliśmy, że to jakaś śmierdząca sprawa. Pamiętam, że „Teresa” musiała gdzieś wyjechać, że szef powiedział nam, że jej nie będzie i że nie ma czego zazdrościć, bo ma trudne zadanie do wykonania. Użył właśnie tego sformułowania: „śmierdząca sprawa”. Teraz wiadomo więcej, ale nadal uważam, że to nie dotyczy nas, nie ma nic wspólnego z oddziałem. Było nam przykro ze względu na Izę.

Trucizna.

Trucizna.

Najważniejsze osoby 993/W były jednak zaangażowane w ten zamach... Nie ma wątpliwości. „Teresa” miała takie zadanie.

Urodziła się w Moskwie. Jej ojciec pracował w firmie obsługującej ropociągi w Baku. W Czuchlinie, „podmoskiewskim Konstancinie”, mieszkała do rewolucji. Potem przeniosła się z rodzicami do Wilna, a następnie do Warszawy. Wyszła za mąż w 1932 roku. Z mężem widziała się po raz ostatni 5 września 1939 roku, pomachała mu na pożegnanie przy bramie Szpitala Ujazdowskiego. Mąż ewakuował się z atakowanej stolicy razem z pracownikami Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie zobaczyli się już nigdy. Rozwiedli się siedem lat po zakończeniu wojny. On zmarł na Florydzie w 1997 roku jako dziewięćdziesięciosiedmiolatek, jej do sto drugich urodzin zabrakło miesiąca. Nie wyszła ponownie za mąż.

Izabella Horodecka, pseudonim „Teresa” (1908–2010), podporucznik czasu

wojny, łączniczka i wywiadowczyni, podpora wewnętrznego wywiadu oddziału 993/W KG AK. Uczestniczyła w rozpracowaniu dwudziestu trzech konfidentów, renegatów i niemieckich funkcjonariuszy różnych formacji.

>W czasie okupacji, aby jakoś wiązać koniec z końcem, pracowała w Kawiarni Filmowej przy ulicy Złotej 7. Do 1942 roku zajmowała się tam buchalterią, potem to samo robiła w biurze firmy budowlanej przy ulicy Żurawiej. Firma okazała się przykrywką organizacji podziemnej. Zanim głęboko zaangażowała się w jej działalność, w połowie roku przeżyła pierwsze aresztowanie i przesłuchanie na Gestapo. „Byłam czwarta z kolei, poszłam na przesłuchanie. Zawsze mam takie usposobienie, moja natura taka jest, że jak jestem zdenerwowana, to mówię bardzo spokojnie, że nikt nie wie, że w środku się okropnie denerwuję” – wspominała w relacji dla Muzeum Powstania Warszawskiego.

17 marca 1943 roku została zaprzysiężona w 993/W. „Będzie pani pracować przy likwidacji gestapowców, zdrajców, konfidentów i szmalcowników. Jest pani na tyle mocna, by dać sobie radę?” – zapytał ją wtedy przełożony porucznik Leszek Kowalewski, „Twardy”. Szybko się przekonał, że jej niesamowity dar – absolutne opanowanie przy wybitnej inteligencji, spostrzegawczości i doskonałej pamięci – to gwarancja sukcesów jego grupy. Ale nie każda akcja kończyła się zgodnie z planem.

Wracając po akcji na Willy’ego Leitgebera z Kripo („Zrobiliśmy straszny bałagan u niego w mieszkaniu, a jemu się nic nie stało. On przewrócił na siebie tapczan i zza tapczanu pruł. Był ranny w nogę, leżał chory i przyjęcie u siebie zrobił. Tam chłopcy poszli. Też Bolka [chodzi o Bolesława Bąka, pseudonim »Szlak«] była wina, że za prędko wszedł do przedpokoju, pchnął drzwi otwierane przez kobietę. To wszystko było za gwałtownie. Bolek zawsze był w gorącej wodzie kąpany” – wspominała po latach z wyrzutem), wpadła w łapankę. Rykszę, którą wracała do domu na Saskiej Kępie, zatrzymali żandarmi. Ponieważ w futerale na skrzypce miała karabin maszynowy należący do plutonu likwidacyjnego, ryzykowała życie. Nie straciła zimnej krwi. Rozpuściła włosy, podkasła spódnicę i zapaliła papierosa. W futrze doskonale wcieliła się w podpitą prostytutkę. Tydzień później spacerowała po Królewskiej, wypatrując kolejnego celu.

>W 993/W działało sześć wywiadowczyń. Horodecka była najstarsza, dzięki koneksjom rodzinnym i znajomościom w kręgach inteligenckich miała doskonały wgląd w sytuację swojej „klasy”. Dzięki temu udawało jej się ustalić, kto naprawdę zagraża konspiratorom. Zdarzało się, że rozpracowywała dalekich krewnych. „Nie miała Pani wahań, wątpliwości?” – pytał ją Włodzimierz Kalicki z „Gazety Wyborczej”. „Nie, żadnych. To była wojna” – odpowiedziała bez namysłu. Swoich kolegów likwidatorów traktowała jak młodszych braci. W relacji dla Muzeum Powstania Warszawskiego nie wahała się używać wobec nich familiarnych zdrobnień, takich jak „głuptasy”. „Dobrze, kotusiu” – to jeden z jej ulubionych zwrotów potwierdzających podjęcie się jakiegoś zadania.

Walczyła w powstaniu warszawskim. Była trzy razy ranna. Przechodząc przez Gęsiówkę, dostała się pod ostrzał z Dworca Gdańskiego. Spotkała wtedy Stanisława Jankowskiego, „Agatona”. „Pani Tereso, słyszałem, że pani jest ranna w nogę – zagadnął adiutant generała »Bora«-Komorowskiego. – Tak, panie podporuczniku, i to w takim miejscu, że będzie widać z kostiumu kąpielowego”.

Drugi raz została ranna w bitwie pod Jaktorowem i po raz kolejny pod Grójcem. Do Warszawy wróciła w styczniu 1945. Do swojego ulubionego hobby – wioślarstwa – niedługo potem. Nie powróciła jednak na tory. „Kiedy przypadkowo w miejscowości, w której spędzałam wakacje, zobaczyłam przycumowane kajaki. Wsiadłam do jednego i spróbowałam. Udało się, tylko musiałam trzymać wiosło nie klasycznie, a jedną ręką od dołu” – powiedziała. Przyczyną zmiany uchwytu wiosła i porzucenia wioślarstwa dla kajakarstwa był przestrelony łokieć. Właśnie tak zaczęła się jej kajakowa przygoda. Najpierw jako uczestniczki spływów, później w roli organizatorki wielu imprez.

Zacząła działać w Polskim Związku Kajakarskim, a po odwilży dużo podróżowała i pływała. Zwiedziła pięćdziesiąt pięć krajów. Pływała po Eufracie i Tygrysie w Iraku, Menderesie w Turcji i Gwadalkiwirze w Hiszpanii. Podobno przepłynęła kajakiem ponad dwanaście tysięcy kilometrów. Do środowiskowej legendy trafiła jej przygoda w Peru na początku lat siedemdziesiątych. Pewnego dnia autobus, którym podróżowała, zaatakowali terroryści ze Świetlistego Szlaku. Ci sami bojownicy w tym samym miejscu wcześniej rozstrzelali pasażerów

innego autobusu. Wyprowadzona z auta Horodecka rozbroiła ich odwagą... bo wybuchła śmiechem. Terrorysty puścili wszystkich wolno. Olgierd Budrewicz, który dobrze znał jej wojenne środowisko, zapytał w jednym z wywiadów: „Co panią gnało po świecie, że pani tyle czasu jeździła, czy tylko chęć poznania świata?”. Odpowiedziała nieco zawile: „Może nie tylko, może zabicie popsucia całego mojego życia, urozmaicenie inaczej”.

W PRL-u nie afiszowała się wojenną przeszłością. Gdy w 1976 roku w czasopiśmie „Więź” ukazał się podpisany jej nazwiskiem tekst *Rozkaz zabić*, nie kryła swojej irytacji. Okazało się, że to nie ona dostarczyła go do redakcji. Interweniowała błyskawicznie, wysłała protest i oświadczyła, że wydrukowanie jej notatek z 1946 roku bez zgody spowodowało działalność jej i jej kolegów do „bezmyślnego strzelania, a nie do świadomej i poważnej walki o niepodległość Ojczyzny”. Dopiero w 1992 roku ukazały się jej wspomnienia *Ocalone od niepamięci*. Z czasem była coraz bardziej otwarta w opowiadaniu o wojennych przeżyciach.

Zmarła 1 kwietnia 2010 roku.

To pokażę wam coś. Nie chciałem tego upubliczniać, ale to jakoś pokazuje, jak funkcjonował oddział i co znaczyła dyscyplina. To jest wyjaśnienie Jerzego Adamskiego, naszego kolegi i przyjaciela z oddziału. Po wojnie wyemigrował do Australii, kilka osób jeździło do niego, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem i wolnością. Tak było w PRL-u. A to fragment listu z 2000 roku...

Józef Jerzy Adamski, pseudonim „Łunicz”, był z wami w oddziale od grudnia 1943...

Był dowódcą patrolu w III plutonie, w powstaniu był też trzy razy ranny, miał Virtuti Militari. I on opisał swój udział w „sprawie Retingera” w liście do mnie. Popatrzcie, przeczytajcie:

„Pragnę wyjaśnić sprawę, która wywołała taką kontrowersję, i z pomocą naszych »koleżanek i kolegów« rozbiła nasze środowisko. Nie ulega żadnej wątpliwości,

że jako d-ca patrolu, od śp. »Miry« dostałem rozkaz śledzenia osobnika, który – jak opiewała jego (o nim) legenda – »był wysokim oficerem niemieckiego kontrwywiadu i współudziałowcem Gestapo, który z Irlandii przyjechał do Warszawy, aby spenetrować działalność Armii Krajowej«.

Na zaczęcie akcji dostałem fotografię mężczyzny w wieku ok. lat 50. Fotografia była wymiaru paszportowego, różniła się jednak tym, że wbrew przepisom paszportowym osobnik na zdjęciu był w kapeluszu.

Poza tym dostałem trzy warszawskie adresy, które – jak pamiętam – były: księgarnia Gebethnerów w mieście, adres drugi Saska Kępa i Żoliborz. Niestety, dokładnych danych o adresach nie pamiętam. Warto wspomnieć, że podobno dowództwo oddziału dostawało meldunki czy sygnały, że osobnika takiego widziano na raz w kilku miejscach. Był to dla mnie znak, że jakieś inne oddziały są również zaangażowane w akcji. Aby upewnić się, że szukamy właściwego osobnika, dostałem dodatkowe elementy potwierdzające jego tożsamość, a mianowicie: utyka na jedną nogę, nosi głowę trochę skrzywioną i ma cerę pełną śladów po młodzieńczych krostach. Po wojnie w wielu publikacjach o Retingerze na zdjęciach bez trudności poznawałem podobieństwo jego do zdjęcia, które miało służyć do identyfikacji”.

No, gdyby Adamski miał rozkaz zlikwidowania Retingera, to był to zrobił. Miał rozkaz tylko go śledzić. Pewnie dowództwo chciało wiedzieć, co ten człowiek robi, z kim się spotyka. I że dla AK był to agent Gestapo.

Dla nas zaskakujące jest coś jeszcze. Adamski napisał, że dostał od przełożonych zdjęcie Retingera w kapeluszu. Tymczasem w swoich wspomnieniach z pobytu w Polsce Tadeusz Chciuk (który był przecież „ochroniarzem” kuriera) napisał, że to właśnie Niemcy poszukują starszego pana, który nosi brązowy kapelusz i laskę z psią główką. Miał się tego dowiedzieć od was, od kontrwywiadu. „Taki kapelusz nosił i taką laskę miał »Salamander« – zmieniłem mu więc natychmiast kapelusz na kaszkiet, a laskę na parasol. Innym razem ostrzeżono mnie, że poszukiwany jest przez

gestapo jakiś bardzo ważny emisariusz z Londynu, który nosi cwikier. Tego samego dnia zmieniłem »Salamandrowi« piękny cwikier na tandetne okulary w cienkiej oprawie drucianej. Staruszek narzekał na mnie i zrzędził, bronił kapelusza, laski i cwikiera z niezwykłą walecznością, dowodząc, że jestem strachem podszyty, przewrażliwiony, że wtrącam się w nie swoje rzeczy i byle bzdurstwom daję wiarę – ale zawsze przecie postawiłem na swoim”²³. Jak widać, to samo zdjęcie miał i kontrwywiad AK, i Gestapo! Dziwne, prawda?

Dziwne. Może ktoś sypał. Ktoś z AK. Ale zwróciliście też pewnie uwagę: „Łunicz” wyraźnie napisał, że Retingerem interesowały się inne oddziały.

NSZ?

Nie wiem. Może. To jedno. A drugie – „Teresa” opowiedziała w telewizji, że Komenda Główna odebrała nam akcję zlikwidowania Retingera, bo jakoś nieporadnie się do niej zabieraliśmy. Że na klatce schodowej w domu, gdzie mieszkał Retinger, w trakcie przygotowań do likwidacji wpadła na jakąś sąsiadkę, a ta wypaliła: „Co pani tu robi?”. I „Teresa” miała się tego przestraszyć, i to miało być przyczyną spalenia akcji. „Teresa” miała obserwować Retingera na rogu ulic Zgoda i Sienkiewicza... Z kolei w telewizyjnej audycji pan Gebethner powiedział, że do jego stryja, chyba Tadeusza Gebethnera, który opiekował się Retingerem i mieszkał przy Śniegockiej, przyszła ekipa likwidatorów, ale natknęła się na ciocię, a ta zamknęła przed nimi drzwi. Na ciocię! No to absolutnie bajka o sierotce Marysi.

Dlaczego?

Zamykanie przed nami drzwi przez jakąś ciocię miało nas powstrzymać? To miała być przeszkoda w wykonaniu akcji? Ciocia? Powtórzę: to nie „Teresa” decydowała, że ta czy inna akcja była spalona, czy nie. To nieporozumienie, jakaś jej konfabulacja. Niestety, Iza Horodecka, wspomniana wyżej „Mira” i Adamski już nie żyją.

Ale już tylko z tego, co jest dziś w archiwach, z dostępnych dokumentów i relacji wynika, że 993/W był zaangażowany zarówno w inwigilowanie Retingera, nie wiadomo do końca w jakim celu, jak i w jego „ochronianie”. Trudno to ustalić, ale zapewne ważna jest tu chronologia. Raz mogliście mieć polecenie wysłania kuriera, by ktoś go zlikwidował, innym razem dostaliście – inny wasz patrol – polecenie, by go chronić. A potem przychodzi rozkaz już tylko dla Horodeckiej, że ma go otruć podczas wyjazdu. Jak wiadomo, Retinger prawdopodobnie został zatruty, bo potem przez dwa miesiące dochodził do zdrowia pod czujnym okiem warszawskich lekarzy, współpracujących zresztą z AK. Z tego okresu pochodzi jego znane zdjęcie w łóżku. Był sparaliżowany, nie mógł poruszać kończynami, aby przewracać kartki w czytanej książce, używał języka. Nie odleciał do Brindisi w ramach operacji Most-2, ale dopiero pod koniec lipca, zresztą razem z częściami zdobytej przez AK rakiety V-2.

My nie byliśmy zabójcami na zlecenie. W 1996 roku Kulesza i Bielecki opublikowali *Przeciw konfidentom i czołgom*. To książka o nas, o 993/W, spis wszystkich naszych akcji. I po promocji książki „Gazeta Wyborcza” napisała, że to książka o „zabójcach konfidentów”.

I pan wtedy zaprotestował.

Bo my byliśmy egzekutorami prawa, a nie zabójcami! A potem w 1998 roku zgłosił się do mnie redaktor z radia. Z Radia Zet.

Nasz kolega, Rafał Domański.

Rozmawialiśmy jak my tu teraz, kilka razy. Rozpoczęliśmy nagrywanie, zaprosiłem do tego nagrywania również Izę. Audycja się odbyła, redaktor podał na antenie to, do czego się zobowiązał. To, co uzgodniliśmy. Ale potem przekazał mi wiadomość, że po audycji Iza chciała go zainteresować jeszcze jedną akcją, w której miała kogoś otruć. Chciała mu o tym opowiedzieć. Wyjaśniłem mu, że to nie była nasza forma walki, że my wykonywaliśmy wyroki Sądów Polski

Podziemnej i nie było potrzeby, żeby likwidować kogoś skrycie. Chyba mu wtedy powiedziałem, że to była jakaś pomyłka, żeby o tym zapomniał, żeby nie drążył, i on – pewnie z szacunku – zastosował się do tego.

Reportaż i tak robił wrażenie, choć Rafał mówił nam, że wiele z tego, co pan powiedział i co zostało nagrane, nie poszło na antenę, bo pan nie chciał. Ocenzuował pan samego siebie.

Zależy mi na prawdzie.

Wszystkim nam zależy.

Mój pogląd jest taki, że pomysł zgładzenia Retingera narodził się w Londynie. „Polski Londyn” po śmierci Sikorskiego to było „bagnie polityczne”. Zatrute. W jakimś politycznym odłamie, z jakiegoś powodu, powstał pomysł zgładzenia Retingera rękami Armii Krajowej. Jakimi drogami to trafiło do nas, już dziś nikt nie ustali. Myśmy go śledzili w innym celu. Delegatura go pilotowała. Przecież to była bardzo niejednoznaczna postać, przysłana tu z tajemniczą misją, być może niebezpieczną. Gdy kontrwywiad zorientował się, że ktoś chce go wyeliminować rękoma „Teresy”, to została pozbawiona trucizny w ampułkach²⁴. Nie ma sensu szukać tych, co jej te ampułki wetknęli do rąk.

O „sprawie Retingera” wiadomo coraz więcej. Historycy pracują i zdają się zbliżać do prawdy o próbach „wyeliminowania” go i do przyczyn, dla których i NSZ, i prawe skrzydło AK tego pragnęły.

Człowiek, który w okupowanej Polsce opiekował się Retingerem i uratował go, czyli Tadeusz Chciuk, przytoczył swoją rozmowę z nim. Dialog brzmi pompatycznie, ale czy przez to niewiarygodnie?

„– Czy pan jest agentem Intelligence Service, panie doktorze? – wyrzuciłem z siebie pośpiesznie te słowa, trochę sam nimi przestraszony i od razu zde gustowany [...] – No więc tak – rzekł jakoś tak cicho, miękko – jestem agentem, owszem, ale nie angielskim ani sowieckim, ani meksykańskim, jak to niektórzy insynuują. Jestem, jeśli mam już użyć tego słowa: agentem polskim, dobrowolnie oddałem się na służbę Polsce, krajowi mojemu od kilku pokoleń. I tyle! Wolny strzelec jestem. Nikt mi nie ma nic do gadania,

tylko moje sumienie”²⁵.

¹ Tadeusz Kochanowicz, *Na wojennej emigracji. Wspomnienia z lat 1942–1944*, Warszawa 1975, s. 161.

² Jan Karski, Maciej Wierzyński, *Emisariusz. Własnymi słowami*, Warszawa 2012, s. 162; zapis rozmów przeprowadzonych w latach 1995–1997 w Waszyngtonie, emitowanych w Głosie Ameryki.

³ Tadeusz Chciuk-Celt (1916–2001), kurier ZWZ na trasie zajętej przez wojska sowieckie Małopolska Wschodnia – Budapeszt; w maju 1940 roku we Francji, potem przedostał się do Anglii. Cichociemny, zrzucony po raz pierwszy do Polski w grudniu 1941 z zadaniem przygotowania dla gen. Władysława Sikorskiego raportu na temat polskiego podziemia. Na Wyspy wrócił dopiero w 1943 roku, tuż przed śmiercią Sikorskiego. Rok później skakał nad Polską jako oficer opiekun Retingera. Po wojnie był m.in. redaktorem i zastępcą szefa sekcji polskiej Radia Wolna Europa. Wojenne przeżycia opisał m.in. w książkach *Biali kurierzy*, *Koncert – opowiadanie cichociemnego* i cytowanej *Z Retingerem do Warszawy i z powrotem. Raport z Podziemia 1944*.

⁴ Marek Celt (Tadeusz Chciuk), *Z Retingerem do Warszawy i z powrotem. Raport z Podziemia 1944*, Łomianki 2006, s. 61.

⁵ Tamże, s. 39.

⁶ Według wyjaśnienia, jakie płk Kazimierz Iranek-Osmecki na piśmie złożył gen. „Borowi”-Komorowskiemu 28 czerwca 1958 roku w Londynie. Cyt. za: W. Bułhak, *Wokół misji Józefa H. Retingera do kraju. Kwiecień–lipiec 1944 r.*, „Zeszyty Historyczne” nr 168/2009, s. 41.

⁷ M. Celt (T. Chciuk), *Z Retingerem do Warszawy...*, dz. cyt., s. 23.

⁸ W. Bułhak, *Wokół misji Józefa H. Retingera...*, dz. cyt., s. 16.

⁹ M. Celt (T. Chciuk), *Z Retingerem do Warszawy...*, dz. cyt., s. 25.

¹⁰ W. Bułhak, *Wokół misji Józefa H. Retingera...*, dz. cyt., s. 44–47.

¹¹ Chodziło o akcję pod Celestynowem. Bardzo wątpliwe, że Retinger w takiej akcji sabotażowej rzeczywiście wziął udział. W każdym razie Korboński wyraźnie pisze, że kurier był zafascynowany dywersją, aktywną stroną walki z Niemcami. Gdy na pytanie dotyczące budżetu wydziału propagandy otrzymał stosowną odpowiedź, wypalił szczerze: „Cała wasza komórka kosztuje miesięcznie tyle, ile wynoszą pensje dwóch woźnych z BBC”. S. Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej...*, dz. cyt., s. 254.

¹² Bogdan Podgórski, *Józef Retinger, prywatny polityk*, Kraków 2013, s. 161.

¹³ Zbigniew Siemaszko, *Retinger w Polsce w 1944 r.*, „Zeszyty Historyczne” nr 12/1967, s. 82.

- ¹⁴ M. Celt (T. Chciuk), *Z Retingerem do Warszawy...*, dz. cyt., s. 111.
- ¹⁵ Stanisław W. Dobrowolski, *Retinger – prywatnie*, fragment wspomnień, „Zdanie”, nr 2/1984.
- ¹⁶ Zbigniew S. Siemaszko, *Retinger – wysłannik Foreign Office i Mikołajczyka*, „Zeszyty Historyczne”, nr 170/2009, s. 218.
- ¹⁷ Tamże, s. 218–219.
- ¹⁸ Jan Pomian, *Józef Retinger. Życie i pamiętniki pioniera Jedności Europejskiej*, Warszawa 1994.
- ¹⁹ Z.S. Siemaszko, *Narodowe Siły Zbrojne*, Warszawa 1985, s. 133.
- ²⁰ B. Podgórski, *Józef Retinger...*, dz. cyt., s. 160–164. Zob. także: Kazimierz Iranek-Osmecki, *Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera Komendy Głównej AK*, Warszawa 2004, s. 584.
- ²¹ Włodzimierz Kalicki, *Izabella od wyroków*, „Wysokie Obcasy”, 24 września 2005, <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,2929999.html?as=5>.
- ²² Dariusz Baliszewski, *Misja „Salamandra”*, „Wprost”, nr 28/2004, <http://www.wprost.pl/ar/62789/Misja-Salamandra/#kup-artykul>.
- ²³ M. Celt (T. Chciuk,)*Z Retingerem do Warszawy...*, dz. cyt., s. 127.
- ²⁴ Relację Izabelli Horodeckiej, „Teresy”, zamieszczamy w *Aneksie*.
- ²⁵ M. Celt (T. Chciuk,)*Z Retingerem do Warszawy...*, s. 53.

Rozdział 15

Okoliczności bohaterskich w powstaniu nie miałem

Krzyczę: „»Felek« uciekaj!”. Amunicyjny chwilę wcześniej już się przecisnął przez tę dziurę w murze. „Felek” wziął karabin i też przełazi. Ja na końcu. Pochyliłem się, przeczolguję, trzeba było zaprzeć się nogami, ręce na ziemię, bo dziura na wysokości kolan, i się podciągam: tułów w dziurze, głowa po jednej stronie, a nogi całe mam po drugiej. I wtedy czołg strzelił. Eksplozja w tym moim bunkrze zrobionym z płyt cementarnych. Wypchnęło mnie na naszą stronę, szczupaka zrobiłem, uderzony tą siłą, wpadłem na cmentarz. To było jak okropny kopniak. Odłamki szczęśliwie się ułożyły, nie tknęły mnie, i wyleciałem na teren cmentarza. Żyję, nie żyję, nic nie widzę, nie wiem, myśl, że nie mam nóg, ale czułem nogi, czyli miałem nogi. Ulga! I wtedy dopiero się tak całkiem ocknąłem, po naszej stronie, na cmentarzu ewangelickim.

Cmentarz ewangelicki był miejscem zbiórki Batalionu Specjalnego w godzinie „W”. Wcześniej żołnierze czekali w konspiracyjnych lokalach, po południu zaczęli zmierzać na miejsce koncentracji. Pluton „Naprawy” zebrał się w szkole kolejowej przy Chmielnej 88. „Sęp” przygląda się dowódcy – Tadeusz Towarnicki „jest sobą”, imponuje żołnierzom fantazją i humorem: zajechał przed budynek szkoły wiśniowym oplem, przywozi broń, żywność, żołnierze pomagają dowódcy wyładować z wozu skromny arsenał: dwa steny, kilka pistoletów, karabin z uciętą kolbą, kilka granatów, amunicję. „Sęp” potwierdza dzisiaj, że wśród broni był zabytkowy rewolwer używany jeszcze w powstaniu styczniowym, czyjaś rodzinna pamiątka. W szkole jego patrol ma pierwsze zadanie: obserwator donosi, że w domu naprzeciwko z okna na drugim piętrze jakiś mężczyzna uporczywie przygląda się powstańcom. Szpieg? „Sęp”, „Kobuz” i „Jur I”

biegną z groźnymi minami na górę. Okazuje się, że to niespokojny ojciec jakiejś dziewczyny: „Mieszkała tam polska rodzina, a gospodarz stale patrzył przez okno, bo dwie godziny wcześniej jego jedyna córka została wezwana i poszła na punkt mobilizacji”¹. W mieszkaniu targanych niepokojem rodziców anonimowej sanitariuszki patrol zostaje podjęty ostatnim przed powstaniem obiadem.

„Naprawa” dzieli trzydziestoosobowy pluton na trzy drużyny. „Sęp” zostaje dowódcą drugiej. O szesnastej do szkoły dociera łącznik z rozkazem koncentracji na cmentarzu i informacją, że powstanie rozpocznie się o siedemnastej.

Trzydziestu ludzi maszeruje przez Wołę jak prawdziwe wojsko, Niemcy – patrole i żołnierze w przejeżdżających ciężarówkach – „chyba udają, że nas nie widzą” („Sęp”). Pluton „Naprawy” bez problemów dociera na cmentarz. Towarnicki wsiada do opla i na kilkadziesiąt minut znika.

Tam, na cmentarzu, pierwszy raz zobaczyliśmy, jak nas jest dużo! Ze tyłu chłopaków i sanitariuszki... Z samego 993/W było prawie stu ludzi. Wszyscy siedzieli przed tymi nagrobkami, mieli już opaski biało-czerwone na cywilnych w większości ubraniach. Wcześniej nigdy kompania do kupy zebrana nie była, a teraz to robiło wrażenie. Byłem wzruszony, był taki entuzjizm, czuliśmy się wolni, będąc tam w takiej gromadzie. Śmiechy, żarty, jak na jakimś obozie harcerskim. I tam przedstawiono nam majora „Okonia” jako dowódcę batalionu; widzieliśmy go po raz pierwszy.

O atmosferze panującej tuż przed i w pierwszych godzinach powstania, również o dowódcy plutonu złożonego z żołnierzy 993/W wiele mówi scena opisana przez Roberta Bieleckiego w książce *Przeciw konfidentom i czołgom*:

„[...] kiedy już zewsząd słychać było odgłosy walki, na cmentarz wjechał z fasonem wiśniowy opel. Wsiadł z niego »Naprawa« ze zdobyczą wojenną – wielką flagą ze swastyką, zerwaną po drodze z jakiegoś niemieckiego gmachu. Dowódca plutonu prezentował się znakomicie, miał na sobie doskonale skrojony polski mundur wojskowy, długie buty, a na piersi Krzyż Walecznych z okuciem. To po to pojechał oplem na Chmielną do domu, aby »po wojskowemu« przystąpić do Powstania. Było w tym coś z tradycji wychowanków francuskiej Szkoły Wojennej Saint-Cyr, którzy poprzysięgli sobie w sierpniu 1914 roku ruszyć do pierwszego ataku w galowych mundurach,

z pióropuszcami – niezależnie od konsekwencji takiego czynu.

»Naprawa« wręczył zdobyczną flagę »Okoniowi«. Ten obejrzał ją ciekawie – zachowała się nawet fotografia tej sceny. »Okoń« w pumpach i cyklistówce, obok »Naprawa« w polskim mundurze oficerskim”².

Ryszard Bielański, „Rom”, we wspomnieniach *Prawie życiorys* pisze:

„To nie jest ten normalny, opanowany Tadeusz [Towarnicki, »Naprawa«]. Szybki w decyzji był zawsze, ale równocześnie trzeźwy w ocenie sytuacji. Teraz jakby pękła jakaś tama, przegroda. Emocje wzięły górę”³.

„Burza” (Stanisław Bąk) przybiega na cmentarz z meldunkiem, że na Okopowej stoją trzy zatrzymane ostrzałem powstańców niemieckie ciężarówki. Żołnierze Wehrmachtu uciekli, kilku zginęło. Nie można nie skorzystać z takiej okazji. Major „Okoń” chce sprowadzić samochody na cmentarz: może być w nich więcej broni, a i same wozy mogą się przecież przydać. Zadania podejmuje się „Naprawa”, dobiera sobie dziesięciu ochotników z plutonu. Są wśród nich „Sęp”, „Rom”, „Kobuz”. Podwórkami docierają do Okopowej. „Rom” wspomina, że ciężarówki stały na środku ulicy, zwrócone w stronę Powązek, silnik jednej z nich jeszcze pracował, przed uchylonymi drzwiami szoferki leżał niemiecki żołnierz. Powstańcy dopadają bramy pod numerem 25, jest zamknięta. „Naprawa” widząc, że przez otwory w bramie patrzą na nich przestraszone oczy mieszkańców budynku, każe otworzyć. Staje po lewej stronie bramy. „Rom”: „[na ulicy] porozrzucana broń, a wśród niej ręczny karabin maszynowy MG. Oczy nam zalśniły. Toż to dzisiaj majątek. Niemcy ukryli się po drugiej stronie ulicy. Ale gdzie? W którym mieszkaniu? Pocisk uderzył w mur obok »Naprawy«. Tadeusz zauważył, z którego okna Niemiec strzelał, i posłał w tym kierunku kilka pocisków z visa. Ja przyłożyłem się z błyskawicy i puściłem serię. Nie zwróciłem uwagi, że strzelam tuż przy prawym uchu »Naprawy«. Tadeusz odwrócił się i krzyknął ze złością, trzymając się za ucho: »psiakrew, ogłuszył mnie«. Odwrócił się do szkopów i w tym momencie trafił go pocisk z karabinu. Upadł do tyłu, zzieleniał momentalnie na twarzy. »Chłopcy, zabierzcie mnie«”⁴.

Żołnierze kładą dowódcę na wyjętych z futryny drzwiach, kilku ludzi zanoszą go do punktu sanitarnego przy Karolkowej.

Dowodzenie akcją przy Okopowej obejmuje Lucjan Wiśniewski. Każe zamknąć

bramę, nie chce, by Niemcy strzelający z naprzeciwka znowu kogoś trafili. „Rom” dyskutuje z rozkazem młodszego dowódcy, chce pomścić „Naprawę”: „»Jak to, zranili nam dowódcę i mamy tego nie pomścić? I to jakiego dowódcę!«. Stoję w bramie i czekam na okazję. Niedługo czekałem. Wywróciłem się do tyłu”... Strzał, kula uderza tuż obok. Gdy „Rom” upada, „Sęp” jest przekonany, że oddział ma kolejnego zabitego: To już drugi! – krzyczy z rozpaczą. Ale „Rom” żyje. Zamykają bramę, obserwują ulicę. Później wycofują się na cmentarz. Bez zdobycznych ciężarówek i broni. I bez „Naprawy”.

Tadeusz Towarnicki umiera na stole operacyjnym – ma przestrzeloną wątrobę, lekarz w punkcie w domu starców przy Karolkowej jest bezradny.

Ilekoć jedziemy samochodem z Lucjanem Wiśniewskim z Bielan, gdzie mieszka, na Ochotę, bo tam, zgodnie z jego życzeniem, najczęściej nagrywamy rozmowy, nasz bohater zawsze wskazuje na dom przy Okopowej 25. To tutaj – mówi – tutaj zginął Tadeusz, „De Vran”, „Naprawa”, nasz dowódca. Brama znajdowała się gdzieś pomiędzy obecnym zakładem fryzjerskim a pralnią chemiczną. Dom niczym się nie wyróżnia wśród innych budynków Woli.

W swoich robiących wielkie wrażenie wspomnieniach „Rom” Bielański, pisząc o śmierci Tadeusza Towarnickiego, stwierdzi rzecz znamioną, wydaje nam się, bardzo istotną dla tej opowieści, że żołnierze 993/W – w czasie okupacji specjalizujący się w wykonywaniu wyroków – w powstaniu chcieli walczyć jak liniowi żołnierze, a nie wykonujący tajne rozkazy zabójcy: „Przyczyny naszej porażki na Okopowej były oczywiste. Brak doświadczenia w walkach ulicznych. To nie były akcje bojowe [akcje wykonawcze 993/W]. Błyskawiczne działanie i odskok. Marzył nam się otwarty atak, nie zabijanie ludzi, wykonywanie wyroków, ale żołnierski atak, twarzą w twarz. Euforia pierwszej godziny wolności. Akcja niepasująca do zawsze kalkulującego Tadeusza, dbającego o całość swoich żołnierzy. Akcja nieprzemyślana [...]”. „Pluton pozbawiony tak wybitnej indywidualności przygasł. To nie był strach, nic z tych rzeczy. Żołnierze plutonu robili to, co do nich należało, uczciwie i nie gorzej niż inni. Zabrakło jednak tej iskry bożej, detonatora, napędu do czynów wielkich. [...]”⁵.

Pierwszy dzień powstania to nie był dobry dzień.

Kolejne też nie były dobre.

Ale w innych oddziałach bywało lepiej w tych pierwszych godzinach walki. Kiedy wróciliśmy na cmentarz, kompania przyjęła nazwę „Zemsta” w związku ze śmiercią „Naprawy”. Żeby go pomścić. A Batalion Specjalny nazwano „Pięść”. Odbył się pogrzeb „Naprawy”, chyba jedyny z salwą honorową, bo potem amunicję trzeba było już oszczędzać.

Czy długa i heroiczna **obrona cmentarzy wolskich** miała jakikolwiek sens? Dyskusja na ten temat trwa od wielu lat. Pewne jest to, co dość wiernie pokazał Jan Komasa w filmie *Miasto '44*: nagrobki i cmentarne alejki nie nadawały się do prowadzenia działań. Rozbijany eksplozjami kamień raził nie gorzej niż odłamki i między innymi temu należy przypisać ogromne straty wśród elitarnych przecież oddziałów AK.

Właściwe walki o cmentarze wolskie zaczęły się 6 sierpnia i trwały przez kolejne sześć dni. Wcześniej – już 3 sierpnia – zaczęły się bombardowania z powietrza. Jako pierwsi o horrorze walk wśród grobów przekonali się żołnierze „Parasola”. Zaatakowały ich sztukasy.

„– Lotnik! Kryj się! – wrzasnął Jacek. Kryli się, gdzie mogli. Stare murowane grobowce rodzinne były najlepszym schronieniem. Z niektórych odsunięte już były ciężkie płyty przykrywające wejście, wskakiwali więc do grobów, rozpląszczali się na ziemi, między trumnami.

Straszliwy huk walących w ziemię bomb, łoskot odłamków bijących w kamienne groby. Ziemia trzęsła się [...] Wychodzili z grobowców, z przerażeniem patrzyli na zmieniony krajobraz; leje po wybuchach bomb, porozwalane groby, trumny wyrzucone na wierzch, poprzewracane drzewa, krew, jęki rannych”⁶.

Rano 6 sierpnia, gdy wielohektarowy teren nekropolii zaatakowały oddziały generała Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, cmentarzy bronili żołnierze Kedywu pod dowództwem Jana Mazurkiewicza, „Radosława”. Obronę utrudniała fala uciekinierów z Woli. To wtedy podpułkownik „Radosław” wysłał pułkownikowi „Monterowi” słynny meldunek:

„Szykuje się olbrzymia tragedia, tak jak historyczna rzeź Pragi. Robię, co mogę,

by tę tragedię zmniejszyć, przepycham ludzi przez Powązki – postaram się trochę na Stare Miasto, ale co zrobić z tą masą młodzieży bezbronnej? Jeżeli możecie dać pomoc – to szybko, godzin zostało niewiele. Kijem nikogo nie obronię”.

Kolejne dni to piekło. Cmentarze atakowane były z powietrza, przez piechotę, która podciągnęła artylerię, i przez czołgi. Do AK-owców strzelały również działa pociągu nr 75. AK-owcy dysponowali zaledwie kilkoma ciężkimi karabinami maszynowymi. Broń zdobywali na wrogu. Udało im się przejąć i uruchomić dwa ciężkie niemieckie czołgi. Cmentarze kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Walki toczyły się o pojedyncze alejki, niejednokrotnie na bagnety.

„– O, szkop!

– Strzelaj!

Widzę, jak na ścieżkę wybiegł Niemiec. Widzę wypięte pośladki i błyszczący, zielony hełm. Z moim okrzykiem zlewają się strzały »Małego« i »Jastrzębia«. Szkop pada na ziemię, a następnie usiłuje się wyczołgać na ścieżkę. Lecz nie zdążył – jeszcze dwa strzały i wykończony”⁷.

Zmęczone oddziały powstańcze nie zawsze rozpoznawały, kto swój, a kto obcy. 7 sierpnia grupa plutonowego podchorążego Tadeusza Schiffersa, „Skalskiego”, stała się ofiarą *friendly fire*.

Batalion „Parasol” wycofał się na Starówkę 9 sierpnia. Obronę kontynuowano jednak w rejonie cmentarza katolickiego. Gdy ulicą Okopową Niemcy przypuścili atak czołgami, odparła je zdobyczna pantera. Jednocześnie polska załoga rozbiła niemieckie stanowisko na wieży kościoła Korola Boromeusza. Tego samego wieczoru Niemcy rozpoczęli kolejne uderzenie na cmentarz żydowski. W dzienniku bojowym niemieckiej 9. Armii pod datą 10 sierpnia sprawozdawca mógł napisać: „W Warszawie nasze grupy szturmowe posuwają się powoli”.

Siły powstańcze w rejonie cmentarzy stopniały do około siedmiuset żołnierzy, a gdy wycofały się na Starówkę, kontynuować walkę mogły tylko „Zośka”, „Parasol” i „Czata 49”. Reszta oddziałów była zbyt wykrwawiona, by samodzielnie objąć linie obronne.

Oczywiście, nie chodziło o obronę cmentarzy, bo były cmentarzami: chodziło

o powstrzymanie niemieckiego natarcia z zachodu i danie czasu Starówce na przygotowanie obrony. Poza tym równoległe z obroną cmentarzy Zgrupowanie „Radosław” przeprowadziło kilka udanych operacji, między innymi udało się zdobyć „Gęsiówkę”. Na dalszy opór zabrakło jednak sił.

„Wiuuuu... wiuuuu... Gwałtowne, suche kłaśnięcie o kamień, za którym leżę. Potem metaliczny dźwięk lokomotywki. Cichy okrzyk przy cekaemie. »Dzik« już dostał. Granatniki szukają naszego kaemu. Głuche wybuchy zbliżają się nieubłaganie ku nam [...] Rozsadzający czaszkę huk. Potwornie gorąco, jakby strumień ukropu ochlustał ciało. Coś rozwibrowanego rwie płuca. Coś zatyka, dusi, dławi, skręca w piasku stanowiska. Piekielny ból, jakby roztrzaskanego drągiem piszczela. Usta chwytają piasek. Szal mgły przesłania oczy. Ktoś z tyłu skulony woła:

– Sanitariuszka! sanitariuszka!”⁸.

Obrona Woli zakończyła się 11 sierpnia.

Już kilka dni siedzieliśmy na tym cmentarzu. Żywiły nas zakonnice w szarych habitach, prowadziły tam dom starców. I one nam gotowały z przyniesionych zapasów. Spaliśmy na ostatnim piętrze, na drewnianej podłodze. Mieliśmy jakieś koce, owijaliśmy się w nie. Chłopaki na zewnątrz mieli gorzej, już pierwszego sierpnia w nocy padał deszcz, a oni leżeli między grobami, obudzili się mokrzy, chowali się do grobowców. Staruszków żadnych w tym domu nie widziałem. Może siedzieli na dole.

Obniżyliście średnią wieku w tym domu starców. Znacznie. A najcięższa walka zaczęła się w pana rejonie 5 i 6 sierpnia.

Tak. Moja drużyna dostała odcinek przy głównym wejściu na cmentarz, od zachodu, to była ulica Młynarska. Zostaliśmy ustawieni koło wielkiej kaplicy Halpertów. Blisko niej były dwie dziury – dwa wykute wyjścia w litym murze, grubym chyba na dwie cegły. Z tamtej strony Niemcy kilka razy atakowali, a przez te otwory nasi wychodzili na zewnątrz i strzelali. Na górze muru raczej nie można było ludzi stawiać, bo byliby łatwym celem. Więc te otwory w murze

były ważne. „Porawa” przyprowadził mnie wieczorem i zapowiedział, że następnego dnia będę z drużyną tych przejść pilnował. Przydzielono mi też naszego „Felka” [„Kurzawa”, Ryszard Czarnecki]⁹ – jako celowniczy obsługiwał karabin maszynowy, razem ze swoim asystentem, amunicyjnym. To był karabin polskiej armii z września '39, „Felek” strasznie chciał z niego strzelać i strzelał bardzo dobrze. I przydzielano „Felka z karabinem” tam, gdzie miało być szczególnie ciężko. Więc przeczuwałem, że może być trudno następnego dnia. Zrobił się świt, idziemy i widzę, że przed jedną z dziur w murze nasi saperzy w nocy zbudowali porządną bunkier! Z płyt cmentarnych. Z bunkra można było prowadzić świetny ostrzał w kierunku Koła, wzdłuż Obozowej i w Młynarską. Przed murem był chodnik, naprawdę dobrze to było pomyślane, bunkier był półokrągły, trzech ludzi mogło się w nim zmieścić. No i ustawiłem „Felka z karabinem”, obok niego amunicyjnego [prawdopodobnie był to „Ulewa” – Ryszard Węgrzynowicz], żeby taśmy podawać, ja usiadłem za nimi, za ich plecami. Dwóch chłopaków wysłałem na zewnątrz drugą dziurą. Zrobiło się widno, ale na razie żadnego celu, cicho. Po jakimś czasie widzimy, jak Żytnią przebiegają żołnierze niemieccy i powoli zaczyna się poranny atak, ale niemrawo. „Felek” od czasu do czasu strzela pojedynczym ogniem. Od tego bunkra do Żytniej mieliśmy jakieś trzysta, może czterysta metrów. I widzę, że z Żytniej, od strony Koła, czyli od Zachodu, wyjeżdża czołg! Odwraca lufę w naszym kierunku, choć na razie lufa jest zadarta wysoko ku górze, czołg chyba jeszcze nie jest nastawiony na strzelanie. Ale to nasz bunkier będzie celem! Wiemy, że zacznie się dziać, jesteśmy w pogotowiu, wyglądam zza głów tych chłopaków – „Felka” i amunicyjnego. Widzę, że z domu na rogu Żytniej i Młynarskiej po prawej stronie Niemcy wypędzają ludzi. Najpierw jakaś kobieta, potem mężczyzna, potem jakieś dzieci, kilkoro, widać, że z bramy wychodzą, pokazują się, coraz więcej ludzi. I Niemcy formują ich w kolumnę przed czołgiem. Pierwszy raz coś takiego widziałem, pierwszy raz się z tym zetknąłem. Nie wiedziałem, co robić. „Felek” mierzy, ale widzi tych ludzi przed czołgiem. Cisza się zrobiła. Poklepałem „Felka” po ramieniu i mówię: puść serię w powietrze. Puścił ponad głowami tych ludzi, a oni zaczęli klękać, pochylać się. I zaraz potem widzę, że lufa czołgu zaczyna się opuszczać, czyli zaraz walną salwę w nas.

„»Felek«, uciekaj!” – krzyczę, żeby brał karabin i do dziury w murze. Szybko! Przecisnął się zaraz po amunicyjnym, a potem ja. I wtedy usłyszałem pierwszy strzał czołgu. I ocknąłem się po drugiej stronie. Taki to był mój bohaterski wyczyn.

W porę pan ludzi wycofał, uratował pan ich. Refleks i szybka decyzja. To chyba dobrze.

Kilka metrów od muru stał major „Okoń” i wszystko to widział. Od strony kaplicy Halpertów rzeczywiście chyba efektownie to wyglądało: amunicyjny, jak się przeczołgał, zaczął krzyżeć, że czołg zaraz będzie strzelał, potem wylazł z dziury „Felek”. A potem ja, dowódca drużyny, jak cyrkowiec, że niby rzucam się przez dziurę w murze, wybuch, a ja szczupaka daję. Wcześniej zdecydowanymi rozkazami ewakuowałem chłopaków i karabin maszynowy. Bohater! Tak to wyglądało pewnie i tak sobie pomyśleli. Tylko że to był całkowity przypadek, bo co innego miałem robić?

A „Felek”-„Kurzawa”?

Zginął trochę później. Mierzył do snajpera, który nas nękał, chciał go zdjąć jednym strzałem, żeby oszczędzać amunicję. Trochę konkurował z „Zawieją”¹⁰, który chwilę wcześniej zastrzelił jakiegoś Niemca z bardzo dużej odległości. I „Kurzawa” mierzył dość długo, skupiony, patrzymy na niego, bo to naprawdę strzelec świetny, czekamy, on mierzy i mierzy, napięcie, i już, już, gdy naciskał spust – trafili go w czoło! Widziałem to, i kilka innych osób też. To było tak, jakby jeden strzał nałożył się na drugi. Tył głowy wyrwany, śmierć na miejscu, dosłownie na naszych oczach. „Felek” zginął ze swoim karabinem, ze swoim elkaemem w dłoniach. To było chyba 8 sierpnia. Przy tym domu starców.

Dom starców, potężny szary gmach wcześniej służący jako „kwatery”, teraz stał się redutą, wyspą – najważniejszym punktem umożliwiającym powstańcom kontrolowanie ważnego skrzyżowania Karolkowej z Żytnią. Niemcy wielokrotnie próbowali zdobyć kompleks. Major „Okoń” decyduje, że dom będzie utrzymywany przez batalion „Pięść”.

Dowódca batalionu (w rzeczywistości dowódca jednej kompanii „Zemsta”, która wtedy „tworzyła” batalion) porucznik „Porawa” do obsadzenia domu starców wyznacza pluton podchorążego „Andrzejewskiego”¹¹. Piętnastu ludzi przed świtem 8 sierpnia zajmuje pozycje. Bronią domu przez cały dzień, do wieczora. Jeden niemiecki atak przechodzi w kolejny. „Sęp” wspomina bieganie po piętrach wielkiego gmachu: należało często zmieniać pozycje, bo dłuższe pozostawanie przy jednym oknie oznaczało, że Niemcy zdążą się „wstrzelać” w cel i z łatwością uśmiercą powstańców. Co kilka minut w budynek uderzał pocisk wystrzelony ze stojących na ulicy Karolkowej czołgów¹².

„Sęp” zamiast okna ma przy swoim stanowisku dziurę w ścianie wielkości samochodu. Kule świszczą mu nad głową, cofa się w głąb pomieszczenia, w przeciwny kąt. Powstańcza szkoła – patrzeć przez okno, będąc jak najdalej od okna – widzieć, będąc niewidocznym.

To był ciężki dzień, od świtu do nocy cały czas strzały. Cały czas. Wtedy nie wiedzieliśmy, że za nami, na cmentarzach [ewangelickim i kalwińskim] kontratakują „Parasol” i „Zośka”. To pomogło nam się utrzymać. I również to, że niemieckie oddziały na tym odcinku to – jak się okazało – była trochę zbieranina, Ukraińcy i tak dalej. Oni nawet jak byli dobrze wyszkoleni, to walczyć nie bardzo chcieli, bo zobaczyli, że wbrew temu, czego się spodziewali, łatwo z nami nie będzie. Wieczorem nas wycofano.

Potem Starówka.

Poszliśmy podwórkami na Okopową, przebiegaliśmy przez stadion „Skry”. Dużo szczęścia. Przedzieraliśmy się przez getto, to była już pustynia z takimi dołami, w których odpoczywaliśmy, bo każdy zasypiał, jak stał. Na Starym Mieście mieliśmy postój przy Świętojerskiej. Tam do nas, czyli do „Pięści”, przyszedł major „Okoń”.

I wtedy stało się coś dziwnego. Robert Bielecki opisuje tę scenę na podstawie wspomnień żołnierzy porucznika „Porawy”, m.in. „Sępa”. Teraz Lucjan Wiśniewski potwierdza, że zdarzenie miało miejsce, choć szczegóły zatarły się już trochę w jego pamięci. Scena jest jednak ważna, może ilustrować rozterki, jakie po ośmiodniowej

walce na Woli miał major „Okoń”, później bardzo różnie oceniany zarówno przez niektórych podwładnych, jak i historyków (o czym będzie jeszcze mowa).

Major „Okoń” „wezwał do siebie por. »Porawę« i niespodziewanie oświadczył, że »ci, co chcą, mogą bez żadnych konsekwencji służbowych wystąpić z wojska i przejść do cywila«. »Porawa« – zdziwiony – zebrał swoich ludzi i powtórzył im słowa majora. »Zaległa cisza – wspomina ‘Sęp’ – aż nagle ktoś w szeregu zaintonował, a wszyscy zaraz podchwycili: ‘Oto dziś dzień krwi i chwały’. Nigdy jeszcze z takim zapałem nie śpiewaliśmy *Warszawianki*. Kiedy pieśń dobiegła końca, major zapytał: ‘Kto chce odejść z oddziału, niech wystąpi’. Nie wystąpił nikt. Znowu zaległa cisza, jedynie major ledwie słyszalnym głosem powiedział: ‘Dziękuję wam, żołnierze’«”¹³.

To trochę dziwne. Na szykującej się do obrony, jeszcze spokojnej Starówce „Okoń” mówi do żołnierzy w ten sposób?

Miał na myśli to, że jeżeli ktoś nie czuje się na siłach, jest osłabiony, ranny, to może odejść, żeby nie być obciążeniem dla innych. On widział, że padamy ze zmęczenia. Chyba o to mu chodziło.

Wieczorem, po dniu odpoczynku „Porawa” otrzymuje rozkaz, by jeden z plutonów „Pięści” przerzucić z powrotem na Wolę, do wsparcia wciąż walczących tam oddziałów „Radosława”. Jednocześnie wysłała dwuosobowy patrol: „Karasia” (Hieronim Szpalerski) i „Sępa”, w kierunku Dworca Gdańskiego, by rozpoznać sytuację pomiędzy dworcem a Powązkami.

Major „Okoń” chciał wiedzieć, czy można przebić się przez tory gdańskie na Żoliborz albo na Powązki. Znałem trochę te tereny i dlatego się zgłosiłem. Podczołgaliśmy się tam, w trawie, w chaszczach. Był już półmrok, przed nami jeszcze trochę jaśniejsze niebo, bo to jest północno-zachodnia strona. Miałem lornetkę, jedną ze zdobytych przed powstaniem. Patrząc. I po lewej na tle zachodu słońca widzę tory obsadzone idealnie, Niemcy zrobili z nich regularną linię obrony: stanowiska ogniowe, gniazda karabinów, gdzieś dalej pociąg. Było oczywiste, że o przejściu w okolicach Dworca Gdańskiego można zapomnieć. To było niemożliwe.

Tymczasem pluton pod dowództwem „Andrzejewskiego” wysłany na Wolę walczy w garbarni Temlera. Reszta „Pięści” broni ulicy Stawki – Niemcy chcą odciąć Wolę od Starego Miasta, a jedyna droga to przestrzeń ruin getta i właśnie Stawki.

10 sierpnia przed południem major „Okoń” zostaje wezwany do pułkownika „Radosława” na stanowisko dowodzenia przy ulicy Świętej Kingi. Towarzyszy mu „Porawa”. Po drodze, na terenie getta, oficerowie z kilkunastoma żołnierzami obstawy dostają silny ostrzał z karabinów maszynowych. Ranna zostaje m.in. sanitariuszka „Teresa”, Izabella Horodecka.

To wtedy „Okoń” usłyszał od „Radosława” rozkaz przejścia z niewielką grupą do Kampinosu, objęcia dowództwa tamtejszego zgrupowania i organizowania pomocy walczącej Warszawie. Chodzi o przekazywanie broni zrzuconej nad Kampinosem i być może – w co wciąż wierzy część powstańców – przyjęcie desantu: brygady spadochronowej generała Sosabowskiego. Major mówi o rozkazie „Porawie”, zdaje dowodzenie batalionem i szykuje się do drogi.

I ma jeszcze jedną prośbę, bo raczej nie rozkaz: chce wziąć ze sobą młodego dowódcę drużyny, który na cmentarzu ewangelickim brawurowo wyskoczył z eksplodującego bunkra, wcześniej ratując swoich ludzi. Major pamięta nawet pseudonim podchorążego: „Sęp”.

¹ L. Wiśniewski, „Sęp”, *Mobilizacja powstaniowa 2-go plutonu komp. „Zemsta”*, maszynopis z lat sześćdziesiątych; archiwum prywatne autora.

² J. Kulesza, R. Bielecki, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 310.

³ R. Bielański, *Prawie życiorys...*, dz. cyt., s. 63. O atmosferze na cmentarzu ewangelickim tuż przed wybuchem powstania pisze również we wspomnieniach „Agaton” (porucznik Stanisław Jankowski), w opisie scen nawiązując do reporterskich zdjęć robionych na cmentarzu przez „Kubusia” (Stefana Bałuka).

⁴ Tamże, s. 63–64.

⁵ Tamże, s. 64–65.

⁶ Danuta Kaczyńska, *Byli żołnierzami Parasola*, Warszawa 1985, s. 202.

⁷ Bogdan Deczkowski, *Obrona cmentarza*, w: Tadeusz Sumiński [red.], *Pamiętniki żołnierzy baonu AK „Zośka”*, t. 1: *Wola*, Warszawa 2012, s. 173.

⁸ Stanisław Lechmirowicz, *Ostatni dzień na kirkucie*, w: T. Sumiński [red.], *Pamiętniki żołnierzy...*, dz. cyt., s. 210–211.

⁹ Ryszard Czarnecki, „Kurzawa”, „Felek” (1921–1944); kapral podchorąży, najpierw był żołnierzem „Baszty”, potem mokotowskiej grupy 993/W. Uczestniczył m.in. w akcji „Za Kotarą”.

¹⁰ Janusz Krzymowski, „Zawieja” (1923–1992), kapral podchorąży, w powstaniu na Woli, Starym Mieście, kanałami przeszedł do Śródmieścia. Trafił do stalagu w Lamsdorf, w 1946 roku wrócił do Polski.

¹¹ Andrzej Zawadzki, „Andrzejewski” (1920-1997), podporucznik,. Z Woli przeszedł na Stare Miasto, potem kanałami do Śródmieścia. W batalionie „Pięść” walczył razem z ojcem.

¹² Obrona domu starców jest tematem wielu wspomnień, m.in. „Zenka” – Andrzeja Jabłońskiego (1923–1994), podchorążego, i „Andrzejewskiego”.

¹³ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 353.

Rozdział 16

Mieliśmy płynąć niczym gondolą przez ulice Wenecji

Po dwóch dniach przygotowań grupa majora „Okonia” jest gotowa do wejścia do kanałów i podjęcia próby przejścia nimi na Żoliborz. Jeszcze nikt nie wie, jak jest pod ziemią, jeszcze prawie nikt nie próbował wykorzystać kanałów jako drogi ewakuacji. Kanały swoje „wielkie” chwile będą miały później, za kilkanaście dni... Teraz niewiele osób wie, jak się w nich poruszać, czego unikać i jak sobie radzić. W grupie majora pada pomysł zabrania do kanałów... wielkich samochodowych dętek jako kół ratunkowych.

Nikt nie miał pojęcia, jak to może wyglądać. Z dętkami to była utopia. Ale najpierw ktoś musiał zejść na dół, zobaczyć, jak tam jest. Major patrzył na mnie takim wymownym wzrokiem. On chyba wierzył, że ja mam szczęście. Tak patrzył, patrzył, no to się zgłosiłem...

Lucjan Wiśniewski dokonuje pierwszego rekonesansu – kilkusetmetrowej „wycieczki”. Był jednym z pierwszych żołnierzy AK na Starówce, którzy w czasie powstania zeszli do kanałów. Z tej zwiadowczej wyprawy, a potem z całej drogi na północ, w latach osiemdziesiątych zdał dokładne sprawozdanie. Pożółkłe strony maszynopisu przechowywane są w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Przytaczamy ten tekst prawie w całości:

„W dniu 10 sierpnia 1944 r. otrzymałem od mjra »Okonia« rozkaz przygotowania się do przejścia z nim kanałami na Żoliborz, a stamtąd do Kampinosu po posiłki dla oddziałów walczących w Warszawie.

Na kwaterze majora poznałem swoich współtowarzyszy. Byli to: znany mi por.

»Włodek« (Edmund Śłużyński) – adiutant majora z okresu [walk na] Woli, mój kolega baonowy »Gozdawa«, dwie łączniczki z kompanii pancерnej (jednej pseudonim »Czarna«), pchor. »Garbaty« (Zbigniew Gąsior) z »Parasola« oraz dwóch przewodników – pracowników MZK, którzy znali kanały i warunki w nich panujące.

Następnego dnia od rana zajęliśmy się skrzętnie przygotowaniami do zejścia do kanałów. W myśl rady przewodników należało zmontować coś w rodzaju promu z dętek samochodowych, powiązać je, na końcu obciążyć i płynąć choćby do Wisły, jeśli pozwolą na to kraty przy wylocie na Bielanach. Wieczorem wszystko było gotowe. Nasi przewodnicy znaleźli dla każdego dętkę takich rozmiarów, jakich dotychczas nie widziałem. Mieliśmy kilkaset metrów lin, latarki elektryczne i górnicze, lewar do ewentualnego otwarcia wjazdu oraz inne drobiazgi. Zapewniali nas, że będziemy płynąć do celu niczym gondolą przez ulice Wenecji.

O głupia naiwności ludzka, która kazała nam wszystkim w to wierzyć! Ja właśnie byłem tym, który miał możliwość pierwszy się rozczarować. Terenem naszych przygotowań była remiza tramwajowa na Muranowie, stąd też mieliśmy wchodzić do wjazdu. W trakcie przygotowań ktoś musiał zejść do kanałów, by zbadać stan wody. Wybór padł na mnie. Do kanału głównego, który biegł gdzieś w rejonie Bonifraterskiej, trzeba było wejść kanałem bocznym, jak mówili nasi przewodnicy, nie dłuższym jak 30–40 m. Z polecenia majora miał pójść ze mną »Gozdawa«. Z trudem otworzyliśmy wjazd, skąd buchnęło na nas cuchnącą stęchlizną. Zaopatrzony w długi kij i latarkę na piersiach, wchodziłem do wjazdu, a za mną »Gozdawa«. Kiedy znalazłem się na dole, zobaczyłem kanał, którym mieliśmy iść. Miał około 60 cm wysokości i nieco mniej szerokości i aby wejść do niego, nie wystarczyło się nachylić, należało stanąć na czworakach. Ciężko jest człowiekowi zmienić sytuację dobrą na gorszą, ale to, czego doświadczyłem w tym kanale, przerosło wszelkie moje pojęcie. Odór, brak powietrza, oślizgłe, lepkie ściany i beznadziejnie niewygodna pozycja stwarzały makabryczne warunki. Po krótkim czasie idący za mną »Gozdawa« krzyczy, że jest sercowy i w takich warunkach nie może iść. Polecam mu, aby wrócił. W kanale nie ma mowy o odwróceniu się, »Gozdawa« musi więc wycofywać się tyłem. Wyobrażam sobie, jak on to znosił. Posuwam się wciąż na przód, nie mam pojęcia, ile mogłem przejść, ale wydaje mi się, że te 30–40 metrów mam poza sobą. Najbardziej przeszkadzał mi kij, chciałoby się go zostawić, ale nie będę miał

czym zmierzyć wody. Wydaje mi się, że idę już bardzo długo. W serce wkrada się niepokój, czy ten kanał doprowadzi w ogóle do głównego. Zdawało mi się, że uszedłem co najmniej 100 m i jeżeli pójdę dalej, a trzeba się będzie wycofywać tyłem, to już przekroczy moje siły. Tylko ambicja każe mi iść naprzód. Nareszcie w jednostajne dudnienie wybuchów dochodzące z powierzchni ziemi wdarł się jakiś szum. Doszedłem do głównego kanału. Jestem diabło zmęczony, ale wygląd tego kanału sprawia, że nabieram pewności siebie. Kanał jest wysoki, szeroki, nie trzeba się w nim wcale schylać. Mierzę wodę i stwierdzam, że sięga mi prawie do pasa lub jeszcze wyżej, i że ma szybki prąd. Trochę mnie to niepokoi, ale przecież to wszystko nic, bo można tu iść wyprostowanym. Drogę powrotną znoszę o wiele łatwiej, teraz wiem, że do wjazdu dojdę na pewno. Przy wjeździe spotykam ekspedycję, która szła mi na ratunek. W kanale byłem półtorej godziny. Wygląd mój nie jest zbyt zachęcający, widzę to po rozwartych zdumieniem oczach łączniczek.

Okazuje się, że nasi przewodnicy prawie wcale nie znają kanałów i największym w tej chwili znawcą warunków kanałowych jestem ja. Oznajmiam majorowi, że jest wykluczone, abyśmy mogli, tak jak pierwotnie to było zamierzone, przenieść do głównego kanału łańcuch ważący około 100 kg. Dla obciążenia naszych dętek. Uważam, że kanał boczny ma 150 do 200 m długości i że trudno będzie przejść nim z tyloma drobnymi rzeczami, które mamy ze sobą zabrać. Zapada decyzja, że jednak dętki bierzemy, łańcuch będzie też, ale mniejszy.

Tuż opodal warsztatów remizy stoi wysoki dom mieszkalny. Kończymy przygotowania, gdy rozlega się ryk krowy, potem następny. Każdy odruchowo szuka jakiejś osłony. W miejscu, gdzie stoimy, tylko stół warsztatowy może nią być. Jest z grubych bali, masywnie zbity. Pierwszy wybuch wtłacza nas po prostu pod stół. Robi się ciemno od kurzu, coś się wali. Padają kolejne pociski, następuje gwałtowny wzrost temperatury, nie ma czym oddychać. Chociaż jestem prawie głuchy, słyszę, że coś się jeszcze wali, czuć drganie podłogi. Dużo czasu mija, zanim mogę coś zobaczyć. Zaczynamy się nawoływać. Okazuje się, że wszyscy są cali, tylko prawie głusi i ślepi. W miarę opadania kurzu oczom naszym ukazuje się obraz olbrzymiej ruiny. Druga połowa hali jest cała zawalona. Przygotowanych przez nas przedmiotów nie możemy odnaleźć. Okazuje się, że miny trafiły w dom dotykający remizy i część jej została

zasypana. Dom był bodaj czteropiętrowy, teraz skrócił się o połowę.

Wyjście nasze opóźnia się, ponieważ część dętek została uszkodzona.

Jeszcze raz idę zmierzyć wodę. Wydaje mi się, że się podniosła. Przygotowania są wreszcie ukończone i wchodzimy do kanałów. Najbardziej współczuję »Gozdawie«, który na piersiach niesie lewar ważący około 15 kg. Jak on przy jego chorym sercu da sobie radę z tym ciężarem? Z olbrzymim trudem, transportując dętki, liny, łańcuch i osobiste drobiazgi, dostajemy się do głównego kanału.

Nasi przewodnicy chcąc się zrehabilitować za to, że wprowadzili nas w błąd swoją rzekomą znajomością kanałów, pracują teraz bardzo ofiarnie. Co chwilę wchodzi ktoś z napompowaną dętką, którą wiąże się liną z następną. Przychodzi kolej i na mnie.

Po cuchnącej mazi w bocznym kanale wydaje mi się całkiem przyjemnie w kanale głównym, wyobrażałem to sobie nawet gorzej. Woda jest dość czysta, czuje się nieprzyjemną woń, ale jest to raczej zapach chlorku. Jak na początek wygląda to na ciekawą, niegroźną przygodę. Jest mi nawet trochę wstyd, że tak czarno to wszystko początkowo przedstawiałem. Niepokoi mnie tylko prąd wody. Teraz kiedy stoję i opieram się o dętkę, woda sięga mi sporo powyżej pasa. A jednak te dętki to mądra rzecz. Nie dopuszczam myśli, że można stracić w nich oparcie. W miarę jak wchodzi coraz więcej osób, woda bulgoce i szumi coraz głośniej. Stoimy wciąż w dętkach, czekając na zmontowanie całości, by ruszyć naprzód.

Eksperyment z dętkami nie zdał jednak egzaminu. Katastrofa następuje nagle. Dopóki w bocznym kanale jest kilku ludzi i linami trzymają dętki, nam pierwszym wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale kiedy tam pozostają tylko dwaj przewodnicy i usiłują przywiązać do końca łańcuch, okazuje się, że nie mogą całego »pojazdu« utrzymać i nie dętki nas, ale my powinniśmy je trzymać, bo inaczej nas poniosą. Słyszę na końcu jakieś krzyki i nagle czuję, że dętka, która mnie powstrzymywała, teraz zaczyna mnie pchać z prądem z niebywałą siłą. Ktoś krzyczy: »Wychodzić z dętek!«. Staram się z niej oswobodzić, ale to nie jest proste. Dętka buja się i w żaden sposób nie mogę z niej wyjść. Staram się zrobić to bokiem, tam gdzie dętka nie jest przywiązana, ale wywijam kozła i leżę w wodzie. Po głowie coś mi się przesuwają. Walczę z wodą, chcę wstać, ale ktoś również leżący chwycił mnie i nie pozwala się podnieść. Łapię wreszcie równowagę i staram się pomóc komuś, kogo woda znosi. Zdaje mi się, że tylko major i przewodnicy

uniknęli kąpieli. Mają też oni palące się latarki, moja gdzieś zginęła. Po dętkach nie ma już śladu, popłynęły dalej. Nikt wprawdzie z nas się nie utopił, ale woda ciągle nas znosi – o zatrzymaniu się nie ma mowy. Co chwilę ktoś się przewraca, pomagamy sobie w miarę możliwości. Oślizgłe ściany kanału nie dają rękom żadnego oparcia. Nogi napotykają opór, woda jednak pcha piekielnie. Docieramy wreszcie do klamer jakiegoś wjazdu. Ktoś zaczepia linę i możemy trochę ochłonać i odpocząć. Kiedy mija nerwowe podniecenie, zaczyna nam być bardzo zimno. Prawie wszyscy są przemoknięci i rzadko który nie opił się wody. Wśród szumu słychać szczękanie zębami.

Major formuje kolumnę do dalszej drogi. Pierwsi idą przewodnicy, za nimi kobiety, dalej reszta. Wiemy, że trzeba iść, bo takiego zimna nie wytrzymamy, a woda jest tak duża, że o odwrocie nie ma mowy. W tej chwili największym moim pragnieniem jest [to], by lina, której jeszcze się trzymam, nigdy się nie skończyła. Znowu walczymy z prądem, stale ma się wrażenie, że ten, który idzie za mną, zaraz się przewróci, podetnie mi nogi i całym kłębowiskiem popłyniemy z prądem. Na przodzie słychać krzyk i gaśnie światełko. To przewrócił się przewodnik. Przerażliwe bulgotanie i szum wody zagłuszają chwilami krzyki trwogi. Do tego dochodzą odgłosy bezustannego dudnienia. To słychać wybuchy pocisków. Nareszcie znowu klamry wjazdu, można trochę odpocząć.

I tak idziemy wiele godzin. Napotykamy kanał wpadający pod ostrym kątem do naszego, prąd jest w nim słabszy. Dość długo nim idziemy, ale nie wiemy dokąd. Może dojdziemy na teren niemiecki. Wracamy więc do naszego kanału.

Najgorzej czują się kobiety. One już dawno straciły resztki sił, teraz utrzymuje je chyba tylko instynkt samozachowawczy. Staram się nie myśleć o niczym, ale wbrew mojej woli przypomina mi się, że od dzieciństwa mam uprzedzenie do wody i pewnie ona mnie teraz wykończy.

Na dotychczasowy szum nakłada się nowy głos – po prostu ryk. Jesteśmy przy burzowcu. Dwa kanały o jednakowej ilości wody łączą się tutaj i w tym miejscu kanał gwałtownie spada. Na początku jest wjazd. Zaczepiamy liny o klamry i odpoczywamy.

W świetle jedynej lampy naftowej ukazuje się nam potworna topiel. Wzburzoną wodę pokrywa gęsta, biała piana. Widok ten odbiera nam resztki nadziei, że w ogóle się stąd wydostaniemy. Jeden z przewodników, trzymając się uwiązanej liny, wchodzi w głąb burzowca. W pasie jest przewiązany drugą liną, którą my trzymamy. Już go nie widać,

tylko tor liny wskazuje, że jest gdzieś w głębi. Po pewnym czasie linka zelżała. Szarpnięcie każe nam ciągnąć z powrotem. Jest nas sześciu, nie licząc kobiet, i wyciągnięcie jednej osoby wcale nie jest łatwe. Przewodnik melduje, że w połowie burzowca jest boczny kanalik, prowadzący do innego, dużego, a ten jest prawie bez wody. Przewodnik wraca i staramy się przetransportować tam obie kobiety; aby było szybciej, major poleca zabrać obie jednocześnie. Każda jest przywiązana swoją liną, które my trzymamy, a oprócz tego mają trzymać się liny zaczepionej o kłamrę. W połowie drogi jedna z nich musiała puścić linę i natychmiast prąd wody ją przewrócił. To samo stało się z drugą. Słyszymy ich rozpaczliwe krzyki i staramy się ściągnąć je z powrotem. Gdybyśmy stali normalnie, nie byłoby żadnych trudności, ale musieliśmy jedną ręką trzymać się sami, a drugą ręką ciągnąć. Mijały sekundy, a łączniczki ciągle leżały w wodzie i w każdej chwili mogły się utopić. Nagle naprężenie lin zmalało i do uszu naszych dobiegł przeraźliwy krzyk, który – wydawało nam się – stopniowo się oddalał. Teraz liny bez większego trudu daje się ściągnąć. Okazuje się, że jedna jest urwana, a na drugiej wyciągamy »Czarną«. Tak zginęła jedna z młodych i dzielnych dziewcząt powstania.

Kiedy później byliśmy już na powierzchni, porucznik »Włodek« oznajmił nam, że zdecydował się na desperacki czyn, odcinając jedną linę, ponieważ uważał, że nie jesteśmy w stanie wyciągnąć obu łączniczek. Mówił, że w ten sposób uratowało się chociaż jedną z nich. Trudno mi o tym wydawać sądy. Uważam jednak, że nie wyczerpaliśmy wtedy wszystkich sposobów uratowania obydwu.

Warunki kanałowe i śmierć przyjaciółki wyczerpały do reszty nerwy »Czarnej«. Kiedy znaleźliśmy się w kanale pomocniczym, gdzie były dużo lepsze warunki, widać było, że nie będzie w stanie iść dalej. Kanał drugi, do którego weszliśmy, miał o wiele mniej wody, ale prowadził gdzieś w lewo. Jeszcze raz major poleca przejść burzowiec. Woda w małym kanale podniosła się jeszcze bardziej.

Porucznik »Włodek«, uwiązany w pasie liną, jeszcze raz zapuszcza się w głąb topieli. Po powrocie stwierdza, że nie ma mowy, aby przy tym stanie wody można było iść dalej. Trzeba czekać, aż trochę opadnie.

Dopóki siedzieliśmy w wodzie i borykaliśmy się z nią, nerwowe napięcie nie pozwalało nam myśleć o zmęczeniu, teraz odczuwamy straszliwe wyczerpanie,

a najgorsze jest potworne zimno – nie możemy mówić ze sobą, tak szczekają nam zęby.

Ktoś robi uwagę, że jesteśmy tyle czasu w kanale i należałoby się przekonać, czy to już nie Żoliborz. Mamy nad sobą właz, opodal jest drugi. Major decyduje się na otwarciu. Teraz możemy stwierdzić przydatność lewara, który z takim poświęceniem niósł do tej pory »Gozdawa«. Właz jest wąski, tylko jeden z nas może pracować przy otwarciu. Robimy to na zmianę. Pokrywa włazu, nigdy prawdopodobnie nieotwierana, nie chce się podnieść. Urywa się wreszcie górna klamra, o którą opieramy lewar. Próbujemy otwierać klapę drugiego włazu, ale pomimo silnych uderzeń, które czynią wiele hałasu, nie udaje się to. Słyszymy jakieś głosy. To pracujący na górze Niemcy zapowiadają, że zaraz klapę otworzą z zewnątrz. Radzimy pospiesznie, co robić. Widocznie jednak major miał już gotowy plan, bo mówi, że Niemcy ostatnio zrzucili ulotki, aby ludność przechodziła na ich stronę, a oni gwarantują jej bezpieczeństwo. Mamy się tłumaczyć, że nie chciano wypuścić nas górą i dlatego poszliśmy kanałem. Ktoś nawet ma taką ulotkę. Korzystając z tego, że Niemcy mają trudności z otwieraniem klapy, pozbywamy się rzeczy mogących nas skompromitować. Jesteśmy po cywilnemu, ale kilku z nas ma panterki. Mamy ze sobą busolę, mamy 100-ki i kilku, pomimo zakazu, pistolety. Wrzucamy to wszystko w głąb burzowca. Tylko major pieczołowicie dba o swoje zapasowe buty, w których pod zelówką przechowuje rozkaz generała »Bora«, mianujący go dowódcą wszystkich oddziałów w Kampinosie.

Snop światła pada wreszcie z góry. To Niemcy otworzyli klapę. Słysząc niemieckie krzyki – wychodzić.

Jestem już na powierzchni, jest mi przyjemnie ciepło, ale nic nie widzę. Czuję za to w oczach piekielny ból. Niemcy nagle wybuchają wielkim śmiechem. Po chwili zaczynam odróżniać przedmioty. Otacza nas kilkunastu Niemców – wehrmachtowców i kolejarzy. Pistolety maszynowe skierowane w nas. Patrzą na swoich towarzyszy i po prostu nie poznają ich. Wyglądaliśmy potwornie. Dla Niemców jest to takie wesołe, że pokładają się ze śmiechu.

Znajdujemy się na nasypie ulicy Mickiewicza, tuż za wiaduktem. Po jednej stronie mamy Dworzec Gdański, po drugiej jaśnieją domy Żoliborza – tak niedaleko. Orientujemy się, że jest około południa. Weszliśmy do kanałów poprzedniego dnia wieczorem, musieliśmy więc w nich być około piętnastu godzin.

Niemcy prowadzą nas na Dworzec Gdański i pod eskortą zamykają w krytym wagonie towarowym. Znowu mijają godziny. Wagon stoi w słońcu, jest szczelnie zamknięty, nie mamy czym oddychać. Zaszłe na nas błoto pali niemiłosiernie, staramy się je zeszkrobywać. Dokucza nam okrutne pragnienie. Najgorzej czuje się »Czarna«, która jest tylko w kostiumie kąpielowym, ponieważ cały jej bagaż się utopił.

Wieczorem przychodzi Niemiec i wzywa jednego z nas do dowódcy odcinka na rozmowę. Idzie »Gozdawa«, ponieważ on najlepiej mówi po niemiecku i posiada ulotkę, którą uważamy za przepustkę. Po powrocie niewiele może nam powiedzieć. Jakiś kapitan nawymyślał mu od bandytów i kazał wrócić do wagonu.

Ze Starego Miasta dochodzą odgłosy kanonady, gęsty czarny dym spowija miasto. Jakże zazdrościłem wtedy kolegom, którzy tam pozostali.

O zmierzchu przyszli dwaj Niemcy i kazali nam wychodzić. Poprowadzili nas na jakieś boczne tory, gdzie stał transport ludności cywilnej. Z rozmowy Niemców domyśliliśmy się, że jest to transport ludności ukraińskiej i że mają nas odstawić do obozu w Pruszkowie, którądy będą przejeżdżać. Zostajemy rozlokowani w dwóch wagonach, między dziećmi i kobietami. Jakiś Ukrainiec, zdaje się komendant konwoju, grozi nam pistoletem i tłumaczy, że nie mamy prawa uciec. Widząc nasz wygląd, kobiety ukraińskie współczują nam, dostajemy trochę wody i każdy wali się spać, gdzie może. Kiedy budzę się, jestem tak zmarznięty, że nie mogę wstać. Rano znaleźliśmy się na Dworcu Zachodnim.

W czasie rozmowy przekonuję się, że Ukrainki zawiodły się na współpracy z Niemcami, dlatego traktują nas dość życzliwie. »Czarna« dostała nawet od nich jakąś sukienkę. Nie przypominam sobie, aby mi coś w życiu smakowało bardziej niż kluski z marmoladą otrzymane wtedy od nich. Ukraińcy, którzy do tej pory pilnowali nas gorliwie, pozwalają nam iść się umyć. Myjemy się z »Garbatym« po raz pierwszy od kilku dni, obok nas myją się jacyś kolejarze – Polacy. Zaczynamy z nimi rozmowę. Okazuje się, że przyjechali tu ze Skierniewic i wyjeżdżają zaraz dwoma lokomotywami. Na pytanie, czy nie zabraliby nas ze sobą, zastanawiają się długo i tłumaczą, że na wylotach dworca są posterunki. Może by zaryzykowali, ale nie »na piękne oczy«. Reszty targu dobija major i za sto dolarów, które ma ze sobą, kolejarze decydują się nas wywieźć.

Za pół godziny przemykamy się na boczne tory, gdzie stoją lokomotywy, i wchodzimy po dwóch na każdą. Jest nas tylko czterech, bo por. »Włodek«, »Gozdawa« i przewodnicy gdzieś się zagubili. Lokomotywy zaraz ruszają, a ja leżę obok »Garbatego« na węglu i myślę, że niepotrzebnie rano tak gorliwie się myłem.

Dwa kilometry przed Piastowem lokomotywy zatrzymują się. Serdecznie żegnamy się z kolejarzami i spiesznym marszem kierujemy się do celu naszej wyprawy do Kampinosu. Za nami jest Warszawa spowita kłębamii czarnego dymu, serce się rwie na widok tego kochanego miasta, ale dodaje nam siły myśl, że idziemy po posiłki, na które tam czekają.

Późnym wieczorem dochodzimy do majątku Pilaszków pod Błoniem, gdzie przyjmowani jesteśmy naprawdę ze staropolską gościnnością. Po nawiązaniu kontaktu z tutejszą AK wyruszamy rankiem, by już po południu stanąć w Wierszach w kwaterze porucznika »Doliny«. Dowiadujemy się tutaj, że przed nami byli już porucznik »Agaton« i »Kubuś« i że pierwszy oddział wyruszył na pomoc Warszawie”.

Drogę przez kanały wspominała również „Czarna”, Bohdana Maria Domańska (Kraszewska). To jej rodzina przyjęła majora „Okonia” i towarzyszących mu żołnierzy w pałacyku w Pilaszkowie. Relacja „Czarnej” z kanałów¹ różni się nieco od wspomnień „Sępa”. Bohdana Domańska pozostała łączniczką majora „Okonia” w Kampinosie.

Dziewczyna, która zginęła w kanałach, nazywała się Halina Kwiatkowska, pseudonim „Krystyna”. Pełniła służbę w „Dysku” – dywersyjno-sabotażowym oddziale kobiecym AK.

Robert Bielecki, opisując w opublikowanej wspólnie z Juliuszem Kuleszą książce powstańcze losy batalionu „Pięść”, przytacza też wspomnienia podporucznika „Włodka” (Edmunda Śłużyńskiego), adiutanta majora. To wstrząsające i bardzo ważne fragmenty w kontekście części kolejnego rozdziału, poświęconej kontrowersjom wokół postaci majora Alfonsa Kotowskiego.

Wracamy do chwil, gdy oddział znajduje się w głównym burzowcu, tam gdzie prąd wody jest najsilniejszy. Kilkanaście metrów dalej odchodzi boczny, spokojniejszy kanał, do którego żołnierze próbują się dostać. Podporucznik „Włodek” wspomina:

„[...] Po wylądowaniu na płycie, ażeby mieć stabilniejsze oparcie, przylgnałem jak długi do jej mazisto-śliskiej powierzchni. Major, widząc, że przygotowałem się już do

odbioru następnych, szybko uwiązał szeregowo dwie łączniczki i powoli przytrzymując je na wartkim prądzie, puszczał w moim kierunku. Na parę metrów przede mną pierwsza łączniczka przewraca się, a będąc uwiązana w pasie, została wprowadzona w ruch obrotowy, coś w rodzaju młynka, co uniemożliwia jej wstanie na nogi. Druga łączniczka, »Czarna«, widząc, co się dzieje, chwając się na nogach, zaczęła przeraźliwie krzyżeć. Gdy obie zbliżyły się do mnie, złapałem linę i usiłowałem wyciągnąć je z wody, ale, niestety, nie mając nic w pobliżu, aby złapać się drugą ręką, nie dałem rady wyciągnąć dwie równocześnie. Leżałem na śliskiej platformie i sam bałem się, że zostanę wciągnięty do wody.

Rozpaczliwy krzyk łączniczki i głos majora, stojącego pod samym wjazdem – »cicho, bo będę strzelał« – przeraziły mnie. Wpadłem w wielką, dziką złość na majora i gdybym mógł, utopiłbym go pierwszego w tym zasranym kanale. W tej bardzo krytycznej sytuacji myśli szybko przelatwały mi przez głowę, trzeba było znaleźć sposób uratowania naszego patrolu. Nie bacząc na to, że w każdej sekundzie mogą posypać się na nas z góry granaty, wyciągnąłem piłkę do metalu i odciąłem niewynurzającą się już spod wody pierwszą łączniczkę. Drugą udało mi się wyciągnąć, zatkałem jej usta ręką. Nastąpiła cisza, a ja jeszcze przez pewien czas wypatrywałem pierwszej łączniczki na powierzchni oddalających się fal [...]”².

Już po wyjściu z kanałów, w wagonie, do którego Niemcy zapędzili grupę:

„Major siedział na podłodze w kącie wagonu i nic do nikogo nie mówił. Podeszedłem do niego, żeby wyrazić żal po stracie łączniczki i przedstawić mu przebieg tego tragicznego wypadku. Spojrzał na mnie dzikim wzrokiem, jak gdyby nic o tym wypadku nie wiedział, ale gdy mu opisałem dokładny przebieg tego tragicznego wydarzenia, z najwyższym oburzeniem, w sposób ordynarny wystąpił przeciwko mnie. Wtedy i ja wygarnąłem majorowi wszystko. Podkreśliłem przy tym jego nieudolność przechodzenia kanałami i dowodzenia w nich patrolem. Dodałem, że kardynalnym błędem z jego strony było równoległe uwiązanie w pasie obu łączniczek i razem wypuszczenie ich na wielki, bystry nurt. Udowodniłem, że to on ponosi winę za utonięcie nieumiejącej pływać, a przez siebie dobranej łączniczki. Sytuacja stała się tak napięta, że gdybyśmy mieli przy sobie broń, to z pewnością ktoś z nas zginąłby.

Dla dobra sprawy poprosiłem majora o oddelegowanie mnie do mojej rodzimej

kompanii. Odpowiedź była krótka – »paszoł won«³.

Ja nie wierzę w to, że „Okoń” tak powiedział brutalnie do „Włodka”. Nie było powodów. „Włodek” w kanałach dyrygował, komenderował, wypadek z łączniczką to nie była wina „Okonia”. Nie byłem świadkiem tej sceny na Dworcu Zachodnim.

Podporucznik „Włodek” przestaje pełnić funkcję adiutanta majora, oficjalnym nowym adiutantem zostaje podporucznik Jerzy Dudziec. „Puchała”. W rzeczywistości prawą ręką majora Kotowskiego zostaje „Sęp”, jedyny żołnierz, którym „Okoń” dowodził jeszcze na Woli. Będzie z majorem niemal do końca. Wraz z „Garbatym”, podchorążym Zbigniewem Gąsiorem, wykonują w Kampinosie zadania oficerów do zleceń.

„Sęp” będzie obecny na odprawach i naradach, będzie przynosił meldunki ze stanowiska radiostacji do majora (łączność radiowa Kampinos – Żoliborz – Starówka odbywała się przez Londyn). Zostanie świadkiem konfliktów, do jakich dojdzie pomiędzy oficerami AK w Kampinosie.

Bardzo to przeżywa. Również dzisiaj.

¹ http://ahm.1944.pl/Bohdana%20Maria_Domanska.

² Cyt za: R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 367.

³ Tamże, s. 369.

Rozdział 17

„Spadająca Gwiazda”. Widać mieli poetów Niemcy w tych czołgach

16 sierpnia 1944.

Oficerowie kampinoskich oddziałów stacjonują we wsi Wiersze. Major „Okoń” staje naprzeciwko trzydziestoletniego postawnego porucznika – bruneta z wąsami, w rogatywce i w prostym wrześnieowym mundurze. To niekwestionowany dowódca znacznej części oddziałów zgromadzonych w Kampinosie, charyzmatyczny, legendarny „Góra”-„Dolina”, czyli porucznik Adolf Pilch. Od początku wyczuwalne jest napięcie. Jak wspomina Lucjan Wiśniewski, zanim major objął dowodzenie, musiał kilkakrotnie powoływać się na rozkazy pułkownika „Wachnowskiego” (Karol Ziemiński) i „Radosława”.

Żołnierze dowodzonego przez „Dolinę” Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego pod Warszawę doszli z Nowogródziny, ponad czterysta kilometrów, wśród niemieckich wojsk, czasem skrycie, czasem otwarcie maszerowali jak regularny oddział wojska. Korzystając z tego, że wśród cofających się ze wschodu oddziałów niemieckich dużo było wojsk kolaboracyjnych: Chorwatów, Rumunów, Ukraińców, żołnierze Pilcha, udając taką formację, przekraczają most na Wiśle w Nowym Dworze Mazowieckim. 2 sierpnia atakują lotnisko na Bielanach, potem cofają się do Kampinosu.

Adolf Pilch, „Góra”, „Dolina”, urodził się w Wiśle, inżynier po szkole podchorążych, w 1939 roku przedostaje się do Francji, a potem do Wielkiej Brytanii. W lutym 1943 roku jako cichociemny dołącza do Kedywu Okręgu „Nów” (Nowogródek). Zbiera ponad czterystu żołnierzy, walczy w Puszczy

Nalibockiej, najpierw przeciw Niemcom, potem – zdradzony przez Rosjan – wraz z żołnierzami ucieka w dramatycznych okolicznościach przez bagna, zawiera niepisany pakt z Niemcami i bije się z bolszewicką partyzantką, między innymi ze słynnym oddziałem braci Bielskich. Niemcy dostarczają „Górze” – bo taki pseudonim ma wówczas Pilch – broń i amunicję ¹. Dochodzi do prawie dwustu poważniejszych starć i potyczek z komunistyczną partyzantką, znaczna część ramię w ramię z Niemcami. Oddział się rozrasta, wiosną 1944 roku liczy niemal tysiąc żołnierzy: ułanów, piechurów, są karabiny maszynowe, moździerze, tabory z zaopatrzeniem – słowem – prawdziwe wojsko, które także występuje w obronie okolicznej ludności polskiej przed „rekwizycjami” sowieckiej partyzantki.

Komenda Główna AK prawdopodobnie dostaje alarmujące sygnały z Londynu: na wschodzie cichy rozejm z wycofującymi się Niemcami jest do przyjęcia, ale regularna wojna z Rosjanami – czyli sojusznikami sojuszników – nie wygląda dobrze z gabinetów dyplomatycznych. AK wysyła na Nowogródczyznę słynnego „Ponurego” – Jana Piwnika, dowódcę z Gór Świętokrzyskich, który ma zdyscyplinować „Górę”, przedstawiając mu rozkaz zaprzestania „działalności nieodpowiadającej interesom Narodu Polskiego”. W czerwcu, gdy Armia Czerwona jest coraz bliżej Kresów, Polski Oddział Partyzancki porucznika Pilcha rusza na południowy zachód. Kilka razy po drodze „towarzysząc” wycofującym się Niemcom, pod koniec lipca trafia do Puszczy Kampinoskiej. Dowództwo AK rozważa rozbrojenie oddziałów, które „dopuściły się kolaboracji”, i sąd. Plany jednak zostają odłożone, bo wybucha powstanie. „Góra”, aby podkreślić „nowy początek”, zgodnie z rozkazem zmienia pseudonim. Od tej pory jest „Doliną”. Nadal jednak nie cieszy się sympatią oficerów z Warszawy, którzy nie znają partyzanckich realiów i którym nie mieści się w głowie możliwość nawet incydentalnego współdziałania z Niemcami.

Za to doświadczeni żołnierze „Doliny” – znaczna ich część po raz pierwszy jest tak daleko od domu – zrobią dla dowódcy wszystko.

Adolf Pilch zmarł w 2000 roku w Londynie.

Nie wiemy, czy major „Okoń” dokładnie znał historię „Doliny”. Pewne jest

natomiast, że „Dolina” nie ufał „Okoniowi” reprezentującemu Komendę, która jeszcze kilka dni wcześniej rozważała rozbrojenie kresowych partyzantów.

Ale „Okoń” objął dowództwo. Miał w sztabie tylko nas – mnie, „Garbatego” i „Czarną”. Na szczęście w Kampinosie był już „Agaton”² z „Kubusiem”, oni przeszli w kilka osób górą, przez tory gdańskie. Też mieli skłonić Kampinos do uderzenia z północy w stronę Starego Miasta, razem z oddziałami „Żywiciela” z Żoliborza. Trzeba było zdobyć Dworzec Gdański.

Większość historyków twierdzi, że takie natarcie było skazane na klęskę. Rejon Dworca Gdańskiego to była twierdza. Puste przedpole – ogródki działkowe, czyli przede wszystkim kartofliska... Sam pan to widział kilka dni wcześniej od południowej strony.

Tak. Dworzec był wtedy raczej nie do zdobycia. Ale „Okoń” takie miał przecież zadanie! Przyszedł z nami do Warszawy, na Żoliborz, i dostał taki rozkaz. Mimo że – jak sam mówił – nie znał terenu i jednostek. I co? Miał odmówić wykonania? Kolejnej nocy miały uderzyć również oddziały od strony Starówki. To było skoordynowane, ale i tak zakończyło się straszną klęską. Wielu ludzi zginęło. Niektórzy – ci od „Doliny” – nie wiedzieli, jak walczyć w mieście, to byli leśni partyzanci. I teraz obwinia się tylko „Okonia”. A „Żywiciel”? A „Wachnowski”? – oni wierzyli w to, że Kampinos może przyjść z pomocą Warszawie.

Wspomnienia żołnierzy biorących udział w atakach na Dworzec Gdański od strony Żoliborza są wstrząsające. To była jatka: natarcie pod ogniem karabinów maszynowych ukrytych w kilkunastu bunkrach i okopanych stanowiskach, pociąg pancerny, pełna widoczność – jasno jak w dzień, bo Niemcy puszczali flary jedna za drugą, czerwone – wskazywały cel artylerii, brak osłony, ranni leżący na płaskim przedpolu...

Podczas drugiego ataku „Okoniowi” towarzyszył „Grzegorz”, generał Pełczyński. Przyszedł kanałami ze Starówki. Optował za ponownym szturmem. I efekt był taki sam. Albo gorszy – było więcej zabitych i rannych. No, po prostu nie dało się

wtedy pójść Staremu Miastu na pomoc, otworzyć tej drogi.

Po tych bitwach przy dworcu „Okon” jest uważany za złego i nieszczęśliwego dowódcę. Tak pisze między innymi Robert Bielecki w *Przeciw konfidentom*³... W dodatku część żołnierzy z Puszczy po nieudanych natarciach, przed wycofaniem się do Kampinosu, musiała na rozkaz dowództwa zostawić na Żoliborzu broń. „Skurwysyny... nie umieliście zdobyć dworca, to teraz musicie zostawić tutaj broń!” – tak miał przemawiać do żołnierzy „Okon”, uzasadniając decyzję dowództwa

To nieprawda. Gdyby tak powiedział, to wtedy, w tej atmosferze, żywy by z Żoliborza nie wyszedł. Wszystko, co złe, szło na konto „Okonia”! A broń ze zrzutów w Kampinosie była przecież przeznaczona na pomoc dla Warszawy.

Oddał pan swój pistolet?

Zostawiłem peem. A w ogóle to w Kampinosie byłem takim komisarzem do spraw zrzutów. Bo broń ze zrzutów ginęła, doliniacy tak sobie ją dzielili, po znajomości... Powiedziałem o tym majorowi i on mnie wyznaczył, żeby przypilnować. No to pilnowałem. I któregoś dnia zostałem milionerem.

Milionerem? Komu były potrzebne wtedy pieniądze w Kampinosie?

No właśnie! Któregoś dnia major zaczął odprawę z dowódcami oddziałów. Rozmawiał z każdym, dopytywał, to trwało dość długo. Jedna godzina, druga, trzecia... nudziło mi się. W Wierszach topografia wyglądała tak, że był budynek dowództwa, po drugiej stronie drogi kościół i szkoła z boiskiem. Na to boisko zwożono angielskie zrzuty. Kompania „Lawy” zajmowała się przyjmowaniem tej pomocy: rozpalali w nocy ogień, naprowadzali te samoloty, a potem zasobniki ze spadochronami zwozili do dowództwa, na to boisko. Chowali to pod plandekami, żeby w dzień Niemcy z góry nie widzieli, że coś tam leży. Delegatem do spraw zrzutów był porucznik Dąbrowski, a ja komisarzem wyznaczonym przez majora. Nie pozwalałem na takie przypadkowe albo po znajomości rozdawanie rzeczy z zasobników. I Dąbrowski wziął mnie kiedyś na stronę i mi w zaufaniu szepnął:

„Ty uważaj, bo tu w sztabie to nie strzelają, ale gdzieś w lesie to kule latają”.

Groził panu? W imieniu doliniaków?

Raczej mnie ostrzegł, żebym za ostrych porządków nie zaprowadzał. Potwierdził, że oni biorą z tych zasobników, co chcą, i lepiej z nimi się o to nie wyklócać, bo chłopaki są porywcze. Że dla świętego spokoju już lepiej niech te papierosy, czekoladę i broń biorą, bo inaczej, no, jakaś zabłąkana kula w lesie...

I co pan zrobił?

Szybko się z tego wycofałem, nie chciałem być tym komisarzem odbioru zrzutu, nie to, że się bałem, ale po prostu to nieciekawe było. Z jednym zasobnikiem związana jest ta historia, że byłem milionerem. Krótka, ale byłem. Mały zasobnik, czyli jedna część dzielonego na cztery, otwierają go przy mnie. Patrzymy, a tam fura niemieckich marek, nowiusieńkie banknoty, liczymy: dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Czyli wtedy w przeliczeniu jakiś milion złotych. Fortuna!

Sfalszowane?

Prawdziwe! Kazałem to zamknąć, opieczętować i idę do „Okonia”. Mówię, że mamy taki prezent od Anglików, majątek. „Kazałem zasobnik tu przynieść, panie majorze, jest do pana dyspozycji”. A on oczy wielkie zrobił: „Po cholere mi te pieniądze!? Zwariowali!”. Aż się zdenerwowałem, co my z tymi markami będziemy tu robić. I wydał mi polecenie, od niechcienia: „Zrób coś z tym”. No, ale co ja mam zrobić z milionem złotych. Bombardują nas z powietrza, ostrzeliwiają z artylerii, zaraz pewnie będzie jakieś natarcie, a ja mam z tymi pieniędzmi „coś zrobić”. Zapakowałem z powrotem. Pod wieczór wróciłem z tematem do majora, a on wpada na jeszcze inny pomysł: „Weź to sobie – mówi – przecież ja nie mogę wydać teraz ludziom tych pieniędzy, nie mogę wydać żołdu, bo jak?”. Nawet zapytał Mieczysława Niedzielskiego, „Żywiciela”, co z tym robić. Ale nasz zwierzchnik też nie miał pomysłu. Naprawdę mieliśmy ważniejsze problemy na głowie niż gotówka. W końcu „Żywiciel” zapytał Londyn. A stamtąd zwrotna wiadomość, że ich nie interesuje, co jakiś major „Okoń” z Kampinosu robi

z tymi pieniędzmi. I major zły do mnie: „Weź to!”. Widziałem, że on chce mieć ten problem z głowy.

Nikt nie wpadł na pomysł, by przez łączników wysłać pieniądze do Warszawy? Choćby na jakieś łapówki dla Ukraińców albo na broń... Za taką kwotę mógł pan czołg od Niemców kupić! Albo karabiny od Węgrów, tych stojących pod Warszawą...

Czołg? Nie wiem. Ale trochę broni na pewno. Vis kosztował trzy tysiące złotych. No i co ja zrobiłem? W Wierszach naprzeciwko kwatery była szkoła. Kierownik szkoły to był przedwojenny porucznik. Poszedłem do niego i mu powiedziałem, że mamy tu paczkę na przechowanie, niech to schowa, ja się później po to zgłoszę. I on wziął, schował do jednego z pomieszczeń w komórkach przy szkole. Jak tylko się ściemniło, nad Wiersze nadleciały niemieckie samoloty i jakby były radiowo naprowadzane, zrzuciły bomby akurat na szkołę. Sześć chyba samolotów. Stojący obok kościół się nie spalił, ale pół szkoły poszło z dymem i akurat ta komórka z naszym zasobnikiem. Bomby zapalające! Wszystko się spaliło. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy marek.

Co działo się później?

Potem to już pamiętam ten tragiczny odwrót z Kampinosu.

Niemiecka ofensywa pod kryptonimem „Spadająca Gwiazda”.

Ładnie powiedziane, widać jakichś poetów mieli Niemcy w tych czołgach. Wcześniej jeszcze pojawił się u nas „Porawa” z kilkoma ludźmi. Odtworzono „Zemstę”, kompanię. Ćwiczenia, organizacja. Ale po tym jak dotarła wieść, że padło Stare Miasto, było już jasne, że Kampinos powinien wycofać się na południe, bo wokół Puszczy Niemcy zaciskają pierścień⁴. Byłem świadkiem, jak „Okoń” podejmuje razem z „Doliną” decyzję wyjścia wszystkich oddziałów z Puszczy. Biegłem do radiostacji, żeby przekazać meldunek o tej decyzji do Londynu. Radiostację w stodole prowadzili nam Rosjanie, jacyś chyba dezertyrzy z sowieckiej partyzantki, którzy przyłączyli się na wschodzie do „Doliny”. Jeden

napędzał baterię – jeździł na stojącym rowerze i wytwarzał prąd, dynamo specjalne tam było, a pozostali nadawali. Chwilę po nadaniu depeszy stanowisko radiotów zbombardował samolot. Niemcy położyli też na zabudowania ogień artylerii.

I wtedy w Wierszach została ranna pańska sympatia.

Tak jak mówiłem. Odłamkiem pocisku w kręgosłup. Gdy był odwrót – wyjście z Kampinosu – chciałem z nią zostać, ale major zdecydował, że idę. Zrobiliśmy prowizoryczny opatrunek w szpitalu w Kiściennem, potem zostawiłem ją u ludzi w Łubcu.

Zaczął się fatalny marsz – odwrót z Kampinosu. Jego finał nastąpił pod Jaktorowem, gdzie oddziały zgrupowania zostały rozbite: prawie dwustu żołnierzy zginęło, wielu porzuciło broń i próbowało uciekać. Chaos, bezwład, dantejskie sceny: zabici, poranione, galopujące w szale konie, porzucone wozy ze sprzętem i rannymi, niemieckie samoloty (jeden szczęśliwie zestrzelony), ranni tonący w rowach melioracyjnych. Pociąg pancerny, który nadjechał od strony Żyrardowa, praktycznie uniemożliwił przejście torów. Żołnierzom AK chodziło już tylko o to, by dotrzeć do nocy i pod osłoną ciemności się wycofać⁵. Dominuje opinia, że to skutek błędu majora „Okonia”, który zatrzymał się przed torami, zamiast z marszu je przekraczać. Inni, w tym nasz rozmówca, zwracają uwagę na to, że zgrupowanie zostało „wypatrzone” przez Niemców, bo „Dolina” upierał się, by nie porzucać dużej liczby wozów w taborze opóźniających marsz i zmuszających kolumnę do posuwania się również w dzień⁶. Przejście rozciągniętej kolumny przez tory trwałoby długo.

Opisuje pan ten odwrót w swoim sprawozdaniu-obronie majora „Okonia”. Bardzo był pan przywiązany do tego dowódcy. Tymczasem w wielu wspomnieniach Alfons Kotowski naprawdę jawi się jako nie najlepszy oficer. I jako znerwicowany, agresywny człowiek, balansujący gdzieś na pograniczu depresji: sceny w kanałach, potem rozmowa z adiutantem „Włodkiem” w wagonie... Major miał kląć jak szewc i poniżać podwładnych. O kłótni „Okonia” z „Porawą” wspominała „Teresa”⁷, o tym, że major był wręcz

znienawidzony przez żołnierzy, pisze „Szymon”, Józef Krzyczkowski⁸. Chyba tylko „Agaton” jest bardziej łaskawy dla pańskiego majora⁹, choć po prostu przypisuje mu osobistą odwagę, a nie zdolności dowódcze.

Bywało tak, że cenzura przepuszczała książki o AK pod warunkiem, że była w nich krytyka dowódców, że się ich odsądzało od całej przyzwoitości...

Adolf Pilch książkę *Partyzanci trzech puszc* pisał w Londynie. I tylko pan twardo z nim polemizuje, klóci się pan w swoim tekście z tym legendarnym „Doliną”. A wtedy miał pan dwadzieścia lat i był kapralem podchorążym...

Pisałem to po wojnie jako dojrzały człowiek, a nie młodzik. To wszystko, te stwierdzenia „Doliny”, było niesprawiedliwe wobec „Okonia”, po prostu nieuzasadnione. Ja się z tym nie zgadzam. „Okon” uporządkował sytuację z rozdzielaniem broni ze zrzutów w Kampinosie. Potem na Żoliborzu po natarciach właśnie uniknął buntu żołnierzy, jak dowództwo kazało ludziom z Kampinosu zostawić na Żoliborzu broń. To były trudne chwile. Na pewno wtedy nie obrażał wykrwawionych żołnierzy! A w Wierszach „Okon” – wydawało się – polubił „Dolinę” i chyba miał jego szacunek.

Co pan robił w sztabie majora oprócz pilnowania zrzutów?

Odpowiadałem za łączność, byłem w rzeczywistości adiutantem. Dajcie streszczenie tego, co napisałem o „Okoni”, bo to ważne. Albo jakieś fragmenty.

Załączymy w aneksie te fragmenty, które pan wybierze. „Okon” po nieszczęśliwej bitwie pod Jaktorowem, czyli w chwili, gdy było już jasne, że oddziały są rozbite, miał zostać zastrzelony przez któregoś z własnych żołnierzy czy raczej żołnierzy „Doliny”.

Są przypuszczenia. Tak. Dziwne, że nikt nie widział jego śmierci. Bardzo dziwne.

Major Alfons Kotowski, „Okon”, jest pochowany na cmentarzu wojennym w Budach Zosinych, blisko stacji kolejowej w Jaktorowie. Prosta kwatery, stu trzydziestu

pochowanych żołnierzy, kamienne krzyże wśród drzew. Cmentarz odnowiono w 2004 roku (Lucjan Wiśniewski regularnie bywał w Budach Zosinych, teraz jeździ na cmentarz rzadziej, zdrowie nie pozwala).

Porucznik Adolf Pilch wraz z setką żołnierzy przebił się i ukrył w Lasach Koneckich pod Opoczmem. Tam walczył z Niemcami do stycznia 1945, kiedy Rosjanie znowu zaczęli przeć na zachód. Potem udało mu się przez Czechosłowację przedostać do Londynu. Pozostał na emigracji, Polskę odwiedził w 1990 roku.

Wśród żołnierzy, którzy po bitwie jaktorowskiej trafili w Opoczyńskie, był Lucjan Wiśniewski. Ze strzaskanym łokciem kurował się w lasach. Z partyzantki wrócił tak samo, jak trzy lata wcześniej do pierwszej partyzantki pojechał... – pociągiem. Przez Tomaszów Mazowiecki, Pruszków, Włochy, potem jeszcze kawałek pieszo i dotarł do Boernerowa i Chomiczówki.

Był koniec 1944 roku.

¹ Syntetycznie historię walk „Góry”-„Doliny” przedstawili Piotr Głuchowski i Marcin Kowalski w „Gazecie Wyborczej” 13 stycznia 2009 roku (*Wojna polsko-ruska pod bokiem niemieckim*) i w książce *Odwet. Prawdziwa historia braci Bielskich*, Warszawa 2009. Sam Adolf Pilch wojenne wspomnienia spisał w książce *Partyzanci trzech puszczy*, Warszawa 1992.

² „Agaton” (Stanisław Jankowski) został wysłany przez „Wachnowskiego” z misją podobną do tej majora „Okonia” (prawdopodobnie na wszelki wypadek) – ściągnięcia pomocy z Kampinosu. Gdy major „Okon” szykuje natarcie na Dworzec Gdański, niestrudzony „Agaton” kanałami idzie na Starówkę, przekazuje meldunek o dacie uderzenia, potem wraca na Żoliborz.

³ R. Bielecki, J. Kulesza, *Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 442.

⁴ Operacja „*Sternschnuppe*” („Spadająca Gwiazda”) – wielka akcja niemiecka mająca na celu zlikwidowanie polskich oddziałów partyzanckich w Puszczy Kampinoskiej, prowadzona od 27 września. Niemcy spodziewający się po upadku powstania sowieckiej ofensywy postanowili zabezpieczyć tyły. Przeciwno partyzantom użyli lotnictwa, czołgów, wozów pancernych i sześciu tysięcy piechoty.

⁵ Robiący wrażenie opis bitwy pod Jaktorowem pozostawił major Józef Krzyczkowski, „Szymon”. W książce *Konspiracja i powstanie w Kampinosie 1944* (Warszawa 1962) przytacza też wspomnienia innych żołnierzy (s. 467–490). „Szymon” (1901–1989), przedwojenny oficer, kapitan, był dowódcą Zgrupowania Kampinos; ranny w ataku na lotnisko na Bielanych przekazał dowództwo „Dolinie”, później przybyłemu z Warszawy na polecenie Komendy Głównej majorowi Kotowskiemu, „Okoniowi”.

⁶ Wozów miało być ponad trzysta. Jeżeli każdy miałby tylko pięć metrów długości (nawet z zaprzęgiem), to na wąskich polnych i leśnych drogach daje to półtorakilometrową kolumnę samych taborów! Jak przeprowadzić taką kolumnę chociażby przez tory pod Jaktorowem? – pyta Lucjan Wiśniewski.

⁷ J. Krzyczkowski, *Konspiracja i powstanie...*, dz. cyt., s. 475.

⁸ Tamże, s. 428.

⁹ Stanisław Jankowski, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, Warszawa 1980, s. 232.

Rozdział 18

Kradną, gwałcą, rabują

Kto?

Trzech ruskich żołnierzy, może dezertarów. Prawdziwe bandyckie napady. Są bezwzględni, terroryzują Boernerowo. Przychodzą w nocy, zabierają wszystko: kradną, gwałcą. Jak im ktoś nie chce otworzyć, to potrafią cały zamek z automatu wystrzelać. Boernerowo zastraszone. Wróciłem do domu z lasów pod Opoczmem i słyszę od ludzi: „Ty jesteś ten z AK, zrób coś z tym”. No, ale co tu robić? Wojna jeszcze, ale nowa władza już się zaczęła urządzać, to był luty–marzec 1945 roku, wczesna wiosna, koniec zimy. Wcześniej, jak tylko wróciłem pod koniec czterdziestego czwartego, dowiedziałem się, że matka z bratem są w Zielonce pod Borzęcinem. Odnalazłem ich. Szukałem też mojej narzeczonej... Była w Łubcu, tam, gdzie ją zostawiłem. Konno po nią gnałem. Podleczyła się już trochę. Wróciliśmy do Chomiczówki. I rodzice też. Ale o tych bandytach miałem mówić... Już administracja się organizowała pod sowiecką władzą. Poszedłem do „Porawy” i mówię, że trzeba coś zrobić z tymi napadami: „Panie kapitanie, ludzie na nas liczą”. Ale Stefan Matuszczyk już miał inne rzeczy na głowie, czuł, że lada dzień mogą go aresztować... Pobłogosławił, powiedział: „Bierz chłopaków i działaj”, ale angażować się organizacyjnie raczej nie chciał. Co robić? Zwłaszcza że przecież z bronią to już nie można tak oficjalnie... No to chciałem najpierw ustalić, co to za ludzie napadają. Z jakiego sowieckiego oddziału, gdzie stacjonują, bo Rosjan przecież wkoło dużo. Pomógł przypadek. Jeszcze jeden przypadek w tej całej mojej historii...

Wyřęcał pan policję... Milicję. Mogli pana wcielić...

A żebyście wiedzieli, proponowali!

I co?

Jak to co? Podziękowałem. Opowiem.

Co z tym „przypadkiem”?

Mój brat dostał wezwanie do komisji wojskowej we Włochach. Paru chłopaków dostało i szli grupą pieszo, w ogóle wtedy chodziło się raczej grupami, ludzie się łączyli, bo tak było bezpieczniej. I wracali już chyba. Szli, a z naprzeciwka, widzą, idzie trzech sowieckich żołnierzy. Z bronią, z pepeszami, maszerują tak sobie niedbale. Minęli grupkę i poszli dalej. Jeden z mężczyzn, z którymi był mój brat, kierownik poczty z Boernerowa, błędnie, zaczyna płakać i mówi: „To oni!”. Poznał ich, bo kilka dni wcześniej wpadli do niego w nocy i okradli. A mój brat w jednym z trzech sowieckich żołnierzy rozpoznał naszego sąsiada, znajomego jeszcze sprzed wojny, Mariana! Nie podam nazwiska, napiszcie „Mariana P.”. Przybiegł do mnie, opowiada, a ja nie mogę uwierzyć, ale tak, to nasz dawny znajomy, moja matka zna jego matkę. Okropne!

Niech będzie zatem „Marian P”. Z opowieści Lucjana Wiśniewskiego zlepiamy łotrzykowską historię – złą bajkę: w Chomiczówce mieszkała uboga wdowa. Miała dwóch synów, już przed wojną sprawiali problemy: chuliganili, za kołnierz, mimo że ledwie pełnoletni, nie wylewali. Nie kolegowali się z innymi chłopakami z Chomiczówki, choć tak jak oni z zazdrością spoglądali na bogatsze domy w Boernerowie. Po wrześniu '39 bracia P., spryciarze, zajęli się handlem. Jak wielu im podobnych przekraczali linię niemiecko-sowiecką. Na wschód wywozili głównie jedzenie: mięso, wędliny, z powrotem przywozili złoto i brylanty. Potrafili obrócić dwa razy w miesiącu, rzeki pokonywali w bród, nocą, spali w lasach. Zaczęło im się całkiem nieźle powodzić. Ale przyszła operacja Barbarossa – Niemcy zaatakowali ZSRR. Marian P. został odcięty na wschodzie, uciekł przed Niemcami wraz z sowieckim wojskiem, później zaciągnął się do kościuszkowców i wrócił z nimi do Polski. Jak to zrobił, że w styczniu 1945 roku trafił do rodzinnej miejscowości i tam został, zamiast maszerować

dalej – na Berlin – nie wiadomo. Lucjan Wiśniewski przypuszcza, że albo zdezerterował z kilkoma kolegami, albo przekupił dowódców, bo przecież – jeżeli tylko udało mu się dotrzeć do domu – miał czym... I tworzy kościuszkowiec-dezerter własną bandę.

Nie wiedziałem, co robić. Nowa władza, cholera, strzelać do sowieckich żołnierzy – ryzyko. I jeszcze w dodatku to znajomy. Był u nas stary, przedwojenny komunista, jeszcze z SDKPiL, nazywał się Marcel Jędrzejewski, mógł mieć wtedy sześćdziesiąt lat, i pracował już w gminie, komenda gminna była na Jelonkach. Pamiętam, w czasie okupacji było jakieś przyjęcie u właściciela sklepu, Banasia, który znał się, a nawet przyjaźnił z tym Marcelem. I zaprosił go na te imieniny. I nas też. To było dziwne spotkanie, bo przy jednym stole byli AK-owcy i prawdziwy komunista, który przed wojną pewnie siedział w więzieniu. Pamiętam, że impreza się rozkręcała. I Marcel w którymś momencie podnosi kieliszek i wznosi toast: „Za baćkę Stalina!”. Cisza. Martwa cisza zapadła. Dłonie z kieliszkami opadły na stół. Ale nic mu się nie stało, to był porządny człowiek. A teraz już był przy nowej władzy. Mówię o nim, bo on znał wszystkich w Boernerowie i wiedział, czym się zajmowaliśmy.

Skąd wiedział?

Nie po linii partyjnej, ale po koleżeńskej. Gdy zastrzeliliśmy Maryniuka, to pamiętam, że podszedł do mnie z takim radosnym wyrazem twarzy i pogratulował.

Pogratulował udanej akcji?

„Dorwaliście go!” – powiedział szeptem takim teatralnym. Już chciałem mu odpowiedzieć, że nie wiem, o co chodzi, ale... był taki zadowolony, że dałem spokój. Wiedział o nas. Kojarzył mnie.

Aż przyszła nowa władza. Nowe czasy, nowe porządki.

Poszedłem do niego i opowiadam, co się dzieje. Marcel poszedł do ruskiego komendanta wojennego, ale tamten odmówił pomocy. No to ja mówię, że sam

zamierzam zebrać chłopaków i rozwiązać problem, cały plan na siebie wzięłem. I co? I Marcel poparł! Ale bez strzelania, mówi, bez strzelania! Tylko, żeby tych trzech złapać. Pomyślał, że tak się nowa władza zasłuży u ludzi, jak złapie tych bandytów. No dobrze, mówię, to niech pan zamelduje ruskiemu komendantowi, że pan załatwi to sam, że pan złapie tych dezerterów bandytów, odda pan ich do więzienia. Ja pomogę.

I pomógł pan?

No tak. On też pomógł: ten sowiecki komendant na prośbę Marcela dał nam podwodę – konia z wozem i jednego żołnierza z pepeszą do obstawy, bo my oficjalnie przecież broni mieć nie mogliśmy. Wiedzieliśmy już, gdzie oni nocują. Przygotowaliśmy pień drzewa, żeby służył za taran do drzwi, jakieś kołki wzięliśmy. I o trzeciej nad ranem taranem uderzyliśmy w okno, huk, szkło, wleciało całe do środka razem z ramą. Tamci pijani w sztok, nie wiedzieli, co się dzieje. Kajdanki zakładamy, na wóz wrzucamy, dwie pepesze zabraliśmy. Pamiętam, że ten przydzielony nam sowiecki żołnierz skakał na tym wozie z radości jak dziecko, bo może to i było dziecko, jakby to była dla niego jakaś przygoda, zabawa, skakał i się śmiał.

Marcel musiał być również zadowolony.

Że się bez rozlewu krwi obyło. Był zadowolony. Zaproponował „Puchaczowi” Szadokierskiemu i mnie, abyśmy zaczęli dla niego pracować. Właśnie jako milicjanci. Ja miałem nawet być jego zastępcą! Grzecznie odmówiłem. Zawsze grzecznie odmawiam.

Co z Marianem P.? To nie mogło się dobrze dla niego skończyć.

No tak. Chyba został rozstrzelany. I pozostali też. Ta rodzina się wyprowadziła z Chomiczówki, moja matka nie spotkała już nigdy jego matki. To nieprzyjemna sprawa. Ale tak wyglądała moja ostatnia akcja.

To nie była pana ostatnia akcja.

Prawie ostatnia.

Rozdział 19

Nawet pana lubię, panie Wiesiu

„W dniu 22 grudnia 1964 r. około godziny 18.00 po podliczeniu utargu pierwszej zmiany (1.336.500 zł) główny kasjer CDT ob. Michałowska Jadwiga zapakowała pieniądze do specjalnego worka, zawiązała go, zalakowała i przygotowała do odwiezienia do VIII Oddziału NBP w Warszawie przy ul. Jasnej 1.

O godz. 18.25–18.30 na rampie CDT został załadowany worek z pieniędzmi do samochodu marki »Warszawa« nr. rej. WE-26-53 kierowany przez ob. Bogdalskiego Władysław. Samochód ten oczekiwał na załadowanie pieniędzy na rampie od godz. 18.00. Kierowca W. Bogdalski wiedział, że będzie przewoził pieniądze do banku co najmniej pół godziny przed ich załadowaniem.

Między godziną 18.35 a 18.40 samochód zatrzymał się przy krawężniku chodnika naprzeciw głównego wejścia do Oddziału Banku. Z samochodu wysiedli prawie równocześnie: konwojent Skoczek (przednimi drzwiami) i Michałowska (tylnymi drzwiami). Za Michałowską wysiadł strażnik Piętka z workiem z pieniędzmi” – tak zaczyna się bardzo drobiazgowy milicyjny opis przebiegu najsztywniejszego napadu w dziejach PRL¹.

Napad ten przejdzie do historii pod nazwą „napadu stulecia”. I mimo że złodzieje nie zrabowali wtedy rekordowej sumy, rozpoczęte śledztwo na pewno należało do największych, jakie milicja przeprowadziła kiedykolwiek przedtem i długo, długo potem.

Wróćmy do przebiegu napadu. Jak wiadomo strażnicy i konwojentka nie odstawili pieniędzy do banku. Przed strażnikiem Piętką wyrósł jak spod ziemi „młody osobnik”. Zanim funkcjonariusz dotknął klamki, napastnik strzelił do niego z pistoletu. Potem wyrwał worek z pieniędzmi i uciekł w stronę ulicy Hibnera. Piętka był w takim szoku, że wbiegł do banku, pokonał schody na pierwsze piętro i tam zemdłał. Drugi z konwojentów

miał mniej szczęścia. Kolejny napastnik władował w niego dwa pociski. Trzeci strzał spowodował śmierć. Wszystko trwało sekundy. Świadkowie nie zapamiętali wiele, bo drugi napastnik strzelał jeszcze do konwojenta w aucie, skutecznie wybijając mu z głowy jakąkolwiek myśl o oporze.

W miejscu napadu śledczy znaleźli potem osiem łusek. Gdy milicyjni eksperci je przebadali, triumfalnie ogłoszono, że oto odnalazło się „brakujące ogniwo” w skomplikowanej układance niewyjaśnionych dotąd poprzednich zbrodni.

Łuski pochodziły bowiem z pistoletu wz. 1933 produkcji polskiej oraz z pistoletu zrabowanego milicjantowi, niejakiemu Kiełczykowskiemu, pięć lat wcześniej. To znaczyło, że napadu dokonali przestępcy, których milicja szukała od wielu lat. Ci po raz pierwszy dali o sobie znać już w 1957 roku.

4 grudnia tego roku Krystyna Wawerek, kasjerka sklepu obuwniczego „Chełmek”, oraz towarzyszący jej konwojent Zenon Wolski zamierzali przenieść do skarbca przy ulicy Bagatela worek z 118 tysiącami złotych. Złodzieje zaatakowali ich na tyłach kina Luna. Jeden z napastników strzelił konwojentowi pod nogi.

Prawie półtora roku później odezwali się ponownie. Tym razem finał ich akcji był tragiczny. 7 kwietnia 1959 roku napastnicy zaatakowali w tunelu trasy W-Z milicjanta Zygmunta Kiełczykowskiego. Najpierw ranili go nożem, potem dobili strzałem w głowę. Nie chodziło im o portfel stróża porządku, a właśnie o jego broń. Bo tego oto pistoletu użyli w trzecim napadzie, parę tygodni później. 1 czerwca 1959 roku napadli na konwój pocztowy przy ulicy Armii Ludowej w Warszawie. Tylko jeden z dwóch zaatakowanych strażników przeżył. Bandyci zrabowali im 666 tysięcy złotych. Postrzelony zeznał milicji, że napastników było dwóch, strzelali bez ostrzeżenia, jeden był niższy, nosił beret i jasny płaszcz, drugi, wysoki, miał płaszcz brązowy.

Ponieważ relacja strażnika ukazała się w „Expressie Wieczornym”, bandyci szybko go zidentyfikowali. Pechowiec dostał wkrótce list nadany w Katowicach, w którym znalazł się artykuł i nabój z jego broni kaliber 7,62 mm. Dość czytelna aluzja.

Gdy udało się już połączyć wszystkie cztery napady, śledztwo ruszyło żwawiej. Przynajmniej na początku.

Ustalono, że bandytów na Jasnej było co najmniej trzech, a prawdopodobnie czterech. Dwaj główni strzelali, trzeci ich ubezpieczał, być może z karabinem, czwarty zaś, tęższy

i starszy, około sześćdziesięcioletni czekał w samochodzie, którym odjechał z pieniędzmi.

„Sprawców cechuje bezwzględne zaufanie, solidarność i dyscyplina. Grupą kieruje człowiek o zdecydowanym charakterze, dużych zdolnościach planowania i organizacji. Zdolności te mogą wynikać z zawodu, działalności konspiracyjnej lub przestępczej” – pisał w pierwszym rozkazie komendant główny MO, generał Dobieszak, a kolejny milicyjny analityk domyślał się: „sprawcy są nam znani”. Przecież – sugerował biorącym udział w dochodzeniu – władza ludowa zna wszystkich kryminalistów. Niestety, ci konkretni nigdy nie byli karani. Pochodzą jednak z „rodzin kontrrewolucyjnych”. Może być tak, że w latach 1953–1957 byli znani z czynów chuligańskich, z napadów „na bombę” lub „wydrę”, a może to „niebieskie ptaki” i „bikiniarze”.

Śledztwo, które ruszyło dość rażno, powoli traciło energię. Efektów nie było widać i milicjanci zaczęli tracić animusz.

Trzy lata po rozpoczęciu śledztwa – milicja dreptała w miejscu.

„Nie ulega wątpliwości, że poszukiwana banda charakteryzuje się silnymi więzami, które umocnione w wyniku dokonywania zbrodni zagrożonych karą śmierci – zapoczątkowane zostały zapewne jeszcze przed rozpoczęciem działalności przestępczej”, powtarzał jak mantrę stare ustalenia nowy komendant milicji, generał brygady dr T. Pietrzak². Generał Dobieszak bowiem – jak można się było domyślać – stracił pracę za brak efektów.

Jeszcze przed jego dymisją funkcjonariusze ustalili, że sprawcy „w działaniu są bezwzględni, strzelają bez ostrzeżenia i z zaskoczenia, dążąc do zabicia bezpośrednich świadków [...] Przynajmniej jeden z bandytów jest dobrym strzelcem i doskonale zna się na broni”³.

W ciągu kilku pierwszych lat po napadzie właśnie pod tym kątem milicjanci sprawdzili dwadzieścia pięć tysięcy mężczyzn.

Pamięta pan, o co dokładnie pytali pana milicjanci podczas śledztwa w sprawie napadu stulecia?

O samochód. I w ogóle, co robiłem... Oni zawsze przychodzili, jak się coś złego działo.

Złego?

Jakieś duże włamanie, jakaś zbrodnia. Byli przekonani, że albo ja, albo któryś z nas maczał w tym palce. Mówiłem wam już: za każdym razem przychodzili we dwóch, ręce w kieszeni, wścibscy, czasami grzeczni, ale raczej nie. Poza tym chodziłem na UB. Nowa władza była przekonana, że nie włączymy się z ochotą w dzieło odbudowy...

W 1965 roku to już nie była nowa władza. A „dzieło odbudowy” było już na ukończeniu...

Tak, ale problemy były stare. W to „dzieło odbudowy” – jak mówicie – to nam się zwyczajnie nie dali włączyć...

To chyba nie dziwne. Ostatnią akcję przeprowadził pan przecież już po wojnie, w 1946 roku. Rok później ujawnił się pan i skorzystał z amnestii. I właśnie przed komisją amnestyjną złożył pan 22 kwietnia 1947 roku oświadczenie. Oficer, który to oświadczenie przyjmował – jakiś ubek z niedbałym podejściem do gramatyki – zapisał, że w nowej, powojennej konspiracji nosił pan pseudonim „Gryf” i należał do organizacji WiN na terenie „Warszawy-Śródmieście”⁴. To była jak najbardziej antykomunistyczna organizacja, której celem było – jak to się mówiło – „obalenie siłą władzy ludowej”.

Przez chwilę, tak, byłem przez chwilę w WiN-ie.

To są pana słowa zapisane z potwornymi błędami ortograficznymi w komisji amnestyjnej: „Do organizacji nielegalnej W.i.N. wstąpiłem w październiku 1945 roku na terenie Warszawa Śródmieście. Do organizacji wprowadził mnie kolega mój ps. »Adam« imię Edward p.por. i zostałem przydzielony do oddziału kpt. ps. »Jan« jako luźny członek. Będąc jednak na kontakcie z ps. »Adam«, ps. »Burza« naz. Andrzej Jabłoński zam. Warszawa ul. Noakowskiego 16 m 6. Zebrań żadnych nie miałem. Pod koniec marca 1946 r. ps. »Burza« oznajmił mi że ps. »Adam« chce widzieć się ze mną i dnia

następnego spotkałem się z nim u ps. »Burzy« że jeden z członków został aresztowany i trzeba go za wszelką cenę wydostać za pomocą pieniędzy, zaraz polecił nam, że udamy się do Pruszkowa gdzie dokonamy napadu na pewne osoby, które ma nie czyste sumienie Około 26 marca 46 r. Spotkałem się na Stacji w Pruszkowie z ps. »Adam« który dał nam instrukcje i wręczył broń krótką. Napadu tego dokonałem ja wraz z ps. »Burza« niedaleko st. kolejowej (dokładnie miejsca nie pamiętam). Przy czym zrabowaliśmy futro damskie i jakaś walizkę. Po dokonaniu napadu udaliśmy się do ps. »Adam« który czekał na nas niedaleko miejsca napadu oraz wręczyliśmy mu zrabowane rzecz, oraz zabrał od nas broń oraz wszystko załadował na samochód i sam pojechał. Myśmy zaś powrócili do Warszawy razem z ps. »Burza«. W międzyczasie po dokonaniu napadu przeprowadziliśmy krótką rozmowę z ps. »Adam« któremu oficjalnie oznajmiliśmy, że do takiej organizacji nie chcemy należeć i w ten sposób zerwałem kontakt, który już nie utrzymywałem do chwili obecnej. Korzystając z amnestii przyszedłem ujawnić się. Warszawa, dnia 22 kwietnia 1947 r.”.

Tak, zaproponował mi to Andrzej Jabłoński, „Zenek”. On był od „Porawy”. Po wojnie budował trasę W-Z, zmarł w 1994 roku. Wspólnie „zrobiliśmy” Grabowskiego w czasie okupacji na ulicy Koszykowej, opowiadałem wam wcześniej. Coś tu kręciłem przed tą komisją. Chcieliśmy kogoś wykupić z niewoli, już nie pamiętam. Wypisałem się z tej zabawy.

Cytujemy panu ten dokument, bo to wyjaśnia zainteresowanie UB pana osobą zaraz po wojnie i później. Słyszał pan o bandzie braci Wałachowskich?

Jakiej bandzie? Nie znam...

Opowiemy...

Roberta Wałachowskiego może znać każdy, kto interesuje się historią... mody. Przez wiele lat właśnie jego zdjęcie ilustrowało w prasie artykuły o słynnych bikiniarzach. Bo rzeczywiście ten modelowy, wręcz wzorcowy dandys prezentował się doskonale: na

fotografii stoi tak, by i fotografujący, i ten, kto na niego patrzy, mógł docenić kunszt w doborze obuwia. Bo buty dla bikiniarza to podstawa: słonina, czyli zelówka, musiała być przepisowej grubości. A teraz proszę spojrzeć do góry. Na fryzurę. Jak zeznał kapral stołecznej milicji, który go w końcu zatrzymał, Wałachowski zaczesany był w „jaskółę”, czyli na „styl amerykański” (już samo to budziło grozę). Wałachowski oprócz tego, że był „amerykańskim” playboyem, przede wszystkim był hersztem bandy, na którą milicja całego kraju urządziła prawdziwe polowanie.

Historia ta zaczyna się w lutym 1952 roku. Czterech młodych chłopaków nie chce być przodownikami pracy. Nie chce życia w pszenno-buraczanym kraju, gdzie na łatwe dziewczyny woła się „Gruzinki” (nie dlatego, że mają egzotyczną urodę, ale dlatego, że szybką miłość dają w gruzach – koszarnej surrealistycznej scenografii stolicy). Chłopcy chcą czegoś więcej: wolności. A do tego potrzebne są pieniądze. Spotykają się na piętorku przy ulicy Zakopiańskiej w podwarszawskich Nowych Górcach. Słuchają muzyki, marzą o przygodach i w końcu wpadają na pomysł: założą organizację antykomunistyczną. Taką prawdziwą, nieuchwytną i uzbrojoną. Chcą być jak Kedyw, jak likwidatorzy z AK, jak miejska partyzantka. Dziewiętnastoletni Eugeniusz Szczyciński zeznawał potem: „Byłem trochę niezadowolony z obecnego ustroju w Polsce, gdyż zarobki moje i w ogóle robotników były za niskie [...] Za zapracowane uczciwie 500 zł miesięcznie nie mogłem sobie pozwolić na kupno lepszego ubrania i pobawienie się”.

Składają przysięgę i nadają sobie pseudonimy. Robert Wałachowski na cześć Tadeusza Zawadzkiego z Szarych Szeregów przyjmuje pseudonim „Zośka”. Jan Wydrzyński staje się „Wichrem”, Robert Kaczmarek „Zającem”, Szczyciński zaś każe wołać na siebie „Skowronek”.

Pseudonimy rzeczywiście jak z AK-owskich raportów. Morale jednak nieco inne: pierwszy trup pada 3 marca 1952 roku. Milicjant Trąbiński, trzydziestodwuletni plutonowy akurat skończył „zabezpieczać sklep spółdzielczy” przy ulicy Chłodnej i wziął się do patrolowania okolicy. Niespiesznym krokiem przemierzał rewir, gdy Wałachowski zaszedł go od tyłu i strzelił mu dwa razy w plecy. Kolejne akcje mają miejsce ostatniego dnia marca i na początku kwietnia. Łupem pada kilka tysięcy złotych. Potem, 20 i 21 kwietnia, „bikiniarze-partyzanci” dokonali jeszcze trzech zamachów na umundurowanych milicjantów. Działali na Woli, Żoliborzu i Mokotowie.

22 kwietnia bracia Wałachowscy (do grupy dołączył Leszek, który zdezerterował z wojska), Marian Malinowski – nowy członek szajki i Szczyciński pojechali do Lublina. Ponieważ wałęsali się cały dzień, typując ofiary, i nikogo nie znaleźli, raczyli się wódką przed dworcem. A potem, już wstawieni i pełni animuszu, zastrzelili dwóch funkcjonariuszy: milicjanta i tajniaka. Następnego dnia byli z powrotem w stolicy. Nastrój przygody niesie ich do kolejnej draki. Kradną 130 złotych, a kolejnego dnia 1600 złotych i dwa garnitury.

Napad, jakiego dokonali 4 maja, postawił całą warszawską milicję i Służbę Bezpieczeństwa na nogi: czterech członków grupy napadło na jubilerski komis MHD przy Nowym Świecie. Świadkowie zeznawali, że o godzinie 10.45 do sklepu weszło trzech mężczyzn. Sterroryzowane bronią kierowniczką sklepu i ekspedientka tylko się przyglądały, jak rabusie zabierali z gablot biżuterię i zegarki. Gdy wychodzili na ulicę, w ekspedientkę wstąpił bojowy duch: chwyciła jednego ze złodziei za płaszcz. Szamotanina, zamieszanie. Część precjozów wypadła na chodnik przed sklepem. Lech Wałachowski wyciągnął broń i zaczął strzelać. Ranił dwójkę przechodniów. Bandyci ruszyli na ulicę Foksal. Tam stała już taksówka z czwartym uczestnikiem napadu. Grupa odjechała, a organa sprawiedliwości zaczęły liczyć straty. Były niebagatelne: 224 185 zł w biżuterii, 6360 zł w gotówce.

Jak pisze Andrzej Gass, który wyciągnął z akt przechowywanych w archiwach IPN-u tę historię, milicja i UB były bezsilne. Departament III MBP i Wydział III UBP „walkę z bandytyzmem” miały tylko w swoich statutach. Generalnie zajmowały się zwalczaniem antykomunistycznego podziemia, wobec zuchwałych napadów rabunkowych były bezradne. Przykładem błędzenia po omacku była akcja na stadionie Legii, przeprowadzona 18 maja. Ubecy byli przekonani, że bandytami są ludzie młodzi. A skoro tak, to nie powinni opuścić tak ważnego dla każdego młodego człowieka wydarzenia, jakim był mecz Polska – Bułgaria. Na mecz wysłano osiem grup obserwacyjnych, w każdej po czterech funkcjonariuszy i jednym świadku (sprzedawcy i sprzedawczynie z okradzionych sklepów). Akcja, podobnie jak i mecz zakończyły się porażką (Polska przegrała 0:1).

Chłopcy tymczasem mogli zakupić „na ciuchach” wymarzone marynary i zamszaki.

Grupa Wałachowskich zapewne jeszcze długo terroryzowałaby stołeczny handel

i usługi, gdyby nie donos milicyjnego informatora „Łukasza” (kuzyna ojca Wałachowskich). To on w maju zdobył informacje o wyskokach członków swojej rodziny. Nas jednak bardziej interesuje inny donosiciel i jego zeznania: tajny współpracownik bezpieczeństwa o pseudonimie „Lotnik”. Musiał pracować gdzieś w okolicy Nowego Świata. Pięć dni po napadzie na skład jubilerski w rozmowie z funkcjonariuszami opisał sam napad: że po akcji zrobiło się na ulicy zbiegowisko, że w jego biurze wszyscy słyszeli strzały, że ludzie chowali się po bramach. Potem przyznał, że znał właścicielkę, panią Chojnacką. Dodał, że obsługa sklepu przejawia wrogi stosunek do nowej rzeczywistości. Oczywiście, to mało istotne. Ale w kolejnym zdaniu dodał to, co musiało zelektryzować śledczych. Otóż „Lotnik” wyznał, że w okresie okupacji specami od bardzo podobnych akcji byli Bronisław Bąk, pseudonim „Szlak”, i jego brat Stanisław, pseudonim „Burza” – obaj z Góry Kalwarii. Mniejsza o to, że pomylił Bronisława z Bolesławem z okresu ich służby w 993/W – „Lotnik” albo znał, albo słyszał o legendarnych braciach, likwidatorach z AK.

Taką właśnie mieliście opinię u nowej władzy: bandyci, złodzieje i zabójcy, spece od mokrej roboty... Skoro resort myślał tak o Bąkach, to tym bardziej mógł tak myśleć o panu...

Bzdura. Ja miałem dosyć „roboty” po wojnie. Przecież się ujawniłem w 1947, jak tysiące akowców.

Finał sprawy braci Wałachowskich łatwo przewidzieć: członkowie bandy wpadli, proces zakończył się wyrokami śmierci. W ostatnim słowie prokurator nie szczędził oskarżonym propagandowych morałów: „Oskarżeni nie chcieli skorzystać z tych dobrodziejstw, jakie im dało Państwo Ludowe, lecz mimo swego robotniczego pochodzenia, ulegli wrogiej propagandzie obrzydzającej nasz ustrój ludowo-demokratyczny, a wychwalającej amerykański styl życia. Złapani na lep tej propagandy szerzonej przez ośrodki rodzimej reakcji, oskarżeni stali się wrogami klasy robotniczej i państwa ludowego, naśladując gangsterów amerykańskich [...]”. Wałachowscy, Malinowski i Szczyciński zostali straceni 11 lutego 1953 roku.

Po ujawnieniu się w 1947 roku przez znajomych poznałem pewnego starszego

kaletnika. Też AK-owca. To był dowódca zwiadu konnego w Kampinosie. Nazywał się Tomasz Lisowski. Polubiliśmy się, pracowałem u niego, on mi pomagał. W Laskach miał dom, zamożna rodzina. Miał ładną córkę, ożenił się z nią któryś z kolegów. Po pewnym czasie sam założyłem warsztat, to było moje główne źródło dochodu. Początkowo dobrze mi szło. Pierwszą wizytę UB miałem w 1946 roku. Wydaje mi się, że UB znało moją historię dzięki Marcelowi. UB-ecy – po moim ujawnieniu się – zaczęli mnie namawiać, aby przejść do pracy w resorcie bezpieczeństwa!

W UB? Ale chyba jako instruktor, bo przecież nikt z nich nie znał się na „robocie” jak pan i koledzy z 993/W?

Chcieli, żebym wstąpił do resortu. Nie mogli mnie niczym szantażować, żadnych zarzutów postawić mi nie mogli, ja zawsze powoływałem się na to, że byłem tylko szeregowym żołnierzem, polityką zajmowali się zwierzchnicy, poza tym skorzystałem z amnestii.

Gdy skończyła się wojna, miał pan równo dwadzieścia lat. A praca w resorcie to byłby łatwy chleb.

Nie. Nie ten adres. Z komunistami nie chciałem mieć wtedy nic wspólnego. Po wojnie chciałem się uczyć. Przecież byłem kompletnie niedouczony. Wielu z nas było niedouczonych, w czasie okupacji nie mieliśmy ani siły, ani czasu na edukację. Matury na piśmie przecież nie mam. Tylko „małą”. Po wojnie Poczta Polska otworzyła technikum elektryczne, chyba na Kasprzaka. Bardzo chcieliśmy się zapisać. Potrzebne były punkty. Przystąpiliśmy we trzech do egzaminów. To już było po tym, jak „Radosław” wezwał do ujawniania się. No tośmy się ujawnili. Po egzaminie dostałem ankietę do wypełnienia. Rubryka: przynależność. Skoro byłem ujawniony, to wpisałem: AK. Koledzy również. Egzamin dobrze mi poszedł. Potem wywieszono listę przyjęć. A tu nas nie ma. Są na liście ci, którym egzaminy poszły gorzej, a nas nie ma. Poszedłem do komisji, pytam. Pani wysłuchała mnie, poszła sprawdzić papiery, wraca. „Słuchaj, na przyszły raz, jak będziesz składał ankietę i wniosek, to naucz się, jak to pisać!”.

I tyle było z mojego technikum. Nie chodziło o żadne punkty, tylko o służbę w AK. Nowe państwo polskie uznało, że nie kwalifikuję się do nauki. To już więcej nie próbowałem. A musiałem siebie i rodzinę utrzymać. Otworzyłem zakład kaletniczy. Szybko zacząłem dostawać wezwania na UB. Moja pierwsza żona, sanitariuszka z powstania, już nie żyje, miała z nimi prawdziwe urwanie głowy. Doszło do tego, że ona w pewnym momencie ich wypędzała! Nie bała się. Nie odpowiadała na pytania. Oni wysyłali wezwania, musiałem łązić na UB. To naprawdę było koszmarnie. Rujnowali mi życie. Wystarczyło, że w Warszawie czy okolicy jacyś złodzieje napadli na sklep czy kogoś zabili, od razu pojawiali się u mnie ubecy. Nie tylko u mnie. U kolegów też. Obserwowali nas. Zmieniali się. Do ministerstwa na ulicy Koszykowej byłem wzywany kilka razy. Wzywali mnie również przed wyborami, przypominali sobie. Potem to już zapraszali do knajp.

Nie bał się pan, że to może za daleko pójść?

Ich interesowało, z kim ja się kontaktuję. Oczywiście, chodziło im o kolegów z AK. Kiedy się z nimi widziałem, co robią, z kim przebywają. To było w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Co kilka lat ci ubecy się zmieniali, w końcu w 1979 roku trafiłem na uczciwego ubeka.

Jakiego?

Ja nie kryłem, kim jestem, jakie mam poglądy, on wiedział, że byłem w AK, znał etos i go chyba nawet szanował. Wykształcony. Dużo ze mną rozmawiał, po przyjacielsku, zupełnie inaczej niż jego poprzednicy. To było w okresie, kiedy ja zacząłem budowę domku na działce. Jego to prywatnie interesowało, bo pewnie sam chciał mieć domek na działce. Ludzka rzecz. Powiedziałem mu: „Panie Wiesiu, ja nawet pana lubię. W odróżnieniu od tych łapsów wcześniej. Czy nie możemy już tego przerwać?”. On mówi: „Nieeee, to tak się nie da”. Ja mu: „Pan jest przyzwoity człowiek, po co pan w takie gówna wlaź?”.

Tak mu pan powiedział?

Tak. Trzeba było z nim jak z człowiekiem. I on wtedy do mnie, że życie jest skomplikowane, nie miał pieniędzy na naukę, chciał mieć normalny dom, ale go nie było stać, chciał założyć rodzinę itd. Taki był jego los, że trafił do UB.

**Przecież to typowa gadka, próbował pana podejść „na dobrego milicjanta”.
Pan chyba za sprytny jest na takie numery?**

Powiedział, że był na uczelni. Miał dziewczynę, z którą chciał się ożenić. Inni wyjeżdżali za granicę, zarabiali, on był z takiego domu, z jakiego był, nie stać go było... szukał pracy, żeby szybko zarobić, wyrwać się ze swojego świata. Pragmatycznie poszedł.

I to było szczerze?

Szczerze. Na mój nos. Przekonałem się, powiedziałem mu nawet, że jest przyzwoity. I żeby kupił sobie działkę, z ramienia resortu. Jak już sobie kupi, to będziemy w podobnej sytuacji. On sobie będzie stawiał domek, ja stawiam sobie domek. Będziemy mieć wspólne tematy. I wtedy możemy sobie godzinami gadać, również o historii. I wiecie, co on zrobił? Poszedł do szefów w UB i powiedział im, że skoro są modne działki, niech wykupią jakiś teren, podzielą go, każdy dostanie działkę.

**Panie Lucjanie, pięknie to brzmi, ale na kilometr pachnie jakąś operacją
bezpieczniaków.**

Ale nasze środowisko aż takie głupie przecież nie było. Kontrwywiad działał. Żartuję. On rzeczywiście chciał mieć działkę. I poradziłem mu: Zalesie Górne. Pod Piasecznem. Miałem tam warsztat. I wykupili kawał lasu. Zrobili działki, ogrodzili, to trwało kilka lat. Ubek Wiesio kupił tę działkę, a potem umarł na zawał. Dąbrowski się nazywał. I on przed śmiercią mi powiedział: „Kupiłem, zrobiłem tak, jak pan zasugerował. Zarezerwowałem również działkę obok siebie dla pana”.

Co za gest!

Mówił: „ma pan światło, drogę utwardzoną, wodę doprowadzoną. Brać, nie grymasić, budować się”. Ja go tak wziąłem, poklepałem po plecach i mówię: „Panie Wiesiu, a jak się panu wydaje, co by moi koledzy z AK powiedzieli na to wszystko? Powiem panu: powiedzieliby, że się skurwiłem, że od ubeków działkę biorę!”.

Zatkało go.

Tak. Dał spokój.

Mamy nadzieję, że się pan nie obrazi. Sprawdziliśmy w IPN-ie, jak UB próbowało infiltrować wasze środowisko. Oczywiście, robiło to. Tam jest też sporo o inwigilowaniu pana i pana rodziny. Pan Wiesio, to nie był żaden Wiesław Dąbrowski. Jeśli dokumenty UB nie kłamią, nazywał się Wiesław Bielecki. I był podwładnym zastępcy naczelnika wydziału III-1 Komendy Stołecznej, bo to jemu meldował o próbie pana pozyskania w roli tajnego współpracownika. Cały czas chciał pana zwerbować. Nie był z panem do końca szczery. Pewnie pan już nie pamięta, ale w 1979 roku przeprowadzał się pan. Zatrzymała pana milicja, drogówka. Przyczepili się, że nie miał pan plandeki na przyczepie, jakiś drobiazg. I wtedy zaczęli pana szantażować, że będą domiary w firmie. Pamięta pan to?⁵

Nie, już nie pamiętam.

Pan Wiesio, jeśli już spotykał pana wcześniej, zmienił taktykę. A jeśli dopiero wtedy się pojawił, to zaoferował panu pomoc. Numer stary jak świat... a w zasadzie stary jak służby. 13 marca 1979 roku wypełnił wniosek „o opracowanie kandydata na tajnego współpracownika”. Uzasadnił to – widocznie taka była procedura – że był pan członkiem AK, batalionu „Pięść”. „Utrzymuje kontakty towarzyskie z osobami związanymi z byłym AK, w tym z Tomaszem Michalskim, kontaktem figuranta sprawy krypt »Turysta«, Z. Rachtanem” – napisał. Wie pan, o co chodzi?

Rachtan? Nie kojarzę. A Michalski to „Skrzydłak”, Czesław Tomasz Michalski.

Służył w 993/W. Brał udział w akcji na Leitgebera.

O co chodziło?

Michalski był bliskim współpracownikiem generała Jana Mazurkiewicza, „Radosława”. Nie pamiętam już, ale to chyba było przed tym, jak „Radosław” został wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dostał zgodę od władz, żeby otworzyć lokal, kawiarnię. Zdaje się, że na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Michalski mu w tym pomagał. Władza starała się wtedy kupić „Radosława” i przez niego w jakiś sposób dogadać się ze środowiskiem AK-owców. Pamiętam, że nawet pisaliśmy jakieś listy do generała, aby nie wchodził w tę grę z komunistami. Bo jasne było, że to jest tylko gra.

Tę grę rozszyfrowaliście. Tymczasem „pan Wiesio” grał już bardziej misternie. W rubryce „sposób opracowania” zaproponował, aby prowadzić z panem rozmowy operacyjne pod odpowiednią legendą... Czyli – mówiąc po ludzku – żeby panu kłamać. Żeby pana cały czas oszukiwać. Następnie zaproponował, aby zastosować wobec pana podsłuch telefoniczny i wykorzystać tajnego współpracownika „Warszawiak”.

Nie miałem telefonu. Zawsze podejrzewałem, że mogą mnie podsłuchiwać. Ale to, o czym mówicie, brzmi niesamowicie. Nie zdawałem sobie sprawy z aż takiego zaangażowania...

Bielecki w kolejnym dokumencie napisał w końcu, że 14 marca 1979 roku w kawiarni MDM pozyskał „kandydata w charakterze tajnego współpracownika”. Ale był na tyle miły, że napisał również: „Od pobrania zobowiązania na piśmie odstąpiono z uwagi na psychiczne opory kandydata związane z jego przeszłością okupacyjną”. I dodał: „Będzie szkolony w zakresie potrzeb naszej służby”.

To niebywałe, niesamowite. On przecież sprawiał takie wrażenie, że to on ryzykuje, kontaktując się ze mną. On – tak mówił – wyciągał dla mnie informacje

z resortu. Na przykład wiedział, że po napadzie „Pod Orłami” sprawdzali moją warszawę. Cholera.

Z 10 maja 1979 roku pochodzi „Raport o zatwierdzenie pozyskania w charakterze tajnego współpracownika”. To zbiór informacji o panu. W pozytywnym świetle. To znaczy Bielecki pisał o panu życzliwie, na swój sposób oczywiście. „Zachowanie kandydata, szczerść jego wypowiedzi, pozytywny stosunek do SB i dalsze naturalne możliwości kandydata w informowaniu nas o osobach i zjawiskach interesujących SB dały podstawę do zaproponowania mu współpracy z naszymi organami”. Dalej pisze, że pan się zgodził, ale on odstąpił od pobrania od pana zobowiązania.

I co jest w tej teczce?

Nic. Nie mieli z pana żadnego pożytku. W teczce jest postanowienie o rozwiązaniu współpracy. „W toku współpracy tw nie przekazał istotnych informacji nadających się do operacyjnego wykorzystania. Odpowiadał w sposób niechętny na stawiane pytania, a w ostatnim okresie wręcz niechętnie odnosił się do kontaktów z SB. Taka postawa tw stwarzała niemożliwe do przyjęcia warunki współpracy. Wyeliminować go z sieci tajnych współpracowników” – wnioskuje Bielecki. I data: „2.09.1980 r.”. Czyli dwa dni po podpisaniu Porozumień Gdańskich.

No, zrobiliście na mnie wrażenie.

„Pan Wiesio”, a nie my. Jedyna dziwna rzecz, która być może świadczy o jego uczciwych wobec pana zamiarach, to „kwestionariusz” z sierpnia 1980, w którym opisuje dzieje kontaktów z panem. Do tego dokumentu dołączone jest zdjęcie. Ale to nie jest pana zdjęcie. To ktoś inny. Błąd? Pomyłka? Celowe działanie?⁶

Nie umiem tego wytłumaczyć.

Owszem, nie zrobił panu wielkiej krzywdy. Ale zarejestrował pana jako

tajnego współpracownika. Bez pana zgody. Nadał panu kryptonim „Lucjan”.

Mało oryginalnie, długo nie myślał.

Nie pan jeden miał założoną teczkę. Nie pan jeden był kandydatem lub nawet zarejestrowanym tajnym współpracownikiem z waszego środowiska. Był taki epizod: podczas kolejnej wizyty esbeków u pana w zakładzie, gdy akurat pana nie było, jeden z esbeków otworzył szufladę pana biurka i wyciągnął z niej ulotkę KOR. To było 9 lutego 1979 roku. Esbek nazywa ten druk „materiałem o treści antysocjalistycznej”, to było oświadczenie KOR-u z 18 listopada 1977 roku. W pana teczce jest sprawozdanie z tej operacji, a także raport z rozmowy, w której tłumaczył pan, że nie ma pojęcia, skąd się to wzięło, a potem, że przyniósł to do pana jakiś młody człowiek i sobie poszedł.

Pamiętam. Rzeczywiście, coś im tam gadałem, jakieś bzdury. Skąd ja mogłem mieć to oświadczenie KOR-u? Może od Jacka Kuronia. On mieszkał na Mickiewicza, a ja miałem zakład trzysta metrów obok. Spotykałem go, miałem z nim kontakt, ktoś mnie zarekomendował. Kiedyś nawet poszedłem do niego do domu porozmawiać.

Dobrze się pan konspirował, bo śladu tej znajomości w teczce nie ma.

Trochę rozmawialiśmy, on był zalatany, zapracowany. Nie przydałem się. Nie miałem mu specjalnie nic do zaoferowania.

No tak: „Nie palcie komitetów, zakładajcie swoje”. Inna filozofia działania niż w 993/W.

Ja się politycznie nie udzielałem. Pamiętam, że uznał mnie za towarzysza wspólnych przekonań, podobnego światopoglądu, że tak powiem, i tyle. Dałem mu swój adres, że gdyby kiedyś coś potrzebował... Nie było okazji.

¹ IPN BU 1885/1042, k. 6–9.

² IPN BU 2386/18622: Rozkaz nr 004/67 Komendanta Głównego MO z dn. 15 listopada 1967 oraz załącznik: Wytyczne biura kryminalnego KG MO w sprawie operacyjno-dochodzeniowej kryptonim „P-64”.

³ IPN BU 1885/1042, k. 8.

⁴ Teczka Lucjana Wiśniewskiego, IPN BU27/850, k. 1.

⁵ Ten i następne dokumenty dotyczące Lucjana Wiśniewskiego w teźce personalnej, IPN 00277/499.

⁶ Teczka personalna IPN BU 00277/499. Pseudonim: Lucjan, nr ewidencyjny: 25566, k. 5.

Rozdział 20

To była krew Hani

2 października 2004.

Ostatni żyjący żołnierze 993/W przekazali Muzeum Powstania Warszawskiego mały niepozorny sztandar, właściwie proporzec oddziału. Pieczołowicie przechowywany, przekazywany z rąk do rąk, przetrwał koniec wojny, potem czas komuny. Dla wszystkich z 993/W był bezcenny. To zresztą jeden z zaledwie dwóch ocalałych sztandarów powstańczych w polskich zbiorach (drugi jest eksponatem w Muzeum Wojska Polskiego). Uszyty przez siostry zakonne z poszewki na poduszkę w sierpniu 1944 roku, przeszedł z oddziałem „Zemsta” (który powstał na zrębach 993/W) powstańczy szlak aż do bitwy pod Jaktorowem. Dla kombatantów był i jest bezcenny również z innego powodu – są na nim ślady krwi. Przez wiele lat nie udawało się ustalić, czyja to krew.

Dwie były u nas Hanie. Pierwsza to Hanna Strzelczyk, miała pseudonim „Hania Okularnik”, żeby odróżnić ją od drugiej Hani. Druga to była Hania Gołaszewska. Ta Hania.

Wspominał o niej „Porawa” w swojej niepublikowanej książce.

Hania w 1943 i 1944 brała udział w wielu akcjach. Niepozorna, zawsze gdzieś w cieniu „Teresy” czy „Zosi”. Bardzo dzielna dziewczyna, już nie żyje. Zmarła w 1996 roku. Kiedy przygotowywaliśmy obronę wolskich cmentarzy, chyba 2 sierpnia, „Porawa” wysłał „Szlaka” właśnie z Hanią do swojego mieszkania na Solcu po dokumenty oddziału. To była trudna misja, bo walki już trwały i nie można było tak sobie spacerować po mieście. Poszli. Szczęśliwie mieli na sobie zdobyczne panterki, przy przechodzeniu przez ulice Niemcy brali ich za swoich

i nie strzelali. Tak było przed Pałacem Namiestnikowskim. I oni przeszli z Woli na Powiśle, niebываła rzecz. A na Powiślu całkowita dezorientacja. Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje w innych dzielnicach. Oni doszli do Bednarskiej w rejonie Furmańskiej, stali na jakimś podwórku. W pewnej chwili wbiegła tam roztrzęsiona kobieta z chłopcem na ręku i błagała „Szlaka” o ratunek, bo Niemcy kilka domów dalej wyciągają już ludzi z piwnic i chcą stawiać po ścianę. „Szlak” nie namyślał się, jak to on. Przedostał się tam piwnicą i wyszedł na podwórko dokładnie za plecami żandarmów trzymających ludzi na muszce. Zastrzelił ich z visa. Na oczach ludzi, którzy mieli podniesione ręce. Cywile nie wiedzieli, co o tym myśleć: jakiś Niemiec zabija innych Niemców. I wtedy w kierunku „Szlaka” poszła seria z bramy, to inni żandarmi dali znać, że są. Wtedy „Szlak” rzucił granat i posłał serię ze stena. Zabił i tę dwójkę. Oswobodzeni, uratowani ludzie rzucali mu się na szyję, kobiety całowały ze łzami w oczach. Gdy pochylał się, żeby podnieść karabin jednego z tych zabitych Niemców, na podwórko wpadł jakiś zaalarmowany powstańczy patrol. Jeden z żołnierzy zobaczył „Szlaka” w panterce, uznał, że to Niemiec, i strzelił, celnie. Trafił. W lewe przedramię. Mięśnie, kość, nerwy – w strzępach. Trzeba było natychmiast operować. I wtedy Hanka przejęła inicjatywę, wzięła ślaniającego się „Szlaka” pod ramię i przeprowadziła na Piwną. W szpitalu były spartańskie warunki, zwykły stół, lampa, sterylizator. Okazało się, że na miejscu jest chirurg, kobieta, a „Szlak” to jej pierwszy pacjent. Miał szczęście, choć oberwał poważnie i już do oddziału nie wrócił. Położył się na stole, a Hanka miała trzymać go za rękę. Tak naprawdę przytrzymywała tę operowaną rękę. Kroili go i zszywali trzy bite godziny: wyjmowanie wielu odłamków kości, podwiązywanie naczyń krwionośnych, poważny zabieg, dużo krwi. „Szlak” był podobno szary na twarzy, ale nie pisnął słówkiem, nie jęknął, choć wszystko na żywca, bez znieczulenia. A potem sam wstał ze stołu i gdyby nie Hanka, pewnie by się wywrócił.

Lekarka była zadowolona z debiutu?

Ona była podobno tak zdumiona wytrzymałością „Szlaka”, że zapytała Hanke na stronie: „Kto to jest? Skąd on się wziął?!”. Można powiedzieć, że „Szlak” przeżył

dzięki tym dwóm kobietom. Tego samego dnia nasz oddział zmienił nazwę. Już nie nazywaliśmy się 993/W, ale I kompania „Zemsta” Batalionu „Pięść”. To dlatego, że pierwszego dnia zginęło trzech naszych żołnierzy, w tym „Naprawa”, i przysięgliśmy Niemcom zemstę. Z tego momentu pochodzi znane zdjęcie naszego oddziału. Stoimy w szeregu, przed nami „Porawa”. Ale moim zdaniem w tym tłumie „Szlaka” już nie ma, nie wiem, czy jest „Hania”, ja pewnie gdzieś jestem, trudno rozpoznać.

Co „Hania” ma wspólnego ze sztandarem?

Opowiem, czekajcie. Na początku powstania zostaliśmy rozlokowani w tym domu starców na Żytnej, róg Karolkowej. Jeszcze zanim wybuchły walki, na placu przed tym domem „Porawa” robił odprawy, ćwiczyliśmy musztrę. I z okien widziały to zakonnice opiekujące się starcami. I nie wiem, może w żartach, powiedziały, że brakuje nam tylko sztandaru, żebyśmy wyglądali jak prawdziwe wojsko. Bo mieliśmy już niemieckie panterki i broń. Rzeczywiście brakowało sztandaru. I one powiedziały, że nam go uszyją. Na tę propozycję „Porawa” przystał, ale sprawę scedował na adiutanta – Józka Bogdańskiego, „Ford”. On ustalił z siostrami szczegóły i czwartego dnia sztandar czy proporzec dostaliśmy.

Uszyty z pościeli, na jednej stronie wasz znak: 993/W, a na drugiej napis: „I Kompania »Zemsta«”, na biało-czerwonym tle.

Siostry nie miały dobrego materiału, ale w szyciu były mistrzyniami. I nagle byliśmy już wojskiem z własnym godłem, oczywiście nie szliśmy do boju z chorągwią, sztandar trafił do torby „Ford”. I przeszedł z nim całą drogę z Woli na Starówkę. Potem ze Starówki w plecaku ewakuował się kanałami na Żoliborz. Wiem, że w kanale „Ford” skąpał się w szlamie, te ślady są na materiale do dziś, przecież nikt tego nie prał.

A potem „Ford” zabrał proporzec do Kampinosu.

I wtedy jeden, jedyny raz zawiesiliśmy go na drzewcu i „Ford” wystąpił z nim przed frontem kompanii. To było w połowie września. 27 września Niemcy

zaczęli swoją operację „Spadająca Gwiazda”, zaatakowali z kilku stron jednocześnie. Atak zwałił się na Brzozówkę, atakowała piechota, czołgi, nawet samoloty. Sztandar w tym czasie był już w rękach „Hani”. Ona się wtedy nim opiekowała. Trzymała go w torbie, bo „Ford” z „Porawą” byli już na pierwszej linii. I wtedy Hanka, w okolicach Sowiej Woli, została ciężko ranna. A ponieważ zawsze miała przy sobie swoją torbę sanitariuszki, gdy krwawiła, chłopcy wyciągnęli w pośpiechu rzeczy, żeby powstrzymać krwawienie. Pewnie wyjęli też sztandar. Mogę się tylko domyślać: krew tryskała, obok leży proporzec, oni tymi zakrwawionymi rękoma... „Hanię” wyniesiono, a jej torba została w chałupie, tam gdzie nasi nocowali. I ta chałupa została trafiona bombą lotniczą. Torba „Hani” znowu szczęśliwie ocalała. I znowu pojawił się „Ford” i proporzec uratował. Ja mu wtedy obiecałem, że skoro mam częste kontakty z Zakładem Ociemniałych w Laskach (gdzie zresztą spotkałem kapelana Stefana Wyszynskiego i wiozłem go dwukółką na spotkanie z majorem „Okoniem”), bo kursowałem jako łącznik, to poproszę tamtejsze siostry, żeby przechowały sztandar przez kilka dni. Bo już robiło się niebezpiecznie. Zostawiłem go u siostry „Sowy”, takiej przełożonej chyba, ważnej.

I to nie było tylko kilka dni...

Całe lata. Bo „Ford”, który miał ten sztandar odzyskać, przeżył powstanie, ale potem zdarzyło się nieszczęście, utopił się, ratując kogoś w Wiśle. A później były lata stalinowskie i jakoś nie miałem głowy, by wrócić do sprawy. Zresztą w latach sześćdziesiątych, jak już nie zamykali akowców, pojechałem do Lasek zapytać, co ze sztandarem, ale chodziłem, chodziłem i żadnej z moich znajomych zakonnic nie spotkałem. Uznałem, że sztandar zaginął. W połowie lat siedemdziesiątych urządziliśmy opłatek dla żyjących żołnierzy „Zemsty” i „Porawa” zaprosił na to spotkanie kapitana Józefa Krzyczkowskiego, „Szymona”. I on przychodzi na spotkanie, i mówi: „mam dla was niespodziankę”... I wręcza nam powstaniowy proporzec. Zamurowało nas. To było wzruszające, Hanka płakała... „Szymon” jak był pierwszym dowódcą „Kampinosu”, w pierwszych dniach powstania został ciężko ranny i dochodził do siebie w Laskach. Od tamtego czasu miał z siostrami

doskonale stosunki i one mu po wojnie oddały zdeponowany pakunek. I koło się zamknęło. Potem sztandar przechowywał „Porawa”, potem Andrzej Zawadzki, po jego śmierci Romuald Śreniawa-Szypkowski, a po nim ja. No i w końcu zdecydowaliśmy się jako środowisko przekazać sztandar do Muzeum.

Prawie jako relikwię...

Ma na sobie krew „Hani”. Ona po bitwie pod Jaktorowem dostała się do niewoli. Szczęśliwie Niemcy sami zawieźli ją do szpitala w Żyrardowie, żeby przesłuchiwać, jak się podleczy. Przeszła operację, ale nie wyciągnęli jej odłamków z okolic kręgosłupa. A potem, jak już zaczęło się nią interesować Gestapo, dała z tego szpitala nogę, dokładnie tak samo jak „Porawa”.

Dobrze pan znał „Hanię”?

Dobrze. Miała lokum na Złotej 45 m. 39.

Dlaczego mówi pan lokum? Mieszkanie.

Konspiracyjne przyzwyczajenie. Tam była skrytka z bronią. Ona nam tę broń nosiła na akcje. Kiedyś wpadło do niej Gestapo, wybebeszyło mieszkanie, nic nie znaleźli. Dobra skrytka. W sierpniu 1943 roku brała udział w likwidacji kierownika kawiarni w hotelu „Savoy” na Nowym Świecie. Sędziarski się nazywał. Dostał wyrok za donosy na Gestapo. Chłopaki dorwali go na miejscu. Zdaje się Stanisław Kuśpit, „Kruk”, do niego strzelał, jak tamten wychodził z knajpy w eleganckim jasnym garniturze. Wyszedł akurat kupić papierosy. Wystawiała „Nina”. Po likwidacji „Kruk” i Erwin Tetzlaff, „Zakalec”, spokojnie skręcili w Ordynacką. Potem Danka Hibner opowiadała, że za tą budką z papierosami, gdy już zastrzelili konfidenta, kulił się ze strachu jakiś gruby żandarm z pistoletem. Był przerażony. Zapomniał, że może się bronić. Z kolei Hanka zobaczyła innego żołnierza, który, podniósł ręce do góry, gdy przechodzili z bronią, a potem jak sparaliżowany przysiadł na chodniku. Jakby mu władzę w nogach odjęło. Danka mówiła, że obie z „Hanią” czuły wtedy przyływ radości i dumy. Oto patrzyły na uzbrojonych „władców świata”, którzy trzęśli się

z przerażenia. Takich widoków się nie zapomina.

Po wojnie, jak pisze Robert Bielecki, Hanka zidentyfikowała ciało „Gila”.

W piwnicy, na Długiej 7, tam gdzie podczas powstania był szpital. Pamiętam, że był „Puchacz”, był „Jur I”, „Długi”, Henryk Liszewski i „Teresa”. 27 marca 1945 roku, poszliśmy do tej piwnicy, ale była jeszcze cała zasypana gruzem. Dopiero dwa miesiące od wejścia Rosjan. Morze ruin. Hanka pamiętała, że to do tego szpitala chłopcy odprowadzili ранego „Gila” i Adama Towarnickiego, „Sasa”. Widziała ich tam Danusia Hibner. „Gila” postrzelił niemiecki strzelec wyborowy 31 sierpnia, Rysiek został ranny w brzuch. Kula przeszła na wylot...

...jeszcze raz.

Tak, no właśnie, drugi raz, i kula zatrzymała się na kaburze z pistoletem. Był ranny też w łędźwie. Że on, cholera, nie doczekał ewakuacji, Boże mój! A potem Niemcy, po oddaniu Starówki, ich wszystkich... W tym szpitalu.

Udało się wtedy, w czterdziestym piątym, wejść do tej piwnicy?

Hanka zsunęła się na dół zsytem węglowym. I znalazła ich szczątki. Spalone. Niemcy oblali ich benzyną, podobno jakieś koce zapalone tam wrzucali, żeby ich żywcem palić. Jakiś chłopak przed śmiercią zszedł z łóżka, był ciężko ranny, pewnie chciał się ukryć, wiedział, co się dzieje, słyszał Niemców na górze. I to był pewnie „Sas”, „Hania” go rozpoznała, bo „Sas” zawsze skarżył się na nogę, po złamaniu była źle zrosnięta. I był ślad na kości podudzia, bo kości tylko zostały. A „Gil” zginął na łóżku. Nie mógł się ruszyć.

Rozpoznaliście go?

Wpełzłem, zsunąłem się do tej piwnicy, przez czarny gruz. Dałem „Gilowi”, kiedy szedł do szpitala, wojskowy pas oficerski, wcześniej bardzo mu się podobał. Widziałem, jak na niego tęsknie spoglądał, jak patrzył, bo jego zniszczony był. Odpiąłem, dałem mu... Potem „Pięść” wychodziła kanałami. To

znaczy ci, co mogli. „Sas” i „Gil” nie mogli, no nie mogli... Może gdyby był „Porawa”, toby wymusił ewakuację chłopaków, ale go nie było, był już na Żoliborzu. Nie mogli iść... Zostali. Ten pas miał taką charakterystyczną sprzączkę, dużą, podwójną, z metalu. I tę kłamrę odnalazłem. Błysnęła mi w szczątkach, w tym popiele.

Aneks

I. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, o patrolu braci Bąków¹

Spośród wszystkich ludzi w oddziale niewątpliwie „Szlak” odznaczał się największą odwagą i brawurowym wykonywaniem zadań. Szybko orientujący się w sytuacji, zawsze wychodził cało z największych opresji. Jego nieskomplikowana natura nie znała uczucia lęku. Podobnie jak „Gil” nie uznawał sytuacji złej i uważał, że jak ma się dobry pistolet i kilku odważnych kolegów przy sobie, to w każdej okoliczności można wykonać zadanie.

Pod koniec 1942 r. otrzymał rozkaz zlikwidowania konfidenta Gestapo Leszcza [nazwisko skreślone]. Przez dłuższy czas nie mógł go wyśledzić, aż w końcu udało mu się ustalić trasę jego przejazdu tramwajem. Pewnego dnia, gdy zdecydował się na przeprowadzenie likwidacji, spostrzegł, idąc ze swoim patroliem, konfidenta kierującego się ul. Marszałkowską w stronę Al. Jerozolimskich. W oczekiwaniu na odpowiedni moment do przeprowadzenia likwidacji wszyscy poszli za nim, nie spuszczać go z oczu. Ten jednak zorientował się, że jest śledzony, i na przystanku przy Alejach wskoczył do wagonu motorowego przepełnionego tramwaju. Szybko precyzyjnie się do środka, chcąc zniknąć w tłumie. „Szlak” zły, że konfident mu ucieka, wskoczył za nim na stopień wagonu. Pozostali z patrolu musieli pozostać na przystanku, gdyż nie mogli w żaden sposób wsiąść, a próba uczepienia się tramwaju została udaremniona przez granatowych policjantów. „Szlak”, rozpychając się, wszedł na pomost i zobaczył, jak konfident stoi sobie grzecznie w środku. Nie namyślając się długo, jednym skokiem usiadł na obudowaniu motoru, wyciągnął pistolet i strzelił do konfidenta, który obsunął się na podłogę.

Momentalnie powstał piekielny popłoch i wszyscy zaczęli wyskakiwać z jadącego tramwaju. Znajdujący się w przedniej części wagonu Niemcy, a wśród nich dwóch esesmanów, poszli w ślady Polaków.

W jednej chwili jezdnia pokryła się koziołkującymi postaciami, które szybko podnosiły się i uciekały w różne strony, zwłaszcza gdy usłyszały nowe strzały oddawane przez „Szlaka” do wyskakujących Niemców. Motorniczy na jego zlecenie zatrzymał tramwaj przy ul. Sienkiewicza na normalnym przystanku, na którym wysiadł nasz bohater i spokojnie chciał się wycofać. Niemcy ochłonęli jednak z pierwszego wrażenia i zaczęli kropić do niego.

Nie trwało to długo, gdyż na odsiecz nadciągnęła reszta patrolu, otworzyła ogień z peemu i wszyscy wycofali się bez strat.

„Wojenne szczęście” nie opuszczało go i w okresie powstania, w którym odznaczył się wybitną odwagą, ratując życie kilkudziesięciu mężczyznom postawionym już pod mur na rozstrzelanie. Otrzymał za to krzyż *Virtuti Militari* V klasy, a w czasie okupacji trzykrotnie Krzyż Walecznych.

Równie odważni byli jego bracia, tylko bardziej zrównoważeni.

Przeciwieństwem zbyt wybujałego temperamentu „Szlaka” była rozwaga i opanowanie jego starszego brata „Doktura”. Tego śmiało można było nazwać ojcem tej rodziny, gdyż jego opieka nad pozostałą dwójką przekraczała miłość braterską. Jemu przede wszystkim zawdzięczać należy „pomysłowe” zaopatrywanie rodziny w żywność², o którą nie tak łatwo było przecież w czasie okupacji, zwłaszcza jeśli nie miało się zbyt wiele „młynarek”.

Kiedyś za pożyczone pieniądze postanowił kupić na wsi wieprza i po „przerobieniu” go na wędliny część ich sprzedać, a część, która stanowić miała zysk, pozostawić w spiżarni braterskiej świecącej w tym czasie pustkami.

Od pomysłu do realizacji droga była niedaleka i któregoś dnia w marcu 1944 r. zajechał chłopski wóz pod kwaterę braci na ulicę Zajęczą. Cała trójka zajęła się wyładowywaniem jego zawartości i przeniesieniem jej do swojego pokoju. Gdy ze wzruszeniem i czułością spoglądali na martwe cielsko studwudziestokilogramowego wieprza, obiecując sobie lukullusową ucztę, rozległo się pukanie i po chwili weszło do pokoju dwóch granatowych policjantów.

– Dobry wieczór panom – powiedział jeden z nich. – Podobno tę świnię przeznaczylimy panowie do kuchni RGO (Rada Główna Opiekuńcza). Trzeba się pospieszyć i zaraz ją tam odwieźć, bo chłop na dole nie może zbyt długo czekać.

Nasi bracia wcale nie byli w nastroju do żartów, wręcz odwrotnie, czuli się jak na pogrzebie.

Policjanci byli nieczuli na prośby chłopaków i propozycję równego podziału. Zmuszeni zostali do zniesienia wieprza i złożenia go na wozie, na którym przyjechał. Cały kondukt wyruszył do komisariatu na Bednarską, gdzie ulokowano „nieboszczyka” i pouczono niedawnych jego właścicieli, by uważniej czytali zarządzenie, gdyż mogą narazić się na poważne przykrości, a poza tym z przejedzenia mogliby zachorować.

W grobowym nastroju wracali do domu, obdarzając niewybrednymi epitetami policjantów. W pewnej chwili „Doktur” krzyknął:

– Stać! Już ja ich wyleczę, takich to a takich synów. Na moje lekarstwo, jak dotąd, nikt się nie skarżył.

Chłopcy ruszyli biegiem na metę do „Zadry”. Metą nazywali swój lokal konspiracyjny.

„Szlak” i „Burza”, nie pytając o nic, wskoczyli za nim do tramwaju i wkrótce cała trójka znalazła się u „Zadry”. Po krótkiej naradzie zabrali broń i wrócili do komisariatu.

Pierwszy wszedł „Doktur” i z niewinną miną zameldował się u dyżurnego, prosząc o natychmiastowe wydanie świni, gdyż wózek towarowy czeka na dole. Osłupiały tą „bezczelnością” sierżant ryknął na niego ze złości i kazał mu się wynosić. Na to „Doktur”, wyciągnąwszy pistolet, poprosił go o podniesienie rączek do góry, a „Szlak” i „Burza”, szybko uwinąwszy się z pozostałymi policjantami w liczbie sześciu, spędzili ich do jednego pokoju i rozbroili. „Doktur” po wygłoszeniu odpowiedniego umoralniającego przemówienia kazał policjantom znieść wieprza do wózka i ostrzegł, że w wypadku represji z ich strony wszyscy zostaną zlikwidowani. Policjanci bez słowa protestu wykonali rozkaz, obiecując, że zapomną o tej sprawie, jeśli tylko otrzymają swoje pistolety. Szybko zawarto porozumienie, po uprzednim „ukaraniu” dwóch policjantów (sprawców zabrania świni), i bracia bez przeszkód dotarli do swego lokalu.

„Doktur” był niezawodnym strzelcem z pistoletu maszynowego. Wyznaczany zawsze do najbardziej odpowiedzialnych zadań, nigdy nie zawiódł.

Najmłodszy z rodziny, „Burza”, nie ustępował swoim braciom i w akcjach można było zawsze liczyć na niego w stu procentach.

¹ Wszystkie przytoczone w Aneksie teksty Stefana Matuszczyka, „Porawy”, pochodzą z niepublikowanego rękopisu książki *Oddział bojowy kontrwywiadu Komendy Głównej AK*, złożonego w Dziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Teksty przytaczamy za zgodą Pani Barbary Michałowskiej, córki Autora.

² W rzeczywistości – na co zwraca uwagę Juliusz Kulesza – głównym organizatorem życia codziennego i zaopatrzeniowcem braci Baków był Hipolit („Sosna”).

II. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, o patrolu „Gila”

Patrol „Gila”

W październiku 1942 r. „Naprawa” wprowadził do oddziału swoich ludzi z partyzantki. Byli to późniejsi podchorążowie „Gil” (Ryszard Duplicki) i „Sęp” (Lucjan Wiśniewski) oraz podoficerowie „Puchacz” (Zygmunt Szadokierski), „Kobuz” (Stanisław Salach) i „Jur I” (Jerzy Pajdziński). Stworzyli oni pod dowództwem „Gila” pierwszy patrol oddziału, który przetrwał w tym składzie aż do wybuchu powstania.

Wszystkich członków oddziału łączyło wysoko pojęte koleżeństwo – ten patrol jednak tworzył jakby rodzinę, choć niezwiązaną żadnym pokrewieństwem, najbliższą sobie, bo opartą na wspólnej pomocy w walce. Brał on udział we wszystkich prawie poważniejszych akcjach, przeprowadzając je pomysłowo i niejednokrotnie z brawurą cechującą ich młody wiek.

W pierwszym konspiracyjnym lokalu oddziału przy ul. Elektoralnej 5 [7?] zbierali się na odprawy wyznaczone przez por. „Twardego”, stamtąd zaś wyruszali na akcje i tam ukrywali się w wypadku zagrożenia.

„Gil” niewątpliwie był jedną z najbardziej pozytywnych postaci w oddziale. Zawsze skromny i skory do pomocy koleżeńskiej, był niezmiernie wymagający w stosunku do siebie samego. Zdawał sobie sprawę, że tylko nauka i praca daje możliwości dojścia do czegoś w życiu, toteż umiał połączyć udział w akcjach z nauką i pracą zawodową. Na tajnych kompletach otrzymał świadectwo dojrzałości; traktował je jako pierwszy stopień wspinania się po drabinie życiowej. Należał do największych zapaleńców w oddziale. Niebywale odważny, nie znał przeszkód i nie rozumiał pojęcia niesprzyjających warunków wykonania jakiegoś zadania. Byłby z niego doskonały dowódca, gdyby przy wszystkich swoich zaletach posiadał jeszcze jedną – rozwagę. Swoją niecierpliwością przysparzał niejednokrotnie dużo kłopotu kolegom, ale wszelkie napomnienia nie pomagały i do końca nie zmienił się. [...]

Jako przykład jego odwagi, a jednocześnie nieliczenia się z niebezpieczeństwem, może służyć opis wykonania wyroku na komendancie Kripo w Pruszkowie¹.

Kiedy w akcji na Dürrfelda i Śliwińskiego kula przeszła mu pierś i musiał przez dłuższy czas kurować się w mieszkaniu „Teresy” (Izabelli Horodeckiej), prosił „Sępa”, by wytłumaczył matce jego nieobecność, pozorując ją dłuższym wyjazdem w sprawach organizacyjnych. „Sęp” wywiązał się dobrze z zadania i uspokoił zaniepokojoną matkę, obiecując jej, że Rysiek po przyjeździe zrobi jej miłą niespodziankę.

Myślał o Krzyżu Walecznych, jaki otrzymał „Gil” za tę akcję.

Mama jednak odkryła tę tajemnicę. W czasie mycia się syna dostrzegła na jego piersi i plecach ślady po kuli. Wykręty na nic się zdały i chłopak musiał wyjawić całą prawdę. Matczysko spłakało się, ale nie robiło wymówek, zadowolone, że syn, zdrowy, jest przy niej.

Odznaczony trzykrotnie Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia plutonowego podchorążego został ciężko ranny w ostatnich dniach [obrony] Starówki. Umieszczony w szpitalu na Długiej przeżył pomyślnie operację. Zginął jednak w szpitalu zamordowany przez zbydlęconych esesmanów.

Niewątpliwie największym opanowaniem w patrolu odznaczał się „Sęp”. Ten zrównoważony, spokojny chłopak imponował wszystkim niejednokrotnie. Szybko orientował się w sytuacji i natychmiast interweniował w wypadku zagrożenia. Jemu zawdzięczał patrol opracowanie bezpośrednich planów akcji, które zawsze były dobrze wykonane.

Trzeci członek patrolu, „Kobuz”, pochodził z biednej robotniczej rodziny i musiał pomagać ojcu w utrzymaniu licznego rodzeństwa. Pracował jako zdun, co zabierało mu dużo czasu, nie tyle jednak, by nie móc dokszałcać się i pracować w oddziale. Cechowało go duże poczucie humoru, a jego dowcipy obiegały cały oddział. Celował w kawałach antyniemieckich. Starszy od swoich kolegów, miał duży pociąg do płci pięknej. Ileż to razy kochał się, i to zawsze do grobowej deski. Chłopcy zaś ze cztery razy wybijali mu z głowy małżeństwo, za co zresztą później im bardzo był wdzięczny, ale tylko dlatego, że miał nowy obiekt westchnień. W akcji natomiast był „pewniakiem”, jak mówili jego koledzy i zawsze mogli na niego liczyć. Brał udział w powstaniu razem z ojcem. Obaj przeszli przez piekło Woli i Starówki i obaj zginęli.

„Jur I” pracował również nie tylko w oddziale, ale i zarobkowo, a oprócz tego uczył się. Na jego barkach spoczywał ciężar utrzymania matki i dwóch nieletnich siostr po śmierci ojca. Zawsze cichy i małomówny, nie skarżył się nigdy na ciężkie warunki materialne, z jakimi musiał się borykać, by zapewnić jako taki byt rodzinie. W akcji odznaczał się opanowaniem, które imponowało kolegom. Jeden tylko raz opuścił go spokój, ale na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że sytuacja nie była codzienna.

W początkach swojej działalności patrol otrzymał rozkaz zlikwidowania Czesława Zabiega, agenta Gestapo, zamieszkałego przy ul. Szopena 4. Akcja była trudna, w domu mieszkali sami Niemcy, a poza tym było małe prawdopodobieństwo zastania agenta w mieszkaniu. Nie mogli przeprowadzić likwidacji na ulicy, gdyż nie mieli nawet jego rysopisu. Niezrażeni tym wszystkim, wierząc w swoje szczęście, zdecydowali się pewnego dnia na złożenie mu „wizyty” pod dowództwem „Naprawy”, który wraz z „Jurem I” miał dokonać likwidacji. Pozostali w patrolu mieli stanowić ubezpieczenie.

„Naprawa” naciska pewnie guzik dzwonka i odbezpiecza pistolet. Po chwili jakiś głos męski odzywa się zza drzwi i pyta, kto dzwoni. Otrzymuje odpowiedź w języku niemieckim, że listonosz – otwiera je, a do środka wpadają dwaj wykonawcy z okrzykiem „*Hände hoch*” – i zamykają je za sobą.

Mija już chyba z dziesięć minut od chwili ich wejścia do mieszkania, zaniepokojony więc ich długą nieobecnością „Sęp” podchodzi do drzwi, starając się je otworzyć. Nie udaje mu się to jednak, schodzi na dół, aby naradzić się z kolegami, co robić dalej. W tym momencie słyszy dwa głucho strzały i po kilku minutach widzi wychodzącego z mieszkania „Naprawę”. Drzwi zaopatrzone w jakiś automat natychmiast zatrzasują się za nimi, tuż przed nosem „Jura I”.

Obaj słyszą, jak ten manipuluje przy zamku, nie mogąc sobie z nim poradzić. Na podwórzu i w bramie ruch był coraz większy. Ktoś schodzi z góry. To jakaś kobieta, która ciekawie im się przyglądała, ale widząc ich spokojnie stojących, wychodzi na ulicę. Chwilę nasłuchują, czy nie zrobi ona alarmu, po czym „Naprawa” dość głośno daje wskazówki „Jurowi I”, jak należy uporać się z zamkiem. Gdy to nie pomaga, decydują się podłożyć granaty i wywalić drzwi. „Sęp” wyjmuje dwa i wiąże je sznurkiem, a „Naprawa” komunikuje o tym „Jurowi I” i zleca mu ukryć się na czas wybuchu wewnątrz mieszkania. Ten jednak prosi, by jeszcze chwilę zaczekali. W momencie gdy

tracą już nadzieję, że uda mu się bez ich pomocy wyjść – zamek trzaska i drzwi otwierają się, a blady przymusowy więzień staje w progu. Widać po nim, że jest silnie zdenerwowany.

W drodze powrotnej milczał przez cały czas, a koledzy nie pytali go o nic, szanując jego „wzburzenie”. W jakiś czas potem opowiedział „Sępowi”, że w tym mieszkaniu przeżył koszmarne chwile.

W drzwiach były trzy zamki „yale”. Jak otworzył jeden, to drugi mu się zamykał, i tak w kółko. W zdenerwowaniu nie mógł ich jakoś nastawić na luz, a tuż za jego plecami leżał trup².

Ostatni członek patrolu „Puchacz” był wyjątkowo dobrym kolegą, skorym zawsze do poświęceń. Chłopcy wiedzieli, że w najcięższym momencie mogą zawsze na niego liczyć. Mimo swego młodego wieku był bardzo poważny i w akcjach nigdy nie szarżował.

¹ Chodzi o likwidację Ewalda Maryniuka, zob. rozdział „Puchacz” miał mankament, że był do Żyda podobny.

² Uzupełnienie tej historii po latach przedstawili Robert Bielecki i Juliusz Kulesza (*Przeciw konfidentom...*, dz. cyt., s. 85). Porawa” we wspomnieniach tego nie napisał, ale wszyscy w oddziale, łącznie z potwierdzającym nam to dzisiaj Lucjanem Wiśniewskim, wiedzieli, że zdenerwowanie „Jura I” nie wynikało z tego, że przez dłuższą chwilę szamotał się z drzwiami, a za jego plecami leżał trup. Otóż w jednym z pokoiów obszernego mieszkania na podłodze bawił się spokojnie najwyżej czteroletni chłopczyk, który nie zdawał sobie sprawy, że kilka metrów dalej rozegrał się dramat, jego ojciec zginął, a zabójca bezskutecznie próbuje wyjść. „Obraz tego malca prześladował Jerzego Pajdzińskiego jeszcze przez długi czas” – piszą Bielecki i Kulesza.

III. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, o akcji „Mokotów”

Był jesienny szary dzień roku 1943 w oflagu Woldenberg¹. Po całodziennym nudnym objaniu się z kąta w kąt jeńcy szykowali się do apelu wieczornego. Do jednego z baraków wkraczają uzbrojeni esesmani i wywoławszy ppor. rez. inż. Antoniego Borkowskiego, odprowadzają go do budynku dowództwa obozu i zamykają w oddzielnym pokoju. Zaniepokojony tym więzień na próżno stara się znaleźć powód niespodziewanego aresztowania.

Następnego dnia odbywa się pierwsze przesłuchanie. Niemcy zarzucają mu, że w czasie kampanii wrześniowej wydawał swoim podwładnym rozkazy rozstrzeliwania jeńców niemieckich. Porucznik zaprzecza temu kategorycznie. Zostają mu jednak przedstawione zeznania jego ordynansa, obecnie volksdeutscha, które obciążają go zdecydowanie.

Ppor. Borkowski spokojnie zeznaje, że w czasie działań wojennych rzeczywiście zatrzymał dywersantów ubranych po cywilnemu, ale przekazał ich dowództwu pułku, które po krótkim przewodzie sądowym wydało na nich wyrok śmierci. Sam nie uczestniczył w egzekucji. Po tym oświadczeniu rozwścieczeni esesmani katują go w okrutny sposób i odwożą do więzienia w Poznaniu.

Tu po wielu dniach przesłuchiwań i bicia Niemcy starają się wymusić przyznanie się do winy. Wreszcie odbywa się proces i [ppor. Borkowski] zostaje skazany na karę śmierci. Z niewiadomych przyczyn [wykonanie] wyrok[u] zostaje odłożone i pewnego dnia więzień zostaje odprowadzony na stację kolejową i wsadzony do pociągu. Z rozmów eskorty dowiaduje się, że odwożą go do Bydgoszczy. Umysł zaczyna gorączkowo pracować. Wie, że dziś czy jutro musi umrzeć. Jedyna szansa uratowania się to ucieczka z pociągu, bo wydostać się z więzienia będzie niemożliwe. Jak to jednak zrobić? Silna eskorta, pędzący pociąg i skute ręce zdają się uniemożliwiać ten zamiar. Chwila namysłu, plan gotowy. Porucznik stawia wszystko na jedną kartę.

W pewnym momencie prosi konwojenta o wyprowadzenie go do ubikacji. Jeden z eskortujących żołnierzy wychodzi z nim i staje w korytarzu wagonu na warcie. Borkowski nie traci chwili czasu. Dobrze, że ma ręce skute na przodzie. Opuszcza szybę i nadludzkim wysiłkiem przedostaje się na zewnątrz, zawisając na rękach. Teraz najważniejszy moment! Należy odbić się od boku pociągu i skoczyć. O groźącym niebezpieczeństwie nie ma czasu myśleć. Wypręża ciało, nagłym ruchem odrywa się i stacza w dół do głębokiego rowu. Chwilę leży oszołomiony, wreszcie z szalonym wysiłkiem wydostaje się z niego i postanawia najszybciej dobrnąć do pobliskiego lasu. Czas nagli. Słaniając się na nogach osiąga go wreszcie. W tym momencie dochodzą go odgłosy strzałów – to jego ucieczka została odkryta. Brnie dalej w las, który ku jego przerażeniu kończy się, i widzi rozpoczynające się mokradła. Wchodzi w nie coraz dalej i dalej, aż wreszcie całkowicie pozbawiony sił pada w szuwary. Niemcy przeszukują teren, jednak znalezienie człowieka w nocy, zwłaszcza wśród bagien, nie jest rzeczą łatwą. Nie dają jednak za wygraną i przez cały następny dzień przetrząsają okolice. Uciekinier wyczerpany, głodny i zziębnięty nie rusza się jednak z miejsca. W swojej kryjówce spędza dwie doby. Wreszcie decyduje się ją opuścić i szukać jakiejś pomocy. Znajduje się przecież na terenach polskich okupowanych przez Niemców. Resztkami sił dociera do zabudowań, osłabiony jednak poprzednimi przeżyciami – mdleje.

Znajduje go polska dziewczyna, która widząc jego mundur, orientuje się, że jest to zbiegły jeńiec².

Kłopot, że zagroda ma już właściciela Niemca, a ona jest tutaj na przymusowych robotach. Nie opuszcza jednak zbiega, cuci go i ukrywa na strychu obory. Liczy na to, że tam będzie mógł bezpiecznie spędzić dzień, a następnej nocy pójdzie dalej. Wypadki jednak potoczyły się inaczej. Borkowski rozchorował się. Poprzednie bicie, dalsze obrażenia przy skoku z wagonu oraz dwie doby spędzone w mokradłach spowodowały to, że dostał dużej gorączki i zapadł w stan maligny. Dziewczyna ratowała chorego czym mogła i już po kilku dniach stan jego poprawił się, jednak nie na tyle, by mógł wyruszyć w dalszą drogę. Piątego dnia odkrywa go tam syn właściciela należący do Hitlerjugend. Daje natychmiast znać żandarmom, którzy otaczają dom, wpadają na strych i aresztują Borkowskiego.

Zostaje odprowadzony do miejscowego posterunku, gdzie przez dłuższy czas znęcają

się nad nim. Aresztują również dziewczynę, która go ukrywała.

Na drugi dzień Niemcy wywożą go do więzienia mokotowskiego w Warszawie³. W celi zastaje Zbyszka Kowalczyka aresztowanego za sabotaż gospodarczy. Więźniowie szybko porozumiewają się i szukają dróg, którymi mogliby wydostać się na wolność⁴. W czasie wizyty lekarskiej starego felczera więziennego Strzykalskiego Kowalczyk prosi go o przeniesienie „grypsu” do rodziny, wyjawiając równocześnie, że Borkowski jest skazany na śmierć⁵.

Strzykalski zgadza się i jeszcze tego samego dnia „gryps” zostaje dostarczony do „Kła”, kuzyna aresztowanego. Ten przesyła odpowiedni meldunek do dowódcy oddziału por. „Twardego”. Sprawa otrzymuje bieg służbowy i zgodę przełożonych na wykradzenie więźnia.

„Kieł” jest w stałym kontakcie ze Strzykalskim i od niego dowiaduje się, że starszym lekarzem więziennym jest dr Mrozek, a młodszym dr Wachnowski.

Układa pewien plan i w tym celu udaje się do dr. Mrozka w towarzystwie „Naprawy” i „Szlaka”. Wspólnie namawiają doktora, by spowodował skierowanie Borkowskiego do szpitala. Wystraszony lekarz odmawia kategorycznie przyścia z pomocą, tłumacząc, że jest to niemożliwe do przeprowadzenia. Zapewnia jednak, że wizytę utrzyma w tajemnicy. Wobec tego udają się do dr. Wachnowskiego. Tutaj nie napotykają żadnego oporu, wręcz odwrotnie — uzyskują zapewnienie, że Borkowski znajdzie się w szpitalu.

Wobec tego należy przystąpić do wykonania dalszej części planu. Na przeszkodzie staje jednak fakt aresztowania „Twardego” i brak nowego dowódcy, który by plan zatwierdził. W międzyczasie dr Wachnowski daje jakiś zastrzyk w kolano Borkowskiemu, zlecając jednocześnie umieszczenie go w szpitalu, bo opuchnięte po zastrzyku kolano wymaga leczenia.

W tym czasie objąłem dowództwo oddziału i kontynuowałem dalsze rozpracowanie tej akcji. „Naprawa” melduje mi o planach wykradzenia więźnia i przedstawia dotychczasowe wyniki przygotowań.

Na odprawie zostaje ustalone, że Strzykalski zaopatrzy więźnia w piłkę do cięcia metalu, odpowiedniej długości linę i pistolet.

Przedmioty tę dostarczone będą dopiero pod koniec dnia wyznaczonego na ucieczkę. Termin poda Strzykalski orientujący się najlepiej w warunkach więziennych. W nocy

około godz. 1 więzień, po uprzednim przepiłowaniu krat, spuści się na linie i po obejściu gmachu szpitala wydostanie się pod mur ogradzający więzienie. Stamtąd przerzuci na drugą stronę kamyk, dając tym znak czekającym ludziom z Oddziału. Ci natychmiast przerzucą drabinkę sznurową na drugą stronę, po której więzień wydostanie się na mur i opuści na ziemię po uwiązanej do niej linie.

Wszyscy wycofają się następnie na Dolny Mokotów, gdzie w ukryciu przeczekają do rana. Do czasu swego wyzdrowienia i wyrobienia nowych dokumentów ppor. Borkowski zostanie umieszczony w mieszkaniu „Teresy”.

W wyniku narady „Kieł” dostarcza Strzykalskiemu piłkę, linę i pistolet FN. Ten ukrywa to wszystko na terenie szpitala.

Postanowiono, że akcję należy przeprowadzić jak najszybciej, gdyż każdego dnia Borkowski może zostać rozstrzelany.

Następuje jednak nieprzewidziana przeszkoda. Borkowski zostaje w celi, do której wprowadzono rtm. Lorenza, oficera zawodowego, skazanego na karę śmierci za niezgłoszenie się do obozu, oraz jakiegoś cywila, skazanego na śmierć za sabotaż gospodarczy⁶.

Obaj są skatowani przez Gestapo i zrezygnowani czekają na wykonanie wyroku. Borkowski prosi Strzykalskiego, by i oni również mogli razem z nim uciec. Na to jednak musieliśmy uzyskać zgodę przełożonych, gdyż nie wiadomo było, kim jest cywil. W razie ewentualnego donosu zgubiłby przez to nie tylko Lorenza i Borkowskiego, ale ludzi, którzy będą na nich czekali po drugiej stronie muru. Wydaję zlecenie, by Strzykalski zebrał bliższe informacje dotyczące jego osoby; gdyby nie zasługiwał na zaufanie, należy pozostawić go w celi. W żadnym wypadku, nawet gdyby opinia o nim była pozytywna, nie wolno wtajemniczać go w plan ucieczki. Trzeba to zrobić dosłownie w ostatniej chwili, a gdyby starał się zaalarmować strażników, zakneblować mu usta i związać prześcieradłem.

„Naprawa” przekazuje to zlecenie Strzykalskiemu. Nie jest to łatwe zadanie, gdyż Strzykalski nie ma dostępu do akt, a nie może wypytywać się o niego Niemców. Zmartwiony nie wie, co ma robić. Wypadki jednak potoczyły się inaczej. Rano dnia 27 VIII do celi weszło kilku gestapowców. Naigrawając się z więźniów, zakomunikowali im, że następnego dnia zostaną wzięci na posterunek i w wypadku, gdy nie wyjawią

prawdy, zostaną straceni. Strzykalski, dowiedziawszy się o tym, natychmiast zaalarmował „Kła”, a ten poprzez „Naprawę” niezwłocznie mnie zawiadomił. Decyduję się przeprowadzić akcję jeszcze tej nocy, przed przesłuchaniem więźniów, pozostawiając sprawę cywila do ich uznania.

Do tej akcji zostają wyznaczeni: ppor. „Kieł”, ppor. „Ryś”, podchorąży „Naprawa”, podchorąży „Szlak”, podchor. „Burza”, plut. „Doktur”, podchor. „Pepełek”, Piotr Kowalski, „Zakalec”, Erwin Tetzlaff, „Gil”, „Stasiek”, Stanisław Przybysz oraz „Grom”. Ci ostatni to granatowi policjanci należący do oddziału⁷.

Krótko przed godziną policyjną wykonawcy ukryli się naprzeciwko szpitala więziennego w kartoflisku przylegającym do murów⁸.

„Stanisław” trzymał w pogotowiu drabinkę sznurową, zakończoną hakiem, a „Burza” i „Doktur” wymierzali steny w budki wartownicze rozstawione na rogach muru.

Mijała godzina za godziną. Przytuleni do ziemi z niecierpliwością oczekiwali na umówiony znak. Od czasu do czasu poprzez plac przechodziły patrole niemieckie, nie domyślając się, co kryje pobliskie kartoflisko. Wartownik zamknął się w budce i tylko światłem reflektora dozorował swój odcinek.

Wreszcie nadeszła godzina 1. Wybił ją wolno zegar więzienny. Chłopcy poruszyli się na swoich stanowiskach, a „Stanisław” podsunął się z drabiną pod sam mur.

Po drugiej stronie panowała jednak niczym niezmacona cisza. Oczekujący zaniepokoiли się przedłużającą się nieobecnością więźniów. Gdy minęła godzina 3, zrozumieli, że coś musiało im stanąć na przeszkodzie, i doczekawszy się zakończenia godziny policyjnej, zziębnięci poszli na punkt zborny. Zastali tam Strzykalskiego, który z niepokojem wysłuchał ich sprawozdania. Nasunęło się podejrzenie, czy ów cywil nie zdekonspirował oficerów. Dzielny felczer, nie namyślając się długo, natychmiast udał się do więzienia. Po przyjsciu dowiedział się z ulgą, że więźniowie nadal są w celi. Okazało się, że nie mogli się wydostać, gdyż zdenerwowany Borkowski połamał piłki, nie mając wprawy w tego rodzaju pracach.

Strzykalski wyszedł z więzienia i po odszukaniu „Kła” razem kupili szeroką piłkę, tzw. buchwel, po czym wrócił i odebrał od więźniów resztę piłek, jak również linę i pistolet. Zdążył to zrobić w ostatniej chwili, bo zaraz po jego wyjściu wkroczyli gestapowcy i po przeprowadzeniu dokładnej rewizji więźniów, jak również i celi –

wyprowadzili na badanie Borkowskiego i Lorenza.

Zdenerwowany tymi wypadkami felczer czekał na ich powrót. Obawiał się wsypy ze strony cywila. Ten jednak zachowywał się wzorowo, tak jakby nic nie zaszło poprzedniej nocy. W końcu przyprowadzono oficerów. Ta noc miała być ich ostatnią.

Strzykalski po wyjściu gestapowców wręczył znowu „trefne” przedmioty, uprzedzając więźniów, że to ich ostatnia szansa.

I znów chłopcy zalegli w kartoflisku. Zdenerwowani niepowodzeniem poprzedniej nocy, z niecierpliwością oczekiwali na umówiony znak. Najbardziej bali się alarmu, jaki mogli zrobić strażnicy na wieżyczkach. Uspokoił ich jednak „Szlak”, który na własną rękę porozumiał się ze znajomym strażnikiem i nie wyjawiając mu powodów, prosił, by poczęstował wódką kolegów idących na nocną zmianę o 24. Pięć litrów miodowego bimbru i odpowiednia „zagrycha” miała ich pogrążyć w błogim śnie. Czy tak jednak będzie?

Tymczasem więźniowie przystąpili do przecinania krat. Borkowski wolno poruszał piłką, nasłuchując od czasu do czasu. Współwięźniowie tymczasem chrapali jak po najlepszej zabawie, by zagłuszyć hałas⁹.

Żmudnie, ale stale posuwa się praca. Nareszcie! Droga do wolności staje otworem! Borkowski uwiązuje linę i pierwszy przeciska się na zewnątrz przez wąziutki otwór. Zmaltretowane ciało boleśnie odczuwa ten wysiłek. Oddycha głęboko z ulgą, gdy nogi dotykają ziemi. Za nim spuszcza się po linie Lorenz i zjeżdża jak bezwładny wór, gdyż obolałe ręce nie mogą silnie objąć sznura. Na końcu wydostaje się cywil. Wszyscy okrążają blok i podchodzą pod mur.

Borkowski nabiera w ręce kamyków i przerzuca je na drugą stronę. Na ten znak „Stanisław” wstaje i zamaszystym ruchem zarzuca hak drabinki. Huk jak cholera! Lecą dachówki, które ukośnie pokrywają mur, a drabinka obsuwa się na ziemię. „Burza” klnie i podnosi ją. Robi duży zamach i powtórnie ją zarzuca. Znów lecą dachówki, ale hak zaczepia się. W tym momencie wszyscy nieruchomieją. Wpatrują się w budki strażników, ale tam... cisza. „Burza”, uwiesiwszy stena na szyi, wspina się po drabince jak kot. Po osiągnięciu wierzchołka zmienia położenie haka i przerzuca drabinę na drugą stronę. Sam kładzie się na murze, wycelowawszy pi-em w budkę strażnika. Więźniowie przytuleni do muru chwytają teraz za szczeble, pierwszy wszedł Lorenz,

a idący za nim Borkowski pomaga mu jak może, chociaż sam jest zmalretowany. Po osiągnięciu szczytu jeden za drugim spuszcza się na przywiązanej do drabinki linie. Zdzierają sobie skórę na dłoniach do krwi, ale bólu nie czują. „Burza” wciąga tymczasem drabinkę, zrzuca ją na ziemię, zawisa na rękach, uczepiwszy się kawałka muru, i błyskawicznie zeskakuje na ziemię.

Wszyscy zdejmują teraz buty i uwiązawszy je na szyi, wycofują się. Jako przednie ubezpieczenie idą „Stanisław” i „Grom”. Cała kawalkada wydostaje się na ulicę Puławską i stara się jak najszybciej dojść do skarpy i zejść do szosy Wilanowskiej. Mijając dom pod nr. 106, słyszą nagle warkot nadjeżdżającego z bocznej uliczki samochodu i nim potrafią się zorientować, cała grupa objęta zostaje światłem reflektora.

„Stanisław” wraz z „Gromem” ruszają śmiało w tamtym kierunku, a pozostali zatrzymują się. Raptem reflektor gaśnie, a przerażonym oczom chłopców i więźniów ukazuje się samochód wojskowy pełen żandarmów, którzy siedzą nieruchomo wpatrzeni w zbliżających się policjantów. Sądzą widocznie, że idą oni do nich z meldunkiem. W pewnym momencie jeden z nich widocznie zauważa pozostałych chłopców, gdyż strzela w kierunku grupy z karabinu.

„Burza” i „Doktur” momentalnie otwierają ogień ze stenów, a pozostali z pistoletów. Ze względu na naszych policjantów nie rzucają granatów. Ci uskakują tymczasem w bok i również walą do samochodu. Zaskoczeni Niemcy w bezładzie wyskakują z wozu, gęsto kładąc się trupem. Żywi chowają się za wóz. Chłopcy, skorzystawszy z tego bałaganu, wyrywają co sił w nogach, dopadają skarpy i zbiegają nią w dół.

Teraz nakładają buty i poprzez jakieś bajora kierują się na szosę wilanowską. Rozgrzani walką idą, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Z daleka widzą na szosie jakichś kręcących się ludzi i przekonani, że to ogrodnicy spod Warszawy, nie zwracają na nich uwagi. W odległości około 30 m spostrzegają nagle w majaczącym świetle żołnierzy niemieckich, którzy widocznie odbywają tu ćwiczenia. Cała grupa decyduje się obejść ich, jednak ci dostrzegają przechodzących szosą i otwierają do nich ogień. Na prowadzenie walki nie ma czasu i siły są nierówne, gonią więc poprzez pola w kierunku cmentarza czerniakowskiego. Osiągają go wreszcie, całkowicie wyczerpani.

„Ryś” decyduje czekać na cmentarzu na nadejście pierwszego tramwaju. W międzyczasie uspokojeni posilają się i palą papierosy w rękawie.

Z daleka słyhać tak charakterystyczny zgrzyt kół tramwajowych. Ustawiają się grzecznie na przystanku, zakrywając sobą uwolnionych. Tramwaj staje. Pierwszy wskakuje „Szlak”, a za nim inni. Nielicznym o tej porze pasażerom ukazuje się niecodzienny widok. Ze zdziwieniem przyglądają się całej grupie. Szybko jednak przeradza się ono w przerażenie, gdy tramwaj, nabierając coraz większego rozpędu, nie zatrzymuje się na przystankach. To „Szlak”, pokazując motorniczemu pistolet, prosi go, by jednym cugiem dowiózł ich na Ochotę. Ten naciska tylko mocniej czapkę na czoło i o nic nie pytając, zakręca na dziewiątkę.

Oczywiście nie reaguje nawet na znaki dawane przez Niemców, a tylko goni, aż tramwaj trzeszczy jak kupa starego żelastwa. Jako ubezpieczenie na pomoście stoją oprócz „Szlaka”, „Kieł”, „Burza” i „Doktur”. Pozostali uspokajają pasażerów.

Po kilku przygodach, już bez wymiany strzałów, dojeżdżają na Ochotę. Stąd cała grupa, oprócz „Kła”, jedzie na Grochów¹⁰.

Cywil i Borkowski, mając krewnych w Warszawie, tego samego dnia dziękują za gościnę. Natomiast rtm. Lorenz przez dłuższy czas ukrywa się u „Teresy”. Wreszcie wykurowany i zaopatrzony w lewe papiery odchodzi dalej pełnić służbę¹¹.

Gestapo bezskutecznie stara się przez dłuższy czas wykryć tych, którzy pomogli więźniom w ucieczce. Szczególnie dzielnie spisuje się dr Mrozek. Skatowany nikogo nie wydaje.

¹ Według ustaleń Andrzeja Zawadzkiego (zapisanych w uwagach do tekstu „Porawy” – Dział Rękopisów BUW), potwierdzonych potem przez historyków, podporucznik Borkowski został przewieziony do sądu grodzkiego w Woldenbergu 2 lipca 1942. Sąd przekazał sprawę do Warszawy.

² Zdaniem „Andrzejewskiego” historia z heroiczną dziewczyną jest zmyślona. Borkowski – w dość dobrej formie i bez kajdanek – ukrywał się po wioskach, spał w drewnitni. Tam złapali go chłopci. Oddali w ręce żandarmów, ale ten znowu im uciekł. Złapany ponownie, został odstawiony na posterunek w Swarzędzu, a stamtąd przewieziono go do Poznania i dopiero potem do Warszawy.

³ Borkowski uciekł z pociągu w drodze do Warszawy (pod Kiekrzem). Został złapany i osadzony w więzieniu mokotowskim 20 lipca 1942. Rok później, 26 lipca 1943, został skazany na śmierć.

⁴ Sekwencja zdarzeń była trochę inna. Borkowskiego skontaktował z 993/W (przez Jana

Kowalczyka, ps. „Kieł”) jego kuzyn Zbigniew Kowalczyk, który przebywał z nim w celi, odbywając karę za sabotaż gospodarczy. Zrobił to po wyjściu z więzienia.

⁵ Więzienny felczer nazywał się Antoni Szczypiński i to on – zdaniem „Andrzejewskiego” – odegrał w ucieczce niepoślednią rolę.

⁶ Rotmistrz Lorenz, to w rzeczywistości Bronisław Frycz. Zawodowy oficer, który się nie ujawnił i został za to po złapaniu skazany na karę śmierci.

⁷ Akcją dowodził „Naprawa”. „Ryś” przygotowywał akcję i wziął w niej udział. Nie było zaś „Gila”. Poza tym w akcji wzięli udział bracia Bąkowie: „Stanisław”, „Burza”, „Leon”, „Doktur” i Bolesław „Szlak” a także Jan Kowalczyk, „Kieł”, „Sokół” oraz Erwin Tetzlaff, „Zakalec”, a także (według „Andrzejewskiego”), strzelec „Pepelek”.

⁸ Chronologia dalszych wydarzeń była inna. Pierwszą próbę ucieczki więźniowie podjęli w nocy z 26 na 27 sierpnia 1943. Borkowskiemu nie udało się jednak przepiłować krat tzw. włosem angielskim, cienką piłką. Drugi termin wyznaczono na noc z 2 na 3 września 1943. Podobno 4 IX uwięzieni mieli być już zabrani do celi śmierci i tam oczekiwać wykonania wyroku. Borkowski i kompani mieli już inną piłę, zwykłą piłę do metalu, tzw. buchwel. Tym razem się udało.

⁹ Ukrywanie czegokolwiek przed współwięźniami w małej celi było praktycznie niemożliwe. Na włączenie trzeciego współwięźnia do ucieczki, osiemnastoletniego Władysława Kuklińskiego, KG AK wydała osobną zgodę. Nie był on członkiem żadnej podziemnej formacji.

¹⁰ Akcja, dzięki której udało się uratować życie trzem więźniom mokotowskiego aresztu, została doceniona przez przełożonych. 15 października 1943 r. Bernard Zakrzewski, „Oskar”, czyli Wd-69, wnioskuje o przyznanie jej uczestnikom odznaczeń wojskowych. Wniosek ten dołączony został do podobnego za akcję „Za Kotarą” z 8 października 1943 r. „Naprawa”, „Sokół”, „Ryś”, „Szlak” i „Doktur” otrzymali Krzyże Walecznych. Wymieniony we wniosku „Burza” z nieznanego powodu nie znalazł się wśród nominowanych (jedynie wyróżnionych za odwagę).

¹¹ W akcji uwolnienia więźniów z Mokotowa wziął – pośrednio – udział również ojciec Lucjana Wiśniewskiego. W areszcie był zatrudniony jako kierownik kotłowni. Lucjan Wiśniewski, „Sęp”: „Mój ojciec miał w mieszkaniu trochę narzędzi do takiej ślusarskiej roboty. Mały warsztat. Ja miałem też do tego smykałkę. Pamiętam, że gdy ojciec pracował już w więzieniu na Mokotowie, to przynosił mi duże klucze do cel, abym dorobił podobne. Ojciec bezpośrednio nie zetknął się z tymi oficerami. Chyba ich nawet nie widział na oczy. On nie miał przygotowania wywiadowczego. Wiedział, że się szykuje odbicie, ale kiedy, to tego nie wiedział.

Po udanej akcji pomagałem tym uciekinierom w ukrywaniu się. Przez pierwszy miesiąc mieszkali u »Teresy« na Saskiej Kępie. Potem załatwiłem im lokum w Boernerowie u pani dr Sokołowskiej. Mieszkali u niej obaj ze dwa miesiące. Jak wychodzili od niej, bo przecież też tam długo nie mogli mieszkać, to najpierw młodszego porucznika wysłano gdzieś poza Warszawę, a tego starszego – pamiętam, bo pojechałem do jego rodziny informować, że żyje, ma się dobrze i żeby się nie martwili –

przekazano gdzieś innej komórce AK”.

IV. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, o akcji w cukierni „Europejska”

Na początku marca 1943 r. zgłosił się do władz organizacyjnych w Warszawie ppor. Poznański, ps. „Pływak”, i zameldował, że kilka miesięcy temu został zrzucony z samolotu z rozkazem przekazania pewnych zleceń od rządu londyńskiego dla Komendy Gł. AK. Nie zdążył jednak tego wykonać, gdyż został aresztowany na ulicy w Krakowie.

Poddany wyrafinowanym torturom zgodził się pozornie na współpracę z Gestapo, nie wyjaśniając jednak właściwego celu przyjazdu do kraju. Przesłuchujący go wyższy oficer Gestapo zlecił mu wyjechać do Warszawy, nawiązać kontakt z Komendą Główną AK i rozpracować jej członków. Jednocześnie wyznaczył mu spotkanie pod koniec marca 1943 r. w cukierni „Europejska” o godzinie 15, uprzedzając go, że przyjdzie z drugim oficerem. Tam Poznański miał zdać relację ze swoich osiągnięć i otrzymać dalsze instrukcje. Przesłuchujący go „Józef” polecił mu pozostać w ukryciu, a w wyznaczonym przez gestapowca dniu pójść na spotkanie.

Poznański nie chciał się jednak na to zgodzić, tłumacząc się tym, że nie odpowiada za stan swoich nerwów, które mogą go zdradzić w czasie rozmowy. Śledztwo pozostawiło w jego psychice takie ślady, że przeraża go już sama myśl o spotkaniu z gestapowcem, nie mówiąc o uczestnictwie w akcji. „Józef” zrezygnował wobec tego.

Rysopis gestapowca, podany przez Poznańskiego, był tak ogólnikowy, że trzeba było specjalnej spostrzegawczości wykonawców, by w zapelnionej kawiarni odróżnić go od wszystkich tam przebywających mężczyzn.

„Twardy”, otrzymawszy od „Józefa” rozkaz przeprowadzenia likwidacji, przez krótki czas milczał, a potem, uśmiechnąwszy się, powiedział:

– Szefie, jestem artylerzystą i umiem strzelać z mapy, ale... do człowieka... nawet bez fotografii?

– To też dlatego pan otrzymuje to zadanie – odpowiedział „Józef”. – Liczę na pańską

inteligencję, poruczniku. Poza tym musi być pan bardzo ostrożny, gdyż nie jest wykluczone, że gestapowcy będą mieli „obstawę” w cukierni.

W dniu akcji punkt o godzinie 14.20 „Twardy” i „Naprawa” zajęli w cukierni miejsce przy stoliku. Nieco później przyszedli tam „Zadra” i „Szlak”, którzy usiedli pod oknem, a „Kieł” stanął przy bufecie, zamawiając większą porcję ciastek. Z zewnątrz ubezpieczali: „Sęp”, „Gil”, „Puchacz”, „Doktur” i „Burza”. „Sęp” i „Gil” otrzymali dodatkowe zadanie. Umówionymi znakami mieli przekazywać „Zadrze”, który obserwował ich przez okno cukierni, sytuację z zewnątrz. Ręce na piersi miały oznaczać sytuację dobrą, opuszczenie – średnią, a do tyłu – złą.

Nie czuli się jednak pewnie na swoich stanowiskach, bo chcąc donosić o tym, co się dzieje, musieli stać na samym rogu ulicy Marszałkowskiej. Uprzedzeni przez „Twardego”, wypatrywali również w tłumie przechodniów ewentualnej obstawy gestapowców.

Sytuacja właściwie nie była dobra, gdyż na ulicy roiło się od przechodzących Niemców. Po piętnastominutowym wyczekiwaniu zaczęli się trochę denerwować, bo zdawało im się, że przechodnie patrzą tylko na nich. Toteż nic dziwnego, że z utęsknieniem zerkali na drzwi cukierni, chcąc w każdym z wchodzących zobaczyć oczekiwanego gestapowca.

Tuż przed godziną 15 spostrzegli dwóch mężczyzn idących wolno od strony Al. Jerozolimskich. Wyróżniali się wśród przechodniów jasnymi, prawie białymi płaszczami. Jeden był w wieku około 40 lat, wysoki, szpakowaty, z włosami podstrzyżonymi na modę niemiecką. Drugi, dużo młodszy, sprawiał wrażenie podwładnego, o czym świadczyło całe jego zachowanie. Po dojściu do drzwi wejściowych cukierni zatrzymali się – starszy wyjął papierośnicę i podał ją towarzyszowi. Ten usłużnie zapalił mu papierosa i jednocześnie obaj zaczęli lustrować wzrokiem okolice. „Gil” i „Sęp” zorientowali się natychmiast, że to muszą być ci, na których czekają. Nie chcąc się zdekonspirować, skręcili w Marszałkowską i zatrzymali się kilkanaście kroków dalej. Po chwili powrócili na swoje stanowiska, ale tamtych już nie było. Przypuszczali, że obydwaj weszli do środka. I znów mijała minuta za minutą, a z cukierni nie było słychać strzałów.

Obserwując przepływający chodnikiem tłum, usłyszeli dźwięki orkiestry wojskowej

zbliżającej się od strony placu Zbawiciela, która szła na czele kolumny uzbrojonych żołnierzy. Kiedy orkiestra dochodziła do ulicy Wilczej, „Gil” założył ręce do tyłu, sygnalizując, że sytuacja jest zła. W tym momencie rozległa się w cukierni kanonada, która trwała przez kilkanaście sekund, a strzały zlewały się z dźwiękami orkiestry mijającej właśnie ulicę Wilczą.

Przed cukiernią zebrał się momentalnie tłum gapiów, cisnąc się do wejścia. Na szczęście oddział maszerującego wojska przeszedł, a gapie nie byli groźni.

A co się w międzyczasie działo w cukierni?

Po zajęciu miejsca „Twardy” i „Naprawa” zaczęli dyskretnie przyglądać się obecnym w sali mężczyznom podobnym z podanego rysopisu do oczekiwanego gestapowca. Nie znaleźli jednak nikogo. Do wyznaczonej godziny spotkania brakowało 20 minut. Nie było jednak powodu do zmartwienia, bo jak słusznie sądzili, wysłannicy krakowskiego Gestapo przybędą prawdopodobnie parę minut po godzinie 15.

Mając dość dużo czasu, zamówili stertę ciastek i zajadając je, wymieniali uwagi na temat zachowania się obecnych na sali, chcąc wywnioskować, kto stanowić może obstawę. Towarzystwo było mieszane i wszystko wskazywało na to, że „obstawy” na sali nie ma. Toteż nic dziwnego, że humory ich poprawiały się z minuty na minutę, a w jeszcze lepszy nastrój wprawiło ich zachowanie „Zadry”, który sygnalizowane przez „Gila” i „Sępa” znaki przekazywał przez cały czas umówionymi ruchami głowy i rąk. Cała jego postać, poważna, wyprostowana sztywno, robiła zabawne wrażenie. W pewnym momencie „Zadra” zorientował się, że dowódca i jego zastępca „nabijają się z niego”. Wrażliwy na tym punkcie, spojrzał na nich groźnie, ale widząc ich roześmiane twarze, sam lekko się uśmiechnął i zaczął zachowywać się swobodniej.

Mimo tego humoru, trochę zresztą wisielczego, z niecierpliwością wyczekiwali na gestapowców. Obawiali się, że w międzyczasie może zjawić się jakiś patrol żandarmerii, który będzie chciał wylegitymować obecnych w cukierni, a wtedy... „Naprawa” podsunął myśl, że należy ich ostrzelać w chwili, gdy tylko otworzą drzwi, a potem wycofać się przez tylne wyjście. Po tym „memento” zwrócili baczniejszą uwagę na drzwi i przesunęli pistolety zawieszane na piersiach, by łatwiej je było wyciągać z futerałów.

Dochodziła godzina 15, a oczekiwani goście nie zjawiali się. Uśmiechy zaczęły zniknąć z ich twarzy, a wzrok stawał się coraz bardziej przenikliwy. W momencie gdy

„Twardy” wezwał ruchem głowy kelnerkę i chciał uregulować rachunek, zobaczył, jak otwierają się drzwi, w których stają dwaj mężczyźni w jasnych płaszczach. Zobaczył ich również „Naprawa” i nieznacznym ruchem ręki dał znać „Twardemu”. Ten spokojnie zapłacił i przez pewien czas flirtował z przystojną kelnerką, proponując jej spotkanie w „Boccaciu”. „Naprawa”, siedzący jak na rozżarzonych węglach, wtrącił się do rozmowy, mówiąc:

– Niech mu pani nie wierzy, on i tak się z panią nie ożeni. Ma bardzo zazdrosną żonę. Kelnerka odeszła, robiąc nadąsaną minkę.

Tymczasem dwaj panowie w jasnych płaszczach usiedli pod ścianą i po pewnej chwili jeden z nich wydobył plik gazet, które położył na stoliku. Obaj zaczęli teraz bacznie przyglądać się zebranym na sali.

Obserwację tę przerwała im jedna z kelnerek, która podeszła do stolika, chcąc otrzymać zamówienie, na co odpowiedzieli jej dość głośno w języku niemieckim.

„Twardy”, obserwujący ich bacznie z nachyloną nad stolikiem głową, zobaczył w pewnym momencie, jak starszy Niemiec sięga do kieszeni i wyjąwszy z niej jakiś przedmiot, kładzie go pod gazety. Nie było żadnej wątpliwości, że to są oczekiwani gestapowcy. Zdradził ich wygląd, rozmowa po niemiecku i zachowanie, a zwłaszcza ten przedmiot podłożony pod gazety, który mógł być tylko pistoletem. W czasie tej obserwacji [„Twardy” i „Naprawa”] widzieli, że ilekroć otwierały się drzwi do cukierni albo ktoś podnosił się znad stolika, tylekroć gestapowiec kładł rękę pod gazety. Drugi natomiast stale trzymał rękę w kieszeni płaszcza.

Za chwilę miało się okazać, kto jest szybszy i sprytniejszy – przedstawiciele AK czy też Gestapo.

„Twardy” odezwał się do „Naprawy”:

– Zaraz zaczynamy. Ty będziesz strzelać do tego młodszego z lewej strony, a ja do drugiego. Nie wolno ci chybić. Na razie siedź spokojnie i obserwuj „Zadrę”. Nie przeszkadzaj mi, bo chcę jeszcze porozmawiać z kelnerką.

„Naprawa” zdębiał! Jak to, w takim momencie dowódca ma ochotę na flirty? Chciał mu zwrócić uwagę, ale „Twardy” już zatrzymał przechodzącą kelnerkę i wstając, poprosił ją jeszcze raz o spotkanie. „Naprawa” zorientował się natychmiast, o co tutaj chodzi. Opanował się i również podszedł do kelnerki. „Twardy” w czasie rozmowy,

nieznacznie oddalając się od zajmowanego przed chwilą stolika, zbliżył się do gestapowców. Dzieliło go od nich niecałe dwa metry; nie zwracał pozornie na nich uwagi i prowadził nadal rozmowę z kelnerką. Wreszcie ta zgodziła się na spotkanie i na pożegnanie wyciągnęła do niego rękę. „Twardy” ścisnął przez pewien czas jej dłoń, a potem włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, jakby chciał jej coś dać.

„Naprawa”, bacznie go obserwując, zapomniał o „Zadrze” i w chwili gdy „Twardy” zrobił ruch ręką w kierunku kieszeni, strzelił do gestapowca z lewej strony, a ułamek sekundy po nim położył drugiego „Twardy”. Gestapowcy po pierwszych strzałach nie upadli, a położyły ich dopiero następne kule.

Nastąpił nieopisany popłoch w cukierni. Wszyscy zerwali się od swoich stolików i krzycząc, tłoczyli się do drzwi. Tutaj zagroził im drogę „Zadra”, zaniepokojony przechodzącą przez ulicę kolumną wojska.

Krzyknąwszy głośno:

– Stać! Stać ! Wrócić się, bo będę strzelać!

Walnął jednocześnie kolbą pistoletu rozhisteryzowanego kelnera, który na nic nie zważając, usiłował wydostać się na ulicę.

„Szlak” i „Kiel”, wkroczywszy w zwarty tłum oblegający drzwi, rozpędzili go w kilka sekund za pomocą kolb pistoletów.

„Twardy”, korzystając z chwilowego uspokojenia na sali, wydał rozkaz wycofania się tylnym wyjściem prowadzącym na ulicę Marszałkowską. Cała grupa szybko wyszła, dając znać ubezpieczeniu, aby wycofali się na punkt zborny.

Tymczasem „Twardy” w towarzystwie „Naprawy” spokojnie podszedł do pobliskiego przystanku tramwajowego i wyjmując z kieszeni notes, zaczął przerzucać w nim kartki. Widzieli ich dobrze pozostali w cukierni komentujący żywo dopiero co rozegrane wypadki. W owym okresie ludzie nie uciekali jeszcze na odgłos strzałów i z właściwą warszawiakom ciekawością zbierali się na miejscu świeżo odbytej akcji.

Później dopiero, gdy Gestapo zabierało gapiów, wszyscy uciekali co sił w nogach na pierwszy odgłos strzałów.

Na znak „Twardego” wsiedli obydwaj do jadącego na Żoliborz tramwaju i bez przeszkód dojechali na punkt zborny.

Jak się później okazało, wysłannicy warszawskiego Gestapo przybyli do cukierni

w 20 minut po akcji. Podczas przesłuchania na miejscu personelu nie mogli ukryć swego zdumienia i złości, że wykonawcy na oczach wszystkich, przez nikogo nie zatrzymani, spokojnie czekali na przystanku tramwajowym.

W alei Szucha okazywano dyskretne zadowolenie i gdy po pewnym czasie przyjechała komisja z Krakowa w celu zbadania „wypadku”, jeden z gestapowców podobno powiedział:

– Teraz sami widzicie, w jakich warunkach musimy tutaj pracować i jak bardzo jesteście narażeni na niebezpieczeństwo. Warszawa to nie Kraków!

„Twardy” umówił się z przystojną kelnerką na trzeci dzień po pobycie w „Europejskiej”. Jak zwykle ryzykant, lubiący niecodzienne sytuacje, poszedł do restauracji „Boccacio” na umówione spotkanie. Nie bardzo wierzył w to, że dziewczyna przyjdzie, bo mogła być wystraszona tym, co się stało, i zorientować się, że rozmowa z nią była przeprowadzona dla zamaskowania właściwego celu, dla którego tam przyszedł. Nie znał jednak warszawianek! Dziewczę czekało już na niego i po przywitaniu, patrząc z podziwem w jego oczy, szepnęło:

– Mój ty bohaterze!

V. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, o wywiadowczyjniach

Por. „Twardy” ze względu na zbyt małą ilość ludzi w oddziale zmuszony był polecać rozpracowywanie wszystkich elementów potrzebnych do przeprowadzenia akcji jednemu lub kilku patrolom. Zazwyczaj patrol, który dokonywał rozpoznania, przeprowadzał likwidację. System ten, choć w rezultacie zdawał egzamin, był bardzo niewygodny, gdyż ludzie musieli tracić masę czasu, a nie wszyscy mogli sobie na to pozwolić. Poza tym przez ciągłe wystawanie na ulicach można było zostać rozpoznany, co w konsekwencji narażało na aresztowanie. Chcąc tego wszystkiego uniknąć i ułatwić ludziom wykonanie zadania oraz sprowadzić do minimum możliwość jakiejś wpadki, wydzieliłem z oddziału kilkanaście osób, które przyjęły dotychczasowe funkcje rozpoznawcze patroli.

Początkowo dowódcą naszego patrolu był podchor. „Bomir” (Jerzy Zbrożek), a później kapitan „Fez”. W skład tej komórki weszły wszystkie nasze łączniczki: „Teresa”, „Mira”, „Zosia”, „Hanka”, „Nina” (Danuta Hibner) i „Ewa” (Ewa Idzikowska).

Od „Józefa” otrzymywałem zadania, natychmiast kontaktowałem się z kapitanem „Fezem” i wspólnie ustalaliśmy wytyczne dla naszego wywiadu. „Fez” przydzielał jednemu lub kilku swoim podwładnym zadanie do wykonania i kontrolował jego wykonanie. Stale byłem informowany przez niego o przebiegu tych prac i w wypadku konieczności korygowałem je. W okresie rozpracowania tylko „Fez” kontaktował się z wyznaczonymi ludźmi. Zasada była taka, że pozostali członkowie wywiadu nie mogli znać sprawy, jaką ich koledzy czy koleżanki rozpracowywali. Praca naszego wywiadu była niezwykle trudna i odpowiedzialna. Bez względu na pogodę ludzie musieli nieraz godzinami wystawać na ulicach i chwycać się rozmaitych sposobów, by nie zwrócić na siebie uwagi. Do ich zadań należało również rozpoznanie stacjonowania formacji wroga oraz jego stanu i uzbrojenia. Wywiad sugerował miejsce zbiórki na akcję, drogę przemarszu i odwrotu.

Nasze ciche bohaterki zziębnięte nieraz i zabłocone, wygniecione w tramwajach, przychodziły na punkt kontaktowy do „Feza”, by zdać mu sprawozdanie ze swojej

działalności.

Gdy dzięki nim wszystkie elementy zostały zebrane i wyznaczono termin akcji, odbierały z magazynu broń i żegnane po ojcowsku przez „Feza”, zatykały za pasek spódnicy naładowany pistolet i wyruszały na miejsce zbiórki bez żadnej obstawy, a ileż to niebezpieczeństw czyhało na nie po drodze. Jeden nierozważny krok mógł zaprowadzić je pod szubienicę poprzez koszarne badania na Gestapo. Gorące ich serduszka, całkowicie oddane sprawie, przewyciężały lęk. Po oddaniu broni pilotowały wykonawców na miejsce akcji i w oznaczonym punkcie czekały na nich w wielkim napięciu nerwów. Podczas wycofywania się, w czasie szybkiego marszu, odbierały od nich pistolety, wydawały zabrane przed akcją osobiste dokumenty i znów transportowały broń, tym razem do magazynu. W razie potrzeby zamieniały się w samarytanki, opatrując swoich kolegów lub odwożąc ciężej rannych do punktu sanitarnego, gdzie asystowały przy pierwszych zabiegach. Na ich barki spadał ciężar łączności między plutonami, odbieranie prasy podziemnej i rozdzielanie jej między patrole, by, broń Boże, nie narazić kogoś z chłopców. Im zawdzięczamy miłe, pełne uroku chwile w czasie świąt narodowych, Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Przygotowywały nam „przyjęcia”, umilały je swoją obecnością.

Przy tym wszystkim znajdowały czas dla swoich rodzin i na naukę. „Ewa”, „Zosia”, „Hanka” i „Nina”¹ właśnie w czasie okupacji uzyskały świadectwa dojrzałości.

Za tę ich pracę, pełną poświęcenia, która odsuwała od nas niebezpieczeństwo, ich młodzieńczy humor i odwagę podziwialiśmy je i kochali jak siostry. Kiedy przyszła godzina próby w czasie powstania, były naszymi wiernymi towarzyszkami, którym niejedną z nas zawdzięcza życie.

Wszystkie zostały odznaczone Krzyżami Walecznych, a „Nina”, jeszcze w czasie okupacji, Krzyżem Virtuti Militari V kl.

Niewątpliwie najbardziej zdolną z nich wszystkich była „Teresa”, której przydzielano się trudne i odpowiedzialne zadania. Obdarzona wybitną inteligencją, podejmowała się nieraz rozpracowań – zdawałoby się – beznadziejnych. Wystarczył jej nikły ślad, po którym dochodziła do wyznaczonego celu.

Skutecznie konkurowała z nią „Mira”, niezwykle zdolna wywiadowczyni, bohaterka szeregu rozpracowań. Obdarzona macierzyńskim instynktem opiekowała się kilku

młodymi kolegami, podkarmiając ich ze swoich niezbyt obfitych zapasów.

„Nina” o cieplarnianej urodzie, mimo swego młodzieńczego wieku, z uporem i zaciekłością, tak niepasującymi do niej, tropiła konfidentów i rwała się do bezpośredniego udziału w akcji. Doczekała się tego i w jednej z nich była poważnie ranna.

Razem ze mną przyszły do oddziału „Hanka” i „Zosia”, szesnastoletnie dziewczęta, z którymi pracowałem od początku konspiracji.

„Hanka” o poważnym, marzycielskim usposobieniu, a przy tym dość uparta, pracowała niezwykle ofiarnie. Nigdy nie skarżyła się na nieraz zbyt dużą ilość zadań, jakie jej powierzaliśmy, i z uśmiechem na dziecinniej jeszcze buzi dźwigała ciężkie torby z bronią. Dwukrotnie ranna w czasie powstania, przeżyła bitwę jaktorowską, po której dostała się w ręce Gestapo. Trzymana w więzieniu żyrdowskim, poddana była kilkakrotnym przesłuchaniom, z których wychodziło zwycięsko. W końcu przekazano ją do szpitala. Po przebytej operacji uciekła stąd, gdyż Gestapo stale się nią interesowało, i ukrywała się u rodziny robotniczej. Nie mogła pogodzić się z myślą, że nie będzie już brała udziału w walce, toteż gdy wybierałem się do partyzantki w Góry Świętokrzyskie, uprosiła mnie, bym zabrał ją ze sobą. Tam, aż do wkroczenia wojsk radzieckich, udzielała pomocy rannym i chorym, czym zaskarbiła sobie wdzięczność nie tylko partyzantów, ale i ludności cywilnej.

Trochę kłopotu miałem z „Zosią”, która ze swym temperamentem powinna była urodzić się chłopcem. Niezmordowana, ciągle dopominała się o nowe, bardziej odpowiedzialne zadania. Matka jej chciała, by świeżo upieczona maturzystka zaczęła studiować na tajnych kursach uniwersyteckich, ale nasza „Zosia”, nie wyjawiając jej, w jakim to oddziale pracuje, nie miała na to po prostu czasu – zwłaszcza że wolne chwile poświęcała gimnastyce i po trosze flirtom. Mama, zaniepokojona zbyt częstym znikaniem córki z domu na długie godziny, robiła jej wymówki i przynaglała do nauki. Wydało się wszystko, gdy po akcji „Za Kotarą” przyprowadziłem do mieszkania „Zosi” rannego „Naprawę”. Pani Rusecka, całkowicie uświadomiona tą wizytą, teraz dopiero zorientowała się w rodzaju pracy swej pociechy i dość ostro przeciw temu zaprotestowała. Biedna „Zosia” musiała zacząć studia na kursach prof. Zaorskiego. Jak było do przewidzenia, długo na nich nie wytrzymała i wróciła do oddziału. Bałem się

jednak interwencji mamy, która i tak miała zmartwienie ze swoim synem, należącym do jakiegoś oddziału bojowego, i odesłałem „Zosię” do domu. W końcu na jej prośby rozmówiłem się z mamą i uzyskaliśmy zgodę, ale tylko na to, by córka zajmowała się kolportażem prasy i roznoszeniem poczty. Ku rozpaczy „Zosi” słowa dotrzymaliśmy.

Miłym zjawiskiem w oddziale była „Ewa” ze swoją szczupłą figurką i piegowatym, ciekawym noskiem. Nieraz dziwiłem się, co ją skłoniło do tego rodzaju pracy, która wymagała jednakże dużej odporności nie tylko fizycznej, ale i psychicznej. Faktem było, że nasza „Lalka”, jak ją pospolicie nazywaliśmy, sprawowała się dzielnie i niezwykle ofiarnie wypełniała obowiązki.

Ktoś, kto nie był w konspiracji, mógłby wyrobić sobie fałszywy pogląd na kobiety pracujące w oddziale bojowym, utożsamiając je z jakimiś „herod-babami”, a tymczasem były to urocze dziewczęta, które mimo swych wyczynów nie zatraciły swych powabów kobiecości i nawet w trudnych momentach walk okupacyjnych okazywały ją. Przykładem tego niech będzie niżej przytoczone opowiadanie „Zosi”.

„W połowie 1944 roku otrzymałam polecenie od dowódcy, por. »Porawy« stawienia się o godz. 10 rano u »Hanki« w jej mieszkaniu przy ul. Złotej 45. Lakoniczna treść rozkazu nasuwała różne przypuszczenia. Może jestem potrzebna do przeniesienia poczty do dowódców plutonów, może otrzymam wytyczne do rozpracowania jakiegoś agenta, a może... wezmę udział w akcji.

Każde z tych zadań mogło dać nową porcję wrażeń i doświadczeń, a choć wykonywałam je wielokrotnie przez długie miesiące i lata okupacji, wywoływały zawsze nowy dreszczyk niepokoju i – co tam dużo mówić – zwykłe uczucie strachu. Bezpośredni udział w akcji był pod względem emocjonalnym czymś zupełnie wyjątkowym.

Tego dnia rano był mroźny i pogodny. Wychodziłam z domu w wesołym nastroju, upominana przez mamę serdecznym, choć stereotypowym:

– Pamiętaj, Zosiu, tylko uważaj.

W ciągu paru minut znalazłam się na piątym piętrze u »Hanki«, gdzie zastałam już »Porawę« pogrążonego w jakichś notatkach. Bardzo szybko dowiedziałam się, że czeka mnie trudny dzień, gdyż równocześnie mają się odbyć dwie akcje, na które »Hanka« i ja mamy dostarczyć broń. Nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą, wiadomo, zadanie ważne i trudne, trzeba działać szybko i rozważnie. Z tych rozmyślań wyrwał mnie

zdecydowany głos dowódcy:

– »Zośka«, do roboty.

W czasie, gdy »Porawa« kończył swoje zajęcie, my zaopatrzone w małe kluczyk, a raczej kawałek stalowej blaszki, zaczęliśmy manewrować przy zamku do skrzynki. Po chwili czarodziejski kawałek podłogi zaskrzypiał i wieczko pudła o powierzchni ok. 2,5 m² odsłoniło zawarty w nim od kilku miesięcy skarb: dwa steny, około 30 pistoletów, granaty i amunicję.

Już »Porawa« wydał dyspozycje, już dzielił:

– To dla »Hanki«, a to dla ciebie – mówił.

Obok na podłodze rosły stosy broni, które szybko wędrowały do naszych gospodarskich toreb, przekładane marchewkami, cebulą i inną zieleniną dla zamaskowania właściwej zawartości. »Porawa« stale patrzył na zegarek. Wreszcie krótki rozkaz podający, dokąd mamy zanieść broń, jaki jest plan akcji, nasz udział, i w drogę.

Na twarzy dowódcy dostrzegłam jakiś niepokój, który częściowo i nam się udzielił; jak się okazało, minęła już godzina, o której mieli stawić się na odprawę dowódcy plutonów, »Naprawa«, »Ryś« i »Prawy«. Dlaczego ich jeszcze nie ma? Punktualność stanowiła fundamentalną zasadę naszej działalności.

– Idźcie, dziewczęta – mówi. – Nie, idziemy wszyscy, nie będę na nich czekał. Tak, idziemy, ale nie równocześnie – dopowiedział.

Już jesteśmy w paltach i kierujemy się do wyjścia, gdy tknięty jakimś przecuciem spogląda jeszcze na pokój i... o Boże, na samym wierzchu tapczanu leży sobie wiele mówiąca stopka od stena.

– Cholera – mówi »Porawa« – trzeba to schować. Zwijajcie się szybko, bo mam jakieś niedobre przecucie.

Otwieramy skrytkę i wrzucamy do niej kompromitujący nas przedmiot. W tym momencie przypominam sobie, że w torebce mam swoją kennkartę, jedyny dowód z fotografią, nazwiskiem i adresem. Przecież nie mogę go mieć przy sobie, bo w razie wyspy... ach, lepiej o tym nie myśleć. Wpadam jeszcze raz do pokoju i wsuwam go pod poduszkę. »Porawa« ponagla mnie:

– Czego się grzebiesz? Wychodź pierwsza.

Już jestem na schodach. Idę szybko, ale w drodze z piątego piętra na parter mam czas

na rozmyślania. Torba ciąży niemiłosiernie, ale wmawiam w siebie, że to przecież jarzyny, i prostuję się szybko. Idę lekko, przynajmniej staram się. Schody są przytulne, a ulicy się nie boję, bo w tłumie czuję się bezpieczna. najgorsze jest wyjście z bramy i pierwsze zetknięcie z ulicą – nie lubię tego. Znów rozmyślam, ale nie mogę zwolnić kroku, aby nie spotkać się z »Hanką« lub »Porawą«. Już jestem na dole, swobodnym krokiem przechodzę przez podwórze, obdarzając niewinnym spojrzeniem jakichś dwóch mężczyzn stojących u wylotu bramy i skręcam do postoju dorożek.

Po drugiej stronie ulicy spostrzegam stojącego »Rysia«, ale nie chcąc zdradzić się przed ewentualnym konfidentem, który mógł być na ulicy, nie podchodzę do niego. Ciekawi mnie jednak, dlaczego on nie idzie na górę. Na dociekanie nie mam jednak czasu. Na Sosnowej nie ma dorożki. Trzeba szybko znaleźć jakiś inny środek lokomocji, może riksę? Tak, tylko gdzie? Znajdę ją pewnie na Marszałkowskiej. Tam więcej ludzi i większy ruch. Znów przechodzę obok tych dwóch mężczyzn i widzę, jak z bramy wychodzi sama »Hanka«. Przebiega myśl, że »Porawa« pozostał w lokalu, oczekując na swoich dowódców plutonów.

Za chwilę siedzę wygodnie w rikszy z ładunkiem na nogach jak z wiernym psem. Zdenerwowanie mija i spokojnie obserwuję okolicę, głaszcząc w załomkach futra zimną ręką FN-ki. Przecież ona jest w tej chwili jedynym moim sprzymierzeńcem i opiekunem. Nie ukryłam jej w torbie, gdyż w razie potrzeby musi mnie bronić.

Na miejsce dojeżdżam szczęśliwie. Chłopcy, jak zwykle w takim wypadku, witają mnie owacyjnie. Ponieważ tym razem miejsce akcji było blisko punktu zbiórki, nie zachodziła potrzeba dalszego przenoszenia broni i w zasadzie moje zadanie na tym się skończyło.

Po pożegnaniu ich, zadowolona z dobrze wykonanego rozkazu, uświadamiam sobie, że do pełnego szczęścia brakuje mi jeszcze dowodu osobistego, pozostawionego u »Hanki«. Decyduję się wrócić tam i zabrać go. Tramwaj, którym jadę na Złotą, zgrzyta swym zwyczajem na skřęcie w Marszałkowską i sunie powoli w kierunku Sosnowej. Nagle spostrzegam grupki ludzi wpatrujące się w kierunku jazdy mego tramwaju. Zaciekawiona tym zaczynam się przepychać na pomost. Tramwaj przejeżdża obok domu »Hanki« i nie zatrzymując się na przystanku, jedzie dalej. Udaje mi się zauważyć przed bramą dwa samochody z ustawionymi karabinami maszynowymi, żandarmów gęsto

ustawionych wokół domu z lufami skierowanymi na górne piętra i kilku oficerów krążących przy bramie.

Sprawa jest dla mnie jasna. Nastąpiła wsypa, dom obstawiony, ale... o Boże, przecież tam na górze mogli być nasi, mogli nie zdążyć wydostać broni, wezmą ich żywcem i zaraz będą prowadzić do wozów, a może była lub trwa walka... może są ranni lub zabici... Trzeba ich ratować.

Błyskawicznie wyskakuję z tramwaju i pędzę w kierunku bramy. Już jestem wmieszana w tłum, który gromadzi się wokół pierścienia żołnierzy otaczających dom. Może czegoś się dowiem albo nawet zobaczę naszych prowadzonych do wozu... Wpatruję się w bramę w oczekiwaniu na tak dobrze nam znaną sylwetkę »Porawy«... Nie rozpoznaję nikogo i nie wiem, czy to dobrze, czy źle, bo przecież lepiej, aby byli wyprowadzani, niż mieliby być zabici... Ach, po co ja o tym myślę. Serce mi wali z przerażenia. Co robić? Czy pędzić do chłopców na ratunek? Może nie zdążę. O Boże, za duży ciężar spadł na moje barki. Co robić?

Przypomina mi się nagle, że tam na górze jest mój dowód. No, z pewnością mają go w rękę, a ja bez niczego... a jeżeli okrążą nas wszystkich stojących i będą legitymować? Jak mam się tłumaczyć? Nie mam czasu o tym myśleć. Wpatruję się bez przerwy w grupę oficerów i cywilów stojących w bramie i zdecyduję się czekać do końca bez względu na wszelkie konsekwencje.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, [minut] tak bardzo dla mnie koszmarnych, zanim zauważyłam pierwsze objawy likwidacji obławy. Nie dostrzegłam, aby wynosili kogoś na noszach ani wyprowadzali naszych. Stojący wokół domu żołnierze wskoczyli na samochody, pewno szczęśliwi, że uszli cało, a za nimi kilku oficerów i cywilów. Za chwilę samochody szarpnęły i zniknęły za rogiem ulicy. Wokół domu powoli pustoszało. Pojedyncze grupki ludzi żywo komentowały wydarzenie.

– Widziała pani, jak byli uzbrojeni? – mówiła jakaś kobieta w zielonej chustce na głowie.

– A co to dziwnego? – odezwał się głos mężczyzny. – Czy to pani pierwszy rok żyje w okupacji? Dziwi się, jakby przyjechała z Honolulu. Ciekawe tylko kogo zabrali?

– Oj, prowadzili, prowadzili – odpowiedział starszy mężczyzna.

Struchlałam z przerażenia i przesunęłam się dalej. Z zadumy wyrwało mnie pytanie

jakiegoś chłopca:

– A gdzie to było, proszę pani?

– A tam, na górze, na piątym piętrze – uprzejmie mnie wyręczyła jakaś starsza pani.

– Tak? – zdziwił się ktoś z tłumu. – To niemożliwe, tam mieszkają takie dwie spokojne kobiety. Matka z córką. To chyba pomyłka.

Pomyłka, na pewno pomyłka, pocieszyłam się w duchu i podeszłam bliżej. Sama nie wiem, kiedy weszłam do bramy. Do przodu popychał mnie straszny lęk i niepokój o tych, którzy zostali na górze. Może od mojej szybkiej pomocy zależy ich życie? Jeszcze parę kroków... tylko podwórze... może tam leży »Porawa«? Wchodzę. Cisza. Nie ma nikogo.

Powoli weszłam na klatkę schodową i pięłam się do góry po wąskich drewnianych schodach. Rozglądałam się ciekawie, jakbym tu była po raz pierwszy. Po wejściu na pierwsze piętro zatrzymałam się. Nabierałam oddechu przed decyzją – czy iść dalej, czy też wycofać się niepostrzeżenie. Nie, nie mogłam pozostać tutaj, gdyż uparcie wracała myśl, że może na drugim czy piątym piętrze leżą nasi zabici lub ranni. Nie mogłam ich tu zostawić. Ruszyłam. Najpierw powoli, wstrzymując oddech, a potem prędzej, szukając w murze śladów kul. Szłam i bałam się przeraźliwie... Biegłam, brakowało mi tchu, czułam w skroniach bicie serca. O, Boże, a jeśli Niemcy czekają w mieszkaniu? Stałam. Nie miałam czasu na rozmyślanie, ostatecznie powiem im... nie wiedziałam, co powiem, później będę się martwiła. Znow szłam wolno, szukałam ofiar... Och, po co to serce, przecież to ono wali tak głośno, pulsuje w całym ciele i nie daje zapomnieć, że naprawdę się boję.

Cicho i wolniutko podeszłam do drzwi... niewyważone. To znaczy, że zastali ich na odprawie, przebiega myśl. Och, byle już być w środku, ale jak wejść, jak sprawdzić, co się dzieje lub działa, i nie wpaść w ręce gestapowców. Z pewnością siedzą w mieszkaniu i czekają na dalsze ofiary. Aby tylko wystarczyło mi sił i odwagi do naciśnięcia klamki. Już... dotknęłam... ustąpiła... Popchnęłam drzwi i czując lekki opór, pchałam dalej. Ruszyłam wolno dalej, a serce wciskało się do gardła. Minęłam mały korytarzyk zawalony ubraniami i weszłam do pokoju. Potknęłam się o stopy ubrań, książek, pościeli rozrzuconej po podłodze, szukałam śladów krwi, pocisków... nie znalazłam. Na naszej skrytce przewrócona kozetka suchymi kikutami nóg chichotała w trwożnej ciszy ze szkopskiej nieudolności. Ucieszyło to na chwilę... może nie znaleźli... a może... może

podstęp i czekają na mnie w łazience. Zawirowało mi przed oczami – czy to możliwe, aby nikogo nie było? Błyskawicznie sprawdziłam resztę pomieszczeń, przerzuciłam pościel, gdzie powinna być moja kennkarta i szybko zbiegłam na dół. Dowodu nie znalazłam.

Wolnym krokiem wyszłam na ulicę, układając dalszy plan działania. Przypuszczam, że gdyby mnie ktoś nawet wówczas zapytał, w jakiej kolejności po sobie następowały dalsze wydarzenia, nie potrafiłabym zrelacjonować tego wiernie. Jak niedołążne dziecko wiedzona jedynie instynktem, wiedziałam tylko, że muszę odnaleźć »Porawę«, zawiadomić o rewizji, znaleźć pomoc i ratunek, a ponad wszystko zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności przed dalszymi, a nieokreślonymi jeszcze konsekwencjami. Dowódca w warunkach walki konspiracyjnej to nie kapral dla rekrutów w okresie ich pierwszej służby, to nie porucznik na koniu wywijający szabelką w czasie defilady, to żołnierz, jak każdy z nas, który – kiedy trzeba było – rozkazywał, kiedy trzeba – walczył i chronił przed zbrodniczą łapą okupanta. W tej sytuacji wydawało mi się, że tylko on jeden może zlikwidować spotęgowane niebezpieczeństwo, on jeden zamknąć przed Gestapo otwartą do nas drogę.

Odnalazłam go dość szybko i przedstawiłam sytuację na Złotej. Oczywiście oberwało mi się trochę za moją nieostrożność, ale to nic wobec tego, że dowiedziałam się, że po moim wyjściu od »Hanki« odprawy na górze nie było i wszyscy, jak dotąd, są zdrowi, cali i na wolności.

Trzeba było zaraz zawiadomić »Mirę«, aby przed godziną 16 zatrzymała przed domem »Józefa«, który miał u »Hanki« spotkać się z »Porawą«. Ja pobiegłam dalej z dyspozycjami do kolegów. Zaraz zlikwidowano kilka punktów, które w jakiś sposób miały powiązania z zaplanowanymi na dzisiaj akcjami.

Wieczorem tego dnia »Hanka«, »Teresa« i kilku kolegów, pod osłoną dobrze uzbrojonej obstawy, zabrali z mieszkania resztę broni, maszynę do pisania, ubranie nieszczęsnych lokatorek i mój dowód. Leżał on sobie spokojnie na ziemi, wśród piętrzących się poduszek. O naiwności i tępoty szkopska!

W międzyczasie pobiegłam na miasto zawiadomić o wydarzeniu swoją rodzinę. Nie było mowy, aby nocować w domu, gdyż w najlepszym przypadku, jeżeli Niemcy nie wzięli ze sobą mojego dowodu, to spisali dane i mieszkanie jest pod obserwacją.

W każdej chwili można było spodziewać się ich wizyty. Wieczorem pod osłoną ciemności wpadaliśmy kolejno na chwilę do mieszkania, żeby zabrać niezbędne rzeczy i kompromitujące dowody. Moja Matka, jak zawsze dzielna i opanowana, nie okazała ani lęku, ani zdenerwowania. Wzięła paczkę z ubraniami i powędrowała do rodziny. Długo jeszcze nie wiedziała, że nie zastosowałam się do przestrogi, którą mnie rano pożegnała. Brat poszedł do znajomych w Śródmieściu, ja powędrowałam na Żoliborz. Po kilkunastodniowym przymusowym przesiedleniu wróciliśmy do domu wobec braku jakichkolwiek objawów zainteresowania Niemców naszym mieszkaniem.

W ciągu paru dni otrzymałam nowy dowód na nazwisko »Spalińska«, od »spalenia«, dla posługiwania się nim w czasie pełnienia swych obowiązków.

Wkrótce wyjaśnił się powód rewizji u »Hanki« przy tak silnej obstawie. Okazało się bowiem, że tego samego dnia rano przyszedł do »Hanki« jej kuzyn na umówione spotkanie z »Porawą«, któremu miał sprzedać pistolet. Transakcja nie doszła do skutku, gdyż broń była starego typu i nie mieliśmy do niej odpowiedniej amunicji. Młody człowiek w drodze powrotnej wpadł w ręce Niemców i przewieziony w al. Szucha natychmiast został poddany badaniom. Torturowany podał adres na Złotej. Żandarmi w dwie godziny później przybyli do nas »z wizytą«, która mogła skończyć się tragicznie, gdybyśmy jeszcze z 10 minut pozostali u »Hani«. »Ryś« zauważył dwóch podejrzanych mężczyzn i dlatego nie wchodził. »Porawa« wyszedł w kilka minut po »Hance«, dosłownie w ostatnim momencie, gdyż żandarmi zajeżdżali już pod dom”.

¹ Por. przypis 1 w rozdz. 11.

VI. Stefan Matuszczyk, „Porawa”: „Żydokomuna” w szeregach Komendy Głównej Armii Krajowej

W połowie lutego 1944 r. oddział nasz otrzymał rozkaz zlikwidowania Jana Wolańskiego, konfidenta Gestapo i prowokatora, należącego do tzw. Międzynarodowego Biura Legalistycznego. Jak zwykle w takich wypadkach zleciłem naszemu wywiadowi wewnętrznemu przeprowadzenie rozpoznania i ustalenie wszystkich elementów potrzebnych do wykonania zadania. Wkrótce otrzymałem od „Feza” wiadomość, że Wolański zameldowany jest przy ul. Pańskiej 100, ale wpada tam od czasu do czasu na b. krótko i trudno jest ustalić, kiedy przebywa dłużej w domu. Wobec tego zleciłem, by jeden patrol z pierwszego plutonu zakwaterował się w punkcie alarmowym, a „Fez” wyznaczył „Ewę” do stałej obserwacji, zlecając jej, aby telefonicznie zawiadomiła patrol w chwili, gdy Wolański zjawi się w swoim mieszkaniu.

8 marca 1944 r. o godz. 19 w punkcie alarmowym zadzwonił telefon – to „Ewa” zawiadamiała wykonawców, że Wolański jest w domu. Szybki przegląd broni, pozostawienie kennkart i patrol wyruszył na Pańską. W chwili gdy trzech wykonawców wchodziło już do bramy domu, ubezpieczenie zaalarmowało ich, że nadjeżdża samochód osobowy. Zatrzymali się więc w bramie, nie przypuszczając jednak, żeby pobyt ich, trwający tu zaledwie parę minut, mógł być już odkryty przez Gestapo. Toteż stremowali się, gdy usłyszeli pisk opon hamującego przed domem samochodu. Momentalnie wyciągnęli broń i przyskakując do skrzydeł bramy, oczekiwali na wejście spodziewanych gestapowców. Zaczajeni usłyszeli trzask drzwiczek samochodu i po chwili trzech młodych mężczyzn weszło do bramy. Wykonawcy z okrzykiem: „Ręce do góry! *Hände hoch!*”, otoczyli ich, grożąc pistoletami. Trzy pary rąk posłusznie podniosły się do góry. Tymczasem dwóch ludzi z ubezpieczenia wyprowadziło z samochodu jeszcze jednego mężczyznę, z którym weszli do bramy. Krótka chwila narady i wykonawcy wyprowadzili „jeńców” do mieszkania dozorca, a ubezpieczenie zajęło stanowiska w bramie i na ulicy. W międzyczasie zatrzymanych zrewidowano i zabrano im pistolety. Por. Józef

Budzyński, „Prawy”, dowodzący akcją, przystąpił do badania i bardziej szczegółowej rewizji.

Na pytanie, czy pracują w Gestapo, młodzi ludzie milcząco popatrzyli się dookoła ze zdziwienia, a wreszcie jeden z odważniejszych zapytał:

– Czy panowie są z Gestapo?

Na nieparlamentarną odpowiedź, którą otrzymał od naszych chłopców, rozjaśniła mu się twarz.

– Panowie – zawołał – my jesteśmy z AK! Przyjechaliśmy tutaj wykonać wyrok z rozkazu KWC¹.

Takiego nieporozumienia nie oczekiwał por. „Prawy”. Nastąpiły więc szybkie wyjaśnienia i po chwili „Prawy” trzymał w ręce pismo KWC, wydające wyrok na Wolańskiego. Sprawa była teraz jasna. Oni i my, przez pomyłkę naszych przełożonych, otrzymaliśmy to samo zadanie. Całe szczęście, że nasz oddział zaskoczył ich w bramie, bo gdyby ludzie z KWC przyjechali kilka minut później, to wywiązałyby się walka, która w skutkach mogłaby być tragiczna. Trudno bowiem było przypuszczać, żeby dwóm oddziałom powierzono tę samą likwidację, a jeszcze trudniej, żeby spotkały się one w tym samym dniu i godzinie nieumówione.

To krótkie nieporozumienie nie przeszkodziło w wykonaniu wyroku na Wolańskim i nasi ludzie rozstali się z kolegami z KWC w najlepszej zgodzie. Umówili się tylko, że każda ze stron złoży swoim przełożonym meldunek, prosząc, aby w przyszłości z większą uwagą rozdzielali zadania.

Następnego dnia po wysłuchaniu sprawozdania por. „Prawego” poprosiłem przez łączniczkę „Józefa” o wyznaczenie mi spotkania.

Chciałem bowiem wyjaśnić tę sprawę i ostro zaprotestować przeciwko takiej nieuwadze, która mogła w konsekwencji doprowadzić do niepotrzebnej wymiany strzałów, a co za tym idzie i ewentualnych strat w ludziach. „Józef” ku mojemu zdziwieniu okazał niewielkie zainteresowanie sprawą likwidacji Wolańskiego i całym zajściem, natomiast dokładnie wypytywał o markę i kolor samochodu, którym przyjechali ludzie z KWC. Kiedy dowiedział się ode mnie, że był to zielony samochód osobowy marki „Ford”, zasepił się i po dłuższej chwili namysłu zażądał, abym mu podał rysopis ludzi z KWC. Podświadomie wyczułem, że tu kryje się coś poważniejszego, ale

nie prosiłem o wyjaśnienie, bo takie były wtedy nasze zwyczaje. Zaciekawienie moje wzrosło, kiedy otrzymałem, bez żadnych komentarzy, rozkaz odnalezienia miejsca garażowania zielonego „Forda”. Dodatkowe polecenie nakazywało zachowanie jak najdalszej dyskrecji i ostrożności. Z czasem jednak dowiedziałem się i o innych szczegółach tej ponurej sprawy, która zelektryzowała K. Gł. AK i przysporzyła ludziom, którzy ją rozpracowywali, wiele kłopotów.

Kontrwywiad AK do chwili wybuchu powstania wyjaśnił szereg faktów, które niewątpliwie dały poważny materiał do wysnucia odpowiednich wniosków. Udział w tych rozpracowaniach brali udział również ludzie z naszego oddziału.

W dniu 13 lutego 1944 r. rano szef KW „Oskar” i jego zastępca „Józef” spotkali się w lokalu konspiracyjnym w celu omówienia spraw służbowych. Rozmowę jednak przerwała im łączniczka KW „Zosia”, która zameldowała, że zostali zamordowani dwaj oficerowie oddziału VI KG AK „Tomasz Malicki” (inż. Makowiecki) i „Pisarek” (dr Ludwik Widerszal). „Oskar” i „Józef” zaskoczeni tą wiadomością zaczęli się naradzać nad sposobem wykrycia sprawców mordu. „Józef” otrzymał polecenie rozpracowania całej sprawy i informowania o rezultatach drogą służbową szefa Sztabu K. Gł. AK, pułkownika „Grzegorza” (Pełczyński). Dwaj zamordowani byli wybitnymi pracownikami BIP-u (Biuro Informacji i Propagandy AK). Jeszcze tego samego dnia „Józef” zebrał szczegóły związane z okolicznościami morderstwa, przesłuchując w tym celu domowników, dozorców domów i sąsiadów.

Krytycznego dnia, we wczesnych godzinach rannych, do mieszkania dr. Ludwika Widerszala przy ul. Asfaltowej wtargnęło kilku młodych ludzi. Po sterroryzowaniu bronią domowników oświadczyli doktorowi i jego żonie, że jako „Żydzi-komuniści” zostali skazani przez organizację podziemną na karę śmierci. Dr Widerszal, zachowując całkowity spokój, tłumaczył napastnikom, że najprawdopodobniej zaszła jakaś tragiczna pomyłka. Wyjaśnień tych jednak nie chciano słuchać. Dr Widerszal został wyprowadzony do łazienki i tam jednym strzałem z pistoletu pozbawiony życia. Żonę doktora, będącą w ciąży, mordercy po krótkiej naradzie postanowili „ułaskawić”. Po dokonaniu zbrodni opuścili mieszkanie i odjechali zielonym samochodem marki „Ford”.

W kilkanaście minut później, prawdopodobnie ci sami osobnicy, tym samym wozem przybyli na ul. Odyńca i weszli do mieszkania inż. Makowieckiego, skąd wyprowadzili

inżyniera i jego żonę, kazali im wsiąść do samochodu i odjechali w niewiadomym kierunku. Działali w dużym pośpiechu, o czym świadczy fakt, że żonę inżyniera Makowieckiego porwano w samej bieliźnie i nawet nie pozwolono jej odszukać jednego rannego pantofla. Z niewytłumaczonych przyczyn morderstwa nie dokonano na miejscu.

Po ustaleniu tych wszystkich danych „Józef” zaalarmował podległe sobie komórki, wyznaczając im zadanie mające na celu wykrycie sprawców zbrodni.

Następnego dnia kierownik referatu 993/P w K. Gł. AK Zygmunt Iwicki zameldował, że komendant posterunku policji w Babicach, jego pracownik, przekazał mu informację, z której wynikało, że czternastoletni chłopiec z gromady Gorce koło Babic, widział, jak do zagajnika podjechał zielony samochód, z którego dwaj młodzi ludzie wyprowadzili mężczyznę i kobietę w bieliźnie. Po wprowadzeniu ich do zagajnika usłyszał kilka strzałów, po czym ci dwaj młodzi mężczyźni wrócili sami i odjechali. Chłopiec zaintrygowany tym wszedł do zagajnika i znalazł świeżo przekopane miejsce. Zorientował się, że tam musiano zagrzebać zastrzelonych poprzednio mężczyznę i kobietę. Opowiadał to kolegom, obawiając się jednak zawiadomić o tym policję.

„Józef” w obecności Iwickiego i komendanta posterunku policji w Babicach przeprowadził ekshumację zamordowanych. Na podstawie rysopisów stwierdził z całą pewnością, że są to zwłoki inż. Makowieckiego i jego żony. Ponadto ustalił, że kobieta była ubrana w nocną bieliznę, a na nogach miała tylko jeden ranny pantofel.

Przy pomocy ludzi z referatu 993/P zamordowani zostali pochowani na cmentarzu w Babicach. Jak wynikało z przeprowadzonych dochodzeń, mordercami dr. Widerszala i małżeństwa Makowieckich byli jedni i ci sami osobnicy.

Opierając się na okolicznościach i sposobie dokonania mordu, „Józef” doszedł do wniosku, że akcji tej nie przeprowadzili funkcjonariusze Gestapo.

Rozpracowując tło zbrodni, zwrócono uwagę na fakt, że nazwiska dr. Widerszala i inż. Makowieckiego figurowały na liście „żydokomuny” kolportowanej na przełomie grudnia 43 i stycznia 44 r.

W pierwszych dniach stycznia KW KG AK otrzymał z referatu 996, kierowanego przez mjr. Samuela Ostik-Kostrowickiego, ps. „Jakób”, dwa egzemplarze listy zatytułowanej „Żydo-komuna w szeregach K. Gł. AK” z wezwaniem na wstępie: „by w związku ze zbliżaniem się Armii Czerwonej do Warszawy i wzrastającym

niebezpieczeństwem opanowania Komendy Gł. AK przez osoby pochodzenia żydowskiego i sympatyzujące z komunizmem, a tkwiące na kluczowych stanowiskach w K. Gł. AK, niezwłocznie przystąpić do oczyszczania szeregów AK, likwidując wymienione na liście osoby”.

Wykaz zawierał prawdziwe nazwiska i imiona ok. 40 osób, dokładne adresy, pseudonimy, funkcje pełnione w K. Gł. AK, względnie powiązania z K. Gł. AK.

Na pierwszym miejscu listy umieszczono nazwisko prof. Marcelego Handelsmana, dalej inż. Makowieckiego, dr. Widerszala, Zofii Kraheleskiej, Wojeńskiego, Wojeńskiej, Jana Czarnomskiego, Kazimierza Natanson-Leskiego, szefa KW K. Gł. AK „Oskara” i innych. W tym samym mniej więcej czasie komórka KW na miasto Warszawę dostarczyła trzeci egzemplarz tej listy, a referat 994 KW K. Gł. AK czwarty, uzyskany ze źródeł NSZ. Wszystkie cztery egzemplarze były identycznej treści i podpisane kryptonimem „Palec 11”.

Natychmiast po otrzymaniu tych list, z uwagi na to, że dotyczyły one przeważnie osób pracujących w BIP-ie lub też będących z BIP-em w powiązaniu, „Józef”, z polecenia „Oskara”, przesłał drogą służbową 1 egzemplarz wraz z ostrzeżeniem do szefa oddz. VI K. Gł. AK „Prezesa” (płk Rzepecki), adresując: „36 – Szef do rąk własnych”, podkreślając konieczność zmiany przez osoby zagrożone ich miejsc zamieszkania.

Ostrzeżenie to najprawdopodobniej zostało zlekceważone, ponieważ ani inż. Makowiecki, ani dr Widerszal nie wyprowadzili się ze swoich mieszkań, choć nawet jeden egzemplarz listy dotarł do inż. Makowieckiego.

Ustalenie sprawców mordu w warunkach konspiracji było niezwykle trudne, a jeszcze trudniejszą rzeczą, i wymagającą dużej ostrożności, było zdemaskowanie inspiratorów. Powiadomiony o zamordowaniu inż. Makowieckiego i dr. Widerszala szef Sztabu K. Gł. AK płk „Grzegorz” wydał rozkaz, aby KW możliwie szybko i dokładnie rozpracował tę ponurą sprawę. Elementy rozpoznania posiadane przez aparat KW były nikłe. Punktem zaczepienia do zdemaskowania inspiratorów była wydana przez nich lista. O bezpośrednich wykonawcach KW wiedział tylko tyle, że posługiwali się oni zielonym samochodem marki „Ford”.

W toku szczegółowych rozpracowań ustalono, że jesienią 1943 r. na Bielanych pod Warszawą został przez nieznaną grupę ludzi rozstrzelany konfident Gestapo Janicki, jadący

wraz z rodziną zielonym samochodem marki „Ford”. Samochód ten był własnością Janickiego prowadzącego do spółki z innym konfidentem Gestapo Stefanem Majchrzakiem hurtową sprzedaż drożdży przy ul. Koszykowej w Warszawie. Koncesję na hurtownię wspólnicy otrzymali od Gestapo jako nagrodę za oddane usługi. Janicki przez Kierownictwo Walki Cywilnej został skazany na śmierć, więc wyrok na nim wykonali przypuszczalnie ludzie z KWC i zabrali samochód.

Dnia 11 marca 1944 r. „Oskar” przekazał KW K. Gł. AK wiadomość o zamordowaniu Jana Czarnomskiego. Jak wynikało z jego relacji do mieszkania Czarnomskiego przy ul. Okólnik 11a m. 74 wtargnęło o godz. 10 rano kilku młodych ludzi i wystrzałem z pistoletu pozbawili go życia.

Mieszkanie zamordowanego sąsiadowało przez ścianę z mieszkaniem „Oskara”. Dozorca domu zeznał, że sprawcy przyjechali zielonym samochodem. Czarnomski był trzecią ofiarą z listy „Żydo-komuna w szeregach K. Gł. AK”. Należało więc przypuszczać, że mordercy należą do tej samej bandy i kierowani są przez tego samego inspiratora lub może inspiratorów. Na razie próby ustalenia ich przynależności organizacyjnej nie dały rezultatu. Zdołano tylko ustalić, że jest to grupa podająca się za komórkę likwidacyjną AK, kierowana przez osobnika posługującego się kryptonimem „Andrzej”.

Komendant Okręgu Warszawa miasto, płk. „Nurt” (Chruściel), i szef wywiadu okręgu warszawskiego, płk [Czesław Czajkowski] „Szeremeta”, na postawione im pytanie, czy grupa ta jest w ich dyspozycji – dali odpowiedź negatywną.

W maju 1944 r., po aresztowaniu przez Gestapo „Plebana” (Kozubowski), kierownika KW Okręgu Wa-wa Miasto, dowiedziano się, że ewakuację przedmiotów z lokalu pracy aresztowanego przy ul. Królewskiej 29 przeprowadziła grupa „Andrzeja” posługująca się zielonym samochodem. W tym samym mniej więcej czasie KW otrzymał wiadomość, że na terenie Lublina pojawił się osobnik posługujący się pseudonimem „Andrzej” i podający się za kierownika Kedywu Warszawa Północ.

Za pośrednictwem Romana Skoczylasa, mieszkańca Lublina, nawiązał on kontakt z komisarycznym zarządcą majątku Puławy, Pannwitzem, bratem gen. Pannwitza, d-cy dywizji kozackiej będącej na służbie hitlerowskiej i stacjonującej w Jugosławii.

Według otrzymanych informacji „Andrzej”, przy pomocy Pannwitza, dotarł do

lubelskiego Gestapo i tam jako przedstawiciel AK zaczął prowadzić rozmowy na temat ewentualnej współpracy AK z Niemcami przeciwko ZSRR. Zapytany w tej sprawie pułkownik „Nurt” odpowiedział, że „Andrzej” jest rzeczywiście komendantem Oddziałów Kedywu W-wa Północ, ale do Lublina nie wyjeżdżał i nie ma nic wspólnego z zamordowaniem Makowieckich, Widerszala i Czarnomskiego.

W późniejszych dochodzeniach aparat KW ustalił, że pertraktacje z Niemcami w Lublinie prowadził były członek AK Postnikoff Paweł, podejrzany o to, że aresztowany w Łodzi w 1942 r. przez Gestapo za cenę wydostania się na wolność zdradził swoich współpracowników.

Postnikoff, wyrzucony z AK, zaczął pod pozorem pracy niepodległościowej uprawiać bandytyzm, używając ps. „Andrzej”. W międzyczasie dokonano nieudanego zamachu na konfidenta Gestapo, przywódcę organizacji PAL „Czarnego”. Wykonawcy przybyli do restauracji przy ul. Puławskiej, gdzie zwykle urzędował „Czarny”. Nie zastali go tam jednak. Zamiast niego zamordowali właściciele restauracji i odjechali samochodem marki „Ford”.

Na konfidenta Gestapo „Czarnego” wydał wyrok KWO.

Opierając się na faktach likwidowania konfidentów, skazanych wyrokami KWC, przez grupę likwidacyjną posługującą się zielonym samochodem marki „Ford”, „Józef” podejrzewał, że ktoś z kierownictwa miał powiązania z inspiratorami zbrodni lub sam był jednym z nich. Były to tylko domysły. Podejrzenia szły również w kierunku ludzi z BIP-u i KW Okręgu warszawskiego. Podstawą do tych przypuszczeń był fakt, że dokładnych informacji o ludziach wyszczególnionych na liście mógł dostarczyć zainteresowanym tylko ktoś wtajemniczony w sprawy organizacyjne. Posługiwanie się zielonym samochodem marki „Ford” przy ewakuacji mieszkania „Plebana” również to potwierdziło. Nie znając powiązań organizacyjnych inspiratorów listy, „Józef” rozpracowanie swoje musiał prowadzić dyskretnie i wyjątkowo ostrożnie. Przykładem może służyć fakt, że Czarnomski był również członkiem loży „Memphis Mizrahim”, jako jeden z jej przywódców, i obok Borysa Smysłowskiego wchodził w skład tzw. trójki doskonałego. Poszukiwanie w celu wykrycia bezpośrednich sprawców mordu Makowieckich, Widerszala i Czarnomskiego długo nie dawało rezultatu. KW K. Gł. AK wkładał cały wysiłek, aby zdemaskować winnych mordu i denuncjacji, należy bowiem

pamiętać, że z ich przyczyny Gestapo aresztowało szereg osób wymienionych na liście „Żydo-komuna w K. GŁ. AK”, między innymi prof. Handelsmana i Zofię Krahełską. Aparat KW bardzo szczegółowo rozpracowywał osobiste i organizacyjne powiązania zamordowanych, szukając dróg, jakimi wiadomości o nich mogły się dostać do autorów list, z drugiej strony starał się ustalić, kto i w jaki sposób dysponował bezpośrednio wykonawcami mordów. Trudne warunki konspiracji, konieczność ostrożnego i bardzo skrupulatnego zbierania dużej ilości materiału, wreszcie wybuch powstania warszawskiego przeszkodziły w doprowadzeniu do końca rozpracowań. Tak więc sprawa ta nie została ostatecznie wyjaśniona. Niemniej jednak materiał zebrany przez aparat KW K. Gł. AK daje elementy pozwalające na skonkretyzowanie pewnych podejrzeń.

W połowie lipca 1944 r. oficer informacyjny Komendy Obwodu Mińsk Mazowiecki zameldował płk. „Szeremecie”, że spotkał w Warszawie dwóch swoich byłych podkomendnych, którzy „spaleni” na tamtejszym terenie znaleźli schronienie i wstąpili do jednego z oddziałów AK. Wydało im się jednak podejrzane, że oddział ten, poza wykonywaniem wyroków na konfidentach Gestapo, likwiduje komunistów i dokonuje napadów rabunkowych, w których sami już brali udział. Płk „Szeremeta” wiedząc, że „Józef” szuka sprawców mordu na Widerszalu i Makowieckich, przekazał mu tę informację i obiecał pomoc w ujęciu herszta bandy. Uzgodniono, że informatorzy powiadomią KW o czasie i miejscu mającej się odbyć odprawy, na którą miał przyjść dowódca. W niedługim czasie otrzymał meldunek, że dn. 16 lipca 1944 r. w jednej z kwater na Cmentarzu Powązkowskim odbędzie się odprawa sekcji, do której należeli dwaj informatorzy płk. „Szeremety”. Wobec tego postanowiono urządzić zasadzkę na cmentarzu i ująć żywym szefa bandy, by wydobyć od niego odpowiednie zeznania. Wyznaczeni do tego zadania ludzie otrzymali szczegółowe instrukcje i plan akcji.

W wyznaczonej godzinie na miejsce spotkania przybyło czterech młodych osobników, a po chwili zielony samochód przywiózł na cmentarz szefa bandy, który pieszo udał się na umówione miejsce.

Zamknął się pierścień zasadzki zorganizowanej przez KW. Zebrani zostali wezwani przez dowódcę oddziału urządzającego zasadzkę do podniesienia rąk do góry. Herszt bandy rzucił się do ucieczki, klucząc wśród grobów. Mimo wezwania nie zatrzymał się i próbując uciec, został zastrzelony. Zatrzymani jego ludzie zostali przewiezieni do

Mińska Mazowieckiego i tam przesłuchani. Nie potrafili jednak powiedzieć, kto dawał ich dowódcy, Andrzejowi Sudeczko, polecenia likwidowania komunistów. Sami brali udział w tych akcjach, będąc przekonani, że należą do AK i wykonują rozkazy K. Gł. Zeznali, że między Andrzejem Sudeczko a ośrodkiem dyspozycyjnym, z którego „Andrzej” otrzymywał rozkazy, rolę łącznika pełnił młody człowiek ok. 20 lat, którego matka miała sklep jubilerski lub zegarmistrzowski przy ul. Marszałkowskiej. Nazwiska łącznika nie znali.

W dniu 19 lipca 1944 r. został aresztowany przez Gestapo „Józef”, a w kilkanaście dni później wybuchło powstanie, które przeszkodziło w doprowadzeniu do końca dochodzeń.

Ustalono, że wszystkie listy, które trafiły do KW K. Gł. AK były dostarczone przez Władysława Jamonta. Kierownikowi ref. 996 mjr. Samuelowi Ostik-Kostrowickiemu jeden egz. „Żydo-komuny” dostarczył jego kolega z org. „Pobudka” – Jamont Władysław. Pracownikowi ref. 996, dr. Kellusowi Aleksandrowi, ps. „Bazyli” dwa egzemplarze „Żydo-komuny” dostarczył jego kolega szkolny Jamont Władysław. Kierownik ref. 994, mjr Stanisław Sławiński, ps. „Litwin”, otrzymał trzeci egzemplarz listy „Żydo-komuna” z centralnej Służby Wywiadowczej NSZ, którego pracownikiem był Jamont Władysław. Kierownik KW na miasto Warszawę „Pleban” otrzymał jeden egzemplarz listy „Żydo-komuna” również od Jamonta Władysława, podającego się często za pracownika KW K. Gł. AK.

Ustalono ponadto, że z Andrzejem Sudeczko w okresie wiosny 1944 r. kontaktowali się osobiście pracownicy KWC na miasto Wa-wę Łysakowski, Krak i inni.

Nie wyjaśniono, jaką rolę odegrał w tej sprawie niejaki Leszczyc-Gutowski, mający powiązania z grupą Andrzeja Sudeczko z jednej strony a Jamontem Władysławem jako swoim współpracownikiem z drugiej strony.

Pewne światło na te powiązania i na ich znaczenie w aferze „Żydo-komuna w szeregach KW K. Gł. AK” mogłyby rzucić akta sądowe sprawy przeciwko Jamontowi Władysławowi i Leszczycowi-Gutowskiemu, toczącej się w latach 1951–1953.

1 Kierownictwo Walki Cywilnej.

VII. Relacja Izabelli Horodeckiej, „Teresy”, na temat „sprawy Retingera”¹

Długo się wahałam, czy powinnam podać do ogólnej wiadomości akcję, która była objęta tajemnicą nakazaną przez Komendę Główną AK, z której to tajemnicy mogłam być zwolniona tylko przez trzy osoby, a mianowicie: Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, szefa II Oddziału Komendy Głównej AK, dypl. pułkownika Kazimierza Iranka-Osmeckiego i mojego bezpośredniego szefa, majora Stefana Rysia, ps. „Fiszer”. Wszyscy ci ludzie już od dłuższego czasu nie żyją, a od daty akcji upłynęło 49 lat.

Uważając, że dla historycznej prawdy byłoby już teraz wskazane podanie rzeczywistych faktów związanych z tą akcją, zdecydowałam się na ich ujawnienie i napisanie, co o niej wiem jako osoba osobiście w nią zamieszana.

Było to w kwietniu 1944 r. Przyszedł do mojego mieszkania mój szef, major „Fiszer”, z drugim mężczyzną, jak się później okazało, był to pułkownik Iranek-Osmecki.

Pułkownik zapytał mnie, czy zechcę się podjąć zadania polegającego na asystowaniu Józefowi Retingerowi w czasie jego oczekiwania na odlot z kraju samolotem, który przyleci po niego z Brindisi z Włoch, i wykonanie przy tym pewnej czynności. Moja rola miała polegać na zasypaniu, tuż przed odlotem, rzeczy w walizce Retingera białym proszkiem, który mi zostanie wręczony, a który zadziała za parę tygodni i spowoduje śmierć Retingera już poza krajem. Jednocześnie [pułkownik] poinformował mnie, że jest to rozkaz samego Naczelnego Wodza, gen. K. Sosnkowskiego, i obowiązuje ścisła tajemnica, z której mogę być zwolniona tylko przez te w/w osobistości.

Nazwisko Józefa Retingera nie było dla mnie obce, bo Oddział nasz o kryptonimie 993/W przy Komendzie Głównej AK zajmował się już nim w początkach kwietnia, kiedy otrzymał rozkaz jego likwidacji jako bardzo szkodliwego emisariusza obcego wywiadu, który miał za zadanie zebranie opinii społeczeństwa polskiego w Kraju o ewentualnych układach z Rosją Sowiecką na warunkach mocno Polskę krzywdzących i sugerował

konieczność ich przyjęcia.

Sprawa przygotowania tej likwidacji została wtedy powierzona mnie i rozpoczęłam już działanie w tym kierunku, ale natrafiłam na duże trudności i Komenda Główna zdecydowała sprawę tę załatwić w inny sposób.

Kiedy teraz usłyszałam to nazwisko z ust płk. Iranka-Osmeckiego, przyjąłam rozkaz z lekkim wahaniem, ale ostatecznie zdecydowałam się. Pułkownik wręczył mi pudełko z tym proszkiem i szybko wyszedł, pozostawiając majora „Fiszera” u mnie dla omówienia dalszych szczegółów mojej misji. Kiedy zostaliśmy sami major „Fischer” powiedział mi, że nie jest pewny skuteczności tego proszku, i wręczył mi dodatkowo dwie buteleczki z płynem, informując mnie, że powinnam dodać ich zawartość do pożywienia Retingerowi, co spowoduje za parę tygodni jego paraliż i doprowadzi do zgonu.

Byłam, przyznam się szczerze, nie bardzo zadowolona z tej całej sprawy, w dodatku ta trucizna, ale ponieważ powiedziałam już „tak”, musiałam być konsekwentną.

Nazajutrz skontaktowano mnie z pułkownikiem o pseudonimie „Rudy”, jak się teraz okazało, był to pułkownik Roman Rudkowski, który organizował cały ten odlot². Miał on mi pomóc w skontaktowaniu się z Retingerem na miejscu oczekiwania na samolot i w ogóle opiekować się mną.

Za kilka dni pojechałam sama do Krakowa, gdzie weszłam na hasło do pewnego mieszkania. Tam otrzymałam krakowski adres pułkownika „Rudego” i udałam się niezwłocznie do niego.

Gdy zapoznałam pułkownika z charakterem mojej misji, pułkownik kategorycznie postawił sprawę tak, że on to załatwi sam i ja jestem zupełnie tutaj zbyteczna. Mając jednak wyraźnie inny rozkaz, nie mogłam sama zgodzić się na taką zasadniczą zmianę i musiałam zaraz wrócić do Warszawy, aby ustalić tę sprawę z pułkownikiem Irankiem i ewentualnie uzyskać jego zgodę na taką zmianę.

Pamiętam, że podróż do Krakowa odbyłam nocą w bardzo niewygodnych warunkach, siedząc w wagonie na korytarzu na składanym krzeselku, i byłam bardzo zmęczona. Druga noc w wagonie w drodze powrotnej wprost mnie przerażała. Była godzina 14. Pociąg do Warszawy miałam dopiero o godz. 22, a godzina policyjna w Krakowie obowiązywała już o godzinie 19, przed którą musiałam być na dworcu.

Wróciłam więc do tego mieszkania, gdzie rano weszłam na hasło, i poprosiłam o możliwość poczekania do odjazdu.

Zostałam przyjęta bardzo niechętnie, ale posadzona w wygodnym fotelu, i od razu zasnęłam. Nie upłynęło ani godziny, kiedy mnie obudzono i poproszono o opuszczenie mieszkania, bo zaraz wraca pan domu i nie lubi obcych ludzi u siebie. Bardzo zdziwiona takim stanowiskiem i zmęczona musiałam wyjść i przesiedzieć do godz. 19 na Plantach z dokumentami warszawskimi, co nie było bezpieczne w tamtych czasach.

Podróż do Warszawy też miałam bardzo niewygodną i skonana o godz. 6 rano byłam dopiero w domu.

Bezwzględnie skontaktowałam się z łączniczką pułkownika Iranek-Osmeckiego przez telefon otrzymany od płk. „Rudego” i spotkałam się z nią o godz. [nieczytelne] rano w kawiarni na ul. Koszykowej. Pani ta po otrzymaniu informacji, o co chodzi, przyprowadziła jakiegoś pana, który zabrał mnie do swojego mieszkania w al. Niepodległości. Zostałam wprowadzona do pięknego, dużego mieszkania, w salonie którego wisiał na ścianie duży portret pana domu w mundurze Wojska Polskiego. Natomiast żona jego uprzedzona, że jestem zmęczona, już przygotowała dla mnie łóżko do spania, z którego miałam skorzystać, oczekując na przyjście płk. Iranek, który był spodziewany o godz. [nieczytelne]. Tak inaczej niż krakowianie postępowali warszawiacy w stosunku do ludzi z podziemia.

O godzinie 14 byłam gotowa do rozmowy z pułkownikiem Irankiem. Pułkownik myślał, że ja już załatwiłam całą sprawę tak szybko, i bardzo się zdenerwował stanowiskiem pułkownika Rudkowskiego. Poprosił mnie, abym wróciła do domu i czekała na jego decyzję, robiąc mi lekką nadzieję, że może nie będę potrzebowała jechać znowu do Krakowa. Przyznam się, że się bardzo z tego cieszyłam.

Nazajutrz przyszedł do mnie Iranek-Osmecki sam. Przyniósł dwa listy, jeden do swojej rodziny w Krakowie, gdzie miałam mieć lokum, a drugi do pułkownika Rudkowskiego. Ten ostatni list płk Iranek przeczytał mnie i dopiero wtedy zakleił i zalakował, tłumacząc takie postępowanie tym, że powinnam znać treść tego listu, aby ona podbudowała mój stosunek do pułkownika Rudkowskiego. List ten zawierał ostrą naganę skierowaną do pułkownika „Rudego”, wyrażoną w bardzo mocnych słowach i pułkownik Iranek uważał, że będzie lepiej, aby to wyglądało tak, że o treści tego listu ja

nic nie wiem.

Musiałam jednak jechać do Krakowa.

Kiedy nazajutrz w Krakowie wręczyłam ten list pułkownikowi Rudkowskiemu, widziałam, że był on z jego treści bardzo niezadowolony, ale musiał się podporządkować i zaproponował mi uprzejmie daleko idącą pomoc w wykonaniu mojego zadania. Poprosił mnie o połowę tych preparatów, które miałam przy sobie, bo będzie razem ze mną je stosować, gdyż oczekując na samolot, będziemy mieszkać razem.

Musiałam w Krakowie jeszcze czekać kilka dni na dalsze instrukcje. Wtedy udałam się z drugim listem pod wskazany mi adres przez pułkownika Iranka-Osmeckiego i tam, w warunkach bardzo przyjemnych i wygodnych, spędziłam czas u Jego rodziny.

Po trzech dniach wyjechałam pod Tarnów, gdzie razem z delegatem rządu londyńskiego Stanisławem Jankowskim³ zostałam dowieziona furmanką do wsi, gdzie zamieszkałam w jednej izbie z Józefem Retingerem i pułkownikiem Rudkowskim.

Warunki były b. skromne, a najgorzej dla mnie, bo wszystkie pchły przyszły do mnie!!! Zupełnie nie mogłam spać. Dopiero na trzeci dzień gospodyni tej chałupy zmieniła mi słomę w łóżku i jakoś się poprawiło. Pogoda wtedy była śliczna, ale my wszyscy nie mogliśmy z niej korzystać, bo nie wolno nam było pokazywać się ludziom na wsi. Dopiero późnym wieczorem pozwalałam sobie na spacer po podwórzu i chodziłam szybko pomiędzy stodołą i chałupą.

W tej wsi siedzieliśmy cały tydzień. Po tygodniu zmieniliśmy locum. Chwała Bogu na lepsze warunki, bo Retinger i ja zostaliśmy umieszczeni we dworze w Dołędze u pp. Tumidajskich. Pan Rudkowski nas opuścił i zamieszkał gdzie indziej. Przed rozstaniem obiecał, że w dalszym ciągu będziemy w kontakcie i dlatego nie oddaje mi połowy tych rzeczy, którymi podzieliliśmy się w Krakowie. Nigdy jednak go więcej nie zobaczyłam.

W Dołędze było nam znacznie wygodniej. Duży dom, osobne pokoje, możliwość korzystania z parku i przebywania na świeżym powietrzu. Pani Zofia Tumidajska była sama, bo mąż jej, jak się domyślałam, był w lesie, w partyzantce. Pani Zofia oddaliła na czas naszego pobytu całą domową służbę i gospodarowała sama. Naturalnie włączyłam się od razu do jej pomocy, co było nawet wygodne dla wykonania mojego zadania.

Major „Fiszer” poinstruował mnie, jak mam stosować ten preparat z buteleczki, którą miałam teraz tylko jedną, bo druga została u pana Rudkowskiego.

Miałam podać zawartość w jakiejś kanapce czy w czymś podobnym, ale zapach tego preparatu był bardzo ostry i czuć go było silnie karbolem czy kreozotem. Bałam się stosować całość za jednym razem, bo mogłam zepsuć całą sprawę, i podawałam to „lekarstwo” stopniowo, po kilka kropel do różnych potraw, a najlepiej w kawie.

Czas dłużył się nam okropnie, a musieliśmy czekać kilka tygodni na dogodne warunki atmosferyczne pozwalające na przylot samolotu. Nie mogłam mieć żadnej wiadomości od mojej rodziny i nie mogłam też dać znać nic o sobie. Było to zabronione.

Dopiero 29 maja wieczorem przyjechało do Dołęgi dwóch panów. Byli to, jak wiem teraz, dowódcy tamtejszej placówki – porucznik Waclaw Ples i administrator majątku Górka, p. Kazimierz Strzelecki. Zakomunikowali nam, że dziś nastąpi wreszcie lądowanie samolotu z Brindisi i odlot dr. Józefa Retingera z Polski. Z Dołęgi mamy wyjechać o godz. 20 bryczką, którą poprowadzi sam p. Strzelecki.

Ucieszyłam się bardzo, że nareszcie skończy się moja tu niewola. Buteleczka, którą miałam tylko jedną, bo pułkownik Rudkowski nie zjawił się w Dołędze, była już pusta. Zajęłam się więc tylko tym proszkiem. Nie było z tym trudności, bo sama zapakowałam walizkę dr. Retingera, zresztą na jego prośbę, i – tak jak miałam nakazane – zasypałam całą zawartość. Domyślając się, że ten proszek może powodować czarnego wąglika w płucach, czynność tę zrobiłam z tamponem gazowym na ustach i nosie, choć nie wiem, czy byłoby to wystarczające zabezpieczenie.

Pani Tumidajska podała zaraz kolację dla wszystkich. Gdy byliśmy zgromadzeni przy stole, zjawił się goniec, który poinformował p. Plesa, że wyjazd z Dołęgi należy opóźnić o dwie godziny i wyjechać zamiast o godz. 20, o godz. 22.

Ze względu na to panowie po kolacji siedli do [nieczytelne] i wyjechali z Dołęgi punktualnie o godz. 22. Jechaliśmy stosunkowo niedługo, do lądowiska nie było daleko. Pan Strzelecki dowiózł nas, dr. Retingera, porucznika Plesa i mnie, taką drogą oddzieloną rzadkim lasem od łączki, na której miał lądować samolot. Tam otoczeni ludźmi z ubezpieczenia lądowiska jakiś czas czekaliśmy. Ja z dr. Retingerem zostałam na bryczce, a panowie gdzieś się oddalili. Była niska mgła nad samą łąką, na której za chwilę miał lądować samolot. Noc była piękna, majowa, z księżycem prześwitującym przez młode listki drzew. W pewnym momencie usłyszeliśmy warkot motorów, a za chwilę nadlatujący samolot zapalił dwa duże reflektory i zaczął schodzić w dół do

lądowania. Serce biło mi okropnie. Byłam tak wzruszona tym widokiem, że aż płakać mi się chciało. Wkrótce samolot osiadł, a do Retingera podeszło dwóch młodych ludzi i wzięwszy go pod ręce, poprowadzili za krzaki na łąkę w stronę samolotu. Za chwilę, dosłownie za chwilę, samolot zawarczał i zaczął się wznosić. Siedząc na bryczce, zaniepokoiłam się, czy Retinger zdąży dojść w tak krótkim czasie do samolotu, ale się uspokoilałam, bo przecież wiedziałam, że ten samolot specjalnie po niego przyleciał.

Wkrótce zobaczyłam, że z krzaków i mgły wyprowadzają pod ręce jakiegoś mężczyznę. Myśląc, że to może być ktoś zraniony przy lądowaniu samolotu, zeskoczyłam z bryczki i podbiegłam do rzekomo rannego. Jakież było moje przerażone zdziwienie, kiedy w tym osobniku rozpoznałam dr. Retingera. „Co się stało, panie doktorze?” – wykrzyknęłam, na co zdenerwowany Retinger mi odpowiedział: „Ukradli mi moje papiery, notatki i dokumenty, a samego zostawili tutaj. Może z tego wyniknąć wielkie nieszczęście dla Polski. Ja będę w Londynie na pewno, ale inną drogą. Obawiam się, że to może być za późno”.

Wsiedliśmy z powrotem do bryczki i p. Strzelecki miał nas niezwłocznie zawieźć na stację znajdującą się dość daleko na linii kolejowej Tarnów–Kraków, a więc bardziej oddalonej od tej, na którą przyjechałam, jadąc tutaj, ale takie postępowanie było bezpieczniejsze. Pan Retinger nic nie mówił, ale widziałam, że jest zdenerwowany.

Jechaliśmy w ciszy, zdetonowani zaistniałą sytuacją. Jechaliśmy w takim samym składzie, jak przyjechaliśmy na lądowisko. Pan Strzelecki i pan Retinger siedzieli na bryczce przodem, w kierunku jazdy, natomiast porucznik Ples i ja tyłem.

Dojeżdżając do rzeczki, którą trzeba było przejechać brodem, pan Strzelecki polecił nam trzymać się mocno bryczki, bo jego stangret przestrzegwał go, że w brodzie znajduje się jakaś kłoda i trzeba zachować ostrożność. Zaczęliśmy powoli zjeżdżać ukosem ze stromego brzegu w dół. W pewnym momencie nastąpiło mocne uderzenie kół przednich o coś twardego w dnie rzeki i dr. Retinger i pan Strzelecki wypadli z bryczki obaj do wody. Woda w tym miejscu była płytka, nie sięgała nawet do kolan, ale o mulistym dnie i na pewno nieprzyjemnym. Konie szły dalej, przechyliłam się więc do tyłu, schwyciłam już spadające lejce do wody i zobaczyłam, jak p. Strzelecki i p. Ples, który zeskoczył z bryczki, pomagali dr. Retingerowi wyjść z wody i wsiąść z powrotem do bryczki. Kapelusz dr. Retingera popłynął. Pan Ples dał mu swoją narciarską czapkę i ruszyliśmy

dalej. Ze względu na zmoczenie się Retingera nie było możliwości, abyśmy mogli jechać na tę dalszą stację i bezpośrednio udać się do Krakowa.

Pan Strzelecki zabrał nas do siebie, do majątku, gdzie zajmował część pałacu, w którym mieszkał również treuhender tego majątku, ale był w tym czasie nieobecny. Była to już bardzo późna godzina. Doktorem Retingerem zajęto się bardzo pieczołowicie, wykąpano go i napojono alkoholem. Ja musiałam, z zasypanej tym proszkiem walizki Retingera, wyjąć świeżą dla niego bieliznę. Pamiętam, jak wyjmowałam teraz, bez maseczki, bo nie mogłam założyć jej przy ludziach, pomyślałam, że jeżeli ten proszek jest skuteczny, to ja pierwsza będę ofiarą tej akcji, a może organizatorom o to właśnie chodziło, aby pozbyć się świadków takiej dziwnej i bardzo niezrozumiałej akcji, do której miałam po raz pierwszy duże zastrzeżenie.

Przespaliśmy się w tym majątku, a na drugi dzień wczesnym rankiem wygodnym powozem odwieziono nas na stację, o ile pamiętam, było to Słotwina-Brzesko. W Krakowie dr. Retinger udał się do swojej rodziny i chciał tam pozostać, jak mnie poinformował, kilka dni. Pojechałam więc sama do Warszawy, bo byłam niespokojna o rodzinę, o której od miesiąca nie miałam żadnej wiadomości.

Naturalnie zaraz skontaktowałam się z majorem Rysiem. Poinformowałam go, że zamierzam już od pierwszego dnia dyżurować na dworcu w Warszawie, aby spotkać Retingera i objąć go naszą opieką. Miałam rację, że poszłam tak od razu na dworzec, bo już nazajutrz, a nie za kilka dni, dr. Retinger przyjechał do Warszawy, tym razem w towarzystwie jakiegoś znajomego czy krewnego. Na dworcu byłam z koleżanką z oddziału „Hania”, która z daleka dyskretnie obserwowała moje witanie się z Retingerem. Po zamienieniu z nim kilku słów, odeszłam, a „Hania” poinwigilowała go dalej. Okazało się, że obaj panowie udali się do restauracji na kolację i dopiero tuż przed godziną policyjną skierowali się na Mokotów pod jakiś tam adres, dziś już nie pamiętam jaki.

Tę wiadomość przekazałam majorowi Rysiowi; na tym moja misja z dr. Retingerem Józefem się skończyła.

Potem dowiedziałam się, że dr Retinger odleciał do Włoch czy Londynu dopiero „III MOSTEM”, który miał miejsce 24/25 lipca tegoż roku. Dr Retinger był chory, miał sparaliżowane nogi i nie mógł chodzić. Przypuszczam, że powodem tego były skutki

„lekarstwa”, które mu aplikowałam, ale wobec zastosowania tylko połowy porcji było nieskuteczne i zamierzony cel przez Komendę Główną AK nie został osiągnięty.

Zastanawiałam się później i teraz, czy pułkownik Rudkowski, który mimo obietnicy nie zjawił się w Dołędze i nie dostarczył mi reszty tego „lekarstwa”, zrobił to w obawie, że ta druga porcja przeznaczona była dla niego, aby nie było świadków tej tajemniczej i dziwnej sprawy. Po latach zrozumiałam, że była to polityczna rozgrywka w rządzie polskim w Londynie, której ofiarą miał paść bardzo inteligentny i sympatyczny dr Retinger, a może i inni... którzy inaczej myśleli o sposobie ratowania Polski.

Zaraz po powrocie z Polski dr Retinger udał się do Egiptu, gdzie był Mikołajczyk, i odbył z nim długą rozmowę przed jego wyjazdem do Moskwy, ale było to, niestety, już po 22 lipca 1944 r. ...

Zaraz po spotkaniu z Mikołajczykiem, jeszcze w Kairze, miał spotkanie dr Retinger z Edenem i wszystko odbywało się w przyspieszonym tempie ze względu na spóźniony przyjazd Retingera z Polski.

W czasie kilkudniowego pobytu zawsze razem w Dołędze, mogłam sobie wyrobić zdanie o dr. Retingerze. Był to człowiek bardzo inteligentny, sympatyczny, na pewno dobry patriota i zupełnie inny niż go przedstawia się obecnie w różnych aktualnych opracowaniach szeroko dziś udostępnianych. Dziwię się, że przedstawia się go prawie zawsze jako pijaka i człowieka mało poważnego. Podczas długiego pobytu w Dołędze nigdy nie widziałam go pijącym, a przecież byłam z nim stale razem. Raz tylko przy pożegnalnej kolacji w Dołędze wypił dwa kieliszki wódki razem z panami, którzy przyjechali do nas, aby nas zawieźć na lądowisko, i potem w Górcie, gdy po zmoczeniu się w rzeczce, zaaplikowano mu kieliszek koniaku na rozgrzewkę, i to było wszystko przez to prawie miesięczne oczekiwanie na samolot.

Kończąc całą tę moją relację, muszę się przyznać, że dotychczas odczuwam niesmak po tej całej akcji, bo mam przeświadczenie, że było to wykorzystanie mojego bezgranicznego zaufania do rozkazów Komendy Głównej AK, których słuchałam, nie mając wątpliwości o ich słuszności, a tymczasem zostałam zamieszana w paskudną sprawę mającą charakter osobistych porachunków na tle politycznym. Może za lat parę społeczeństwo Polski dowie się, co to było naprawdę.

Warszawa, 1993 r.

¹ Materiał z archiwum domowego Lucjana Wiśniewskiego.

² Płk pilot Roman Rudkowski, „Rudy” (1898–1954), żołnierz Wojska Polskiego, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (dowódca Dywizjonu 301) i AK. Cichociemny. Organizator operacji Wildhorn, czyli Most, akcji przerzucania ludzi i sprzętu brytyjskimi samolotami startującymi z bazy wojskowej w Brindisi do Polski. W ramach operacji Wildhorn II dostał się do samolotu zamiast Retingera, czym miał wywołać irytację Brytyjczyków. Jego zadaniem było również przerzucenie na Zachód Wincentego Witosa, co nie doszło do skutku.

³ Stanisław Jankowski, „Agaton” (1911–2002), cichociemny, adiutant Komendanta Głównego AK, gen. Tadeusza „Bora”-Komorowskiego. Kierował Wydziałem Legalizacji „WD-68”, który produkował perfekcyjnie podrobione niemieckie dokumenty dla podziemia. W powstaniu warszawskim walczył w batalionie „Pięć”. Po wojnie pracował przy odbudowie Warszawy.

VIII. Lucjan Wiśniewski, „Sęp”: „Moje widzenie majora »Okonia«, Alfonsa Kotowskiego, w okresie powstania warszawskiego”¹

[...] Jako że byłem najbliżej i najdłużej związany w okresie powstania z majorem „Okoniem” – jak go oceniam dziś, po 50 latach po jego śmierci.

Nie uważam go za dowódcę wybitnego, a już na pewno jako dowódcę dużego zgrupowania partyzanckiego, czego dowodem [to], że po bliższym poznaniu por. „Doliny” był bardzo pod jego wpływem i prawie zawsze liczył się z jego zdaniem, co w końcu wyszło mu na złe. Zawsze wykazywał „Okoń” dużą odwagę osobistą i duże zdecydowanie, był oficerem po Wyższej Szkole Wojennej ze starszeństwem sprzed ’39 r. Wadą u niego było [to], że był wybuchowy i krzykliwy, ale nie jest prawdą, że używał grubiańskich wyzwisk; jego słownictwo, kiedy wybuchał, było ubogie. Te jego wybuchy stały się dla jego późniejszych biografów wodą na młyn, tak że to najczęściej widzieli.

„Okoń”, idąc do Kampinosu, zdawał sobie sprawę, że na łatwą funkcję nie idzie. Na jednej z pierwszych odpraw z nami, tj. z grupą dowodzenia, jeszcze na Starym Mieście, mówiąc o swoim i naszych zadaniach, powiedział: „zostałem odkomenderowany do trudnego zadania i liczę na waszą pomoc w jego wykonaniu. W Puszczy Kampinoskiej zebrało się dużo oddziałów wojska. Dowódcy tych oddziałów powinni je doprowadzić do Warszawy, ale bliżej im było do lasu, gdzie jeszcze walki nie ma. Dowódca tego rejonu jest poważnie ranny i leży w szpitalu [Józef Krzyczkowski, »Szymon«]. Są tam oficerowie różnych stopni i panuje tam bałagan kompetencyjny i dowódczy. Dlatego zostałem tam skierowany, aby objąć dowództwo nad całością. Pogarsza sprawę fakt, że przyszedł tam duży i bitny oddział partyzancki aż z Nowogródzyczyny i dowódca tego oddziału o psychice »wschodniego watażki« nie chce podporządkować się rozkazom Komendy Głównej AK”.

Już w Kampinosie, kiedy poznaliśmy ludzi tego oddziału i ich „watażkowatego”

dowódcę, doszliśmy do wniosku, że oceny te są dla nich krzywdzące, że chodzi tu po prostu o „trudne losy Polaków”. Taki był pogląd szczególnie samego „Okonia”. [...]

Rozkaz dowódcy Grupy Północ, płk. „Wachnowskiego”, dla „Okonia” mówił: „podporządkuje Pan sobie wszystkie oddziały, wszystkich dowódców i oficerów znajdujących się na terenie Puszczy i zadaniem Pana będzie zaopatrywanie Warszawy w zrzutową broń oraz żywność”.

Od pierwszych godzin, kiedy znaleźliśmy się w Puszczy, major zaczął organizować drugi oddział z dostawą broni na Żoliborz. Pierwszy w ilości prawie 600 ludzi wyszedł już jeden dzień przed naszym przyjściem. Prowadzili go por. „Agaton” i „Kubuś”, również oficerowie naszego batalionu „Pięść”, którzy w tym celu przyszli ze Starego Miasta. Również dla mnie i kolegi „Garbatego” zaczęła się wytężona praca. „Okon” z „Garbatym” poszli po jednostkach wybierać stosowne oddziały, ja zaś dostałem rozkaz doglądania przyjmowania zrzutów, bo właśnie tej nocy doleciały i celnie zrzuciły zaopatrzenie dwa liberatory. Zaraz też miałem pierwsze scysje z kapitanem „Wojtkiem”, szefem zaopatrzenia oddziału „Doliny”. Zauważyłem, że do żołnierzy otwierających zasobniki przychodzi z interesem wielu ich kolegów, często co jakiś czas są to ci sami koledzy. Każdy zasobnik miał w środku listę zbiorczą, ale dotyczyła ona przeważnie broni długiej i przeciwpancernej, natomiast rzeczy inne wkładane były raczej dla zapelnienia zasobnika. Nawet pistolety nie zawsze były wyszczególniane. A w zasobnikach były jeszcze papierosy i to doskonałe, czekolada, inne używki i zawsze mundury i buty – to dla upchania zawartości. Za odbiór zrzutów (za które kiedyś mieliśmy zresztą zapłacić) odpowiedzialny był wtedy porucznik „Jan”, Jan Dąbrowski, ale wszystkiego nie był w stanie widzieć. A to, co widziałem ja, było całkiem fatalne. Jak otwierano zasobnik, to był zawsze pełny, ale w zasobnikach zbiorczych, gdzie poszczególne rodzaje [broni i towarów] składano, prawie nic nie przybywało, interesantów odwiedzających było za to mnóstwo. Najgorzej było z papierosami. Kiedy o tym zameldowałem przy obiedzie „Okoniowi”, to zaraz zrobił mnie pełnomocnikiem do rozpakowywania zrzutów. W zasobnikach zbiorczych teraz zaczęło przybywać, ale gdyby wzrokiem można zabijać – to lepiej nie mówić, co by ze mną było. W książce „Doliny” *Partyzanci trzech puszczy* jest takie stwierdzenie: „dokąd zrzuty zagospodarowywaliśmy my – to wszystko szło sprawiedliwie, potem, jak przejął to

»Okoń«, to nie wiadomo, co się z tym działo». Stwierdzić tu muszę, że w dowództwie sam „Okoń” nie palił, „Garbaty” i ja, jak również nasza koleżanka „Czarna” – nie paliliśmy, ale z jakiejś tam czekoladki to doliniaków mogliśmy okraść. [...]

„Okoń” nie musiał iść z oddziałem do Warszawy, tego rozkaz dla niego nie przewidywał. Szkoda, że jego dociekliwym biografom uszło to uwadze, a być wówczas w Puszczy, a iść do Warszawy to była wielka różnica, o ile mniej zebrałyby opluwać? Po drodze przed Wawrzyszewem zatrzymał nas duży oddział Węgrów, ale po skutecznych pertraktacjach przepuścił nas, uprzedzając, że dalej spotkamy Niemców. [...]

Zaraz po przyjeździe na Żoliborz major zameldował się w dowództwie u podpułkownika „Żywiciela”, zabierając ze sobą mnie i „Garbatego”. Po wyjściu od „Żywiciela” major zakomunikował nam, że jeszcze tej nocy, z 20 na 21 sierpnia, wyjdzie atak dla zdobycia Dworca Gdańskiego i połączenia Starego Miasta z Żoliborzem. Głównym trzonem natarcia mają być oba oddziały przyprowadzone z Kampinosu i on ma być dowódcą. Dostaliśmy zaraz polecenie odnalezienia wszystkich oddziałów na kwaterach i na godzinę 14 zwołać dowódców kompanii i plutonów na odprawę. Majorowi chyba przecucie podpowiadało, bo w dalszych słowach dał wyraz niezadowoleniu, że to on ma natarciem dowodzić. Mówił nam: w dowództwie Żoliborza plan natarcia mieli już gotowy, najlepiej znają teren, oddziałów kampinoskich z pierwszej grupy on jeszcze nie widział na oczy [chodzi o kilkusetosobowy oddział przyprowadzony na Żoliborz z Kampinosu przez „Agatona” na dzień przed dotarciem majora „Okonia” do Wiersz], z grupy, którą prowadził, widział tylko kilku oficerów. Mówił – czy natarciem nie powinien dowodzić „Żywiciel” albo któryś z licznych oficerów jego sztabu, którzy byli na odprawie? Jego argumentacja, że oddział, który przyprowadził jest po ciężkim, całonocnym marszu, żeby natarcie przesunąć o jedną noc – nie odniosła skutku. Major zakończył narzekania: „ale cóż, rozkaz jest rozkazem”. [...]

W natarciu nie udało się zaskoczyć załogi Dworca i w zmasowanym ogniu wszystkich rodzajów broni, łącznie z pociągiem pancernym, po trzech godzinach załamało się. Straty w zabitych wyniosły około 100 żołnierzy i około tylu zostało rannych. Ściąganie z przedpola rannych, również pod ciężkim ogniem, trwało do brzasku.

W ciągu dnia po nieudanym natarciu przyszedł ze Starego Miasta kanałami generał

„Grzegorz” [Pełczyński] – szef Sztabu Komendy Głównej AK, a z nim dwaj starsi oficerowie Sztabu oraz kompania z batalionu „Wigry” z kapitanem Eugeniuszem Konopackim, „Trzaską”. Dowiadujemy się, że dzisiejszej nocy natarcie ma być ponowione, z tym że oddziały atakujące oparte głównie – tak jak poprzednio na oddziałach kampinoskich – zostaną znacznie wzmocnione. Wesprą je oddziały żoliborskie oraz przybyła ze Starówki kompania z „Wigier” oraz od Starego Miasta nacierać będą oddziały Zgrupowania „Radosława”. Dowódcą natarcia ma znowu być major „Okoń”. Dla mnie i Zbyszka „Garbatego” zanosi się na trzecią bezsenną noc, a w dzień też nie ma warunków na jakiegokolwiek przespanie się. Odprawę zwołujemy na godzinę 16, tym razem do kina „Tęcza” na ulicy Suzina. Odprawę prowadzi gen. „Grzegorz”, samo natarcie omawia „Okoń”. Generał jest dobrym mówcą, mówi o bardzo ciężkich walkach na Starym Mieście, o wielkich stratach wśród żołnierzy i ludności cywilnej, o pojawiającym się głodzie i że zdobycie Dworca Gdańskiego pozwoliłoby połączyć te dwie dzielnice i utrzymać Stare Miasto. To, co mówi „Okoń”, też jest bardziej przekonujące niż poprzednio – dodatkowe oddziały wspierające z boku natarcia, natarcie od strony Starego Miasta – to wszystko każe wierzyć, że tym razem zrobiono dużo, aby odnieść sukces. Wszystko to stwarza wzniosły i patriotyczny nastrój. Natarcie ma wyjść prawie z tych samych podstaw wyjściowych przy ulicy „Lisa”-Kuli, bo tylko stąd jest najbliższe podejście do Dworca. Godzinę natarcia ustalono na dwie godziny później niżeli wczoraj. Pod wieczór, a jeszcze za widoku, moździerz i granatniki oddają po dwa strzały na cele Dworca – dla wstrzelania się. Tuż przed natarciem wystrzelą łącznie ponad czterdzieści, bo więcej nie mają.

Tuż przed godziną wyjścia natarcia głównego oddziały żoliborskie rozpoczynają pozorowane natarcie za nasypem ulicy Mickiewicza, zaraz też słychać natarcie od strony Starego Miasta. To natarcie idzie jednak przez ulicę Konwiktorską na boisko „Polonii”. Stawki i getto jest już opanowane przez Niemców i oddziały staromiejskie nie mają bliższego podejścia, ale też trudno je nazwać wsparciem natarcia na Dworzec. Te wstępne natarcia oraz moździerzowe przygotowanie spowodowały, że załoga została w pełni zaalarmowana. Oddziały nasze zaczęli Niemcy ostrzeliwać jeszcze na stanowiskach wyjściowych, ponieważ już wcześniej byli wstrzelani we wszystko, co takim stanowiskiem być mogło. Ja w drugim natarciu dostałem zadanie, by

przemieszczać się od stanowiska dowodzenia do wszystkich podstaw wyjściowych na prawo do ulicy Stołecznej, sprawdzać wyjścia poszczególnych rzutów natarcia i meldować o tym. Na stanowisku dowodzenia cały czas był również generał „Grzegorz”.

Kiedy natarcie ruszyło, zaraz pojawił się na torach pociąg pancerny, który cały czas przemieszczał się wzdłuż linii frontu, która wynosiła około 1 kilometra. Nawałnica ognia, jaką Niemcy położyli na przedpole, przewyższała tę z natarcia poprzedniej nocy, z tym że nieprzyjaciel wzmocnił skrzydło prawe w działka szybkostrzelne. Ale i determinacja naszych oddziałów była większa. Niemcy oświetlali teren jak w dzień i widać było, jak co raz podrywa się kolejna drużyna i robi skok do przodu. Kilka drużyn miało dostarczone ze Starego Miasta magnetyczne miny przeciwpancerne, [które] miały kształt wielkich lejków, z tym że ważyły około 4 kilogramów. Można je było ciskać z pewnej odległości na przedmioty metalowe i czepiały się bardzo mocno, zawsze jedną płaszczyzną, ale żadnej z drużyn nie udało się donieść i użyć takiej miny. Mnie udało się jedną taką minę odzyskać i z powrotem przynieść do dowództwa. Zaraz po wyjściu pierwszego rzutu zaczęli spływać pierwsi ranni, których gwałtownie przybywało. Żoliborskie sanitariuszki wykazywały ofiarność graniczącą z brawurą, a wyciąganie rannych z przedpola było tym gorsze, że teren był całkiem równy. Ranni coraz więcej mówili o wielkich stratach, sami ranni, przeważnie mówili tylko o kolegach z prawej i lewej, którzy padali bez jęku i więcej nie wstawali. Już następni ranni mówili, że natarcie stanęło i nie posuwa się naprzód. Następne rzuty krótko po wyjściu z podstawy zalegały i nie szły naprzód, żołnierze kryli się niekiedy za ciałami poległych. O tym wszystkim meldowałem na stanowisku dowodzenia. Generał „Grzegorz” widząc, jak przebiega natarcie, polecił powstrzymać ostatnie oddziały. Natarcie załamało się całkowicie. Teraz naszym głównym zdaniem było organizowanie ściągania rannych, którzy nie mogli czołgać się sami wtedy, kiedy Niemcy nie zmniejszali ognia i oświetlania terenu.

Drugie natarcie prowadzone było jednak z większą zaciętością, czego dowodem było, że zginęło w nim prawie 350 ludzi, w tym wszyscy dowódcy kompanii. Dla mnie i Zbyszka „Garbatego” zaczynała się czwarta doba bez odrobiny snu, kiedy dowlekliśmy się na kwaterę, to nie doszliśmy nawet do łóżek, tylko rzuciliśmy się na podłogę. Co prawda, że łóżka były zbyt czyste.

Nie dane nam było jednak dłuższe spanie. Przyszedł goniec wzywający nas do żoliborskiego dowództwa. Od „Okonia” dowiedzieliśmy się, że następnej nocy wracamy do Puszczy, on znowu obejmuje dowództwo, a my mamy być w sztabie do zleceń, idzie z nami również koleżanka „Czarna”, Bogna Kraszewska. Dostajemy również zadanie na teraz – mamy przejść wszystkie kampinoskie oddziały, od obecnych dowódców zebrać wnioski na K.W. [Krzyże Walecznych] i dokonać spisu poległych i rannych. Dla dokonania tych samych czynności w oddziałach żoliborskich zostaje mi przydzielony kapral podchorąży „Jastrzębiec”, Roman Pędracki, który zresztą poszedł z nami do Wiersz i pozostał z nami w dowództwie. Dopiero robiąc spisy poległych i rannych, zobaczyliśmy ogrom strat w obu natarciach, zobaczyliśmy też wtedy, jak zły stosunek do nas mają nie tylko oficerowie, ale i prości żołnierze. Widać było, że jesteśmy utożsamiani z dowództwem, które ich wyprowadziło na rzeź, naszego tłumaczenia nikt nie przyjmował. [...]

Następnego dnia rano major zakomunikował nam, że dowództwo, to jest generał [„Grzegorz”] i podpułkownik „Żywiciel” postanowili, iż żołnierze kampinoscy, którzy chcieliby wrócić do Puszczy, mogą się zabrać jeszcze tej nocy z nami, ale warunkiem jest, że na Żoliborzu mają pozostawić broń. Decyzja o przejściu jest dobrowolna, ale warunek pozostawienia broni jest nieodwołalny. Powiedział nam jeszcze, że spowodował, ażeby czynności przekazywania broni dokonał ktoś od „Żywiciela” i chyba będzie to szef sztabu, major „Roman” [Andrzej Janczak, inny pseudonim „Saksofon”]. Selekcji, kto idzie, a kto zostaje, mają dokonać dowódcy poszczególnych oddziałów. Konieczność pozostawienia broni ma być jak najdłużej utrzymana w tajemnicy. Poleciał nam również, aby żołnierzy, którzy mają z Żoliborza wychodzić, zebrać wraz z bronią i ekwipunkiem na tyłach zachodniej strony ulicy Suzina na godzinę 18.

Ze znacznym opóźnieniem udało nam się zebrać oddział. Na wyjście zdecydowało się prawie 300 ludzi, ale nastąpił jakiś przeciek informacyjny i widać było, że oni wiedzą o oddawaniu broni. Część żołnierzy przyszła na zbiórkę po dobrej wódce. Widać było, że niżsi dowódcy bardziej solidaryzują się z żołnierzami niżeli z dowództwem. Nie pomagał nastrojowi fakt, że major „Roman” przyprowadził ze sobą uzbrojony pluton żoliborskiej żandarmerii, oddział wprawdzie stał na boku, ale stał.

Major „Roman” w dłuższym przemówieniu uzasadnił, dlaczego ich tu zebrano, że

dowództwo zdecydowało, że wychodząc, mają tutaj pozostawić broń. Mówił, że oni tu zostają i walkę prowadzić będą nadal, że ludzi jest tu dużo, ale broni bardzo mało. Że podczas przejścia z majorem „Okoniem” będzie ich ubezpieczał uzbrojony pluton, a w Puszczy czeka na nich broń. Zaraz powstał wielki bałagan, szeregi całkowicie się złamały, zaczęli występować poszczególni, nie zawsze trzeźwi żołnierze, krzycząc, że tej broni w większości nikt im nie dawał, że zdobywali ją sami i nieśli od Puszczy Nalibockiej. Że broni nie oddadzą, a jeśli ktoś będzie chciał im zabrać – no to – niech spróbuje ją wziąć! Na dobrą sprawę nikt nie wiedział, jak w danym momencie należało postąpić. Przecież dowództwo miało rację, chcąc tę broń pozostawić na Żoliborzu. Ale żołnierze, którzy nie chcieli jej oddać, też mieli swoje racje. Uwidocznily się tu „trudne losy Polaków w tej wojnie”. My, stojąc z boku razem z „Okoniem”, myśleliśmy, że majstersztykiem ze strony „Okonia” było, że zepchnął z siebie tę czynność. Poszczególni żołnierze podchodzili teraz do „Okonia”, prosząc go o wstawiennictwo, a przecież wiedzieliśmy, że przez żołnierzy od początku lubiany nie był, a tym bardziej po tak krwawych natarciach. Spór przedłużał się i wreszcie „Okon” zaczął ponaglać, że za dwie godziny kolumna powinna być w drodze. Zaproponował, aby ci, którzy czują się szczególnie przywiązani do posiadanej broni, zgłaszali się do plutonu osłonowego. Potworzyło się wiele niezależnych grup, gdzie oficerowie żoliborscy jak również kumpinoscy – przekonywali żołnierzy o słuszności pozostawienia broni. Całość tych delikatnych i taktownych działań zaczęła przynosić rezultaty. Napięcia zaczęły ustępować, kolumna – jak na początku sama się złamała – teraz sama zaczęła się formować.

Miejscem zbiórki oddziału były dzisiejsze Sady Żoliborskie. Tam czekały na nas łączniczki. Jeszcze przed wyjściem powstały komplikacje z oddziałem „Jerzyków”, który samowolnie chciał opuścić Żoliborz. Był kategoryczny rozkaz, że do kolumny marszowej dołączyć można, ale wszelką broń należy pozostawić. Dowódca tego plutonu, około 30 ludzi, porucznik „Jerzyk” [Jerzy Strzałkowski] nie chciał się zgodzić na rewizję oddziału przez żandarmerię, tłumacząc, że ma zgodę podpułkownika „Żywiciela”, co było nieprawdą. Sprawa się przedłużała, a łączniczki coraz bardziej ponaglały, że noc jest księżycowa. Porucznik „Jerzyk” i tak stwierdził, że będzie szedł za kolumną. Major w ostateczności się zgodził z tym, że „Jerzyki” będą pierwszym oddziałem, który wyjdzie

[wróci z Kampinosu] z bronią i zaopatrzeniem dla Żoliborza. Dzięki doskonałej znajomości przewodniczek rozmieszczenia oddziałów nieprzyjaciela i znajomości drogi bez zakłóceń około godziny czwartej rano byliśmy w Zakładzie dla Ociemniałych w Laskach. Ja miałem dodatkową osobistą rozterkę – już po raz drugi przechodziłem z oddziałami o 200 metrów od swego rodzinnego domu, nie mogąc nikogo zawiadomić. O godzinie 12 w południe doszliśmy na dawne kwatery do Wiersz. Był dzień 25 sierpnia 1944 roku. [...]

O samym przekazywaniu broni przez wychodzących z Żoliborza żołnierzy kampinoskich powstały legendy, zawsze ze złym duchem w tle – majorem „Okoniem”. Kiedy na początku lat 70. ukazała się książka jednego z najdłuższych stażem żołnierza „Doliny” – st. ułana „Żbika” – Mariana Podgórecznego *Na koniu i pod koniem*, to informacje o tym przekazywaniu wstrząsnęły mną – tyle było tam przekłamań. Sam Podgóreczny na Żoliborzu nie był, w natarciach i przekazywaniu broni udziału nie brał, zapewne napisał to, co usłyszał od innych ułanów. A napisał tak: „»Okoń« stanął przed frontem i powiedział: Nie umieliście zdobyć Dworca to teraz musicie oddać broń”. Można by jeszcze takie zmyślane stwierdzenie przebaczyć ułanowi „Żbikowi”, dla którego mogło być cenzorską przepustką na wydanie tej książki, ale uważam za podłe, jak podaje to dowódca pułku „Palmiry–Młociny”, porucznik „Dolina” na stronie 195 książki *Partyzanci trzech puszczy*; ujął to jeszcze ładniej i napisał: „»Okoń« mówi – Skursy – nie umieliście zdobyć niemieckich pozycji, to teraz musicie oddać broń”. Wszyscy, którzy tam wówczas byli i znali atmosferę operacji oddawania broni, wiedzą, że ktokolwiek w takich słowach zwróciłby się do tych zdesperowanych żołnierzy, żywy by nie wyszedł. „Dolina” nie musiał pisać pod cenzora, bo książkę wydawał w Anglii.

Prawie wszyscy, którzy złapali za pióro, aby opisać krwawe i nieudane natarcia na Dworzec Gdański, obciążają za wszystko majora „Okonia”. Ja, będąc u źródeł, znając okoliczności i poglądy „Okonia”, uważam to za wysoce krzywdzące. „Okoń” przeszedł z Kampinosu z drugim oddziałem wojska na Żoliborz o godzinie 6 rano w dniu 20 sierpnia. Na godzinę 10 poproszono go na odprawę do sztabu „Żywiciela”. Kiedy wyszedł, powiedział do nas, czekających: „Dziś w nocy mamy zdobywać Dworzec Gdański i ja mam być dowódcą, mówiłem, że nie znam terenu, nie znam sił i rozmieszczenia nieprzyjaciela, nie znam nawet własnych oddziałów, z których jeden,

który przyszedł dziś, jest bardzo zmęczony, prosiłem o odłożenie natarcia na jutro. Powiedziano mi, że na natarciu bardzo zależy Komendzie Głównej, która jest na Starym Mieście, i że oni mają plan gotowy”.

Należy w tym miejscu postawić pytanie – czy zdobycie Dworca Gdańskiego było w tamtym czasie realne? Odpowiedź nasuwa się sama, że zdobycie Dworca w tamtych okolicznościach i przy takich środkach było niewykonalne. Przecież na Żoliborzu nie prowadziło się w tym czasie prawie żadnej walki, a do załogi Dworca wcale się nie strzelało [z terenu Poniatówki], bo oni odpowiadali ogniem. Można by jeszcze zrozumieć atak pierwszy, w którym mogłoby chodzić o wybadanie, z jaką determinacją Niemcy będą Dworca bronić, i na to pytanie odpowiedź Niemców była jasna. Drugi atak na Dworzec to był wymysł Komendy Głównej na Starym Mieście i faktycznym jego dowódcą był generał „Grzegorz”. Trzeba przypomnieć, że w ataku pierwszym zginęło około 100 ludzi, w drugim zaś około 350. I znowu pytanie – czy za to wszystko można winić majora „Okonia”, czy „Okoń” mógł odmówić dowodzenia? A może chodziło tu o znalezienie kozła ofiarnego.

W Kampinosie

Od początku bycia w Kampinosie zdziwił mnie stosunek „Okonia” do „Doliny”. Z nastawienia, z jakim „Okoń” wysłany był z Warszawy do Kampinosu, można było wnioskować, że stosunek ten będzie zły, czego dowodem było [to], że po nieudanych atakach na Dworzec „Okoń” zwrócił się do generała „Grzegorza” o zgodę na powrót na Stare Miasto. W „Kampinosie” zaś po kilku „nocnych rozmowach Polaków” stosunek „Okonia” do „Doliny” był prawie przyjacielski. Widząc to, kiedyś powiedziałem majorowi, że szedł tu z innym nastawieniem do „Doliny”, a co innego zastał. „Okoń” mi odpowiedział: „inaczej sprawy i problemy wyglądają z za sztabowego biurka, a inaczej w terenie i w naturze”. Na jednej z pierwszych odpraw z „Doliną” major nam – z jego otoczenia – zakomunikował, że jego zastępcą w Zgrupowaniu jest dowódca pułku, porucznik „Dolina”, ale rozkazu w tej sprawie nie będzie. Myśmy to zrozumieli, że rozkazu nie będzie, bo „Dolina” w Warszawie jest kontrowersyjny. To stwierdzenie „Okoń” wypowiedział w obecności „Doliny”. „Dolina” zaś w książce, krytykując dowodzenie „Okonia”, napisał: „»Okoń« nie zorganizował sobie żadnego sztabu dowodzenia, pozostał tylko przy adiutancie z dwoma podchorążymi [„Sęp” i „Garbaty”],

nie wyznaczył też swego zastępcy”. W stosunkach „Okoń” – „Dolina” w tamtym czasie dało się zauważyć, że „Okoń” niezbyt dobrze czuł się jako dowódca dużego zgrupowania partyzanckiego, w wielu sprawach polegał na „Dolinie” i pozostawiał mu wolną rękę. W jednym wszak nie zgadzał się z „Doliną” całkowicie. „Dolina” widział teren zakwaterowania jako obóz partyzancki, gdzie nie było ważne, jak kto chodzi ubrany, czy oddaje honory, „Okoń” zaś widział obóz jako obóz ćwiczebny. „Okoń” wiedział, że żołnierz powstańczy jest słabo wyszkolony, wymagał od dowódców pododdziałów częstych ćwiczeń w terenie, a przecież i ci najniżsi dowódcy najczęściej pochodzili z podchorążówek konspiracyjnych i sami niezbyt dobrze byli wyszkoleni. U „Doliny” zaś szkolenie odbywało się przeważnie poprzez walkę – taka była życiowa praktyka. Major zawsze był zadbany i pod krawatem, „Dolina” zaś, poza gwiazdkami, niczym nie różnił się od przeciętnego żołnierza. Kiedyś jechałem z „Okoniem” bryczką na Pociechę [wieś, przysiółek Truskawia], gdzie odnalazły nam się „Jerzyki”, z przeciwka wracał z ćwiczeń pluton żołnierzy, dowódca plutonu nie zasalutował majorowi. „Okoń” kazał mi przywołać tego dowódcę i przyuczył go, jak powinien się zachować. Wiem, że takich zdarzeń było więcej. Porucznik „Dolina” wiele razy powtarzał powiedzenie, że major „Okoń” chodzi po obozie, spotkanych oficerów łapie za kłapy i ubliża im. Myślę, że wyżej opisane wypadki posłużyły do takich wymysłów. [...]

W tym miejscu wyjaśnić mi wypada, jak to się działo, że znam i podaję różne szczegóły zdarzeń dziejących się w dowództwie Zgrupowania „Kampinos”. Otóż wieś Wiersze, gdzie dowództwo kwaterowało, było wsią bardzo małą, a oprócz nas kwaterowało tam jeszcze dowództwo pułku „Palmiry–Młociny” wraz ze sztabem, zespół radiotów, saperzy i żandarmeria. Dowództwo Zgrupowania mieściło się wprawdzie w najokazalszym domu, ale była to jedna izba z małą kuchenką. Ponieważ centrala telefoniczna mieściła się w większym pokoju odpraw, a na służbie ja ją obsługiwałem – stawałem się obecny na wszystkich odprawach i nie będąc ich uczestnikiem, byłem ich świadkiem. [...]

Wśród często występujących zarzutów w stosunku do „Okonia” powtarza się zarzut o zbyt dużą ilość taborów i wozów, które Zgrupowanie miało w czasie wycofywania się z Kampinosu. Stwierdzić tu trzeba, że 75 procent tych taborów należało do kawalerii i oddziałów nalibockich i nie zawsze jechał tam ciężki sprzęt i amunicja. Kompanie

warszawskie i miejscowe miały zaledwie po dwie podwoły, i to głównie z rannymi.

Najwięcej wizji, co zrobić z taborami, miał jeszcze kapitan „Szymon” [Józef Krzyczkowski]; proponował on, aby wozy pozostawić w lesie, zaś na konie szyć juki, wzorem transportu w górach, i tak zabrać potrzebne rzeczy. Wozów pozostawić [w taborach] jakieś 25 procent. Sam „Dolina”, jego oficerowie oraz dowództwo kawalerii przywiązywało olbrzymią wagę do taborów w ogóle. Dla nich nawet pusty wóz z koniem mógł się przydać. Na jednej z odpraw poświęconej głównie temu tematowi sprawę zmniejszenia taborów rozłożył sam „Dolina”. Trzeba tu powiedzieć, że uczestnictwo „Doliny” w odprawach miało cechy swoiste. „Dolina” prawie nie zabierał głosu, zdawało się nawet, że myślni jest gdzie indziej. Właśnie wtedy, kiedy już wszyscy powiedzieli swoje na ten temat, „Dolina” wywołany przez majora powiedział, że te tabory on przyprowadził ze wschodu przez wieleset kilometrów, że taborów było jeszcze więcej, a teraz jest więcej wojska, że przeprowadził je również przez dobrze strzeżony most w Nowym Dworze. To stwierdzenie „Doliny” urwało dalszą dyskusję. Dało się odczuć wtedy przemożny wpływ „Doliny” na „Okonia”. Stało się wtedy fatalnie, że nikt nie sprzeciwił się „Dolinie”, a przecież prawie wszyscy znali okoliczności długiego i udanego przemarszu grupy nalibockiej i jeżeli nie wypada tu mówić o współdziałaniu z Niemcami, to na pewno w tym widzieć można cichą zgodę na to przejście. „Szymonowy” temat szycia juków już nie był podejmowany. [...]

„Okon” co tydzień od [początku] września wysyłał meldunek przez Londyn, jak stopniowo jest otaczany Kampinos i czy jest decyzja, co on ma robić? Znałem te sprawy dobrze, sam do radiotów zanosłem meldunki i przynosiłem odpowiedzi. Dopiero na trzy dni przed atakiem nieprzyjaciela i wyjściem z Kampinosu radioci odebrali rozkaz, że „Okon” ma wolną rękę, co robić ze zgrupowaniem. Kiedy dostarczyłem mu tę depezę, „Okon” z sarkazmem powiedział: „Teraz się zdecydowali, kiedy jesteśmy całkowicie zamknięci, przestali widać liczyć na lądowanie brygady desantowej [generała Sosabowskiego]. [...]

Po otrzymaniu rozkazu o samodzielności major nie zwoływał szerokiej odprawy dowódców, wzywał ich natomiast do siebie. Pierwszy jak zwykle był „Dolina”, ale treści rozmowy nikt nie słyszał. Zauważyłem tylko, że rozstanie było chłodne, zazwyczaj „Okon” odprowadzał „Dolinę” chociaż za drzwi. [...]

27 września nieprzyjaciel rozpoczął gwałtowny atak ze wszystkich stron. Do walki wprowadził dużo dział i moździerzy. Wzmocnione placówki i oddziały przesunięte na pierwszą linię zaczęły nie wytrzymywać naporu. Do dowództwa coraz częściej wpadali gońcy, meldując o opuszczeniu stanowisk. Major polecił dowódcy kawalerii zdecydowanie wzmocnić obronę wsi Łubiec z kierunku Leszno. Chodziło o to, abyśmy nie zostali odcięci od ostatniej drogi na zachód. W południe Niemcy przeprowadzili ciężki nalot bombowców nurkowych na Wiersze oraz inne miejscowości. W dowództwie pułku wyleciał w powietrze magazyn broni i amunicji. Straty były wielkie i w ludziach, i w zabudowaniach, została zniszczona nasza radiostacja. Major wydał rozkaz o koncentracji wszystkich oddziałów na Roztoce o godzinie 21.30. Słaliśmy z dowództwa łączników z przydzielonego nam oddziału kawalerii z wezwaniem, aby oddziały broniły stanowisk i opóźniały natarcie, i że zbiórka o 21.30 na Roztoce. Przybywało gwałtownie rannych, w szpitalu na Kiściennem wielu rannych czekało na noszach w kolejce. Kiedy w dowództwie u „Doliny” przekazałem rozkaz o koncentracji na Roztoce, zareagowano tam trochę dziwnie, tak, jakby ten rozkaz ich nie dotyczył [...].

Kiedy zaczął zapadać zmrok, na koncentrację zgłaszały się oddziały zwarte i nie było oznak załamania. Z zapadającym zmrokiem Niemcy zaprzestali ataków piechoty i czołgów, strzelała tylko artyleria i moździerze. Najgorsza była wielka ilość rannych. W większości ich dowódcy i koledzy zabierali ich ze sobą. Dowódca kampinoskiego wywiadu, porucznik „Bałta” [Florian Bałta], miał ustalone meliny dla pozostawienia rannych z dala od obozu. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, że rannych będzie tak dużo. Nikt również nie mógł przewidzieć, że opuszczanie obozu będzie nagłe i nie w kierunku zorganizowanych melin. Sprawa rannych trafiła nas do końca. Z następnego biwaku w Bielinach cała kolumna zboczyła trochę z drogi dla pozostawienia części rannych, duża jednak ich część trafiła aż pod Jaktorów.

Po długim i wyczerpującym marszu, ale bez niepokojenia ze strony nieprzyjaciela, kolumna dotarła o brzasku do wsi Bieliny, położonej o ponad 20 kilometrów na północny zachód od Wiersz. Same Bieliny były miejscem zupełnie przypadkowym, przedtem nieplanowanym. Ale samo wyrwanie się z okrążenia – gdzie nieprzyjaciel zgromadził ponad 10 tysięcy wojska – było osobistym sukcesem „Okonia”, czego zresztą żaden z jego biografów nie odnotował. Wręcz przeciwnie – pogorszyło to jeszcze stosunki

z „Doliną” i jego oficerami. Zgrupowanie rozlokowało się na biwaku pod wsią, w małym lasku, gdzie zastosowano mordercze wymagania krycia się przed lotnikiem. Samoloty szukały nas od najwcześniejszych godzin rannych, co raz nadlatywały na różnej wysokości z różnych stron. Zgrupowanie egzamin z krycia się przed lotnikiem zdało celująco.

Moim osobistym zadaniem podczas wycofywania się było konwojowanie dwóch wozów załadowanych dokumentami dowództwa, maszynami do pisania, sprzętem telefonicznym i radiowym. Kiedy w Wierszach opuszczaliśmy kwaterę i zwróciłem się do wszystkich, by oddali na wozy rzeczy osobiste, to okazało się, że ani major, ani ja z „Jastrzębcem” oraz „Czarna” nie mamy żadnych rzeczy osobistych, mieliśmy tylko zapasową amunicję.

Pod drzewem w lasku pod wsią Bieliny „Okon” zwołał odprawę, jak potem wyszło, była to ostatnia odprawa w Zgrupowaniu „Kampinos”. Ustalił z oficerami kierunek i sposoby dalszego marszu. Ustalono, że miejscem docelowym miała być Puszcza Mariańska, [wieś] na skraju Puszczy Bolimowskiej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że etap będzie bardzo trudny, ale gdyby się udało przejść te około 40 kilometrów, to dalsza trasa byłaby łatwiejsza, a etapy mogłyby być krótsze. Ustalono, jakie skrzyżowania dróg, mosty i linie kolejowe mogą być krytyczne dla przejścia. Ustalono, które oddziały kawalerii stworzą zabezpieczenia tych miejsc. Ustalenia te spisał adiutant „Puchała” i poszczególni dowódcy dostali stosowne rozkazy. Ustalono do wcześniejszej osłony: skrzyżowanie z drogą Leszno – Kampinos, most na Utracie, droga główna Warszawa – Błonie – Sochaczew pod Paprotnią oraz dwie linie kolejowe Warszawa – Sochaczew i Warszawa – Żyrardów – Skierniewice pod Jaktorowem. Trasa ta zbaczała wprawdzie od głównej osi marszu na wschód, ale chodziło o jak najszybsze przekroczenie ostatniej linii kolejowej, bo mogło się to odbywać już za widoku. W odprawie tej prawie nie uczestniczył sam „Dolina”. Zapytany przez „Okonia” o opinię, miał jakieś zastrzeżenia, ale – o ile pamiętam – dotyczyły one wozów z rannymi i tego, że długość trasy jest duża. Zgodził się jednak, że na kierunku marszu nie ma bliżej liczących się lasów. Ustalono, że major pilnował będzie przodu kolumny, „Dolina” zaś tyłu. Ponieważ w pobliżu kierunku marszu znajdował się jeden z punktów pozostawienia rannych, kolumna miała zboczyć z trasy, aby chociaż część z nich pozostawić i potem wrócić na ustaloną trasę. Biorąc pod

uwagę długość trasy i przypuszczalną szybkość marszową, oficerowie od „Doliny” ustalili godzinę wyjścia kolumny najpóźniej na godzinę 20, czyli jeszcze za widoku. Ustalono, że innego wyjścia nie ma, mimo że kolumna musi się ujawnić, gdyż lotnicy krążyli stale. Po drodze w miejscowości Zamczysko pozostawiliśmy część rannych. Pierwszy drogowy punkt krytyczny, tj. drogę Leszno – Kampinos, kolumna przekroczyła sprawnie, wybuchła wprawdzie drobna strzelanina, ale już się ściemniało i nie wiadomo, kto ją wywołał. Dużo gorzej poszło z przekroczeniem już po ciemku mostu na Utracie. Niemcy wprowadzili tu do walki samochody pancerne, które z działek szybkostrzelnych skutecznie ostrzelały przeprawę. Kawaleria wprawdzie szybko je przepędziła, ale udało im się zniszczyć na moście wiele wozów i został on zablokowany całkowicie. Dalszy marsz kolumny musiał być dokonywany wpław, a Utrata w tym miejscu miała brzeg wysoki prawie na metr. W Utracie wtedy straciłem oba powierzone sobie wozy, obaj żołnierze, którzy nimi powozili, po prostu uciekli w zamieszaniu. Dalszą drogę odbywałem pieszo. Jeszcze gorszą zaporę pancerną zastawili Niemcy na drodze Błonie – Sochaczew. Poza stratami, które kolumna ponosiła w drodze, najgorsze były opóźnienia w marszu. W dalszym marszu kolumna była już atakowana prawie w każdej wsi i miejscowości. I w takim to marszu kolumna dotarła pod tory kolejowe [Warszawa] – Żyrardów – Skierniewice i tu zaległa. Ja dotarłem tam o godzinie 10. Kiedy odnalazłem „Okonia”, w pierwszych słowach zapytałem go, dlaczego tu się zatrzymaliśmy. Odpowiedział, że pierwsza doszła tu kawaleria i „Dolina” ze swoim wojskiem i tu – czekając na pozostałe oddziały – zalegli, ponieważ z za nasypu kolejowego nieprzyjacieli do nas strzela, nasyp kolejowy przejdziemy natarciem. Mnie polecił włączyć się do natarcia na prawym skrzydle.

W swojej książce *Partyzanci trzech puszczy* wiele miejsca poświęca „Dolina” walkom pod Jaktorowem. Relacje to jedno pasmo potępień „Okonia”. Pisze on, że całkowita odpowiedzialność za rozbitcie zgrupowania spada wyłącznie na „Okonia” przez błędne decyzje bądź całkowity ich brak. U „Doliny” wszyscy wiedzą, jak należy postąpić – wie goniec, wie koniowodny, wie ułan i ksiądz kapelan, nie wie tylko major „Okoń”. Czytając to, aż samo narzuca się pytanie: Gdzie wtedy jest sławny dowódca partyzancki „Dolina”? Od strony 218² jego książki można wnioskować, że „Dolina” jest w rejonie drogi Błonie – Sochaczew, wciąż na koniu stara się być wszędzie, gdzie strzelają

i kierować walką. Zaś na stronie 230 pisze „Dolina”, że w walce nad Utratą – czyli dużo, dużo wcześniej – stracił konia i zaginął mu koniowodny, i od tej pory te prawie 20 kilometrów idzie pieszo. Do torów dotarł o godzinie 10 bardzo zmęczony i w niczym się nie orientował. Kiedy spotkał „Okonia”, wykrzyknął do niego: „Co pan robi, czy chce pan nas zniszczyć?”. W tym, co pisze „Dolina”, nie ma ładu i rzeczowości. Wszak „Dolina” dla swoich żołnierzy to dowódca legendarny, za którego oni daliby się porąbać. Czy możliwe jest, że po utracie konia nad Utratą „Dolina” idzie do torów prawie 20 kilometrów pieszo? Na drodze w tym czasie galopują w różne strony kawalerzyści i żaden nie oddaje swojego konia takiemu dowódcy jak „Dolina”? To jest wprost nierealne, przecież każdy z jego żołnierzy przypisałby sobie jako sukces osobisty oddanie konia „Dolinie”. Widać z tego, że „Dolina” chcąc wybronić się od zarzutu współodpowiedzialności za przegraną bitwę pod Jaktorowem i rozbitcie Grupy Kampinoskiej, robi z siebie nieszczęśliwca, który nad Utratą stracił konia, szedł 20 kilometrów pieszo i kiedy przyszedł zmęczony nad tory, to „już byliśmy okrążeni”.

I tu należy się zastanowić nad samą koncepcją, na ile realne było w tamtym czasie przeprowadzenie 2 tysięcy [żołnierzy] oddziału partyzanckiego przy takim zagęszczeniu oddziałów nieprzyjaciela. Przecież front oddalony był o jakieś 30 kilometrów, a Niemcy w tym terenie mieli różne wojska jako zaplecze zwalczania powstania w Warszawie. Przecież dowództwu niemieckiemu udało się wtedy w ciągu kilku godzin zorganizować duże siły, również pancerne, dla rozbitcia Grupy Kampinos. I cóż genialnego można było zrobić z Grupą, kiedy był to dopiero czwarty dzień od rozkazu dla „Okonia” o wolnej ręce w dowodzeniu. „Dolina” jednak widzi całkowitą odpowiedzialność za rozbitcie Grupy po stronie „Okonia”.

Po otrzymaniu przez „Okonia” rozkazu o wolnej ręce w dowodzeniu zgrupowaniem stosunek „Doliny” do „Okonia” zmienił się bardzo. Przestał się on interesować dalszym losem całego zgrupowania”. Kiedy podzieliłem się tymi uwagami z „Puchałą”, powiedział mi on, że wie, iż na „Dolinę” cisną bardzo oficerowie jego sztabu, aby odłączył się ze swoim wojskiem od zgrupowania. Wypada tu wrócić do wcześniejszych wypadków jeszcze w Wierszach. „Dolina” kilka razy zwracał się do „Okonia”, aby całość zgrupowania podzielić na oddziały i kazać im częściowo przenikać różnymi drogami w przyszłe miejsce ustalonej koncentracji. Proponował „Dolina”, aby operację tę

rozpocząć od oddziałów nalibockich, ponieważ tym żołnierzom trudniej będzie w razie czego wsiąknąć w teren. „Okoń”, uznając generalnie słuszność propozycji, mówił, że można będzie realizować ją w stosownym czasie, na razie jednak obowiązuje go kategoriyczny rozkaz zachowania zgrupowania w całości. Można również przyjąć, że jako dowódca partyzancki, [„Dolina”] wiedział z góry, że zgrupowanie prędzej czy później będzie rozbite, i dlatego chciał odłączyć swoje wojsko i pójść własną drogą. Będąc w Kampinosie, „Dolina” wiedział dobrze, że swojej grupy wyprowadzić nie może, ponieważ do półgłosem wymawianego zarzutu o współpracę z Niemcami doszedłby zarzut dezercji.

„Dolina” ma w ogóle negatywny stosunek do wszystkich wyższych funkcyjnie oficerów. Na stronie 189 „Dolina” pisze: „Co to byli za ludzie, którzy przysłali tu »Okonia« i co to za typ ten »Okoń«. Wkrótce miałem poznać »Okonia«, ale tych, co go przysłali, poznałem znacznie później, dopiero na emigracji”. Widać z tego, że „Dolina” ma uraz do wszystkich oficerów na szczeblach, ale wyrównywanie rachunków skupił na „Okoniu”. Takie całkowite zrzucanie odpowiedzialności za klęskę jaktorowską na „Okonia” bez podania towarzyszących okoliczności służyć ma „Dolinie” za argument, że nie jest on winien za duże straty, również wśród dawnych jego partyzantów. Ale skoro „Dolina” i jego sztab wierzyli, że uda mu się przeprowadzić jego dawnych żołnierzy bezpieczniej przez odłączenie się od zgrupowania, to dlaczego nie zrobił tego w stosownym czasie? Czas taki był pod Bielinami. Z obozu w Kampinosie grupowanie wychodziło w walce, nie mając żadnych szans z przeważającą siłą wroga. Uniknęło rozgromienia tylko dlatego, że wyrwało się z okrążenia. Inna sytuacja była w Bielinach, Niemcy nie odkryli kierunku wyjścia i nie poszli w pościg, cały następny dzień również nie odnaleźli grupy. Można na pewno przyjąć, że zgrupowanie miało jakieś dwa dni na dokonanie przegrupowań. Przecież Bieliny to jeszcze skraj Puszczy. „Okoń” bardzo bał się taborów z rannymi, o których nie wiedział, czy pozostawi je gdzieś na trasie. Gdyby „Dolina” na odprawie pod drzewem wziął udział i zaproponował, że weźmie wszystkich rannych i ze swoimi partyzantami odłączy się od zgrupowania, to „Okoń” na pewno by się zgodził. „Okoń” podczas odpraw z dowódcami oddziałów zaraz po daniu mu wolnej ręki, zwracał się – tak jak w przypadku majora Władysława Starzyka, „Korwina” – o to, by starali się częściowo rozformować oddziały. Wiem, że po drodze do Bielin też

z niektórymi o tym rozmawiał. W Bielinach, kiedy na drugi dzień okazało się, że Niemcy nie poszli za nami w pościg, było to łatwiejsze, ale w sumie zdecydowano, że pójdziemy całą grupą do Puszczy Mariańskiej. Major liczył na zmniejszenie się oddziałów i wierzył, że z mniejszą grupą da sobie radę. Po ostatniej odprawie z „Doliną” major powiedział nam, że „Dolina” nie widzi żadnej możliwości zmniejszenia dawnych swoich oddziałów.

Dziwna śmierć „Okonia”

Mimo że przez cały czas Kampinosu byłem stale przy „Okoniu”, to nie byłem świadkiem jego śmierci. W natarciu na tory, gdzie miałem zadanie podciągnąć jego prawe skrzydło do przodu, zostałem ranny w łokieć. Kiedy spod ostrzału pociągu udało mi się wycofać i odnaleźć „Okonia”, zwróciłem się do niego, by zwolnił mnie od siebie, że chcę się połączyć z najbliższymi mi kolegami z „Zemsty”. „Okon” po wahaniach zgodził się. Więcej już „Okonia” nie widziałem. Dlaczego „dziwna śmierć”? Bo miejsce i przypuszczalny czas, kiedy „Okon” zginął, znajduje się w miejscu dużego zagęszczenia naszego wojska, szczególnie oddziałów „Doliny”. W tych warunkach nie znalazł się jeden człowiek, który by po 50 latach powiedział, że widział okoliczności, jak zginął bądź co bądź dowódca dużego zgrupowania. Temat ten pierwszy podjął starszy ułan „Żbik”, Marian Podgóreczny, w swojej pierwszej książce *Na koniu i pod koniem* w latach 60. Potem powtórzył w drugim tomie książki *Doliniacy*. Na stronie 139 pisze on: „»Okon« w czasie natarcia znajdował się na pozycjach drugiego szwadronu. Około godziny 17-tej, gdy zaczęło brakować amunicji, major udał się do pobliskich wozów, aby spowodować jej dostarczenie na pozycje. Poszedł i nie wrócił. Nazajutrz wśród poległych znaleziono ciało majora »Okonia«”. Nasuwa się tu pytanie, kto nazajutrz znalazł [ciało], bo – jak dalej pisze – wszyscy, którzy przeżyli, teren opuścili. Chyba że to są jego przypuszczenia, że ktoś tam musiał ciało znaleźć. „Dolina” o ostatnim widzeniu „Okonia” na stronie 230 pisze tak: „Bardzo zmęczony dotarłem do torów o godzinie 10-tej. Gdy natknąłem się na »Okonia«, krzyknąłem na niego: »jakim prawem zarządził pan postój przed torami, czy pan dąży do naszego zniszczenia?«. »Okon« na to nic nie odpowiedział. W tej chwili przygalopował chorąży »Nieczaj« [Zdzisław Nurkiewicz, zastępca „Doliny”] i zameldował majorowi, że dwa szwadrony zajęły jakieś pozycje. Potem major przekazał mu jakieś rozkazy i w trakcie tego zniknęli obydwaj za jakimiś zabudowaniami gospodarczymi. Więcej go już nie widziałem”. [...]

Co byśmy dziś powiedzieli o dziwnej śmierci „Okonia”, będą to tylko dociekania, aż zjawi się ktoś wzbudzający zaufanie i powie, że był świadkiem tej śmierci.

Pozostaje wszak sprawa, dlaczego „Dolina” tam, gdzie tylko może, źle przedstawia „Okonia”, niekiedy zmyślając fakty. Brak jest tylko zarzutu, że przegrane wojskowo powstanie warszawskie to wyłącznie wina „Okonia”.

„Dolina” w swojej książce pisze, że może sobie zarachować 200 wygranych bitew i potyczek. Czy to nie jest tak, że Jaktorowa nikt nie może sobie zarachować jako sukcesu – wobec tego – cała wina na „Okonia”?

A szkoda, że tu „Dolinie” zabrakło trochę obiektywizmu, bo jest to przecież jeden z najlepszych dowódców partyzanckich o niebywałej odwadze osobistej i szczęściu wojennym.

¹ Tekst powstał na początku lat dziewięćdziesiątych; maszynopis w zbiorach Działu Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

² Wszystkie numery stron książki pochodzą z wydania z 1992 roku.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękujemy naszemu Rozmówcy – Lucjanowi Wiśniewskiemu, „Sępowi”. Za cierpliwość, otwartość i za to, że w ogóle przystał na propozycję długiej rozmowy, mimo że wcześniej konsekwentnie unikał dziennikarzy i publicystów. Wdzięczni jesteśmy również żonie pana Lucjana, Hannie Wiśniewskiej.

Do powstania książki nie doszłoby, gdyby nie przyjaciel „Sępa” – Juliusz Kulesza. Dziękujemy mu za spotkania i rozmowy. Na ostatecznym tekście książki nie pozostawił suchej nitki. Uznał, że nasza wizja wydarzeń i ich interpretacja (w tym wątpliwości i pytania) znacznie różnią się od jego sposobu patrzenia i opisywania działań Oddziału 993/W. Jednocześnie zgłosił szereg uwag i poprawek faktograficznych, które uwzględniamy i za które dziękujemy. Bez należących do żelaznego kanonu książek historycznych Juliusza Kuleszy nie byłoby *Ptaków drapieżnych*.

Za pomoc okazaną podczas pracy dziękujemy pani Barbarze Michałowskiej, córce Stefana Matuszczyka, „Porawy”, Magdalenie Tilszer za stworzenie komfortowych warunków pracy, Piotrowi Wójcikowi oraz Andrzejowi Gassowi – za pomoc przy zbieraniu materiałów źródłowych i fenomenalną pamięć.

Bibliografia

- Dariusz Baliszewski, *Misja „Salamandra”*, „Wprost”, nr 28/2004
- Władysław Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Znak, Kraków 1982
- Adam Basak, *Kwestia ukarania zbrodni niemieckich na lamach „Biuletynu Informacyjnego” Armii Krajowej (1940–1945)*, „Acta Universitatis Wratislaviensis”, nr 543, Historia XXXVI, Wrocław 1981
- Ryszard Bielański, *Prawie życiorys. 1939 – 1956*, nakładem autora, 1986
- Robert Bielecki, Juliusz Kulesza, *Przeciw konfidentom i czołgom*, Radwan–Wano, Warszawa 1996
- Konrad Bielski, *Tajemnica kawiarni „U Aktorów”. Z notatnika obrońcy*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1970
- Włodzimierz Borodziej, *Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG 1939–1944*, IW PAX, Warszawa 1985
- Władysław Bułhak, *Wokół misji Józefa H. Retingera do kraju, kwiecień–lipiec 1944 r.*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2009, nr 168
- Władysław Bułhak (red.), *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, IPN, Warszawa 2008
- Marek Celt (Tadeusz Chciuk), *Z Retingerem do Warszawy i z powrotem. Raport z podziemia 1944*, LTW, Łomianki 2006
- Tomasz Chinciński (red.), *Przemoc i dzień powszedni w okupowanej Polsce*, Wydawnictwo Oskar i Muzeum II Wojny Światowej, Gdańsk 2011
- Cezary Chlebowski, *Cztery z tysiąca*, KAW, Warszawa 1981 (wyd. 2, 1983)
- Cezary Chlebowski, *Wachlarz. Monografia wydzielonej organizacji dywersyjnej Armii Krajowej. Wrzesień 1941 – marzec 1943*, IW PAX, Warszawa 1985
- Stefan Dąbski, *Egzekutor*, Ośrodek Karta, Warszawa 2010
- Stanisław W. Dobrowolski, *Retinger – prywatnie, fragment wspomnień*, „Zdanie”, nr 2/1984
- Tadeusz Dubicki, Andrzej Sepkowski, *Afera Starykonia, czyli historia agenta Gestapo*, WOW „Gryf”, Warszawa 1998

- Krzysztof Dunin-Wąsowicz, *Warszawa w latach 1939–1945*, PWN, Warszawa 1984
- Juliusz Garztecki, *Armia Krajowa i nie tylko. Za i przeciw. Opowieść oficera kontrwywiadu*, Wydawnictwo XXL, Wrocław 2006
- Jędrzej Giertych, *Sądy kapturowe w Armii Krajowej*, „Horyzonty” (Paryż–Londyn–Nowy Jork), nr 169–170/1970
- Leszek Gondek, *Polska karząca 1939–1945*, IW PAX, Warszawa 1988
- Jan Grabowski, *Niewygodny bohater*, <http://www.przeklad-tygodnik.pl>
- Dave Grossman, *O zabijaniu. Psychologiczny koszt kształtowania gotowości do zabijania w czasie wojny i pokoju*, Wydawnictwo Mayfly, Warszawa 2010
- Adam Hempel, *Pogrobowcy klęski. Rzec o policji „granatowej” w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945*, PWN, Warszawa 1990
- Izabella Horodecka, *Ocalone od niepamięci*, OW Aida, Sopot 1992
- Izabella Horodecka („Teresa”), *Rozkaz zabić*, „Więź”, nr 4/1976
- Kazimierz Iranek-Osmecki, *Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera Komendy Głównej AK*, wyd. 2, rozszerzone, Czytelnik, Warszawa 2004
- Stanisław Jankowski („Agaton”), *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie. Wspomnienia 1939–1945*, t. 1–2, PIW, Warszawa 1980
- Danuta Kaczyńska, *Byli żołnierzami Parasola*, MAW, Warszawa 1985
- Włodzimierz Kalicki, *Izabella od wyroków*, „Wysokie Obcasy” (dodatek do „Gazety Wyborczej”), 24 września 2005
- Jan Karski, Maciej Wierzyński, *Emisariusz. Własnymi słowami. Zapis rozmów przeprowadzonych w latach 1995–1997 w Waszyngtonie emitowanych w Głosie Ameryki*, PWN, Warszawa 2012
- Tadeusz Kochanowicz, *Na wojennej emigracji. Wspomnienia z lat 1942–1944*, KiW, Warszawa 1975
- Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej...*, Bellona, Warszawa 1991
- Józef Krzyczkowski, *Konspiracja i powstanie w Kampinosie 1944*, LSW, Warszawa 1962
- Andrzej Krzysztof Kunert, *Kronika Powstania Warszawskiego*, Zysk i S-ka, Warszawa 2014
- Juliusz Kulesza, *Garłuch. Opowieść o 7. pułku piechoty AK w konspiracji i Powstaniu*

- Warszawskim, Mireki, Warszawa–Kraków 2014
- Emil Kumor, *Wycinek z historii jednego życia*, IW PAX, Warszawa 1967
- Aleksander Kunicki, *Cichy front. Ze wspomnień oficera wywiadu dywersyjnego dyspozycyjnych oddziałów Kedywu KG AK*, IW PAX, Warszawa 1968
- Kazimierz Leski *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, t. 1–2, Finna, Gdańsk 2009
- Dariusz Libionka, Laurence Weinbaum, *Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze. Wokół Żydowskiego Związku Wojskowego*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011
- Paweł Maria Lisiewicz, *Bezimienni. Z dziejów wywiadu Armii Krajowej*, IWZZ, Warszawa 1987
- Janusz Marszalec, *Ochrona porządku i bezpieczeństwa publicznego w Powstaniu Warszawskim*, Rytm, Warszawa 1999
- Janusz Marszalec, *Morderstwo na Makowieckich i Widerszalu. Stara sprawa, nowe pytania, nowe wątpliwości*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” (Warszawa), nr 2/2006
- Stanisław Nienąłowski, *Odwet i walka*, MON, Warszawa 1981
- Sönke Neitzel, Harald Welzer, *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014
- Gunnar S. Paulsson, *Utajone miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy (1940–1945)*, Znak, Kraków 2009
- Adolf Pilch, *Partyzanci trzech puszczy*, Editions Spotkania, Warszawa 1992
- Bogdan Podgórski, *Józef Retinger, prywatny polityk*, Universitas, Kraków 2013
- Stanisław Podlewski, *Przemarsz przez piekło. Dni zagłady staromiejskiej dzielnicy w Warszawie*, t. 1–2, M. Fuksiewicz i S-ka, Warszawa 1949
- Jan Pomian, *Józef Retinger. Życie i pamiętniki szarej eminencji*, Pelikan, Warszawa 1990
- Anna Rószkiewicz-Litwinowiczowa, *Trudne decyzje. Kontrwywiad Okręgu Warszawa AK 1943–1944. Więzienie 1949–1954*, PIW, Warszawa 1991
- Jan Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Czytelnik, Warszawa 1983
- Zbigniew Siemaszko, *Retinger w Polsce w 1944 r.*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż), nr

12/1967

Zbigniew Siemaszko, *Wojskowi o Retingerze*, „WPH”, nr 3/1992

Zbigniew Siemaszko, *Retinger – wysłannik Foreign Office i Mikołajczyka*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż), nr 170/2009.

Władysław Sieroszewski, *Przyczynek do historii WSS*, Warszawa 1974, mps, CAW IX.3.50.95

Tomasz Strzembosz, *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944*, PIW, Warszawa 1983

Tomasz Strzembosz, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939–1944*, PWN, Warszawa 1983

Tomasz Strzembosz, *Społeczne i psychologiczne problemy żołnierzy warszawskiej dywersji*, „Rocznik Warszawski”, t. XIV, 1976

Tadeusz Sumiński [red.], *Pamiętniki żołnierzy baonu Zośka*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1970

Tadeusz Sumiński [red.], *Pamiętniki żołnierzy baonu AK „Zośka”, t. 16+: Wola*, Społeczny Komitet Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka”, Warszawa 2012

Tomasz Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, Czytelnik, Warszawa 2010

Krzysztof Szczypiorski, *Zarys dziejów 7. Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego*, „Rocznik Mińsko-Mazowiecki” 1994

Jędrzej Tucholski, *Cichociemni. Historia legendarnych spadochroniarzy*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2010

Jacek Wilamowski, *Pętla zdrady. Konspiracja–wróg–polityka. Za kulisami Polski podziemnej 1939–1945*, CB Andrzej Zasieczny, Warszawa 2003

Jacek Wilamowski, *Honor, zdrada, kaźń. Afery Polski Podziemnej 1939–45*, CB Andrzej Zasieczny, Warszawa 2009

Wacław Zagórski, *Wicher wolności*, Finna, Gdańsk 2014

Wacław Zagórski, *Wolność w niewoli*, Finna, Gdańsk 2014

Halina Zakrzewska („Beda”), *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, PWN, Warszawa

1994

Bernard Zakrzewski, *Kontrwywiad ZWZ-AK w walce z organami represyjnymi okupanta*,
Warszawa 1973, mps AAN

http://ahm.1944.pl/Lucjan_Wisniewski

http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Dionizy_Mazur/?q=Dionizy+Mazur

http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Janina_Wojciechowska2/?q=Janina+Wojciechowska+Żaba

http://ahm.1944.pl/Bogdan_Oltuszewski/6/?q=Bogdan+Oltuszewski

<http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Prof-Bartoszewski-nie-powiedzialem-nic-niewlasciwego,wid,13181378,wiadomosc.html>.

http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Cezary_Szemley



1. *Uzupełnialiśmy się, on wnosił brawurę, ja rozwagę.*

Ten blondynek o spojrzeniu prymusa to jeden z najskuteczniejszych likwidatorów kontrwywiadu AK. Ryszard Duplicki w „Garłuchu” nosił pseudonim „Płowy”, w 993/W – „Gil”. Był najlepszym przyjacielem Lucjana Wiśniewskiego. Razem brali udział w kilkudziesięciu akcjach.



2. *Miał miękkie serce do płci pięknej. Ile to razy zdarzało się, że „Kobuz” kochał się i to za każdym razem najmocniej i do grobowej deski. Coś ze cztery razy wybijaliśmy mu z głowy małżeństwo, za co zresztą był nam bardzo wdzięczny, ale tylko dlatego, że zaraz chciał się zenić z inną.*

Stanisław Salach, ps. „Kobuz”, był kochliwy, ale – jak podkreśla Lucjan Wiśniewski – w pracy był twardy i łatwo adaptował się do najtrudniejszych nawet warunków.



3. *Niekiedy przez swoje „teleskopy” nie bardzo poznawał kolegów...*

Wada wzroku Zygmunta Szadokierskiego, ps. „Puchacz”, była przyczyną żartów i docinków pozostałych Ptaków. Koledzy śmiali się, że przed każdą akcją „Puchacz” musi wymacać „delikwenta”, w ten sposób upewniając się, czy strzela do właściwego człowieka. Przez swój semicki „typ” miewał problemy ze szmalcownikami.



4. *„Jur I” powiedział: wiesz, dlaczego byłem taki zdenerwowany? Tam był mały chłopiec, jak wychodziliśmy, on spokojnie bawił się na podłodze w drugim pokoju...*

Obraz syna zastrzelonego przy ulicy Szopena drukarza prześladował Jerzego Pajdzińskiego, „Jura I”, bardzo długo. Lucjan Wiśniewski pamięta go jako cichego i mało mównego żołnierza.



5. Dżentelmeni od... nieprzyjemnej roboty.

Tadeusz Towarnicki, „De Vran”, „Naprawa” (z lewej) i Stefan Sosnowski, „Rawa”. Mieli nie rzucać się w oczy, ale ulegli konspiracyjnej modzie: na nogach „szklanki”, czyli długie buty oficerskie, góra – zbyt elegancka, fajki – wyzywające.

Warszawa, sierpień 1942.



6. „Podcynkowanie”, jak się u nas mówiło, to rozpoznanie codziennych zwyczajów osoby skazanej, by można było zaplanować skuteczne i bezpieczne wykonanie wyroku.

Tym właśnie zajmowała się w 993/W Izabela Horodecka, ps. „Teresa”.

Była najskuteczniejszą wywiadowczynią oddziału. W 1943 roku, gdy akcja likwidowania konfidentów i zdrajców przez 993/W przyspieszyła, miała 35 lat. Dla większości żołnierzy oddziału była trochę jak mama, a trochę jak dystygowana „starsza pani”.



7. *Ze swym temperamentem powinna była urodzić się chłopcem* – pisał o najmłodszej wywiadowczyni 993/W, Zofii Ruseckiej, „Zosi”, jej dowódca Stefan Matuszczyk, „Porawa”.

Na zdjęciu wyglądają jak szczęśliwa, flirtująca para na wakacjach w kurorcie. Fotografował Olgierd Budrewicz, który wprawdzie nie był żołnierzem oddziału likwidatorów, ale wziął udział w ćwiczeniach Szkoły Podchorążych Rezerwy II Obwodu w Rejentówce koło Radzymina i robił zdjęcia przyjaciółom Lucjana Wiśniewskiego.

Jesień 1943.



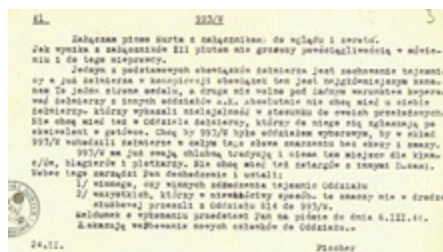
8. *Idą sobie jak na wakacjach.*

Od lewej plut. pchor. Andrzej Nasierowski, „Sędzimir”, kpr. pchor. Andrzej Jabłoński, „Zenek”, plut. pchor. Zbigniew Szubański, „Clive”, kpr. pchor. Jerzy Szaniawski, „Słoń”, ppor. Andrzej Zawadzki, „Andrzejewski”, por. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, Wiesław Fihel, Zbigniew Kryst, „Wilimowski”, kpr. pchor. Ryszard Bielański, „Rom” i Olgierd Budrewicz, „Konrad”. Rejentówka koło Radzymina, ćwiczenia pod kierunkiem Stefana Matuszczyka, który od 15 sierpnia 1943 roku był nowym dowódcą oddziału.

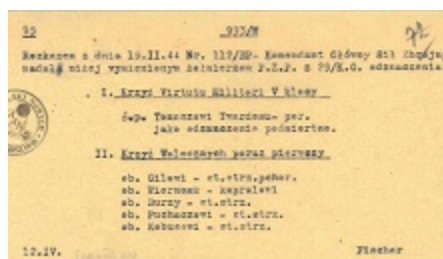


9. Rejentówka, gdzie jesienią 1943 odbyły się ćwiczenia Szkoły Podchorążych Rezerwy II Obwodu, należała do państwa Ruseckich. Domek na szczęście stał na uboczu i nie rzucał się w oczy. W pierwszym rzędzie od lewej: kpr. pchor. Olgierd Budrewicz, „Konrad”, Wiesław Fihel, NN, plut. pchor. Zbigniew Szubański, „Clive” i Zbigniew Kryst, „Wilimowski”. Siedzą od lewej: kpr. pchor. Ryszard Bielański, „Rom”, Hanna Gołaszewska, por. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, Zofia Rusecka, „Zosia”, kpr. pchor. Jerzy

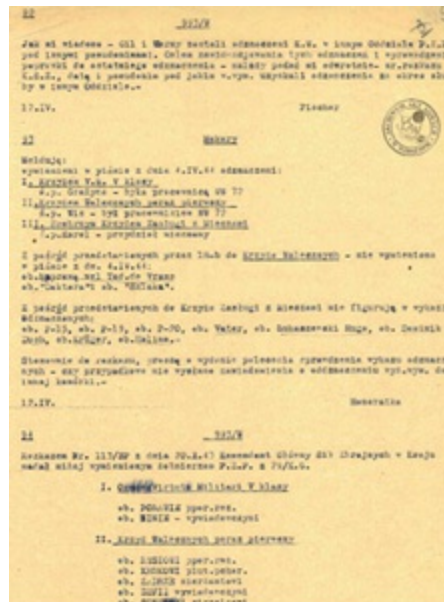
Szaniawski, „Słoń”, NN, NN.



10. Chcę żołnierzy bez skazy i zmayı (sic!) – domagał się od dowódców plutonów w 993/W zdenerwowany Józef Ryś, „Fischer”, przełożony z ramienia kontrwywiadu AK. „Fischer” chyba jednak nieco przesadził. Na pewno udawał. Pisał, że nie wie i że się nie zgadza na „kaperowanie”, czyli pozyskiwanie drogą przekupstwa najlepszych żołnierzy do „swojego” oddziału. Prawda była jednak taka, że najlepszych likwidatorów skutecznie nęciły lepsze warunki służby w kontrwywiadzie AK aniżeli w formacjach liniowych.



11. W konspiracji Lucjan Wiśniewski raz był „Wiernym”, a raz „Sępem”. Wszystko zależało od tego, z ramienia jakiego oddziału brał udział w konkretnej akcji. Z dokumentów jego przełożonych wynika, że oni sami nie mogli się w tym połapać. „Pracowałem na dwa etaty” – przyznaje się dziś „Sęp”. Na zdjęciu rozkaz z 19 lutego 1944 roku o nadaniu Ptakom Krzyży Walecznych po raz pierwszy.



12. Typowe meldunki dowódców poszczególnych jednostek podległych kontrwywiadowi AK. Pierwszy dokument podpisany przez Józefa Rysia, „Fischera”, dotyczy „Gila” i „Sępa”. Ich przełożony próbuje się zorientować, gdzie jeszcze, oprócz 993/W, służą jego najzdolniejsi wykonawcy.

Wszystkie dokumenty pochodzą z Archiwum Akt Nowych, teczka Bernarda Zakrzewskiego.



13. Skrzyżowanie Marszałkowskiej i Wilczej przed wojną było znanym miejscem. W kamienicy Fruzińskiego (Marszałkowska 77) znajdowała się do 1939 roku ekskluzywna cukiernia w stylu francuskiego rokoko.

Cukiernia Europejska była naprzeciwko, po drugiej stronie Wilczej (kamienica w jasnym kolorze; latarnia stoi na jej tle). 30 marca 1943 roku Tadeusz Towarnicki, „Naprawa”, oraz Leszek Kowalewski,

„Tomasz”, „Twardy” zastrzelili tu dwóch gestapowców z Krakowa.



14. 25 czerwca 1943 roku o 8 rano Lucjan Wiśniewski stał za trzecim filarem gmachu PKO od strony Marszałkowskiej. Tu czekał na limuzynę Ernsta Dürrfelda, komisarza warszawskich przedsiębiorstw miejskich. Miał tylko asystować i ubezpieczać kolegów. Ale wypadki potoczyły się inaczej. Gdy samochód „delikwenta” zatrzymał się przy wejściu od strony Świętokrzyskiej, „Sęp” zastrzelił Śliwińskiego, ochroniarza i sekretarza Dürrfelda.

Dziś po modernistycznym gmachu PKO nie ma śladu, w tym miejscu znajduje się wejście do stacji metra „Świętokrzyska”.



15. Narożna kamienica przy ul. Mazowieckiej 2 i Świętokrzyskiej 22 została poważnie uszkodzona podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939. Do końca wojny nie została odbudowana. Udało się jedynie uporządkować parter. Bar „Za Kotarą” mieścił się pod widocznymi na zdjęciu wybitymi oknami na pierwszym piętrze. To tu 8 października

1943 roku doszło do najbardziej krwawej akcji 993/W. Zrujnowana kamienica ponownie ucierpiała podczas powstania warszawskiego.



16. Zawsze, w dzień i w nocy przed bunkrem i wejściem do Abschnittwache Nord (tzw. Nordwache) w kamienicy przy Żelaznej 75a stał strażnik. 8 października 1943 roku był dla niego dniem jak co dzień. Spacerował kilka kroków w lewo, zawracał i szedł kilka kroków w prawo. Po godz. 17 na ulicy nie było już wielu przechodniów. Kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ul. Żelaznej była kwiaciarnia. W pewnym momencie podjechały pod nią dwie ciężarówki. W tym samym czasie na Mazowieckiej 2 trwała już śmiertelna kanonada...



17. *Tam, na cmentarzu, pierwszy raz zobaczyliśmy, jak nas jest dużo! Że tylu chłopaków i sanitariuszki... Wcześniej nigdy kompania do kupy zebrana nie była, a teraz to robiło wrażenie. Byłem wzruszony, był taki entuzjazm, czuliśmy się wolni, będąc tam w takiej gromadzie. Śmiechy, żarty, jak na jakimś obozie harcerskim.*

To jedyne zdjęcie Lucjana Wiśniewskiego z okresu powstania warszawskiego. Stoi siódmy od lewej, w czarnym berecie. Zdjęcie, podczas zbiórki II plutonu kompanii „Zemsta”, zrobił Stefan Bałuk, „Kubuś”, cichociemny i powstańczy fotograf. Tuż przy „Sępie” stoją jego najbliżsi towarzysze – od lewej: „Sas”, „Puchacz”, „Clive”, „Lucyna”, „Żbik” i „Rom”. Po prawej „Sępa”: „Zenek”, „Blendas”, „Rumor”, „Jur II”, „Błękitny”, „Ułan”, „Jur I”. Przed frontem odwrócony twarzą do kolegów Ryszard Duplicki, „Gil”.



18. Jedno z kilku zdjęć całej kompanii „Zemsta” batalionu „Pięść”. Cichociemny Stefan Bałuk zrobił je na terenie ogrodu domu starców zboru ewangelicko-augsburskiego przy ul. Karolkowej 77. Stoją tu prawie wszyscy żołnierze 993/W. Prawie, bo brakuje Tadeusza Towarnickiego, „Naprawy” – dowódca oddziału likwidatorów zginął 1 sierpnia 1944 roku przy Okopowej 25. Gdzieś wśród niewyraźnych na fotografii postaci stoi Lucjan Wiśniewski.



19. *Jeden nierozważny krok mógł zaprowadzić je pod szubienicę poprzez koszarne badania na Gestapo [...]. Po oddaniu broni pilotowały wykonawców na miejsce akcji i w oznaczonym punkcie czekały na nich w wielkim napięciu nerwów – pisał o wywiadowczyńiach 993/Wich dowódca Stefan Matuszczyk, „Porawa”.*

1 sierpnia 1944 r. dziewczyny stały się łączniczkami. Na zdjęciu odprawa łączniczek tuż przez godziną „W” na dziedzińcu szkoły przy ul. Karolkowej. Niewiadomo, kto zrobił to i sąsiednie zdjęcie.



20. 1 sierpnia 1944. Jeszcze nie mają słynnych panterek z magazynów przy Stawkach. Jeszcze nie są żołnierzami „Zemsty”. Powstanie wybuchnie za godzinę, dwie...

Odprawa. W skórzanym płaszczu – „Kieł”, Jan Kowalczyk, jeden z pierwszych żołnierzy grupy „Zadry”, wprowadzony do plutonu przez braci Bąków.



21. „Burza” nie ustępował swoim braciom i w akcjach można było zawsze liczyć na niego w stu procentach – tylko tyle napisał o najmłodszym z braci Bąków Stefan Matuszczyk, „Porawa” w swoich powojennych wspomnieniach. Nie dlatego, że nie było o czym pisać. Po prostu charakteryzując dwóch starszych braci Bąków: Leona, ps. „Doktur”, i Bolesława, ps. „Szlak”, wystrzelał się już z superlatywów. Na zdjęciu ppor. Stanisław Bąk, „Burza” (w jasnym płaszczu – po prawej) razem z nierozpoznanym kapralem oraz mjr. Alfonsem Kotowskim, ps. „Okoń”. Zdjęcie zostało zrobione u wylotu ul. Długosza na ul. Karolkową, tuż przed godziną „W”.



22. Zawsze wykazywał „Okoń” dużą odwagę osobistą i duże zdecydowanie. Wadą u niego było, że był wybuchowy i krzykliwy, ale nie jest prawdą, że używał grubiańskich wyzwisk, jego słownictwo, kiedy wybuchał, było ubogie – pisał Lucjan Wiśniewski. Na zdjęciu zrobionym na Woli po wybuchu powstania major pozuje ze zdobyczną flagą.



23. W powstańczym szpitalu przy ul. Długiej 7 na początku września 1944 roku przebywało ok.350 rannych i personel. Tuż przed ewakuacją powstańców kanałami ze Starówki do Śródmieścia sprowadzono tu jeszcze rannych z punktów sanitarnych z ul. Długiej 10 i 16.

2 września do szpitala wpadli esesmani. Zaczęła się rzeź. To wtedy zginęli ranni Ryszard Duplicki, „Gil”, i Adam Towarnicki, „Sas”, brat Tadeusza, „Naprawy”.



24, 25. Ci, którzy przeżyli wojnę, spotykali się w dość hermetycznym gronie towarzyszy broni. Na zdjęciu spotkanie na Cmentarzu Powązkowskim z okazji odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci poległych żołnierzy batalionu „Pięść”, w tym żołnierzy konspiracyjnego oddziału 993/W.

Pierwsza od lewej Danuta Hibner, „Nina”, drugi to Stefan Matuszczyk,

„Porawa”, i dalej generał Jan Mazurkiewicz, „Radosław”. Ostatnia stoi Hanna Gołaszewska, „Hanka”.



26. W latach osiemdziesiątych Lucjan Wiśniewski, „Sęp”, stał się nieformalnym szefem środowiska kombatantów z oddziału 993/W. Na zdjęciu (w środku pomiędzy koleżankami wywiadowczyniami) w drodze na mszę w rocznicę upadku powstania.



27. Zbiegiem lat grupa towarzyszy broni się wykruszała.

Na zdjęciu spotkanie towarzyskie w gronie żołnierzy 993/W. W białym płaszczu Hanna Gołaszewska, „Hanka”. Dalej, po lewej: Zofia Rusecka, Lucjan Wiśniewski i Stanisław Gołowicz, „Blendas”. Obok „Hanki”, po prawej, stoi Felicjan Zawadzki, „Fez”.



28. Mili starsi państwo – egzekutorzy wojennych wyroków. Na działce u Lucjana Wiśniewskiego. Lata osiemdziesiąte. Od prawej: Lucjan Wiśniewski z żoną, Stefan Rogowiec, Danuta Hibner, Tomasz Michalski, Zofia Rusecka, Ryszard „Rom” Bielański przytula się do Wandy Osińskiej (spoza oddziału).



29. *To był dla nas wstrząs... Nie byliśmy zabójcami na zlecenie* – Lucjan Wiśniewski nigdy nie krył swojego oburzenia po przyznaniu się Izabeli Horodeckiej, ps. „Teresa” (na zdjęciu w środku), do próby otrucia wysłannika rządu w Londynie do Polski – Józefa Retingera. „Teresa” wyznała to w 1999 roku. Tutaj bierze udział w jednym ze środowiskowych spotkań w latach siedemdziesiątych.



30. *Te gówniarzyki, szczeniaki, młodziaki, piętnastoletnie pętaczyny, to ci gieroje? Zbyszek, „Clive”, cudeńka opowiadał nam o dwóch kozakach z993/W– „Sępie” i Gilu” – tak Ryszard „Rom” Bielański, „Rom” (na zdjęciu po prawej), relacjonował moment poznania 17-letniego Lucjana. Był zdziwiony i nieco rozczarowany. Chyba spodziewał się postawnego herosa... „Rom” i „Sęp” przed kościołem św. Benona na Nowym Mieście w Warszawie. Lata osiemdziesiąte.*



31. *Ojciec nic o mnie nie wiedział, potem udawał, że nic nie wie, a na koniec współpracował z993/W i razem udawaliśmy przed matką, że nic nie wiemy.*

Lucjan Wiśniewski z ojcem. Lata siedemdziesiąte.



32. *Przyszłego kardynała Stefana Wyszyńskiego poznałem w Kampinosie. Potem przez lata był dobrym duchem naszego środowiska.*

„Sęp” bardzo serdecznie wspomina Prymasa Tysiąclecia. Na zdjęciu warta honorowa przy trumnie prymasa w kościele seminaryjnym przy Krakowskim Przedmieściu 30 maja 1981 roku. To tutaj w 1949 roku Wyszyński odprawił pierwszą mszę jako głowa polskiego Kościoła.

W pierwszym rzędzie od prawej: płk Józef Krzyczkowski, „Szymon” (pierwszy dowódca Zgrupowania „Kampinos”), Nikodem Wawrzyniewicz, „Zięba”, i Władysław Kłodziński, „Rymwid”.

Lucjan Wiśniewski stoi jako pierwszy w rzędzie po drugiej stronie – na zdjęciu z prawej.



33. Lucjan Wiśniewski. Warszawa 2015.



34. *Żadnej euforii, żadnej przyjemności i żadnych rozterek. Rozkaz, spełnienie obowiązku. Nerwy i napięcie. Żadnego lubowania się w tym nie było. Chciałem mieć to jak najszybciej za sobą...*

Tak Lucjan Wiśniewski, „Sęp”, mówi dziś o wykonywaniu wyroków. Na zdjęciu podczas pracy nad książką. Warszawa 2015.



35. Zaćmienie słońca na Żoliborzu. 20 marca 2015. Michał Wójcik, Lucjan Wiśniewski, Emil Marat.

Spis fotografii i dokumentów

Zdjęcia, których nie oznaczono inaczej, pochodzą z prywatnego archiwum Lucjana Wiśniewskiego.

1. Ryszard Duplicki, ps. „Gil”.
2. Stanisław Salach, ps. „Kobuz”.
3. Zygmunt Szadokierski, ps. „Puchacz”. Archiwum Ośrodka KARTA.
4. Jerzy Pajdziński, ps. „Jur I”.
5. Tadeusz Towarnicki, ps. „De Vran”, „Naprawa”, i Stefan Sosnowski, ps. „Rawa”.
6. Izabela Horodecka, ps. „Teresa”.
7. Zofia Rusecka, ps. „Zosia”, i Stefan Matuszczyk, ps. „Porawa”. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Olgierd Budrewicz.
8. Od lewej: plut. pchor. Andrzej Nasierowski, „Sędzimir”, kpr. pchor. Andrzej Jabłoński, „Zenek”, plut. pchor. Zbigniew Szubański, „Clive”, kpr. pchor. Jerzy Szaniawski, „Słoń”, ppor. Andrzej Zawadzki, „Andrzejewski”, por. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, Wiesław Fihel, Zbigniew Kryst, „Wilimowski”, kpr. pchor. Ryszard Bielański, „Rom”, i Olgierd Budrewicz, „Konrad”. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Olgierd Budrewicz.
9. W pierwszym rzędzie od lewej: kpr. pchor. Olgierd Budrewicz, „Konrad”, Wiesław Fihel, NN, plut. pchor. Zbigniew Szubański, „Clive” i Zbigniew Kryst, „Wilimowski”. Siedzą od lewej: kpr. pchor. Ryszard Bielański, „Rom”, Hanna Gołaszewska, por. Stefan Matuszczyk, „Porawa”, Zofia Rusecka, „Zosia”, kpr. pchor. Jerzy Szaniawski, „Słoń”, NN, NN. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Olgierd Budrewicz.
10. Pismo autorstwa Józefa Rysia, „Fischera”. Archiwum Akt Nowych, teczka Bernarda Zakrzewskiego.
11. Rozkaz z 19 lutego 1944 roku o nadaniu Krzyży Walecznych. Archiwum Akt Nowych, teczka Bernarda Zakrzewskiego.
12. Dokument podpisany przez Józefa Rysia, „Fischera”, dotyczący „Gila” i „Sępa”. Archiwum Akt Nowych, teczka Bernarda Zakrzewskiego.
13. Róg Marszałkowskiej i Wilczej, widok na kamienicę Fruzińskiego

(Marszałkowska 77). Serwis Warszawa1939.pl.

14. Gmach PKO od strony Marszałkowskiej. Wikipedia.

15. Kamienica przy zbiegu ul. Mazowieckiej i Świętokrzyskiej. Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Joachim Joachimczyk, „Joachim”.

16. Bunkier i wejście do Abschnittwache Nord (tzw. Nordwache) w budynku Żelazna 75a. Po prawej fragment kamienicy Chłodna 25. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. [Stefan Bałuk](#), „Kubuś”, „Starba”.

17. Wola. Godzina „W”. Zbiórka powstańców z batalionu „Pięść”, II pluton kompanii „Zemsta” na cmentarzu ewangelicko-augsburskim. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. [Stefan Bałuk](#), „Kubuś”, „Starba”.

18. Zbiórka kompanii „Zemsta” batalionu „Pięść” na terenie ogrodu domu starców zboru ewangelicko-augsburskiego przy ul. Karolkowej 77. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. [Stefan Bałuk](#), „Kubuś”, „Starba”.

19. Odprawa łączniczek tuż przez godziną „W” na dziedzińcu szkoły przy ul. Karolkowej.

20. Odprawa przed godziną „W”. W skórzanym płaszczu Jan Kowalczyk, „Kieł”.

21. Wola. Godzina „W”. Grupa powstańców z batalionu „Pięść” stoi przy wylocie ul. Długosza na ul. Karolkową w oczekiwaniu na koncentrację oddziału. Por. Stanisław Bąk, „Burza” (w jasnym płaszczu, po prawej), razem z nierozpoznanym kapralem oraz mjr. Alfonsem Kotowskim, ps. „Okoń”. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. [Stefan Bałuk](#), „Kubuś”, „Starba”.

22. Wola. Dowódca batalionu „Pięść” mjr Alfons Kotowski, „Okoń”, demonstruje hitlerowską flagę zdobytą na terenie cmentarza ewangelicko-augsburskiego. Po lewej przy samochodzie, z ręką na błotniku, stoi kpr. [Seweryn Brwiliński](#), „Adam”. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. [Stefan Bałuk](#), „Kubuś”, „Starba”.

23. Zdjęcie powojenne. Zwęglone szczątki ludzkie na pryzkach w szpitalu powstańczym u zbiegu Miodowej i Długiej. Stare Miasto. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Eugeniusz Haneman.

24. Cmentarz Powązkowski. Odsłonięcie tablicy poświęconej pamięci poległych żołnierzy batalionu „Pięść”. Od lewej Danuta Hibner, „Nina”, Stefan Matuszczyk, „Porawa”, gen. Jan Mazurkiewicz, „Radosław”. Ostatnia stoi Hanna Gołaszewska,

„Hanka”.

25. Tablica poświęcona pamięci poległych żołnierzy batalionu „Pięść”.

26. Lucjan Wiśniewski w środku pomiędzy koleżankami wywiadowczyniami w drodze na mszę w rocznicę upadku Powstania.

27. W białym płaszczu Hanna Gołaszewska, „Hanka”. Dalej, po lewej: Zofia Rusecka, Lucjan Wiśniewski i Stanisław Gołowicz, „Blendas”. Obok „Hanki”, po prawej stoi Felicjan Zawadzki, „Fez”.

28. Na działce Lucjana Wiśniewskiego. Od prawej: Lucjan Wiśniewski z żoną, Stefan Rogowiec, Danuta Hibner, Tomasz Michalski, Zofia Rusecka, Ryszard Bielański przytula się do Wandy Osieńskiej (spoza Oddziału).

29. Lata siedemdziesiąte. Teresa Horodecka.

30. „Rom” i „Sęp” przed kościołem św. Benona na Nowym Mieście w Warszawie.

31. Lucjan Wiśniewski z ojcem.

32. W pierwszym rzędzie od prawej: płk Józef Krzyczkowski, „Szymon”, Nikodem Wawrzyniewicz, „Zięba”, i Władysław Kłodziński, „Rymwid”. Lucjan Wiśniewski stoi pierwszy w rzędzie po prawej stronie.

33. Lucjan Wiśniewski. Fot. Michał Wójcik.

34. Lucjan Wiśniewski. Fot. Emil Marat.

35. Michał Wójcik, Lucjan Wiśniewski, Emil Marat. Fot. Emil Marat.

Wyklejka I

Uczestnicy szkolenia w Rejentówce koło Radzymina. Fototeka Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Olgierd Budrewicz.

Wyklejka II

Kolumna grupy AK „Kampinos” przed bitwą pod Jaktorowem. Zbiory Instytutu Pamięci Narodowej.

Indeks nazwisk i pseudonimów

A

Adamski Józef Jerzy „Łunicz” [1](#) , [2](#) , [3](#)

B

Babiarz Stanisław „Wysocki” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Bach-Zelewski Erich von dem [1](#)

Baliszewski Dariusz [1](#) , [2](#)

Banaś, sklepikarz [1](#) , [2](#) , [3](#)

Bartoszewski Władysław [1](#)

Basak Adam [1](#)

Bałta Florian „Bałta” [1](#)

Bałuk Stefan „Kubuś” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Bielański Ryszard „Rom” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#) , [13](#) , [14](#) , [15](#) , [16](#) , [17](#) , [18](#) , [19](#) , [20](#) , [21](#) , [22](#) , [23](#) , [24](#) , [25](#) , [26](#)

Bielecki Robert [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#)

Bielecki Wiesław [1](#)

Bielscy, bracia [1](#)

Biezan Włodzimierz „Klawisz” [1](#) , [2](#)

Boerner Ignacy [1](#)

Bogacki Konrad „Kobra” [1](#)

Bogdalski Władysław [1](#)

Bogdański Józef „Ford” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Boguszewski Tadeusz „Bielecki” [1](#)

Bokszczanin Janusz [1](#)

Borkowski Antoni [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#)

Braun Henryk [1](#)

Bryniarski, płk MO [1](#)

Buczyński Ludwik „Nieśmiały” [1](#)

Budrewicz Olgierd [1](#) , [2](#)

Budzyński Józef „Prawy” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Bułhak Władysław [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Bąk Bolesław „Szlak” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#)

Bąk Hipolit „Sosna” [1](#) , [2](#)

Bąk Leon „Doktur” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#)

Bąk Leon „Doktur” [1](#)

Bąk Stanisław „Burza” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#) , [13](#) , [14](#) , [15](#) , [16](#) , [17](#) , [18](#)
 , [19](#) , [20](#) , [21](#)

C

Calles Plutarc Elias [1](#)

Chciuk Tadeusz [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#)

Chlebowski Cezary [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#)

Chojnacka, właścicielka sklepu [1](#)

Chruściel Antoni „Monter”, „Nurt” [1](#) , [2](#)

Chruściel Antoni „Monter”, „Nurt” [1](#)

Churchill Winston [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Churchill Winston' [1](#)

Chłapowski Alfred [1](#)

Conrad Józef [1](#)

Czajkowski Czesław Karol „Szeremeta” [1](#) , [2](#)

Czarnecki Ryszard „Kurzawa”, „Felek” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Czarnecki Ryszard „Kurzawa”, „Felek”' [1](#)

Czarnomski Jan [1](#) , [2](#) , [3](#)

D

Dalder Emilia [1](#)

Deczkowski Bogdan [1](#)

Demel Franciszek [1](#)

Demel Franciszek' [1](#)

Dobieszak Ryszard [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Dobrowolski Stanisław W. [1](#)

Domańska Bohdana Maria „Czarna” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Domański Rafał [1](#)

Doroszenko [1](#)

Drobik Marian „Dzięcioł” [1](#) , [2](#)

Dudziec Jerzy „Puchała” [1](#) , [2](#)

Dunin-Wąsowicz Krzysztof [1](#)

Duplicki Ryszard „Gil”, „Płowy” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#) , [13](#) , [14](#) , [15](#) ,
[16](#) , [17](#)

Dymitrow Georgi [1](#)

Dürrfeld Ernst [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#)

Dąbrowski Jan „Jan” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Dąbowski Stefan [1](#) , [2](#)

Dławichowski Andrzej [1](#) , [2](#)

E

Eden Anthony [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Engelking Barbara [1](#)

F

Fieldorf August „Nil” [1](#)

Filipiak, płk MO [1](#)

Fogg Mieczysław [1](#)

Frycz Bronisław (rotmistrz Lorenz) [1](#)

G

Galczewski, płk MO [1](#)

Garztecki Juliusz „Wilczur” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Gass Andrzej [1](#) , [2](#)

Gebethner Alicja [1](#)

Gebethner Jadwiga [1](#)

Gebethner Tadeusz [1](#) , [2](#)

Gebethner Zygmunt [1](#)

Gojawiczyńska Pola [1](#)

Gola Edward [1](#)

Gomułka Władysław [1](#) , [2](#)

Gondek Leszek [1](#) , [2](#) , [3](#)

Gołaszewska Hanna „Hanka” („Hania”) [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#)

Gołowicz Stanisław „Blendas” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Gołębiowski Dariusz „KraK” [1](#)

Gołębiowski Jan „DziRYt” [1](#)

Grabowski Henryk Ksawery [1](#)

Grabowski Jan [1](#)

Grodzki Roman [1](#)

Grossman Dave [1](#)

Grymaszewski Adam „JastrzĄb” [1](#) , [2](#)

Grzebalska Weronika [1](#)

Gubbins Colin [1](#)

Gwiaździński Bronisław „Sokół” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Gwoździk, płk MO [1](#)

Górnicki, płk MO [1](#)

Gąsior Zbigniew „Garbaty” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Gąsowska-Ryńska Hanna „Hanka” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Gąsowski Jan „Kania” [1](#)

Gęsicki Stanisław „Józef” [1](#)

Głuchowski Piotr [1](#)

H

Hammer-Baczewski Józef [1](#)

Handelsman Marcei [1](#), [2](#)

Heda Antoni „Szary” [1](#), [2](#)

Heinrich Leon „Wąsik” [1](#)

Hempel Adam [1](#), [2](#)

Hibner Danuta „Nina” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#), [9](#), [10](#), [11](#), [12](#)

Horodecka Izabella „Teresa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#), [9](#), [10](#), [11](#)

I

Ibsen, leutnant [1](#)

Idzikowska Ewa „Ewa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#)

Idzikowska Ewa „Ewa” [1](#)

Iranek-Osmecki Kazimierz [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#)

Iwanicka-Bogacka Halina „Halina” [1](#)

Iwicki Zygmunt [1](#)

J

Jabłoński Andrzej „Zenek” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#)

Jabłoński Włodzimierz „Maria” [1](#)

Jamont Władysław [1](#)

Janczak Andrzej „Roman”, „Saksofon” [1](#), [2](#)

Janczewski Jerzy „Glinka” [1](#)

Janicki, konfident Gestapo [1](#)

Jankowski Stanisław „Agaton” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Jastrzębski Waclaw „Bujny” [1](#)

Jesionowska (imię nieznane) „Lena” [1](#)

Józwiak, płk MO [1](#)

Jędrzejewski Marcel [1](#)

K

Kaczmarski Robert „Zajac” [1](#)

Kaczorowska Blanka [1](#)

Kaczyńska Danuta [1](#)

Kalicki Włodzimierz [1](#) , [2](#)

Kalkstein Ludwik [1](#)

Kamiński Marian „Pionek” [1](#)

Karaszewicz-Tokarzewski Michał [1](#)

Karcz Tadeusz [1](#)

Karski Jan [1](#) , [2](#) , [3](#)

Kassner Johann [1](#) , [2](#)

Kellus Aleksander „Bazyli” [1](#)

Kielczykowski Zygmunt [1](#)

Klepacz Juliusz „Ran” [1](#) , [2](#) , [3](#)

Klimaszewski Wiktor „Mały” [1](#)

Koc Zygmunt „Dąbrowa” [1](#)

Kochanowicz Tadeusz [1](#)

Komasa Jan [1](#)

Komorowska Maria [1](#) , [2](#)

Konarzewski Zbigniew [1](#)

Konieczny (Kowalewski) Edmund [1](#)

Konopacki Eugeniusz „Trzaska” [1](#)

Korboński Stefan [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Kotowski Alfons „Okoń” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#)

Kotowski Alfons „Okoń” [1](#)

Kowalczyk Jan „Kieł” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Kowalczyk Zbigniew [1](#)

Kowalewski Edward „Edmund Koneczny” [1](#)

Kowalewski Leszek „Twardy”, „Tomasz” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#) , [13](#) ,
[14](#) , [15](#) , [16](#) , [17](#) , [18](#) , [19](#) , [20](#)

Kowalski Marcin [1](#)

Kowalski Piotr „Pepełek” [1](#)

Kozielewski Marian [1](#)

Kozubowski Bolesław „Pleban” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Kozłowski, płk MO [1](#)

Krahelska Zofia [1](#) , [2](#)

Kronenberg Wanda [1](#) , [2](#)

Kruczkowska-Stańczyk Zofia [1](#)

Krzyczkowski Józef „Szymon” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Krzymowski Janusz „Zawieja” [1](#)

Kubryń Michał „Czarny” [1](#) , [2](#)

Kubryń Roman „Rudy” [1](#)

Kukliński Władysław [1](#)

Kulesza Juliusz [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#)

Kunert Andrzej Krzysztof [1](#) , [2](#)

Kuratz Adolf [1](#)

Kuroń Jacek [1](#)

Kutschera Franz [1](#)

Kuśpit Stanisław „Kruk” [1](#)

Kwiatkowska Halina „Krystyna” [1](#)

Kłodziński Władysław „Rymwid” [1](#) , [2](#)

L

Lechmirowicz Stanisław [1](#)

Leitgeber Wilhelm „Lalunia” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Leszczyc-Gutowski Adam [1](#)

Libionka Dariusz [1](#)

Likiernik Stanisław [1](#) , [2](#) , [3](#)

Lilienstern Wojciech „Wiktor” [1](#)

Lisiewicz Paweł [1](#)

Lisowski Tomasz [1](#)

Liszewski Henryk „Długi” [1](#)

Loroch Eugenia Helena [1](#)

Loroch Eugeniusz Dionizy [1](#)

Loroch Józef [1](#)

Loroch Krystyna [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Loroch Leon [1](#)

Loroch Marcelli [1](#)

Loroch Waleria [1](#)

Loroch Walerian [1](#)

M

Maczek Stanisław [1](#)

Majchrzak Stefan [1](#)

Makowiecka Zofia [1](#)

Makowiecki Jerzy „Tomasz Malicki” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Malanowicz-Niedzielska Maria [1](#) , [2](#)

Malec Henryk „Bogumił” [1](#) , [2](#)

Malinowski Marian [1](#)

Mancewicz Danuta [1](#)

Marczewski, płk MO [1](#)

Markiewicz Kazimierz „Cug” [1](#)

Maryniuk Ewald [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#)

Matuszczyk Jan [1](#)

Matuszczyk Scholastyka [1](#)

Matuszczyk Stefan „Porawa” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#) , [12](#) , [13](#) , [14](#) , [15](#)

Mazur Dionizy „Adrian”, „Dyzio”, „Piotruś” („Piotrek”) [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Mazurkiewicz Jan „Radosław” [1](#) , [2](#)

Metzger Edward „Hassling-Ketling” [1](#)

Michalski Czesław Tomasz „Skrzydłak” [1](#) , [2](#)

Michałowska Barbara [1](#)

Michałowska Jadwiga [1](#)

Mikołajczyk Stanisław [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Moczar Mieczysław [1](#) , [2](#)

Mołojec Bolesław [1](#)

Mościcki Ignacy [1](#)

Mrozek, lekarz więzienny [1](#) , [2](#)

Myśliński Tadeusz [1](#)

Müller Henryk [1](#)

N

Natanson-Leski Kazimierz [1](#)

Niedzielski Mieczysław „Żywiciel” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Niemyski Józef „Ćwach” [1](#)

Niepokójczycki Leon [1](#)

Nowak-Jeziorański Jan [1](#)

Nowakiewicz-Broszkowska Władysława „Mira”, „Sława” [1](#)

Nowakiewicz-Broszkowska Władysława „Mira”, „Sława” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#)

Nowotko Marceli [1](#)

Nurkiewicz Zdzisław „Nieczaj” [1](#)

O

Okuń Zygmunt [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#)

Orkan Władysław [1](#)

Osterw Juliusz [1](#)

Ostik-Kostrowicki Samuel „Jakób” [1](#) , [2](#)

Ołtuszewski Bogdan [1](#) , [2](#) , [3](#)

P

Pajdziński Jerzy „Jur I” („Jur”) [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Pannwitz Helmuth von [1](#)

Pannwitz, komisaryczny zarządca majątku Puławy [1](#)

Paulsson Gunnar [1](#)

Pełczyński Tadeusz „Grzegorz” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Pietrzak Tadeusz [1](#)

Pilch Adolf „Góra”, „Dolina” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Piotrowscy, ziemianie [1](#)

Piskorski, płk MO [1](#)

Piwnik Jan „Ponury”, „Donat” [1](#) , [2](#)

Piętka, strażnik [1](#)

Ples Waław [1](#)

Podgóreczny Marian „Żbik” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#)

Podgórski Bogdan [1](#) , [2](#)

Podlewski Stanisław [1](#) , [2](#)

Pohotowka Mychajło [1](#) , [2](#) , [3](#)

Pomian Jan [1](#) , [2](#) , [3](#)

Postnikoff Paweł [1](#)

Poznański Jan „Pływak”, „Ewa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#)

Pross, wartownik fabryczny [1](#)

Przybysz Stanisław [1](#)

Pędracki Roman „Jastrzębiec” [1](#), [2](#)

R

Raczkiewicz Władysław [1](#)

Radke Janusz „Gozdawa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#)

Ravel Maurice [1](#)

Retinger Józef Hieronim [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#)

Ringelblum Emanuel [1](#)

Rogoliński Bogdan „Szary” [1](#)

Rogowiec Stefan „Marno” [1](#)

Rola-Żymierski Michał [1](#)

Rozmiłowski Roman „Srebrny” [1](#), [2](#), [3](#)

Rudkowski Roman „Rudy” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#)

Rusecka Zofia „Zosia” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#)

Rusecka, matka Zofii Ruseckiej [1](#)

Rylski Zygmunt Ignacy „Hańcza” [1](#)

Ryś Stefan „Fischer” („Fischer”), „Józef” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#), [9](#), [10](#), [11](#)

Rzepecki Jan „Prezes” [1](#), [2](#), [3](#)

Rószkiewicz-Litwinowiczowa Anna [1](#)

Różalski Tadeusz „Dan” [1](#)

S

Salach Stanisław „Kobuz”, „Zdunek” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#)

Sanojca Antoni „Kortum” [1](#)

Schiffers Tadeusz „Skalski” [1](#)

Schulz Bruno [1](#)

Siemaszko Zbigniew S. [1](#), [2](#)

Sieroszewski Władysław [1](#)

Sikiński Jerzy „Wiktor” [1](#)

Sikorski Władysław [1](#), [2](#), [3](#), [4](#)

Skoczek, konwojent [1](#)

Skoczylas Roman [1](#)

Skuteli, płk MO [1](#)

Skórkowski, mjr MO [1](#)

Smosarska Jadwiga [1](#)

Smysłowski Borys [1](#)

Sokołowska, lekarka z Boernerowa [1](#)

Sosabowski Stanisław Franciszek [1](#), [2](#)

Sosnkowski Kazimierz [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#)

Stalin Józef [1](#), [2](#), [3](#)

Starzyk Władysław „Korwin” [1](#)

Staszauer Józef [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#)

Strzałkowski Jerzy „Jerzyk” [1](#)

Strzelczyk Hanna „Hania Okularnik” [1](#)

Strzelecki Kazimierz [1](#) , [2](#)

Strzembosz Tomasz [1](#) , [2](#) , [3](#)

Strzykalski, felczer więzienny [1](#)

Stępowski Leszek [1](#)

Sudeczko Andrzej [1](#) , [2](#)

Sumiński Tadeusz [1](#)

Sym Igo [1](#)

Synek Edward [1](#)

Szadokierski Zygmunt „Puchacz” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#) , [9](#) , [10](#) , [11](#)

Szaniawski Jerzy Stefan „Słoń” [1](#)

Szarota Tomasy [1](#)

Szczyciński Eugeniusz „Skowronek” [1](#) , [2](#)

Szemley Cezary „Ketling” [1](#) , [2](#)

Szoll Tadeusz „Kołoda” [1](#)

Szpalerski Hieronim „Karaś” [1](#)

Szubański Zbigniew „Clive” [1](#) , [2](#)

Szymankiewicz (?) „Lesz” [1](#) , [2](#)

Sędziński, hotelarz [1](#)

Sławiński Stanisław „Litwin” [1](#)

T

Teofilak Czesław „Zadra” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#)

Tetzlaff Erwin „Zakalec” [1](#) , [2](#)

Tomaszewski, mjr [1](#)

Towarnicki Adam „Sas” [1](#)

Towarnicki Tadeusz Józef „De Vran”, „Naprawa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#)

Towarnicki Tadeusz Józef „De Vran”, „Naprawa” [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#), [6](#), [7](#), [8](#), [9](#), [10](#), [11](#),
[12](#), [13](#), [14](#), [15](#), [16](#), [17](#), [18](#), [19](#), [20](#), [21](#), [22](#)

Towarnickie Józef [1](#)

Trojanowski Karol „Radwan” [1](#)

Trzepałko, ksiądz [1](#)

Trąbiński, milicjant [1](#)

Tucholski Jędrzej [1](#)

Tumidajska Zofia [1](#)

Tęsiorowski Jerzy „Zawada” [1](#)

W

Wachnowski, lekarz [1](#)

Wawerek Krystyna [1](#)

Walachowski Lech [1](#)

Walachowski Robert „Zośka” [1](#), [2](#)

Weinbaum Laurence [1](#)

Weizmann Chaim [1](#)

Widerszal Ludwik „Pisarek” [1](#), [2](#), [3](#)

Wierzyński Maciej [1](#)

Wilamowski Jacek [1](#), [2](#)

Witos Wincenty [1](#)

Wiśniewski Lucjan „Sęp” *passim*

Wojciechowska Janina „Żaba” [1](#)

Wojda Jan „Norwid” [1](#)

Wojeńska [1](#)

Wojeński [1](#)

Wolański Jan [1](#) , [2](#)

Wolski Zenon [1](#)

Wołosiuk Brunon Tadeusz „Miles” [1](#)

Wróblewski Jarosław [1](#)

Wydrzyński Jan „Wicher” [1](#)

Wyszyński Stefan [1](#) , [2](#)

Węgrzynowicz Ryszard „Ulewa” [1](#)

Węglowski Adam [1](#)

Z

Zabieg Czesław [1](#)

Zagórski Waclaw [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Zakrzewski Bernard „Oskar”, „Hipolit” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#) , [8](#)

Zaorski Jan [1](#)

Zawadzka Magdalena [1](#)

Zawadzki Andrzej „Andrzejewski” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#) , [6](#) , [7](#)

Zawadzki Felicjan Marian „Fez” [1](#) , [2](#) , [3](#) , [4](#) , [5](#)

Zawadzki Tadeusz „Zośka” [1](#)

Zawodny Janusz [1](#)

Zbrożek Jerzy „Bomir” [1](#) , [2](#)

Zelwiański, płk MO [1](#)

Ziemski Karol „Wachnowski” [1](#), [2](#)

Ł

Łakiński Jan [1](#)

Łamacz, płk MO [1](#)

Łubiński, policjant [1](#), [2](#), [3](#), [4](#)

Łukasik Andrzej [1](#), [2](#), [3](#), [4](#)

Łysakowski [1](#)

Ś

Śliwiński, konfident Gestapo [1](#), [2](#), [3](#), [4](#), [5](#)

Śreniawa-Szypkowski Romuald [1](#)

Świerczewski Eugeniusz „Gens” [1](#), [2](#)

Świątkiewicz Henryk „Kamil” [1](#)

Ż

Żelewska Marta [1](#)

„

„Bór”-Komorowski Tadeusz [1](#), [2](#), [3](#), [4](#)

„Bór”-Komorowski Tadeusz' [1](#)

„Grot”-Rowecki Stefan [1](#), [2](#)

„Lutosławski”, agent Gestapo 1

„Mira” 1

„Wilk”, nazwisko nieznane 1

„Łożysko” (nazwisko nieznane) 1

Copyright © by Emil Marat, Michał Wójcik oraz Społeczny Instytut Wydawniczy Znak

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografia wykorzystana na okładce

„Zamach”, reż. Jerzy Passendorfer, 1958, fot. Witold Mickiewicz Licencja: SF KADR /
mat. FN

Redakcja

Jan Jaroszuk

Opieka redakcyjna

Agata Pieniążek

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

Wydawnictwo JAK

ISBN 978-83-240-3584-7



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2016

Druk: Drukarnia Skleniarz

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters are black. Above the 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small, colored circles: light blue, purple, pink, and orange, respectively. The 'k' is black and has no circle above it.

woblink